



WIESŁAW  
WEISS

**BIAŁA**  
**WÓDKA,**  
**CZARNY**  
**PTAK**

WIESŁAW  
WEISS

# BIAŁA WÓDKA, CZARNY PTAK

Copyright © by Wiesław Weiss, MMXVI

Wydanie I

Warszawa

# Spis treści

[Motto](#)

[Prolog](#)

[Część 1. Naga kobieta na stadionie](#)

[6 kwietnia 1982, wtorek](#)

[7 kwietnia 1982, środa](#)

[13 grudnia 1981, niedziela, ranek](#)

[Część 2. Zamień na kamień łzy...](#)

[13 kwietnia 1982, wtorek](#)

[14 kwietnia 1982, środa](#)

[15 kwietnia 1982, czwartek](#)

[16 kwietnia 1982, piątek](#)

[17 kwietnia 1982, sobota](#)

[13 grudnia 1981, niedziela](#)

[Część 3. Niebo znowu bez gwiazd](#)

[18 kwietnia 1982, niedziela](#)

[19 kwietnia 1982, poniedziałek](#)

[20 kwietnia 1982, wtorek](#)

[14 grudnia 1981, poniedziałek](#)

[Część 4. Przy milczących werblach](#)

[21 kwietnia 1982, środa](#)

[22 kwietnia 1982, czwartek](#)

[Noc z 22 na 23 kwietnia 1982, z czwartku na piątek](#)

[15 grudnia 1981, wtorek](#)

## Część 5. Ty giń!

23 kwietnia 1982, piątek

Noc z 23 na 24 kwietnia 1982, z piątku na sobotę

Noc z 15 na 16 grudnia 1981, z wtorku na środę

## Część 6. Piękny dzień dla całych Niemiec

24 kwietnia 1982, sobota

25 kwietnia 1982, niedziela

22 czerwca 1982, wtorek

## Wiersze, poematy i teksty piosenek cytowane w książce

*Różga i karność mądrość dają.*

Pismo Święte, Księga Przysłów 29, 15

*I believe in vengeance. I believe in getting the bastard...*

Justin Sullivan, New Model Army, *Vengeance*



## Prolog

Czekał na tę chwilę od dawna. Chociaż czas stępił ból i stłumił nienawiść.

Kobieta, która nawiedzała go w snach, już prawie z nich zniknęła. Przestała go dręczyć. Zdarzały się dni, kiedy w ogóle o niej nie myślał. Czasami łapał się na tym, że mógłby nawet jej nie poznać.

Aż do tamtego grudniowego poranka, gdy nagle przed nim stanęła. Nie mógł uwierzyć, że to nie urojenie. Jakby bóg zemsty wysłuchał modlitwy, powtarzanej najpierw po kilka razy dziennie, z tym samym żarem, a potem coraz rzadziej i ostatnio już tylko od czasu do czasu, siłą przyzwyczajenia.

Stała tak blisko, że czuł intensywny zapach jej perfum, wymieszany z wypełniającą niewielkie apteczne pomieszczenie wonią waleriany i mięty. Kupowała lek na bezsenność. Czyżby przeszłość dopadła ją po latach? Odebrała spokój duszy? Obudziła sumienie?

Nie od razu ją poznał. Nie tylko dlatego, że jasne jak pszenica włosy ufarbowała na kruczoczarny kolor, a stalowoszare oczy zasłoniła grubymi szklami. Wytworna, ubrana w szykowny kozuch, nie miała w sobie nic z prostej prowincjuszki, którą pamiętał. Ale kiedy zdjęła okulary, żeby odliczyć pieniądze, nogi się pod nim ugięły.

Pewność, że to ona, ukłuła go boleśnie, jak cienka, ostra igła. Zrozumiał, że ciężar, który nosił w sercu, nadal tam jest. Zachwiał się, przygnieciony jego masą. Bał się, że zemdleje i zwróci na siebie uwagę.

Szybko wyszedł na ulicę i odetchnął mroźnym powietrzem. Oddalił się od apteki. Nasunął czapkę głębiej na oczy. Czekał.

Gdy wyszła, spuścił głowę i powoli, jakby się wahał, podążył za nią.

Wiedział, że nie powinien zwracać na siebie uwagi, ale nie mógł oderwać od niej oczu.

Na szczęście ani razu nie obejrzała się za siebie. Niczego nie zauważyła, niczego nie podejrzewała.

Z Szerokiej skręciła w Szmaragdową, przecięła plac Reja i dotarła do Poznańskiej.

Domyślił się, dokąd zmierza. Przy Poznańskiej mieścił się jedyny hotel w mieście. Zaraz po wprowadzeniu stanu wojennego zamieszkali w nim komisarze wojskowi, ale zajęli tylko parter. Pokoje na piętrach pozostały otwarte dla przyjezdnych.

Kiedy weszła do środka, podążył za nią. Stał przy oknie i udawał, że na

kogoś czeka, ale nie spuszczał z niej wzroku.

Poprosiła o klucz. Po niemiecku. Przez lata robił wszystko, by wyrzucić z pamięci tę skrzekliwą, nieludzką mowę, ale im bardziej się starał, tym mocniej słyszane przed laty słowa, frazy i zdania wbijały się w mózg.

Zrozumiał doskonale, co mówi. Zresztą po krótkiej chwili, widząc niepewną minę recepcjonistki, powtórzyła numer pokoju po polsku. „Dwieście siedem”.

Kiedy zniknęła na schodach, nadal trwał na posterunku. Zastanawiał się, co zrobić.

A potem po prostu wrócił do domu. Wyczerpany padł na łóżko. Dopiero wtedy coś w nim pękło. W kącikach ust poczuł słony smak łez.

Leżał kilka godzin. W grubej, wytartej jesionce, w ciężkich zimowych butach. Miał nadzieję, że zmorzy go sen. Długi, wielogodzinny sen. A kiedy się obudzi, kobiety nie będzie już w mieście. Ale sen nie nadszedł.

Kiedy podniósł się z łóżka, był już środek nocy. Wszedł do kuchni, otworzył szufladę i wybrał najostrzejszy nóż. Ten, którym kroił mięso. Wsunął go do kieszeni płaszcza.

Na ulicy panował całkowity mrok. Jak podczas prawdziwej wojny.

Ciemne latarnie, ciemne okna, ciemne niebo. I jaśniejące na skraju chodników nierówne pagórki śniegu, usypane przez właścicieli domów i dozorców.

Miasteczko spało.

Przez myśl przemknęło mu, że może natknąć się na patrol Obrony Cywilnej. Obowiązywała przecież godzina milicyjna. Ale grobowa cisza uspokajała: jesteś sam.

Szedł powoli. Zmęczenie i przeraźliwe zimno coraz bardziej dawały się we znaki. Nogi stały się jak z ołowiu, buty wydawały się coraz cięższe. Ale jakaś wewnętrzna siła cały czas pchała go przed siebie.

Tylko w holu na parterze paliło się światło, w pokojach, wszystkich bez wyjątku, było ciemno. Zastanawiał się, jak dostanie się do środka. I co powie recepcjonistce. A przede wszystkim, jak nakłoni kobietę w grubych szklach, by w środku nocy wpuściła go do siebie.

Ale drzwi do hotelu nie były zamknięte. Otworzył je bezszelestnie. Zdjął buty i postawił w przedsionku pod ścianą. Z ulgą stwierdził, że w recepcji nie ma nikogo. Jedynie w głębi korytarza, w półmroku, ktoś drzemał na fotelu.

Powoli, nasłuchując, czy nikt nie idzie, wspiał się na drugie piętro. Serce waliło mu w piersi, ale nie czuł strachu. Ze zdumieniem stwierdził, że nie ma w nim nawet cienia emocji.



Zastanawiał się, co go pcha do przodu. Pamięć o nienawiści, która dawno straciła żar? Przysięga złożona samemu sobie i duchom zmarłych?

W ciemnościach nie widział numerów pokojów. Wyjął z kieszeni zapalniczkę. Pierwsza rozbłysła na moment i zgasła. Dopiero druga rozjaśniła korytarz. Dwieście pięć, dwieście sześć, dwieście siedem.

Zgasił zapalniczkę, poczekał chwilę, aż ostygnie, i wsunął do kieszeni.

Zapukał. Był przekonany, że kobieta śpi. Wstanie z łóżka, podejdzie do drzwi i zapyta po niemiecku, kto ją niepokoi o tej porze. Co jej odpowie? Może po prostu zacznie mówić cokolwiek, licząc na to, że zdezorientowana zechce sprawdzić, o co chodzi, i przekręci klucz w zamku.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie. Kobieta, ubrana w granatowy sweter i czarne spodnie, poprawiła fryzurę i obejrzała się za siebie, jakby czegoś szukała. Zapomniała o dopełniających kamuflaż okularach?

Miał wrażenie, że na kogoś czeka. Zdziwiła się, że na progu stoi ktoś, kogo się nie spodziewała.

Kiedy jej zimne, nieruchome spojrzenie przeszło go na wylot, poczuł drżenie kolan. Bał się, że zabraknie mu odwagi i siły, by wykonać zadanie, które przyczajone czekało na niego od dawna. Wiedział, że jeśli teraz się zawaha, wszystko przepadnie. Zrobił krok do przodu i całym ciałem pchnął kobietę do środka.

Nie rozumiała, co się dzieje. Powinna krzyknąć, wezwać pomoc. Tymczasem, zdezorientowana, zrobiła jedynie krok do tyłu. Na jej twarzy malowało się zmęczenie. Bruzdy zmarszczek wydawały się głębsze niż podczas spotkania w aptece. Ale w stalowoszarych oczach nie było strachu. Któż zresztą przeraziłby się wymizerowanego astenika w zniszczonej jesionce, nawet jeśli jego zachowanie było dziwne i niepokojące?

Dopiero gdy wyjął z kieszeni nóż, zwykły kuchenny nóż, zdała sobie sprawę z grozy sytuacji. Widział, że przerażenie, które pojawiło się dopiero teraz, całkowicie ją sparaliżowało. Nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Uderzył z całej siły. Cofnął dłoń i pchnął znowu, a potem jeszcze raz i jeszcze raz.

Był znużony i słaby, ale w jego ciosach skumulowały się moce, które gromadził w sobie od dawna.

Próbowała wyrwać mu nóż, ale jej rozpaczliwe, nieskoordynowane ruchy nie mogły mu przeszkodzić. Na moment skrzyżowała dłonie na brzuchu, ale był to ostatni, żalostny i nieskuteczny gest obrony przed ponawianymi atakami.

Zdziwił się, że tak szybko osunęła się na podłogę.

Z jej ust wydobył się nieartykułowany charkot, któremu daremnie próbowała nadać kształt słów.

Nie zrozumiał, co chce powiedzieć. Pyta dlaczego? Błaga o łaskę? Poznała go i prosi o wybaczenie?

Kiedy leżała już na ziemi, z bezładnie rozrzuconymi nogami, jak u szmacianej lalki, ukląkł nad jej pooranym, zakrwawionym, odartym z resztek godności ciałem i pchnął jeszcze trzykrotnie.

Z trudem się podniósł i oparł o ścianę. Zrobiło mu się słabo. Zdumiony, że nóż stał się taki ciężki, upuścił go na podłogę.

Wiedział, że odciski palców mogą go zdradzić. A jednak nie miał siły, by się schylić. I raz jeszcze spojrzeć z bliska na zmasakrowane ciało.

Odwrócił się i powoli ruszył w stronę wyjścia. Kiedy mijał duże lustro umocowane do drzwi szafy, zauważył, że jego ubranie też jest zakrwawione. Przetarł je kilka razy dłonią, ale tylko rozmazał lepkie, ciemne plamy.

W budynku nadal panowała cisza. Zbrodnia, którą tak niezdarnie zaplanował i wykonał, nie zakłóciła niczyjego snu.

Zszedł po schodach, minął pustą recepcję, doszedł do drzwi i już chciał wyjść, kiedy uświadomił sobie, że nie ma na nogach butów. Poszukał ich w korytarzu. Założył powoli, z wysiłkiem i w końcu opuścił hotel.

Nie pamiętał, jak dotarł do domu.

Kiedy obudził się po długich godzinach snu, stwierdził ze zdumieniem, że ma na sobie piżamę. Nie rozumiał, jak znalazł w sobie siły, by przebrać się do snu. Nie bardzo też potrafił odtworzyć w pamięci przebieg zdarzeń minionej nocy.

Nie wierzył w powtarzane bezwiednie w myślach słowa, wyrażające przekonanie, że wreszcie wydobył się z cienia rozpacz i zastygłego w każdej części ciała bólu.

Jedno wiedział na pewno.

Kobieta, której imienia nie potrafił wymówić głośno, była martwa.

Część 1  
Naga kobieta na stadionie

6 kwietnia 1982, wtorek

To Krysia zwróciła na mnie uwagę. Wyłowiła z tłumu nieopierzonych studentów pierwszego roku, zaczarowała wzrokiem, zmusiła, żebym podszedł i wydusił z siebie kilka słów, które mogłyby obudować czymś na kształt rozmowy. To ona wymyśliła pierwszą randkę. W wiosenne, sobotnie przedpołudnie w muzeum plakatu w Wilanowie, gdzie można było patrzeć sobie w oczy i delikatnie ocierać się o siebie, bez narażania się na natarczywe, osądzające spojrzenia obcych, bo byliśmy jedynymi zwiedzającymi. To ona ściągnęła mnie jeszcze tego dnia do mieszkania na Ursynowie, które miała wyłącznie do swojej dyspozycji, bo jej rodzice, których nigdy nie poznałem, wyjechali gdzieś daleko, bodajże do Afryki. To ona wyrwała mnie ze świata chłopięcych fantazji i wprowadziła do raju, czy raczej piekła grzesznych przyjemności.

Znajomość trwała cztery czy pięć miesięcy. Sprowadzała się do krótkich popołudniowych spotkań, zawsze u niej, zawsze według tego samego scenariusza. Najpierw rozmowa o niczym, potem seks, znowu seks, skromny posiłek, a na koniec, jeśli wystarczyło sił, bo różnie z tym bywało, jeszcze raz seks.

Z początku było cudownie, ale już po kilku tygodniach zacząłem nie bez zdumienia dostrzegać, że kolejne spotkania zaczynają mnie nużyć. Zapach ciała Krysi, który tak mnie podniecał, wydawał się coraz bardziej mdły, nagość – oczywista, cielesna bliskość – parząca.

Zrozumiałem, że seks, jak wszystko inne, można przedawkować.

Zerwanie okazało się łatwe, bo w naszym związku nie było przecież żadnych obietnic i wyznań. Z jednym wyjątkiem. Krótki list z wakacji – z praktyk studenckich? – Krysia zaczęła słowami: „Kochany Danielu!”. Zdumiało mnie to. „Kochana Krysiu!”. Nie potrafiłbym się tak do niej zwrócić. Jeszcze wtedy upajałem się każdą jej pieszczotą, ale nawet przez myśl mi nie przeszło, że łączy nas coś więcej niż pożądanie.

Odszedłem bez słowa. Pewnego dnia po prostu zniknąłem z jej życia. Zamknąłem ten rozdział edukacji erotycznej, jak postrzegałem naszą znajomość. Na zawsze. A jednak po jakimś czasie pojawiło się uczucie żalu. Pamięć o znużeniu szybko się bowiem zatarła, a wspomnienie błogości, jaką tak hojnie i wspaniałomyślnie raczyła mnie starsza o dwa czy trzy lata koleżanka ze studiów, pozostało żywe. Niebawem w moim życiu pojawiły się

jednak inne dziewczyny. A seks zyskiwał stopniowo nowy wymiar – stawał się dopełnieniem czegoś, co pewnie na wyrost, nazywałem miłością. Czymś wzbogacającym wewnątrz, a nie jedynie ćwiczeniem z fizycznej rozkoszy.

Od dawna nie myślałem o Krysi, gdy nagle stanęła przede mną w małym, cichym barze w hotelu Warszawa, dokąd wpadłem napić się piwa.

Wyglądała inaczej niż dawniej. Elegancka, wystrojona w beżowy żakiet narzucony na granatową suknię z koronkowym kołnierzykiem, wymalowana jak modelka, nie przypominała dziewczyny, którą znałem siedem czy osiem lat wcześniej. Wtedy swobodnej, ubranej w białą bawełnianą koszulkę i zielone sztruksowe spodnie, nieuznającej makijażu. A jednak nie miałem wątpliwości, że to ona. Zwłaszcza kiedy światło jedynej jaśniejszej lampy wydobyło z półmroku złotawą grzywkę, wysypującą się spod starannie ułożonej fryzury, pełne blasku, zielonoszare oczy, zadarty nos, namiętne wydęte malinowe usta i filuternie zaokrąglony podbródek.

Dopiero po dłuższej chwili nasze spojrzenia się spotkały. Z początku miałem wrażenie, że nie zostałem rozpoznany. Pomyślałem, że to lepiej. Nagle zabrakło mi odwagi, by spotkać się z przeszłością.

Pociągnąłem kilka łyków piwa, bo szkoda mi było zostawiać pełną szklanekę, i już chciałem ruszyć w stronę wyjścia, kiedy na twarzy Krysi pojawił się uśmiech. Bez zastanowienia wstała od stolika i ruszyła w moją stronę. Oczekiwałem, że po prostu poda mi rękę. Tymczasem rzuciła mi się na szyję, jakbyśmy nie widzieli się miesiąc czy dwa i po kilku tygodniach bezgranicznej tęsknoty znowu się spotkali.

Nie miałem pojęcia, co ta wylewność oznacza i w jaki sposób powinienem na nią zareagować. Zaczęliśmy rozmawiać, jak nie rozmawialiśmy ze sobą nigdy.

Zastanowiło mnie, że Krysią zupełnie inaczej zapamiętała wspólne chwile sprzed lat niż ja. Mówiła o nich z zaskakującą czułością. Może rzeczywiście mnie wtedy kochała? A jeśli tak, moje odejście musiało być dla niej bolesne. Nie zdawałem sobie z tego sprawy. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że ją zraniłem.

Najbardziej zdumiało mnie jednak to, że przez cały czas obserwowała mnie z oddalenia. Chociaż wyjechała na stałe do NRD, czego nigdy bym się nie domyślił – marzyła o życiu na Zachodzie, kilkakrotnie wspomniała o ewentualnej ucieczce do Szwecji, ale któż emigruje do NRD? – miała sporo informacji na mój temat.

Wiedziała o moich pierwszych doświadczeniach i sukcesach dziennikarskich. Czytała najważniejsze teksty. Pochwaliła reportaż o polskich

studentach w Bułgarii, opublikowany przez „Politykę”. Byłem z niego dumny, ale wspominałem źle, okazał się bowiem źródłem wielu nieprzyjemności. Kiedy ktoś z ambasady Bułgarii zaprotestował przeciwko nieprawdziwemu jego zdaniem opisowi warunków panujących w domach akademickich w tym kraju, tygodnik wstrzymał publikację następnych moich artykułów. A później także w wielu innych redakcjach dano mi do zrozumienia, że bym spadał, w czym nieszczęsny artykuł miał zapewne swój udział.

Tak czy inaczej, od trzynastego grudnia nie napisałem ani słowa. Czy zresztą miałem prawo nazywać siebie dziennikarzem? Po ukończeniu studiów ekonomicznych zostałem skierowany do pracy w warszawskim Przedsiębiorstwie Remontowo-Budowlanym imienia Janka Krasickiego. Dogadałem się jednak z dyrektorem, by dał mi bezpłatny urlop, i próbowałem zarabiać na życie pisaniem. Udało się aż do wprowadzenia stanu wojennego, kiedy wydawanie większości dzienników i czasopism zawieszono.

W ostatnim czasie niektóre tytuły zaczęły się co prawda odradzać, ale z zespołów dziennikarskich wyeliminowano osoby myślące inaczej niż wojskowa władza. Uznałem, że w tej sytuacji ja również powinienem odłożyć pióro do szuflady, chociaż wolnych strzelców weryfikacje nie objęły. Tak czy inaczej, od kilku miesięcy żyłem z niewielkiego spadku po ojcu, miałem jednak świadomość, że pieniędzy nie wystarczy na długo. Zwłaszcza że ich wartość po kolejnych podwyżkach cen, takich jak ta lutowa, bardziej drastyczna niż wcześniejsze, z dnia na dzień malała.

Nie próbowałem ukrywać, że ja z kolei nie miałem pojęcia, jak potoczyły się losy Krysi. Nie wiedziałem, że poślubiła niemieckiego reżysera Hansa Eckarta i zagrała w kilku jego filmach. Nie śledziłem rozwoju kinematografii zachodnich sąsiadów. Nie znałem nazwisk tamtejszych twórców. Oczywiście widziałem kilkanaście, a może nawet kilkadziesiąt filmów z NRD, bo często prezentowała je telewizja. Ale zapamiętałem tylko jeden, bardziej udany niż inne: *Legenda o Paulu i Pauli*. W żadnym nie dostrzegłem Kristiny Eckart, jak nazywała się teraz. Zresztą tytuły, które wymieniała, nic mi nie mówiły. Przyznałem, że głupio mi z tego powodu, i obiecałem, że od tej pory będę śledził jej karierę. Zapewniłem, że kiedy tylko nadarzy się sposobność, obejrzę ostatnie dzieło Eckarta, *Trupa na torach*, w którym jak wyjaśniła, zagrała jedną z ofiar seryjnego mordercy.

Właśnie pokaz tego filmu w Ośrodku Kultury i Informacji Niemieckiej Republiki Demokratycznej przy Świętokrzyskiej, tuż obok hotelu Warszawa, był powodem przybycia Krysi wraz z mężem na dwa dni do Polski. Niejedynym. Ale dopiero po dłuższej chwili siedząca przede mną elegancka

kobieta wyznała, że główny motyw jej przyjazdu był zupełnie inny.

Poprosiła o lampkę koniaku, wypiła ją szybko, niczym kieliszek taniej wódki, i opowiedziała ściszone głosem, jakby się czegoś obawiała, o zniknięciu w Warszawie, dokładnie w dniu wprowadzenia stanu wojennego, Anny Eckart. Wielkiej – tego określenia użyła – pisarki niemieckiej. Jej teściowej.

Owiana aurą tajemniczy historia obudziła we mnie dziennikarską ciekawość. Ale jeśli zniknięcie Anny Eckart miało związek z wydarzeniami trzynastego grudnia, rozprawianie o nim, nawet konspiracyjnym szeptem, mogło być niebezpieczne.

Uniosłem głowę znad szklanki i rozejrzałem się po sali. Wydawało mi się, że jesteśmy w barze sami, tymczasem przy stoliku w głębi siedział – od jak dawna? – zezowaty mężczyzna w szarym garniturze i pił kawę z małej filiżanki. Odniosłem wrażenie, że nas obserwuje. Lecz w tej samej chwili pomyślałem, że gapi się, bo w sali nie ma po prostu nic ciekawszego.

Zaproponowałem Krysi, mimo wszystko, byśmy kontynuowali rozmowę u mnie, ale wyjaśniła, że to niemożliwe, bo za pół godziny spotyka się z mężem. Wysłuchałem więc opowieści o zagadkowym zniknięciu niemieckiej pisarki, która przyjechała do Warszawy, by wziąć udział w konferencji na temat obszarów wolności w literaturze krajów socjalistycznych. Cały czas jednak starałem się nie spuszczać oka z faceta w szarym garniturze, a także z barmanki, zajętej wycieraniem stojących przed nią szklanek i co jakiś czas spoglądającej spode łba w naszą stronę.

– Przyleciała ósmego grudnia z delegacją pisarzy z NRD – zaczęła Krysia. – Dziesiątego wygłosiła odczyt na uniwersytecie. Były tłumy. Tak słyszałam. Jedenastego wzięła udział w nagraniu jakiejś audycji. I już dwunastego miała wracać do Berlina. Zmieniła plany, kiedy dziennikarz zachodniemieckiej telewizji, który kręcił coś w Warszawie, poprosił ją, by w następnych dniach udzieliła mu jeszcze wywiadu. Zdecydowała się lecieć piętnastego. Koledzy naciskali, żeby wracała z nimi, ale się uparła. A potem... Jak wiesz, trzynastego grudnia zamknięto granice. I chociaż trzy dni później pociągi do Berlina znowu ruszyły, mama nie wróciła.

Jak to nie wróciła?, pomyślałem, gdy Krysia załamującym się głosem wyszeptała:

– Daniel... *Ich habe das Gefühl...* No wiesz. Że wydarzyło się coś strasznego...

Nie miałem pojęcia, jak się zachować. Jeszcze nie widziałem Krysi tak poruszonej. Ale zanim zdążyłem się zastanowić, jak mógłbym ją pocieszyć,



moje myśli podążyły w innym kierunku.

Do baru wszedł mężczyzna w rozpiętej czarnej kurtce, rozejrzał się, zobaczył gościa w szarym garniturze, szybko się odwrócił i wyszedł. Cóż to mogło oznaczać? Kim był zezowaty nieznajomy?

Dopiero po chwili wznowiłem rozmowę z Krysią, która zdążyła zapanować nad emocjami, i zapytałem, czy nie mieli z mężem żadnej wiadomości od zaginionej.

– Żadnej! – zaprzeczyła. – Żadnego listu. A telefony trzynastego wyłączono.

– Wszczęto poszukiwania?

– Oczywiście. W sprawę zaangażował się nasz ambasador. Mama jest przecież wielką pisarką, laureatką Nagrody Państwowej. Dzięki niemu mogliśmy się kontaktować z Warszawą. Ale... Sam wiesz. W Polsce panował chaos. Mimo że wojsko robiło wszystko, by zaprowadzić porządek.

Zastanowiło mnie, czy Krysią naprawdę wierzy, że trzynastego grudnia wojsko przywróciło w Polsce ład zburzony, jak twierdziły reżimowe media, przez wichrzycieli z Solidarności, ale uznałem, że okoliczności nie sprzyjają dyskusji na takie tematy.

– Poinformowano nas – Krysią kontynuowała – że mama wymeldowała się z hotelu Forum, w którym się zatrzymała, już trzynastego rano po dziewiątej. Dokładnie o dziewiątej dwadzieścia siedem. Dlaczego? I co robiła potem? Dokąd się przeniosła czy wyjechała? W następnych dniach... Wiesz, raporty były coraz krótsze i coraz mniej konkretne. A potem wszystko się urwało.

– Wasz ambasador nie naciskał na zintensyfikowanie poszukiwań? – zapytałem.

– Zapewnia, że naciskał, ale coraz bardziej w to wątpię. – Krysią skuliła się w sobie. I głosem pełnym rezygnacji dodała: – Mam wrażenie, że nikt nie traktował tych poszukiwań poważnie.

– Dlaczego tak myślisz? – Szczerze się zdziwiłem.

– Zbyt wiele się działo. Polskie władze miały za dużo na głowie. A poza tym wiesz... Kiedy znika kobieta... Najprostsze wyjaśnienie jest takie, że poleciała za jakimś facetem...

Stwierdziłem, że to całkiem prawdopodobne, ale moja rozmówczyni gwałtownie zaprotestowała.

– To niemożliwe. Mama miała, co prawda, wiele przygód. Z mężem rozstała się wkrótce po urodzeniu Hansa. Ale po pierwsze, nie kryłaby przed kolegami, z którymi przyleciała do Polski, że się z kimś spotyka. I po drugie, miała mnóstwo pracy. Zbliżał się termin oddania książki do druku. A ponieważ jest osobą odpowiedzialną...

– Żeby skończyć książkę, nie trzeba siedzieć w domu – zauważyłem. – Wystarczą notes i długopis. Może jednak kogoś poznała? I zdecydowała się zostać w Polsce dłużej. A ponieważ telefony nie działały, nie mogła was zawiadomić, gdzie jest i co robi.

– Tak, wiem. *Dem Glücklichen schlägt keine Stunde*. Szczęśliwi czasu nie liczą. Ale... Jest już kwiecień. Do tej pory na pewno by się z nami skontaktowała. Coś się musiało stać! Dlatego kiedy pojawiła się propozycja pokazania w Warszawie *Trupa na torach*, zdecydowaliśmy się z Hansem jechać. Mimo że jesteśmy bardzo zajęci. Udźwiękowienie nowego filmu, przygotowania do kolejnego... I mimo tego, że w Polsce nie jest bezpiecznie. Łudziłam się, że na miejscu dowiem się czegoś więcej, a może nawet sama trafię na jakiś ślad. Oczywiście nie było na to żadnych szans.

– Dlaczego?

– Przyjechaliśmy wczoraj, wracamy jutro. Cóż mogłam zdziałać? Byłam w Forum, gadałam z jakąś idiotką z recepcji, i co? Dokąd jeszcze miałabym pójść? No, powiedz! Dokąd?

Zrozumiałem, że Krysia szuka we mnie wsparcia. Bez większego przekonania zaproponowałem:

– Może ja mógłbym powęszyć?

Oczywiście czułem, że mieszanie się w sprawę zaginięcia cudzoziemki w czasie trwania stanu wojennego nie jest dobrym pomysłem. Ale urok Krysi znowu na mnie działał.

– Niczego nie obiecuję, ale... – bąknąłem. – Mogę spróbować. Zwłaszcza że nie mam nic do roboty.

Nie odezwała się, ale wyraz napięcia na jej twarzy zdradzał, że oczekuje pomocy. Dopiero po chwili stwierdziła:

– Tobie łatwiej byłoby się czegoś dowiedzieć. Jesteś dziennikarzem. Masz prawo zadawać pytania.

Pod warunkiem że zniknięcie Anny Eckart nie miało nic wspólnego z wydarzeniami trzynastego grudnia. Jeśli kobieta została z jakichś powodów albo nawet w wyniku działania złowieszczego przypadku zmiądzona przez machinę wojenną, a jej śmierć zatuszowano, każda próba dogrzebania się do prawdy mogła okazać się niebezpieczna. Czy Krystyna wzięła to pod uwagę? Pewnie tak, ale dodała tylko, z nadzieją w głosie:

– Może wyciągniesz od kogoś informację, którą przegapili śledczy...

Wiedziałem już na pewno, że pakuję się w kłopoty. Dobra, pomyślałem. Popytam, powęszę, pewnie niczego się nie dowiem, ale przynajmniej uspokoję sumienie. Nagle Krysia położyła dłoń na mojej dłoni i odmienionym

głosem, z czułością, szepnęła:

– Słyszysz? Nasza piosenka!

Z radiowego głośnika dobiegły mnie dźwięki jakiegoś starego przeboju, którego w ogóle nie kojarzyłem z Krysią. Nie przypominałem sobie, by towarzyszył chwilom, które spędziłem z nią w mieszkaniu na Ursynowie. Naszymi melodiami były raczej tematy z seriali, które Telewizja Polska przypominała popołudniami, od *Stawki większej niż życie* po *Czterech pancernych i psa*. Moja przewodniczka po świecie seksu śledziła je z zapartym tchem, jakby oglądała je pierwszy raz. Nawet kiedy się kochaliśmy, telewizor był włączony i naszym uniesieniom towarzyszyły żołnierskie komendy oraz niepokojące odgłosy wystrzałów i wybuchów. Krysia tylko na kilka chwil poddawała się fali rozkoszy i przenosiła szkliste spojrzenie z ekranu na sufit. Ale wystarczyło, że Brunner warknął: „Rączki, rączki, Hans!”, by ponownie odpływała do serialowej rzeczywistości.

– No tak – wróciłem do przerwane go wątku – ale jeśli mam szukać twojej teściowej, muszę dowiedzieć się czegoś więcej. Na przykład kto jeszcze był w delegacji.

– Trzech pisarzy – wyjaśniła. – Reinhard Lange, wyjątkowy głupek. Klaus Hempfling. Może czytałeś? Jego książka o rewolucji francuskiej była wydawana w Polsce. Nie pamiętam tytułu...

– Nie, nie sędzę.

– No i Wolfgang Michalak, najinteligentniejszy z nich, ale...

– Tak?

– Przemądrzały to mało powiedziane.

Wyjąłem z kieszeni wymiętą kartkę z listą zakupów, które planowałem zrobić od trzech dni, i po drugiej stronie zanotowałem wszystkie nazwiska, chociaż w tej samej chwili zdałem sobie sprawę, że akurat z niemieckimi pisarzami nie mam szansy się spotkać.

– Oczywiście rozmawiałas z nimi? – zapytałem przytomnie.

– Kilkakrotnie – zapewniła. – Hempfling próbował mnie podrywać. Najpierw obiad w jakiejś knajpie na Hackescher Markt... Byłeś w Berlinie?

– Pewnie. Kilka razy. Ale Hackescher Markt? Pierwsze słyszę.

– No i dobrze. Okropne miejsce. Chociaż berlińczycy mają inne zdanie. No więc Hempfling... Ale co tam Hempfling! Michalak zaprosił mnie do siebie! Do Pankow! Tam, gdzie mieszkają czołowi politycy NRD. Liczył chyba na to, że namówię Hansa na film na podstawie jego książki o Róży Luksemburg. Kadził mi, przekonywał, że byłabym świetna w głównej roli... No więc tak, rozmawiałam z nimi. Ale niewiele się dowiedziałam. Poza tym, że mama była

umówiona na ten telewizyjny wywiad. No i dlatego przełożyła datę wyjazdu.

– Próbowałaś dotrzeć do kogoś z ekipy telewizyjnej, która była wtedy w Polsce?

– Nie wiem nawet, co to była za telewizja. Pewnie ZDF, ale kto to wie?! Nie próbowałam się dowiedzieć. Myślisz, że dotarłabym do dziennikarzy z Zachodu? Zapomnij.

Zezowaty jegomość w szarym garniturze nadal pił kawę i przyglądał się nam z oddali. Pomyślałem, że gapi się nie na nas, a na Krystynę. Każdy facet zwróciłby na nią uwagę. Chciałem już odwrócić wzrok, kiedy mężczyzna zrobił coś dziwnego. Uniósł dłoń, zawahał się i szybko ją opuścił. Chciał mi dać jakiś znak? Nie wiem dlaczego się przestraszyłem.

– W Warszawie teściowa spotkała się z kimś prywatnie? – zmieniłem temat.

– Mówiłam ci już... – Zaczęła, ale nie dokończyła. – Michalak twierdzi, że nie. A przed nim nic się nie ukryje.

– Kierownik grupy? – zapytałem.

– *Gruppenleiter* – potwierdziła.

I gość do pilnowania kolegów, pomyślałem, ale ugryzłem się w język. Krystyna poprawiła fryzurę.

– Pamiętasz, w jakiej rozgłośni nagrała tę audycję? – zapytałem.

– Wydaje mi się, że w Programie Trzecim. Autorem był krytyk o niemieckim nazwisku. Werner? Tak, Werner. Imienia nie pamiętam.

Bez wątpienia chodziło o Marka Wenera.

Zastanawiałem się, co jeszcze powinienem wiedzieć, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Nie byłem detektywem, nie czytałem powieści kryminalnych, a jedynie czasem oglądałem przypadkowe odcinki seriali telewizyjnych w rodzaju *Kojaka* i *Columbo*. Dopiero po chwili zadałem kolejne pytanie.

– Teściowa często przyjeżdżała do Polski? Miała tu przyjaciół, znajomych?

– Nie, to była jej pierwsza wizyta – odpowiedziała z niezachwianą pewnością. – Wiem, bo rozmawiałam z nią przed wyjazdem. I chyba nikogo stąd nie znała. Z wyjątkiem Kurty. Tego pisarza, Henryka Kurty. Jakiś czas temu mignęło mi ich wspólne zdjęcie z Lipska czy Drezna.

Wiedziałem, że Henryk Kurta od kilku lat publikował w prasie emigracyjnej, a w osiemdziesiątym roku, podczas strajku w Stoczni Gdańskiej, kręcił się koło doradców Solidarności. Znajomość z nim mogła oznaczać, że Anna Eckart była zaangażowana w polskie sprawy. A jeśli tak...

– Rozumiem, że się z nim nie spotkała? – Chciałem się upewnić.

– Podałam jego nazwisko polskim władzom – wyjaśniła. – Podobno od dawna nie miał z nią kontaktu.

Zastanawiałem się, czy Kurta jako człowiek obozu solidarnościowego nie został internowany. Tak czy inaczej, uznałem, że nie będę podejmował w rozmowie wątku jego sympatii politycznych. Zwłaszcza że Krysia, od dawna nieobecna w kraju, raczej nie zdawała sobie z nich sprawy.

– Danielu, pomóż nam – powiedziała błagalnym tonem. – Nie mam do kogo się zwrócić. A polskim władzom już nie wierzę...

Jej oczy znowu zawilgotniały.

– Znaczący wierzę, oczywiście. – Zaczęła się wycofywać. – *Aber...* Wiesz, tutejsze władze mają teraz tyle innych spraw na głowie...

– Spróbuję się czegoś dowiedzieć – zapewniłem bez przekonania.

Krysia spojrzała ukradkiem na zegarek i wstała od stolika. Myślałem, że chce się już pożegnać, ale wyszła jedynie do łazienki. Na oparciu krzesła zostawiła żakiet. Z kieszeni wystawały dwie koperty: bardziej zniszczona brązowa i pozbawiona zagnieceń biała. Nie mam pojęcia, dlaczego po nie sięgnąłem.

Zajrzałem do pierwszej, bez żadnych napisów. Zawierała zdjęcia kobiety. Anny Eckart? Na białej widniał adres: „Kristina Eckart, 10111 Berlin, GDR, PO Box 1234”. Był tak prosty, że wrył mi się w pamięć. Wysunąłem list, napisany po angielsku. Chociaż nie miałem zwyczaju czytać cudzej korespondencji, ciekawość zwyciężyła. Rzuciłem okiem na tekst i wychwyciłem jedno zdanie. Była w nim mowa o pieniądzach, dużych pieniądzach, tysiącach dolarów czy funtów. Czyżby Krysia stała na progu międzynarodowej kariery? Dlaczego mi się tym nie pochwaliła? Żeby nie zapeszyć?

Odkładając koperty na miejsce, uprzytomniłem sobie, że grzebałem w rzeczach dawnej przyjaciółki na oczach faceta w szarym garniturze. Oczywiście nie powinno go to obchodzić, ale... Sprawdziłem, czy się gapi. Jakżeby inaczej? Cały czas mnie obserwował, właśnie mnie, bo nikogo innego nie było w pobliżu, tym swoim rozbieganym wzrokiem. Co więcej, w pewnej chwili pokręcił z niesmakiem głową, jak nauczyciel, który przyłapał ucznia na ściąganiu. Wiem, powinienem podejść i powiedzieć, żeby się odwalił, ale zabrakło mi odwagi. Przestałem zresztą zaprzętać sobie jego irytującym zachowaniem głowę, gdy zobaczyłem powracającą z łazienki Kysię.

Wyglądała inaczej niż przed kilkoma minutami. Co się zmieniło? Poprawiła makijaż? Nie mogłem oderwać od niej wzroku. Ale wtedy wydarzyło się coś, co pozwoliło mi zobaczyć ją w trochę innym świetle.

Gdy z radia popłynęły pierwsze dźwięki jakiegoś nieznanego mi utworu, skrzywiła się, przeklęła po niemiecku i poirytowanym tonem, z twardym akcentem, zażądała od barmanki, by wyłączyła „tę cholerną muzykę”. Postawiona na baczność kobieta uniosła głowę znad szklanek, przez moment zastanawiała się, jak zareagować, ale w końcu przekreśliła gałkę. W barze zapanowała nieprzyjemna cisza.

– Masz zdjęcie teściowej? – zapytałem, kiedy Krysia wróciła na miejsce, wygładziła sukienkę i obrzuciła mnie nieobecny spojrzeniem. – Bardzo by mi pomogło.

– Mam, oczywiście – powiedziała po chwili milczenia. – Chyba od tego powinnam była zacząć.

Sięgnęła po brązową kopertę, którą przed chwilą trzymałem w dłoniach, i wyjęła z niej kilka fotografii. Przedstawiła ubraną zawsze w tę samą ciemną garsonkę, niemłodą, ale całkiem atrakcyjną blondynkę. Miałem wrażenie, że wycięto je z większych zdjęć, zrobionych podczas różnych oficjalnych uroczystości. Zatopiona w myślach pisarka nie patrzyła w obiektyw, może nawet nie zdawała sobie sprawy, że jest fotografowana. Na jednym z portretów widać było dłoń przypinającą do jej piersi jakieś odznaczenie. A jednak twarz Anny Eckart nie wyrażała żadnych emocji.

Chętnie dowiedziałbym się czegoś więcej na temat okoliczności powstania zdjęć, ale zapytałem tylko, czy fotografie pochodzą z ostatnich lat.

– Tak, z zeszłego roku – usłyszałem w odpowiedzi.

– Teściowa nieźle się trzyma – stwierdziłem.

– Zawsze dbała o siebie. – Krysia zapewniła z dumą, jakby chodziło o nią samą.

Jedno ze zdjęć miało inny charakter niż pozostałe. Anna Eckart obejmowała na nim rówieśniczkę Krysi.

– Kto to jest? – zainteresowałem się.

– Angela, moja koleżanka z Berlina – wyjaśniła. – Niedawno rozstała się z mężem. Chciałam wciągnąć ją do filmu, ale... Wiesz, nie każdy czuje się przed kamerą swobodnie.

– Wygląda raczej na naukowca niż na aktorkę – zauważyłem. – Albo na polityka.

– Skąd wiedziałeś? Pracuje w Instytucie Chemii Fizycznej Akademii Nauk NRD. Polityką też się interesuje. Ale jak wiesz, kobiety są w polityce bez szans.

– Jak to? – Wygłoszone tonem nieznoszącym sprzeciwu stwierdzenie wydało mi się absurdalne. – A Margaret Thatcher? Indira Gandhi?

– *Ausnahmen bestätigen die Regel.* – Niemieckie wtręty w wypowiedziach dawnej przyjaciółki coraz bardziej mnie irytowały. Na szczęście zaraz się poprawiła: – Wyjątki potwierdzające regułę. Wyobrażasz sobie kobietę jako prezydenta Stanów Zjednoczonych? Czy przywódcę NRD? Albo kanclerza RFN?

– No... – Zawahałem się.

– Tak czy inaczej, mama bardzo lubi Angelę...

Kiedy chowałem zdjęcia do kieszeni, do baru wszedł elegancki, ale niezbyt przystojny mężczyzna po trzydziestce, rozejrzał się po niewielkim wnętrzu i zdecydowanym krokiem podszedł do naszego stolika. Domyśliłem się, że to Hans Eckart.

Facet dość obcesowo przywitał się z żoną, a kiedy przedstawiała mu mnie, oczywiście po niemiecku, jako przypadkowo spotkanego znajomego sprzed lat, przelotnie spojrzał także w moją stronę. Nie podał mi ręki. Przypomniał Krystynie, że spieszą się na jakieś oficjalne spotkanie, i pomógł jej okryć się żakietem.

Przyjaciółka sprzed lat na chwilę przysunęła się do mnie, jakby chciała mnie uścisnąć, ale chyba nie miała odwagi zrobić tego w obecności męża, bo powiedziała tylko „do widzenia”, szybko odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę drzwi. Hans Eckart bez słowa pożegnania podążył za nią.

Dopiero po kilku minutach uświadomiłem sobie, że Krysia nie zostawiła mi numeru telefonu i adresu. Chociaż pamiętałem dane, które odczytałem z koperty, poczułem się zwolniony z danej jej obietnicy.

Dopiłem piwo, a przed opuszczeniem baru raz jeszcze spojrzałem w kierunku stolika zajmowanego przez mężczyznę w szarym garniturze i ze zdumieniem stwierdziłem, że nikogo tam nie ma. A mała filiżanka zniknęła, jakby rozpułyła się w powietrzu.



7 kwietnia 1982, środa

W późniejszych tygodniach wielokrotnie wracałem myślami do wydarzeń tamtych dni i za nic nie potrafiłem odpowiedzieć sobie na pytanie, jak to się stało, że już nazajutrz po spotkaniu z Krysią, mimo początkowej rezerwy czy wręcz niechęci, wyruszyłem na poszukiwanie zaginionej. Być może podświadomie dążyłem do kolejnego spotkania z kobietą, która kilka lat wcześniej rozjaśniła mi szary i nudny początek studiów? Nawet jeśli nie znałem jej adresu i numeru telefonu, a jedynie numer skrytki pocztowej w Berlinie.

Zacząłem swoje niezdarne śledztwo od krótkiej wizyty u Jana Matuli, dziennikarza radiowego czy raczej byłego dziennikarza radiowego, negatywnie zweryfikowanego po wprowadzeniu stanu wojennego i w tym czasie niedopuszczonego do mikrofonu.

Poznałem go kilka miesięcy wcześniej w budynku Radia przy Malczewskiego – a ponieważ, jak się okazało, jesteśmy właściwie sąsiadami, obaj mieszkamy na Woli, ja przy Długosza, on przy Lumumby – często na siebie wpadaliśmy. I w końcu, mimo dużej różnicy wieku – Matula dobiegał czterdziestki, a łysina i siwa szczecina na brodzie sprawiały, że wygląda jeszcze starzej – zaczęliśmy się odwiedzać, żeby najzwyczajniej w świecie napić się wódki i ponarzekać na parszywą rzeczywistość stanu wojennego, brak zajęcia i dwulicowość kolegów, którzy sarkają na generała, ale kurczowo trzymają się ciepłych dziennikarskich posiad.

W zagraconej, niewysprzątanej kawalerce kolegi czułem się zawsze jak u siebie. Sam robiłem sobie kawę, sam sięgałem po kieliszki, aby rozlać wódkę, czasem kartkową, częściej kupowaną u znajomego kelnera z wypełnionej wodą wanny (odklejał w ten sposób etykiety, nie mam pojęcia dlaczego) na zapleczu jednej z warszawskich restauracji. I nigdy nie spieszyłem się do domu. Tym razem było inaczej.

Już od drzwi zaznaczyłem, że wpadłem na chwilę. I od razu przeszedłem do rzeczy. Muszę dotrzeć do Marka Wenera. Ale Matula, opatulony w wytarty, poszarzały ze starości szlafrok, który kiedyś był koloru granatowego, zachowywał się tak, jakby to do niego nie dotarło. Wyjął z szafy na ubrania napoczętą butelkę żytniej i zaczął nalewać do szklanek, tłumacząc, że wszystkie kieliszki są brudne. Byłem jednak nieugięty i dość szybko, po wypiciu zaledwie jednego czy dwu głębszych, uzyskałem

potrzebną mi informację.

Werner, rówieśnik Matuli, również został zweryfikowany negatywnie, wyleciał z radia i zatrudnił się w Kurii Biskupiej, nie bardzo wiadomo w jakim charakterze. Ale w tych dniach najłatwiej spotkać go przed sklepem meblowym Emilia. Wyrzucony z domu przez żonę, wściekłą, że nie ukorzył się przed sądem kapturowym, zakotwiczył się u kumpla i od dwóch tygodni stoi w kolejce społecznej za meblami, aby nabyć łóżko lub wersalkę, bo nie ma na czym spać.

Natychmiast udałem się na przystanek przy Młynarskiej i wyruszyłem trzynastką do domu handlowego Emilia. Tramwaj leniwie kołysał się na szynach i z całkowitą obojętnością mijał dławiące się resztkami przydziałowej benzyny brudne polonezy, polskie fiaty, wartburgi, trabanty, moskwicze, skody i łady. O tej porze, a było przed trzynastą, świętą godziną ludzi spragnionych, świecił pustką, dopiero na przystanku przy Hali Mirowskiej przyjął do wnętrza większą grupę zgarbionych staruszek, wracających z nieudanych, jak można było sądzić po markotnych minach i pustych torbach, bazarowych łowów na pozakartkową żywność.

Zaczęło padać, a strużki deszczu rozmazywały na fasadach budynków, jezdniach i chodnikach brud, który jak zawsze zostawiła zima. Często zastanawiałem się nad tym, dlaczego Warszawa w kwietniu straszy brzydota, jaka niekoniecznie jest jej udziałem latem czy zimą. Ale tego dnia nie byłem w nastroju skłaniającym do zadumy nad otaczającą rzeczywistością. Przyjąłem, że tak jest i już.

Żeby dotrzeć na miejsce, musiałem przejść kawałek Świętokrzyskiej i Emilii Plater, co w związku z brakiem parasola, o płaszczu przeciwdeszczowym nie wspominając, okazało się wyjątkowo nieprzyjemne. Brnąłem przez błotniste kałuże i zastanawiałem się, czy przy takiej pogodzie kolejkowicze rzeczywiście trwają na swoich posterunkach. Może przeczekują deszcz w którymś z pobliskich barów?

Sam zawsze unikałem kolejek jak ognia, wychodząc z założenia, że lepiej znosić wszelkie niewygodę życia, niż tkwić godzinami pod jakimś sklepem. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że w rozmowie z Wernerem nie mogę zdradzić się ze swoją arogancją. Redaktor uparcie i cierpliwie trwał przecież w ogonku po byle jaką, bo tylko takie oferował handel uspołeczniony, wersalkę. Widocznie wierzył w sens tego poświęcenia. A może tylko zabijał czas, którego od trzynastego grudnia miał tak wiele?

Od razu wypatrzyłem go w przyklejonym do szyby sklepu długim szpalerze. Werner, ubrany w czerwoną nieprzemakalną kurtkę z kapturem

i czerwone ortalionowe spodnie, wyglądał raczej na narciarza, który urwał się na chwilę, bez sprzętu spod wyciągu, niż na pokornego wychowanka PRL-u, czekającego dniami i nocami na dostawę mebli. Miał w sobie jakąś siłę, która odróżniała go od innych kolejkowiczów, zmarnowanych, zziębniętych i coraz bardziej przemoczonych.

Odciągnąłem go na bok i w krótkich słowach przypomniałem, że poznaliśmy się rok wcześniej, w sierpniu, w klubie Stoczni Północnej „Lastadia” w Gdańsku podczas Przeglądu Piosenki Prawdziwej „Zakazane Piosenki”. Ale nie było to konieczne, bo Werner rozpoznał mnie natychmiast jako faceta, który napisał śmiały i dowcipny, to jego słowa, artykuł o akademikach w Bułgarii.

– Wygląda na to, że ten nieszczęsny tekst stał się rodzajem orderu, który powinienem obnosić z dumą na wyprężonej piersi – powiedziałem z ironią.

Werner, któremu kilkudniowy zarost i ogorzała od przebywania godzinami na wietrze cera przydały lat, pozostawił tę uwagę bez komentarza. Bardzo się ucieszył, że ktoś chce z nim pogadać. Nie krył, że stanie w kolejce okazało się o wiele bardziej uciążliwe, niż sądził, zwłaszcza że nieprzyjazna aura nie sprzyja lekturze dzieł filozofów, na co liczył (pod pachą trzymał sfatygowany tom *Dialogów* Seneki oraz drugą książkę, której tytułu nie udało mi się odczytać). Ale wyjaśnił też, że nie musi, na szczęście, tkwić na posterunku bez przerwy. Obowiązują ośmiogodzinne dyżury. Pozostałą część doby można spędzać w domu, pod warunkiem że co cztery godziny, także w nocy, wpadnie się podpisać listę obecności.

Mój rozmówca doskonale pamiętał spotkanie z Anną Eckart, mógł się też podzielić sporą wiedzą na temat pisarki, bo jak wyjaśnił, rzetelnie przygotował się do rozmowy z nią przed mikrofonem. A interesował się Eckart również później. I co bardzo mnie zaskoczyło, informacja o jej zniknięciu nie była dla niego niczym nowym.

– Czytałem notatkę na ten temat w „Newsweeku” – wyjaśnił. – Zaglądam czasem na Piękną, do biblioteki Ambasady Amerykańskiej, żeby trzymać rękę na pulsie. Przed budynkiem krążą co prawda mundurowi i odstraszą chętnych jak tylko potrafią, ale mam to gdzieś. Co mi mogą zrobić? Z roboty mnie wywalili, dali papier, że jestem niezdolny do służby w jednostce zmilitaryzowanej. To co? Zamkną mnie? Niech mi skoczą!

Zdjął czapkę i podrapał się po głowie. Mojej uwadze nie umknęło, że posiwiął od czasu, gdy widzieliśmy się w Gdańsku.

– Dziwna sprawa z tą Eckart – przyznał. Zawahał się i szeptem wysyczał: – Widzi pan gościa w granatowej kurtce? Za babką w białym płaszczu? Trzy

razy nie przyszedł na sprawdzanie listy. A nadal stoi. Musi, że ubek.

Przyjrzałem się mężczyźnie w granatowej kurtce, ale nic nie wskazywało na to, by interesował się naszą rozmową.

– W „Newsweeku” napisali – Werner kontynuował zniżonym głosem – że Eckart zniknęła trzynastego grudnia w Warszawie. Jeśli dobrze zrozumiałem, ich zdaniem była opozycjonistką i wmieszała się w polskie sprawy. Z czego by wynikało, że została zatrzymana przez nasze służby. Ale na końcu dodano, że gnije w ernerdowskim więzieniu. Prawdopodobnie. Czyżby nasi przekazali ją Niemcom?

Jeśli siedzi, moje poszukiwania nie mają sensu, pomyślałem. I jednocześnie zadałem sobie pytanie, dlaczego Krysia w ogóle o tej wersji zdarzeń nie wspomniała. Nie znała jej? Mało prawdopodobne. Nawet jeśli nie powiadomiono jej o tym oficjalnie, w Berlinie ma przecież możliwość oglądania telewizji zachodniemieckiej. I jeśli pisał o czymś „Newsweek”, na pewno informowały o tym także media w Republice Federalnej. Bardziej prawdopodobne, że zetknęła się z plotkami o uwięzieniu teściowej, ale nie dała im wiary. Może rzeczywiście były to wymysły amerykańskiego dziennikarza?

Werner spojrzał w przejaśniające się niebo, westchnął i przyznał, że nie bardzo wie, co o tym wszystkim sądzić.

– Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby Eckart opowiedziała się przeciwko komunie. Do Warszawy przysłali ją właśnie dlatego, że zawsze była ulubienicą władz. Organizatorzy chcieli podobno zaprosić kogoś innego. Volkera Brauna, autora *Unvollendete Geschichte*. Pewnie pan nie zna, bo nie było polskiego przekładu. Znakomita książka. Historia młodej pary rozdzielonej przez Stasi. W NRD opublikowali ją, żeby pokazać, jacy są tolerancyjni, ale w humorystycznie małym nakładzie. Szczerze mówiąc, nie zdziwiło mnie, że strona ernerdowska nie dopuściła do przyjazdu Brauna. Byłem właściwie pewien, że jego miejsce zajmie ktoś taki jak Eckart. Hołubiony i nagradzany przez ekipę Honeckera.

Zapytałem, czy polscy organizatorzy konferencji nie protestowali przeciwko zmianie.

– Tak naprawdę to nie mieli nic do gadania. Myślę zresztą, że w ogóle nie wierzyli w przyjazd Brauna. A Eckart... To nie był zły wybór. Chociaż... Podobno obawiano się, że ktoś wypomni jej felieton, który napisała po meczu Polska–NRD w Lipsku. Pamięta pan? Przedostatni nasz mecz podczas eliminacji do mistrzostw świata. W październiku.

– Wygraliśmy trzy do dwóch – przypomniałem. – Mogła nam chyba tylko

pogratulować zwycięstwa. I pierwszego miejsca w grupie. O ile pamiętam, już wtedy było wiadomo, że wyjazd do Hiszpanii mamy w kieszeni.

– A jednak felieton był bardzo niezyczliwy – upierał się Werner. Nadal mówił cicho, pochylając się w moją stronę, jakby się spowiadał. – Dla ekipy Piechniczka i dla Polaków w ogóle. Padł w nim na przykład zarzut, że nasi chłopcy po pierwszych dwóch bramkach Smolarka i Szarmacha, a przed golem... Wie pan...

– Schnuphasego – przypomniałem. – Z karnego.

– Właśnie. No więc grali jej zdaniem na czas. Ślamazarnie. Nieudolnie. Ale najgorsza była sugestia, że sędzia wyraźnie nam sprzyjał.

– Castillo? Bzdury! – Oburzyłem się.

– Oczywiście że bzdury – zgodził się Werner. – Dziwny tekst, pełen niechęci do Polski i Polaków. A dziwniejszy tym bardziej, że Eckart nie komentowała nigdy wydarzeń sportowych. Chociaż piłką się chyba interesuje. W jej powieści, nie pamiętam której, natknąłem się na postać Ernesta Wilimowskiego. Słyszał pan o nim? Przedwojenny reprezentant Polski. Ślązak. W trzydziestym dziewiątym podpisał folkslistę i najpierw strzelał bramki dla Trzeciej Rzeszy, a później dla RFN. U nas uznano go za zdrajcę, ale w Niemczech, także w NRD, jest legendą.

– I co? Ktoś wytknął Annie Eckart antypolski felieton? – zainteresowałem się.

– Nikt się nie odważył. Ja też nie. Zresztą były ciekawsze tematy. Czytał pan *Intermezzo*? Ostatnia powieść Eckart. Dobra. O fikcyjnym kompozytorze, wmieszanym w różne intrygi w dziewiętnastowiecznej Europie. Główny temat to wolność artystyczna, swoboda wypowiedzi. I o tym Eckart mówiła podczas sympozjum. A także w wywiadzie, który z nią zrobiłem. Chociaż próbowałem skierować rozmowę w innym kierunku. Otóż w książce jest wątek polski. Bohater poznaje Chopina, wykrada mu rękopis preludium wykonanego podczas prywatnej uroczystości i... No, przypisuje kawałek sobie. Chopin oczywiście protestuje, ale nie potrafi udowodnić, że to on jest twórcą. Historyjka mało prawdopodobna, ale Eckart potrafiła ją uwiarygodnić. Zacytowała nawet pierwsze takty wymyślonego przez siebie preludium. Po ukazaniu się anglojęzycznego wydania książki było o tym głośno. Nie słyszał pan? Wywiązała się ciekawa dyskusja. Amerykański muzykolog, którego nazwiska nie pamiętam, stwierdził, że cytowany wstęp mógł stworzyć tylko Chopin. Odpowiedział mu profesor Czupurny z Akademii Muzycznej w Warszawie. Właściwie go wykpił, ale nawet on przyznał, że melodia nosi chopinowskie piętno. Cały ten zgiełk przysłużył się oczywiście

książce. Pojawiły się kolejne tłumaczenia. I chociaż *Intermezzo* poza NRD i Związkiem Radzieckim nie odniosło sukcesu komercyjnego, miało wszędzie niezłą prasę. Nie dziwiłem się więc, że wizyta autorki w Warszawie spotkała się z zainteresowaniem. I że Eckart zachowywała się u nas niemal jak gwiazda. Wie pan...

Werner skrzywił się na znak niechęci do pisarki.

– Była naprawdę wyniosła – kontynuował. – Właściwie ignorowała moje pytania. Mówiła tylko to, co chciała powiedzieć. Jakby wygłaszała napisaną wcześniej mowę. Jeśli mam być szczery, wkurzała mnie. Ale tak naprawdę cieszyłem się, że mam ją w studiu. Gwiazda to gwiazda, wie pan. No, ale nawet nie zrobiłem z tego audycji. Miałem się do tego zabrać po trzynastym. I już mnie do radia nie wpuścili. Nie wiem nawet, czy taśma z wywiadem jeszcze tam jest, czy może mundurowi, którzy siedzą na Myśliwieckiej, nagrali na nią własne wygłupy.

Zdziwiłem się, że nie zrobił sobie kopii, ale zareagował na moją nieprzemyślaną uwagę nerwowo.

– Gdybym wiedział, co się wydarzy trzynastego, prawdopodobnie wiele swoich dźwięków bym skopiował. A tak pewnie wszystko przepadło...

Jego twarz przybrała markotny wyraz. Ale nagle rozjaśnił ją uśmiech.

– Czytał pan to? – Podał mi prawie nową książkę, którą ścisnął pod pachą wraz z *Dialogami*. Rzuciłem okiem na okładkową ilustrację, przedstawiającą króla w za dużej koronie, i tytuł: *Baśnie*. Autorką była Anna Eckart.

– Kupiłem tydzień temu w antykwariacie na placu Trzech Krzyży i już przeczytałem – wyjaśnił. – Mogę pożyczyć. Niby dla dzieci, ale... Niezłe. Nie wiedziałem wcześniej, że coś takiego napisała.

Nie bardzo miałem ochotę na lekturę bajek Anny Eckart, ale sięgnąłem po ładnie wydany tom, gdy nagle ktoś wrzasnął, że zaczyna się sprawdzanie listy obecności. W kolejce zawrzało. Werner rzucił, że musi lecieć, i zniknął w tłumie.

Zastanawiałem się przez moment, czy poruszyłem wszystkie interesujące mnie kwestie, ale nie chciało mi się czekać na moment, kiedy mój rozmówca znowu będzie wolny. I szybko się stamtąd oddaliłem.

Skierowałem się w stronę przystanku tramwajowego, z którego przyszedłem, ale po kilku krokach zawróciłem. Stwierdziłem, że skoro jestem w centrum, zajrzę jeszcze do hotelu Forum. Zwłaszcza że przestało padać, a zza chmur wyjrzało słońce. Nie liczyłem na to, że dowiem się czegoś nowego, ale chciałem mieć poczucie, że zrobiłem wszystko, by wyjaśnić sprawę.

Przed wejściem do Forum stało dwóch wojaków w wymiętoszonych mundurach polowych. Bardzo mnie to zdziwiło. Przed hotelem Warszawa nie było żadnych posterunków.

Chciałem wyminąć żołnierzy, ale wyższy, lepiej zbudowany, zagroził mi drogę i poprosił o dokumenty. Niższy stał z boku i gapił się bezmyślnie w dal. Wyjąłem z kieszeni dowód osobisty. Wyższy zaczął go powoli przeglądać. Przewracał kartka po kartce, a kiedy dochodził do końca, cofał się do początku i zaczynał raz jeszcze. Można było odnieść wrażenie, że uczy się zawartych w dokumencie danych na pamięć. Czasami obracał go w prawo lub w lewo, aby przestudiować treść pieczęci rozsianych po kolejnych stronach. Wreszcie, po kilku ciągnących się nieskończoność minutach, zapytał:

– A obywatel właściwie do kogo?

Zastanawiałem się, co powiedzieć. Mógłbym zmyślić jakieś nazwisko, ale nie miałem pewności, czy żołnierze nie są w stanie sprawdzić, kto mieszka w hotelu. Powiedziałem więc, że idę do baru, chociaż nie wiedziałem nawet, czy bar jest czynny.

– Aaaa, do baru...

Żołnierz z ociąganiem oddał mi dowód. Chyba nie był przygotowany na taką odpowiedź. Spojrzał jeszcze na kolegę, jakby chciał się upewnić, czy postąpił słusznie, ale ten nadal nie wydawał się zainteresowany moją osobą.

W holu panował dziwny spokój. Stan wojenny właściwie wykluczał turystykę. I pewnie niewiele osób mieszkało w hotelu. W barze dwie wyzywająco ubrane młode kobiety, prawdopodobnie prostytutki, rozmawiały z długowłosym młodzieńcem w pstrokatej koszuli i poszarpanych dżinsach, być może jednym z muzyków rockowych, których namnożyło się w kraju w tym czasie. W kiosku starszy mężczyzna z siwą brodą przeglądał angielski dziennik komunistyczny „Morning Star”. Kwaciarnia świeciła pustkami.

Skierowałem się do recepcji. Za ladą klóciły się dwie urzędniczki, ubrane w jednakowe bordowe mundurki i uczesane tak samo, w koczek, z małymi loczkami opadającymi na czoło. Z bliska okazało się, że są w różnym wieku – można by uznać, że to matka i córka. Wyjąłem z kieszeni jedno ze zdjęć Anny Eckart, położyłem przed nimi i wyjaśniłem, że szukam znajomej, która mieszkała w hotelu w grudniu, a potem wszelki słuch po niej zaginął.

– Nie jesteśmy upoważnione do udzielania informacji na temat gości – burknęła opryskliwie starsza z kobiet. – A poza tym tą sprawą zajmuje się milicja. Proszę się zwrócić do nich. My powiedziałyśmy wszystko oficerowi prowadzącemu śledztwo i nie mamy nic do dodania.



Zapewniłem ją, że jestem w kontakcie z milicją. A na potwierdzenie dodałem, że wiem dokładnie, kiedy Anna Eckart się wymeldowała – trzynastego grudnia o dziewiętej dwadzieścia siedem. Zabrzmiało to przekonująco, w każdym razie starsza kobieta spojrzała na mnie trochę bardziej przychylnym wzrokiem.

– No tak, ale ja tej pani właściwie nie pamiętam – dodała. – Zresztą w grudniu chorowałam, rzadko bywałam w pracy.

– A pani? – zwróciłem się do młodszej. Ta zrobiła się pąsowa.

– Ja nic nie wiem. Wtedy dyżur miał Rączyński.

– Wtedy, czyli trzynastego rano? – Chciałem uściślić uzyskaną informację.

– Tak, trzynastego – przytaknęła.

– Ale jak już panu powiedziałam, nie możemy o tym rozmawiać – wtrąciła druga, strzepując mały pyłek z nieskazitelnie czystego mundurka.

Było jasne, że niczego więcej się nie dowiem. Powinienem raczej dotrzeć do człowieka, o którym wspomniała młodsza.

Chciałem już udać się do domu, ale przez okno zobaczyłem, że znowu zaczęło padać.

Aby choć trochę odsunąć w czasie moment wyjścia z hotelu, postanowiłem opróżnić pęcherz. W głębi lśniącej czystością, przestronnej toalety stał boy hotelowy i palił papierosa. Popiół strząsał do umywalki. Miał jakieś dwadzieścia lat i pewnie wierzył, że praca, którą wykonuje, to tylko zajęcie przejściowe, a prędzej czy później życie wyznaczy mu bardziej doniosłe zadanie. Robił wszystko, aby wyglądać poważnie, ale żałosny, rzadki wąsik i widoczne na twarzy ślady po trądziku nieuchronnie ujawniały, że ciągle jest młokosem. Może z nim pójdzie łatwiej, pomyślałem. Wyjąłem zdjęcie Anny Eckart i bez zbędnych wstępów zapytałem młodziana, czy pamięta takiego gościa.

– Pewnie, że tak – powiedział bez wahania. I natychmiast dodał, że dobrze pamięta „tę sukę”, ale zaraz się zreflektował i zaczął przeproszać, że obraża moją znajomą. Czuł się też zobowiązany wyjaśnić, skąd jego niechęć do kobiety z fotografii.

– Zaniósłem jej torbę do pokoju. Nie wiem, co tam miała. Ale ledwie ją dotargałem. I wie pan co? Nie dała mi ani grosza. Wyjęła co prawda portmonetkę, pogrzebała w niej i schowała z powrotem do torebki. Jakby chciała mnie wkurwić. A kiedy wychodziłem, zaklęła pod nosem i dodała głośno, tak żebym usłyszał: „Darmozjady!”.

– Po niemiecku – stwierdziłem raczej, niż zapytałem.

– Po polsku! Zaklęła po niemiecku, a potem dodała po polsku:

„Darmozjady!”.

– To niemożliwe. Nie zna polskiego.

– Pan wie swoje, ja swoje. Powiedziała po polsku: „Darmozjady!”.

Trudno mi było uwierzyć w opowieść boya. Kobieta mogła przecież bąknąć coś po niemiecku, co jedynie zabrzmiało jak „darmozjady”. Albo widziała gdzieś na murze hasło „Darmozjady z ZOMO do roboty!” i zapamiętała pierwsze słowo. Chociaż wydało mi się mało prawdopodobne, by potrafiła je wymówić.

Zniechęcony zapytałem, czy chłopak opowiedział tę historię milicji.

– Milicji? Skąd! Zresztą nie mieli zdjęcia, podali tylko jakieś nazwisko. A ja przecież nie znam gości z nazwisk. Nie miałem pojęcia, o kogo chodzi. Dopiero kiedy pan pokazał mi fotkę, skojarzyłem, że to...

Znowu ugryzł się w język. I dodał:

– No wie pan, że tą zaginioną jest babka, która nie dała mi napiwku. Oczywiście często się zdarza, że człowiek targa bagaże za frajer. Ale tę panią zapamiętałem lepiej niż innych. „Darmozjady!”. Słyszę to do dziś. No, ale później już jej nie spotkałem.

Przypomniałem sobie jeszcze o Rączyńskim. Miałem nadzieję, że chłopak będzie wiedział, kiedy recepcjonista ma dyżur. Odpowiedź mnie zaskoczyła.

– Rączyński nie żyje! Popełnił samobójstwo. W końcu grudnia czy na początku stycznia. Fajny gość, nie to co te dwie suki, które pracują dzisiaj. Ale miał jakieś problemy. Wpadł w długi, żona go zostawiła. A potem stan wojenny... Wyskoczył z siódmego piętra. Tak słyszałem. Nie byłem na pogrzebie, bo miałem wtedy wolne i pojechałem do dziewczyny. Podobno prawie nikt z pracowników nie był. Dyrekcja też nie. Wie pan, jak jest. Tak naprawdę mają nas w dupie. Ale ja też mam ich w dupie.

Chłopak zgasił papierosa o brzeg umywalki, wrzucił niedopałek do pisuaru, skinął głową na pożegnanie i wyszedł z toalety.

Okazało się więc, że z Rączyńskim już nie pogadam.

Oddałem mocz, umyłem ręce i wróciłem do holu, ale ponieważ nadal padało, zajrzałem do kiosku, żeby przekartkować gazetę. Pomyślałem, że skoro jestem w centrum, mógłbym obejrzeć jakiś film. Otworzyłem „Życie Warszawy” na stronie z programem kin, ale nie znalazłem nic dla siebie. Nie bardzo wiedziałem, czego się spodziewać po *Vabanku*, granym w Atlantycu i Moskwie, a na obrazy radzieckie, enerdowskie i bułgarskie nie miałem ochoty. Odłożyłem gazetę na miejsce, żeby nie denerwować sprzedawcy, który cały czas przyglądał mi się badawczo, i zdecydowałem się sprawdzić, czy on pamięta Annę Eckart. Sięgnąłem po zdjęcie zaginionej. Zanim

zdążyłem się odezwać, facet zaklął pod nosem, pokiwał głową i zapytał:

– To pana znajoma?!

Nie ulegało wątpliwości, że się z nią zetknął. Poprosiłem, by mi o tym opowiedział.

– Weszła, to było trzynastego grudnia, wie pan, dzień wprowadzenia stanu wojennego, zaraz po otwarciu kiosku, o dziewiątej z minutami, i zapytała, czy mam mapę Polski – zaczął. – Powiedziałem, że owszem. Wyjąłem, rozłożyłem na ladzie. Zaczęła oglądać, a w pewnej chwili sięgnęła na półkę po flamastry, o tam. Rozpieczętowała, wyciągnęła czerwony i coś zaznaczyła. Byłem przekonany, że chce tę mapę kupić. A jeśli tak, niech sobie maże. Tymczasem... No, nie uwierzy pan! Wrzuciła flamaster do torebki i wyszła. Po prostu. Myślałem, że mnie szlag trafi! Mapa, której już nie sprzedam, to dwadzieścia złotych, komplet flamastrów, którego nie sprzedam, bo jednego brakuje – piętnaście. Dlaczego, do cholery, mam płacić prawie cztery dychy z własnej kieszeni?

Zdziwiło mnie, że nie pobiegł za kobietą i nie domagał się, by zapłaciła. Ale zapytałem tylko, czy ma jeszcze tę pomazaną mapę, bo chętnie bym ją kupił – razem z niekompletnym zestawem flamastrów.

Okazało się, że mapa leży od grudnia pod ladą. Kioskarz ucieszył się, że się jej pozbędzie i odzyska stracone, jak sądził, pieniądze. Dopiero kiedy zapłaciłem, rozłożył płachtę na ladzie. Od razu zauważyłem narysowane grubym czerwonym flamastrem kółko. Wskazywało małą miejscowość na zachodzie kraju. „Stary Krzyż”, przeczytałem na głos. Czyżbym trafił na ślad, który doprowadzi mnie do zaginionej?, pomyślałem podekscytowany. I zapytałem jeszcze, czy sprzedawca pokazywał mapę milicji.

– Milicji? – Zdziwił się.

– Nie przesłuchiwali pana w związku z zaginięciem w grudniu kobiety, która mieszkała w hotelu?

– To ta babka, która zaginęła? – Zdziwił się jeszcze bardziej. I dodał: – Nie miałem pojęcia, że o nią chodzi.

Wyglądało na to, że udało mi się przechytrzyć śledczych. Wsunąłem otwartą na Starym Krzyżu mapę między strony *Baśni* Anny Eckart i skierowałem się do wyjścia z hotelu. Ale w tej samej chwili przy jednym ze stolików w głębi holu zauważyłem zezowatego mężczyznę w szarym garniturze. Tego samego, którego widziałem w barze hotelu Warszawa.

Nieznajomy, rozparty na szerokim, obitym materiałem skóropodobnym fotelu, pił tak jak dzień wcześniej kawę. Robił to powoli, celebrując każde uniesienie małej filiżanki do ust, delektując się każdym łykiem. Z daleka nie

potrafiłem stwierdzić, czy patrzy na mnie, i przez moment karmiłem się nadzieją, że nie zostałem zauważony. Kiedy jednak chciałem się odwrócić i ruszyć do drzwi, mężczyzna lekko skinął w moją stronę głową, co oznaczało jedno. Było to zaproszenie, czy raczej wezwanie. Rozkaz bez słów.

Poczułem, że nogi mam jak z waty, chociaż nie bardzo wiedziałem, dlaczego aż tak bardzo się boję. Kiedy skierowałem się w stronę nieznanego, przez mózg przemknęła mi myśl, że może tylko wyobraziłem sobie jego przywołujące skiniecie głową. To szaleństwo, pomyślałem. I już chciałem minąć faceta, kiedy usłyszałem słowa skierowane bez wątpienia do mnie, bo nikogo innego nie było w pobliżu.

– Pyszna kawa. Najlepsza w Warszawie. Ten aromat! Ten cudowny cynamonowy posmak! Chce pan spróbować? Zamówię panu...

Grzecznie odmówiłem.

– Proszę usiąść – warknął tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Niech pan nie sterczy tak nade mną, do cholery!

Wskazał mi miejsce obok siebie, ale wybrałem inne, trochę dalej, umożliwiające obserwację jego twarzy, chociaż rozbiegane oczy i tak uniemożliwiały wyczytanie z niej czegokolwiek.

– Przecież ja pana nie znam – zauważyłem bez przekonania.

– Ale my pana znamy! – uciął krótko, a jego słowa nie pozostawiały wątpliwości, kim jest.

Zastanawiałem się, gdzie schować *Baśnie* Anny Eckart ze wsuniętą między strony mapą, wskazującą odkryty przeze mnie trop. Książka była jednak tak duża, że nie bardzo miałem pomysł, jak ją ukryć i po prostu położyłem na stoliku przed sobą.

– Przyglądam ci się, synu, od wczoraj i nie mogę wyjść z podziwu... – Szary Garnitur uznał widocznie, że poskromił mnie na tyle, iż ma prawo zwracać się do mnie na ty, ba, może kontynuować rozmowę z pozycji zatroskanego ojczulka. Z cichym siorbnięciem pociągnął kolejny łyk ulubionego napoju i dopiero po chwili powrócił do przerwanej myśli.

– Zachodzę w głowę, jakim cudem udało ci się namówić Kristinę Eckart na wywiad. Wiem, że dziś rano rozmawiała z Ziębą z „Filmu”. No ale to było spotkanie umówione dwa tygodnie wcześniej, od dawna o nim wiedzieliśmy. Poza tym odbyło się w Ośrodku Kultury NRD, gdzie można nad wszystkim zapanować. Nie dopuścić, by wywiad wymknął się spod kontroli i wykroczył poza temat filmowej kariery pani Eckart. Nie mówiąc o tym, że Zięba dostał od pani Eckart piętnaście minut. A ty, synu, pojawiłeś się znikąd i co? Spotykasz się z Kristiną Eckart w przytulnym barze, gadacie z godzinę, może

dłużej, Bóg jeden wie o czym... Znaczy nietrudno się domyślić o czym. Raczej nie o filmie, prawda? Bo gdybyście gadali o filmie, nie spotkałbym cię tu dzisiaj. Mam rację? I nie przyłapałbym cię na rozpytywaniu w recepcji o Annę Eckart z jej książką pod pachą!

Facet pochylił się w moją stronę, sięgnął po gruby tom, uniósł do góry i z całej siły trzasnął nim o stół. Mapa wysunęła się na tyle, że naszym oczom ukazała się część czerwonego kółka otaczającego Stary Krzyż.

– Powiedz mi tylko, chłopcze, gdzie ty chcesz ten swój artykuł opublikować? – Szary Garnitur przechylił lekko głowę, jakby przyglądał się maźnięciu flamastrem na mapie. – Przecież nie w kraju. Nikt ci go nie wydrukuje. Na Zachodzie? I co, będziesz cytował Kristinę Eckart? Nie wierzę, żeby się zgodziła. Władzom NRD, tak jak naszym, nie zależy na nagłaśnianiu zaginięcia Anny Eckart. Przynajmniej na razie. Jak będziemy wiedzieli coś więcej... No, zobaczymy...

Chociaż wcześniej obiecywałem sobie w myślach, że nie będę się z niczego tłumaczył, zacząłem gorączkowo wyjaśniać, że nie mam zamiaru niczego nagłaśniać. Chcę tylko pomóc przyjaciółce.

– Mam wrażenie – zacząłem trochę niepewnie – że doszło do nieporozumienia. Nie zbieram materiałów do artykułu. Nie robiłem też wywiadu. Spotkaliśmy się przypadkiem. Znajomość ze studiów. Pogadaliśmy... To prawda, Krystyna opowiedziała mi o zaginięciu teściowej. I poprosiła, bym się rozejrzał, popytał. Bo od polskich władz ona i jej mąż nie dowiedzieli się niczego. A minęły już przecież cztery miesiące.

– Mam w to uwierzyć? – Szary Garnitur poczerwieniał i znowu podniósł głos. Ponownie pochylił się w moją stronę i wyciągnął rękę w stronę *Baśni*. Byłem pewien, że sięga po mapę, ale jego dłoń zawisła w powietrzu.

– Naprawdę mam uwierzyć, że Kristina Eckart jest twoją koleżanką ze studiów? A może jeszcze powiesz, że była twoją dziewczyną? Nie rozśmieszaj mnie!

Znowu złapał książkę i w tej samej chwili odrzucił niedbale. Mapa wysunęła się jeszcze bardziej. Najchętniej pchnąłbym ją palcem głębiej, ale bałem się, że zwrócę na nią uwagę.

– Chłopcze, wiesz, ile razy widziałem *Nagą kobietę na stadionie*? – kontynuował. – Strzelaj! Nie chcesz? To ci powiem. Siedem. Siedem razy! Siedem razy poszedłem na nudny enerdowski film tylko po to, żeby zobaczyć, jak Kristina Eckart zrzuca z siebie białe futro. I pokazuje się nago! Oczywiście widziałeś ten film?

Nie spuszczać wzroku z mapy, która w każdej chwili mogła

zainteresować mężczyznę, zastanawiałem się, czy powinienem się przyznać, że nie tylko nie widziałem filmu, ale też nigdy o nim nie słyszałem. Nie udało mi się jednak odezwać, bo Szary Garnitur nie miał zamiaru dopuścić mnie do słowa. Tak się roznamiętnił swoją opowieścią, że chyba na moment zapomniał, z kim dyskutuje i jaki cel ma rozmowa.

– Chłopcze, nigdy nie widziałem piękniejszego ciała! Ta kobieta to bogini! Bo-gi-ni!

Zaschło mu chyba w gardle, bo sięgnął po filizankę, ale była już pusta. Chwila przerwy w rozmowie pozwoliła mu ochłonąć.

– Tak, wiem, że studiowaliście na jednej uczelni – stwierdził spokojniejszym tonem, ale tym samym, chrapliwym, nieprzyjemnym głosem. – Myślałeś, że nie sprawdziłem? Szkoła Główna Planowania i Statystyki. Ale wydziały różne. I co ważniejsze: ty uzyskałeś dyplom kilka lat później. Mogliście oczywiście wpaść na siebie. Ale nie wmówisz mi, że najpiękniejsza kobieta Europy Wschodniej... Przecież byłeś dla niej główniarzem!

– A jednak poznaliśmy się podczas studiów – upierałem się.

Mężczyzna, zezując w prawo i w lewo, wyjął z paczki leżącej na stoliku papierosa, zapalił i zaciągnął się głęboko. Przez chwilę milczał.

– W takim razie, kurwa, jest nawet gorzej, niż myślałem! – warknął. – Sądziłem, że zbierasz materiały do artykułu, który i tak nigdy i nigdzie by się nie ukazał. A ty się bawisz w prywatnego detektywa!

Sięgnął po zapalniczkę, którą chwilę wcześniej odłożył, i zaczął nerwowo obracać ją w palcach, a w pewnej chwili ścisnął z całej siły w dłoni. Miałem wrażenie, że miażdży mnie wraz z moim żalonym śledztwem.

– I co, myślisz, że tylko ty zostałeś zaproszony na przyjęcie? – syknął z nienawiścią i pogardą w głosie. – Chyba nie jesteś aż tak naiwny! Chociaż kto cię wie? Otóż dowiedz się, że nie ma przyjęcia bez tłumy. A czy sprawa zaginięcia Anny Eckart potrzebuje tłumy amatorów, który zdeptuje ślady i robi mnóstwo hałasu? Chyba nie muszę ci mówić, że poszukiwania kogoś takiego jak znana niemiecka pisarka, która zniknęła... No, wiadomo kiedy... Wymagają niesłychanej ostrożności. Białych rękawiczek. Stąpania na palcach. A nie fanfar!

Nie bardzo wiedziałem, o czym mówi. Czyżby Krystyna poprosiła o pomoc w poszukiwaniach jeszcze kogoś?

– Dobrze ci radzę, zapomnij o tej sprawie. – Szary Garnitur odłożył zapalniczkę. Po raz kolejny wyciągnął rękę w stronę książki. Sięgnie po mapę? Pulchna dłoń znowu zawisła na moment w powietrzu. – Zapewniam

cię, że zajmują się tym... No, najlepsi z najlepszych. I znajdą ją. Zawsze znajdują. A twoje żalosne poszukiwania na pewno im nie pomogą. Najlepiej zresztą, gdybyś wyjechał na kilka tygodni. Żebym nie musiał się martwić. O ciebie, o twoich bliskich...

Mężczyzna próbował wzmocnić wagę swoich słów groźnym spojrzeniem, a do mnie dotarło, jak bardzo jest podobny do docenta Siary, który egzaminował mnie z ekonomii politycznej socjalizmu. Pierwsze podejście z góry było skazane na niepowodzenie. Siara, który kilka tygodni wcześniej poślubił dziewczynę z mojego roku, wszystkim znajomym małżonki postawił piątki. A pozostałych musiał potraktować mniej życzliwie. Dla równowagi. W rezultacie zostałem wraz z kilkoma innymi kolegami wytypowany do odstrzału, co specjalnie mnie nie zdziwiło, mimo że przedmiot opanowałem nieźle i moje odpowiedzi zasługiwały co najmniej na urzędową trójcę. Zupełnie nie mogłem natomiast pojąć porażki w drugim podejściu. Przygotowałem się jeszcze lepiej, tymczasem docent bez słowa wyjaśnienia wpisał mi do indeksu dwóję (zdałem dopiero za trzecim razem). Zdziwiła mnie ta perfidia, bo udowodnić niczego już chyba nie musiał, ale kombinacja zeza rozbieżnego ze złowieszczym uśmiechem uniemożliwiła odczytanie czegokolwiek z jego twarzy.

Tak samo bezradny i zdezorientowany czułem się w towarzystwie ubeka w szarym garniturze. A jednak ośmieliłem się wydusić z siebie pytanie, które chyba nie powinno było paść.

– Grozi mi pan?

– Ja? Skąd! – zaprzeczył. – Dlaczego miałbym ci grozić, synu? Ja tylko myślę, że najlepiej dla ciebie będzie, jeśli zaraz po Wielkiej Nocy wsiądziesz do pociągu i znikniesz. Na jakiś czas. Bo jeśli znowu wpadnę na ciebie i dowiem się, że pakujesz nos w sprawy, które cię przerastają...

Chociaż facet mi groził, w jego rozbieganym spojrzeniu było coś rozbijającego. Może dlatego na mojej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

– Co cię tak, kurwa, bawi? – przywołał mnie do porządku. – Powiedziałem coś śmiesznego?

Miałem wrażenie, że znowu zainteresował się *Baśniami* i wsuniętą w nie mapą. Aby odwrócić jego uwagę od książki, stwierdziłem, że nie mogę nigdzie wyjechać, bo nie mam wymaganego podczas trwania stanu wojennego pozwolenia na poruszanie się po kraju. Okazało się, że jest na to przygotowany. Sięgnął po brązową teczkę stojącą obok stolika, wyjął z niej dość gruby segregator, położył na stoliku przed sobą, otworzył i wydobył jakiś świstek. Rzuciłem okiem na inne dokumenty, składające się na obszerne

dossier, i zrobiło mi się słabo. Była tam kserokopia mojego dyplomu, spod niej wystawała kserokopia mojego podania o urlop bezpłatny. Zastanawiałem się, jakie jeszcze papiery dotyczące mojej osoby udało się zgromadzić służbie bezpieczeństwa. Świadectwo urodzenia? Świadectwa szkolne? Świadectwa lekarskie? Kopie moich artykułów? Kopie listów miłosnych ode mnie i do mnie?

Mężczyzna położył świstek na *Baśniach* i skinieniem głowy dał znak, bym po niego sięgnął. Zgarnąłem go razem z książką i mapą, którą dyskretnie wsunąłem głębiej.

*Decyzja* – przeczytałem nagłówek. *Na podstawie § 2 rozporządzenia Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 12 grudnia 1981 r. w sprawie zezwolenia na zmianę miejsca pobytu w czasie obowiązywania stanu wojennego oraz zasad i trybu postępowania w tych sprawach (DZ.U. Nr. 29, poz. 184) zezwalam obywatelowi – w odpowiednie okienko ktoś wpisał długopisem moje imię i nazwisko – na zmianę miejsca pobytu z m. Warszawa do miejscowości – tu zostawił puste miejsce – w czasie od – puste miejsce – do – puste miejsce. Decyzja niniejsza jest ostateczna. Pismo podpisał z upoważnienia Prezydenta Miasta magister Adam Wleciał, a jego ważność usankcjonował pieczęcią następującej treści: „Urząd Dzielnicy Warszawa Wola. Wydział Spraw Społeczno-Administracyjnych”.*

– Zjedz z mamusią wielkanocne jajeczko. – Facet znowu był troskliwym ojczulkiem. – A potem wpisz co trzeba i zmywaj się stąd! To dobra rada. Uwierz mi.

– Czy mogę... – Chciałem zapytać, czy nic się nie stanie, jeśli wyjadę z Warszawy tydzień czy dwa po świętach, ale mężczyzna nawet nie pozwolił mi skończyć.

– To nie jest koncert życzeń! – huknął ze złością.

Intrygowało mnie, czy gość naprawdę nie ma pojęcia o tym, że trop prowadzi do Starego Krzyża. Gdyby o tym wiedział, nie ułatwiałby mi chyba wyjazdu z Warszawy?

Złożyłem podsunięty mi dokument na cztery i schowałem do kieszeni. Książkę z mapą wsunąłem pod pachę. Wstałem, kiwnąłem głową na pożegnanie i nie oglądając się za siebie, ruszyłem w stronę wyjścia.

Kiedy otwierałem już drzwi, dobiegł mnie donośny krzyk, który nadał szczególnej mocy słowom wypowiedzianym wcześniej:

– Żebym nie musiał się o ciebie martwić!



## 13 grudnia 1981, niedziela, ranek

Anna Eckart obudziła się z uczuciem, że ktoś założył jej na głowę metalową obręcz i zaczął powoli zaciskać. Znała już ten narastający, przenikliwy ból i wiedziała, że jedyne, co może zrobić, to poczekać, aż minie, bo leki, które wzięła ze sobą z Berlina, skończyły się dzień wcześniej.

Przez kwadrans czy dwa leżała w ciemnościach i dopiero gdy dolegliwości zelzały, zeszywniała podniosła się z łóżka, zapaliła lampkę nocną, owinęła się ciepłym szlafrokiem i usiadła przy stoliku.

Wzięła do ręki długopis i na papierze listowym hotelu Forum skreśliła kilka zdań, które – mimo bólu – przysły jej do głowy zaraz po przebudzeniu. Dawno już nabrała przekonania, że warto zapisywać wszystkie intrygujące, nieoczywiste myśli, które podsuwa podświadomość, bo na gorąco trudno ocenić ich wartość i znaczenie. A jednak po dwukrotnym przeczytaniu tego, co zanotowała, skrzywiła się z niesmakiem, zgmiotła kartkę i wyrzuciła do kosza.

W pierwszej chwili wydawało się, że niejasne słowa wyłowione ze snu mają w sobie moc zaklęcia, pozwalającego zmierzyć się z odrętwieniem, które spadło na nią po wizycie Henryka Kurty. Ale przeniesione na papier, ukazały całą swą marność. Bełkot, pomyślała.

Spojrzała na zegarek. Było kilka minut po piątej. Lubiła wstawać wcześniej, ale nie aż tak wcześniej. Odrzuciła szlafrok i wróciła do łóżka. Z niechęcią myślała o podróży do Alt-Kreuz. Ale czy miała inne wyjście?

Poirytowana, że nie może zasnąć, podniosła się znowu, zdjęła koszulę nocną i weszła do łazienki, żeby się umyć. Kąpiel sprawiła, że poczuła się lepiej. Powoli ubrała się i uczesała, zamknęła pokój i windą zjechała na dół.

W recepcji dyżurował starszy mężczyzna, na którego podczas pobytu w hotelu natknęła się już kilka razy. Robił wrażenie zdenerwowanego. Zagadnęła go po niemiecku o lek przeciwbólowy, ale chyba nie zrozumiał, bo powiedział po polsku coś, co nie miało związku z jej prośbą i co nie od razu do niej dotarło:

– Stan wojenny. W nocy wprowadzili stan wojenny.

Zniechęcona wróciła do pokoju. Zastanawiała się nad słowami recepcjonisty, które nadal dźwięczały w jej uszach. „Stan wojenny”? Co to niby miało znaczyć? Wszystko stało się jasne, kiedy wyjrzała przez okno i w bladym świetle brudnych latarni dojrzała na samym środku dużego ronda,

pośród hałd śniegu, znieruchomiłe masywne sylwety wozów opancerzonych.

Z początku uznała, że to siły zbrojne Układu Warszawskiego wkroczyły do Polski, aby wziąć za mordę wichrzycieli z Solidarności. Publicyści w Niemieckiej Republice Demokratycznej od dawna podkreślali, że w sierpniu osiemdziesiątego roku władze peerelowskie nie powinny były ulec wrogom ustroju, a skoro okazały słabość, obowiązkiem całego świata socjalistycznego stało się zdławienie kontrrewolucji i zażegnanie anarchii. Zwłaszcza po maju osiemdziesiątego pierwszego, kiedy – jak przeczytała w „Neues Deutschland” – Solidarność zaczęła tworzyć bojówki wzorowane na Oddziałach Szturmowych NSDAP.

Musiało minąć kilka godzin, nim przyjrzała się żołnierzom i pojazdom opancerzonym z bliska i zrozumiała, że misję przywrócenia porządku w kraju wzięło na siebie Wojsko Polskie.

– Szkoda, generale Jaruzelski, że tak późno! – mruknęła wtedy pod nosem, szukając w myślach odpowiedzi na pytanie, czy powinna się cieszyć, że obyło się bez interwencji zbrojnej z zewnątrz, prawdopodobnie skuteczniejszej, ale i bardziej brutalnej niż operacja własnej armii.

Tymczasem zastanawiała się, czy stan wojenny nie przeszkodzi jej dotrzeć do Alt-Kreuz, odnaleźć i wydobyć przedmioty ukryte przez Olafa, a potem, nie wzbudzając niczyich podejrzeń, wrócić z nimi do Berlina.

Długo krążyła po pokoju, rozcierając intensywnie skronie, a kiedy na chwilę zastygła w miejscu, uspokoiła ją myśl, że stan wojenny może się wręcz okazać ułatwieniem.

Wojna to zamęt, chaos i bałagan. A w zamęcie, chaosie i bałaganie łatwiej zrobić coś niezgodnego z ustalonym porządkiem niż w czasie spokojnym, kiedy każde zdarzenie niecodzienne, wyłamujące się z rutyny dnia powszedniego, musi zwrócić uwagę ludzi stojących na straży prawa.

Anna Eckart weszła do łazienki, sięgnęła po kosmetyczkę, wyjęła z niej krem przeciwzmarszczkowy, odkręciła pojemniczek, nabrała trochę na dłoń i powoli wtarła w skórę twarzy. Czynność ta zawsze działała na nią kojąco.

Było już wpół do ósmej, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Zapytała, kto zakłóca jej spokój. Nieoczekiwany gość zachrypniętym głosem mówił coś po niemiecku, ale ponieważ jego znajomość języka pozostawiała wiele do życzenia, nie mogła zrozumieć, o co chodzi. Po chwili wahania zdecydowała się otworzyć drzwi.

Nieuczesany, niedbale ubrany mężczyzna przedstawił się jako jeden z organizatorów sympozjum, na które została zaproszona do Warszawy, przywitał się wylewnie i wygłosił długą mowę, z której wyłowiała tylko jedną

informację, dobrze jej już znaną, o działaniach wojskowych w kraju.

Wpuściła gościa do pokoju, poprosiła, by powtórzył trochę wolniej to, co zamierzał jej przekazać, i dopiero wtedy zrozumiała, że dziennikarz telewizji ZDF, który chciał przeprowadzić z nią wywiad, na wieść o wprowadzeniu stanu wojennego zdecydował się na natychmiastowy powrót do kraju. Na szczęście dysponował własnym samochodem, bo komunikacja lotnicza i kolejowa na trasach międzynarodowych została przez polskie władze zawieszona.

– W związku z tą niedogodnością musi pani zostać u nas jeszcze kilka dni – dodał mężczyzna z głupawym uśmiechem na twarzy. – Aż sytuacja się unormuje. Oczywiście nasz instytut pokryje wszelkie koszty. – Podrapał się po głowie i dodał: – Mam nadzieję, że pokryje.

A zaraz potem wyjął z kieszeni zaświadczenie potwierdzające, że Anna Eckart jest eneradowską pisarką i przebywa w Polsce na zaproszenie rektora Uniwersytetu Warszawskiego.

– W obecnej sytuacji – zaczął niepewnie. – No, lepiej mieć przy sobie dokument wyjaśniający, kim pani jest i dlaczego przyjechała pani do Polski.

Wzięła zaświadczenie, złożyła na pół i stwierdziła, że sobie poradzi. Zapytał, czy na pewno. Na pewno. Zaproponował, że da jej trochę pieniędzy. Mruknęła, że nie ma takiej potrzeby.

Chciała jak najszybciej pozbyć się intruza. Nie słuchała powtarzanych do znudzenia przeprosin za nieoczekiwane utrudnienia. Raz czy dwa chrząknęła znacząco, ale chyba nie rozumiał, że go ponagla. I dopiero gdy zniknął za drzwiami, odetchnęła z ulgą.

Odwołanie wywiadu było jej na rękę. Postanowiła nie zwlekać z wyjazdem do Alt-Kreuz. Wierzyła, że stamtąd bez trudu dostanie się do domu. To przecież tak blisko! A poza tym nie mogą jej trzymać w tym okropnym kraju wiecznie!

Podeszła do szafy, wyrzuciła całą jej zawartość na łóżko i chociaż w pierwszej chwili zamierzała po prostu zwinąć ubrania w jeden wielki tłumok i wcisnąć do torby, po chwili namysłu zaczęła starannie składać każdą bluzkę, każdą spódnicę, każdą część garderoby tak, żeby się nie pogniotyły, i dopiero chować według wypracowanego przez lata schematu pakowania bagażu. Przypomniała sobie jeszcze o bieliźnie upchniętej do górnej szuflady szafki nocnej, dokumentach rozrzuconych koło łóżka oraz przyborach do mycia i kosmetykach ustawionych na umywalce w łazience.

Kiedy chciała już zasunąć suwak, zastygła na moment, sięgnęła do kosza na śmieci po zapisaną przez siebie kartkę, wcisnęła ją między ubrania i dopiero

wtedy zamknęła torbę.

Zrobiła sobie makijaż, narzuciła na zakiet elegancki kozuch i ponownie zjechała windą na dół. Przed wpół do dziesiątej wymeldowała się z hotelu i zapytała recepcjonistę o najbliższy ekspres do Poznania. Wyjaśnił, że według rozkładu powinien wyjechać ze stacji Warszawa Centralna o dziesiątej trzydzieści osiem, ale w związku z wprowadzeniem stanu wojennego nie wiadomo, czy w ogóle pojedzie.

Anna Eckart wierzyła w niezawodność instytucji takich jak koleje państwowe i była absolutnie przekonana, że o dziesiątej trzydzieści osiem opuści Warszawę. A ponieważ miała jeszcze trochę czasu, postanowiła poszukać lekarstwa na ból głowy, choćby zwykłej aspiryny, oraz zjeść szybkie śniadanie.

Wstąpiła do kiosku. Niestety, sprzedawca zagadnięty po niemiecku o leki rozłożył bezradnie ręce. Zapytała więc, tym razem po angielsku, o mapę Polski. Ze zdumieniem stwierdziła, że nie przypomina sobie polskiej nazwy Alt-Kreuz. Kiedy mężczyzna podał jej rozwiniętą przez siebie płachtę, położyła ją na ladzie i zaczęła szukać. Ach tak. Stary Krzyż. Jak mogła zapomnieć?! Sięgnęła na półkę po opakowanie flamastrów, wyjęła jeden i wzięła odczytaną nazwę w kółko. Stary Krzyż, powtórzyła w myślach.

Otworzyła torebkę, aby wyjąć portmonetkę i kupić mapę, ale w tej samej chwili doszła do wniosku, że to zbędny wydatek. Była pewna, że wydobyta z zasobów pamięci nazwa już z nią zostanie. Kiedy sprzedawca zaczął ustawiać coś na półce, wrzuciła odruchowo flamastr, który trzymała w dłoni, do torebki i szybkim krokiem opuściła kiosk. Wzięła bagaż, który zostawiła w holu, i skierowała się do wyjścia, a stamtąd prosto na dworzec Warszawa Centralna.

W kasie kupiła bilet, na razie tylko do Poznania, a w punkcie aptecznym leki przeciwbólowe. Wstąpiła też na dworcową pocztę. Poprosiła o widokówkę, napisała na niej po angielsku: „Zdobędę to, czego pan szuka. Odezwę się za kilka dni”, dodała swoje inicjały, skopiowała z notesu adres i przykleiła znaczek. Po chwili wahania, czy czegoś nie dodać, uznała, że nie ma takiej potrzeby, i wrzuciła kartkę do skrzynki.

Spojrzała na zegarek. Ponieważ zrobiło się późno, zdecydowała się zjeść śniadanie w wagonie restauracyjnym. Chociaż torba coraz bardziej jej ciążyła, ruszyła szybkim krokiem na peron. Ponieważ wszystkie wagony były niemal puste, wsiadła do pierwszego z brzegu. Weszła do jednego z przedziałów, postawiła bagaż na podłodze, zdjęła kozuch i zajęła miejsce przy oknie. Kiedy pociąg ruszył, z ulgą pomyślała, że opuszcza miasto, które

zrobiło na niej tak niekorzystne wrażenie. Dopiero po chwili zorientowała się, że zamiast do Poznania jedzie na wschód.

Część 2  
Zamień na kamień łzy...

13 kwietnia 1982, wtorek

Od razu poznałem miejsce, w którym się znalazłem. Chociaż miejskie targowisko, które miałem przed sobą, zniknęło z planu miasta jeszcze przed drugą wojną światową, nie ulegało wątpliwości, że jestem na placu Trzech Krzyży.

Moją uwagę przykuli zachwalający głośno swoje usługi szatkownicy kapusty. Zwłaszcza jeden, zezowaty, przypominający faceta w szarym garniturze i dający mi jakieś znaki. Próbowałem odczytać jego gesty, gdy nagle oparta o ogrodzenie ogromna deska szatkownicza, zakończona tarczą przypominającą ludzką głowę, zaczęła się powiększać niczym nadmuchiwany balon, aż w końcu przyjęła postać gilotyny, takiej samej, jaką można zobaczyć na rycinach z okresu rewolucji francuskiej.

Rzuciłem się do ucieczki – byle dalej od szatkownika o twarzy mężczyzny w szarym garniturze i jego narzędzia śmierci. W pierwszej chwili chciałem zanurzyć się w gąszczu ciasnych, zabłoconych alejek targowiska, ale zniechęcił mnie gęsty tłum kupujących warzywa, owoce, suszone grzyby, orzechy włoskie, mleko, zawinięte w liście chrzanu masło w gomółkach, jaja, pieczywo, żywy drób i ryby.

Postanowiłem schronić się w redakcji „Szpilek”, gdzie miałem znajomych i czasem wpadałem, ale kiedy dotarłem na miejsce, ze zdumieniem stwierdziłem, że budynku, do którego zmierzam, nie ma, a w głębokiej wnęce między domami mieści się skład węgla.

Zrozpaczony rzuciłem się w stronę nadjeżdżającego tramwaju konnego, chociaż nie była to najlepsza kryjówka, wóz nie miał bowiem bocznych ścian i pasażerów widać było w nim jak na dłoni. Wskoczyłem na prowadzący do niego stopień, zająłem miejsce w głębi i schyliłem nisko głowę, aby nie zostać rozpoznanym, gdy nagle pojazd gwałtownie się zatrzymał.

W tej samej chwili się obudziłem, ale obraz Warszawy sprzed wielu lat pozostał żywy w mojej głowie. Był oczywiście echem wspomnieniowych książek, które czytałem w czasach szkolnych, nie przeczuwając, że wryją się w podświadomość aż tak głęboko.

Przetarłem oczy. Byłem w pociągu do Poznania. Za oknem rozpościerało się rozległe, sięgające aż po horyzont, milczące pole. Kompletna pustka. Żadnych żołnierzy i wozów bojowych, żadnych znamion czasu wojny.

Spojrzałem na zegarek. Minęła pierwsza. Jechałem niewiele ponad

godzinę.

Siedząca naprzeciwko chuda kobieta w staroświeckich okularach przysłaniających bladą twarz, rozciągniętym swetrze z brązowej włóczki i długiej spódnicy z ciemnobrunatnego bistoru bacznie mi się przyglądała.

– Zły sen? – zapytała z troską w głosie.

Nie miałem ochoty na rozmowę, zamruczałem więc tylko potakująco. Zniechęcona zatopiła się w lekturze jednego z czasopism, które trzymała na kolanach, ale po dłuższej chwili odezwała się znowu:

– Grzeją jak nieprzytomni! Nie da się trochę przykręcić?

– Nie sędzę – powiedziałem. Doświadczenie podpowiadało mi, że umieszczona nad drzwiami do przedziału dźwignia do regulacji temperatury to tylko atrapa.

– To może byśmy otworzyli na chwilę okno? – zaproponowała kobieta, ale pomysł nie bardzo mi się spodobał. Podczas świąt Wielkiej Nocy pogoda gwałtownie się pogorszyła, temperatura spadła, w Warszawie spadł deszcz ze śniegiem. Zanim jednak zdążyłem zaprotestować, moja współtowarzyszka podróży zerwała się z miejsca i zaczęła bezskutecznie siłować się z oknem. Niechętnie podniosłem się, żeby pomóc. Stałem za nią i również pociągnąłem za uchwyt, ale okno pozostawało zamknięte. Chciałem zrezygnować, ale specjalistka od złych snów nie dawała za wygraną. Szarpała energicznie w dół i w górę, w dół i w górę, a w pewnej chwili gwałtownie się odsunęła i wpadła na mnie z takim impetem, że omal się nie przewróciłem. Spróbowałem czegoś się złapać i poczułem, że moja dłoń zatrzymała się na drobnych piersiach skulonych w fałdach włóczkowego swetra.

– Co pan wyprawia?! – krzyknęła oburzona kobieta.

– Proszę wybaczyć, straciłem równowagę – wyjaśniłem grzecznie, ale potraktowała moje słowa jak obrzydliwą wymówkę.

Dobrze, że jesteśmy sami, pomyślałem. Taka scena przy świadkach byłaby czymś upokarzającym.

Nieznajoma, której wieku nie potrafiłem określić – trzydzieści lat? czterdzieści? – udawała, że mnie nie widzi. Siedziała w swoim kącie naburmuszona i rozwiązywała krzyżówkę.

Wyjąłem z torby książkę pożyczoną od Wenera. Nie bardzo miałem ochotę na lekturę baśni, ale założyłem, że nawet pozycja dla dzieci może się okazać źródłem wiedzy o autorce.

Otworzyłem opasły tom na przypadkowej stronie. Natrafiłem na opowieść o Gotfrydzie, władcy krainy Ur, i jego perypetiach uczuciowych. Zacząłem czytać od środka.



Nadzieja na to, że monarcha spotka wreszcie kobietę swojego życia – pisała Anna Eckart – pojawiła się wraz z zaproszeniem do Aszүүr na ślub księcia Alfreda, syna tamtejszego imperatora, z księżną Emmą z pobliskiego Määri. Królowa matka wiedziała, że zjawią się tam wszyscy okoliczni mocarze wraz z całym dworami, a wśród szlachetnie urodzonych niewiast nie zabraknie urodziwych panien. Ponieważ zaś Gotfryd, władca krainy miodem i mlekiem płynącej, był znakomitą partią, liczyła na to, że któraś z dziewcząt zrobi wszystko, by zdobyć serce jej pierworodnego. Intuicja jej nie zawiodła.

Gotfryd powrócił z trzytygodniowych uroczystości odmieniony. Adolfiną natychmiast odgadła, co oznacza jego rozpromienione oblicze. I już podczas powitania zapytała, kim jest wybranka syna. Zaskoczony przenikliwością matki, król przyznał, że jest zakochany, oraz wyjaśnił, że niewiasta, którą obdarzył uczuciem, nosi imię Inga, pochodzi z rodu władającego odległą prowincją Zäär i jest złotowłosa, gładkolicą pięknoscią, jakiej w tych stronach nie widziano.

Księżna Inga przybyła do Ur trzy miesiące później, strudzona, ale radosna, zwłaszcza że zgotowano jej wspaniałe przyjęcie. Wszyscy poddani Gotfryda szczerze się bowiem ucieszyli, że ich pan znalazł wreszcie miłość. Ale chociaż na zamku od jakiegoś czasu trwały przygotowania do zaślubin, z ogłoszeniem ich daty zwlekano. Księżna, która potrafiła rozkochać w sobie Gotfryda, z oddaniem mu ręki wcale się nie spieszyła. W końcu zaś zapowiedziała, że zostanie jego żoną, jeśli spełni jej trzy życzenia...

Krokodyla daj mi luby, pomyślałem. Odłożyłem książkę zniechęcony. Czy Anny Eckart nie stać było na coś bardziej oryginalnego?

W Kutnie towarzysząca mi kobieta sięgnęła po niewielką torbę i wyszła bez słowa pożegnania. Dopiero kiedy pociąg ruszył, zauważyłem, że zapomniała o czasopismach, które czytała. Jedno z nich zostawiła otwarte na nierozwiązanej do końca krzyżówce. Na marginesie coś napisała. Ze zdumieniem stwierdziłem, że jest to numer telefonu. Myślała, że ją podrywam?

Zgarnąłem zachłannie pozostawione na siedzeniu tygodniki: „Przyjaciółkę”, „Kobietę i Życie”, „Przekrój” (z ostatniego wyrwałem na wszelki wypadek stronę z numerem telefonu, złożyłem i schowałem do portfela).

Oczywiście wiedziałem, że wznowiono wydawanie większości tytułów, które zniknęły z kiosków po trzynastym grudnia, ale żadnego nie miałem jeszcze w ręku. Zastanawiałem się, o czym mogą pisać koleżanki i koledzy

w tym trudnym okresie, kiedy cenzorzy, nadzorowani przez inkwizytorów w mundurach, pilnują jak nigdy wcześniej, by nikt nie odważył się powiedzieć nic istotnego.

Nie zawiodłem się. Zwłaszcza „Przyjaciółka”, zgrzebna gazetka dla gospodyń domowych, stała na wysokości zadania i ze swadą wytłumaczyła czytelniczkom, dlaczego stan wojenny okazał się aż takim dobrodziejstwem.

*Kto może zaprzeczyć – pisała redaktor dyżurna o minionym okresie wolności, radości i nadziei na lepsze jutro – że przez kilkanaście miesięcy wszystko zaczęło się w Polsce toczyć w dół, nieomal ku przepaści? Byliśmy już na bardzo niebezpiecznej krawędzi. Jeszcze krok... Tak, to o ten jeszcze jeden krok chodziło tym wszystkim, którym marzyło się obalenie legalnej, konstytucyjnej władzy w Polsce i zastąpienie jej... Właśnie, kim i czym?*

Ale najlepsze następowało dalej: *Jako kobiety nie możemy zapomnieć, że w ostatnich miesiącach poprzedzających stan wojenny podniosła szczególnie głowę wszelka łobuzeria, że narastała fala przestępstw kryminalnych, bójek, napadów i gwałtów. Mało która z nas, nie tylko w większych miastach, czuła się bezpieczna, wychodząc po zmroku na ulicę lub też wracając do domu po całodziennej ciężkiej pracy i wielogodzinnym wystawianiu w kolejkach...*

Nieźle było też podniosłe zakończenie: *Stan wojenny daje nam wszystkim szansę, aby wszędzie, na każdym odcinku, zrobić solidne porządki, powymiatąć kurze i błoto. A gdy będzie czysto – łatwiej się będzie żyć i łatwiej pracować...*

Inną taktykę przyjęli redaktorzy „Przekroju”, stawiający na treści, które mogłyby zainteresować czytelnika zarówno w roku pięćdziesiątym siódmym, jak i w sześćdziesiątym dziewiątym czy osiemdziesiątym drugim, takie jak losy popularnego w latach trzydziestych piosenkarza Leonida Utiosowa, życie miłosne Jacka Londona, bitwa pod Mohaczem czy, jak zawsze, humor z zeszytów szkolnych (*Można powiedzieć, że Jagna bardziej kochała ziemię niż Ślimaka, który od dawna ją uprawiał...*).

W piśmie nie zabrakło też krzepiących doniesień z kraju – o tym, że w pierwszym kwartale górnicy wydobyli czterdzieści siedem i pół miliona ton węgla, czego nie przewidywały nawet najbardziej optymistyczne prognozy, a przeprowadzone przez wojskowe grupy operacyjne kontrole stwierdziły zadowolający stan przygotowań do rolniczej wiosny. Nawet jeśli trzeba było czytelników zmartwić bolesną informacją o wstrzymaniu w krakowskim Wawelu produkcji czekolady twardej i galanterii czekoladopodobnej, bo zabrakło ziarna kakaowego, dla równowagi obiecywano wznowienie po kilkumiesięcznej przerwie produkcji pralek automatycznych i lodówek w zakładach Predom-Polar.

Najtrudniejszy do przełknięcia był oczywiście powrót na łamy gazet i czasopism partyjnej nowomowy, w czasach Solidarności zepchniętej do kąta, na szpalty „Trybuny Ludu” i regionalnych organów Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, teraz znowu panoszącej się wszędzie, kłującej w oczy pokraczną składnią i rozdzierającym pustostowiem.

Notatkę o tym, że w Warszawie obradowała Pierwsza Ogólnopolska Partyjna Konferencja Ideologiczno-Teoretyczna, przeczytałem kilka razy, licząc naiwnie, że w końcu objawi mi się jej myślowa głębia. *Wojciech Jaruzelski stwierdził, że konferencja ta jest wyrazem odradzania się frontu ideologicznego i że odstania ona od nowa wartości oraz siłę idei, której służymy...*

Za nic bym tak nie potrafił, pomyślałem i już chciałem odłożyć tygodniki, gdy z jednego z nich wypadł mniejszy, czterostronicowy, zadrukowany gęsto małymi, bladymi literkami. Wiedziałem, że mam do czynienia z pismem wydanym w podziemiu, rozprawdzanym potajemnie, poza oficjalnym obiegiem. W nagłówku widniał czerwony znak graficzny Solidarności, niżej dopisek – „Tygodnik Mazowsze”. Treść stanowił głównie komunikat Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej Solidarności.

Przeczytałem pierwsze zdanie: *Zamach 13 grudnia wprowadza rządy bezprawia, niszczy oświatę i kulturę, przekreśla szanse na poprawę sytuacji gospodarczej, co oznacza nędzę i bezrobocie... Święta prawda. Zajrzałem dalej. Autorzy zapowiadali, że zmuszą rząd do negocjacji z władzami Solidarności i wymachiwali szabelką: *Jednocześnie oświadczamy, że jedynym warunkiem rozpoczęcia rozmów jest zwolnienie wszystkich internowanych i amnestia dla aresztowanych oraz skazanych...**

Prawość, determinacja, odwaga, ale i ogromna naiwność kryły się za przydługim i nudnym tekstem działaczy, którzy wymknęli się władzy i uniknęli internowania. Wierzyć, że reżim zwolni wszystkich zatrzymanych i przystąpi do rozmów z Solidarnością? Nie po to uruchomiono maszynę wojenną, by teraz składać broń. Sorry, nie wyszło nam, może się dogadamy? Nie w tym życiu.

Włożyłem gazetkę z powrotem do jednego z tygodników i przymknąłem oczy. Byłem niewyspany, bo rano, zaraz po przebudzeniu, dokuczały mi bóle brzucha, biegunka i lekka gorączka. W pierwszej chwili za powód uznałem przejedzenie (święta wielkanocne spędziłem u mamy, a mama nawet w tych trudnych czasach potrafiła wyczarować takie przysmaki jak pasztet domowej roboty, sałatka jarzynowa, faszerowane jaja w skorupkach, krokiety z kapustą i grzybami czy pyszny mazurek kajmakowy). Później zacząłem się jednak zastanawiać, czy mój stan nie jest następstwem indagowania przez

funkcjonariusza służby bezpieczeństwa.

Facet, pozujący chwilami na dobrodusznego, zatroskanego wujaszka, potrafił przecież wytworzyć wokół siebie aurę człowieka, który może z kimś, kto mu się nie spodoba, zrobić wszystko – zniszczyć, zamknąć, wystawić na żer siepaczy, którzy w fachowy sposób obijają nerki, w razie potrzeby ze skutkiem śmiertelnym. Uznałem, że gilotyna ze snu może być projekcją podświadomego przerażenia, które legło u podstaw moich dolegliwości. Tymczasem się ich pozbyłem, ale nie miałem pewności, czy nie powrócą.

Ponieważ za nic nie mogłem ponownie zasnąć, postanowiłem uporządkować i przemyśleć wszystkie informacje na temat zaginięcia Anny Eckart, które udało mi się zebrać.

Jedno wiedziałem na pewno: trzynastego grudnia o dziewiętej dwadzieścia siedem wymeldowała się z hotelu Forum. Wszystko wskazywało też na to, że tuż przedtem lub zaraz potem wstąpiła do kiosku i na mapie Polski zaznaczyła miejscowość Stary Krzyż. Wiedziała, gdzie leży, bo znalazła ją bez większego trudu. A jednak chciała ją zlokalizować. Może jedynie orientowała się, gdzie jej szukać, i upewniała się, czy ma rację? A może sprawdzała, jak ma się do niej dostać, gdzie powinna się przesiąść z pociągu dalekobieżnego w podmiejski?

Załóżmy, że pod wpływem jakiegoś impulsu, na przykład na wieść o wprowadzeniu stanu wojennego, miała zamiar się tam udać. Żeby się z kimś spotkać? Bardzo to przecież prawdopodobne. Dowiaduje się, że na ulice polskich dróg i miast wyjechały czołgi. Być może szybko nie będzie mogła tu wrócić. A w Starym Krzyżu zna kogoś, z kim dawno się nie widziała, chciałaby natomiast, choćby po raz ostatni, go zobaczyć. Pasuje?

Oczywiście mogło też być inaczej. Zwłaszcza jeśli kontakty Eckart z Henrykiem Kurtą oznaczały zaangażowanie w ruch solidarnościowy. Mogła w związku z wprowadzeniem stanu wojennego podjąć się jakiejś misji, polegającej na przykład na przekazaniu komuś ważnej informacji. Tego dnia wyłączono przecież telefony.

Warto jednak postawić pytanie, czy w ogóle wyruszyła do Starego Krzyża. Nawet jeśli miała takie plany, coś mogło je pokrzyżować. Jako solidarnościowa emisariuszka mogła już w Warszawie wpaść w ręce bezpieki. Dziennikarz „Newsweeka” twierdził przecież, że została zatrzymana.

Pojawiła się też jeszcze jedna kwestia. Dlaczego Anna Eckart kłamała, że nie zna polskiego? Przed świętami zdążyłem jeszcze raz dotrzeć pod sklep meblowy Emilia i zamienić kilka słów z Wernerem. Zaintrygowany opowieścią boya hotelowego, który z ust Anny Eckart usłyszał podobno słowo

„darmozjady”, zapytałem byłego dziennikarza radiowej Trójki, czy rozmawiał z pisarką za pośrednictwem tłumacza. Potwierdził, że owszem, ale przypomniał sobie, że Eckart kilkakrotnie zaczęła odpowiadać na jego pytania, zanim jeszcze usłyszała je w wersji niemieckiej. Już wcześniej wspomniał, co prawda, że właściwie go ignorowała i mówiła to, co sama chciała powiedzieć, a jednak miał podczas rozmowy wrażenie, że chwilami całkiem dobrze go rozumiała.

Na dworcu w Poznaniu zjadłem w obskurnym barze zaskakująco smaczną zupę pomidorową z ryżem. Ponieważ do odjazdu pociągu do Starego Krzyża było jeszcze trochę czasu, wyjąłem notes, żeby zapisać w punktach wnioski, do których doszedłem, ale nie udało mi się dokończyć, bo zza lady wybiegła wielka, pulchna kobieta w brudnym kitlu i warknęła:

– Co to, poczta? Listy do narzeczonej będzie mi tu pisał!

Niechętnie wstałem i udałem się na ukryty gdzieś na tyłach dworca mały peron, skąd odjeżdżały pociągi zmierzające w stronę Starego Krzyża. Większą część kolejnego etapu podróży spędziłem na stojąco, w tłumie zmęczonych robotników i urzędników, wracających z pracy do domów w okolicznych miastach, miasteczkach i wsiach. Dopiero pod koniec rozluźniło się na tyle, że mogłem usiąść. I oczywiście natychmiast zapadłem w sen. Na szczęście w pewnym momencie w wagonie zrobił się taki ruch i gwar, że o przegapieniu stacji, na którą zmierzałem, nie było mowy. Okazało się, że większość pasażerów wysiada tam, gdzie ja. W Starym Krzyżu.

Tak jak przypuszczałem, na zachodzie Polski było cieplej niż w Warszawie, temperatura wynosiła około dziesięć stopni. Nie dostrzegłem też nigdzie śladów deszczu ze śniegiem, który w minionych dniach tak bardzo dokuczył mieszkańcom innych rejonów kraju.

Zaraz po wyjściu z dworca zapytałem kogoś o najbliższy hotel. Powiedział, że mam iść cały czas prosto, a następnie skrócić w prawo w Poznańską i po dwustu, trzystu metrach będę na miejscu. To najwyżej dziesięć minut drogi.

Miasto miało w sobie wiele uroku. Ciągące się wzdłuż zadrzewionej alei, zadbane, jednopiętrowe domki ze spadzistymi dachami pokrytymi czerwoną dachówką oraz dostojne budynki liceum i poczty pochodziły w większości z czasów pruskich. Stanowiły miłą odmianę po brzydkich pudłach bloków z wielkiej płyty, jakie na co dzień oglądałem w Warszawie. Co prawda w późniejszych dniach przekonałem się, że w Starym Krzyżu, jak wszędzie, nie brak uliczek straszących popękkanymi fasadami domów, zaniedbanymi witrynami sklepów oraz nierównymi chodnikami i jezdniami. Ale pierwsze wrażenie było korzystne. Zwłaszcza że nigdzie nie mogłem dostrzec

wszechobecnym w Warszawie patroli wojskowych, wozów bojowych i czołgów. A także wpiętych w klapy marynarek oporników, znaczków Solidarności z czarnymi wstążkami i innych naiwnych oznak buntu.

Wojna generała Jaruzelskiego do Polski powiatowej nie dotarła, pomyślałem z ulgą.

Hotel nie miał nazwy. Na trzypiętrowym budynku z lat sześćdziesiątych umieszczono tylko jeden napis. Pofalowane, przerdzewiałe litery wołały z daleka: HOTEL. Żadna nazwa nie była tu jednak potrzebna. Jak się dowiedziałem później, w okolicy nie było drugiego hotelu, schroniska, pensjonatu. W miastach takich jak Stary Krzyż rzadko zresztą pojawiał się ktoś, kto chciałby się zapoznać z ich historią, nielicznymi zabytkami, nie mówiąc o atrakcjach w rodzaju remizy strażackiej, zapuszczonego stawu czy obłupanej figury zapomnianego świętego. Osoby odwiedzające mieszkańców korzystały z ich gościny. Urzędnicy przybywający w interesach starali się załatwić swoje sprawy w ciągu kilku godzin, aby jeszcze tego samego dnia wyruszyć samochodem, autobusem czy pociągiem w drogę powrotną. Turystów praktycznie nie było. Któż więc nocował w hotelu zwanym HOTEL? Wiedziałem, że niebawem się tego dowiem, sam miałem w nim bowiem zamieszkać.

Chociaż miasteczko zrobiło na mnie dobre wrażenie, do ponurego trzypiętrowego budynku wchodziłem pełen najgorszych przeczuc. I jak się okazało, intuicja mnie nie zawiodła. Wnętrze, przywołujące na myśl zapuszczony szkolny internat, kłuło w oczy porażającą brzydotą. Wyłożona zgniłozielonym, zrytym obcasami linoleum podłoga, pomalowane w dolnej części ohydną, ciemnobrązową farbą olejną nierówne ściany, pospolite meble oraz ciemne światło żarówek, tylko gdzieniegdzie osłoniętych zakurzonymi kloszami, a także kwaśny zapach kapusty wypełniający korytarz krzyczały: „Uciekaj! Uciekaj jak najdalej stąd!”. Ponieważ jednak nie miałem dokąd się wynieść, podszedłem do masywnego biurka, za którym dyżurowała recepcjonistka w służbowym żakiecie w granatowym kolorze.

Była to drobna, krucha dziewczyna, tak drobna i krucha, że wyglądała jak nastolatka, która wbiła się w strój dorosłego. Miała krótkie, ciemne, fantazyjnie potargane włosy, mały zgrabny nosek, kształtne usta i wielkie piwne oczy. Chyba nie uznawała makijażu. Pomyślałem, że jest ładna, może nie piękna, ale na pewno ładna.

Kiedy zapytałem o wolny pokój, nawet na mnie nie spojrzała, jakby nie mogła opędzić się od gości, i zapytała tylko, na którym piętrze chciałbym zamieszkać. Natychmiast też dodała, że parter jest zajęty. Jak się

dowiedziałem później, w grudniu zawładnęli nim komisarze wojskowi, ale w chwili mojego przybycia zostało ich już tylko trzech (nigdy żadnego nie spotkałem) i jedynie chęcią odizolowania mundurowych od pozostałych gości można było tłumaczyć wyłączenie dolnego poziomu z ruchu hotelowego.

Poprosiłem o pierwsze piętro, żeby uniknąć konieczności biegania po schodach, nigdzie bowiem nie zauważyłem windy. Cena okazała się na szczęście niezbyt wygórowana, trzysta złotych za dobę, zwłaszcza że pokój sto jeden, który dostałem, był, jak zapewniła recepcjonistka, wygodny i obejmował małą łazienkę z toaletą i prysznicem.

Kiedy dziewczyna spisywała moje dane z dowodu, zauważyłem, że nad jej głową wisi niezwykle obraz, zupełnie niepasujący do szpetnego wnętrza. Kompozycja, przesycona duchem malarstwa abstrakcyjnego, miała w sobie coś urokliwie naiwnego, ale kolorystyka, z dominacją delikatnego różu, kadmowych żółci i złamanej zieleni, wydawała się świadectwem malarskiej dojrzałości. Nie mogłem oderwać oczu od dzieła nieznanego mi twórcy, co zauważyła dziewczyna. Dopiero wtedy mi się przyjrzała. Miałem wrażenie, że się zarumieniła, jakby to ona namalowała obraz, ale widocznie była nieśmiała i po prostu tak reagowała na obcych.

Kiedy zwróciła mi dokument, odważyłem się pokazać jej zdjęcie Anny Eckart i zapytać, czy kiedykolwiek się z nią zetknęła. Przyjrzała się uważnie i z całym przekonaniem zaprzeczyła. Czyżbym jechał taki kawał drogi na darmo? Gdyby poszukiwana przeze mnie kobieta dotarła do Starego Krzyża, prawdopodobnie wynajęłaby pokój w hotelu. Chyba że знаła kogoś w miasteczku i zamieszkała u niego.

– Nazywa się Anna Eckart – powiedziałem. – Byłem przekonany, że się tu zatrzymała.

Miałem wrażenie, że na brzmienie nazwiska Eckart dziewczyna lekko się wzdrygnęła, ale mogło mi się przywidzieć.

– Nie przypominam jej sobie – powiedziała.

– To może byśmy sprawdzili w książce gości – zaproponowałem bezczelnie. Przewróciła jedną kartkę, potem drugą.

– Nie wiem, czy mogę – zawahała się.

Chociaż widziałem książkę do góry nogami, u góry strony, na której została otwarta, zauważyłem napis: „grudzień 1981”. Zacząłem przebiegać wzrokiem wpisane w kolumnie po lewej stronie nazwiska. Dwunasta pozycja wyjaśniała, że mój trud, by dotrzeć na zachodni kraniec Polski, nie był daremny. Bez wątplenia figurowała tam Anna Eckart. Niestety, dat w prawej kolumnie, zapisanych bardziej niedbałym pismem, nie byłem w stanie

odczytać. Postanowiłem nacisnąć dziewczynę.

– Anna Eckart. Mieszkała tu w grudniu. Proszę spojrzeć, dwunasta czy trzynasta linijka na tej stronie.

Znowu się zarumieniła, a naturalny róż na policzkach przydał jej uroku.

– No tak. Od czternastego do szesnastego grudnia. Dwa dni. Krótco. Dlatego jej nie pamiętam.

Data czternastego grudnia trochę mnie zaskoczyła. Z hotelu Forum w Warszawie pisarka wymeldowała się trzynastego. Dokąd udała się stamtąd? Gdzie zatrzymała się na noc? Tego nie wiedziałem. Na tym etapie poszukiwań nie miało to jednak aż takiego znaczenia. Najważniejsze, że trafiłem na ślad zaginionej. I z całą pewnością mogłem stwierdzić, że dotarła do Starego Krzyża. Nie przepadła w Warszawie.

Nie miałem co prawda pojęcia, co wydarzyło się potem. Byłem wszakże dobrej myśli. Wiedziałem, że w małym mieście, gdzie wszyscy się znają, łatwiej kogoś wytropić niż w wielkim. I liczyłem na to, że kolejne dni przyniosą rozwiązanie zagadki zniknięcia Anny Eckart.

Pokój nie odstawał od standardów obowiązujących w hotelach prowincjonalnej Polski. Stały w nim dwa wąskie łóżka, które połączyłem w jedno szerokie, dwie szafki, pełniące zarazem rolę stolików, i fotel. W korytarzyku, za lustrzanymi drzwiami, odkryłem szafę na ubrania. Żółta tapeta na ścianie i oprawiona w delikatną brązową ramkę kopia dziewiętnastowiecznej ryciny robiły przyjemne wrażenie. Przeraziła mnie jedynie ciasna łazienka z maleńką kabiną prysznicową i umywalką dla krasnoludków. Nigdzie nie znalazłem ręcznika, ale na szczęście przewidziałem to i wziąłem z domu własny. Na haczyku zamiast papieru toaletowego wisiały starannie pocięte na równe prostokąty kartki z „Głosu Wielkopolskiego”. Ucieszyłem się. Zawsze lubiłem umilać sobie czas wypróżnienia lekturą.

Przy drzwiach wisiał regulamin: *Zabrania się przyjmowania gości, głośnych rozmów i słuchania radia między godziną dwudziestą drugą a szóstą, wprowadzania na teren hotelu psów, kotów, kóz, kur i innych zwierząt domowych, strząsania popiołu na dywan, wypalania papierosem dziur w bieliźnie pościelowej, czyszczenia obuwia ręcznikami, kocami i zasłonami, karmienia ptactwa na parapetach, a także pozostawiania bez opieki dzieci, bo grozi to zniszczeniem sprzętów i mebli.*

Rozejrzałem się po pokoju w poszukiwaniu odbiornika radiowego, ale go nie znalazłem. Jak się później dowiedziałem, został oddany do naprawy, a termin jej ukończenia mijał za trzy tygodnie.



Przed snem raz jeszcze sięgnąłem po zakazane pisemko, „Solidarność – Tygodnik Mazowsze”, które przypadkiem wpadło w moje ręce, ale i tym razem nie doczytałem do końca solennego apelu opozycyjnych działaczy. Moją uwagę zwróciła natomiast ostatnia szpalta, zadrukowana gęściej niż inne.

*Otrzymaliśmy wstrząsające informacje o bestialskich morderstwach popełnionych przez wojsko, ZOMO i bezpiekę na bezbronnych ludziach – przeczytałem. Niżej następowały trzy opisy.*

*Wojciech Cielecki (19 lat) z Białej Podlaskiej zginął zabity przez sierżanta Wojska Polskiego – dowiedziałem się z pierwszego. Zatrzymanego późnym wieczorem na ulicy dwaj nietrzeźwi żołnierze nagabywali o wódkę. Kiedy zabrali się do bicia, wyrwał się im i schował na podwórku. Wyrzucony przez gospodarza posesji, wyszedł na ulicę. Tam znaleźli go prześladowcy. Bity, zginął od strzału w głowę.*

*Stanisław Kot, inżynier w Zakładach Mięsnych w Rzeszowie – przeczytałem dalej – zmarł zakatowany na śmierć przez ZOMO. Kiedy wracał z podrzeszowskiej wsi, po pożegnaniu odchodzących na emeryturę pracowników, został zatrzymany przez patrol. Po kilku godzinach lekarz w Izbie Wytrzeźwień odmówił zomowcom przyjęcia pobitego człowieka, nieprzytomnego według jego oceny od pięciu godzin. Na oddziale reanimacyjnym Szpitala Wojewódzkiego stwierdzono, że na całym ciele nie ma miejsca wolnego od urazów. Rozpoznano liczne złamania kończyn i szczęki, podejrzewano uszkodzenie kręgosłupa, wstrząs mózgu, wewnętrzne wylewy krwi.*

Rzuciłem okiem na trzecią notę i przerwałem zatrwożony. Informacja dotyczyła wydarzeń, które rozegrały się w miasteczku będącym od godziny czy dwóch moim tymczasowym domem.

*Ryszard Frąckowiak (lat 40), nauczyciel przyrody w liceum w Starym Krzyżu, działacz Solidarności, został bestialsko zamordowany, kiedy wracał do domu po nocnej obserwacji ptaków. Poddano go nieludzkim torturom, wydłubano oczy, a ciało zmasakrowano (rany klute klatki piersiowej, liczne złamania kończyn, uszkodzenie kręgosłupa). Powodem zamordowania mężczyzny była najpewniej jego nieprzejednana postawa wobec politycznej indoktrynacji uczniów liceum przez oficerów bezpieki.*

A więc stan wojenny dotarł i tutaj. Uchyliłem okno, aby wpuścić do pokoju trochę świeżego powietrza, i spojrzałem w dół. Miasteczko, które zapadało w sen, nie wydawało mi się już tak spokojne i bezpieczne jak wtedy, gdy szedłem jego ulicami. Co czekało mnie tu w następnych dniach?

Na wszelki wypadek sprawdziłem, czy drzwi pokoju są zamknięte na klucz, zaciągnąłem zasłony, nasunąłem cieką kołdrę na pół twarzy i zamknąłem oczy.

Myślałem o zakatowanym na śmierć nauczycielu przyrody. Jego śmierć poruszyła mnie do głębi. I przeraziła.

14 kwietnia 1982, środa

Kiedy rano zszedłem do recepcji, za biurkiem dyżurowała inna kobieta niż wieczorem, trochę starsza, blada z niewyspania, zdecydowanie mniej atrakcyjna niż tamta. Jej także postanowiłem pokazać zdjęcie Anny Eckart. I ona również odpowiedziała, że nie przypomina sobie osoby, którą zobaczyła. Pamiętała natomiast, że w grudniu sprzątaczką – wyjaśniła mi od razu, że poza sezonem letnim w hotelu pracuje tylko jedna, pani Hela – opowiadała jej coś o Niemce, która mieszkała na drugim piętrze. Ale nie było to chyba nic ważnego. Nic, o czym warto dziś gadać.

Poprosiłem, aby jednak spróbowała przypomnieć sobie tamtą rozmowę. Długo się zastanawiała, w końcu powiedziała, że jeśli czegoś nie myli, syn sprzątaczkę pożyczył tej Niemce samochód. I były z tym jakieś problemy. Jakie? O to trzeba zapytać sprzątaczkę.

Kobieta doradziła mi też, żebym pogadał z którymś z kelnerów, bo jeśli Niemka mieszkała w hotelu, jadła pewnie na miejscu, jak większość gości. I ktoś z restauracji mógł ją zapamiętać.

Pani Hela, złowieszczo pokaślująca, prymitywna baba w niebieskim fartuchu, pojawiła się akurat w holu, podszedłem więc, przedstawiłem się i zapytałem o Niemkę, która mieszkała w hotelu w grudniu. Kobieta mruknęła tylko, że nic nie wie, niczego nie pamięta. Pytanie, czy jej syn pożyczał wtedy komuś samochód, wydawało się w tej sytuacji bezsensowne, ale zadałem je i oczywiście nie uzyskałem żadnej odpowiedzi. – Nic nie wiem, niczego nie pamiętam.

Zniechęcony wszedłem do dużej restauracji. Zapewne odbywały się w niej wesela, pierwsze komunie, stypy. O tej porze było jednak pusto. Usiadłem w kącie i zamówiłem białą kiełbasę na gorąco. Kelner, mały, zażywny człowieczek w średnim wieku, z przylizanymi włosami, bystrymi oczkami i przyklepionym do twarzy sztucznym uśmiechem, przyniósł ją po piętnastu minutach, na wyszczerbionym talerzu, bez musztardy, o którą prosiłem, bez pieczywa. Ale już pierwszy kęs sprawił, że zniosłem to dzielnie. Kiełbasa bardzo mi smakowała, nawet bez żadnych dodatków. Kiedy już zjadłem i otrzymałem rachunek, położyłem na talerzyku kwotę dwukrotnie przekraczającą cenę dania i podsunąłem kelnerowi pod nos zdjęcie Anny Eckart. Po raz kolejny zadałem pytania na temat zaginionej pisarki, ale facet również nie mógł sobie przypomnieć kobiety z fotografii.

– W grudniu mieszkała u nas jakaś Niemka – dodał po chwili. – Pamiętam dobrze, bo innych zagranicznych gości w ostatnich miesiącach nie mieliśmy. Poza tym miała straszne wymagania. Zamawiała na przykład jajecznicę z trzech jaj, ale białka miały być dwa, bo proporcje czegoś do czegoś musiały się zgadzać. Dziwaczka. Ale to nie ta, co na zdjęciu.

Już chciał odejść, zawahał się i nagle dodał:

– Wie pan co? Dyrektor Bury robił u nas wtedy osiemnastkę córki. Niezła impreza. Było sporo osób. Bawili się do późnych godzin. Bury załatwił wszystkim kwity, żeby mogli wrócić do domów po godzinie milicyjnej. Ktoś pokazywał mi potem zdjęcia. I o ile dobrze pamiętam, na jednym widziałem tę Niemkę. Pewnie zeszła do restauracji coś zjeść i fotograf pstryknął też ją.

– Dyrektor Bury?

– No tak, Andrzej Bury. Z Fabryki Naczyń Emaliowanych. Obok browaru to największy zakład w mieście.

– Gdzie znajdę tego pana?

– Całymi dniami siedzi u siebie w biurze. Przy stadionie, zaraz za strzelnicą i gliniankami. Łatwo trafić.

Dodałem, że Niemka, która mieszkała w hotelu, pożyczała podobno samochód od syna hotelowej sprzątaczkii.

– Nic o tym nie wiem – powiedział szybko, jakby chciał zakończyć rozmowę, ale pamięć o wysokim napiwku nie pozwoliła mu tak nagle jej przerwać.

– A wie pan, gdzie mieszka syn sprzątaczkii?

Chwilę się wahał, pewnie miał wątpliwości, czy może ujawnić adres mężczyzny bez jego zgody. Ale w końcu wyrzucił z siebie:

– Tu niedaleko, na Wąskiej, nad sklepem z telewizorami. Jawor. Nazywa się Jawor. Na drzwiach jest wizytówka.

Kiwnął głową i zniknął w kuchni.

Ubrałem się ciepło, w sweter i skórzaną kurtkę, i wyszedłem na ulicę, a miasteczko, budzące się pod czystym niebem, wydało mi się jeszcze ładniejsze niż wieczorem.

Wizyty u dyrektora Burego i niejakiego Jawora postanowiłem odłożyć na później, wszystko wskazywało bowiem na to, że informacje, które mogłem od nich uzyskać, dotyczyły innej osoby niż ta, której szukałem. Mimo uwagi kelnera, że w hotelu mieszkała ostatnio tylko jedna Niemka, a w księdze gości widziałem przecież imię i nazwisko Anny Eckart.

Poszukiwania postanowiłem rozpocząć w bibliotece publicznej, którą zauważyłem zaraz po przybyciu do miasta. Chciałem dowiedzieć się czegoś

więcej o zaginionej, poczytać o niej w encyklopedii czy słowniku pisarzy, a przede wszystkim wypożyczyć któreś z dzieł, najchętniej *Intermezzo*, o którym tak zajmująco opowiadał redaktor Werner.

Dotarłem na miejsce w kilka minut, wszedłem do środka i ze zdziwieniem stwierdziłem, że małeńki budynek mieści naprawdę spory księgozbiór.

Bibliotekarka, starsza pani o przyjemnej powierzchowności, wtulona w ciepły, puchaty sweter i okryta grubym, miękkim kocem, spojrzała na mnie wyczekująco. Miałem nadzieję, że będę mógł bez zbędnych tłumaczeń dać nura między półki i samemu poszukać interesujących mnie pozycji, ale zrozumiałem, że wzbudziłem ciekawość, jak pewnie każdy nieznajomy w miasteczku, i nie uniknę wyjaśnień. Wytłumaczyłem kobiecie, że interesuję się współczesną literaturą niemiecką, a w szczególności twórczością Anny Eckart, i zapytałem, gdzie mógłbym przeczytać coś o niej, a także gdzie ewentualnie powinienem poszukać jej książek.

Bibliotekarka, nieco się ociągając, odrzuciła koc i z półki za plecami, na której stały głównie encyklopedie i drogie albumy, wydobyła *Mały słownik pisarzy niemieckich, austriackich i szwajcarskich*, a następnie zaczęła szukać odpowiedniego hasła.

– Proszę, jest! – wykrzyknęła z tryumfem, jakby umieszczenie biogramu Anny Eckart w książce było jej osobistą zasługą.

Sięgnąłem po nieduży, zniszczony tom, owinięty, jak wszystkie woluminy w bibliotece, w brązowy papier, spojrzałem na datę wydania, siedemdziesiąty trzeci rok, a następnie uważnie przeczytałem notę poświęconą kobiecie, która była powodem mojego przyjazdu do miasteczka.

„ECKART Anna, ur. 1921, niemiecka powieściopisarka, dramatopisarka, publicystka (NRD). Córka stolarza. W 1946 podjęła naukę w ABF (Fakultet Robotniczo-Chłopski) przy uniwersytecie w Greifswaldzie. Następnie studiowała germanistykę w Berlinie. Rozwinęła działalność publicystyczną, m.in. na łamach czasopisma „Sonntag”, a później „Neue Deutsche Literatur”, wnosząc wkład w kształtowanie się nowej, socjalistycznej rzeczywistości. Próbowwała swoich sił na polu twórczości dramatycznej. Głównym motywem jej wczesnych utworów, m.in. *Mitte des Lebens* (1957, *Środek życia*) i *Die Schaukel* (1958, *Huśtawka*), wystawianych na wielu scenach NRD, jest oddziaływanie idei socjalizmu na osobowość człowieka. W dziedzinie prozy zadebiutowała tomem opowiadań *Mosaikensteine* (1959, *Kamyki mozaiki*) o życiu prostych ludzi i problemach dnia codziennego, które pod jej piórem nabierają głębszej wymowy. Rozgłos przyniosła E. powieść *Der Weg aus der*

*Einsamkeit* (1962, *Droga z samotności*), rozgrywająca się we Francji okresu międzywojennego i ukazująca drogę życiową kobiety, która zwątpiwszy w swoje mieszczańskie otoczenie, przechodzi do szeregów robotniczych. Sukcesem była powieść *Die Rechte des Herzens* (1965, *Prawa serca*) o kształtowaniu się nowej, socjalistycznej moralności. Na uznanie zasługuje też tom opowiadań *Trost* (1969, *Pociecha*), w którym autorka plastycznie przedstawia bezpośrednie sąsiedztwo dobra i zła, ascezy i żądy seksualnej w życiu człowieka. E. jest również autorką biografii słynnego kompozytora, noszącej tytuł *Beethoven* (1967). Głęboka, humanistyczna treść i jednoznaczna wymowa ideologiczna utworów E. pozwalają zaliczyć jej twórczość do czołowych osiągnięć realizmu socjalistycznego w NRD. W 1963 za swoją postępową twórczość literacką E. otrzymała Nagrodę im. H. Manna, a w 1966 – Nagrodę Państwową NRD”.

Najchętniej wypożyczyłbym książkę, ale bibliotekarka wyjaśniła, że jest to pozycja przypisana do księgozbioru podręcznego i można z niej korzystać tylko na miejscu. Raz jeszcze przeczytałem więc uważnie tekst biogramu. Starłem się zapamiętać najważniejsze fakty.

Trochę zaskoczyła mnie data urodzenia Anny Eckart. Szybko obliczyłem, że pisarka skończyła sześćdziesiąt jeden lat. Na podstawie zdjęć dawałem jej o dziesięć mniej. Rozczarował mnie natomiast brak jakichkolwiek danych na temat ewentualnych związków z Polską. Liczyłem po cichu na informację typu: „Tłumaczyła na niemiecki wiersze Broniewskiego i Szymańskiego”, albo: „Była częstym gościem Międzynarodowych Targów Książki w Warszawie” – jakkolwiek uwagę potwierdzającą, że Anna Eckart przyjeżdżała tu i mogła znać nasz język. Chętnie dowiedziałbym się też czegoś więcej o jej wcześniejszych latach, sprzed kariery literackiej. Jednak na ten temat autor lapidarnego biogramu milczał. Nie podał nawet, gdzie pisarka się urodziła.

Nie kryłem przed bibliotekarką, że jestem skromną notą trochę zawiedziony, ale poszukiwanie obszerniejszej w encyklopediach i innych słownikach nie dało rezultatu. Okazało się też, że w katalogu nie ma żadnej książki Eckart. Kobieta, która ponownie okryła się kocem, wyjaśniła przepraszająco, że w ostatnich kilku latach musiała bardzo zmniejszyć zakupy.

– Wie pan, książki coraz droższe, a fundusze bibliotek od lat takie same. Musimy wybierać to, co najbardziej wartościowe i najbardziej poszukiwane. Jeśli uda się to kupić. Ludzie błagają o *Przeminęło z wiatrem*, a ja nie mam ani

jednego egzemplarza. Proszę zobaczyć, co mi przysłali w zamian: *Lenino. Początek drogi*. Na *Lot nad kukułczym gniazdem* czekałam prawie rok. Zresztą jeden egzemplarz to i tak za mało. Ludzie ciągle się o to biją.

Bibliotekarka odgarnęła dłonią wpadające w oczy kosmyki włosów i poczęstowała mnie słonym paluszkiem.

– A o co teraz ludzie pytają najczęściej? – szczerze się zainteresowałam.

– O *Aмерыkańskich chłopców*, ale...

Kobieta wyjęła z szuflady biurka prawie nowy egzemplarz powieści Stevena Phillipa Smitha, pomachała mi nim przed nosem i szybko schowała.

– Nie mam pojęcia, co ludzi pociąga w tej książce – kontynuowała. – Pewnie jej wulgarność. Zdecydowałam się jej nie wypożyczać.

Dotarło do mnie, że sympatyczna kobieta jest kimś w rodzaju samozwańczego cenzora, dbającego o to, by do rąk czytelników nie trafiła żadna pozycja, która mogłaby być źródłem zgorzenia i prowadzić do bezbożności. Chętnie zajrzałbym do jej szuflady i dowiedział się, jakie jeszcze tytuły trafiły w Starym Krzyżu na listę lektur zakazanych. *Dekameron? Żywoty pań swawolnych? Ulisses?*

– Ale chyba coraz mniej ludzi czyta książki – stwierdziłam raczej, niż zapytałam.

– O tej porze rzadko ktoś przychodzi, ale po południu, zwłaszcza w piątki, są tłumy – zapewniła. – Głowa puchnie, nogi boją, ale lubię, kiedy jest ruch. A czytelników ciągle przybywa. Zwłaszcza od grudnia.

Kobieta była chyba trochę zawiedziona, że niczego nie wypożyczyłam. Ale życzliwie odpowiedziała mi, żebym poszukał książek Anny Eckart w drugiej bibliotece, przy ulicy Drzymały. Od razu też jednak dodała, że to bardzo skromny księgozbiór i szanse na znalezienie pozycji, której nie ma u niej, są niewielkie. Zapamiętałam adres, ale nigdy tam nie dotarłam.

Po wyjściu z biblioteki skierowałam się z powrotem w stronę hotelu, ale nie skręciłam w Poznańską, a poszedłam dalej, żeby lepiej poznać miasto. Dotarłam do jego serca, na rynek. Na środku stał dziewiętnastowieczny ratusz, w jednym z rogów zachowano starą, od dawna nieczynną, okazałą pompę, przypominającą bogato zdobiony, wielobarwny sarkofag, w innym zorganizowano przystanek dla autobusów dalekobieżnych, natomiast w okalających plac kamieniczkach wypatrzyłam pocztę, sklep filatelistyczny, cukiernię, dwie przytulne kawiarnie, muzeum oraz kino, w którym leciał stary film z Louistem de Funèsem.

Najpierw wstąpiłam na pocztę. Kupiłam kopertę z papierem listowym i napisałam kilka słów do Krysi, informując ją, że misja, której się podjąłem,

zaprowadziła mnie do miejscowości Stary Krzyż. Zakończyłem słowami: „Na razie żadnych konkretów, ale liczę na to, że wkrótce dowiem się czegoś więcej”. Po chwili wahania wstawiłem między ostatnim zdaniem a podpisem jeszcze trzy słowa: „Ściskam Cię mocno”. Uznałem, że nawet jeśli wiadomość wpadnie w ręce gburowatego męża „najpiękniejszej kobiety w Europie Wschodniej”, raczej nie zostanie przez niego zrozumiana, mogę więc sobie pozwolić na odrobinę czułości.

Zastanawiałem się, czy użycie adresu, który zapamiętałem z białej koperty, nie zdradzi Krystynie, że grzebałem w jej rzeczach, ale w końcu uznałem, że nie ma nad czym deliberować, bo tylko tak mogłem poinformować ją o postępach w śledztwie. Kupiłem znaczek, przykleiłem go i wrzuciłem list do skrzynki. Wiedziałem oczywiście, że służby kontrolujące korespondencję zapoznają się z jego treścią, ale liczyłem na to, że odpowiedni urzędnik w Poznaniu niekoniecznie zdecyduje się poinformować kolegę w Warszawie o tym, czego się dowiedział, bo nie napisałem przecież nic konkretnego. Świadomie nie użyłem w tekście żadnych imion i nazwisk. Napisałem o „misji”, a nie o „poszukiwaniu Anny Eckart”.

Kiedy już wychodziłem z poczty, przyszło mi do głowy, że powinienem też skreślić kilka słów do mamy. Nie zawiadomiłem jej o wyjeździe i pomyślałem, że będzie się denerwować, jeśli nie pojawię się u niej w ciągu kilku najbliższych dni. Zadzwoić nie mogłem, bo nie miała telefonu. Wróciłem więc do środka, kupiłem jeszcze jedną kopertę z czystą kartką w środku, ale ponieważ uświadomiłem sobie, że Szary Garnitur może kontrolować listy przychodzące do moich bliskich, po chwili zastanowienia wyrzuciłem ją do kosza. Nie chciałem, żeby władze wiedziały, gdzie jestem.

Przy wyjściu z budynku stała waga tak stara, że odchodziły z niej płyty poszarzałej farby olejnej, która dawniej była prawdopodobnie czerwona. Bezmyślnie wszedłem na niewysoki podest, wrzuciłem złotówkę i czekałem na wynik, ale wskazówka nawet nie drgnęła. Przyjąłem to ze stoickim spokojem. W Warszawie podobne automaty – saturatory ze szklankami na łańcuchach, szafy wypełnione przeterminowanymi herbatnikami i mniejsze szafki wydające kartki z horoskopami na każdy dzień roku – zazwyczaj nie działały.

Już chciałem zejść, gdy nagle z niewielkiego otworu na wysokości mojego brzucha wysunął się niebieski bilecik z informacją: „Ważysz 58 kg”, i dopisaną u dołu mniejszą czcionką sentencją: „Ciesz się każdą chwilą. Życie jest krótkie. Czas to szczęście”.

Waga oczywiście się nie zgadzała. A dodana do niej maksyma wydała mi



się banalna. Ponieważ w pobliżu nie było kosza na śmieci, chciałem cisnąć kartonik na chodnik, ale zmieszany karcącym spojrzeniem kobiety handlującej plastikowymi torbami, wsunąłem go do kieszeni.

Postanowiłem sprawdzić, jakie atrakcje oferuje muzeum w Starym Krzyżu. Okazało się, że wchodzi się do niego nie z rynku, a z jednej z bocznych ulic. Dopiero tam, na drzwiach, znalazłem tablicę precyzującą, o jaką placówkę chodzi: muzeum historyczne. Kupiłem u sympatycznego starszego pana bilet za dwadzieścia złotych i wszedłem do środka.

Cała ekspozycja mieściła się zaledwie w czterech niedużych, słabo oświetlonych salach. Przeważały zdjęcia Starego Krzyża z okresu międzywojennego i czasu drugiej wojny światowej. Największe wrażenie robiły te najstarsze, z lat 1923–1939. Jak przeczytałem na niewielkiej tablicy, autorem większości był Johann Vogel, Niemiec, który został w mieście po odzyskaniu przez Polskę niepodległości i powstaniu wielkopolskim. Dopiero na początku czterdziestego piątego, kiedy Armia Czerwona była już blisko, opuścił wraz z pozostałymi rodakami Alt-Kreuz, bo tak nazywał się wtedy Stary Krzyż, włączony po wybuchu drugiej wojny światowej do Rzeszy, i udał się na zachód. Uważano, że archiwum zakładu fotograficznego, który prowadził, zabrał ze sobą albo zniszczył. Tymczasem w połowie lat siedemdziesiątych, podczas renowacji domu, w którym mieszkał, na strychu odkryto kilkaset starannie zabezpieczonych negatywów. Większość portretowała mieszkańców, duża część ukazywała życie prywatne rodziny fotografa, ale całkiem sporo poświęcono życiu miasta.

Ze zdjęć sprzed 1939 roku wyłaniał się obraz wielokulturowej społeczności, żyjącej w zgodzie i harmonii. W Starym Krzyżu było wtedy miejsce i na okazały siedemnastowieczny kościół katolicki, i na bardziej ascetyczną, dziewiętnastowieczną świątynię ewangelicką, i na skromną dwudziestowieczną synagogę. Z obszernych opisów dowiedziałem się, że synagogę Niemcy wkrótce po wejściu do miasta we wrześniu trzydziestego dziewiątego kazali polskim robotnikom rozebrać, a kościół katolicki przerobili na magazyn dóbr rabowanych żydowskim i polskim sklepikarzom, później zaś na skład zboża, i dopiero po wojnie udało się przywrócić mu dawny charakter i świetność. Co ciekawe, świątynia ewangelicka zaraz po wyzwoleniu również została zamknięta na głucho, obecnie zaś służy katolikom.

Bardzo długo oglądałem rozwieszony w pierwszych dwóch salach przedwojenne obrazy życia w Starym Krzyżu. Były to zwykłe małomiasteczkowe scenki, w duszach takich jak moja nieodmiennie

przywołujące tęsknotę za czasem, który bezpowrotnie minął: wielki turniej z udziałem robotników fabryki firanek Kaczmarka i wytwórni olejków Szlenkiera na placu Reja oraz przylegających do niego ulicach, zakupy w małym żydowskim sklepiku cukierniczo-owocowym, powitanie wojewody poznańskiego, pułkownika Ludwika Bociańskiego, na odświętnie przystrojonym peronie dworca kolejowego, przerwa śniadaniowa w eleganckim wnętrzu banku, ćwiczenia gimnastyczne młodzieży w cieniu lip przed budynkiem szkoły, wypoczynek uzbrojonego w miotłę stróża przed wejściem do zadbanej kamienicy w środkowej części Szerokiej, spotkanie dwóch wozów z węglem u wylotu Żelaznej, gdzie jezdnia jest tak wąska, że doprawdy nie wiadomo, jak mogły się wyminąć...

Ekspozycja w sali trzeciej poświęcona została zajęciu Starego Krzyża przez Niemców we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku. Chociaż zdjęcia robił ten sam Johann Vogel, ich charakter i tonacja były zupełnie inne. Fotografą przestało interesować życie sąsiadów, skupił się na portretowaniu barbarzyńców – swoich rodaków – biorących miasto we władanie. Także opisy zdjęć były teraz trochę inne, bardziej lakoniczne. „Ulica Szeroka, dwaj motocykliści w charakterystycznych dwurzędowych gumowanych płaszczach, uzbrojeni w karabiny Mauser”. „Przejazd przez miasto kolumny wozów taborowych; flaga hitlerowska na jednym z nich jest znakiem rozpoznawczym dla lotnictwa”. „Niemiecki żołnierz fotografuje z samochodu spalony budynek banku”. „Na stanowisku dowodzenia, zorganizowanym w ogrodzie pałacu Ponieckich, niemieccy oficerowie analizują mapy i zebrane informacje”.

W sali czwartej, poświęconej okresowi, kiedy Stary Krzyż zmienił nazwę na Alt-Kreuz i stał się częścią Trzeciej Rzeszy, znalazło się tylko kilka zdjęć. Wszystkie dokumentowały zdarzenia niezwykle dramatyczne, kilka z nich – wywózkę Żydów zamieszkałych w mieście do gett na terenie Generalnego Gubernatorstwa, a stamtąd do obozów zagłady, inne – nocne eksmisje całych polskich rodzin wytypowanych do wysiedlenia.

Zastanawiałem się, co myślał Johann Vogel, kiedy fotografował te sceny. Czy współczuł ludziom, których codzienne troski obserwował i utrwał na kliszy filmowej od lat? Czy wprost przeciwnie – cieszył się, że Alt-Kreuz uwolni się wreszcie od motłochu, który nie zasługuje na to, by dzielić przestrzeń życiową z rasą panów, jego rasą? Czy może w ogóle się nad sensem fotografowanych zdarzeń nie zastanawiał? Dokumentował życie miasta tak, jak to robił wcześniej. Uważał się za przedłużenie obiektywu, który nie jest zdolny do refleksji, nie rozpacza nad ludzkim cierpieniem i nie raduje się niczym szczęściem.

Kiedy o tym wszystkim rozmyślałem, podszedł do mnie mężczyzna, który wcześniej sprzedał mi bilet. Jak się okazało, to on stworzył muzeum i on sam się nim opiekował. Podzieliłem się z nim swoimi wątpliwościami. Uśmiechnął się dobrotliwie.

– Nie znałem Vogla – wyjaśnił. – Przyjechałem do Starego Krzyża po wojnie. Ale mówią, że to był porządny człowiek. Walczył do upadłego, żeby ocalić swojego laboranta, Polaka, którego za kupno kawałka mięsa od chłopca skazano na śmierć. Podobno interweniował w Berlinie. Wiele ryzykował. Okazywanie sympatii Polakom nie było mile widziane. Sam mógł trafić za kraty.

– Uratował go? – zainteresowałem się.

– Chyba pan żartuje! – Zdziwił się moją naiwnością. – Ale w późniejszym okresie otoczył opieką jego rodzinę. Jest tu dobrze wspomniany.

– No, ale w czterdziestym piątym uciekł jak inni – zauważyłem.

– Wszyscy Niemcy wtedy uciekali – wyjaśnił. – Ale akurat tacy jak Vogel nie mieli się czego bać. Nie ze strony mieszkańców. Wiali przed Rosjanami. Wie pan, co ich czekało. Wywózka na Wschód albo rozwałka.

– Nigdy nie wrócił? Nie chciał odzyskać swojego archiwum?

– Pewnie zmarł. Albo nie chciał wracać wspomnieniami do tamtych czasów. Także dla niego zbyt bolesnych.

Zapytałem kustosza, dlaczego w czwartej sali większość gablot jest pusta.

– Ciężko mi o tym mówić – odezwał się po chwili. – Mieliśmy tu włamanie. W grudniu, zaraz po trzynastym.

– Muzeum, jak rozumiem, było po wprowadzeniu stanu wojennego nieczynne – stwierdziłem raczej, niż zapytałem.

– Czynne, oczywiście, że czynne – zaprotestował. – W miasteczkach takich jak nasze stan wojenny miał zupełnie inny przebieg niż w Warszawie czy Gdańsku. Nikomu nie przyszło do głowy, żeby zamykać muzeum. Ale do włamania doszło oczywiście w nocy, kiedy nikogo tu nie było. Ktoś wdarł się do środka, powybił szyby w gablotach, poniszczył zdjęcia. Wszystko poszło do kosza. Prawie wszystko. A to była naprawdę ciekawa część ekspozycji. Pokazywała życie miasta podczas okupacji. Usuwanie napisów z budynków i zastępowanie ich niemieckimi, demontaż pomnika powstańców wielkopolskich, przymusową pracę dzieci w gospodarstwach zajętych przez Niemców. Wszystko przepadło. Nadal mam co prawda negatywy, ale odszukanie odpowiednich klatek to robota na miesiące. Zachowałem się jak idiota i nie zaznaczyłem sobie, które filmy zawierają najciekawsze ujęcia. Powinienem się do tego zabrać, ale brakuje mi już sił i energii.

Zdziwiłem się tym aktem wandalizmu.

– Nie wie pan, kto to zrobił?

– Na pewno nikt stąd. – Kustosz ściszył głos. – Podejrzewam, że żołnierze. Nie mieli gdzie się napić, było zimno, zobaczyli, że muzeum nie jest strzeżone, wybili szybę w drzwiach i bez trudu dostali się do środka. Alkohol kupili gdzieś na mecie. Na podłodze zostały puste butelki po wódce Baltic, wie pan, z taką niebieską nalepką z żaglowcem. A jak się napili, zaczęli rozrabiać. Nie zastanawiali się nad tym, jaką wartość mają te zdjęcia dla innych. Podarli, podeptali i poszli.

– Ale przecież tu nie ma wojska! – zaprotestowałem. – Wiem, że w hotelu mieszkają jacyś komisarze, ale po co mieliby się włamywać do muzeum? Mogą przecież pić u siebie.

– Jest wojsko, jest – wyjaśnił. – Od trzynastego grudnia. Cała kompania. Zakoszarowali ich na terenie PGR-u, w dawnym majątku Ponieckich, kilka kilometrów stąd. Nie wiem po co. Ale wojna to wojna, widocznie wszędzie musi być wojsko. Powiem panu, że ja nawet tych chłopców rozumiem. Powyciągali ich z domów, od matek, i wrzucili na długie miesiące do jakiejś obory, bez wygod, może nawet bez ogrzewania, bez rozrywek, to co mają robić? Wykradają się nocą do miasta, bo nie słyszałem, żeby dawali im przepustki, i co robią? Szukają taniej wódki i tanich dziewczyn. A jedno i drugie można u nas znaleźć. Jak wszędzie.

– Ale taki bezmyślny wandalizm?

– Wariują. Pan by nie wariował? Co nie znaczy, że mi nie żal tych zdjęć. Straszna strata!

A więc w pobliżu Starego Krzyża stacjonowało wojsko. Nie bardzo jednak mogłem uwierzyć w opowieść o żołnierzach niszczących wojenne fotografie. Zgoda, mogli szukać ciepłego schronienia na nocne picie. Ale pozrywać i podrzeć stare zdjęcia?

– Podobno ktoś zabił w Starym Krzyżu nauczyciela. – Przypomniałem sobie zdarzenie, o którym dowiedziałem się z opozycyjnej gazetki.

Kustosz jeszcze bardziej ściszył głos.

– To prawda – potwierdził. – W styczniu. Wraciał skądś nocą i ktoś pchnął go nożem w pierś. W samo serce. Facet nie miał żadnych szans.

– Słyszałem, że wydłubano mu oczy. – Przywołałem fakt, o którym przeczytałem.

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Mój rozmówca nie krył zdumienia. I dodał: – To był spokojny człowiek, nauczyciel przyrody. Chodził po lesie, robił zdjęcia roślinom, drzewom, ptakom, sarnom. Do dziś nie wiadomo, kto

go zabił. Ale ludzie mówią, że to też sprawka żołnierzy. Bo nikt stąd by go nie skrzywdził. Poza tym rana została podobno zadana bagnetem. Szerokość, głębokość, wszystko się zgadzało.

– Jak pan to sobie wyobraża? – Teraz ja się zdziwiłem, zwłaszcza że autor notatki, którą przeczytałem, napisał, iż za zabójstwem stoi bezpieka. – Żołnierze, niech będzie, pijani żołnierze, spotykają na ulicy nieznanego, jeden wyjmuje bagnet i wbija mu w serce?

– Wie pan, może się awanturowali, hałasowali, a nauczyciel, jak to nauczyciel, zwrócił im uwagę. Któryś wyjął bagnet, pogroził mu, nauczyciel coś odburknął, ten w gniewie zaczął wymachiwać ostrzem, może chciał go tylko postraszyć. Pchnął, trafił w serce i po wszystkim.

– Rozumiem, że było śledztwo? – zapytałem.

– No tak, przyjechali nawet jacyś z województwa, ale słyszałem, że ostatecznie przejęła je prokuratura wojskowa, po czym wszystko ucichło. Co tylko potwierdza, że zrobili to żołnierze. Sprawę zatuszowano, bo wojsko ma nas przecież chronić przed warchołami z Solidarności i nie może być zamieszane w jakąś awanturę. A w morderstwo tym bardziej. Może zresztą złapali zabójcę. I ukarali. Ale nas nie będą o tym informować.

Pomyślałem, że niczego więcej się nie dowiem. Mężczyzna chyba nie do końca orientował się w przebiegu zdarzenia. Ale kiedy miałem się już pożegnać, przyszło mi do głowy, żeby i jemu pokazać zdjęcie Anny Eckart. Obejrzał je uważnie. Obracał w palcach, mruzczał coś pod nosem, ale w końcu stwierdził:

– Nie, nie było jej tu. Nie przypominam sobie nikogo takiego.

Dopiero po rozmowie z kustoszem przyszło mi do głowy, że śmierć nauczyciela i zaginięcie Anny Eckart, dwa dramatyczne zdarzenia w małym mieście, mniej więcej w tym samym czasie, mogło coś łączyć. Czy Anna Eckart też padła ofiarą zabójcy? Tego samego zabójcy? A ciało? Mógł je ukryć. Dlaczego więc nie ukrył ciała nauczyciela? Pytania, pytania, pytania. I nadal żadnych odpowiedzi.

Po wyjściu z muzeum kupiłem na rynku zapiekankę z serem i pieczarkami. Stwierdziłem, że musi mi wystarczyć za obiad. Wiedziałem, że jeśli będę wszystkie posiłki jadł w hotelowej restauracji, moje fundusze szybko stopnieją. Zapiekanka była zresztą smaczna – o wiele lepsza niż podobne przysmaki w Warszawie. Może dlatego, że pieczywo pachniało świeżością, co w Warszawie przecież się nie zdarza.

Resztę dnia postanowiłem spędzić w hotelu. Po drodze kupiłem w małym sklepie spożywczym dwie paczki herbatników, które zamierzałem zjeść na

kolację. W recepcji natknąłem się na ładną dziewczynę, która mnie meldowała. Wydała mi klucz, ale tak jak dzień wcześniej nie zwracała na mnie uwagi. Zapytałem, gdzie mógłbym obejrzeć transmisję z towarzyskiego meczu NRD–Włochy, interesującego nie tylko dlatego, że z drugą z tych drużyn mieliśmy się za kilka miesięcy zmierzyć podczas rozgrywek mundialowych w Hiszpanii. Niestety okazało się, że w hotelu nie ma telewizora.

Już miałem udać się do pokoju, kiedy podbiegł do mnie potargany młody mężczyzna o lisiej mordce i zawołał:

– Redaktorze! Witam! Skąd pan tutaj?

Dopiero po chwili go sobie przypomniałem. Nadal nie pamiętałem jednak, jak się nazywa i w jakich okolicznościach go poznałem. Pracował w redakcji poznańskiego „Głosu Wielkopolskiego”. Jak wyjaśnił, przyjechał do Starego Krzyża, żeby porozmawiać z towarzyszem Aleksandrem Juszcakiem z Komitetu Miejskiego PZPR o festynie mającym się odbyć w niedzielę drugiego maja.

– Oczywiście wiadomo, co to za impreza. – Mrugnął porozumiewawczo. – Święto Pracy bis. Ale ludzie przychodzą. Wystarczy tania kiełbasa bez kartek. A są też inne atrakcje. W zeszłym roku na stadionie śpiewała Sipińska. Co prawda, kiedy zaczął się pokaz skoków spadochronowych i ludzie odwrócili się od sceny, przerwała i powiedziała, że nigdy więcej do Starego Krzyża nie przyjedzie. Któż to jednak pamięta? W tym roku wystąpi orkiestra rogów myśliwskich, będzie enerdowski cyrk, ale wszyscy najbardziej czekają na mecz piłkarski Czarni Stary Krzyż–Dynamo Małyje Gołuboczki. Po rozmowie z Juszcakiem będę wiedział coś więcej.

Zaczął też wypytywać, co ja robię w Starym Krzyżu, ale zgasilem go krótkim stwierdzeniem, że przyjechałem prywatnie. Nie dałem się też namówić na wieczorne picie. Skłamałem, że jestem już z kimś umówiony.

– Szkoda. – Szczerze się zmartwił. – W tym cholernym mieście wieczorami nie ma co robić. Mecz nie ma gdzie obejrzeć, w kinie leci jakiś stary film, a kurwy mogłyby być moimi matkami...

Ucieszyłem się, że tak łatwo udało mi się go spławić, ale kiedy kilka godzin później leżałem w ciemnościach i nie mogłem zasnąć, bo przenikliwy zapach nikotyny, który wżarł się w tkaniny zasłon i firanek oraz obicia łóżka, działał na mnie, niepalącego, jak środek pobudzający, trochę żałowałem, że odrzuciłem zaproszenie.

Sięgnąłem po czasopisma, które wpadły mi w ręce w pociągu. W „Przekroju” znalazłem artykuł o hitlerowskich planach zbudowania na

gruzach Zamku Królewskiego w Warszawie hali kongresowej podobnej do tej, jaką postawiono na zjazdu nsdap w Norymberdze. Z trudem przebrnąłem przez najeżony mało istotnymi szczegółami tekst. Na szczęście przypomniałem sobie, że mam też książkę. *Baśnie* Anny Eckart. Dość łatwo odnalazłem opowieść o zakochanym królu z krainy Ur, ale nie mogłem sobie przypomnieć, w którym miejscu przerwałem lekturę. Zacząłem od przypadkowej strony.

Gotfryd był gotów zrobić wszystko, aby uszczęśliwić Inge. Ale księżna zwlekała z wyznaczeniem ostatniego zadania. Można było wręcz odnieść wrażenie, że o nim zapomniała. Nadszedł jednak poranek, kiedy powróciła do tematu. Zaczęła od ujawnienia ukochanemu pielęgnowanej na dworze w Zäär tajemnicy wiecznej młodości i nieprzemijającej urody.

– Jeśli zastosujesz się do moich zaleceń – powiedziała – nie zestarzejesz się, nie rozchorujesz i nie zaczniesz tracić włosów. Twoja skóra nie zwiotczeje, oczy zachowają blask. Nie opadniesz z sił.

– Cóż mam robić? – zapytał władca.

– Na dworze w Zäär każdego poranka kąpiemy się w zbiorniku wypełnionym łzami poddanych – wyjaśniła Inga. – Łzy mają bowiem właściwości, z których mało kto zdaje sobie sprawę. Jeśli chcesz, bym tu pozostała, musisz stworzyć podobny zbiornik, wystarczająco duży, by nie zabrakło w nim miejsca nie tylko dla nas dwojga, ale też dla moich dworek.

– Jak duży? – dopytywał się król.

– Duży. Tak duży, byśmy mogli nazwać go stawem. Co ja mówię? Stawem? Jeziołem. Nie. Jeszcze lepiej: morzem. Morzem łez.

Morze łez? Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Ale Gotfryd wierzył, że poddani go nie zawiodą. I jeszcze tego dnia ogłosił pobór nadzwyczajnego podatku. W postaci łez. Każdy mieszkaniec Ur, bez względu na stan, miał obowiązek dostarczyć do pałacu kwartę tygodniowo. W zamian król zwolnił wszystkich na czas nieokreślony z obowiązku utrzymania wojska.

Kwarta? Jak uzyskać taką ilość łez? Zwłaszcza że w Ur niebawem zabrakło cebuli, która najpewniej wyciska z oczu łzy. A przeraźliwie smutne melodie, wykonywane całymi dniami przez dworską orkiestrę, docierały tylko do mieszkających w pobliżu zamku.

Ludzie w obawie przed gniewem władcy zaczęli uzupełniać miarki ze łzami wodą morską. Ale księżna Inga w sobie tylko znany sposób demaskowała oszustów. Gotfryd, wściekły, że termin ślubu ciągle się oddala, nakazał karać ich chłostą.

Mieszkańcy królestwa Ur byli zdumieni przemianą, jaka zaszła w ich panu. Sprawiedliwy, dobry władca stał się pod wpływem ukochanej głuchym na cierpienie ludu tyranem. Ale choć wizja chłosty przerażała ich, mało kto był w stanie dostarczyć na zamek kwartę łoż tygodniowo.

Tymczasem księżna Inga z przerażeniem przyglądała się w lustrze swej szarzejącej skórze. Któregoś dnia spakowała rzeczy i zapowiedziała powrót do Zäär.

Gotfryd błagał ukochaną, by została, ale wiedział, że jeśli nie przyspieszy prac, utraci ją bezpowrotnie. Zaczął szukać bardziej skutecznych sposobów pozyskiwania łoż. Wiedział, że musi być bezlitosny. Wydał strażom rozkaz, by odbierały rodzicom dzieci, mężom żony, osobom samotnym ukochane zwierzęta.

W krótkim czasie w królestwie nie było osoby, która nie zostałaby rozdzielona z kimś bliskim. Wszyscy cierpieli. A im bardziej cierpieli, tym więcej łoż byli w stanie dostarczyć.

Zbiornik nareszcie zaczął się napełniać. Aż w końcu król zaproponował księżnej pierwszą wspólną kąpiel. Kiedy zdjęła szaty, nie mógł nasycić oczu widokiem jej doskonale uformowanego ciała. Patrzył z zachwytem, jak ukochana zanurza się powoli w mętnej toni. Szybko się rozebrał i podążył za nią.

Nagle usłyszał rozpaczliwy krzyk najdroższej. Niemal w tej samej chwili sam zawył z bólu. Miał wrażenie, że miliony łoż zebranych z takim trudem nabrały ostrych kantów i kaleczą jego ciało.

Dopiero po chwili zrozumiał, że wszystkie bez wyjątku zamieniły się w twarde, tnące jak małe ostrza diamenty.

Co za bogactwo!, pomyślał.

Chciał zbliżyć się do ukochanej, która wzywała go, przerażona, ale nie był w stanie. Miał uczucie, że zapada się w morzu małych, iskrzących kamieni.

Kiedy stracił Inge z oczu, z jego piersi wydobył się szloch rozpaczny.

Wiedział, że nadeszła godzina zapłaty za cierpienia, na jakie skazał swój lud...

Baśń o morzu łoż zaintrygowała mnie na tyle, że postanowiłem w następnych dniach wrócić do niej i przeczytać w całości, bez omijania niektórych fragmentów. A kiedy zacząłem rozglądać się za kawałkiem papieru, którym mógłbym założyć odpowiednią stronę, przypomniałem sobie niebieski kartonik wypluty przez wagę na rynku. Znalazłem go w kieszeni spodni wiszących na oparciu fotela.



Raz jeszcze odczytałem groszową sentencję, która teraz, w ciszy nocy, zabrzmiała złowieszczo. Jakby ktoś ostrzegał mnie, że jestem w niebezpieczeństwie. I radził cieszyć się życiem, póki jeszcze czas.

Przedarłem kartonik na pół i wyrzuciłem do kosza. Byłem pewien, że bez większego trudu znajdę w książce baśń o Gotfrydzie i jego okrutnej ukochanej. Ale kiedy zgasiłem światło, aforyzm powrócił niczym groźne memento. „Ciesz się każdą chwilą. Życie jest krótkie. Czas to szczęście”.

– Ciesz się każdą chwilą – powiedziałem głośno. – Życie jest krótkie...

15 kwietnia 1982, czwartek

Śniadania w hotelowej restauracji to oczywiście wygoda i przyjemność, ale też spory wydatek. Najchętniej zaspokajałbym pierwszy głód w swoim pokoju kromką chleba z białym czy żółtym serem kupionym w pobliskim sklepie spożywczym, co wypadaloby znacznie taniej. Nie potrafię się jednak obyć podczas posiłków bez gorącej herbaty, a gorącej herbaty w pokoju nie bardzo można się było napić. Chyba że zdobyłbym czajnik elektryczny albo grzałkę. Postanowiłem się za nimi rozejrzeć. Zwłaszcza że nic nie wskazywało na to, bym miał w ciągu kilku najbliższych dni opuścić Stary Krzyż.

Tym razem zdecydowałem się zaszaleć. Usiadłem w restauracji, zupełnie sam, i zamówiłem jajko w majonezie z szynką. Potrawa wydała mi się kusząca, szynki nie widziałem bowiem od kilku miesięcy. Okazało się, że do jajka przysługuje tylko jeden plasterek, ale potrafiłem go docenić, smakował wybornie.

Podczas jedzenia mimochodem zagadnąłem kelnera, z którym rozmawiałem dzień wcześniej, o styczniowe zabójstwo nauczyciela.

– Znałem człowieka. – Chętnie podjął temat i zaraz dodał, że jego syn był uczniem zamordowanego. – Zresztą kto go tu nie znał? Wie pan, w głowie mi się nie mieści to, co się stało. Ludzie gadają, że to żołnierz, ci z PGR-u, ale jakoś nie chce mi się wierzyć. Co im do jakiegoś nauczyciela? Przecież to nie są chłopcy stąd! Nie mogli go znać!

– A ja słyszałem, że to robota bezpieki. – Byłem ciekaw, czy zna tę wersję.

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Kelner ściszył głos.

– Czy to prawda, że wykłuto mu oczy? – brnąłem dalej.

– Co pan? – Tym razem szczerze się zdziwił, co oczywiście nie oznaczało, że informacja podana przez prasę solidarnościową nie była prawdziwa. Może rzeczywiste obrażenia ofiary ukryto przed społecznością Starego Krzyża? Kelner w każdym razie wyjaśnił, że wie tylko o jednym ciosie ostrym narzędziem w serce.

– Słyszałem, że śledztwo przejęło wojsko? – dopytywałem dalej.

– Może takimi sprawami zajmuje się teraz wojsko – zasugerował.

– Mordercy w każdym razie nie znaleziono. – Drażyłem temat.

– Ano, nie znaleziono. Moim zdaniem to nikt stąd. Obcy. Zabił, zniknął. I jeśli znów nie zabije... Nie dopadną gościa.

– Rodzina dowiadywała się o postępy w śledztwie? – zapytałem, chociaż

przypuszczenie, że kelner ma informacje na ten temat, było idiotyczne.

– Czy ja wiem? Zresztą ten Frąckowiak, bo on się Frąckowiak nazywał, miał tylko żonę. Siedzi teraz sama. Gadają, że pije.

– Gdzie mieszka? – Nie ulegało wątpliwości, że ona może wiedzieć coś więcej o śmierci męża.

– Myśli pan, że zabójstwo Frąckowiaka miało coś wspólnego ze zniknięciem tej Niemki, którą pan mi pokazywał? – Kelner połączył fakty.

– Wszystko możliwe, prawda? – Nie chciałem wdawać się w bardziej szczegółowe rozważania na ten temat.

Kelner podrapał się po brodzie i powiedział:

– Frąckowiakowa mieszka przy dworcu. Taki czerwony dom. Nieotynkowany. Powinien ją pan zastać, bo pracuje u siebie. Szyje rękawice robocze. Dla Spółdzielni Inwalidów „Wielkopolanka”. Wiem, bo moja stara też u nich dorabia. Chociaż płacą grosze, a wymagają jak dom mody. Krzywo zszyte, to odrzucają i potracają za materiał. Fakt, że nowej pary już się z tego nie robi.

Znowu zostawiłem napiwek, na jaki tak naprawdę nie było mnie stać. Wiedziałem, że znajomość miasta i mieszkańców, jaką dysponował gadatliwy kelner, może mi się jeszcze przydać.

Bez trudu odszukałem w pobliżu dworca mały, brzydki dom z czerwonej cegły, któremu tylko z jednej strony dorobiono maskę z kremowego tynku. Dziwiłem się, że ktoś chciał mieszkać w takim miejscu. W środku pewnie cały dzień i całą noc słychać było dudnienie przejeżdżających pociągów.

Przy furtce nie zauważyłem dzwonka. Pchnąłem ją, nie była zamknięta. W niewielkim, zaniedbanym ogródku stały karmniki różnych kształtów i różnej wysokości. Zwróciłem uwagę na to, że wszystkie są puste. Pomyślałem, że wdowa nie podziela miłości zmarłego męża do świata ożywionego. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że o tej porze roku dokarmianie ptaków nie jest już chyba konieczne.

Podszedłem do drzwi i zapukałem. Nikt nie odpowiedział, ale ciche odgłosy krzątania zdradziły mi, że ktoś jest w środku. Zapukałem raz jeszcze i cierpliwie czekałem. W końcu drzwi się uchyliły. Pojawiła się w nich zaniedbana, nieumalowana i nieuczesana kobieta koło czterdziestki. Kiedy mnie zobaczyła, zsunęła z ramion brzydki stylonowy fartuch w kolorze niebieskim, podobny do tego, który nosiła hotelowa sprzątaczką, i poprawiła fryzurę. Na zmęczonej twarzy pojawił się blady, wymuszony uśmiech.

Przedstawiłem się i wyjaśniłem, że jestem dziennikarzem z Warszawy, oraz dodałem, że szukam niemieckiej pisarki, która zaginęła w tajemniczych

okolicznościach, prawdopodobnie w Starym Krzyżu albo gdzieś w okolicy. Kobieta popatrzyła na mnie nieprzytomnym wzrokiem. Nie mogła pojąć, czego od niej chce. Szybko więc dodałem, że zniknięcie Niemki mogło mieć coś wspólnego z tragedią, jaką była śmierć pana Frąckowiaka. To oczywiście tylko przypuszczenie, nie mam żadnych dowodów, ale badam każdy ślad.

Kobieta przymknęła drzwi tak, że szpara, która umożliwiała nam rozmowę, zwęziła się do kilkunastu centymetrów. Zdecydowanie nie chciała, żebym zajrzał do środka, niewątpliwie wstydziła się nieporządku. Nie była brzydka, ale dawno przestała pielęgnować urodę. Musiało minąć sporo czasu od momentu, kiedy młodzieńcza chęć do życia ustąpiła miejsca zniechęceniu, a ciało, dawniej pełne energii, poddało się, zaczęło usychać, szarzeć i marnieć. Chyba nie była szczęśliwa w związku z człowiekiem, którego wszyscy tak chwalili.

– Pani była żoną pana Frąckowiaka, prawda? – zadałem pytanie, od którego powinienem był zacząć.

– Tak – potwierdziła z ociąganiem. – Zofia Frąckowiak. Przepraszam, że się nie przedstawiłam. – Kobieta poprawiła niedbałym gestem włosy i dodała: – Proszę pana, ja nic nie wiem. Milicjanci przesłuchiwali mnie kilka razy, pytali, jak nam się układało, jakbym to ja dźgnęła Ryśka nożem! Chcieli też wiedzieć, czy nie miał wrogów. Jakich wrogów? Skąd wrogów? Nie mam pojęcia, kto mógł zrobić coś tak strasznego. W tym mieście nigdy nie było zabójstwa! Takie rzeczy to tylko na filmach...

Bąłem się, że się rozklei, ale trzymała się dzielnie. Pomyślałem, że nie mogę tak łatwo dać się spławić.

– Ja to wszystko wiem – zacząłem spokojnie. – Ale zależałoby mi na dłuższej rozmowie z panią. Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej. Jakim człowiekiem był pani mąż? Jakie miał zainteresowania? Z kim się przyjaźnił? Może to mnie naprowadzi na jakiś ślad w sprawie, którą badam. Jeśli pani się zgodzi, wpadnę jutro.

– W sobotę – zaproponowała. – Wolałabym w sobotę. Dziś i jutro jestem strasznie zaorana. Gdyby pan mógł przyjść w sobotę. Albo jeszcze lepiej w niedzielę. Tak, w niedzielę. – Po chwili zaś dodała nieoczekiwanie: – Upiękę szarlotkę. Lubi pan szarlotkę?

– Bardzo – skłamałem. Ciasto z jabłkami nie należało do moich ulubionych przysmaków. Ale byłem gotów się poświęcić i zjeść kawałek czy dwa, żeby dowiedzieć się czegoś, co pozwoliłoby mi lepiej zrozumieć, co dzieje się w tym mieście, jaki robak je drąży.

– No dobrze, to do zobaczenia. – Ucieszyła się. – Jakby pan mógł przyjść

o piątej?

– W niedzielę o piątej. Będę na pewno.

Kiedy zniknęła za zatrzaśniętymi drzwiami, zrozumiałem, że rozmowa się nie kleiła, bo kobiecie przeszkadzały bałagan za plecami, brak makijażu, potargane włosy i szpecący ją strój. Natomiast w niedzielę Zofia Frąckowiakowa chętnie oderwie się na godzinę czy dwie od nudy swojego życia i ze mną pogada, ponieważ przeszkody do tej pory znikną. Wysprząta dom i odpowiednio się przygotuje: pójdzie do fryzjera, odprasuje sukienkę, którą trzyma w szafie na specjalne okazje, umaluje się najpiękniej, jak potrafi. I być może po raz pierwszy od dawna poczuje się kobietą, a nie robotnicą, która dzień w dzień, latem i zimą, wiosną i jesienią, zszywa godzinami takie same duże łaty w brzydkie, nieforemne rękawice.

W ciągu pierwszych dni pobytu w Starym Krzyżu zdążyłem się zorientować, że z dworca do stadionu jest kawał drogi. Odnotowałem też, że instytucja taksówek w mieście nie istnieje. Chcąc nie chcąc, wyruszyłem do Fabryki Naczyń Emaliowanych pieszo. Pogoda była na szczęście ładna, prawdziwie wiosenna.

Na rozstawionych na skwerach ławeczkach emeryci, którzy po kilku chłodniejszych dniach ciągle nie mieli odwagi zmienić zimowych ubrań na lżejsze, wygrzewali się w słońcu. Jakieś dziecko, również opatulone trochę za ciepło, beczało, że mama nie chce mu kupić upatrzonej zabawki. Przed zakładem fotograficznym para zakochanych, trzymając się za ręce, oglądała ślubne zdjęcia. A zbudowany jak atleta, nieogolony mężczyzna, ubrany tylko w obcisłą bawełnianą koszulkę i drelichowe spodnie, próbował umocować do małej przyczepy starą, poobijaną pralkę. W domu naprzeciwko wielka baba z ogromnym biustem bezwstydnie gapiała się na niego przez otwarte okno. Prawdopodobnie to z jej mieszkania dobiegała głośna muzyka. Mieczysław Fogg śpiewał z trzeszczącej płyty: „Gdybym ja miał cztery nogi, dwie krótkie nogi, dwie długie nogi, tobym ja mógł, Boże drogi, raz być wysokim, raz niskim być...”. Pomyślałem, że ta beztroska przedwojenna piosenka bardziej pasuje do rozleniwiającej atmosfery Starego Krzyża niż rockowe przeboje, których pełno w radiu i telewizji.

Nudna egzystencja małego miasta toczyła się nienerwowo, bez zgiełku, bez zbędnej krzątaniny. Zastanowiło mnie, dlaczego ja nie mogę tak żyć. Bez żadnych napięć. Bez silenia się na napisanie najlepszego artykułu świata. Niespiesznie. Ale właściwie od trzynastego grudnia dzięki generałowi Jaruzelskiemu w moim życiu nie było zbyt wielu wyzwania. Trudno jednak powiedzieć, by stan wojenny sprzyjał wewnętrznemu uspokojeniu. Chociaż tu

w Starym Krzyżu było inaczej niż w Warszawie. Nie po raz pierwszy podczas krótkiego pobytu w tym mieście pomyślałem, że wojna do niego nie dotarła. A jednak gdzieś w zakamarkach tego rajy czało się zło. Ktoś zabił Ryszarda Frąckowiaka, skromnego nauczyciela przyrody. Czy ten sam los spotkał Annę Eckart, niemiecką pisarkę, o której wiedziałem tak niewiele?

Tylko kwadrans zajął mi przemarsz z okolic dworca w rejon stadionu miejskiego. Jeszcze kilka minut trwało, nim dotarłem do brzydkich zabudowań oznakowanych zniszczoną tablicą, na której większymi literami napisano: „Fabryka Naczyń Emaliowanych”, a mniejszymi: „im. Wandy Wasilewskiej”.

Spodziewałem się ogromnych hal fabrycznych, a zobaczyłem trzy płaskie, żółte budynki z lat sześćdziesiątych, przypominające raczej biura, otulone płóciennymi transparentami z hasłami w rodzaju: „Socjalizm gwarancją siły i pomyślności ojczyzny”, „Współzawodnictwo pracy wychowuje nowego człowieka” oraz „Oszczędniej gospodarujmy surowcami, paliwami i energią!”.

Wejść do fabryki można było tylko z wybrukowanego kocimi łbami podwórza, a na podwórze nie wpuszczał uzbrojony w śmieszłą flintę, zupełnie jak ze starego filmu, zgarbiony podstarzały jegomość z sumiastym wąsem. Wyjaśniłem, że ja do dyrektora Burego, na co milkliwy strażnik zaprosił mnie do małej budki, pokazał telefon bez tarczy i burknął, że wystarczy podnieść słuchawkę i przycisnąć czerwony guzik. Połączyłem się z sekretarką. Zacząłem tłumaczyć, o co chodzi, ale poirytowana kobieta przerwała mi w pół zdania:

– Dyrektor jest dziś bardzo zajęty!

Zapytałem, kiedy mógłbym się z nim spotkać.

– Proszę spróbować jutro!

Chciałem zapytać, o której godzinie, ale nieprzyjemny trzask w słuchawce oznaczał, że rozmowa dobiegła końca. A więc jednak i tutaj nie wszyscy byli wolni od gorączki, którą tak dobrze znałem ze swojego mrowiska.

Zły, że nic nie wskórałem, wróciłem do hotelu. W recepcji siedział znudzony, elegancki starszy mężczyzna, który prawdopodobnie zastępował obie panie. Na biurku rozłożył gazetę i rozwiązywał krzyżówkę. Wyraźnie się ucieszył, kiedy mnie zobaczył.

– „Służy do zamaskowania” – odczytał. – Na dziesięć liter, druga „r”, piąta „b”, ostatnia „e”.

– „Przebranie” – podpowiedziałem mu. Sprawdził, czy pasuje, i szybko wpisał ołówkiem słowo w odpowiednie okienka.

– Niby proste, a proszę, głowie się nad tym od pół godziny! – wyjaśnił.

Uniósł głowę znad gazety i zapytał o numer pokoju. Kiedy sięgał po klucz, zauważył w przegródce korespondencję.

– Są dla pana wiadomości – oznajmił uroczystym tonem, ale i z lekkim zdziwieniem, widocznie nieczęsto się zdarzało, by goście przekazywali sobie informacje, po czym wręczył mi dwie zaklejone koperty. Pomyślałem, że otworzę je w pokoju, kiedy będę sam.

W pierwszej, niebieskiej, znalazłem lekko zmiętą kartkę wyrwaną z zeszytu w kratkę, zawierającą jedno słowo napisane dużymi drukowanymi literami: WYPIERDALAJ. Tylko tyle. Lapidarny komunikat, którego nie próbowano wzmocnić wykrzyknikiem czy podkreśleniem, oczywiście bez podpisu. Powinienem się właściwie przestraszyć, ale żałosna forma groźby sprawiła, że niespecjalnie się przejąłem. Poczułem nawet pewną satysfakcję. Uznałem, że nie byłoby tego listu, gdybym błędził po omacku. Komuś nie spodobało się, że szukam w Starym Krzyżu rozwiązania zagadki zaginięcia Anny Eckart. Komu? Sprawcy jej zniknięcia? Mordercy? Jakoś nie myślałem o tym, do czego autor listu mógłby się posunąć. Jeśli zabił jedną osobę, bez skrupułów mógłby zabić też pewnie kolejną. Czy nie powinienem się go więc obawiać?

Byłem przekonany, że w drugiej kopercie, białej, czeka mnie coś równie nieprzyjemnego. Tymczasem zawierała napisane kobiecą ręką na pachnącym papierze listowym zaproszenie.

„Nie znamy się jeszcze, ale byłoby nam bardzo miło, gdyby Pan wpadł do nas dzisiaj na kolację. Redaktor Woźniak bardzo ciepło się o Panu wyrażał. Będzie kilka osób. Zapraszamy z mężem o dwudziestej”.

Redaktor Woźniak? Dopiero wtedy przypomniałem sobie, że dziennikarz „Głosu Wielkopolskiego”, który zaczął mnie dzień wcześniej, nazywał się Woźniak. Dariusz Woźniak? Zygmunt Woźniak? Nieważne. Pod tekstem figurował niezbyt czytelny podpis, a niżej adres: Akacjowa 7.

Pierwszy list wsunąłem między czasopisma, które zabrałem z pociągu z Warszawy, drugi schowałem złożony na pół do kieszeni spodni i zszedłem z powrotem na dół. W recepcji mężczyznę zastąpiła za biurkiem znana mi już filigranowa dziewczyna o wyglądzie licealistki. Zapytałem ją, czy wie, kto zostawił wiadomości dla mnie. Odparła, że pani Juszcakowa.

– Juszcakowa? – Zdziwiłem się.

– Maryla Juszcakowa, żona Aleksandra Juszcaka. – Zorientowała się, że nie mam pojęcia, o kogo chodzi. I zaraz się poprawiła: – Towarzysza Juszcaka z Komitetu Miejskiego partii.

Przypomniałem sobie, że kolega z „Głosu Wielkopolskiego” wspomniał o jakimś Juszcaku.

– To jedną, a drugą?

– Nic nie wiem o drugiej wiadomości dla pana. – Szczerze się zdziwiła.

No tak, anonim to anonim. Pewnie został włożony do przegródki, kiedy akurat nikt nie czuwał za biurkiem. Chyba że przyjął go facet, który siedział tu niedawno.

– A kim jest ten starszy mężczyzna, który panią zastępował?

– Pan Edward? To kierownik. Kiedy trzeba, zastępuje mnie czy koleżankę.

Pomyślałem, że chętnie zjadłbym darmową i bez wątpienia smaczną kolację, ale nie miałem ochoty poznawać miejscowego dygnitarza partyjnego i jego gości. Z drugiej strony byłem ciekaw, czego ode mnie chcą. Zażądają, abym wyjechał i nie zajmował się sprawą Anny Eckart? Raczej nie. To nie powinno ich interesować.

Po raz drugi tego dnia zajrzałem do restauracji. Po chwili namysłu zdecydowałem się zainwestować w skromne danie, plindze, czyli placki ziemniaczane.

Niestety kelner, który przyjął zamówienie, nie był tym, z którym dwukrotnie rozmawiałem. Miał markotną minę i nie sprawiał wrażenia bystrego. Mimo wszystko postanowiłem zasięgnąć u niego języka.

– Zna pan Aleksandra Juszczaaka? – zapytałem.

– Wszyscy go tu znają. Bynajmniej z widzenia. A tak bliżej to nie. Wie pan... Za wysokie progi.

– Jego żona zaprosiła mnie na kolację – wyjaśniłem. – A ja nie znam ani jej, ani jego. Co pan radzi? Iść?

– Bynajmniej, że tak. – Nie miał żadnych wątpliwości. – Tu w mieście każdy chciałby bywać u Juszczaaka.

– Czego mogą ode mnie chcieć?

– Od dziennikarza z Warszawy różne rzeczy można chcieć. – Zrozumiałem, że dzięki koledze z „Głosu Wielkopolskiego” wszyscy w hotelu, a może i wszyscy w mieście wiedzą już, kim jestem. – Żeby coś napisał. Żeby coś załatwił. Żeby komuś szepnął słówko. Sam pan wie.

No tak, o tym nie pomyślałem. Zwłaszcza że dziennikarzem już właściwie nie byłem. Ale w Starym Krzyżu nie mieli o tym pojęcia.

– Wypada bratać się z partyjnym ważniakiem, kiedy w kraju panuje stan wojenny? – zapytałem, chociaż nie znałem sympatii politycznych rozmówcy. Może był jednym z tych, do których przemawiały demagogiczne komentarze w rodzaju tego, jaki przeczytałem w „Przyjaciółce”.

– Wie pan, z Jaruzelskim to może nie wypada – odpowiedział z uśmiechem. – Ale z Juszczaakiem? Bynajmniej, że tak. Juszczaak stanu



wojennego nie wprowadzał. To swój chłop. Robi wiele dobrego dla miasta. Teraz walczy o stworzenie u nas ogrodu zoologicznego. Może nie takiego jak w Warszawie, ale zawsze. Nie trzeba się będzie tłuc z dzieciakami do Poznania. Nie znam nikogo, kto by miał coś do niego. I jeśli chce pan wiedzieć, co myślę, to nie ubrudzi się pan zjedzeniem z nim kolacji. A jeśli nawet, taki brud łatwo zmyć. – Gadatliwy kelner zamilkł, a po chwili pochylił się w moją stronę i nieco ciszej dodał: – Wie pan, Zieliński, przewodniczący Solidarności w Fabryce Naczyń Emaliowanych, chodził z nim na ryby. Nie miał obaw, że ufajda się tą znajomością.

– Ale teraz jest pewnie internowany? – zauważyłem z przekąsem.

– No tak, ale bynajmniej mają go niedługo puścić. I pewnie znowu będzie chodził z Juszcakiem na ryby. No, może nie od razu. Komuś mogłoby się to nie spodobać. Wie pan, kogo mam na myśli?

Raczej się domyślałem, niż wiedziałem, o kogo chodzi. Ale postanowiłem posłuchać rady człowieka, który w tak urokliwy sposób posługiwał się słowem „bynajmniej”, i o dwudziestą stawić się u państwa Juszcaków. Uznałem zresztą, że nie bardzo mi się opłaca obrazić miejscową szychę.

Niestety, nie byłem przygotowany na wizytę towarzyską. Nie wziąłem ze sobą do Starego Krzyża garnituru. Chodziłem w kurtce z brązowej skóry. Przejrzałem przepastną torbę podróżną, do której podczas pakowania wrzucałem wszystko, co było pod ręką, i na szczęście odkryłem białą koszulę z delikatnym wzorem i granatowy sweter. Ten strój, może niezbyt wytworny, ale znacznie lepszy niż wytarta kurtka, musiał mi wystarczyć. W pokoju nie miałem czajnika, ale żelazko owszem, szybko więc wyprasowałem koszulę, zwłaszcza w górnych partiach, dolne miały bowiem zniknąć pod swetrem. Przebrałem się, przygładziłem artystyczny nieład na głowie i spojrzałem w lustro. Może być, zawyrokowałem. I kwadrans przed dwudziestą byłem już w drodze na Akacjową, która, jak mi powiedziała dziewczyna z recepcji, przylegała do miejskiego parku.

Szedłem dość szybko, żeby się nie spóźnić, ale od pewnego momentu miałem wrażenie, że ktoś się za mną skrada: odgłosom moich kroków na posypanej żwirem ścieżce odpowiadało ciche szuranie obcasów gdzieś z tyłu. Kilkakrotnie obejrzałem się za siebie, ale nikogo nie mogłem wypatrzeć w ciemnościach. Pomyślałem, że niepotrzebnie zszedłem z głównego traktu, ale dziewczyna z recepcji doradziła mi krótszą drogę bocznymi alejkami, wiodącymi, jak się okazało, pośród wymarłych o tej porze, nieoświetlonych warsztatów i zakładów rzemieślniczych.

Ponieważ rozcięty na pół księżyc i drżące punkciki gwiazd schowały się za

ciężkimi, skłębionymi chmurami, zrobiło się tak ciemno, że zastanawiałem się, czy nie zgubiłem się w labiryncie wąskich korytarzy, które tylko z nazwy były ulicami. Zatrzymałem się na chwilę. Niepokojące odgłosy kroków nagle ucichły. Pieprzyć to, pomyślałem. I już chciałem pójść dalej, gdy zaułek, w którym się znalazłem, omiotło blade światło, a po murze przesunął się migotliwy cień. Poczułem strużkę zimnego potu na karku. Przyłgnałem do przeciwległej ściany, zimnej i nierównej, i spanikowany szukałem wzrokiem kształtu, który mnie przeraził. Dopiero żałosne miauczenie kota sprawiło, że trochę się uspokoiłem. Czy to jego kontur widziałem kątem oka?

Gdy ruszyłem przed siebie, z tyłu znowu zadudniły czyjeś obcasy. Może to echo?, pomyślałem. Odgłosy moich kroków, odbijające się od ścian labiryntu?

Przekonywałem sam siebie, że cienie i hałasy za plecami to przywidzenia i majaki. Żeby dodać sobie otuchy, zacząłem nucić jakąś głupią piosenkę.

– Przecież tu nikogo nie ma – powiedziałem półgłosem.

Nagle gdzieś z boku, niemal tuż przy moim uchu, rozległ się głuchy, gardłowy śmiech. Pomyślałem, że przypomina szczekanie hieny, chociaż nigdy nie słyszałem szczekania hieny. Znowu zastygłem w miejscu. Śmiech po chwili ucichł, ale przeszywająca cisza wcale nie pomagała uwolnić się od myśli, że ktoś obcy czai się za zasłoną ciemności. Czułem dziwne pieczenie w żołądku, miałem spocone dłonie. Jeszcze kilka kroków, tłumaczyłem sobie, i będę na miejscu.

Już chciałem pójść dalej, gdy niespodziewanie z nieprzeniknionej czerni wyłoniła się para nastolatków z wielkim odbiornikiem radiowym, rzucającym drżące plamy światła na ścieżkę i mury domów. Z szumów dobiegających z głośnika wyłowiłem ładną melodię. Ktoś śpiewał po angielsku, że znajdzie drogę do domu, a jego ciepły, wysoki głos dodał mi otuchy.

Chłopak z odbiornikiem szepnął coś do dziewczyny i oboje wybuchnęli śmiechem, rozbawieni, jak przypuszczam, moją głupią miną, a zaraz potem ruszyli biegiem przed siebie. Podążyłem za dźwiękami piosenki, nie bacząc na to, czy idę, a właściwie biegnę, w stronę Akacjowej, czy nie. Dopóki słyszałem muzykę i widziałem migoczące w nikłej poświacie sylwetki rozbawionych uciekinierów, czułem się bezpiecznie.

Szybko dotarłem do dużej ulicy przylegającej do parku, oświetlonej słabo, ale nie tak ciemnej jak zakamarki, które zostawiłem za sobą. Wiedziałem, że jestem o krok od celu.

Bez trudu odnalazłem Akacjową. Dom numer siedem, ostatni w szeregu, robił wrażenie bardziej okazałego niż pozostałe, szkoda mi było jednak czasu,

by go podziwiać.

Zadzwoiłem do drzwi. Niemal natychmiast się otworzyły. Stała w nich wytworna kobieta koło czterdziestki. Jej szlachetna uroda przywoływała na myśl włoskie gwiazdy filmowe z dawniejszych lat. Puszyste kasztanowe włosy stanowiły ramę dla twarzy, która dawniej musiała być olśniewająco piękna, a teraz, mimo kilku zmarszczek, nadal urzekała. W posępnym spojrzeniu ciemnych oczu kryła się jakaś tajemnica.

– Pan Daniel, prawda? – zapytała gospodyni, bo niewątpliwie stała przede mną autorka lapidarnego zaproszenia. – Proszę do środka.

Wszedłem bez słowa, trochę onieśmielony, a może raczej speszony. Pomyślałem, że powinienem był kupić kwiaty albo przynajmniej wino – chyba nadal nie wykorzystałem kwietniowej kartki na alkohol – ale było już za późno, żeby naprawić błąd. Ubrana w długą ciemną suknię z delikatnym złotym wzorem kobieta poprowadziła mnie do wnętrza, bardzo przestronnego, ale urządzonego skromnie, w dobrym guście. I przedstawiła trzem panom, którzy siedzieli przy niewielkim stoliku, w oparach dymu tytoniowego, i grali w brydża, bez czwartego.

Gospodarz, znacznie starszy od żony, był suchym, prawie całkowicie łysym matuzalemem, ubranym w brązowy garnitur, jakiego w Warszawie nikt by nie założył od dawna, i sztywną białą koszulę w szerokie różowe paski, której w Warszawie nikt nie założyłby nigdy. Dwaj jego towarzysze, jeden wielki, gruby i zmięty, drugi wielki i napakowany niczym bokser wagi ciężkiej, byli bez wątpienia braćmi. Bardzo podobni do siebie, reprezentowali odległe światy – pierwszy nosił koloratkę, drugi milicyjny mundur z naszywkami sierżanta. Gospodyni wyjaśniła, że pierwszy jest proboszczem w parafii Świętego Marcina, a drugi komendantem miejscowego posterunku.

Zastanawiało mnie, czy powinienem się przestraszyć olbrzyma w mundurze, ale tak jak pozostali przywitał się ze mną zdawkowo i natychmiast powrócił do przerwanej gry. Wydawał się skoncentrowany tylko na niej. Co prawda po godzinie czy dwóch, zapewne pod wpływem wypitego wina, zaczął w irytująco zaczepny sposób, z wyraźnymi nutami sarkazmu w głosie podśpiewywać: „Marsz, marsz Polacy / Bez jedzenia do pracy / Pod partii przewodem / Rząd morzy nas głodem...” albo: „Siekiera motyka modny magiel / Urban uszy ma jak żagiel / Łysa pała ryjek świni / I rumieniec całkiem mini...”. Jeśli jednak liczył na to, że sprowokuje mnie do dyskusji na temat stanu wojennego, bardzo się pomylił. Nie zwracałem uwagi na jego pijackie wygłupy, podobnie zresztą jak pozostali uczestnicy brydżowej rozgrywki, kwitujący je co najwyżej pełnym pobłażania śmiechem.

Juszczak raz jeden oderwał się od kart i zwrócił się bezpośrednio do mnie. Kiedy na ekranie telewizora, który przez cały czas był włączony i szumiał w tle, jakby panowie obawiali się, że przegapią rozgrywki mundialowe, które miały się rozpocząć za dwa miesiące, pojawiła się popularna prezenterka Krystyna Loska, rzucił jakby od niechcienia:

– Pan ją zna? Bo Woźniak mówił, że wszystkich w Warszawie pan zna...

W pierwszej chwili chciałem zaprzeczyć, ale przypomniałem sobie, że byłem dwa lata wcześniej zaproszony do udziału w programie telewizyjnym na temat edukacji i już po nagraniu trafiłem do kawiarni, którą na korytarzach gmachu na Woronicza nazywano złośliwie „Kaprysem Prezesa” w nawiązaniu do Macieja Szczepańskiego, prezesa Komitetu do spraw Radia i Telewizji. Krystyna Loska, która siedziała przy sąsiednim stoliku, w pewnej chwili podeszła do mnie i zapytała dźwięcznym głosem, który tak dobrze znałem z telewizji, czy może wziąć cukier. Zamieniliśmy wtedy ze sobą dwa albo trzy zdania, co dawało mi, tak przynajmniej uważałem, prawo odpowiedzieć na pytanie Juszczaka twierdząco. Uśmiechnął się pod nosem, uniósł głowę znad kart, poprawił okulary i dodał:

– Mówią, że ta Loska przynosi szczęście. Zawsze gdy zapowiada mecz, Polacy wygrywają. Gdyby tak przyjechała na nasz festyn...

Przez myśl przemknęło mi, że być może wyraził w ten sposób życzenie, bym jako znajomy pani Krystyny namówił ją na przyjazd do Starego Krzyża, najlepiej z ekipą telewizyjną, ale wolałem udawać, że nie odczytałem tej sugestii.

Domyśliłem się, że pomysłodawczynią ściągnięcia mnie na Akacjową była żona dygnitarza, która wskazała mi miejsce na kanapie w przeciwległym kącie dużego salonu. Zapewne sama zrezygnowała tego dnia z brydza, by dotrzymać mi towarzystwa.

Już na początku rozmowy zasugerowała, żebyśmy przeszli na ty, oraz wyjaśniła, że dzięki temu poczuje się trochę młodsza, co niejako wymusiło na mnie zapewnienie, że jest przecież kobietą młodą i piękną. A na jej propozycję chętnie przystałem, chociaż niełatwo mi było zwracać się do niej: „Marylo”, zwłaszcza że imię to, bardzo ładne, kojarzyło mi się raczej z czasami Mickiewicza niż z drugą połową dwudziestego wieku.

Gospodyni paplała cały wieczór i nie dopuszczała mnie do głosu, co właściwie mi odpowiadało. Ode mnie chciała jedynie wyciągnąć, co robię w Starym Krzyżu. Podejrzewała, że zbieram materiały do jakiejś publikacji na temat miasta lub regionu. Nie kryła rozczarowania, kiedy powiedziałem, że moja wizyta ma charakter prywatny i nie wiąże się z pracą dziennikarza.

Ciekawiło ją jeszcze, czy zostanie do drugiego maja, by wziąć udział w festynie, o którym wspomniał mąż, ale sprawiłem jej jeszcze większy zawód, bo wyjaśniłem, że nie przewiduję aż tak długiego pobytu w Starym Krzyżu.

Ucieszyłem się, że moje odpowiedzi nie wpłynęły na atmosferę rozmowy, która do samego końca pozostała serdeczna i przyjemna, tym bardziej że dotyczyła spraw błahych, a nie wielkich problemów udręczonej ojczyzny, o których byłoby mi ciężko gadać, zwłaszcza z atrakcyjną kobietą o poglądach politycznych, jak się domyślałem, niekoniecznie zbliżonych do moich.

Kolacja, na którą liczyłem, okazała się jedynie skromnym uzupełnieniem brydżowej rozgrywki. Daniem podstawowym były małe kanapki z kawałkami kurczaka, pastą rybną i żółtym serem. Dopiero po jakimś czasie gospodyni zamknęła się w kuchni i szybko przygotowała smaczne, ale niezbyt wyszukane danie specjalne – parówki w kapuście. Zaraz potem podała zaś deser – blok czekoladowy domowej roboty. Spodziewałem się, co prawda, czegoś więcej: półmisków z mięsiwem, szynką, baleronem i poledwicą, ciast, może lodów. Byłem przekonany, że gospodarze mają dostęp do sklepów dla partyjnej elity, w których, jak słyszałem, jest wszystko, w dodatku bez kartek, w cenach nieodbiegających od kartkowych. Narzekać jednak nie miałem prawa – do domu wracałem syty.

Wieczór u Juszczaków był dla mnie mimo wszystko dziwnym przeżyciem. Pan domu nie zwracał na mnie uwagi, natomiast jego żona okazywała zainteresowanie, które powinno go chyba trochę zaniepokoić. Zwłaszcza że pod koniec Maryla zaproponowała, że następnego dnia o dziesiątej rano przyjedzie do hotelu swoim wartburgiem, by zabrać mnie na przejażdżkę i pokazać uroki miasta, których, jak sądziła, jeszcze nie odkryłem. Mąż, o dziwo, pochwalił jej pomysł. A ja tym chętniej się zgodziłem.

Postanowiłem, że w drodze powrotnej do hotelu będę unikał ciemnych zaułków. Liczyłem też na to, że w zmaganiach ze strachem pomoże mi przyjemny szum w głowie po kilku dużych szklankach tunezyjskiej gellali, którą przez cały wieczór raczyła mnie gospodyni. Ale kiedy spojrzałem na zegarek i okazało się, że jest już po dwudziestej trzeciej, w jednej chwili otrzeźwiałem. W kraju obowiązywał zakaz wychodzenia z domu o tej porze, jakby władze chciały ochronić obywateli przed wampirami, wilkołakami oraz innymi krwiożerczymi istotami i zjawami, na jakie można natknąć się po zmroku.

Ja bardziej obawiałem się patroli Obrony Cywilnej, czyhających na

nocnych maruderów. Zastanawiałem się, co by mnie spotkało, gdybym wpadł któremuś w łapy. Wylądowałbym w jakiejś zapuszczonej, cuchnącej celi jako więzień komendanta, który lubił opozycyjne piosenki? Wolałem tego uniknąć. I w końcu dałem nura w nieoświetlone boczne uliczki, pełne posepnych zaułków, złowieszczych odgłosów i niepokojących, chybotliwych cieni.

16 kwietnia 1982, piątek

Przed przyjazdem do Starego Krzyża byłem przekonany, nie wiem dlaczego, że miasto postawiono na planie krzyża. Może czytałem gdzieś o takiej zabudowie i połączyłem informacje, które zostały mi w pamięci, z nazwą miejscowości, do której zmierzałem? Już na miejscu często wracałem myślami do tego wyobrażenia. Ale nie bardzo potrafiłem skonfrontować je z rzeczywistością. Nie umiałem wyrysować sobie w głowie planu miasta, którego układ z grubsza poznałem podczas swoich wędrówek.

Zwierzyłem się ze swoich przypuszczeń Maryli, kiedy zjawiła się w hotelu, by zabrać mnie na zapowiadzaną dzień wcześniej przejażdżkę po mieście. Zaparkowała granatowego, lśniącego czystością wartburga przed wejściem i gdy zobaczyła mnie przez okno restauracji, zatrąbiła gwałtownie, co bynajmniej nie zabrzmiało jak zaproszenie, a raczej jak nieznoszące sprzeciwu wezwanie.

Omiałem nie udławiłem się ostatnim kęsem śniadania. Tym razem, namówiony przez kelnera, zamówiłem miejscowy przysmak, bułczankę, która okazała się grubą kiszka, wypełnioną mięsem ze zmielonych świńskich głów, podgardla i innych odpadów rzeźniczych oraz kawałkami bułki nasączonej zwierzęcą krwią. I wyruszyłem na spotkanie z kobietą, której intencje nie do końca rozumiałem. Czego ode mnie chciała? Czy spotkanie z dziennikarzem z Warszawy było po prostu sposobem na zabicie nudy? Czy kryło się za nim jakieś niewyartykułowane oczekiwanie?

Chciałem jeszcze wrócić do pokoju i przebrać się w strój, który miałem na sobie wieczorem, ale uznałem, że skoro nie ma na to czasu, pozostanę w skórzanej kurtce, wysłużonej, na pewno jednak pozwalającej mi czuć się swobodnie, nawet w towarzystwie kogoś takiego jak urocza żona lokalnego dygnitarza.

Nie zdziwiłem się, kiedy Maryla szczerze się roześmiała, słysząc, jak wyobrażałem sobie zabudowę miasta. I z uwagą wysłuchałem wyjaśnienia, że Stary Krzyż, którego historia sięgała czternastego wieku, rozrastał się równomiernie wokół rynku, a to oznacza, że na planie, którego z nieznanymi jej powodów nie można nigdzie kupić, stanowiłby niekształtną plamę zbliżoną do koła.

Maryla okazała się kiepskim kierowcą i już na samym początku przejażdżki o mały włos nie spowodowała wypadku: na jednym ze skrzyżowań nie

przepuściła nadjeżdżającego z prawej strony malucha, kłującego w oczy jaskrawą czerwienią karoserii i hałasującego jak czołg. Nie doszło do zderzenia, ale samochody niebezpiecznie otarły się o siebie.

Z malucha wyskoczył wściekły jegomość w unurzonym w smarze kombinezonie, ale choć wydawało się, że zaraz wdepcze winowajczynię w asfalt, nic takiego nie nastąpiło. Kiedy kipiący złością człowieczek zobaczył, z kim ma do czynienia, pochylił głowę i zaczął mruczeć pod nosem coś, co brzmiało jak przeprosiny za to, że nie zwolnił. Maryla zaimponowała mi, bo nie próbowała wykorzystać swojej pozycji. Opuściła szybę i powiedziała:

– Niech się pan nie wygłupia! Przecież to moja wina!

Zapytała też, czy jego samochód nie został uszkodzony.

– Ależ skąd! – zaklinał się jegomość. – Poza tym... Przecież to wrak! Nic takiego się nie stało!

– Gdyby pan jednak stwierdził, że samochód wymaga naprawy, proszę przyjść – stwierdziła winowajczyni, ale chyba wiedziała, że drobna kolizja ujdzie jej na sucho.

– W ogóle nie ma mowy, żebym pani zawracał głowę! – zaklinał się on. – Może pani spokojnie jechać dalej. I proszę pozdrowić męża...

Maryla puściła ostatnie słowa mimo uszu, zakręciła szybę i ruszyliśmy przed siebie.

Całe to zdarzenie pozwoliło mi pozbyć się odrętwiającego onieśmienia i nabrać do żony miejscowej szychy dystansu, którego zdecydowanie brakowało mi poprzedniego wieczoru. Dopiero wtedy bacznie się jej przyjrzałem. Była umalowana o wiele dyskretniej i przede wszystkim ubrana swobodniej niż podczas kolacji, w luźny wełniany sweter w fantazyjne wzory i krótką czarną spódnicę ozdobioną u dołu jasnoczerwonymi pasami. Miała w sobie jakąś dziewczęcą świeżość – wyglądała znacznie młodziej niż w koturnowej wieczorowej sukni.

Nie ulegało wątpliwości, że plan wycieczki nie został przygotowany wcześniej. Jeździliśmy po mieście w tę i z powrotem, ponieważ Maryla co chwilę uświadamiała sobie, że zapomnieliśmy zobaczyć to czy tamto, zawracała samochód i kierowała się do punktu, w którym byliśmy kilka minut wcześniej. Nie przeszkadzało mi to, zwłaszcza że zwiedzanie wydawało się tylko pretekstem do spotkania, a poza tym większość miejsc, które oglądaliśmy, zdążyłem już zobaczyć podczas pieszych wędrówek po mieście.

Nie wiem, czy potrafiłem ukryć, że dla mnie cały urok chaotycznej eskapady sprowadza się do towarzyszenia Maryli, która tak jak dzień



wcześniej, była dowcipna, czarująca i serdeczna. Upajałem się jej kobiecym wdziękiem – nic innego mnie nie obchodziło. A jednak kiedy znaleźliśmy się w pobliżu stadionu, pomyślałem, że mógłbym skorzystać z jej pomocy. I zagadnąłem, czy zna dyrektora Burego.

– Oczywiście – odparła zaintrygowana.

– Czy moglibyśmy do niego na chwilę zajrzeć? – zapytałem.

– Znacie się? – Nie kryła zdziwienia.

– W tym rzecz, że się nie znamy, a chciałbym go o coś poprosić – przyznałem szczerze.

Maryla z piskiem opon podjechała pod Fabrykę Naczyń Emaliowanych, zatrąbiła i cierpliwie czekała, aż wąsaty strażnik, który dzień wcześniej nie chciał mnie wpuścić do środka, zsunie łańcuch na ziemię i pozwoli jej wjechać na dziedziniec. Mężczyzna nawet się nie zawahał. Przed żoną towarzysza Juszczaaka wszystkie drzwi w mieście stały otworem.

Weszliśmy do budynku. W ciasnym korytarzu przywitało nas groźnie brzmiące hasło: „Pijaństwo, brakoróbstwo i żarty na zakładzie to wrogowie naszej ojczyzny”. Maryla bez trudu odnalazła sekretariat i bez pukania wtargnęła do środka, ciągnąc mnie za sobą.

W małym pomieszczeniu tłoczyły się trzy osoby, kobieta i dwóch mężczyzn, pochylone nad dużym akwariem. Jeden z panów łowił sitkiem rybki i przekładał do dużego słoja, natomiast drugi coś starannie notował. Kobieta, jak się okazało sekretarka, z którą dzień wcześniej rozmawiałem przez telefon – szara myszka w źle dobranych okularach – na widok żony Aleksandra Juszczaaka speszyła się i zaczęła tłumaczyć, że trwa inwentaryzacja.

– Liczymy, wszystko liczymy. Nawet rybki w akwariem kazali porachować – wyjaśniła. A potem wyrzuciła z siebie potok słów, którego nie sposób było zrozumieć. Kiedy skończyła, zapadła cisza, nikt bowiem nie zareagował na jej kwieciste, nadekspresyjne przemówienie. Zakłopotana odwróciła się na pięcie i zniknęła za drzwiami gabinetu szefa, a po chwili wróciła i zaprosiła nas do środka.

Bury, przystojny czterdziestoparolatek z bujną czarną grzywą i gęstą czarną brodą, ubrany w granatową sztruksową marynarkę i dżinsy z Pewexu – zupełnie inaczej niż większość mężczyzn w mieście – wybiegł Maryli na powitanie. Pocałował ją w rękę i zapytał o cel niespodziewanej wizyty. Odpowiedziała żartem, którego nie zrozumiałem; możliwe, że nawiązała do czegoś, co stanowiło ich wspólną tajemnicę. Nie ulegało wątpliwości, że są dobrymi znajomymi. Kochankami?, przemknęło mi przez

myśl. Ale zaraz skarciłem sam siebie: nawet jeśli coś ich łączy, cóż mnie to może obchodzić?

Po chwili przekomarzań z uwodzicielskim gospodarzem Maryla wyjaśniła mu, kim jestem, i powiedziała, że to ja mam do niego sprawę. Staralem się jak najzwieźlej wytłumaczyć, dlaczego interesuję się zdjęciami z imprezy urodzinowej jego córki. A na koniec zapytałem wprost, czy mógłby mi je pokazać. Na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia. Miałem wrażenie, że najchętniej by mnie spławił. Chyba tylko obecności Maryli zawdzięczałem, że otworzył szufladę, wyjął z niej grubą żółtą kopertę i rzucił na biurko.

– Tak się składa, że mam je tutaj – przyznał. – Córka chce kilka powiększyć. A nie jest to już takie proste. Fotografę wzięliśmy z Poznania. I trzeba tam jechać, żeby to zrobić.

– Nie zażądałeś, żeby oddał ci filmy? – zdziwiła się Maryla.

– Nie przyszło mi do głowy, że będą jeszcze potrzebne – wyznał dyrektor.

Słuchając ich rozmowy, wymyśliłem pewien fortel.

– Nie chciałbym się narzucać – powiedziałem – ale wybieram się do Poznania. Może mógłbym pomóc?

– Nie będę pana tym obarczał. – Bury chyba nie miał do mnie zaufania.

– To żaden kłopot – przekonywałem.

– No dobrze – zgodził się niechętnie. – Chodzi o powiększenie zdjęć, które mają z tyłu krzyżyki. Do formatu A5. Pieniądze zwrócę, jak pan wróci. Możemy się tak umówić? Adres fotografa jest na pieczęci z tyłu każdego zdjęcia. Nie wiem, po co je tak ostemplował. Ten cholerny czerwony tusz odbił się na twarzach. Niech pan mu powie, żeby na powiększeniach darował sobie pieczęcie. Jego adres znam na pamięć. Nie muszę go mieć na zdjęciach.

Schowałem kopertę do wewnętrznej kieszeni kurtki i dałem znak Maryli, że możemy już iść. Szybko pożegnała się z Burem, a kiedy znaleźliśmy się już poza gabinetem, zaczęła mnie wypytywać o „niemiecką znajomą”, o której wspomniałem w rozmowie. Chcąc nie chcąc, musiałem opowiedzieć jej o zniknięciu Anny Eckart i moich poszukiwaniach.

Ponieważ zauważyła, że mówię o tym niechętnie, szybko zmieniła temat. Zapytała ostrożnie – być może na prośbę męża – jak oceniam szanse na zaproszenie kogoś z telewizji, najchętniej Krystyny Loski, na majowy festyn w Starym Krzyżu. Odpowiedziałem wymijająco, że z telewizją nie mam wiele do czynienia, a z telewizją stanu wojennego w ogóle nic mnie nie łączy. Trochę mnie zdziwiło, jak łatwo się poddała, wszystko wskazywało bowiem na to, że uznała temat za zamknięty.

– Cóż jeszcze mogę ci pokazać? – zapytała, kiedy siedzieliśmy już

w samochodzie.

– Ty zdecyduj – rzuciłem, bo tak naprawdę było mi wszystko jedno, dokąd mnie zabierze.

– Dobrze – ucieszyła się.

Włączyła silnik, wyjechała z terenu fabryki i skierowała samochód w kierunku przeciwnym do tego, z którego przybyliśmy. Wjechaliśmy na pustą drogę wiodącą przez rozległe piaszczyste pole, przecięte nasypem kolejowym i torami. W oddali kołysała się targana porywami wiatru topola, a w jej gałęziach szamotała się i gniewnie się wydzierająca samotna wrona. Po kilku minutach zatrzymaliśmy się przed niewielką zieloną bramą z ozdobnym napisem: „Rodzinne ogrody działkowe”.

– Mamy tu altanę – wyjaśniła Maryla, uśmiechając się tajemniczo. – A właściwie letni dom. Pokażę ci. Sama go urządziłam. Jest trochę za duży jak na działkę, ale oczywiście Olek załatwił wszystkie pozwolenia.

Zdziwiłem się, że poprowadziła mnie wydeptaną w trawie ścieżką dookoła ogrodzenia, aż do niewielkiego przesmyku, którym weszliśmy prosto na teren należący do niej i męża. Przed nami, między zgarbionymi jabłonkami, o które nikt nie dbał, stał drewniany dom, tak okazały i solidny, że można by w nim mieszkać przez cały rok.

Kiedy rozejrzałem się wokół, domyśliłem się, dlaczego nie weszliśmy główną bramą. Moja przewodniczka chciała uniknąć ciekawskich spojrzeń sąsiadów. W niektórych ogródkach można już było bowiem dostrzec działkowiczów, zgarbionych nad burą ziemią, skupionych na czynnościach, które dla mnie miały w sobie coś z magicznego rytuału, sam nigdy bowiem nie zajmowałem się kopaniem, sianiem, pieleniem.

Maryla wyjęła z torebki klucz, otworzyła solidne drzwi i zaprosiła mnie do środka. Wnętrze urządzono w stylu rustykalnym: drewniane ławy i skrzynie zamiast kanapy i szafy, ludowa plecionka na podłodze zamiast dywanu. Powinienem był je pochwalić, ale zanim zdążyłem to zrobić, usłyszałem, że skromny wystrój ma liczne dobre strony, a przede wszystkim tę, że zniechęca ewentualnych złodziei. Maryla dodała też, że telewizor czy radio musi przywozić ze sobą, kiedy chce na działce pobyc kilka dni, bo gdyby zostawiła je na stałe, pokusa dla włamywaczy byłaby zbyt silna.

– Zrobię ci coś do picia – zaproponowała. Wyjęła z jednej z drewnianych skrzyń niewielki elektryczny czajnik, dokładnie taki, jakiego brakowało mi w hotelu, szklanki, łyżeczki, opakowanie herbaty gruzińskiej, kawę w brązowej papierowej torebce, zagęszczone mleko w tubce, pudełko cukru w kostkach, krakersy, herbatniki i paczkę draży indyjskich. Otworzyła dużą

szklaną butelkę wody „Grodziskiej”, napełniła czajnik, włączyła go i z uśmiechem usiadła obok mnie.

Kątem oka zauważyłem, że jej spódnica zahaczyła się o brzeg ławy i odsłoniła skraj pończochy podtrzymywanej przez różową żabkę uczeptioną do paska podwiązki. Poczulem dreszcz podniecenia. Żadna z kobiet, które do tamtej pory pozwoliły mi poznać sekretne zakamarki swojego ubioru, nie nosiła pończoch.

Odurzony lekkim kwiatowym zapachem perfum, który wypełnił moje nozdrza, dotknąłem ustami skroni ponętnej gospodyni, a jednocześnie bezwiednie, kierowany siłą pożądania, położyłem prawą dłoń na jej kolanach i powoli, bardzo powoli zacząłem przesuwając do góry, niby przypadkiem zgarniając po drodze brzeg spódnicy. Kobieta przymknęła oczy, co uznałem za wyraz przyzwolenia na moje szczeniackie zaloty. Niestety, w tej samej chwili za oknem coś się poruszyło i rozległ się trudny do zidentyfikowania odgłos. Czyżby ktoś nas śledził i próbował zajrzeć do środka?

Zaniepokojona Maryla delikatnie, ale stanowczo mnie odepchnęła, wstała i sprawnymi ruchami dłoni doprowadziła ubiór do porządku. Podeszedłem do okna, żeby sprawdzić, co było źródłem hałasu, ale niczego nie zauważyłem. Wyszedłem przed dom – ani żywej duszy. Wyjaśniłem, że prawdopodobnie przestraszyło nas jakieś zwierzę. Ale moment bliskości minął bezpowrotnie.

Maryla, poprawiając przed dużym lustrem fryzurę i makijaż, stwierdziła chłodno, że musimy wracać. W drodze do hotelu była poważna i milcząca. Znowu zatrzymała samochód przed wejściem.

– Do zobaczenia – bąknąłem, ale byłem przekonany, że już się nie spotkamy.

Nie zdziwiło mnie, że kobieta, z którą spędziłem kilka uroczych godzin, nie odpowiedziała na słowa pożegnania.

Po powrocie do pokoju rzuciłem się w kurtce i butach na łóżko i próbowałem w wyobraźni przywołać echo minionych chwil, które wydawały się skromną zapowiedzią czegoś o wiele wspanialszego, tymczasem zostały brutalnie odarte z dalszego ciągu i pozostawiły dojmujące uczucie niespełnienia. Byłem gotów godzinami pielęgnować w wyobraźni to, co przeżyłem i przeżyć mogłem, ale nagle przypomniałem sobie o zdjęciach, które miałem w wewnętrznej kieszeni kurtki. Wyjąłem żółtą kopertę i wysypałem jej zawartość.

Nieduże fotografie łatwo było podzielić na dwie grupy. Pierwsze zrobiono na parkiecie. Przedstawiały tańczące pary, najczęściej roześmianą dziewczynę w postarzającej ją, ciemnej, błyszczącej sukni balowej, zapewne córkę

Burego, i sympatycznego chłopaka w czarnym garniturze, ale też innych uczestników zabawy, samego dyrektora z całkiem atrakcyjną żoną oraz mnóstwo młodzieży. Uznałem, że te zdjęcia mogą schować do koperty. Raczej nie było na nich Anny Eckart.

Pozostałe fotografie zrobiono podczas biesiadowania za długim stołem ustawionym w podkowie. Obejrzałem je bardzo uważnie, jedną po drugiej, ale miałem wrażenie, że one również przedstawiają wyłącznie osiemnastoletnią córkę Burego i jej gości. Przeważali radośni, obściskujący się bezwstydnie rówieśnicy jubilatki. Starsze pokolenie reprezentowali jedynie rodzice dziewczyny. Miałem zresztą wrażenie, że fotografa bardziej niż wesoła gromadka w tle interesowały potrawy rozstawione na stole: bigosy, kiełbasy, kotlety schabowe, kurze udka, bułczanki, tatar, marynowane śledzie z cebulką, sałatki jarzynowe, ogórki kiszzone oraz ułożone niedbale na wielkich półmiskach plastry szynki i baleronu. I szczerze mówiąc, wcale mu się nie dziwiłem. Zwłaszcza w pierwszych dniach stanu wojennego ucztę, w której uczestniczył, musiała być przeżyciem wręcz domagającym się utrwalenia na kliszy. A poza tym może sam dyrektor Bury życzył sobie takiej kompozycji kadrów, aby było widać, jak wystawną imprezę zafundował córce.

Schowałem wszystkie zdjęcia do koperty, ale po chwili wyjąłem raz jeszcze. Uznałem, że za dużo uwagi poświęcam osobom na pierwszym planie. Jeśli Anna Eckart zjawiała się wtedy w restauracji, żeby coś zjeść, bez wątplenia trzymała się na uboczu. Nie włączyła się do zabawy. Nie usiadła za długim stołem. Szukać jej trzeba gdzieś w ciemnym tle, przy jakimś pojedynczym stoliku.

Zacząłem oglądać fotografie po raz kolejny, jeszcze bardziej uważnie. Przyglądałem się zwłaszcza temu, co działo się w oddali. I po długich oględzinach odłożyłem dwa zdjęcia. Na jednym za grupą tańczących można było dostrzec starszą kobietę, niestety nie do rozpoznania. Na drugim zauważyłem, że w głębi, za stołem w kształcie podkowy, stało kilka mniejszych, a przy środkowym siedziały dwie osoby, zajęte raczej sobą niż przebiegiem imprezy. Jedną z nich był mężczyzna w szarym garniturze, sfotografowany tyłem, trudno było więc stwierdzić, któż to taki. W drugiej rozpoznałem, nie bez trudu, tę samą kobietę co na pierwszym z wybranych zdjęć, ale bardziej wyraźną. To nie Anna Eckart, pomyślałem. Brunetka, a nie blondynka, w szpecących ją okularach z grubymi szklami. No tak, ale czego się spodziewałem? Kelner, który powiedział mi o fotografiach, dodał przecież, że zauważył na nich Niemkę, która mieszkała wtedy w hotelu, nie była to

jednak kobieta z moich zdjęć.

Dziwne to wszystko, pomyślałem. Ktoś mówił mi przecież, że w ostatnim półroczu w hotelu mieszkała tylko jedna Niemka. A ponieważ miałem pewność, że Anna Eckart tu gościła, to musiała być ona!

Sięgnąłem raz jeszcze po zdjęcie, podłożyłem pod żarówkę nocnej lampki i przyjrzałem się nieznajomej. W tej samej chwili przypomniałem sobie hasło z krzyżówki, którą dzień wcześniej rozwiązywał mężczyzna w recepcji: „Coś, co służy do zamaskowania”. Przebranie. Jasne! Anna Eckart przed przyjazdem do Starego Krzyża zmieniła wygląd! Zapewne nie chciała zostać rozpoznana. Może była tu już wcześniej i miała powody, aby się czegoś obawiać. Jakie? Nic nie przychodziło mi do głowy. Ale teraz byłem prawie pewien, że sfotografowano właśnie ją, chociaż z pozoru wydawała się kimś innym, a wrażenie to udało się stworzyć dzięki zmianie koloru włosów z jasnego na ciemny, okularom ze szklami jak denka słoika i może także kilku dodatkowym zabiegom, jak pogrubienie brwi czy trochę inny rysunek ust.

To dlatego nikt w Starym Krzyżu nie mógł skojarzyć twarzy z moich zdjęć z kobietą, która tu mieszkała. Ale oznaczało to też, że Anna Eckart niepotrzebnie zmieniła wygląd. Pokazywałem przecież jej podobiznę różnym osobom i nikomu nic ona nie powiedziała. No tak, ale nie pokazywałem jej wszystkim. Być może wśród kilku tysięcy mieszkańców Starego Krzyża znalazłby się ktoś, kogo miała prawo się obawiać.

Na następny dzień zaplanowałem podróż do Poznania. To tylko półtorej godziny jazdy pociągiem. Chciałem dotrzeć do autora zdjęć z imprezy w hotelu, bo mógł przecież dysponować ujęciami okularnicy, których nie dał Buremu. Liczyłem też na to, że uda mu się powiększyć jej twarz, abym mógł się upewnić, czy moja teoria o przebraniu jest prawdziwa. Miałem zarazem nadzieję, że sfotografował twarz towarzysza Anny Eckart. Ten facet mógł mi wiele wyjaśnić. Ba, to on mógł być sprawcą zniknięcia pisarki. Mógł być jej mordercą.

Podeksycytowany, że udało mi się zbliżyć o kolejny mały krok do rozwiązania zagadki zniknięcia Anny Eckart, zacząłem zastanawiać się, czy nie zaniedbałem innych śladów, na jakie natrafiłem w Starym Krzyżu. Wtedy przypomniałem sobie, że nadal nie sprawdziłem, czy syn sprzątaczk, niejaki Jawor, rzeczywiście pożyczył Niemce mieszkającej w hotelu, a więc zapewne Annie Eckart, samochód. Jego matka zaprzeczyła, ale nie brzmiało to przekonująco. Nie ulegało wątpliwości, że muszę dotrzeć do niego samego i zapytać o to wprost. Postanowiłem zrobić to natychmiast. Wiedziałem od kelnera z hotelowej restauracji, że facet mieszka niedaleko, na ulicy Wąskiej,

nad sklepem z telewizorami. Dokuczał mi co prawda głód, ale byłem pewien, że nie zajmie to więcej niż pół godziny.

Wąska okazała się jedną z najkrótszych uliczek w mieście i równie dobrze mogłaby się nazywać Krótka. Schowana na tyłach Szerokiej, miała może ze sto metrów. Po lewej stronie stało kilka zlepionych ze sobą jednopiętrowych domów, prawą zajął trochę wyższy budynek administracyjny browaru.

Bez trudu znalazłem sklepik z telewizorami i radiodbiornikami, mimo że wystawa była pusta, a w głębi na półkach dostrzec można było jedynie anteny, przedłużacze i lampy radiowe. Postanowiłem wejść do środka i zapytać o latarkę. Pomyślałem, że podczas wieczornych spacerów po Starym Krzyżu czułbym się z nią bezpieczniej i pewniej.

– Latarki są – wyjaśniła cierpliwie sprzedawczyni. – Ale od kilku miesięcy nie dostajemy baterii. Mieliśmy spory zapas, ale wie pan... Radia tranzystorowe, magnetofony kasetowe... Nie wystarczy pan.

– A dlaczego nie ma dostaw? – zapytałem poirytowany.

– Brakuje dewiz na zakup dwutlenku manganu – wytłumaczyła z niezmaconym spokojem. – Dawniej sprowadzaliśmy elektrolityczny z Japonii, później naturalny z Gabonu. Teraz nie ma pieniędzy nawet na ten drugi.

Nie miałem pojęcia, co to jest dwutlenek manganu i do czego służy, zapytałem więc o czajnik elektryczny i grzałkę. Okazało się, że czajnik, owszem, jest, ale tylko na kupony za zdaną makulaturę. A grzałki powinienem poszukać w dziale elektrycznym domu towarowego przy ulicy Drzymały.

Nad sklepem, w którym nie udało mi się nic kupić, rzeczywiście mieściły się jakieś mieszkania, ale nie bardzo wiedziałem, jak się do nich dostać. Dopiero uczynny przechodzień wyjaśnił mi, że bramą w następnym domu powinienem wejść na podwórko i tam odszukać drzwi na klatkę schodową prowadzącą do Jawora.

Kiedy znalazłem się już na pierwszym piętrze, stanąłem w obliczu kolejnej zagadki. Do których drzwi zapukać? Po lewej czy po prawej? Na żadnych, wbrew zapewnieniom kelnera, nie było bowiem tabliczki z nazwiskiem lokatorów.

Stałem przez chwilę na środku niewielkiego korytarza i zastanawiałem się, co zrobić, gdy nagle drzwi z lewej nieznacznie się uchylły. Przez szparę zobaczyłem ciekawskie oko, które lustrowało mnie od stóp po czubek głowy, oraz usłyszałem charakterystyczny świergot lampowego odbiornika radiowego nastawionego na rozgłośnie Wolna Europa.

– Czego! – dobiegł mnie niski, kobiecy głos.  
– Ja do pana Jawora – odpowiedziałem grzecznie.  
– To tam – wyjaśnił głos.  
– Naprzeciwno? – rzuciłem przyjaźnie.  
– No a gdzie? – obruszył się głos, po czym drzwi gwałtownie się zatrzasnęły.

Zapukałem. W mieszkaniu słychać było jakieś szuranie, ale dość długo trwało, zanim i te drzwi się uchyliły. Zobaczyłem w nich patykowatą sylwetkę kobiety w średnim wieku, niekompletnie odzianej, jeśli luźną, różową halkę niedbale narzuconą na nagie ciało w ogóle można uznać za ubranie.

– Tak, słucham – powiedziała zachrypniętym głosem Jaworowa, bo była to, jak się okazało, żona mężczyzny, z którym chciałem rozmawiać.

Przedstawiłem się i wyjaśniłem sucho, że szukam pana Jawora.

– Męża nie ma – warknęła.

– A kiedy będzie? – Nie ustępowałem.

– Nie mam pojęcia – przyznała niechętnie.

– Wpuści mnie pani? Z panią też chciałbym zamienić kilka słów.

Pomyślałem, że warto i ją zapytać o Annę Eckart. Dopiero po chwili otworzyła drzwi szerzej i poprowadziła mnie do ciasnej kuchni, w której panował niewyobrażalny bałagan.

Na blacie, kuchence i niewielkim stole piętrzyły się zabrudzone resztkami jedzenia, garnki, patelnie, talerze i półmiski, zanieczyszczone fusami szklanki w metalowych koszyczkach, upaprane sztucce, otwarte pudełeczka i torebki z herbatą, cukrem, mąką i kaszą. Na oparciach krzesel walały się nieprane od dawna i chyba nigdy nieprasowane części damskiej garderoby. W rogu pod oknem stała bateria pustych butelek po wódce. W niedomkniętej lodówce, która wydawała z siebie żalosny, przedśmiertny warkot, nie można było dostrzec nic oprócz napoczętej flaszki czystej na środkowej półce. Pod lampą wisiał lep na muchy, a nad stołem przypięty pinezkami kalendarz „Przyjaciółki” z osiemdziesiątego pierwszego z doklejonym niedbale zdjęciem gospodyni i kilkuletniego chłopca.

– Syn? – zapytałem, pokazując na fotografię.

– Antoś, jest na wsi, u moich rodziców – mruknęła cicho.

Wskazała mi krzesło najmniej zawałone ubraniami, sama przysiadła na brzegu taboretu, który wysunęła spod stołu. Przyjrzałem się jej z bliska. Przerzedzone, wyblakłe włosy, zapadnięta twarz, której alkohol i jak nietrudno się było domyślić, mężowskie razy nadały siny odcień,



wychudzone, kościste ciało i zaskakująco ładne, smukłe dłonie. Nie była stara, a jednak miałem wrażenie, że tli się w niej już tylko resztką życia.

– Chodzi o Antosia? – Zreflektowała się nagle i wyłuskała spośród naczyń piętrzących się na stole mały czerwony wagonik towarowy kolejki Piko, takiej samej, jaką miałem w dzieciństwie, niestety bez kół i w dodatku pacnięty brunatnym sosem.

– Nie, nie. Poszukuję mojej znajomej, niemieckiej pisarki, która niedawno była w Starym Krzyżu – wyjaśniłem. I zaryzykowałem: – Wiem, że pani mąż ją poznał. Pożyczał jej samochód.

– Mój mąż? – Zdziwiła się, odstawiając wagonik na stół. – I jakaś Niemra? Co też pan gada?

Sięgnęła do lodówki po napoczętą butelkę wódki.

– Chce pan? – zaproponowała i był to pierwszy życzliwy gest z jej strony, jeśli pominąć to, że łaskawie pozwoliła mi wejść do mieszkania i usiąść na krześle.

Kiedy podziękowałem, odkręciła nakrętkę i zaczęła szukać szklanki. Wzięła jakąś ze zlewu, obejrzała pod światło, odłożyła z powrotem i pociągnęła duży łyk prosto z butelki.

Spojrzała nieprzytomnym wzrokiem na wronę, który przysiadła na parapecie, i wyszeptła, raczej do siebie niż do mnie, kilka słów, które zabrzmiały jak klątwa:

– Biała wódka, czarny ptak!

Była prawie naga. Za duża różowa halka, właściwie nowa i bardzo ładna, niepasująca do niczego w tym bałaganie i brudzie, z trudem przykrywała jej ciało. Małe, wiotkie piersi z sinymi brodawkami co jakiś czas wychylały się spod misternej koronki, na co w ogóle nie zwracała uwagi. Co prawda czasem podciągała koszulkę do góry, aby je przykryć, ale wtedy odsłaniała gęste, czarne jak smoła owłosienie łonowe. Ale ciało kobiety, która była chyba zbyt wstawiona, by odnotować swój więcej niż skromny strój, w ogóle mnie nie pociągało. Byłem jej zachowaniem zażenowany.

Robiłem wszystko, by nie gapić się na Jaworową. Uciekałem wzrokiem od jej nagości. Może zresztą podświadomie bałem się, że na nieoczekiwaną i niechcianą sytuację nałoży się przeżycie wcześniejsze, naznaczone niespełnieniem, a zwodnicze echo tamtego podniecenia przeniesie się z powabnej Maryli na kobietę, którą postrzegałem wręcz jako odpychającą, i to nie tylko ze względu na odrażające otoczenie. Zwłaszcza że wydawała się łatwym łupem. Choć zapewne nim nie była.

Wiedziałem już, że od półnagiej gospodyni niczego się nie dowiem.

Przeżarty alkoholem mózg nie funkcjonował. Zdziesiątkowane przez lata picia szare komórki odmawiały posłuszeństwa. Uznałem, że nie ma sensu szukać w kieszeni zdjęcia Anny Eckart. Nawet jeśli pisarka gościła u Jaworów, moja rozmówczyni prawdopodobnie w ogóle tego nie odnotowała.

Miałem dość wizyty w niesprzątanym, zapuszczonym mieszkaniu. Wydawało mi się, że brud, który był tam wszędzie, oblepił mnie, wrósł w moje ciało. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek uda mi się go z siebie zmyć.

Wyszedłem bez słowa pożegnania. Nie jestem pewien, czy kobieta to zauważyła. Nie jestem nawet pewien, czy moja wizyta zostawiła jakikolwiek ślad w jej pamięci. Stracony czas, pomyślałem. I już chciałem zejść po schodach, żeby wrócić do hotelu, gdy drzwi po przeciwległej stronie małego korytarza znowu się uchyliły.

– No i co, rozmawiał z Jaworami? – zapytała sąsiadka, której nos zobaczyłem w szparze. Dopiero po chwili zorientowałem się, że chodzi o mnie.

– Tak, tak, rozmawiałem z panią Jaworową, ale niewiele się dowiedziałem – stwierdziłem zawiedziony.

– Wejdzie do mnie na chwilę – zaproponowała i otworzyła drzwi na całą szerokość.

Co mi szkodzi?, pomyślałem i podążyłem za kobietą w znoszonej, ale starannie odprasowanej garsonce i ciepłych filcowych kapciach do dużego, umeblowanego w starym stylu pokoju, usłanego grubymi dywanami. Pedantyczny porządek, jaki tu panował, był całkowitym przeciwieństwem bałaganu, który oglądałem przed chwilą.

Usiedliśmy przy stole nakrytym ręcznie haftowaną, śnieżnobiałą serwetą. Obok stoliczka z kolorowym telewizorem Rubin i zamaskowanym pstrokatą makatką radiodbiornikiem Stolica (nie ulegało wątpliwości, że to on był źródłem nieprawomyślnych odgłosów, które dobiegły mnie pół godziny wcześniej).

W głębi oprócz pieca kaflowego, który zajmował dużą część pokoju, stały brunatny kredens, brunatna szafa i brunatne łóżko z wielką pierzyną przysłoniętą ciężką zieloną narzutą. Nad drzwiami wisiał krzyż, a z portretów na przeciwległej ścianie przyglądali nam się z pewną pobłażliwością kardynał Wyszyński, świeć Panie nad jego duszą, Jan Paweł II i prezydent Reagan.

Na blacie kredensu pysznił się stary zegar w mosiężnej obudowie, zasłaniający szklanki, szklaneczki i kieliszki ustawione równiutko za szybą.

Dopiero po chwili zauważyłem, że wskazówki nie poruszają się, i pomyślałem, że wszystko w świecie dość obcesowo traktującej mnie kobiety jest jakby znieruchomiałe, zastygłe, martwe. W wysprzątanym, cichym mieszkaniu czas się zatrzymał. Nie mam pojęcia skąd przyszło mi do głowy, że zegar stanął w chwili, gdy ktoś, kto wypełniał to miejsce radosną krzątanią, odszedł na zawsze i zostawił po sobie uczucie pustki.

– Nie wiem, czego chce od Jaworów, ale to źli ludzie. – Kobieta brutalnie przerwała moje rozmyślenia. – Zwłaszcza on. Zarozumiały, uważa siebie ponad wszystko. A poza tym... Zabił mi psa. W grudniu. Do dziś mną miota...

– Naprawdę? – Zdziwiłem się i nie bez satysfakcji pomyślałem, że moje przeczucie było trafne.

– W środku nocy przyszła do nich jakaś Niemka – kontynuowała kobieta, a do mnie dotarło, że być może od niej dowiem się czegoś nowego o pobycie Anny Eckart w Starym Krzyżu. – Nie podsłuchiwałam, ale gadali tak głośno, że... Trochę po niemiecku, trochę po naszemu. Kłócili się. Zrozumiałam, że pożyczyła od Jawora samochód. Dała mu pięćset złotych. I ten samochód, stara skoda, niebieska, gdzieś się jej popsuł. Chciała, żeby Jawor poszedł tam i przyniósł torby, które zostawiła w bagażniku. Dla niej były za ciężkie. Jawor nie chciał. Krzyczał, że to jej wina, bo jemu ten samochód nigdy się nie psuje. Gadanie! Ciągle trzyma go w warsztacie. Chciał od niej wycygnąć więcej pieniędzy. Powiedziała, że da mu jeszcze dwieście, jak jej te torby przyniesie, a rano pomoże dostarczyć na dworzec. Zażądał pięciuset. Znowu się kłócili. Ale chyba się dogadali. Poszli oboje, ale Jawor potem wracał, znowu wychodził. Kręcił się, jakby miał robaki.

A więc to prawda, że Anna Eckart pożyczyła od Jawora samochód. Chciała w środku nocy dokądś się dostać, może z kimś się spotkać. Wiozła dla tego kogoś coś w dwóch torbach? Ale w takim razie dlaczego mu ich nie przekazała? Ponieważ wóz odmówił posłuszeństwa i nie dojechała na spotkanie? A może wprost przeciwnie, od kogoś dostała coś w dwóch torbach? I nie dowiozła tego – czego? – do hotelu, bo w drodze powrotnej samochód się popsuł. Wróciła pieszo, a więc musiało to być niedaleko, w mieście albo w najbliższej okolicy. W każdym razie torby zostawiła, bo okazały się za ciężkie. Przekonała Jawora, by przyniósł je do hotelu. Co potem? Rano wyjechała? Czy może w nocy wydarzyło się coś, co jest kluczem do rozwiązania zagadki jej zniknięcia? I o czym ani Jaworowa, ani matka Jawora nie chcą mówić.

Czy Jawor jest sprawcą zaginięcia Anny Eckart? Jeśli w torbach było coś cennego, mógł ją zabić, aby to sobie przywłaszczyć. Czy mężczyzna, który na

zdjęciach z osiemnastych urodzin córki Burego rozmawia z kobietą w okularach, a więc prawdopodobnie z Anną Eckart, to Jawor?

Opowieść kobiety rzucała nowe światło na zaginięcie Anny Eckart. Pod warunkiem że była prawdziwa. Ale dlaczego nieznojoma miałyby kłamać? Nie bardzo tylko rozumiałem, jakie miejsce zajmował w jej historii pies, zabity podobno przez Jawora. Zapytałem o to wprost.

– Jak to? – Zdziwiła się, że nie pojmuję czegoś tak oczywistego. – Fifi zawsze szczekał, kiedy w nocy coś się działo u Jaworów. Reagował na każdy hałas. I tej nocy oszalał, bo u nich ciągle się coś działo. A Jawora bardzo jego szczekanie i warczenie denerwowało. Raz mi powiedział, że jak nie uspokoję psa, to będę mu kopać grób. I tego ranka... – Głos kobiety się załamał. Dopiero po dłuższej chwili kontynuowała opowieść.

– Nad ranem wypuściłam go na dwór. Jak zawsze. O szóstej nie chciało mi się zrywać z łóżka. Otwierałam drzwi, Fifi biegał po okolicy, a po dwudziestu minutach był z powrotem. Tego dnia nie wrócił. Znaleźli go dopiero wieczorem w pojemniku na śmieci. Z podejrzanym gardłem...

– Poszła pani na milicję? – zapytałem.

– Myśli, że milicję obchodzi jakiś pies? – Obruszyła się. – Nie było po co chodzić. Zresztą... Dowodu, że to Jawor, nie mam... A poza tym Jawor...

Wykorzystałem moment, kiedy urwała swoją opowieść, i zapytałem ją jeszcze, czy widziała Niemkę, o której wspomniała. Zaprzeczyła.

– Przeleciała tak szybko! Poza tym ciemno było. Pojęcia nie mam, jak wyglądała.

Wstałem, żeby się pożegnać, ale kobieta uniosła dłoń, jakby chciała mnie zatrzymać.

– Zaparzę herbatę! – zaproponowała. Chciała jeszcze pogadać, ale grzecznie się wymówiłem. W drodze powrotnej do hotelu próbowałem raz jeszcze ułożyć w głowie wszystkie fakty, które udało mi się zebrać, zmęczenie i głód sprawiły jednak, że szybko się poddałem.

Wchodziłem do budynku, który nie wydawał mi się już tak brzydki i nieprzyjazny jak pierwszego dnia, z postanowieniem, że zastanowię się nad wszystkim później.

W recepcji znowu natknąłem się na ładną, drobną dziewczynę, która mnie meldowała, ale ledwie ją poznałem. Wyglądała inaczej. Wcześniej robiła wrażenie trochę zaniedbanej, teraz starannie się uczesała i umalowała. Zwłaszcza ciemna kredka do brwi i różowa szminka podkreśliły walory jej urody, głębię spojrzenia i zmysłowość ust. Zauważyłem też, że zamiast hotelowego uniformu, eleganckiego, ale bezosobowego, założyła prywatny

strój: granatową spódniczkę zakończoną nad kolanami swawolną falbanką i biały sweterek z niewielkim dekoltem. Wiedziałem, że jest ładna, w tamtej chwili uświadomiłem sobie, że jest piękna.

Sięgnąłem po klucz bez słowa, ale przytrzymała go przez moment i właściwie zmusiła mnie, bym dotknął jej dłoni. Przez jej twarz przemknął ledwie zauważalny uśmiech. Skąd ta przemiana?, pomyślałem. Do tej pory właściwie mnie ignorowała, nie mówiąc o tym, że sprawiała wrażenie nieśmiałej. Tego zaś wieczora zaczęła zachowywać się wręcz uwodzicielsko.

Powiedziałem jej, że wygląda uroczo. W odpowiedzi wyduła pogardliwie usta, co tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, właściwie nieuzasadnionym, że się mną zainteresowała. Ale następny krok był trudny. Teraz ja spiekłem raka i dopiero po chwili wydusiłem z siebie, że chętnie odprowadziłbym ją po dyżurze do domu.

– Pracuję do dwudziestej trzeciej. – Niby się zgodziła, ale zarazem dała mi do zrozumienia, że nie będzie to możliwe. Chodzenie po ulicach po godzinie milicyjnej wymagało specjalnego pozwolenia.

– Raczej nie będę mógł o tej porze opuścić hotelu. – Zmartwiłem się. Zapytała dlaczego. Trochę mnie zdziwiło, że muszę wyjaśniać, w czym problem.

– W Starym Krzyżu nie ma już godziny milicyjnej – odparła z przekonaniem. – Zresztą gdyby nie lokatorzy z parteru, dawno zapomnielibyśmy, że w kraju trwa stan wojenny. – Jej słowa zdziwiły mnie, ale zanim zdążyłem coś powiedzieć, pochyliła się w moją stronę i dodała ciszej: – No a poza tym, żeby mnie odprowadzić, nie musi pan wcale wychodzić z hotelu. Mieszkam tutaj, na ostatnim piętrze. A właściwie na strychu. Łatwo trafić, bo są tam jedne drzwi.

– Czy to zaproszenie? – Nie byłem pewien, jak zinterpretować jej słowa.

– Jeśli to dla pana nie za późno... – Przekomarzała się ze mną.

– Dwudziesta trzecia? – Chciałem się upewnić.

– Powiedzmy wpół do dwunastej. Potrzebuję z pół godziny, żeby odpocząć i trochę się odświeżyć.

– Wpół do dwunastej? Dobrze, będę – zapewniłem.

– Mam na imię Ewa – dodała.

– Daniel. – Uznałem, że też powinienem się przedstawić.

– Wiem – powiedziała tylko i zwróciła się do gościa, który nagle pojawił się za moimi plecami.

Była dopiero osiemnasta, udałem się więc do restauracji na obiad połączony z kolacją. Zjadłem zupełną piwną z żółtkami oraz ozorek wołowy

w szarym sosie z górą tłuczonych pyr i rozgotowanych buraków, a potem poszedłem do pokoju, by w ciszy zastanowić się nad tym, co się wydarzyło.

Poszukiwania Anny Eckart zeszły na plan dalszy. W tej chwili najbardziej nurtowało mnie pytanie, co oznaczało niespodziewane zaproszenie. Co takiego się stało, że nieprzenikniona piękność nagle się mną zainteresowała? Dowiedziała się, że jestem dziennikarzem z Warszawy, i uznała, że warto zawrzeć ze mną bliższą znajomość?

Punktualnie o wpół do dwunastej zapukałem do poobijanych drzwi na ciemnym poddaszu. Okazało się, że dziewczyna zajęła cały hotelowy strych, dawniej służący za rupieciarnię, a więc skład wszystkich zbędnych przedmiotów i sprzętów, nadal zresztą częściowo pełniący tę rolę. W głębi pod ścianą dostrzegłem belę wykładziny podłogowej, dwa składane łóżka, kilka zniszczonych desek do prasowania, czyjeś popiersie z nadłamanym nosem i nawet stary zakurzony globus, cudem utrzymujący się na rozłupanej na pół podstawie.

Niskie, opadające ukośnie nad pomieszczeniem sklepienie ograniczało możliwość poruszania się, ale dwa duże okna sprawiały, że strych wydawał się obszerniejszy, niż był w rzeczywistości.

Ewa nie miała zbyt wielu własnych sprzętów. W kącie stał mały tapczan przykryty brzydkim szarym kocem, a pod ścianą stolik, dwa niewielkie krzesła i kilka niskich szafek. Nie ulegało jednak wątpliwości, że najważniejsze w tym dziwnym mieszkaniu pod dachem były stojące w centralnym miejscu sztalugi, półka pełna farb olejnych i akrylowych, pędzli oraz innych przyborów malarskich. Ale przede wszystkim płótna, zazwyczaj niewielkie, ustawione na szafkach i częściowo upchnięte za nimi, oraz wielobarwne kolaże, przytwierdzone do ścian pinezkami. Nie musiałem nawet przekraczać progu zagraconej świątyni dziewczyny, by zrozumieć, że mam do czynienia z artystką, skrywającą swoje prace, z wyjątkiem obrazu powieszonoego w recepcji, przed wzrokiem ciekawskich, a jednak bardzo utalentowaną.

Nie mogłem oderwać wzroku od płócien, które – takie miałem wrażenie – zmuszały patrzącego do kontemplacji rozrzuconych według nieznanego klucza i fantazyjnie odkształconych drobiazgów, jakie towarzyszą nam w codziennym życiu, by dojrzał w każdej kompozycji okno na to, co niezmierzone, nieskończone, kuszące aurą tajemnicy.

Ale największe wrażenie zrobiły na mnie kolaże. Na wyrwane ze zwykłego bloku technicznego, grube, sztywne kartki autorka poprzyklejała skrawki kolorowych materiałów. Małe, puszyste motki wełny, drobne koraliki

w różnych kształtach, papierowe wycinanki o delikatnych wzorach, srebrzyste blaszki nadgryzione przez rdzę, poplątane łańcuszki, a tu i ówdzie także medaliki z wizerunkami świętych i Matki Boskiej. Korzystała zazwyczaj z podobnych materiałów, ale każda z tych kompozycji była inna, przemawiała niepowtarzalnym poetyckim językiem i urzekała własnym wewnętrznym ładem. Wiedziałem, że tylko ktoś delikatny, subtelny, głęboko przeżywający rzeczywistość jest w stanie stworzyć coś tak pięknego. W każdym z obrazków, które otaczały mnie ze wszystkich stron, dostrzegłem odbicie wyjątkowej wrażliwości.

Kiedy kilkadziesiąt minut później, po wypiciu butelki cierpkiej bułgarskiej sophii, miłej rozmowie o niczym – aby nie zburzyć intymnej atmosfery, unikałem trudniejszych tematów, zwłaszcza pasji artystycznej – oraz po kilku niewinnych pocałunkach i czułych gestach, leżeliśmy obok siebie, ubrani, onieśmieleni swoją bliskością, poranna przygoda z Marylą wydała mi się czymś niesłychanie odległym. Najchętniej wymazałbym z pamięci prostackie zaloty do starszej od siebie kobiety, w dodatku mężatki. Jak to dobrze, że do niczego nie doszło, pomyślałem. Wiedziałem, że kac moralny zatrułby mi całą radość obcowania z zalotną, a jednocześnie wstydliwą mieszkanką hotelowego strychu.

Przytulony do pleców Ewy, pocałowałem jej włosy i położyłem dłoń na biodrach, a potem powoli przesunąłem w stronę brzucha. Ciepło, jakie poczułem, rozlało się na całe moje ciało. Ale Ewa zadrżała. Odczytałem jej reakcję jako bezdźwięczny krzyk chroniący niewinność. Chociaż zaprosiła mnie do siebie o bardzo późnej porze, co w innych okolicznościach odczytałbym jednoznacznie, wiedziałem, że na tym trochę zbyt zuchwałym gościu powinienem podczas pierwszego spotkania poprzestać. Nie było we mnie zresztą podniecenia, a cudowna tkliwość. Odurzony zapachem Ewy zapadłem w głęboki sen.

17 kwietnia 1982, sobota

U wylotu ulicy wyrosła nie wiadomo skąd mała wojskowa orkiestra dęta z postawnym tamburmajorem na czele, a tuż obok oddział huzarów w szamerowanych mundurach i wielkich czapach ze sztywnymi kitami. U szczytu niewysokiej rampy, należącej jak wynikało z wykutego w metalu, ozdobnego szyldu do Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, ukazała się zaprzężona w trzy pary koni laweta z przykrytą kwiatami trumną. Czyją? Nie miałem pojęcia.

Rozległa się głośna, niezrozumiała komenda, huzarzy dobyli szabel, które błysnęły w słońcu. Orkiestra zaczęła grać marsza żałobnego. Próbowałem podejść bliżej, żeby dowiedzieć się, kim był zmarły. Kawalerzystą? Dostojnikiem państwowym?

Drogę zagroził mi carski policjant, ale natychmiast się odwrócił, bo za nim na ulicę wtargnął żółty furgon wleczony z trudem przez krótkonogiego norikera.

Siedzący na koźle stangret w burej kapocie i karmazynowej, obszytej czarnym barankiem konfederatce sięgnął po złotą trąbkę i zaczął grać, a jego oszalała melodia najpierw zlała się z dźwiękami marsza, a następnie, kiedy mężczyzna zadał mocniej w instrument, przebiła się przez żałobne tony. Zdezorientowani muzycy wypadli z rytmu: jedni przyspieszyli, inni zwolnili, kilku w ogóle się pogubiło. Rozwścieczeni huzarzy ruszyli przed siebie, aby rozprawić się z intruzem, który zakłócił dostojną uroczystość. Zapanował kompletny chaos.

Chciałem się wycofać, ale zanim zdecydowałem, w którą stronę ruszyć, jeźdźcy otoczyli mnie kołem, jakbym to ja był obiektem ich gniewu. Nadal próbowałem się wymknąć z pułapki, ale huzarzy byli już przy mnie, ze wszystkich stron. Końskie grzywy smagały moją twarz, końskie zady napierały na moje plecy. Nie mogłem zrobić ani kroku. Czułem się jak sparaliżowany.

Obudziłem się zlany potem. Dokoła panowała całkowita ciemność. Nie miałem pojęcia, gdzie jestem. Kiedy wzrok przyzwyczał się już trochę do mroku, zacząłem dostrzegać zarysy dwóch wielkich okien, a także kontury przedmiotów, których nie rozpoznawałem. Trwało to tylko chwilę, bo oczywiście przypomniałem sobie, że wieczór spędziłem u Ewy i zasnąłem u jej boku. Sięgnąłem dłonią w jej kierunku, ale trafiłem w pustkę.



Wypowiedziałem głośno jej imię, ale odpowiedziała mi cisza.

Leżałem na wznak z otwartymi oczami i zastanawiałem się, gdzie zniknęła urocza gospodyni mieszkania pod dachem. Po dłuższej chwili zacząłem przypominać sobie, co kryje się za ciemnymi kształtami: sztalugi, stół, krzesła, globus, deski do prasowania. Ale jeden z nich nie pasował do wspomnienia, jakie zachowałem z pokoju, kiedy paliło się w nim światło. Niedaleko drzwi dostrzegłem ciemny, zlewający się z tłem kontur przypominający sylwetkę człowieka. Wydawało mi się, że wieczorem było tam pusto. Im bardziej wpatrywałem się w dziwny zarys, tym mocniejsze było moje przekonanie, że nie powinno go tam być.

Przerażenie pojawiło się nagle. Wraz z przekonaniem, może nie do końca uzasadnionym, że nie jestem w ciemnym pomieszczeniu sam, a osoba stojąca w pobliżu drzwi i wpatrująca się we mnie to nie Ewa, bo Ewa jest o wiele niższa, a poza tym odpowiedziałyby na moje wołanie.

Kim więc był intruz, który czaił się w ciemnościach, znieruchomiwały, milczący, niczym wykuty z kamienia? Autorem anonimowego listu, prowadzącego się do jednego słowa: WYPIERDALAJ? Sprawcą zniknięcia Anny Eckart? Mordercą? Człowiekiem pragnącym uniemożliwić mi dalsze poszukiwania?

Od momentu kiedy się odezwałem, wiedział, że nie śpię. To było pewne. Być może domyślał się też, że go widzę. Co zrobi? Podejdzie i zaśmieje mi się w twarz? Czy może raczej wbije nóż w pierś? Jak się zachować? Wrzasnąć, licząc na to, że się przestraszy i ucieknie? Zerwać się z łóżka i rzucić się w jego stronę?

Długo mógłbym kombinować. Obezwładniający strach sprawiał, że nie byłem w stanie wydać z siebie nawet jednego dźwięku ani wykonać żadnego ruchu. Gdybym został zaatakowany, chyba nie potrafiłbym się obronić. Serce waliło mi tak, że nieznajomy musiał słyszeć jego dudnienie.

Próbowałem się uspokoić. Tłumaczyłem sobie, że sprawca zniknięcia Anny Eckart nie mógł wiedzieć, że noc spędziłem u dziewczyny, którą dopiero poznałem. Nie mógł wejść do jej mieszkania, stanąć w kącie i przypatrywać się, jak śpię. Ale próbę zrationalizowania niezrozumiałej sytuacji zniweczyła myśl, która spowodowała, że strach powrócił.

To raczej zwykły złodziej, który wiedząc, że Ewa wyszła i nie zamknęła drzwi na klucz, zajrzał się do środka i niespodziewanie natknął się na mnie. A teraz kwitł tam i zastanawiał się, co zrobić, zwłaszcza że nie wiedział, kim jestem i na co mnie stać.

Nie, nie, to przecież niedorzeczne, pomyślałem znowu. Niemożliwe, żeby

w kącie czaił się ktoś obcy! Takie sytuacje zdarzają się tylko w koszmarach sennych!

Ale kiedy byłem już na dobrej drodze, by przekonać samego siebie, że intruz to tylko urojenie, kontur drgnął, a jego poruszeniu się towarzyszył cichy brzęk, jakby ktoś potrząsnął drobnymi monetami trzymanymi w kieszeni. Trwało to ułamek sekundy, mgnienie oka, wystarczyło jednak, abym znowu utwierdził się w przekonaniu, że nie jestem sam. Zaschło mi w gardle. Serce zaczęło walić jeszcze mocniej niż wcześniej. Świadomość, że ktoś czai się w mroku, była nie do zniesienia.

Najgorsze miało jednak dopiero nastąpić. W pewnej chwili czarny cień oderwał się od nieprzeniknionego tła i ruszył z miejsca. Byłem pewien, że skieruje się w moją stronę. Zamarłem. Struchlały ze strachu i zrezygnowany czekałem na to, co się wydarzy. Ale cień przepłynął niczym bezcielesna zjawia przez cały pokój, jakby czegoś szukał, po czym zawrócił, dotarł do drzwi, bez pośpiechu je otworzył i zniknął. W chwili kiedy padło na niego blade światło z korytarza, dostrzegłem, że to postawny, ciemno ubrany mężczyzna, bez wątplenia postać z krwi i kości, a nie żaden duch. Niestety nie zauważyłem niczego, co pozwoliłoby mi sukinsyna rozpoznać, gdybym go kiedyś miał spotkać znowu.

Leżałem jeszcze przez dłuższą chwilę. Nie byłem w stanie się podnieść. Jak po ataku ciężkiej choroby. Osłabiony, sflaczały i bezwolny. W końcu zmusiłem się, żeby wstać, podejść do drzwi, powoli je otworzyć, i kiedy miałem pewność, że intruz zniknął, zejść cicho po schodach do swojego pokoju.

Zrzuciłem z siebie ubranie i wszedłem pod prysznic. Dopiero strużki gorącej wody, leniwie spływające po całym ciele, tworzące na nim dziwne wzory, trochę mnie uspokoiły. Nie wiem, jak długo się moczyłem, ale ciągle odkładałem moment wyjścia z ciasnej, zaparowanej kabiny. Mówiłem sobie: jeszcze chwilę. Jeszcze tylko kilka minut. Nigdzie się przecież nie spieszę.

Powoli wytarłem się i z namysłem ubrałem, przeciągając każdy ruch, jakby pedantycznie wykonywane czynności mogły odpędzić wspomnienie koszmarów, które przeżyłem we śnie i na jawie.

Z przykrością stwierdziłem, że zapas czystej odzieży niebawem się skończy, a góra brudów na dnie wąskiej szafy rośnie. Trzeba by zrobić pranie, pomyślałem. Ale gdzie? Tutaj? W umywalce? Pod prysznicem? Hotel pewnie świadczył usługi pralnicze, ale czy było mnie na nie stać? Może w mieście jest jakaś tania pralnia? Powinienem zapytać o to Ewę. Właśnie, a jak ona sobie z tym radzi? Ma dostęp do pralki? To by rozwiązało problem.

Dopiero wtedy, zastanawiając się, jak rozwiązać kwestię brudnej garderoby, uświadomiłem sobie, że podczas rozpaczliwej ucieczki ze strychu w ogóle nie pomyślałem o Ewie. Nie należało przecież zostawiać otwartych drzwi, bo intruz mógł zaraz po moim wyjściu wrócić do mieszkania i wynieść z niego, co chciał. Poza tym powinienem jak najszybciej odszukać dziewczynę i powiedzieć jej, co się stało, mogło jej bowiem grozić niebezpieczeństwo.

Zbiegłem do recepcji, ale nikogo tam nie zastałem. Spojrzałem na zegar wiszący w holu. Dochodziła siódma. Przez brudne okna wpadało blade słoneczne światło. Przecież o tej porze ktoś powinien siedzieć za biurkiem. Zwłaszcza że restauracja była już czynna i nieliczni goście hotelowi schodzący na śniadanie mogli mieć pytania, prośby, żądania.

Odważyłem się zajrzeć do kuchni. Przy małym stole siedział drobny kucharz w brudnym fartuchu i zajadał wprost z wielkiej patelni pachnącą, gęstą jajecznicę na boczku. Zapytałem, czy nie widział Ewy albo jej zmienniczki, ale pokiwał przecząco głową, po czym pokazał małym palcem przysmak i wykonał gest, który był chyba zaproszeniem do wspólnego posiłku.

Nie bardzo miałem ochotę jeść z nim, a na pewno nie po nim, byłem jednak tak głodny, że mruknąłem coś, co mogło zostać odebrane jak zgoda. Sięgnął po patelnię, nałożył mi sporą porcję na talerz, znalazł gdzieś widelec i nieoczekiwanie odezwał się niskim, tubalnym głosem, który zupełnie nie pasował do jego mizernej postury. Powiedział, że mogę zjeść u siebie w pokoju, poprosił jedynie, bym odniósł naczynia. A po chwili zapytał jeszcze, czy może wolałbym zupełną mleczną z lanymi kluskami. Kiedy kiwnąłem przecząco głową, dodał, że Ewa gdzieś tu się kręci, ale od kwadransa albo dwóch jej nie widział.

Ucieszyłem się, że nie będę musiał przeżuwać śniadania w jego towarzystwie, w urywającym głowę przeciągu, bo drzwi na podwórko z tyłu hotelu były otwarte na oścież, i okazywać wdzięczności, że zostałem dopuszczony, nie bardzo zresztą wiedziałem dlaczego, do pańskiego stołu.

Zaniósłem talerz z jajecznicą do pokoju, a potem wbiegłem szybko na strych i zapukałem do Ewy, licząc na to, że wróciła do siebie. Niestety nikt nie odpowiedział. Pociągnąłem za klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz. Kiedy się kąpałem, Ewa musiała tu być, a potem znowu gdzieś pójść. Żałowałem, że się minęliśmy. Chociaż tak naprawdę nic nas jeszcze nie łączyło, czułem niemal fizyczny ból, że nie mogę spojrzeć w jej oczy, zobaczyć jej uśmiechu, zastygnąć na chwilę w bezpośredniej bliskości jej

kruchego ciała.

Kiedy wróciłem do siebie, przypomniałem sobie, że planowałem na ten dzień wyjazd do Poznania. Stwierdziłem, że skoro jestem już na nogach, nie warto tego odkładać. Im wcześniej załatwię sprawy, które tam na mnie czekają, tym szybciej wrócę do Starego Krzyża.

Przełykając zupełnie już zimną i chyba tylko z tego powodu niezbyt smaczną jajecznicę z zatopionymi w niej dużymi kawałkami tłustego boczku, zastanawiałem się, co powinienem zabrać. Zdjęcia! Oczywiście, zdjęcia z urodzin córki dyrektora Burego. To one były przecież głównym powodem mojej podróży. Zacząłem ich szukać i zauważyłem, że leżą ułożone równiutko na szafce przy łóżku. Dałbym sobie głowę uciąć, że wieczorem zostawiłem je rozrzucone na kołdrze. Czyżbym się mylił? A może ktoś tu myszkował? Zabójca Anny Eckart – byłem coraz bardziej pewien, że kobieta została zamordowana – który chciał sprawdzić, czy nie ma go na żadnym z ujęć? Ale jak się dostał do pokoju? Klucz miałem cały czas w kieszeni. Prawdopodobnie jest gdzieś drugi, ale kto ma do niego dostęp? Na pewno sprzątaczką. Sprzątaczką, której syn zetknął się z Anną Eckart. Może to ona uznała, że w ramach porządków powinna ułożyć zdjęcia? Upewniłem się, że żadnego nie brakuje, schowałem wszystkie do koperty, włożyłem ją do wewnętrznej kieszeni kurtki i zbiegłem na dół. Przyjąłem, że pociągi do Poznania jeżdżą o tej porze często, chociaż było już po ósmej, a więc czas najbardziej intensywnych dojazdów do pracy minął.

W recepcji znowu nie zastałem nikogo. Schowałem klucz do kieszeni i ruszyłem w stronę dworca. Szedłem szybko, ale co kilka minut oglądałem się uważnie za siebie. Miałem prawo obawiać się, że jestem śledzony, ale ulice były niemal puste. Zgarbiony staruszek wdrapywał się z mozołem, krok po kroku, na strome schodki prowadzące do sklepu z nabiałem. Niebrzydka kobieta w średnim wieku zaglądała przez szybę do kiosku Ruchu, jakby nie mogła się zdecydować, co kupić: perfumy Być Może, szampon tataro-chmielowy, kokosal w butelce z ucinanym noskiem, proszek IXI czy może jeszcze coś innego. Wymalowana nastolatka próbowała przywołać niesforne psa. Nikt z nich nie wykazywał żadnego zainteresowania moją osobą.

Uświadomiłem sobie, że powinienem zostawić Ewie jakąś wiadomość o wtargnięciu tajemniczego intruza do jej pokoju i o swoim wyjeździe, ale nie chciało mi się już wracać do hotelu. Zresztą nie bardzo wiedziałem, jak mógłbym krótko opisać to, co się zdarzyło, żeby nie zabrzmiało to przerażająco albo co gorsza, idiotycznie. Poza tym byłem przekonany, że

w dzień Ewie nic nie grozi. A przed wieczorem miałem przecież wrócić. Pomyślałem, że wtedy opowiem jej wszystko i razem zdecydujemy, co dalej.

Okazało się, że pociągi do Poznania jeżdżą mniej więcej co godzinę. Miałem szczęście, bo najbliższy odchodził za kilkanaście minut. Podszedłem do kasy, ale brzydko umalowana, tęga kobieta w średnim wieku, która sprzedawała bilety, była zajęta wycieraniem szyby dzielącej ją od kupujących. Czynności, które wykonywała z niezrozumiałym zapałem, tak ją rozgrzały, że zdjęła granatową kurtkę, część kolejarzkiego umundurowania, i zawiesiła na oparciu krzesła. Miała na sobie niebieską bluzkę, tak ciasną, że kilka górnych guzików rozpięło się pod wpływem szerokich, zamaszystych ruchów ciała. Częściowo odsłonięty, obfity biust kołysał się w rytm wykonywanej pracy dokładnie na wysokości moich oczu. Był na wyciągnięcie ręki, tuż za szybą.

Skarciłem się w myślach za przyjemność, jaką sprawił mi ten widok. Uważałem, że ciepłe uczucia do Ewy, które od kilku godzin wypełniały moje serce, powinny tłumić tanie podniety, jakie życie podsuwało w najmniej spodziewanych momentach. I niestety dalej gapiłem się na radosny taniec dużych, kształtnych piersi, zainscenizowany jakby specjalnie dla mnie.

Kiedy wreszcie udało mi się kupić bilet, do odjazdu zostały cztery minuty. Wąski peron opustoszał, wszyscy zdążyli wsiąść do krótkiego pociągu, składającego się raptem z trzech piętrowych wagonów. Ciągnęła je wielka, dysząca parą lokomotywa. Wybrałem środkowy wagon, a w nim miejsce na nisko zawieszonym dolnym pokładzie.

Kobięcy głos z megafonu zdążył już oznajmić, że pociąg do Poznania odjedzie zaraz z peronu pierwszego, kiedy z budynku dworca wybiegł wysoki, smukły szeregowiec w niedbale odprasowanym mundurze wyjściowym. Jechał zapewne do domu, chociaż ktoś w Starym Krzyżu przekonywał mnie, że stacjonujący tu żołnierze nie mają prawa do przepustek. Dzielny wojak wpadł zdyszany do wagonu i nie rozglądając się na boki, usiadł naprzeciwko mnie. Zdjął czapkę, położył obok siebie, zamknął oczy i próbował zasnąć, ale ponieważ miał prawie dwa metry wzrostu, na małej ławce w żadnej pozycji nie było mu wygodnie.

– Na przepustce? – zagałem.

– Na przepustce – odpowiedział niechętnie.

– A słyszałem, że w stanie wojennym nie ma przepustek – ciągnąłem dalej.

– Pogrzeb – wyjaśnił. – Dostałem przepustkę na pogrzeb dziadka. Do Konina. Ale jadę do domu, do Warszawy. Od grudnia nie widziałem się z dziewczyną. Nie wiem, czy jeszcze mam po co jechać.

– Nie pisze? – zapytałem zdziwiony szczerością jego wyznania.

– Pisze, ale... Jak to mówią? Papier jest cierpliwy, napisać można wszystko.

Krajobrazy za oknem migotały bladymi kolorami przedwiośnia. Miałem wrażenie, że młodzieniec, z początku niechętny, uległ pokusie rozmowy. Może uznał, że podróż szybciej mu zleci, gdy pogada z natrętnym nieznajomym?

– A rodzina nie będzie miała panu za złe, jeśli nie pojawi się pan na pogrzebie? – zagadnąłem znowu.

– Do końca nie było wiadomo, czy dostanę przepustkę – przyznał. – Nikt nie wie, że jadę.

– Trochę nieładnie nie pożegnać się z dziadkiem – powiedziałem, ale zaraz pożałowałem tych słów. Odniosłem wrażenie, że żołnierz obruszył się na zarzut bezduszności.

– Może i tak – przyznał, ale jego głos zabrzmiał lodowato. W tym momencie zjawił się konduktor, poprosił mnie o bilet, obejrzał starannie mały brunatny kartonik, przedziurkował i poszedł dalej, jakby w ogóle nie zauważył chłopaka w mundurze.

Zastanawiałem się, dlaczego kobieta w kasie i konduktor nie zażądali ode mnie pozwolenia na podróżowanie na tej trasie. Kiedy jechałem z Warszawy do Starego Krzyża, musiałem je przecież okazać. Najprostsze wytłumaczenie było takie, że kobieta w kasie i konduktor mieli gdzieś zarządzenia generała Jaruzelskiego.

– Naprawdę nie dają wam przepustek? – Próbowałem skłonić żołnierza do dalszej rozmowy.

– Kolega dostał, kiedy matka była chora – przypomniał sobie. – No, a teraz ja.

– Bo wie pan... – brnąłem dalej. – W Starym Krzyżu gadają, że pełno was na ulicach. Zwłaszcza nocą.

– Lewizna – stwierdził, a na jego twarzy pojawił się szelmowski uśmiech. – Czasem się zdarza. Koledzy poznali fajną dziwkę. Bierze dwieście, ale kiedy przychodzą kupą, daje zniżkę, po stówie od łebka. Ja mam dziewczynę. Na kurwy nie chodzę. Ale chętnych nie brakuje.

Postanowiłem zapytać o włamanie do muzeum, nie bacząc na reakcję.

– Słyszałem, że ktoś od was poniszczył eksponaty w muzeum historycznym – powiedziałem jakby od niechcienia.

– Nie słyszałem. – Zdziwił się. I zapytał: – Kiedy to niby było?

– W połowie grudnia – wyjaśniłem. – Zaraz po wprowadzeniu stanu

wojennego.

– Niemożliwe – zaprotestował. – Zaraz po wprowadzeniu stanu wojennego sraliśmy pod siebie ze strachu. Nocne wyjścia zaczęły się w styczniu, w połowie stycznia. Nie wcześniej.

– A wie pan, że właśnie w połowie stycznia w Starym Krzyżu zamordowano nauczyciela? – wytoczyłem kolejne działo. – No i też podejrzewają, że to ktoś od was.

– Niech podejrzewają. – Prychnął lekceważąco. – Leję na to ciepłym moczem.

Próbował się roześmiać, ale skończyło się na pociągnięciu nosem.

– Podobno zajęła się tym prokuratura wojskowa. – Nie poddawałem się.

– Przesłuchiwali nas – przyznał. – Ale sami nie wierzyli, że znajdą winnego. Wie pan, o co pytali? Czy ktoś nie słyszał o zabójstwie w mieście. A my nie mieliśmy o tym pojęcia. I takie były odpowiedzi. Zapisali, poszli. Musieli mieć w papierach, że z nami gadali.

– Co nie znaczy, że ktoś od was nie jest winny – upierałem się. – Podobno stwierdzono, że narzędziem zbrodni mógł być bagnet.

– Niech mnie pan nie rozśmiesza! – wybuchnął. – Bagnet! A co pan myśli, że bagnet trzyma się pod poduszką? W magazynie, przy karabinie! Za zamkniętymi i zaplombowanymi drzwiami. Broń wydają nam tylko na strzelanie i do czyszczenia. No i na wartę. Ale potem z powrotem na miejsce. Każde wydanie nawet jednej sztuki jest ewidencjonowane. W wojsku pan nie był?

Tak się złożyło, że nie byłem, ale nie chciałem drażnić chłopaka.

– To może wartownik wyskoczył do miasta? – zapytałem bezmyślnie.

– Wie pan, co grozi za zejście z warty? – obruszył się. – W stanie wojennym?

– No, ale plotki są – przypomniałem. – Jak pan myśli, skąd ta niechęć do was? Skąd te podejrzenia?

– Trwa wojna, a my jesteśmy najeźdźcami, co nie? – powiedział z drwiną w głosie. A po chwili dodał: – Coś panu opowiem. W wigilię kolega miał wartę. Od osiemnastej do dwudziestej. Podeszły do niego dwie staruszki. Przywitały się, powiedziały, że im go żal. I przyniosły w termosie trochę gorącego barszczu, żeby się rozgrzał. Pamięta pan? Było pioruńsko zimno. A ten wypił. Kretyn! Chociaż właściwie mu się nie dziwię. W pierwszych tygodniach karmili nas żarciem, które trzymają gdzieś w podziemnych magazynach na czas wojny. Chlebem z puszek, nasiąkniętym jakąś słoną breją i tłuszczem tak ohydny, że nigdy nie miałem w ustach niczego

gorszego. Bali się chyba, że cywile nas otrują. Zresztą... Aż tak bardzo się nie mylili. Bo te babcie napakowały do barszczyku tyle środków przeczyszczających, że dla pułku by wystarczyło! Kolega trafił do szpitala. O mały włos się nie przekreślił.

Chłopak przerwał, kiedy pociąg zatrzymał się na jednym z wielu przystanków przewidzianych na trasie do Poznania. Wlepił wzrok w ładną dziewczynę, która właśnie wsiadła i chyba nie przypadkiem wybrała miejsce niedaleko nas. Obawiałem się, że mój rozmówca przesiądzie się na ławkę obok niej, bo bez wątpienia była sympatyczniejszym towarzyszem podróży niż ja, ale przypomniał sobie chyba, że nie jest wolny, bo po chwili wahania odwrócił się w moją stronę i wznowił swoją opowieść.

– Wiem, że dla wielu cywilów jesteśmy wrogami. Ale niech pan spróbuje spojrzeć na to z drugiej strony. Czy my pchaliśmy się na tę wojnę? Czy pan myśli, że nie wolelibyśmy siedzieć w domu, z dziewczynami, niż gnić w jakiejś pieprzonej stajni? Szkoda gadać! Zresztą my to jeszcze nic! Ale w końcu grudnia była u nas kompania czołgów. Wie pan, że oni w pierwszych dniach stanu wojennego musieli spać w tych czołgach? A wie pan, że w takim czołgu, kiedy silnik jest wyłączony, piździ bardziej niż na zewnątrz? Dwóch zamarzło. Opowiadał mi chłopak, który przy tym był. To takie same ofiary Jaruzela jak ci z kopalni Wujek. Tylko że tym z kopalni Wujek będą kiedyś stawiać pomniki. A o tamtych nikt nigdy się nie dowie.

Żołnierz osunął się w kąt i znowu przymknął oczy. Jego tyrada mnie poruszyła, ale nie do końca przekonała, że to nie żołnierz zabił nauczyciela. Odważyłem się podzielić z chłopakiem swoimi wątpliwościami.

– Skoro po obu stronach jest tyle wzajemnej niechęci, czy nie mogło dojść do kłótni, która przerodziła się w szarpaninę, a ta skończyła się tragicznie? – zapytałem.

– Niech pan sobie myśli, co chce, ale z naszej strony nie ma niechęci – powiedział z przekonaniem. – Przecież my dobrze wiemy, dlaczego ludzie widzą nas tak, a nie inaczej. To my dajemy twarz całemu temu koszmarowi, który muszą przeżywać. Dajemy nie z własnej woli, ale dajemy. Gdyby pan spytał chłopaków, po czyjej są stronie, na pewno większość odpowiedziałaby, że Solidarności. Myślę, że każdy albo prawie każdy ma w rodzinie kogoś, kto działał w związku. Mój ojciec był u siebie w pracy jednym z pierwszych, którzy się zapisali. Więc po czyjej stronie mam być? Ale odsłużyć swoje trzeba. Nie ma to tamto. – A po chwili milczenia chłopak dodał: – Nie mówię oczywiście o trepach. Znaczy o zawodowych. Mówię o żołnierzach z poboru, takich jak my.



– Ładnie pan to powiedział – zauważyłem. – „Dajemy twarz koszmarowi”. A myślałem, że do służby zasadniczej trafiają wyłącznie ludzie po zawodówce.

– Skończyłem liceum – przyznał. – Ale pod koniec narozrabiałem, dyro zatrzymał mi świadectwo, nie mogłem podchodzić do matury i do egzaminu na studia. Maturę zdałem później, ale wtedy miałem już bilet do woja. Sam sobie jestem winien.

Chciałem jakoś skomentować tę opowieść, ale żołnierz powrócił nagle do tematu włamania do muzeum i ponownie zapytał, kiedy do niego doszło.

– W połowie grudnia, nie wiem dokładnie kiedy, ale niedługo po wprowadzeniu stanu wojennego – wyjaśniłem po raz drugi.

– To ciekawe – powiedział jakby do siebie. – Bo my w połowie grudnia też mieliśmy włamanie. Ktoś wszedł na teren. Bez większego trudu, w murze była dziura. Wie pan, zakwaterowali nas w budynkach PGR-u, kompletna ruina. Mieszkamy w stajni pełnej szczurów. Nie mam pojęcia, dlaczego tam. Wokół pełno zabudowań. W części, do której nie mamy dostępu, stoi pałac, chociaż... Też w takim stanie, że pozał się Boże. Ale co chciałem powiedzieć? Aha! W grudniu, kilka dni po naszym przybyciu, ktoś przedostał się na teren. Włamał się do jednego z budynków gospodarczych, wlaźł na strych i wybił dziurę w ścianie. Nie była gruba, na jedną cegłę. A za nią schowek. Nietrudno się domyślić, że wcześniej coś tam pewnie ukrył. Nie mógł wiedzieć, że teren zajmie wojsko. Zabrał, co jego, mniejsza z tym. Ale koledzy, którzy mieli tego dnia wartę, dostali w dupę. Za to, że nie zapobiegli. A niby jak mieli zapobiec? To było z tyłu, gdzie nikt nie zaglądał. Komu zresztą przyszłoby do głowy, że ktoś zechce się włamać do zrujnowanego PGR-u? Tam nie ma czego kraść. Oczywiście następnego dnia musieliśmy załatać mur. Był też rozkaz, żeby jeden z wartowników co godzinę obchodził teren i wszędzie zaglądał.

– Nie wiadomo, co było w schowku? – zainteresowałem się.

– Pewnie ci z Solidarności trzymali tam jakieś swoje graty. Powiedziano nam, że szykowali się do obalenia socjalizmu w Polsce i mogli tam składować broń, ale nie chce mi się wierzyć. Jak mówiłem, mój stary był w Solidarności i nigdy o obalaniu socjalizmu i gromadzeniu broni od niego nie słyszałem. Ale kto wie? Może był tam jakiś arsenał? Bo dla powielacza by chyba nie ryzykowali.

Rozmowa zakończyła się nagle, gdy pociąg wjechał na znany mi już peron na tyłach poznańskiego dworca. Żołnierz, który spieszył się na następny pociąg, wybiegł bez słowa pożegnania. Nie spojrzał nawet na atrakcyjną dziewczynę, która wcześniej zwróciła jego uwagę. Ja opuściłem wagon

powoli i podreptałem za tłumem wysiadających do budynku, na którym widniał napis „Poznań Główny”.

Opowieść o włamaniu nie dawała mi spokoju. Czy nie doszło do niego w czasie, kiedy w Starym Krzyżu przebywała Anna Eckart? A jednak myśl, że pisarka mogła być w nie zamieszana, wydała mi się czymś niedorzecznym. Nawet jeśli niepokoił mnie obraz dwu toreb z nieznaną zawartością, które, jak wynikało z jednej z przyjętych przeze mnie wersji zdarzeń, niespodziewanie, w środku nocy znalazły się w jej posiadaniu. I kusila teza, że wypłynęły z zamurowanego schowka (a nie zostały jej przekazane, jak sądziłem wcześniej). Skąd jednak miałyby się tam wziąć? I jakim cudem Anna Eckart miałyby się dowiedzieć, że tam są? A poza tym cóż takiego musiałyby zawierać, by warto było ryzykować uwięzienie i włamywać się na teren zajęty przez wojsko? Nie umiałem odpowiedzieć na żadne z tych pytań. Uznałem zresztą, że sześćdziesięcioletnia kobieta nie byłaby w stanie wybić dziury w murze i wynieść z tajnej skrytki mieszczącej się gdzieś wysoko pod dachem ciężkich pakunków. Chyba że ktoś jej pomógł. Kto? I dlaczego? Ponieważ również te pytania pozostawały bez odpowiedzi, postanowiłem nie zawracać sobie głowy tajemniczym wtargnięciem na teren PGR-u. Chyba że wypłynęłyby jakieś nowe szczegóły wiążące Annę Eckart z tym zdarzeniem.

Na dworcu zobaczyłem ludzi stojących w kolejkach do kas i pomyślałem, że przyjemnie byłoby wrócić do domu, zamiast z narażeniem życia rozwiązywać zagadkę, której, być może, rozwiązać nie jestem w stanie. Pokusa, żeby kupić bilet do Warszawy i odjechać, była bardzo silna. Ale przecież w Starym Krzyżu zostawiłem rzeczy. Poza tym myśl, że porzuciłbym zadanie, któremu poświęciłem już tak wiele czasu i energii, a przede wszystkim wspomnienie cudownego wieczoru u Ewy sprawiły, że bez większego żalu porzuciłem pomysł ucieczki. W barze, który już znałem, zjadłem pomidorową z dużą porcją ryżu, równie smaczną jak za pierwszym razem, i syty ruszyłem przed siebie.

Wdrapałem się po stromych schodach na brzydki wiadukt, ulicą Roosevelta doszedłem do najbardziej reprezentacyjnej arterii w mieście, noszącej dumne miano Czerwonej Armii, minąłem obserwowany z oddali przez żołnierzy, milicjantów i ormowców pomnik Ofiar Czerwca 1956 na placu Mickiewicza i w końcu dotarłem do ulicy Ratajczaka oraz mieszczącego się na niej, jak informowała pieczęć na każdej z fotografii, które miałem w kieszeni, zakładu fotograficznego.

Wbity między sklep z butami, przed którym ustawiała się długa, kilkudziesięciosobowa kolejka („Zacznijcie wreszcie sprzedawać!”, wrzasnął

ktoś, kiedy tamtędy przechodziłem), i kwaciarnię, wydawał się reliktem z czasów gomułkowskich. Zdjęcia na wystawie, sądząc po fryzurach i strojach portretowanych osób, pochodziły sprzed wielu lat. Czarno-białe, często wypłowiałe i lekko zakurzone, nie zachęcały do wejścia do środka.

Przeczytałem na szklanych drzwiach, że zakład o dumnej nazwie Studio Fotograficzne „Milena” jest czynny od dziewiątej do piętnastej, a w pracujące soboty od dziesiątej do siedemnastej. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że nie wiem, kiedy w kwietniu wypadają pracujące soboty, ale wystarczyło nacisnąć klamkę, aby się przekonać, że drzwi są otwarte.

Wszedłem do środka i rozejrzałem się po ciemnym pomieszczeniu, w którym unosił się charakterystyczny, nieprzyjemny zapach chemikaliów stosowanych do obróbki filmów. Chciałem chrząknąć, żeby kogoś przywołać, ale nie było to konieczne. Po chwili za ladą pojawił się długowłose mężczyzna w rozciągniętym swetrze, zdecydowanie za młody, by sfotografować ludzi, których podobizny oglądałem na zewnątrz. Uśmiechnął się promiennie i zapytał, czego sobie życzę.

Przedstawiłem się jako wysłannik dyrektora Burego, wyjąłem z kieszeni zdjęcia z imprezy jego córki i wyjaśniłem, o co chodzi. Fotograf zauważył, że powiększenia to pestka, ale wyszukanie dodatkowych ujęć kobiety i mężczyzny, których mu wskazałem, to już zadanie wymagające zdecydowanie więcej czasu. Zmartwiłem się i zapytałem, jaka jest szansa, by zrobił wszystko jeszcze dziś.

– Jeszcze dziś? – jęknął. – No dobrze. – Zgodził się bez entuzjazmu. I dodał: – Czego się nie robi dla dyrektora Burego? Przez lata dawał zarobić ojcu, a teraz, kiedy przejąłem interes, mnie również zaprasza do Starego Krzyża, żebym sfotografował to czy tamto. Nie płaci już tyle, co dawniej, ale... Tej imprezy – uderzył palcem w jedno ze zdjęć – długo nie zapomnę!

Zapytałem, o której mam przyjść.

– Koniecznie przed piątą – zaznaczył. – Muszę zamknąć punktualnie, mam robotę na mieście.

Miałem w Poznaniu jeszcze jedno zadanie do wykonania. Informacje o Annie Eckart, które znalazłem w *Słowniku pisarzy niemieckich, austriackich i szwajcarskich*, nie w pełni mnie usatysfakcjonowały. Byłem pewien, że istnieją lepsze źródła na ten temat, jeśli nie polskie, to niemieckojęzyczne. Postanowiłem poszukać ich w Bibliotece Uniwersyteckiej. Nie znałem jednak adresu. Już pierwszy z przechodniów, którego zagadnąłem, wyjaśnił mi, że znajdę ją kilkadziesiąt metrów dalej na tej samej ulicy. Ucieszyłem się, że nie

będę musiał błędzić po Poznaniu, a w dodatku oba miejsca, do których chciałem dotrzeć, znajdowały się stosunkowo blisko dworca.

W bibliotece, która ulokowała się w potężnym gmachu zbudowanym jeszcze w czasach pruskich, wydano mi kartę użytkownika i skierowano do katalogu. Bez trudu wyszukałem w nim kilka książek napisanych przez Annę Eckart. Zamówiłem je, licząc na to, że na skrzydełkach znajdę jakieś informacje o autorce. Zadaniem trudniejszym było dotarcie do opracowań na temat literatury niemieckiej, w których mógłbym znaleźć coś na temat zaginionej. W tym celu musiałem skorzystać z katalogu rzeczowego, co nie było już takie łatwe.

Zastanawiałem się, czy nie poprosić o pomoc którejś ze zgrabnych studentek, gorączkowo wertujących fiszki w drewnianych szufladkach tuż obok mnie, ale w końcu uznałem, że powinienem poradzić sobie sam. Zwłaszcza że kilka lat uczyłem się niemieckiego i rozumiałem tytuły w rodzaju: *Kurze Geschichte der deutschen Literatur*, *Studien zur DDR-Literatur* czy *Kleine Literaturgeschichte der DDR*. Wybrałem kilkanaście pozycji, które mogły moim zdaniem zawierać jakieś informacje na temat Anny Eckart, a następnie wyselekcjonowałem pięć najobszerniejszych i zamówiłem.

Zająłem wskazane mi miejsce w dużej sali, wśród poważnych pracowników naukowych, roztargnionych studentów i stanowiących najmniejszą grupę, przypadkowych czytelników, takich jak ja. Na realizację zamówień trzeba było czekać kilkadziesiąt minut. Nie bardzo wiedziałem, co ze sobą począć.

Z początku gapiałem się na najładniejsze studentki na sali, ale kiedy jedna pod wpływem mojego natarczywego spojrzenia oderwała się od lektury, podniosła głowę i wykrzywiła się z dezaprobatą, uznałem, że nie jest to najlepszy pomysł.

Wstałem od stolika, na którym stała mała lampka z abażurem, o tej porze zbędna, podszedłem do sięgających sufitu półek i zacząłem przyglądać się grzbietom tomów tworzących księgozbiór podręczny.

Znalazłem dział poświęcony literaturze niemieckiej, a w nim dwa leksykony opublikowane w RFN oraz kilka wydanych w NRD. W pierwszych Anna Eckart w ogóle nie figurowała, w drugich owszem, ale wszystkie hasła przypominały to jedno, niezbyt szczegółowe, które już znałem, i to po polsku. Nigdzie nie znalazłem żadnych nowych informacji. Oczywiście coś mi mogło umknąć. Nie opanowałem języka aż tak dobrze, by zrozumieć każdy szczegół. Byłem jednak prawie pewien, że ze słowników nie dowiem się o pisarce nic, co naprawdę mogłoby mnie zainteresować. Obawiałem się, że w książkach, które zamówiłem, też znajdę wyłącznie najbardziej oczywiste fakty, poza

mniej lub bardziej wnikliwymi omówieniami twórczości, na których mi nie zależało.

Wróciłem na miejsce, gdzie czekały już na mnie wszystkie pozycje, o które prosiłem, oprócz jednej. Nie myliłem się. Żadna z nich nie zawierała ciekawych, nieznanymi mi informacji o Annie Eckart. Zatopiłem się więc w lekturze *Intermezza*, najsłynniejszej powieści pisarki. Książka wydawała się interesująca, ale przeczytanie jej w całości w ciągu kilku godzin nie było możliwe. Zresztą czy znajomość powieści historycznej, bo tak należało ją sklasyfikować, mogła mi pomóc w poszukiwaniu zaginionej autorki? Miałem co do tego wątpliwości.

Ponieważ nadal nie dostałem jednej z zamówionych pozycji, a poza tym do ponownej wizyty w Studiu Fotograficznym „Milena” było jeszcze sporo czasu, zacząłem znowu przeglądać księgozbiór podręczny, tym razem trochę na oślep, nie licząc już na żadne rewelacje na temat Anny Eckart, a szukając raczej jakiejś interesującej lektury, która pomogłaby mi zabić czas do piątej. Wyjmowałem kolejno różne tomy, kartkowałem je i odkładałem z powrotem na miejsce. Nic nie przykuwało mojej uwagi. Aż do momentu, kiedy trafiłem do działu książek historycznych. Wiedziałem, że tu najłatwiej znajdę pozycję, która może mnie zainteresować. I zupełnie niespodziewanie na jednym z grzbietów zobaczyłem znajomy tytuł. *Warszawa na starych fotografiach. 1900–1939*.

Jako dzieciak uwielbiałem tę książkę. Oglądałem ją podczas wizyt u wuja Artura, brata mamy, wielokrotnie, niekiedy godzinami. Ze wzruszeniem otworzyłem ją po raz pierwszy od dawna. Nie bardzo potrafiłem odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego w pewnym momencie zniknęła z mojego życia. Wuj wyniósł ją do antykwariatu? Komuś podarował? Pożyczył i nie odzyskał? A może po prostu opasły, zniszczony tom z zatłuszczonymi rogami stron znudził mnie i podczas jednej z kolejnych wizyt, zawsze w granatowym sweterku i białej koszuli, z granatową aksamitką pod szyją, nie chciałem już do niego zaglądać, z czasem zaś w ogóle o nim zapomniałem?

Pewne było, chociaż uświadomiłem to sobie dopiero wtedy, w bibliotece w Poznaniu, że właśnie ten album, oglądany wielokrotnie w dzieciństwie, był źródłem mojego zainteresowania Warszawą sprzed lat, jej przeobrażeniami, jej aspiracjami, by – już w okresie niepodległości – znaleźć się w kręgu najwspanialszych europejskich metropolii. To on zaprowadził mnie w czasach szkolnych do innych lektur na temat przeszłości miasta, wydawanych w Bibliotece Syrenki. I zapewne on sprawił, że w moich snach odżyła po

latach zapomniana Warszawa z początku stulecia.

Właśnie ta Warszawa najbardziej podobała mi się na zdjęciach oglądanych w dzieciństwie. Nie późniejsza, uwolniona spod rosyjskiego buta, rzeczywiście przypominająca zachodnie stolice lat międzywojennych, ale dawniejsza, z górującymi nad otoczeniem, rozświetlonymi blaskiem promieni słonecznych cebulastymi kopułami cerkwi i cerkiewek, z dwujęzycznymi szyldami i nazwami ulic, z malowniczymi postaciami carskich policjantów, z gibkimi rosyjskimi oficerami musztrującymi karne oddziały wojska na Polu Mokotowskim. I kiedy w poznańskiej bibliotece przeglądałem tom, którego nie widziałem od dawna, zrozumiałem, dlaczego tak było.

Tamta Warszawa, nawet na czarno-białych fotografiach, była barwna, bajkowa, nie z tego świata. W tamtej Warszawie nie widziało się jeszcze atrybutów dwudziestowiecznej cywilizacji, zwłaszcza samochodów, najlepiej ucieleśniających gorączkową, rozbieganą atmosferę naszych czasów, ich szaleństwo, ich pęd ku nowoczesności. Na zdjęciach miasta z początku stulecia królowały zaprzężone do wytwornych bryczek i ciągnące ciężkie tramwaje konie. W oczach dziecka drugiej połowy stulecia już to tylko czyniło je miejscem niemal zaczarowanym.

Kiedy teraz, po latach, oglądałem fotografię placu Saskiego, później przemianowanego na plac marszałka Józefa Piłsudskiego, następnie, przez Niemców, na Adolf-Hitler-Platz, a po wojnie na plac Zwycięstwa, z wielkim soborem Aleksandra Newskiego pośrodku, symbolem zniewolenia Polaków przez Rosjan, próbowałem sobie przypomnieć, czy lektury z czasów szkolnych uświadomiły mi, jaka rzeczywistość kryła się za obrazami, które tak bardzo mnie urzekły. Oczywiście musiałem już wtedy wiedzieć, chociażby z lekcji historii, że fotografie te pochodzą z okresu, kiedy zaborcy usunęli Polskę z mapy świata. We wspomnieniowych książkach opisujących Warszawę z pierwszych kilkunastu lat dwudziestego wieku było jednak tyle czułości i nostalgii, że prawda o tym bolesnym i trudnym okresie niekoniecznie wymazała dziecięce wyobrażenia o nim. Musiało minąć jeszcze trochę czasu, nim wiek dojrzały starł ze mnie naiwną chłopcę fascynację miastem pod carskim panowaniem. Ale chyba nie całkiem, skoro echo tego zauroczenia nieoczekiwanie odezwało się po latach w dziwnych, niepokojących snach.

W końcu odstawiłem książkę *Warszawa na starych fotografiach. 1900–1939* na półkę. Spojrzałem na zegarek. Nadal miałem sporo czasu. Sięgnąłem więc po kolejne tomy. Wybierałem tylko książki bogato ilustrowane, znużony oczekiwaniem straciłem bowiem chęć na lekturę.

W pewnej chwili moją uwagę zwrócił wydany w Wielkiej Brytanii, oprawiony w szare płótno, wielki album *General Government. Rare Photographs from Wartime Archives*, rodzaj fotograficznej opowieści o Generalnym Gubernatorstwie oraz polityce terroru i represji, którą Niemcy prowadzili w czasie wojny na ziemiach polskich niewcielonych bezpośrednio do Trzeciej Rzeszy. Z początku przeglądałem go pobieżnie, nie byłem bowiem w odpowiednim nastroju, by pochylić się nad zdjęciami pełnymi okrucieństwa i bólu. A jednak zatrzymałem wzrok na fotografiach dokumentujących imprezy i uroczystości kulturalne organizowane w Krakowie przez gubernatora Hansa Franka aż do końca jego krwawych rządów. Hitlerowski zbrodniarz jawił się na nich jako znawca sztuki, meloman, koneser dramatu i poezji, a nawet, co najbardziej mnie zaskoczyło, literat. Przewracałem stronicę książki z niedowierzaniem. Na ulicach miast i miasteczek oraz w komorach gazowych obozów zagłady masowo ginęli ludzie, a wystrojonemu w elegancki mundur człowiekowi odpowiedzialnemu za ich cierpienia i śmierć nic nie przeszkadzało upajać się piękną muzyką czy literaturą.

Oto Hans Frank podczas koncertu orkiestry Gewandhaus z Lipska pod batutą G.M. Schmitza. Hans Frank otwiera uroczystości ku czci Richarda Straussa w Teatrze Państwowym. Hans Frank wita się z wielkim aktorem Heinrichem Georgem przed występem w Krakowie zespołu Teatru Schillera w *Katrin* Waltera Stanietza. Hans Frank rozmawia na Wawelu z kompozytorem Hansem Pfitznerem, który poświęcił mu swoje wspaniałe dzieło *Krakauer Begrüßung*. Hans Frank wręcza pracownikom administracji cywilnej Generalnego Gubernatorstwa egzemplarze napisanej przez siebie noweli *Der Schiffsbub des Columbus...*

Na jednym z kolejnych zdjęć Hans Frank gratulował sukcesu finalistkom zorganizowanego przez siebie konkursu poetyckiego. Przyjrzałem się ubranym w białe bluzki, krawaty i czarne spódnice, uśmiechniętym młodym kobietom uważniej. O czym pisały? Co je zajmowało w tych trudnych czasach? Co inspirowało? Uderzyło mnie, że jedna z nich, najlepiej widoczna Anna Schmidt, wygląda trochę jak Anna Eckart. Zdecydowanie młodsza, bardziej okrągła na buzi, lepiej zbudowana, a jednak... No tak, pomyślałem. Mam już obsesję na jej punkcie. Takie zbiegi okoliczności się przecież nie zdarzają.

Spojrzałem na zegarek. Było już wpół do piątej. Szybko odstawiłem ciężką książkę na półkę, oddałem też wszystkie zamówione tomy – na jeden wciąż się nie doczekałem – i pobiegłem do małego zakładu fotograficznego

ukrytego za ścianą wyblakłych zdjęć z czasów gomułkowskich.

Na miejsce dotarłem kilka minut przed siedemnastą. Zastałem zamknięte drzwi. Uderzyłem w nie kilka razy otwartą dłonią. Nikt nie odpowiedział. Walnąłem jeszcze mocniej. Tak mocno, że aż zadrżały i zadudniły. Długowłosey fotograf chyba się przeraził, że wybiję szybę, bo w tej samej chwili wyłonił się z ciemności, przekręcił zasuwkę i wpuścił mnie do środka. Wręczył mi kopertę ze zdjęciami, powiedział, że zrobił, co mógł, ale teraz musi lecieć, i najzwyczajniej w świecie wypchnął mnie z zakładu. Dopiero na ulicy uświadomiłem sobie, że nie wziął za wykonaną pracę ani grosza.

Chociaż ciekawość, czy udało mu się znaleźć lepsze ujęcia Anny Eckart i jej towarzysza, nie dawała mi spokoju, uznałem, że nie będę oglądał owoców jego pracy pod gołym niebem. Na dworzec poszedłem inną drogą, ulicą Towarową, ale wcześniej zoczyłem do górującego nad okolicą hotelu Poznań przy placu Dąbrowskiego. Stwierdziłem, że raz na jakiś czas mogę zaszaleć i zafundować sobie bardziej wystawny posiłek niż skromne obiady oferowane przez gastronomię Starego Krzyża.

Usiadłem w przestronnej, dość eleganckiej, ale pustawej restauracji i wybrałem z karty, którą zgarnąłem ze stolika obok, barszcz z kołdunami oraz bryzol z polędwicy z kaszą gryczaną i zestawem surówek. Niestety, nigdzie nie mogłem wypatrzeć kelnera, który zechciałby przyjąć zamówienie. Czekaając, aż się pojawi, wysypałem na stół zawartość koperty, którą dostałem od fotografa. Zawierała przede wszystkim powiększenia zamówione przez Burego. Jedynie dwa ostatnie zdjęcia należały do mnie.

Fotograf zrobił zbliżenia dwu twarzy. Na pierwszym kobieta, którą widziałem w okularach z grubymi szklami, na chwilę je zdjęła. Mimo ufarbowanych włosów nie było cienia wątpliwości, że to Anna Eckart. Na drugim zobaczyłem krzepkiego, zdrowo wyglądającego mężczyznę w wieku lat około czterdziestu, ubranego w niemodny garnitur. Byłem pewien, że nigdy wcześniej go nie spotkałem.

Kim był człowiek ze zdjęcia? Wiedziałem, że zidentyfikowanie go nie będzie trudne. Jeśli pokażę fotografię różnym osobom, ktoś powinien go rozpoznać. W Warszawie to by się nie udało. Ale w Starym Krzyżu, gdzie wszyscy się znali, tak.

Zwątpiłem już, że uda mi się złożyć zamówienie, kiedy niespodziewanie wyrósł przede mną kelner, młody chłopak, pewnie praktykant, i zaczął zapisywać dania, które wybrałem, ale zanim skończył, w pobliżu pojawił się starszy kolega i wrzasnął na całe gardło:

– Nowak, gdzie ty się podziewasz? Raz, dwa, trzy do mnie!



Kelner uśmiechnął się przepaszająco, zamknął notes i podbiegł do starszego kolegi, który nachylił się nad nim i żywo gestykulując, zaczął mu coś wyjaśniać. A potem obaj zniknęli na zapleczu. Poirytowany, że od blisko pół godziny nie mogę złożyć zamówienia, wstałem od stolika i skierowałem się do wyjścia. A kiedy po męczącej podróży dotarłem wreszcie do Starego Krzyża, wszedłem do pierwszego baru, jaki napotkałem po drodze, i zamówiłem główne danie z karty: zupę grzybową z łazankami, pyzy drożdżowe i kapustę.

Oczekując na posiłek, raz jeszcze wyjąłem kopertę ze zdjęciami, ale nie zdążyłem ich ponownie obejrzeć, bo do stolika podszedł poważny jegomość w szarym swetrze i starannie wyprasowanych, ciemnych spodniach od garnituru. Przedstawił się jako kierownik baru i zapytał, czy jestem tym dziennikarzem z Warszawy, o którym mówi całe miasto. Kiedy niechętnie przytaknąłem, przeprosił z bladym uśmiechem na twarzy, że mi przeszkadza, i wyjawiał, że bardzo chciałby się dowiedzieć, jakie nowe potrawy królują w warszawskich restauracjach, bo zależy mu na tym, aby jego placówka gastronomiczna – takiego określenia użył – przyciągała klientów atrakcyjnym menu.

Nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć. Nie uważałem się za bywalca warszawskich „placówek gastronomicznych”, a jeśli nawet wpadałem do eleganckich hotelowych barów, to tylko po to, żeby napić się piwa. Przypomniałem sobie jednak, że jakiś czas temu, jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego, ktoś zaprosił mnie na kolację do małej restauracji przy ulicy Frascati i polecił danie, o którym wcześniej nie słyszałem: włoską pizzę. Zapytałem jegomościa w czerni, czy zna tę potrawę. Jego spłoszona mina zdradziła, że nie. Wyjaśniłem więc, że jest to placek z ciasta drożdżowego, posmarowany koncentratem pomidorowym, obłożony plasterkami kiełbasy, pomidorów, pieczarek i cebuli, posypany startym żółtym serem i podawany na gorąco. Nie miałem jeszcze wtedy pojęcia, że pizze mogą być różne, a wersja z kiełbasą w miejsce szynki czy innej szlachetnej wędliny to prawdopodobnie kryzysowy wynalazek rodzimy.

Mężczyzna podziękował za przepis, miałem jednak wrażenie, że potrawa wydała mu się zbyt dziwaczna jak na upodobania kulinarne mieszkańców Starego Krzyża.

Po zjedzeniu smacznego i jak się okazało niedrogiego posiłku ruszyłem do hotelu. Cieszyłem się na spotkanie z Ewą. Ale w recepcji natknąłem się na jej markotną zmienniczkę. Chciałem jak najszybciej wbiec po schodach i zapukać do drzwi na strychu, ale zatrzymali mnie dwaj pryszczaci,

zgarbieni, skromnie ubrani młodzieńcy. Wyglądali na uczniów liceum.

– Pan Daniel, prawda? – zapytał niższy, bardziej pryszczaty, z zapamiętaniem wycierający o brzeg swetra okulary.

– Owszem. – Nie miałem pojęcia, czego chcą ode mnie dwaj chłopcy, których nigdy wcześniej nie widziałem na oczy.

– Bo my mamy do pana sprawę – odezwał się drugi, rozdygotany, przypominający mi kolegę ze studiów, który przed każdym kolokwium histeryzował: „Nic nie umiem! Chyba przyczwórkuję!”.

– Wiemy, że już późno, ale czekamy od kilku godzin – wtrącił się pierwszy.

– O co chodzi? – zapytałem zniecierpliwiony.

– Organizujemy wieczornicę z okazji rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja – kontynuował ściszym głosem pierwszy. – W Starym Krzyżu nie będzie demonstracji jak w Warszawie, to chociaż w taki sposób...Wie pan...

– Nasza wieczornica też będzie nielegalna – wysyczał drugi z ledwie skrywaną dumą w głosie.

– I chcielibyśmy, żeby pan wystąpił. – Odważył się zaproponować pierwszy.

Zatkało mnie. Ja na wieczornicy? Co ja miałbym tam robić? Nawet gdybym do trzeciego maja niczego nie wskórał i nadal tkwił w Starym Krzyżu, pomyśl, bym wziął udział w jakiejś opozycyjnej szopce, ryzykując, że komendant milicji, którego poznałem u Juszczaków, albo jakiś miejscowy ubek da mi wilczy bilet i nie pozwoli kontynuować poszukiwań, był czymś niedorzecznym.

– Ale dlaczego ja? – zapytałem. Nigdy nie opowiadałem się ani po stronie władzy, ani Solidarności. Oczywiście tak jak większość Polaków sympatyzowałem ze stroną opozycyjną, ale nie angażowałem się w żadne działania. Ze strachu? Raczej z wygodnictwa. „Nie krytykuj, nie podskakuj, siedź na dupie i przytakuj...”. Zwłaszcza po wprowadzeniu stanu wojennego stałem na uboczu. Jak chyba większość rodaków. Obserwowałem rozwój wypadków. Kibicowałem podziemnej Solidarności, ale w żaden sposób jej nie wspierałem. Dlaczego miałbym teraz wystąpić na prowincjonalnym seansie patriotycznym, organizowanym pewnie w kościelnej kruchcie, w dodatku przez dwóch krostowatych smarkaczy?

– Jest pan autorytetem – wypalił pierwszy. – Dziennikarzem. Z Warszawy.

– Nie ma mowy – odpowiedziałem szczerze.

– Ksiądz Bartek bardzo liczy na to, że pan się zgodzi – próbował podejść mnie drugi.

– Ksiądz Bartek? – zapytałem, chociaż było dla mnie oczywiste, że Kościół

macza w tym palce.

– Proboszcz – dodał drugi. – Pomaga nam. I udostępnia kaplicę.

Zdziwiłem się, że brat komendanta milicji i przyjaciel towarzysza Juszcza bawi się w podszczypywanie władzy, ale nie powiedziałem tego głośno.

– To będzie wieczór poezji. – Wrócił do głównego wątku pierwszy. – Mamy dla pana świetny tekst. Z *Pana Tadeusza*.

– „Natenczas Wojski chwycił na taśmie przypięty; / Swój róg bawoli długi, cętkowany kręty...” – wyrecytowałem z pamięci początek jednego z kilku fragmentów *Pana Tadeusza*, które zapamiętałem ze szkoły. Miałem nadzieję, że młodszy koledzy wyczują w tym ironię, ale pierwszy klasnął w ręce zachwycony.

– Tak, tak, właśnie o Wojskiego nam chodziło – wyjaśnił. – O jego słowa. I zaczął mechanicznie recytować.

*Ach! wy nie pamiętacie tego, Państwo młodzi,  
Jak wśród naszej burzliwej szlachty samowładnej,  
Zbrojnej, nie trzeba było policyi żadnej;  
Dopóki wiara kwitła, szanowano prawa,  
Była wolność z porządkiem i z dostatkiem sława!  
W innych krajach, jak słyszę, trzyma urząd drabów,  
Policyjantów różnych, żandarmów, konstabów;  
Ale jeśli miecz tylko bezpieczeństwa strzeże,  
Żeby w tych krajach była wolność – nie uwierzę.*

Oczywiście domyślałem się, że chodzi o coś takiego. Tekst wieszcza, wyimek z lektury szkolnej, z pozoru niewinny, w obecnych okolicznościach nabierający jednak straszliwej mocy. Bo jak inaczej można go odczytać, jeśli nie jako atak na państwo policyjne i pośrednio na stan wojenny?

– Nie ma mowy – powtórzyłem i chciałem odejść, ale pryszczaty nie dawał za wygraną.

– To może Broniewski – zaproponował.

*Zamień na kamień łzy,  
wyteż oczy i słuchaj:  
wyją, wyją policyjne psy  
przeciągle, ochryple, głucho.  
Czemuż je słychać aż tutaj,*

*gdy noc zapadła nad Polską,  
choć dudnią buty podkute,  
maszeruje policja i wojsko?...*

– Chłopcy, nie było tej rozmowy! – Przerwałem dyskusję, do której w ogóle nie powinienem był dopuścić. Poklepałem jednego protekcjonalnie po plecach i bez słowa ruszyłem w stronę schodów. Nie obejrzałem się za siebie, aby nie widzieć tej mieszaniny rozczarowania i wściekłości, która często gości na twarzach młodych idealistów. I przeskakując po trzy stopnie, dostałem się na samą górę, pod dach. Zapukałem do drzwi.

Ewa wyglądała inaczej niż poprzedniego wieczoru. Nic nie mogłem poradzić na to, że ubrana w białą bluzkę i czarną spódnicę skojarzyła mi się z młodymi niemieckimi poetkami przyjmującymi gratulacje od nazisty. Poza tym odświętny strój sprawił, że nie widziałem w niej tej zadziorności i młodzieńczej fantazji, którymi urzekła mnie dzień wcześniej i które stanowiły doskonałe uzupełnienie świata wykreowanego na obrazach rozstawionych w różnych miejscach pokoju na strychu.

Ale dziwne wrażenie minęło, kiedy zarzuciła mi ramiona na szyję i wpiła się we mnie wilgotnymi ustami. Całowała tak namiętnie, że nie mogłem złapać tchu i po chwili musiałem delikatnie odsunąć ją od siebie. Roześmiała się i wyrwała mi spod pachy kopertę ze zdjęciami.

– Co masz? Pokaż! – zawołała.

Energicznie wyszarpnęła wszystkie fotografie z opakowania i zaczęła je oglądać. Niektóre dowcipnie komentowała. Kiedy dotarła do zdjęcia Anny Eckart, zagadnęła:

– To ta kobieta, o którą pytałeś?

Potwierdziłem.

– Dlaczego jej szukasz? – zainteresowała się.

– To krewna kogoś, kogo znam – wyjaśniłem. – Zaginęła tu, w Starym Krzyżu.

– Z tego co wiem, wymeldowała się z hotelu i wyjechała. – Zdziwiła się.

– Myślę, że nie wyjechała – powiedziałem. I poprosiłem: – Nie mówmy o tym. To może być niebezpieczne.

– Niebezpieczne? – zapytała z niedowierzaniem.

– Niebezpieczne – powtórzyłem. I opowiedziałem jej o tajemniczej nocnej wizycie mężczyzny w czerni. Zanosła się śmiechem. Chyba nie dała wiary moim słowom.

– Musiało ci się przyśnić! – wykrzyknęła.

– To wydarzyło się naprawdę – upierałem się.

– Nie żartuj. – Absolutnie mi nie wierzyła. – Kto miałby tu wejść? Po co? Lepiej mi powiedz, gdzie byłeś przez cały dzień?

Dałem za wygraną i opowiedziałem Ewie o podróży do Poznania, wizycie u fotografa i poszukiwaniach w bibliotece. Zabrałem zdjęcia, które nadal trzymała w dłoniach, wyszukałem na nich mężczyznę, który rozmawiał z Anną Eckart, i zapytałem, czy go zna.

– Tak, tak. – Ucieszyła się, że może mi pomóc. – Mieszkał u nas. Podejrzewasz, że zrobił coś tej twojej Niemce?

– Nie wiem – przyznałem. I dodałem, że to mógł być on.

– Nie powinnam ci tego mówić, ale proboszcz ze Świętego Marcina organizuje u nas w hotelu turnieje brydżowe. Sam bardzo lubi grać. Ale chyba nie tylko o miłe spędzanie czasu chodzi. Słyszałam, że w grę wchodzi duże pieniądze. Przyjeżdżają różni tacy, nadziani. Ten ze zdjęcia to jeden z nich.

A więc mężczyzna z fotografii to nie Jawor, jak myślałem wcześniej. Ale raczej kolejny podejrzany. Zaskakująca informacja o turnieju brydżowym organizowanym przez proboszcza, którego poznałem u Juszczaków, mogła mieć znaczenie dla rozwiązania zagadki zniknięcia Anny Eckart. Przyszła mi do głowy zupełnie nowa teoria na ten temat. Gdyby pisarka świadomie lub nieświadomie wmieszała się w jakieś porachunki na tle długów karcianych, mogła zapłacić za to życiem. Postanowiłem z samego rana wybrać się do proboszcza i zadać mu kilka trudnych pytań.

A Ewę zagadnąłem jeszcze o zamordowanego nauczyciela, pomyślałem bowiem, że on również mógł być uczestnikiem brydżowych rozgrywek i wszystkiego, co działo się wokół nich. Zdziwiła się, że się nim interesuję.

– A co on miał wspólnego z tą twoją Niemką? – zapytała.

– W tym mieście od lat nikogo nie zabito i nagle giną dwie osoby, pisarka z Niemiec i miejscowy nauczyciel – zacząłem. – Czy nie sądzisz, że te dwie sprawy może coś łączyć?

– Nauczyciel został zamordowany – przypomniała Ewa. – Ludzie mówią, że przez żołnierzy z PGR-u. A Niemka? Przecież nie wiesz, co się z nią stało.

– A jednak – podniosłem głos – jest bardzo prawdopodobne, że śmierć nauczyciela i zniknięcie Anny Eckart można ze sobą powiązać.

Czułem, że za bardzo poddaję się emocjom. Zamilkłem na chwilę. I łagodniejszym tonem zapytałem, czy nauczyciel nie brał udziału w turniejach brydżowych.

– Nic mi o tym nie wiadomo – stwierdziła Ewa. Powiedziała to tak, jakby

zamierzała dać mi do zrozumienia, że uważa moje śledztwo za niedorzeczne. Nie chciałem z nią walczyć, spierać się, kłócić. Nie po to do niej przyszedłem. Dotknąłem jej włosów i przygarnąłem do siebie, ale delikatnie mnie odsunęła.

– Nie dziś, proszę – powiedziała błagalnym tonem. – Miałam ciężki dzień. W nocy zastępowałam Basię, wiesz, zmienniczkę. Dziecko jej zachorowało. Przybiegła i poprosiła, żebym posiedziała za nią. Spałeś jak zabity. No a potem miałam własny dyżur. Bez chwili przerwy. Wiesz, dawniej nie musiałyśmy pracować w nocy, ale jeden z komisarzy wojskowych, którzy u nas mieszkają, poszedł do kierownika i nawrzeszczał na niego, że po północy jacyś obcy kręcą się po hotelu. Od tamtej pory musimy we dwie męczyć się przez całą dobę. Szef mówi, że nie zatrudni nikogo więcej, bo stan wojenny się skończy, komisarze wyjadą i wrócą stare porządki. Pracujemy więc po dwanaście godzin. Dlatego nie gniewaj się, ale chciałabym dziś zostać sama, wypaść się, bo rano znowu mam dyżur. Spotkajmy się jutro, dobrze?

Kiedy rozczarowany wyszedłem od Ewy, uświadomiłem sobie, że nie zapytałem, gdzie zniknęła z samego rana, bo przecież w recepcji jej nie było. Ale wyjaśnienie było prawdopodobnie proste. Może wezwał ją ktoś z gości, może musiała załatwić coś poza hotelem, może był jeszcze jakiś inny, równie prozaiczny powód.

Byłem tak zmęczony, że nie miałem siły przebrać się w piżamę. Rzuciłem się na łóżko w ubraniu, ale nie mogłem zasnąć. Przed oczami wyobraźni przesuwwały się obrazy podpowiadane przez książki, które oglądałem w poznańskiej bibliotece.

W pewnej chwili stanęła przede mną młoda kobieta ubrana w białą bluzkę i czarną spódnicę. Ewa? Światło padało gdzieś z tyłu i nie widziałem dokładnie twarzy. Kiedy się pochyliła, żeby mnie pocałować, tuż za nią wyrósł przerażający czarny cień. Otworzyłem oczy. Byłem w pokoju sam.

Gdyby nie niepokojący szmer za drzwiami, który zaraz potem ucichł, nie miałbym powodu wątpić, że to tylko senny koszmar.

## 13 grudnia 1981, niedziela

Anna Eckart musiała spędzić ponad godzinę na ponurym, brzydkim dworcu Warszawa Wschodnia. Z początku była wściekła, ale po jakimś czasie dotarło do niej, że i tak miała szczęście. Mogła się przecież nie zorientować, że wsiadła do pociągu do Białegostoku. A kiedy uświadomiłby to jej konduktor, oddaliłaby się już od Warszawy o kilkadziesiąt kilometrów i wszystko skomplikowałoby się jeszcze bardziej. A tak o jedenastej pięćdziesiąt dwie miała następny ekspres do Poznania. Bilet zachował ważność, wystarczyło kupić nową miejscówkę.

Czas oczekiwania zamierzała wykorzystać na zjedzenie obiadu, ale kiedy zobaczyła, że dwaj uzbrojeni żołnierze legitymują osoby przebywające w dworcowym barze, odwróciła się na pięcie i udała się na peron. Nie miała powodu niczego się obawiać, ale nie chciała, by ktoś ją zapamiętał.

Nie zirytowała się, że pociąg wyruszył z niewielkim opóźnieniem. Cieszyła się, że wreszcie jest w drodze. Niestety, nie znalazła w składzie wagonu Warsu. A głód doskwierał jej coraz bardziej. Na szczęście przypomniała sobie, że przez cały czas pobytu w Polsce nosiła w torbie paczkę herbatników ze Stolberga. Dotychczas ich nie zjadła, teraz pozwoliły zagłuszyć łaknienie. Żałowała jedynie, że nie może napić się kawy.

Miała złudną nadzieję, że zaśnie. Udałoby się, gdyby choć na chwilę uwolniła się od myśli o Henryku Kurcie. Ale kiedy tylko przymykała oczy, z nicości natychmiast wypływała gęba znienawidzonego Polaka. Gdyby nie on, nie musiałyby jechać do Alt-Kreuz, rozgrzebywać przeszłości, do której za nic nie chciała wracać, szukać ukrytych przedmiotów, o których pragnęła zapomnieć.

Pojawił się w jej życiu kilkanaście lat wcześniej, podczas sesji naukowej „Literatury i języki krajów socjalistycznych”, zorganizowanej w Lipsku z okazji pięćdziesiątej rocznicy rewolucji październikowej. Nie odstępował jej na krok. Obsypywał żalonymi komplementami, nieudolnie wychwalał jej dramaty i powieści. Nie ulegało wątpliwości, że liczy na bliższą znajomość, ale nie dała mu na to żadnej nadziei. Zdążyła o nim zapomnieć, gdy po długiej przerwie spotkała go po raz drugi podczas berlińskiego sympozjum „Recepcja współczesnej literatury polskiej w NRD”. Z początku umiejętnie go unikała, ale w końcu ją znalazł i z tym swoim kłamliwym uśmiechem przyklepionym do twarzy, zacinając się, poprosił o spotkanie w cztery oczy.

Myślała, że znowu ją będzie podrywał, ale kiedy byli już sami, wyjął ze starej, zniszczonej teczki kserokopię strony z jakiejś anglojęzycznej publikacji i pokazał palcem zdjęcie, które wcześniej oznaczył krzyżykiem.

Anna Eckart natychmiast się zorientowała, jakie zdarzenie dokumentuje zaskakująco wyraźna fotografia: wręczenie nagród laureatom konkursu poetyckiego zorganizowanego w czterdziestym czwartym przez gubernatora Hansa Franka. A jednak patrzyła na nią zdumiona. Nie pamiętała, by ktoś miał wtedy aparat. A tym samym nie zdawała sobie sprawy, że podobne świadectwo może kiedyś wypłynąć.

Kurta, który nie krył, że zdjęcie wpadło mu w ręce przypadkiem, z nieudolnego uwodziciela zmienił się w bezwzględny szantażystę. Zażądał pięciu tysięcy marek zachodniemieckich. Za co? Za to, że będzie trzymał gębę na kłódkę i nie ujawni przeszłości pisarki. Oburzona powiedziała, że nie zapłaci. Pomyślała, że jeśli dureń taki jak on był w stanie dotrzeć do fotografii i rozpoznać ją w młodziutkiej Annie Schmidt, prędzej czy później uda się to też komuś innemu. A jeśli tak, trzeba się raczej zastanowić nad tym, jak wytłumaczyć światu udział w zorganizowanym przez nazistowskiego dygnitarza konkursie, niż za wszelką cenę chronić swoją tajemnicę. Mogłaby przecież napisać zmyślane wspomnienia z tamtych lat, umieścić w nich jakieś niewinne wierszyki i wmówić wszystkim, że ktoś – chłopak? przyjaciółka? – wysłał je bez jej wiedzy do kancelarii Hansa Franka w Krakau. A kiedy się okazało, że dostała nagrodę, nie wypadało nie zjawić się w Generalnym Gubernatorstwie po jej odbiór.

Ostatecznie, po długich wahaniach, zapłaciła. Kwota, choć spora, nie nadwyręzała jej finansów aż tak bardzo, by nie warto było uciszyć szantażysty. Bała się jedynie, że kiedy facet wyda pieniądze, pojawi się znowu.

Nie chciała jechać na konferencję na temat obszarów wolności w literaturze krajów socjalistycznych. Przez lata unikała podróży do Polski. Chociaż wielokrotnie proszono ją, by wzięła udział w różnych uroczystościach organizowanych w Warszawie, Krakowie czy Poznaniu, zawsze udawało się jej wykręcić. Aż do teraz, do grudnia osiemdziesiątego pierwszego, kiedy wezwał ją minister kultury i osobiście poprosił, by uświetniła swoją obecnością warszawskie sympozjum. Nie mogła odmówić. I modliła się, żeby nie natknąć się na Kurte, bo sam jego widok napawał ją wstrętem. Odnalazł ją sam.

Dwunastego z samego rana zjawił się w hotelu Forum. Myślał, że pisarka wraca tego dnia do Berlina, ale musiała przełożyć wyjazd w związku



z propozycją wywiadu dla telewizji ZDF. Niedbałym gestem trzymał pod pachą tę samą zniszczoną teczkę i znowu wyjął z niej kserokopię. W pierwszej chwili pomyślała, że to ta sama kserokopia, którą widziała wcześniej, ale się myliła.

Kurta musiał zadać sobie sporo trudu, by dotrzeć do egzemplarza dwutygodnika „NS Frauen Warte” z czerwca czterdziestego czwartego roku, w którym zamieszczono po dwa wiersze wszystkich laureatów konkursu zorganizowanego przez gubernatora Franka. Skopiował odpowiednią stronę. I zagroził, że jeśli nie otrzyma zadośćuczynienia, wyśle materiał do redakcji „Sterna” ze zdjęciem, na które trafił wcześniej w angielskiej książce, oraz wyjaśnieniem, że Anna Schmidt to Anna Eckart.

Kiedy wymienił kwotę, Anna myślała, że się pomylił. Zażądał wielokrotnie więcej niż poprzednio. Ale też sprawa była poważniejsza. Zdjęcie z gubernatorem Frankiem można było jakoś wytłumaczyć. Jednoznacznie nazistowskich wierszy – nie.

Aby zdobyć odpowiednią sumę, Anna Eckart musiałaby sprzedać dom, samochód, może coś jeszcze. Byłaby kompletnie zrujnowana. Ale podczas nieprzespanej nocy uświadomiła sobie, że jest też inne wyjście. Kilka miesięcy wcześniej za pośrednictwem wydawnictwa dotarł do niej w Berlinie krytyk z Zachodu i poprosił o rozmowę. Nie chodziło mu jednak o wywiad. Wyjaśnił, że po przeczytaniu *Intermezza* i zapoznaniu się z cytowanymi w książce kilkoma taktami preludium Fryderyka Chopina doszedł do wniosku, że autorka ma dostęp do nieznanego utworu kompozytora. A jeśli tak, może wiedzieć, gdzie jest rękopis. Przedstawił się jako wielbiciel twórcy polonezów i mazurków i zaproponował ogromne pieniądze za wszelkie przedmioty związane z Chopinem, a w szczególności za autografy.

Oczywiście go wyśmiała. Wzięła co prawda wizytówkę, ale jednocześnie wyjaśniła, że jedynie sparafrazowała styl kompozytora. Chyba jej nie uwierzył, ale miała to gdzieś. Nie chciała wracać do przeszłości, odrzucała ją wraz z pieniędzmi, którymi kusił.

Teraz uznała, że odszukanie rękopisu i innych pamiątek po Chopinie, które rzeczywiście miała w dłoniach na początku czterdziestego piątego roku (nie potrafiła odpowiedzieć sobie na pytanie, co ją podkusiło, by po latach zacytować w książce zapamiętany fragment nieznanego preludium), to jedyne sposob, by spłacić szantażystę.

Początkowo chciała prosto z Poznania pojechać do Starego Krzyża, ale po zastanowieniu postanowiła w dalszą drogę udać się nazajutrz. Uznała, że przed wizytą w mieście, w którym spędziła pierwsze lata życia, powinna

zmienić wygląd. Nie chciała, by ktoś ujrzał w niej Annę Schmidt, przywódczynię tamtejszego oddziału Bund Deutscher Mädel, organizacji bądź co bądź nazistowskiej, chociaż w programie jej działalności dominowały zajęcia rozwijające w dziewczętach sprawność fizyczną oraz przygotowujące je do roli gospodyni domowej i matki. Właściwie tylko organizowane dwa razy w miesiącu, zawsze w środę, wieczornice były okazją do dyskusji o historii ruchu narodowosocjalistycznego, przestrzeni życiowej dla Niemców i czystości rasowej.

Mrukliwy konduktor snujący się po korytarzu ekspresu wyraźnie się ożywił, kiedy Anna Eckart zapytała, gdzie jego zdaniem powinna się zatrzymać w Poznaniu, i polecił jej położony niedaleko dworca hotel Merkury. Znała tę nazwę. Zapamiętała ją z opowieści Klause Hempflinga, jednego z kolegów, którzy przylecieli z nią do Warszawy. Gadatliwy pisarz wspominał swoje wcześniejsze wizyty w Polsce i bardzo się skarżył właśnie na poznański hotel Merkury. Co mu w nim przeszkadzało? Podłe jedzenie? Chamowata obsługa? Namolne prostytutki wydzwanające nocą do pokoi i oferujące gościom swoje usługi? Nie mogła sobie przypomnieć, ale postanowiła nie ryzykować. Na dworcu wstąpiła do informacji turystycznej, gdzie polecono jej inny hotel, Poznań przy placu Dąbrowskiego.

Chociaż powiedziano jej, że to niedaleko, zdecydowała się wziąć taksówkę. Uznała, że poruszanie się z ciężką torbą po zasypanych śniegiem ulicach to rozrywka nie dla niej. A poza tym nie chciała ożywiać wspomnień. Do Posen, stolicy Reichsgau Wartheland, przyjeżdżała przecież z dziewczętami z Bund Deutscher Mädel na organizowane przez Arthura Greisera z pompą uroczystości: kwietniowe urodziny Führera i październikowy Dzień Wolności – rocznicę wcielenia tych ziem do Rzeszy.

Strzelisty budynek hotelu Poznań zrobił na niej wrażenie. Musiała przyznać, że przypomina dumę Berlina, Interhotel Stadt Berlin przy Karl-Marx-Allee, na tyłach Alexanderplatz. Przestronny, nowocześnie urządzone pokój z wielkim podwójnym łóżkiem i dużą łazienką okazał się wart swojej ceny.

Wzięła kąpiel, przebrała się i zjechała do restauracji na spóźniony obiad. A po zjedzeniu sznycla wiedeńskiego, całkiem smacznego, chociaż wieprzowego, nie cielecego, z sałatką ziemniaczaną i polskim dodatkiem, jajkiem sadzonym, zaś na deser brzoskwiniowej melby, wstąpiła do hotelowego fryzjera i poprosiła o ufarbowanie jasnych włosów na czarno.

Ucieszyła się, że kulturalny pan w starannie odprasowanym białym fartuchu użył znanej jej enerdowskiej farby Londa. A jednak już w trakcie

zabiegu zaczęła się zastanawiać, czy nie lepiej było kupić perukę. Skóra na głowie zaczęła ją piec, a na twarzy pojawiły się brzydkie plamy. Nie zdawała sobie sprawy, że jest alergiczką.

Po wyjściu od fryzjera zajrzała do kiosku, licząc na to, że dostanie czwartkowe lub piątkowe wydanie „Neues Deutschland”, ale półki z prasą zagraniczną były puste. Już chciała wyjść, kiedy jej wzrok zatrzymał się na pozostawionych przez podstarzałą sprzedawczynię na ladzie okularach ze szklami jak denka od słoika. Stała przy regale z kosmetykami i odczekała moment, a kiedy kobieta na chwilę zniknęła, szybkim ruchem wsunęła jej własność do torebki i wycofała się do holu, a stamtąd do windy. W pokoju weszła do łazienki, wsunęła ukradzione okulary na nos i spojrzała na siebie w lustrze. Przez grube szkła prawie nic nie widziała, ale jednego była pewna. W ogóle nie przypominała Anny Eckart, a tym bardziej Anny Schmidt.

Połknęła środek przeciwbólowy, popiła wodą i położyła się w ubraniu na łóżku. Była zmęczona i niewyspana. Zamknęła oczy.

Żałowała, że nie poprosiła Kurty, by zostawił jej odbitkę strony z „NS Frauen Werte”. Na pewno miał w domu kopię. Chętnie przeczytałaby po latach swoje pierwsze wiersze. Naiwne, niedoskonałe, ale pełne ognia i pasji.

Tak, to prawda, była zafascynowana Adolfem Hitlerem. Ale przecież wszyscy byli! Nie tylko jej wydawał się uosobieniem Niemiec. Świetlistym przykładem patriotycznego oddania. Wizjonerem! Czyż nie potrafił sprawić, że Niemcy, stłamszeni, poniżeni i upokorzeni po kapitulacji w 1918 roku, odzyskali siły żywotne, upajającą świadomość, że są wyjątkowi, i wiarę w lepsze jutro?

Nawet jej rodzice, z początku niechętni nazistom, chłonęli każde słowo Führera, kiedy mówił: „Naród niemiecki nie jest już narodem niesławy, hańby, samobiczowania, trwogi i onieśmielenia! Naród niemiecki jest znowu silny w swojej woli!”.

Ojciec w chwili uniesienia powiedział nawet, że Adolf Hitler przywrócił Niemcom wiarę w obietnicę zawartą w słowach *Das Lied der Deutschen. Denn heute gehört uns Deutschland, und morgen die ganze Welt!* „Bo dzisiaj nasze są Niemcy, a jutro cały świat!”.

A przesłanie Führera do najmłodszych, wygłoszone na Stadionie Olimpijskim? „Spójrzcie na świat wokół was i uśmiechnijcie się. Macie powód. Bo ten świat, wasz świat, nasza Rzesza, nasi ludzie, stał się piękniejszy niż kiedykolwiek przedtem!”. Czy można się było nim nie zachłysnąć?

Anna Schmidt ogromnie zazdrościła młodszej o rok kuzynce Christinie

z Monachium, która pierwszego maja trzydziestego siódmego roku uczestniczyła wraz z kilkudziesięcioma tysiącami dzieci i nastolatków w pamiętnym wiecu w Berlinie z udziałem Führera. A potem z błyskiem w oczach o tym opowiadała. Ale Anna Schmidt nie miała żadnych szans, by się wtedy pojawić u jej boku. W Starym Krzyżu aż do czasu ponownego włączenia miasta do Rzeszy i powrotu do nazwy Alt-Kreuz nie było nawet struktur Hitlerjugend i Bund Deutscher Mädel. Anna Schmidt dziękowała natomiast losowi, że letnie wakacje w trzydziestym siódmym i trzydziestym ósmym spędziła w Monachium, u ojca Christiny, wuja Augusta, Hauptsturmführera SS, i dzięki tym wyjazdom całkowicie nasiąkła atmosferą odnowy, jaką żyły już całe Niemcy.

Największą przygodą lata trzydziestego siódmego okazał się dla niej udział, wraz z setkami innych dziewcząt, w *Nocy Amazonek*, wielkim spektaklu zorganizowanym ostatniego dnia lipca w parku pałacowym Nymphenburg dla nazistowskich dygnitarzy, którzy przybyli do miasta na wyścigi konne. Głównym punktem była parada dziewcząt wcielających się w znane postacie historyczne i mitologiczne z boginią Dianą i konnymi Amazonkami na czele.

Anna w ostatniej chwili zastąpiła koleżankę Christiny, która się rozchorowała. I chociaż nie uczestniczyła w próbach, wiadomo było, że sobie poradzi: od ukończenia szkoły powszechnej pracowała w stadninie hrabiny Ponieckiej i świetnie jeździła konno. W pierwszej chwili miała, co prawda, opory przed obnażeniem biustu, ale Christina wiedziała, jak ją przekonać. Przejazd Amazonek, w srebrnych hełmach i z włóczniami w dłoniach, to jak ożywienie obrazu Tycjana, Rubensa czy Poussina. Uczta dla oczu. Piękny, wspaniały spektakl dla widowni złożonej z najważniejszych osób w państwie.

Nigdy nie żałowała, że pozbyła się wstydu. I aż do końca wojny, do ucieczki z Alt-Kreuz, przechowywała zasuszone płatki lilii, którą podczas widowiska miała wpiętą we włosy.

Żałowała, że nie uczestniczyła w kolejnej *Nocy Amazonek*, w trzydziestym ósmym, ale pojechała do Monachium miesiąc później, pod koniec sierpnia. Dzięki temu była jednak świadkiem wydarzenia jeszcze bardziej doniosłego. We wrześniu wuj August zabrał ją wraz całą swoją rodziną na kilka dni do Norymbergi, gdzie odbywał się dziesiąty kongres NSDAP. Kobiety i dziewczęta nie miały, co prawda, wstępu na główne uroczystości, ale już sama obecność w mieście w tym czasie była wielkim przeżyciem.

Norymbergę opanowali młodzi, smukli, krótko ostrzyżeni mężczyźni w paradnych mundurach i wysokich, błyszczących butach. Kiedy Anna Schmidt przyglądała się, jak maszerują przez morze swastyk falujących na

czerwonych sztandarach, i wsłuchiwała się z bijącym sercem w uderzenia żołnierskich stóp o bruk, czuła, że ma do czynienia z siłą, której istnienia nawet nie przeczuwała. Wtedy zrozumiała, co znaczą słowa o „spokojnym, twardym kroku” z pieśni *Horst-Wessel-Lied*, którą tak często podczas niezapomnianej wycieczki słyszała.

Wtedy jedyny raz w życiu zobaczyła Adolfa Hitlera. Wyprężonego, z podniesionym ramieniem, w jadącej przez miasto, otwartej limuzynie. I choć zaraz zniknął w tłumie, czuła moc płynącą z jego postaci, gestów i płomiennego spojrzenia. A kiedy później opowiadała o tej chwili ekstazy rodzicom, przyjaciółkom i znajomym, nie potrafiła opanować podniecenia i wzruszenia (wyjaśniała zarazem, że Führer ma oczy ciemnoniebieskie, nie czarne, jak pisali w gazetach). Aż do upadku Trzeciej Rzeszy miała poczucie obcowania z wielkością, którą trudno mierzyć ludzką miarą.

Przeżycia z *Nocy Amazonek* i kongresu NSDAP były dla Anny Schmidt głównym źródłem natchnienia, gdy kilka lat później, wiosną czterdziestego czwartego, dowiedziała się z „NS Frauen Warte” o organizowanym przez gubernatora Franka konkursie dla amatorów poezji i zdecydowała się wziąć w nim udział. Zastanawiała się co prawda, czy nie jest on zarezerwowany dla Niemców mieszkających w Generalnym Gubernatorstwie. Ostatecznie uznała, że skoro informuje się o nim w magazynie wydawanym w Monachium, ona także ma prawo spróbować swoich sił.

Nigdy wcześniej nie czytała wierszy i nie miała pojęcia, jak się je pisze, ale czuła, że gdyby udało jej się uchwycić w słowach choćby ślad żarliwości, która wypełniła jej duszę w Monachium i Norymberdze, mogłyby powstać strofy o sile rażenia, jaką ma *Horst-Wessel-Lied*. Wierzyła, że tak się właśnie stało. A tamto pierwsze doświadczenie literackie, docenione w prestiżowym konkursie, okazało się kamieniem węgielnym pod wszystkie jej późniejsze dokonania pisarskie. Nawet jeśli odeszła od poezji. I odwróciła się od ideologii nazizmu.

Na całe życie zapamiętała, z jakim wzruszeniem otwierała na początku maja czterdziestego czwartego roku kopertę z pieczęcią kancelarii Generalnego Gubernatorstwa. I dumę, kiedy zapoznała się z treścią zaadresowanego do niej pisma.

Trzecie miejsce! W najśmielszych snach nie marzyła o takim sukcesie. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że jest amatorką bez literackiego przygotowania. A jednak jej wiersze zostały dostrzeżone i wyróżnione!

List, podpisany przez doktora Olafa Müllera z wydziału propagandy, zawierał zaproszenie na uroczyste ogłoszenie wyników w dniu trzydziestego

pierwszego maja w Państwowym Teatrze Generalnego Gubernatorstwa w Krakau połączone z premierą opery Giuseppe Verdiego *Bal maskowy*.

Pojechała, nie bacząc na koszty. Z dworca odebrał ją Müller, wysoki, jasnowłosy i błękitnooki, świetnie prezentujący się w mundurze Obersturmbannführera SS. Głównie w jego towarzystwie oraz dwu pozostałych laureatek, Sigrid Kremer, szpetnej, ale sympatycznej żony esesmana służącego w Auschwitz, i bezbarwnej, milkliwej, trochę nieśmiałej Ilse Slottko, sekretarki w biurze budowlanym Kolei Wschodniej w Krakau, spędziła dwa zachwycające dni w Generalnym Gubernatorstwie.

Uroczystość wręczenia dyplomów i pamiątkowych upominków (ozdobne pudełko zawierało luksusowe wydanie *Mein Kampf*, eleganckie pióro wieczne z wygrawerowaną swastyką i kupon jedwabiu) była wielkim przeżyciem. Prowadził ją sam gubernator Frank, który w płomiennym przemówieniu wyjaśnił, że stworzył konkurs poetycki, aby pośród bitewnej wrzawy umacniać na ziemiach Generalnego Gubernatorstwa – o terytorium przedwojennej Polski włączonym do Rzeszy nie wspomniał – niemieckie wpływy kolonizacyjne.

Anna Schmidt żałowała, że doktor Frank nie znalazł czasu, aby spotkać się z laureatami prywatnie, ale potrafiła docenić tych kilka ciepłych słów, jakie wygłosił pod ich adresem podczas uroczystości zwieńczonej wspólnym widowiskiem operowym.

Po powrocie do Alt-Kreuz długo i ze szczegółami opowiadała przyjaciółkom o swoich przeżyciach. Nie wspomniała jedynie o tym, jak bardzo zawrócił jej w głowie przystojny doktor Müller. Mimo wielu czułych słów, które padły z ust mężczyzny, była bowiem przekonana, że nigdy więcej go nie zobaczy. Jakże się zdziwiła, gdy kilkanaście dni później otrzymała od niego kartkę, następnie kilka listów – na wszystkie oczywiście odpowiedziała – i wreszcie zaproszenie na wspólny wyjazd do Zoppot. Dopiero wtedy zakończyła trwającą od jakiegoś czasu intymną znajomość z Untersturmführerem SS Albertem Krügerem, szefem gestapo w Alt-Kreuz.

W październiku Olaf Müller po zwięzłej listownej zapowiedzi odwiedził Annę Schmidt. W rozmowach obojga pierwszy raz pojawiło się wtedy wypowiedziane jeszcze trochę niepewnym tonem słowo „małżeństwo”.

Przystojny urzędnik przyjechał ponownie, tym razem bez uprzedzenia, kilka czy kilkanaście dni po Nowym Roku. Wjechał luksusowym czarnym horchem przed pałac, którego prawe skrzydło stało się pięć lat wcześniej siedzibą miejscowego ośrodka Bund Deutscher Mädel i domem Anny Schmidt. Był zmęczony i zdenerwowany. Nie pozwolił dziewczynie, która

miała zostać jego żoną, zajrzeć do dwóch dużych skórzanych toreb, które wyniósł z samochodu. Cały wieczór milczał. Sporo wypił. A potem spał do południa.

Kiedy wstał, Anna, która czuła, że stało się coś złego, zażądała wyjaśnień. Opierał się jeszcze przez jakiś czas, ale w końcu wyrzucił z siebie historię, która przeraziła ją i zbulwersowała. Wynikało z niej, że zdradził i okradł Rzeszę. Nie wypełnił i nie zamierzał wypełnić misji powierzonej mu przez gubernatora Franka. Przywłaszczył sobie cenne przedmioty, które miał dostarczyć do Bad Aibling.

Anna słuchała tych wyznań ze ściśniętym sercem. Ale najbardziej zaboląło ją przekonanie ukochanego, że odkąd Rosjanie przełamali niemiecką obronę na Wschodzie, klęska Trzeciej Rzeszy jest przesądzona. Ona nawet na moment nie utraciła wiary w zwycięstwo. Ciągle przecież czytała w prasie i słyszała w radiu, że jest bliskie. Widziała je w oczach odznaczonych Krzyżami Żelaznymi żołnierzy, których zdjęcia zamieszczały gazety.

Z zarem w głosie opowiedziała Olafowi, jak w połowie października, podczas uroczystości zaprzysiężenia jednostki Volkssturmu sformowanej w Alt-Kreuz, Ortsgruppenleiter Reuscher wygłosił płomienne przemówienie o Wunderwaffe, cudownej broni, i o bliskości ostatecznego tryumfu. I jak w następnych dniach na ulicach miasta pojawił się samochód z megafonem, nadający meldunki o sukcesach na froncie. To stamtąd dowiedziała się, że Rosjanie po pierwszych zwycięstwach w Prusach Wschodnich zostali z nich wyparci. Na zawsze.

Doktor Olaf Müller z lekkim zniecierpliwieniem próbował wytłumaczyć przesłuchującej go niczym wroga dziewczynie, że to wojenna propaganda. Władze świadomie wprowadzają ludzi w błąd. Przemilczają niepowodzenia, a o drobnych sukcesach trąbią tygodniami. Prawda jest zaś taka, że sowieckie czołgi z każdym dniem są coraz bliżej. Czerwonoarmiści prą na zachód i miażdżą wszystko, co napotkają na swojej drodze. Nikt nie może liczyć na litość. Niemców, także cywili, którzy wpadną w ich ręce, traktują z niewyobrażalnym okrucieństwem. Zresztą Polacy na terenach już wyzwolonych też szukają zemsty za doznane krzywdy. W tej sytuacji nie pozostaje nic innego, jak ratować się ucieczką. Im wcześniej, tym lepiej.

Aby wzmocnić siłę swoich słów, wyjął z kieszeni munduru wewnętrzny druk NSDAP i odszukał w nim tłumaczenie ulotki znalezionej w kieszeni zabitego rosyjskiego żołnierza. Przeczytał na głos:

*Zabijaj Niemców – o to modli się twoja matka staruszka!*

*Zabijaj Niemców – proszą cię twoje dzieci!  
Zabijaj Niemców – woła ojczysta ziemia!  
Nie trać żadnej okazji. Zabijaj!*

A zaraz potem wskazał Annie inny tekst o podobnej wymowie: przetłumaczony na niemiecki fragment artykułu z polskiej gazety wydanej w październiku w zajęтым przez Rosjan Lublinie.

*Zemsta! – Zaczął czytać. – Nie spoczniemy, póki zbrodnie nie zostaną pomszczone! Nie spoczniemy, póki w stolicy nazistowskich zbrodniarzy, Berlinie, stać będzie kamień na kamieniu! Nie spoczniemy, póki piekło okupacji nie zostanie pomszczone śmiercią tyluż członków niemieckiego plemienia, ile pochłonęły obozy śmierci na ziemiach polskich! Nie zaznamy spokoju i świat spokoju nie śmie zaznać, póki dzieło zemsty nie zostanie spełnione do końca! Tak nam dopomóż Bóg!*

– Nie rozumiesz, że tu z każdym dniem będziemy coraz mniej bezpieczni? – zapytał z goryczą w głosie.

– Przecież tu są Niemcy! – wybuchła. – Polaków właściwie się już pozbyliśmy! A ci, którzy jeszcze zostali... Te ziemie nigdy nie będą polskie!

Anna czuła się oszukana i upokorzona. Tego była pewna: nie mogłaby związać się ze zdrajcą ojczyzny. Wiedziała też, że jej powinnością jest wydanie władzom mężczyzny, którego obdarzyła uczuciem. Z poczucia lojalności wobec Rzeszy. Ale też z chęci uniknięcia podejrzenia, że nie przeciwstawiła się przestępstwu. Że mu nie zapobiegła.

Zdawała sobie sprawę z tego, że powinna zareagować natychmiast. A jednak minęło kilka dni, zanim przystąpiła do działania.

Był słoneczny, mroźny poranek. Olaf jeszcze spał. Zazwyczaj kładł się późno i wstawał późno.

Anna wiedziała, że Krüger, który rezydował w przeciwległym skrzydle pałacu (zaraz po przyjeździe do Alt-Kreuz zajął pokój w siedzibie Geheime Staatspolizei, ale po roku znalazł wygodniejsze i bardziej godne jego funkcji lokum, właśnie w majątku odebranym hrabinie Ponieckiej), powinien być u siebie. Chociaż do przejścia miała tylko duży dziedziniec, założyła kozuch. I szybkim krokiem ruszyła przed siebie.

Zdziwiła się, że w wartowni i dyżurce kierowcy nie ma nikogo, a wszystkie drzwi są pootwierane. Weszła do środka i zamarła.

Nie ulegało wątpliwości, że szef gestapo w Alt-Kreuz pospiesznie opuścił



w nocy pałac. Prawie wszystkie jego prywatne rzeczy zniknęły, a na podłodze wałały się podarte, nadpalone i podeptane dokumenty. Nie mogła zrozumieć, jak mógł je tak zostawić. Zawsze uważała, że miarą wierności urzędnika partii i narodowi jest stosunek do pism, protokołów, formularzy, aktów, załączników. Że porządek ideologiczny uzewnętrznia się w papierach!

Największym szokiem okazał się dla niej jednak widok porzuconego, ciśniętego niedbale w kąt munduru galowego. Wiedziała doskonale, co to oznacza. Ucieczkę w popłochu. Dezercję. Zdradę.

Czyżby rzeczywiście klęska Rzeszy była bliska?, pomyślała. Czy dlatego w październiku zrezygnowano w mieście z obchodów Tag der Freiheit? I czy to brak wiary w zwycięstwo sprawił, że w ostatnim czasie coraz mniej dziewcząt z Alt-Kreuz i okolicy meldowało się na zbiórkach Bund Deutscher Mädel, a zaledwie kilkanaście odpowiedziało na apel Jutty Rüdiger, referentki Rzeszy, o wstępowanie do oddziałów pomocniczych Wehrmachtu?

Anna Eckart poczuła, że traci grunt pod nogami. Kompletnie zdezorientowana wróciła do siebie. Obudziła Olafa, nieświadomego, że chciała go wydać, i poprosiła, by opowiedział swoją historię jeszcze raz. Jakby próbowała dotrzeć do jądra jego niegodziwego zachowania. Przeniknąć zawilości rozumowania. Wejrzeć do zatrutej przez zwątpienie duszy.

Mężczyzna zdecydowanie nie miał ochoty na kolejne przesłuchanie, ale rozumiał, że odmowa nie wchodzi w grę. I bez entuzjazmu zaczął swoją opowieść, mimo że władczy ton głosu i osądzące spojrzenie ukochanej nie ułatwiały mu zadania. Szybko jednak zmienił temat. Wyjaśnił, że nawet Hans Frank, chociaż jeszcze w październiku obchodził z pompą pięć lat istnienia Generalnego Gubernatorstwa, planuje chyba ucieczkę w głąb Niemiec. Zarządził w każdym razie wywóz z Krakau najcenniejszych dzieł sztuki, w tym obrazów Rembrandta i Leonarda da Vinci. I mimo nadania akcji pozorów misji państwowej wszystko wskazuje na to, że jest to zwykły rabunek. Chęć zabezpieczenia sobie dostatniej przyszłości. Co potwierdza zadanie, jakie powierzył Olafowi. Wysłał go bowiem do Bad Aibling, do swojej kochanki Lilly, z pamiątkami po Chopinie, które kupił wiosną za gotówkę z kasy państwowej – sam był swoim ministrem finansów – i których nigdy nie skatalogował ani nie włączył do zbiorów stworzonego przez siebie rok wcześniej w Krakauer Staatsbibliothek muzeum kompozytora.

Mówiąc to, Olaf sięgnął po eleganckie skórzane torby przywiezione z Krakau, otworzył pierwszą i zaczął rozpakowywać. Oczom Anny ukazały się piękne przedmioty pochodzące, jak wyjaśnił, z mieszkania Fryderyka Chopina na Square d'Orléans w Paryżu. Takie jak porcelanowy serwis

z Sèvres, posrebrzany komplet do herbaty, mosiężna szkatułka i dwa złote świeczniki, a także elementy garderoby kompozytora, w tym kilkanaście par eleganckich rękawiczek.

Z drugiej torby wyciągnął grube tekturowe teczki. Jedna zawierała wczesne, pochodzące z 1842 roku, szkice Eugène'a Delacroix do portretu Chopina jako Dantego, wykorzystane przez malarza podczas prac nad plafonem Pałacu Luksemburskiego. Inna – skreślony przez śpiewaczkę Pauline Viardot obrazek przedstawiający kompozytora pochylonego nad jej córeczką Louise. Kolejna – akwarelę nieznanego autorstwa, ukazującą artystę przy fortepianie.

Ale najcenniejsze, jak zapewnił Olaf, są w tym zbiorze Chopinowskie autografy. I zaczął podawać Annie kolejne teczki, zawierające takie skarby, jak trzy listy kompozytora do Pauline Viardot, napisany jego ręką program koncertu z lutego 1842 roku w Salle Pleyel w Paryżu z odręcznymi uwagami Viardot, która również wystąpiła tego wieczoru, krótki list do Gaetano Donizettiego, zapraszający go na paryską premierę sztuki George Sand *Cosima*, a także „uroczy drobiazg”, zlecenie dla kelnera Le Rocher de Cancale przy rue de Montorgeuil w Paryżu, dotyczące szczegółów kolacji dla przyjaciół (z purée de gibier, matelote i szampanem Veuve Clicquot w menu).

Największy skarb Olaf zachował na koniec. Z ostatniej teczki wydobył rękopis nieznanego kompozycji Chopina, *preludium C-moll*, opatrzonej dedykacją dla hrabiny Charlotty Marliani, u której kompozytor często bywał i u której poznał bliżej George Sand.

Jak wynikało z daty na rękopisie, kompozycja powstała wiosną 1838 roku, w okresie, kiedy Chopin pracował nad całym cyklem preludiów. Sprawiała wrażenie stworzonej od niechcienia i nie do końca pasowała do owego zbioru, pewnie dlatego twórca jej do niego nie włączył, ale zastąpił ją inną w tej samej tonacji. Mógł zresztą traktować dziełko, które wspaniałomyślnie podarował hrabinie, jedynie jak szkic, błahostkę bez znaczenia, zapis improwizacji. Było w tej muzyce jednak coś zachwycającego. Pierwsze cztery takty jedynie budowały nastrój, ale w dalszej części pojawiały się już dwa równoległe tematy: bardziej wyrazisty, urzekający bukoliczną melodyjnością, i ledwie zarysowany, ciężący ku czystej zabawie barwą dźwięku. Utworowi brakowało jedynie wyrazistego zakończenia. Wygasał nagle, jakby urwany, niedokończony.

Anna potrafiła docenić skarb, który trzymała w dłoniach. W czasie kilku lat pracy w stadninie zdobyła sympatię hrabiny Ponieckiej i pod jej opieką zaczęła uczyć się gry na fortepianie. Ćwiczyła pilnie i po jakimś czasie

opanowała *Romans* Gabriela Fauré, *Barkarolę* Piotra Czajkowskiego, a także kilka etiud i walców, *Fantazję-Improromptu cis-moll* oraz jedną z ballad Fryderyka Chopina.

Pokochała muzykę kompozytora, do którego przyznawali się Polacy i Francuzi, a który według świadectw zebranych przez gubernatora Franka – tę wiedzę zdobyła dopiero podczas pobytu w Krakau – miał korzenie niemieckie. I kiedy wpadł w jej ręce rękopis nieznanego preludium, nie mogła oprzeć się pokusie, by spróbować je zagrać.

Nie od razu się udało. Ale zmagania z utworem pozwoliły jej odsunąć od siebie czarne myśli. Kiedy zaś wróciła do rozmowy z Olafem, odniósł wrażenie, może mylne, że w tej chwili pochodzenie Chopinowskich pamiątek interesuje ją bardziej niż cokolwiek innego.

Wyjaśnił Annie, że wiosną do gubernatora Franka zgłosił się Giuseppe Moroni, dyplomata z Republiki Salo. I podczas kolacji przedstawił mu się jako potomek Manuela Marlianiego, konsula hiszpańskiego w Paryżu (był mężem Charlotty Marliani, ale rozstał się z nią i ożenił ponownie; dopiero z tego drugiego związku przyszły na świat dzieci). A następnie opowiedział o zgromadzonej przez przodka kolekcji, przechowywanej w rodzinie od stu lat, oraz wyraził gotowość sprzedania jej. Hans Frank nie krył zainteresowania zbiorem. I choć z początku zamierzał poddać go ekspertyzie, nagle zmienił zdanie i po prostu dokonał zakupu.

Zasięganie opinii u znawców było mu oczywiście nie na rękę. Za wszelką cenę chciał bowiem utrzymać swoje rozmowy z potomkiem Marlianiego w tajemnicy, aby nie narazić się Himmlerowi, który zabronił mu trwonienia państwowych pieniędzy na takie błahostki jak Chopinowskie bibeloty. Najważniejszym powodem było jednak to, że zamierzał przywłaszczyć sobie nieznaną światu skarby. Powodów, dla których zrezygnował z ekspertyzy, mogło zresztą być więcej. Chociażby chęć zminimalizowania kosztów transakcji. Albo brak czasu na ściąganie do Krakau zagranicznych znawców, bo Polakom gubernator nie ufał. Jakie to jednak miało znaczenie? Grając preludium, Hans Frank czuł, że te cudowne dźwięki mógł stworzyć tylko jeden kompozytor. Absolutnie nic nie budziło w nim podejrzeń, że zakupione pamiątki zostały sfalszowane.

Anna podzielała przekonanie, że preludium jest dziełem Chopina. Ale w późniejszych latach stawiała sobie czasem pytanie, czy nie zasugerowała się opowieścią o tym, z jaką pewnością ustalili autorstwo utworu Hans Frank. Uważała go przecież za autorytet. Podziwiała. Wierzyła w jego nieomyślność.

Dopiero w drodze do Starego Krzyża zastanowiło ją, ile z tego podziwu

w niej zostało, skoro czas nie nadwyreżył jej przekonania o prawdziwości Chopinowskich pamiątek. Nie pozwoliła jednak, by wątpliwości zatrwały jej myśli. Gdyby straciła wiarę, że ukryte przed laty rękopisy i bibeloty mają ogromną wartość, jej wyprawa straciłaby sens. Ale nie tego bała się najbardziej. Ponad wszystko przerażała ją myśl, co mogłaby znaleźć na dnie swojej duszy.

Część 3  
Niebo znowu bez gwiazd

18 kwietnia 1982, niedziela

Dobra, sam wymyśliłem, że dopadnę grubasa w koloratce, którego poznałem u Juszcaków, docisnę do muru, wypytam o dwuznaczne karciane rozgrywki, nie bardzo licujące z powagą służby Bogu, i o jego dziwnych kolegów, którzy wieczorami zaczepiają podstarzałe turystki w hotelowej restauracji i tak długo je urabiają, poją wódą i bajerują, aż w końcu jedna czy druga pozwoli się zaciągnąć do łóżka, a może nawet za tę przyjemność zapłaci.

Tak sobie kombinowałem, wymyślałem zaczepne pytania i celne riposty. A jednak rano odwaga mnie opuściła. Po skromnym śniadaniu, składającym się z porcji ciasteczek maślanych kupionych dzień czy dwa wcześniej i zjedzonych w pokoju, rzuciłem się z powrotem na łóżko i odciągałem w nieskończoność wyjście z hotelu – niczym uczeń, który odwleka moment rozpoczęcia nauki przed klasówką.

Tłumaczyłem sobie, że jest niedziela, msza goni mszę i proboszcz nie znajdzie chwili na spotkanie ze mną, ale tak naprawdę nie paliłem się do rozmowy z nim. Bałem się? Nie zaprzeczę. Sutanna i koloratka zawsze budziły we mnie niezrozumiałą trwozę. Księży, wszystkich bez wyjątku, postrzegałem jako ludzi surowych, wyniosłych, nieprzeniknionych i nieprzystępnych. I chociaż wiedziałem doskonale, o co chcę wypytać organizatora turniejów brydżowych w Starym Krzyżu, równie dobrze zdawałem sobie sprawę z tego, że zabraknie mi śmiałości, by uderzyć z całą siłą i wyciągnąć od niego wszystkie informacje, na których mi zależało. W końcu jednak, po długiej i żalösnej walce z samym sobą, podniosłem się z łóżka, doprowadziłem do porządku swój strój i opuściłem pokój.

Dyżurująca w recepcji Ewa powitała mnie promiennym uśmiechem i przekazała mały pakunek pozostawiony przez dwóch młodzieńców, z którymi rozmawiałem dzień wcześniej. Kiedy rozerwałem papier, moim oczom ukazał się zniszczony tomik wierszy Władysława Broniewskiego. Chłopcy nie dawali za wygraną.

Schowałem książkę do kieszeni kurtki i dyskretnie ukloniłem się Ewie, kołyszącej się na krześle w rytm płynącego gdzieś zza okna ckliwego szlagieru sprzed lat. Pomyślałem, że mógłbym podpisać się pod jego tekstem: „Nic o tobie nie wiem, skąd przywiał ciebie wiatr / Nie znam twoich zalet, ani nie znam twoich wad / Jedną rzecz jedyną o tobie tylko wiem, że coś zrobiłaś z sercem mem...”.

Rozczulił mnie tak bardzo, że przez moment byłem gotów przecisnąć się za biurko, podejść do Ewy i ją pocałować, ale ponieważ w holu kręciło się kilka osób, uznałem, że taka oznaka czułości mogłaby wprowadzić ją w zakłopotanie. Dopiero później przyznałem sam przed sobą, że powód dezercji był inny: najzwyczajniej w świecie stchórzyłem. I długo wyrzucałem sobie potem, że bez słowa obróciłem się na pięcie, wyszedłem z hotelu i ruszyłem w stronę górującej nad okolicą barokowej świątyni pod wezwaniem biskupa Tours, nieprzejednanego pogromcy pogan.

Nad miastem wisiały gęste, ołowiane chmury. Niespiesznie zbliżała się burza, zapowiadana cichymi pomrukami odległych grzmotów. Przemknęło mi przez myśl, że trzeba było zostać w hotelu, ale mimo silnej pokusy powrotu – może Ewie udałoby się wyrwać na pół godziny i spędzić ten czas ze mną? – brnąłem dalej, najpierw ciasnymi uliczkami, a później wąską wyżwirowaną ścieżką.

Kościół, opustoszały po sumie o dwunastej, sprawiał wrażenie od dawna wyludnionego. Zrobił na mnie duże wrażenie. Mimo brzydkiej pogody, bazylikowe wnętrze z dominującą przestrzennie kopułą i apsydą było pełne światła. Panowała w nim absolutna cisza. Masywne, kamienne mury zatrzymywały wszelkie odgłosy zewnętrznego świata. Liczne obrazy, gęsto rozwieszane na ścianach, tworzyły fascynującą galerię, a łacińskie sentencje na niektórych z nich skłaniały do rozmyślań nad nicością ziemskiej krzątaniny w obliczu wieczności.

Moją uwagę zwrócił zwłaszcza portret siedemnastowiecznego czy osiemnastowiecznego biskupa, uchwyconego w chwili skupienia przed wstąpieniem na ambonę. Świątobliwy mąż o białej, porcelanowej twarzy, ubrany w ciężki ozdobny ornat, prawą dłoń położył na piersi, a palcem wskazującym lewej zaznaczył w oprawionej w skórę Biblii miejsce, do którego chciał się odwołać podczas kazania. Autorowi płótna udało się zatrzymać w czasie moment modlitwy o natchnienie.

– Piękny obraz, prawda? – usłyszałem za plecami. – Też bardzo lubię się przy nim zatrzymać. Inspiruje mnie, kiedy podczas redagowania kazań szukam sformułowań i myśli przemawiających do serc wiernych.

Powoli obejrzałem się za siebie. Za moimi plecami dyszał ciężko proboszcz. Jego zmęczona, nieporuszona twarz była jak maska. Nie potrafiłem wyczytać z niej żadnych uczuć. Miałem mimo wszystko wrażenie, chyba nieuzasadnione, że mnie oczekiwał.

– Ale lubię też tamten. – Pokazał w głąb jednej z bocznych naw. W zacierającym kontury i gaszącym barwy mroku można było dojrzeć zarysy

dwu postaci: wystrojonego jak na bal przystojniaka z białą lilią w dłoni i rozkładającego się nieboszczyka z wypadającymi z brzucha girlandami jelit.

– Spotkanie ze śmiercią to jeden z charakterystycznych motywów sztuki barokowej. – Proboszcz skierował moje myśli z powrotem w stronę twórczości religijnej. – Dziś malarstwo sakralne unika tego tematu. Nie rozumiem dlaczego. Świadomość grozy śmierci powinna nam towarzyszyć przez całe życie.

– Ale przecież śmierć to dla katolika moment radosny – zauważyłem. – Czas połączenia się z Bogiem.

– Rzeczywiście. Tołstoj mawiał, że można patrzeć na życie jak na sen, a na śmierć jak na przebudzenie. Ale przecież śmierć to jednocześnie kres i początek. Kres czegoś, co znamy, i początek czegoś, co jest dla nas niewiadomą. Trudno radować się w pełni tym, co niewiadome, kiedy trzeba porzucić to, do czego jesteśmy tak bardzo przywiązani. Życie, miłość bliźnich, ziemskie przyjemności. Paradoks, z którym tak trudno mierzyć się kapłanowi, zwłaszcza podczas nabożeństw żałobnych.

Nie miałem pewności, czy wywody proboszcza były do końca zgodne z nauką Kościoła, ale do mnie przemawiały. Byłem gotów podjąć dyskusję na ten temat, ale rozmówca niespodziewanie zaczął mówić o czymś innym.

– Bardzo chciałbym pana namówić na krótkie wystąpienie – wypalił zniemacka.

Domyśliłem się, że chodzi o trzeciomajową wieczornicę.

– Powiedziałem już chłopcom, którzy mnie odwiedzili, że nie jest to możliwe – wyjaśniłem.

– Chłopcom? Jakim chłopcom? – Proboszcz, którego przetłuszczone siwe włosy wręcz prosiły się o wizytę u fryzjera, rozluźnił ucisk koloratki na szyi. Był szczerze zdziwiony.

– No, tym dwóm, którzy organizują spotkanie z okazji rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja – odparłem, nie kryjąc irytacji.

– Ach, o tym pan mówi! – Surowe, nieprzeniknione oblicze kapłana rozjaśnił uśmiech. – Proszę pana, ja nie mam z tym nic wspólnego. To pomysł księdza Bartka z parafii Świętej Rodziny. Wiem, że planuje z młodzieżą obchody święta, które oficjalnie, nie bardzo rozumiem dlaczego, świętem nie jest. Patriotyczne wierszyki i występ zespołu rockowego, który przygotowuje się do festiwalu gdzieś w okolicy. W Jarocinie? Chyba tak. A Olek, znaczy Aleksander Juszcak, dokładnie o tej samej porze organizuje w remizie odczyt jakiegoś mądrali z Warszawy. Tytuł trochę dziwny. *Dwójjedyny sposób przechodzenia od socjalizmu do komunizmu*. Że niby socjalizm niepostrzeżenie



przeradza się u nas w komunizm. Niezłe co? Zwłaszcza w kontekście tego wszystkiego, co wydarzyło się po Sierpniu...

Dopiero po chwili dotarło do mnie, że obie parafie musiały mi się złąć w jedno. I kiedy chłopcy, którzy chcieli mnie namówić na recytowanie Mickiewicza czy Broniewskiego, wspomnieli księdza Bartka, przykleiłem to imię do proboszcza, którego poznałem u Juszcaków. Chociaż głupotą było sądzić, że ktoś, kto jest bratem komendanta milicji i przyjacielem szczy partyjnej, zorganizuje opozycyjną wieczornicę. Wyjaśniłem rozmówcy, skąd nieporozumienie, i dałem wyraz zdziwieniu, że rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 Maja można obchodzić w sposób zaproponowany przez Aleksandra Juszcaka.

– Nie rozumie pan? On musi mieć w papierach, że przeciwstawił wrogim działaniom, tak je nazwijmy, jakąś słuszną inicjatywę. Temat wykładu specjalnie został dobrany tak, żeby w żaden sposób nie kojarzył się z Konstytucją 3 Maja. Oczywiście sama impreza nie ma żadnego znaczenia. Zejdą się lokalni działacze partyjni w liczbie ośmiu czy dziewięciu, posłuchają przez godzinę nudnej gadki, jeden się zdrzemnie, inny przeczyta ukradkiem „Trybunę Ludu” czy jakiś świerszczyk, a następnie za pieniądze Juszcaka napiją się wódki i rozejdą do domów. Ważne, że do Komitetu Wojewódzkiego pójdzie informacja o przyjętym z zainteresowaniem przez społeczność Starego Krzyża wykładzie na ważny polityczny temat.

– Ksiądz też tam będzie? – odważyłem się zapytać.

– Broń Panie Boże! – Roześmiał się znowu. – To, że gram z Juszcakiem w brydża, nie oznacza, że podzielam jego poglądy polityczne i podpieram jego akcje propagandowe swoim autorytetem. Daleko mi do tego.

– Ale w działalność opozycyjną też się ksiądz nie angażuje – zauważyłem.

– Czasem trzeba zwinąć skrzydła – powiedział z namysłem. – Teraz nawet ksiądz prymas zaleca, aby zająć się po prostu codzienną służbą Najwyższemu...

Jego pasywna, pełna rezygnacji postawa nie tyle mnie oburzyła, co zdziwiła. Chciałem dać temu wyraz, ale nie dopuścił mnie do głosu.

– Może to małostkowe – kontynuował – ale ludzie, zwłaszcza w takim mieście jak nasze, leżącym z dala od Warszawy, gdzie aż kotłuje się od namiętności, jednego chcą bardziej niż czegokolwiek innego. Powrotu do normalnego życia. Może biednego, szarego i nudnego, odartego z obietnic i złudzeń Sierpnia, ale dającego poczucie spokoju i bezpieczeństwa. Pewnie się pan zagotuje: co to za „normalne życie”?! Tysiące internowanych, dziesiątki zabitych. Ale z naszej perspektywy...

– Ksiądz Bartek widzi to chyba trochę inaczej, prawda? – przerwałem przydługą wywód kapłana.

– Ksiądz Bartek to rogata dusza – zauważył z nutką ledwie zauważalnego podziwu w głosie. I natychmiast dodał: – Każdy robi to, co sam uważa za słuszne. I sam rozliczy się kiedyś ze swej działalności przed Szefem.

Chciałem się upewnić, czy określenie „Szef” odnosi się do Boga, ale nie było okazji, bo proboszcz przywołał nagle wcześniejszy wątek:

– Wróćmy do mojej propozycji dla pana...

Na chwilę zamilkł, po czym zupełnie innym tonem, jakby zwracał się do przyjaciela, nie do obcego, wyjaśnił:

– Za trzy dni mamy tu pogrzeb. Jeden z parafian zginął w wypadku. Sprawcą był jego sąsiad, mieszka dwie ulice dalej. Tak naprawdę trudno go winić. Chociaż pewnie będzie odpowiadał za nieumyślne spowodowanie śmierci. Tamten wyszedł mu nagle na jezdnię, był wstawiony, nie uważał. Ale rodzina zmarłego najchętniej by sprawcę ukamienowała. To tragiczne zdarzenie podzieliło parafian. Dlatego chciałbym, żeby podczas pogrzebu przemówił ktoś z zewnątrz, spoza naszej społeczności. Zwłaszcza że najprawdopodobniej sprawca też tam będzie. Wiem, że ogromnie żałuje tego, co się stało. Nie może się z tym pogodzić. Cierpi... Ale rodzina zmarłego... Wie pan, rozpacz nie jest najlepszym doradcą... Wymyśliłem, że mógłby pan przeczytać podczas pogrzebu, zaraz po moim kazaniu, jakiś piękny wiersz o łasce wybaczenia. Wierzę, że dałoby to ludziom do myślenia.

– Dlaczego ja? – Zdziwiłem się.

– Mówiłem już, że zależy mi na kimś z zewnątrz, kto nie byłby postrzegany jako osoba zaangażowana w konflikt – tłumaczył. Jego oczy zasnuł cień, być może oznaka bólu.

– A pan... – Zawahał się. – Pewnie nie zdaje pan sobie z tego sprawy, ale jako dziennikarz z Warszawy... No, jest pan dla tutejszych ludzi kimś. W pańskich ustach zwykły wiersz może nabrać ogromnej mocy. Proszę mi wierzyć.

Rozumiałem jego punkt widzenia, ale była to kolejna propozycja, której nie miałem ochoty przyjąć. Nie lubię mieszać się w cudze sprawy. Zwłaszcza tak trudne sprawy. Nie mówiąc o tym, że nienawidzę pogrzebów. Nie wiem, jak się podczas nich zachować. Nie potrafię składać kondolencji. A poza tym... Stać przed bliskimi zmarłego i wyrecytować wierszyk, który nie przywróci nikogo do życia... Naprawdę nie miałem ochoty robić z siebie idioty. Próbowałem wytłumaczyć to proboszczowi, ale zamachał rękami, jakby oganiał się od muchy. Uśmiechnął się pobłaźliwie, a w końcu podkreślił: –

Naprawdę może pan zrobić wiele dobrego. Będę czekał przed nabożeństwem w kaplicy na cmentarzu. Zaczynamy o dziesiątej.

Kiedy skończył, jego oblicze stężało – z powrotem przeobraził się w surowego klechę o kamiennej twarzy. Zrozumiałem, że chce odejść, ale chwyciłem go za łokieć i wyjaśniłem, że nie znalazłem się w kościele przypadkiem, mam do niego bowiem kilka pytań.

– Ach tak. – Zdziwił się. – W takim razie proszę do zakrystii.

Kiedy prowadził mnie za sobą, przyjrzałem mu się z bliska. Zniszczona, rozciągnięta na łokciach, pocerowana sutanna nie była strojem kogoś, kto zarabia na karcianych rozgrywkach. Kamuflaż? Nigdy się z nim wśród księży nie zetknąłem. Ci, którzy żyli w dostatku, wcale się z tym nie kryli.

Weszliśmy do dużego pomieszczenia o pobielonych wapnem, gołych ścianach, w którym panował piwniczny chłód, a oddychanie utrudniała woń wilgoci i pleśni. Uchylone drzwi wielkiej, pogryzionej przez korniki szafy ujawniały, co skrywa najszersza część środkowa: ornaty, komże, alby, stuły, manipularze i inne elementy szat liturgicznych. Obok stały wieszak, sekretarzyk i dwa drewniane krzesła. Proboszcz wskazał mi miejsce na jednym z nich. Sam rozsiadł się na drugim. Kiedy przeszył mnie świdrującym wzrokiem, poczułem się jak student na egzaminie. Obawiałem się, że zacznę wypytywać o mój stosunek do wiary, ale nic takiego nie nastąpiło. Proboszcz czekał w milczeniu na pytania.

Wyjąłem z kieszeni dwa powiększone zdjęcia, które przywiozłem z Poznania, i położyłem na pustym blacie sekretarzyka. Najpierw wskazałem kobietę.

– To moja znajoma – skłamałem. – Niemiecka pisarka Anna Eckart. Przyjechała w grudniu do Starego Krzyża, była tu kilka dni i nigdy nie wróciła do domu. Mam powody przypuszczać, że spotkało ją coś złego. Właśnie tu. W tym mieście.

W oczach kapłana dostrzegłem iskierki zainteresowania, które mogły świadczyć o tym, że zetknął się z zaginioną. Dotknąłem dłonią zdjęcia mężczyzny.

– A to ktoś stąd, kto zawarł wtedy znajomość z Anną Eckart. Myślę, że może wiedzieć coś na temat jej zniknięcia.

– A co ja mam z tym wspólnego? – zapytał proboszcz z udawanym zdziwieniem.

– Ksiądz zna tego człowieka, prawda? – odparowałem. Ledwie widoczny skurcz na jego twarzy powiedział mi, że cios był celny. – Chciałbym się dowiedzieć, kto to jest i gdzie go znaleźć.

– Znam tego człowieka, to prawda – potwierdził niechętnie. I zapytał: – Czy pan go o coś podejrzewa? Czy uważa pan, że to on mógł skrzywdzić pańską znajomą?

Uznałem, że odpowiedź twierdząca może utrudnić mi dotarcie do faceta, który spędził jeden z grudniowych wieczorów w towarzystwie zaginionej.

– Chciałbym go jedynie zapytać, o czym rozmawiał z Anną Eckart – zapewniłem. – Każda informacja, nawet rzucona przez nią mimochodem, może okazać się pomocna w poszukiwaniach.

– Na przykład jaka? – dociekał ksiądz.

– Na przykład o celu jej przyjazdu do Starego Krzyża – wyjaśniłem. – O tym, co tu robiła. Z kim się spotkała. Dokąd zamierzała udać się później. Nie mam pojęcia, dlaczego w pierwszych dniach stanu wojennego przyjechała właśnie tutaj. Gdybym to wiedział, może udałoby mi się trafić na jej ślad, ustalić, czy przepadła tu, czy gdzie indziej. I dlaczego wyparowała.

– Czy tą sprawą nie powinna się zająć milicja? – zapytał przytomnie proboszcz.

– Zajmuje się nią od grudnia – powiedziałem zgodnie z prawdą. – Nie tutejsza, warszawska. Nie mam pojęcia, czy już zbadała, czy dopiero zacznie badać ślad prowadzący do Starego Krzyża. Wiem, że śledztwo toczy się niemrawo. Dlatego na prośbę rodziny zaginionej próbuję sam ustalić najważniejsze fakty. Oczywiście jeśli dowiem się czegoś istotnego, zawiadomię o tym śledczych. Na razie nie wyszedłem poza przypuszczenia. Jednego jestem pewien. Człowiek z fotografii może pomóc. Dlatego bardzo proszę powiedzieć mi, kto to jest i jak do niego dotrzeć.

Proboszcz podrapał się po brodzie. Zastanawiał się, jak wybrnąć z trudnej sytuacji. Najchętniej nie dopuściłby mnie do swojego znajomego. Może bał się, że moje poszukiwania rzucają zbyt jasne światło na organizowany przez niego turniej brydżowy?

– To Franciszek Buła – powiedział z ociąganiem. I przyznał: – Od kilku lat, zawsze w grudniu, organizuję razem z kierownikiem tutejszego hotelu turniej brydżowy. Mamy cztery drużyny, które walczą o tytuł mistrza. W tej grupie oprócz nas dwóch i mojego brata jest Olek Juszcak, a także siedmiu czy ośmiu innych kolegów ze Starego Krzyża. No i kilku przyjezdnych, którzy na czas turnieju zatrzymują się w hotelu – dostają dużą zniżkę. Franek to jeden z nich. Jest rolnikiem, mieszka we wsi Mały Dół przy Drodze, trzydzieści kilometrów stąd. Ma samochód, mógłby codziennie dojeżdżać, ale wie pan... Czasem dobrze jest oderwać się na jakiś czas od codziennych obowiązków. I od żony. Nawet jeśli jest to ukochana żona. Żeby nabrać dystansu do

własnego życia. Spojrzeć na nie z pewnego, nawet niewielkiego oddalenia. I może bardziej docenić?

Kapłan przerwał, jakby stracił wątek. Podniósł się z krzesła, przeszedł się kilka razy po niewielkim pomieszczeniu, znowu usiadł.

– W tym roku nie dokończyliśmy rozgrywek – dodał. – Wie pan, stan wojenny. Uznaliśmy, że nie ma sensu tego ciągnąć. Były ważniejsze sprawy. Ale Franek został jeszcze kilka dni w hotelu i chyba grał z kimś dalej. Jakby nic się nie stało. Nie moja sprawa.

Proboszcz zamyślił się i zupełnie niespodziewanie wybuchnął:

– Buła to porządny człowiek! Zapewniam pana, że nikogo by nie skrzywdził!

– Ale przecież powiedziałem, że chcę jedynie z nim pogadać – przypomniałem.

– Dobrze, zawiozę pana do niego. – Znowu podniósł się z krzesła. – Ale chciałbym być przy rozmowie. Myślę, że mam do tego prawo. Skoro sprowadzam mu do domu ciekawskiego natręta, chciałbym mieć pewność, że nie spotka go żadna przykrość.

Nie byłem zachwycony tym ultimatum, ale też nie obawiałem się obecności proboszcza podczas rozmowy. Zapytałem, kiedy moglibyśmy pojechać do Małego Dołu przy Drodze. Przyszło mi do głowy, że ksiądz ustali jakiś odległy termin, a następnie skontaktuje się z Bułą i uprzedzi go o naszym przyjeździe, aby umożliwić mu ukrycie się przede mną. Niespodziewanie zaproponował, żebyśmy pojechali natychmiast. Poprosił tylko, bym dał mu kwadrans na przebranie się. Chciał zmienić sutannę na garnitur i płaszcz.

Kiedy udał się na plebanię, pomyślałem, że może stamtąd zadzwoni do Buły, ale nie byłem w stanie mu przeszkodzić. Musiałem mieć nadzieję, że jednak spotkam tajemniczego faceta z fotografii. A jeśli nie? Cóż, dowiem się, gdzie mieszka, i ewentualnie będę próbował dopaść go kiedy indziej.

Wyszedłem przed kościół. Burza przeszła bokiem. Na bezchmurnym niebie zastygła dziwnie spłaszczona u góry i u dołu, pomarańczowa kula słońca. Skąd to wrażenie deformacji? Nie zdążyłem się nad tym zastanowić, bo moją uwagę przykuła fontanna z czterema oliwkowymi trytonami, podobna do tej, jaka na długo przed moim urodzeniem okalała Kolumnę Zygmunta w Warszawie. Dzieło tego samego niemieckiego artysty Augusta Kissa? Chciałem zapytać o to proboszcza, ale zanim się pojawił, zdążyłem o sprawie zapomnieć.

Podziwiając niezwykle zakątek w głębi kościelnego dziedzińca, musiałem

przyznać, że byłem coraz bardziej zauroczony Starym Krzyżem. Poznałem co prawda także ciemniejsze strony miasta: uliczki boleśnie zaniedbane, zapomniane nie tyle przez Boga, co przez urzędników odpowiedzialnych za remonty i renowacje, dbających przede wszystkim o główne trakty, pokazywane z dumą nielicznym przyjezdnym. Wiedziałem jednak doskonale, że tak jest wszędzie.

Każda miejscowość, pod każdą szerokością geograficzną, ma swoją ładniejszą, bardziej wypielegnowaną twarz oraz oblicze mniej dopieszczane, czasem wręcz zapomniane, wstydliwie porzucone. Ale w Starym Krzyżu, przynajmniej dla mnie, nawet te brzydsze zakamarki miały swój urok. Spowijała je trudna do uchwycenia aura tajemniczości. Bez wątpienia nadawałyby się na tło jakiegoś mrocznego, ale niepozbowionego poezji filmu.

Dobrze czułem się w tym przytulnym miasteczku. Odpowiadała mi jego atmosfera. Ale ani na moment nie opuszczała mnie świadomość, że jestem w nim kimś obcym, intruzem, podziwiającym je, jakby znajdowało się za szybą, tak jak piersi kobiety, u której kupowałem bilet na pociąg do Poznania. Doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, że nie jestem częścią tego świata, jego małych i dużych problemów, trosk i radości. Przyglądałem mu się z boku, nie oddycham jego sprawami, nie żyję jego życiem. I dla ludzi takich jak proboszcz pozostałem intruzem, którego nie można lekceważyć, ale z którym nie warto nawiązywać bliższej więzi.

Kiedy zacząłem się już niecierpliwić, kapłan wjechał nagle na dziedziniec starym, ale dobrze utrzymanym, seledynowym moskwiczem 412. Zdziwiłem się, że dostojnik kościelny jeździ maszyną wyprodukowaną w moskiewskich zakładach imienia Komunistycznej Międzynarodówki Młodzieży, a nie, powiedzmy, polsko-włoskim fiatem, w dodatku w tak niepoważnym kolorze, ale nie skomentowałem jego wyboru głośno. Odgadł jednak, o czym myślę, bo kiedy zająłem miejsce obok niego, zwierzył się:

– Do niedawna jeździłem trabantem; uśmiełby się pan, gdyby mnie pan w nim zobaczył. Ledwie się mieściłem. A moskwicza kupiłem od Juszcza. Tanio. Po starej przyjaźni. Kolor wybrała przed laty Maryla. Chociaż tak naprawdę nie jestem pewien, czy w ogóle można było wybrać kolor.

Ruszyliśmy. Nad naszymi głowami kołysał się mały krzyżyk, element różańca zawieszony pod lusterkiem. A w nastawionym cicho radiu zespół Perfect śpiewał, że wkoło jest wesoło, człowiek w pracy, małpa w zoo.

– Przyznam, że nie rozumiem tej muzyki – proboszcz zmienił temat. – Słucham czasem, wgryzam się w słowa. Wie pan, żeby mieć lepszy kontakt z młodymi. Ale nie rozumiem. Poza tym ostatnio wcale u nas nie jest wesoło,

prawda?

– To sarkastyczny tekst – zauważyłem. – I pochodzi sprzed wprowadzenia stanu wojennego. Ale mogę się mylić. Słabo się na tym znam.

– Ach tak – zdziwił się kapłan. – Myślałem, że wszyscy młodzi się na tym znają.

Teraz ja postanowiłem ruszyć w innym kierunku.

– Ludzie mówią, że stawka w turnieju brydżowym, który ksiądz organizuje, jest bardzo wysoka – zaatakowałem, ale kapłan zrzucił w odpowiedzi maskę srogiego klechy i zaniósł się od śmiechu. Rechotał jak dziecko.

– Stawka? Jaka stawka? W brydża nie gra się na pieniądze! Ktoś pomylił brydża z pokerem. Może się pan dziwić, ale dla nas brydż to... niemal religia! Chociaż akurat ja nie powinienem tak mówić. Nie gramy na pieniądze, zapewniam pana. Ale wiem, że nas obgadują. Słyszałem. Ludzie, zwłaszcza w małych miastach, takich jak Stary Krzyż, mają duży szacunek do sutanny. A jednak gadają. A to, że pławię się w luksusie, że marmury, szafy gdańskie, nie wiem co tam jeszcze. A to, że dzieląc pieniądze z chrztów, ślubów i pogrzebów, stosuję prawo stuły. Wie pan, dwie części dla siebie, po jednej dla pozostałych księży. A to, że Buła jest moim synem. Nie jest, uprzedzę pańskie pytanie. Podział pieniędzy to nasza wewnętrzna sprawa. A marmury na plebanii? Niech pan zapomni! Co jeszcze chce pan wiedzieć?

Po jego żarliwej i chyba szczerzej przemowie nie miałem dalszych pytań. Teoria o długach kartanych rozsypała się jak zamek z piasku. Nadal jednak chciałem się zobaczyć z Franciszkiem Bułą, dowiedzieć, o czym rozmawiał z Anną Eckart, a także, chociaż nie bardzo wiedziałem, jak to z niego wyciągnąć, czy między nim a poznaną w Starym Krzyżu pisarką doszło z jakiegoś powodu do konfliktu.

Proboszcz pewnie prowadził samochód. Jechał trochę za szybko, ale mógł sobie na to pozwolić, bo drogi były puste. Żadnych wojskowych patroli, czołgów i pojazdów opancerzonych. W mijanych miasteczkach i wsiach, bardzo zadbanych, ale mniej reprezentacyjnych i wypielegnowanych niż Stary Krzyż, nieznacznie zwalniał, kiedy jednak opuszczał tereny zabudowane, natychmiast dociskał pedał gazu. Dlatego zdziwiłem się, gdy w pewnej chwili gwałtownie zahamował i cofnął samochód. Zrozumiałem, o co chodzi, gdy ruchem głowy wskazał metalową tablicę z wyblakłym hasłem: „Żołnierz polski współtwórcą i obrońcą socjalistycznej ojczyzny” oraz dopisanymi na samym środku czerwoną farbą dwoma słowami: „Uwolnić Lecha!”. Uśmiechnął się i ruszył dalej.

Po blisko dwudziestu minutach dotarliśmy na miejsce. Moskwicz

z impetem wjechał na duże podwórko i stanął między brzydkim parterowym domem, drewnianą stodołą, chlewem, kurnikiem, starą murowaną studnią i kilkoma śliwami. Powietrze wypełniało monotonne gdakanie kur, wydziobujących ziarno rozsypane na ziemi, i donośne szczekanie brudnego kundla, uwiązane na krótkim łańcuchu do budy. W rogu stały zaniedbany duży ciemnoniebieski fiat z wgniecionym błotnikiem i powalany mokrą ziemią ciągnik.

Proboszcz poprowadził mnie w stronę domu. Bez wątpienia był tu już wcześniej, znał drogę, wiedział, że do środka wchodzi się przez brzydką, zieloną werandę. Nie zawracał sobie też głowy pukaniem do drzwi, po prostu nacisnął na klamkę, jakby był jednym z domowników.

Przywitała nas szczupła, niewysoka brunetka koło trzydziestki o bladej twarzy bez wyrazu, sprasowanych pod ciasną, szarą sukienką piersiach i dużych, chłopskich dłoniach, prawdopodobnie żona Franciszka Buły. Szczerze zaskoczona naszą wizytą, pokłoniła się księdzu i zaczęła zapraszać go na obiad, który właśnie kończyła przyrządzać. Na mnie nie zwracała uwagi.

Głośne ujadanie psa sprowadziło do domu gospodarza. Natychmiast rozpoznałem Bułę, chociaż ubrany był inaczej niż na zdjęciach z hotelowej imprezy. Miał na sobie porozciągany, dziurawy jak sito sweter w kolorze siana, wypchane na kolanach, zgniłozielone spodnie i utyłane błotem czarne gumki. Stanął przed księdzem zakłopotany, niczym uczeń, który coś przeskrobał, przed nauczycielem, ale ten poklepał go serdecznie po plecach.

W tej samej chwili do pokoju wpadł umorusany, rozczochrany chłopiec w wieku siedmiu, ośmiu lat i nie bacząc na gości, zawołał:

– Mamo, mam, jajko to warzywo czy owoc?!

Kobieta, zawstydzona, chciała przygarnąć syna do piersi, ale Buła był szybszy. Szarpnął malca za rękę i wrzasnął:

– Zapomniałeś, że masz karę?! Miałeś siedzieć w komórce! Wracaj tam w tej chwili i nie waz się wychodzić, aż zawołam! I nie garb się!

Na twarzy chłopca pojawiły się łzy. Kapłan uniósł dłoń w niezdarnym geście, jakby chciał wystąpić w jego obronie, ale zabrakło mu odwagi. Opuścił rękę i w milczeniu przyglądał się, jak skarcony smarkacz znika za drzwiami. A potem mruknął coś pod nosem, wziął Bułę pod ramię i nie bacząc na protesty kobiety, poprowadził na podwórze. Poszedłem za nimi.

Proboszcz wyjaśnił gospodarzowi cel naszej wizyty i poprosił go, by szczerze odpowiedział na moje pytania, ale ten urwał rozmowę już po pierwszym. Potwierdził, że owszem, przysiadł się do kobiety, którą mu



pokazałem na zdjęciu, i zjadł z nią kolację, ale to wszystko. Nie rozmawiał z nią, nie wie o niej nic, nigdy więcej jej nie spotkał. Byłem pewien, że coś ukrywa, i powiedziałem mu to wprost.

– Jest pan na wielu zdjęciach zrobionych tamtego wieczoru – skłamałem. – I na większości widać, że rozmawiał pan z Anną Eckart, a sądząc z jej miny, pańskie towarzystwo jak najbardziej jej odpowiadało. Trudno uwierzyć, że było to tylko krótkie, przypadkowe spotkanie przy kolacji.

Buła nie odpowiedział. Sięgnął po leżącą na ziemi siekiere, otarł ją dłonią z błota i przejechał palcem po ostrzu. Podszedł do pękatego, dębowego pieńka, sięgnął po gruby bal, ustawił pionowo, przymierzył, uniósł siekiere wysoko i z całej siły uderzył. Krąglak nie rozpadł się na dwie połówki, jak zwykle bywa, ale rozleciał na kilka drobniejszych, jakby był wiązką chudych szczap. Mężczyzna pozbierał wszystkie kawałki i cisnął w jedno miejsce. Siekiere oparł o ścianę domu. Podszedł do mnie, pochylił się i wycodził przez zęby prosto do mojego ucha:

– Przecież ta babka nie znała, kurwa, polskiego! A ja nie gadam po niemiecku! Jak mieliśmy się porozumieć? Na migi?

– Anna Eckart zna polski – powiedziałem z naciskiem, głośno, żeby usłyszał mnie proboszcz. – A raczej znała, ponieważ wszystko wskazuje na to, że nie żyje. A pańskie pokrętne wyjaśnienia czynią pana jednym z głównych podejrzanych o jej zamordowanie.

Wiedziałem, że posunąłem się za daleko. Buła zrobił się czerwony, a kapłan, który do tej pory się nie wtrącał, nie zamierzał milczeć.

– Dosyć! – wybuchnął. – Trochę pan przesadził. Nie ma pan żadnego powodu, żeby nie wierzyć Frankowi. Kończymy to żałosne przesłuchanie. Zapraszam do samochodu. Chyba że chce pan wracać sam. – A do Buły zwrócił się ze słowami: – Wybacz. I pożegnaj ode mnie Genię.

W tej samej chwili z domu wypadła żona Buły w niedbale narzuconej na sukienkę, granatowej kurtce z ortalionu. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że słyszała rozmowę i czekała na odpowiedni moment, by się wtrącić.

– Obiad na stole! – powiedziała donośnym głosem. – Zapraszam! Pyszna bułczanka domowej roboty. Jeszcze ojciec takiej nie jadł.

Proboszcz podszedł do niej i coś przez chwilę jej tłumaczył. Pożegnał się i powoli ruszył w stronę seledynowego moskwicza. Rad nie rad, udałem się za nim. Kiedy mijiałem żonę Buły, bąknąłem pod nosem „do widzenia”, ale nie odpowiedziała.

W drodze powrotnej kapłan milczał, a ja nie miałem pomysłu, jak rozładować ciężką atmosferę. Przypomniał mi się powrót ze wspólnej

wycieczki z Marylą, również w całkowitej ciszy.

Oczywiście żałowałem, że w rozmowie z Bułą nie wykazałem się umiejętnościami dyplomatycznymi, ale jego zachowanie tylko mnie upewniło, że facet ma coś na sumieniu. Rozumiałem, dlaczego nie chciał się przyznać do bliższej znajomości z Anną Eckart. W pobliżu była przecież żona i przez cienkie ściany drewnianej werandy mogła słyszeć, o czym mówił. Dlaczego jednak bronił się przed ujawnieniem szczegółów rozmowy z pisarką przy kolacji? Nie wierzyłem, że nie dowiedział się niczego na temat powodów jej przyjazdu do Starego Krzyża. Na pewno o to zagadnął, bo było to najbardziej oczywiste pytanie w takiej sytuacji. I nawet jeśli nie odpowiedziała wprost, sposób, w jaki się wykręciła, też mógł mi coś o niej i jej pobycie w mieście powiedzieć.

Zastanawiałem się również, dlaczego proboszcz urwał naszą rozmowę w tak brutalny sposób. Jakby się obawiał tego, co Buła mógł ujawnić. Być może był jego spowiednikiem, wiedział, że facet nie ma nic na sumieniu, i dalsze nagabywanie go uważał za zbędne. Ale wyobraźnia podpowiadała mi też sytuację przeciwną: kapłan znał jakąś mroczną tajemnicę Buły i nie chciał dopuścić, by gość się wygadał. Dlaczego go ochraniał? Może rzeczywiście był jego ojcem? Bo czy dla towarzysza brydżowych rozgrywek angażowałby się aż tak bardzo?

Kiedy zbliżaliśmy się już do Starego Krzyża, na drodze ni stąd, ni zowąd wyrósł niski, krępy ormowiec z lizakiem i nie bacząc na koloratkę pod szyją kapłana, zatrzymał nasz samochód. Proboszcz, ostro hamując, zaklął pod nosem. Na poboczu drogi w zabłoconym gaziku siedziało jeszcze dwóch mundurowych, obaj z przodu, ale grali w karty i całą inicjatywę pozostawili koledze. Ten poprosił nas o dokumenty, przejrzał je uważnie, następnie zajrzał do bagażnika, a kiedy okazało się, że jest pusty, zażądał pozwoleń na zmianę miejsca zamieszkania. Na szczęście miałem przy sobie pisemko, które dał mi Szary Garnitur. Co prawda tekst nie bardzo pasował do trasy z Małego Dołu przy Drodze do Starego Krzyża, ale funkcjonariusz nie był drobiazgowy. Spojrzał na pieczęć, chrząknął, co odebrałem jako oznakę aprobaty, i oddał mi wymięty świstek. Myślałem, że możemy ruszać dalej, ale ormowiec zrobił groźną minę i zażądał, by podobny dokument przedstawił mu ksiądz.

– Przecież ja tu mieszkam! – uniósł się proboszcz. – Donikąd się nie wybieram. I nie potrzebuję niczyich pozwoleń, by spotkać się z którymś z parafian.

– Mieszka obywatel w Starym Krzyżu – przypomniał funkcjonariusz. – I musi obywatel okazać dokument zezwalający na opuszczenie miasta.

– A jeśli nie?

– A jeśli nie, nie pozostanie nam nic innego, jak odstawić obywatela do aresztu.

– Dobrze, w takim razie jedźmy do aresztu – zgodził się.

Ormowiec sprawiał wrażenie zawiedzionego, może liczył na łapówkę. Proboszcz zapytał mnie, czy mam prawo jazdy, a gdy potwierdziłem, wręczył mi kluczyki do moskwicza i poprosił o odstawienie go na placyk przed kościołem.

– Nie boi się ksiądz jechać z nimi? – zapytałem.

– Czego niby mam się bać? – zdziwił się. – Zawiozą mnie na komisariat do Starego Krzyża. Do brata. Szczęść Boże!

Wytoczył się z moskwicza i ruszył za ormowcem w stronę gazika. Obaj usiedli z tyłu. Umundurowany kierowca niechętnie odłożył karty, przekręcił kluczyk w stacyjce i próbował ruszyć, ale samochód zaskrzeczał i natychmiast zgasł.

– Trzeba popchnąć – zasugerował kierowca, a kolega siedzący obok pokiwał głową na znak, że się z nim zgadza. Niestety, nikt nie poczuwał się do roli pchającego.

– Powiedziałem, że trzeba popchnąć – powtórzył kierowca spokojnie.

– Właśnie – dodał kolega siedzący obok niego.

Ormowiec, który zatrzymał kapłana, wysiadł z ociąganiem i ustawił się za samochodem.

– No, pchaj! – krzyknął kierowca.

– Sam? Nie ma mowy – zaprotestował ochotnik. Spojrzenia kierowcy i siedzącego obok niego kolegi zwróciły się w stronę proboszcza.

– Trzeba popchnąć, nie ulega wątpliwości – kapłan zgodził się skwapliwie.

Trwało dłuższą chwilę, nim do ormowca siedzącego obok kierowcy dotarło, że to on powinien wzmocnić drużynę pchających. Wysiadł powoli, manifestując każdym gestem i spojrzeniem, że został stworzony do ważniejszych zadań.

– Na trzy – zaproponował kierowca. I zaczął liczyć: – Raz, dwa, trzy!

Obaj pchający bez entuzjazmu przystąpili do wykonania zadania, ale choć nie włożyli w to większego wysiłku, ich starania wystarczyły, by samochód ruszył z miejsca i zapalił.

Usiadłem za kierownicą moskwicza i sam pojechałem dalej. Najpierw udałem się do Fabryki Naczyń Emaliowanych i zostawiłem strażnikowi zdjęcia przywiezione z Poznania, oryginały i powiększenia, z pominięciem oczywiście dwóch należących do mnie, z prośbą, by przekazał je dyrektorowi

Buremu. Potem podjechałem na Wąską, żeby sprawdzić, czy syn hotelowej sprzątaczkę, z którym nadal nie udało mi się porozmawiać, jest w domu. Niestety, nie zastałem nikogo. Szybko się więc stamtąd ewakuowałem; nie miałem ochoty na kolejną rozmowę z wścibską sąsiadką Jaworów.

Zaparkowałem na Szerokiej. Byłem głodny, a samoobsługowy bar „Familijski”, tuż obok księgarni, kusił przystępnymi cenami. Wszedłem do środka, kupiłem szaszłyk, odebrałem przyrządzone pospiesznie danie, prawdopodobnie tylko odsmażone, i zająłem miejsce przy jednym z kwadratowych stolików pokrytych błyszczącą od tłuszczu ceratą w czerwono-białą kratę.

Potrąwa okazała się okropna; jej podstawą było tłuste mięso poprzerastane twardymi, niezjadliwymi błonami. Wyłuskałem jeden czy dwa ładniejsze kawałki oraz cebulę i paprykę, zagryzłem kromkę, czy raczej skibką chleba, jak powiedziałyby mieszkawcy Starego Krzyża, popiłem napojem sporządzonym z zachowaniem proporcji obowiązujących w stołówkach studenckich: słoik kompotu na wiadro wody, i już chciałem zbierać się do wyjścia, kiedy drzwi do baru otworzyły się na oścież. Stał w nich wysoki, barczysty mężczyzna przed czterdziestką w czarnym kapeluszu z szerokim rondem, takim samym, jaki nosili Kirk Douglas czy Yul Brynner, oraz eleganckim, dopasowanym do ciała, nieskazitelnie czarnym garniturze. Pomyślałem, że wygląda jak urzędnik zakładu pogrzebowego, lecz nie nasz, swojski, ale jakiś egzotyczny, z daleka, może właśnie z Dzikiego Zachodu.

Facet o wyglądzie zbira, ale z domieszką czegoś tajemniczego – opadające na ramiona, puszyste, czarne włosy, gęste, czarne brwi, głęboko osadzone, lekko przymrużone, zielonoszare oczy, wydatne kości policzkowe, mięsiste usta i dwudniowy zarost – przez chwilę rozglądał się po sali, a jego lodowate spojrzenie wydawało się przenikać przedmioty na wylot i zarazem ogarniać wszystko wokół nich. W pewnej chwili zatrzymał wzrok na mnie. Stał tak przez dwie czy trzy minuty, wielki, nieporuszony, i ani na moment nie przestawał się gapić. Biły od niego pewność siebie, stanowczość i jakaś brutalna siła.

Zrobiło mi się nieswojo. Łudziłem się, że mnie z kimś pomylił, ale kiedy podszedł bliżej, nie ulegało wątpliwości, o kogo mu chodzi. Inni konsumenci w ogóle go nie obchodzili, a jednak rodzina z dwójką dzieci, która siedziała przy samych drzwiach, zaczęła pospiesznie zbierać się do wyjścia, chociaż żaden z talerzy nie był jeszcze pusty. Z kolei staruszek, który jadł zupę przy stoliku obok mnie, wstał i nie podnosząc wzroku, przeniósł się trochę dalej.

Kim był tajemniczy człowiek, którego pojawienie się wywołało takie

poruszenie wśród bywalców baru?

Nie bardzo wiedziałem, czego oczekiwać i jak się zachować, ale wiele się wyjaśniło, kiedy mężczyzna chwycił wsunięte pod mój stół krzesło, ustawił tyłem, usiadł na nim okrakiem, w ciszy wyjął z kieszeni zmięty kawałek papieru i rozłożył na stole. Zdrętwiałem. Znałem dobrze kartkę, na której napisano drukowanymi literami tylko jedno słowo: WYPIERDALAJ. Nie ulegało wątpliwości, że facet w kapeluszu był w moim pokoju, bo tam zostawiłem anonimowy list, który kilka dni wcześniej trochę mnie przeraził, nawet jeśli nie przyznawałem się do tego przed samym sobą.

Uderzył w przyniesioną przez siebie kartkę długim, mięsistym palcem wskazującym i wycedził przez zęby:

– Wy-pier-da-laj! – A po chwili syknął: – Nie potrzebujemy tu żadnych pieprzonych detektywów amatorów!

Przeraził mnie, to prawda, ale jeszcze bardziej wkurzył. Oburzyło mnie, że myszkował w moim pokoju. Nawet jeśli sam był autorem anonimu. Zapytałem podniesionym tonem:

– Jakim prawem grzebał pan w moich rzeczach?

Zachowywał się tak, jakby mnie nie słyszał. Złożył kartkę na pół i jeszcze raz na pół, powoli, z wystudiowaną starannością, a kiedy schował ją do kieszeni, powiedział twardo i zdecydowanie:

– Dziś. Dziś masz się stąd wynieść!

Zanim zdążyłem się odezwać, wstał i niespiesznie ruszył w stronę wyjścia. Na krótką chwilę jego masywna, ciemna sylwetka rzuciła cień na całe pomieszczenie. Odniosłem wrażenie, że na ten jeden moment zgasły światła. Wszyscy zamarli i umilkli. Ale kiedy tylko intruz zniknął za drzwiami, w barze znowu zapanowała swojska atmosfera. Ktoś domagał się przypraw, ktoś inny głośno narzekał na danie, które mu nie smakowało, ktoś strofował syna niejadka.

Mógłbym pomyśleć, że krótka wizyta tajemniczego nieznanego była przywidzeniem i nikt inny jej nie odnotował, ale w pewnej chwili staruszka siedząca w najciemniejszym kącie sali i pochylająca się nad porcją makaronu z twarogiem i cukrem spojrzała na mnie badawczo i powiedziała pod nosem, wystarczająco jednak głośno, bym usłyszał, coś dziwnego i nie do końca dla mnie zrozumiałego:

– Nie ma się czego bać. To tylko Malcziszka. Nasz Malcziszka, tak.

Nie brać faceta serio? Tylko głupek by się nie przejął. Bez względu na to, kim był Malcziszka. Miejscowym świrem, na tyle jednak przebiegłym, że potrafił się wkraść do cudzego pokoju hotelowego? Kolejnym

przedstawicielem tajnych służb, tym razem w osobliwym, prowincjonalnym wydaniu? A może... mordercą?

Nie potrafiłem odpowiedzieć sobie na pytanie, co powinienem zrobić. Rzeczywiście wrócić do Warszawy? Czy jednak pozostać w Starym Krzyżu i próbować rozwiązać zagadkę zniknięcia Anny Eckart? Podwinąć ogon pod siebie i uciekać? Czy udawać, że groźby faceta w kapeluszu spłynęły po mnie jak po kacze, i kontynuować poszukiwania?

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła siedemnasta. Przypomniałem sobie, że jestem umówiony z Zofią Frąckowiakową, wdową po nauczycielu, która na pewno wyjęła już szarlotkę z pieca, założyła elegancką sukienkę i niecierpliwie czekała na moje przybycie. Nie miałem zamiaru jej zawieść. Poza tym liczyłem na to, że dowiem się czegoś więcej na temat okoliczności śmierci jej męża. Decyzję o ewentualnym wyjeździe ze Starego Krzyża odłożyłem więc na później. Zwłaszcza że nie mógłbym opuścić miasta bez rozmowy z Ewą.

Odstawiłem moskwicza proboszcza na plac, z którego wystartowaliśmy, kluczyki zostawiłem u kościelnego i na piechotę ruszyłem do Frąckowiakowej. W małej kwiaciarni kupiłem siedem różowych goździków.

Kiedy stanąłem przed domem z czerwonej cegły, było już dwadzieścia po piątej. Tym razem nie musiałem czekać. Pani Zofia otworzyła natychmiast. Z satysfakcją odnotowałem, że moje przewidywania sprawdziły się niemal w stu procentach. Gospodyni zadbała o fryzurę i makijaż oraz założyła nową sukienkę, która niekoniecznie była ostatnim krzykiem mody, ale na pewno eksponowała niedostrzegalne dla mnie wcześniej walory jej ciała.

Miałem przed sobą inną kobietę niż kilka dni wcześniej. Gdybym przypatrzył się jej uważniej, nadal dostrzegłbym na twarzy ślady zmęczenia i kapitulacji przed upływającym czasem. Umiejętnie je jednak zamaskowała, nawet jeśli tylko na ten jeden wieczór. Musiałem przyznać, że wygląda ponętnie. Ciemne oczy w obramowaniu dyskretnego makijażu nabrały uwodzicielskiego blasku, pociągnięte karminową pomadką usta zyskały zmysłowy kształt, a zapinana na guziczki z masy perłowej, przylegająca do ciała pomarańczowa sukienka uwypukliła powabne krągłości piersi i ud. Do tego dopracowanego wizerunku nie bardzo pasował jedynie mdły, różany zapach tanich perfum przywożonych przez Polaków z wycieczek do Związku Radzieckiego.

Zofia Frąckowiakowa chyba dawno nie dostała od nikogo kwiatów, przyjęła je bowiem z wyrazem zakłopotania na twarzy. Dopiero po dłuższych poszukiwaniach znalazła wazon, napełniła go wodą i z ulgą pozbyła się

bukietu. Obdarzyła mnie bladym, zmieszanym uśmiechem ludzi nieśmiałych, zaprosiła do skromnie umeblowanego, wysprzątanego saloniku i wskazała miejsce na niewielkiej wersalce przykrytej grubą, czerwoną narzutą ze zwisającymi u dołu frędzelkami. Sama usiadła tak blisko, że czułem podniecające ciepło jej ciała. Chyba nie była tak płochliwa, jak myślałem. Szybko nalała do dwóch szklaneczek ciemną, gęstą nalewkę wiśniową i wzniosła toast, ale nie mogłem się skupić na tym, co mówiła, ponieważ w tym samym momencie jej kształtne udo otarło się delikatnie o moje.

Dopiero po chwili odnotowałem, że telewizor jest włączony. Nie zdziwiło mnie, że w Programie Pierwszym leci stara radziecka komedia *Dygnitarz na tratwie*. Od chwili wprowadzenia stanu wojennego filmy zachodnie z powodu braku dewiz niemal zupełnie zniknęły z anteny.

– Obejrzy pan ze mną do końca? – zapytała Zofia. – To taka przyjemna historia...

Przyznałem szczerze, że wolałbym porozmawiać. Posłusznie wyłączyła telewizor, ale nie usiadła już tak blisko jak wcześniej i ku mojemu zdumieniu zrobiła naburmuszoną minę. Pomyślałem, że uczyniła to celowo, bo w pozie nadąsanej dziewczynki wyglądała zalotnie i podniecająco. Dopiero później, kiedy opowiedziała mi o sobie, uświadomiłem sobie, że film o dzielnej wiejskiej dziewczynie, cóż z tego, że naiwny i staroświecki, mógł w niej obudzić wspomnienia z okresu, zanim trafiła do Starego Krzyża.

Na szczęście szybko przestała się dąsać. Sięgnęła po przenośny magnetofon kasetowy i włączyła muzykę, niezbyt głośną, snującą się w tle. Stare polskie piosenki przebrane z trzeszczących płyt i pocztówek dźwiękowych. Dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, że coś je łączy: aura dojmującego smutku, bólu towarzyszącego stracie, żalu.

Czesław Niemen skarżył się, że zamiast szeptów ukochanej słyszy tylko krzyk ciszy. Kasia Sobczyk pytała, gdzie jest jej Mały Książę. Anna Jantar snuła opowieść o wielkiej damie smutkiem pijanej, połykającej złote łyż. Edward Hulewicz bolał nad tym, jak ciężko, niczym kamień, zapada noc, noc znowu bez gwiazd, znowu bez snu. Anna German śpiewała o spływających po szybie strużkach łez. Czerwone Gitary opiewały smutne oczy, piękne oczy, smutne usta, bez uśmiechu. A Maryla Rodowicz użała się nad wiatrem, który śpi w kominie, bo zimno, i pytała: „A ja? Co ja? Co będzie ze mną?”.

Poddałem się całkowicie posępnej atmosferze piosenek z kasety, ale kiedy pani Zofia z uśmiechem nalała drugą kolejkę i ni stąd, ni zowąd zaproponowała bruderszaft, zrozumiałem, że niekoniecznie dostroiłem się do jej stanu ducha.

Zaskoczyła mnie swoim życzeniem zupełnie, zwłaszcza że bruderszaft kojarzył mi się raczej z czasem minionym, z pokoleniem rodziców, z pełnymi krzyków i chóralnych śpiewów imprezami imieninowymi przy taniej wódce. Zanim jednak zdążyłem cokolwiek powiedzieć, zgodzić się lub nie, wypła pospiesznie nalewkę, a jej ciepłe, słodkie usta przykleiły się na chwilę do moich. Moment bliskości sprawił mi oczywiście przyjemność, ale nim przeminął, w mojej głowie zapaliła się czerwona lampka. Zaniepokoiło mnie, że znajomość z wdową zaczyna zmierzać w nieoczekiwanym kierunku.

Przez moment miałem wrażenie, że kobieta położy głowę na moim ramieniu, i już chciałem pogłodzić jej puszyste włosy, gdy odskoczyła jak oparzona i zaczęła gorączkowo czegoś szukać. W końcu znalazła i z tryumfem rzuciła na niską ławę zastępującą stół. Był to stary, zniszczony numer tygodnika „Nowa Wieś”. W pierwszej chwili nie bardzo rozumiałem, o co chodzi, ale w porę zorientowałem się, że śmiejąca się z okładkowego zdjęcia rumiana traktorzystka z dużym biustem to moja rozmówczyni młodsza o kilkanaście lat. Spojrzałem na datę. Pismo pochodziło z sierpnia sześćdziesiątego czwartego roku.

– To były cudowne czasy! – Zofia rozmarzyła się i położyła spoconą dłoń na moim ramieniu, a ja szybko skłamałem, że nadal wygląda równie pięknie jak na fotografii.

– Wszyscy chłopcy we wsi kochali się we mnie! – kontynuowała z nutką żalu w głosie. – Nawet najprzystojniejszy, Franek Buła.

– Pochodzi pani... – zacząłem i natychmiast się poprawiłem: – Pochodzisz... z Małego Dołu przy Drodze?

Chyba nie dosłyszała, bo pytanie pozostało bez odpowiedzi.

– Wybrałam Ryśka – kontynuowała. – Żadnego tam przystojniaka. Ale jako jedyny we wsi skończył studia, pisał wiersze. Świata poza nim nie widziałam. I wylądowałam z nim tu, w Starym Krzyżu. Odziedziczył dom po ciotce. Znalazł pracę w szkole. Ale ja... Byłam dziewczyną ze wsi, traktorzystką, szefową koła Związku Młodzieży Wiejskiej. A tu? Z dnia na dzień stałam się nikim. U siebie królowa, adorowana przez wszystkich. A tu nie wiedziałam, co ze sobą począć.

Sięgnęła po szklaneczkę, ale zauważyła że jest pusta. Szybko ją napełniła, naląła też mi. Zapropowała, żebyśmy wypili za stare, dobre czasy.

– Zrobiłam kurs parasolnika – opowiadała podekscytowana. – Egzamin zdawałam w Poznaniu, w dużej fabryce. Musiałam sama zrobić parasol, od początku do końca. Przywiozłam własny stelaż, własny materiał, wszystko własne. Nie powiem, że było łatwo, ale dałam radę. Oceniał dyrektor.



A potem zwołał załogę i powiedział: „Patrzcie, co w Starym Krzyżu potrafią!”. No i naprawiałam parasole. Nawet to polubiłam. Ale nie było klientów. Ludzie wolą dziś kupić nowy parasol, niż naprawiać stary. A zimą to już w ogóle. Nikt nie przychodził. Musiałam się przekwalifikować. Napęniałam wkłady do długopisów, łapałam oczka w pończochach. Ale to usługi za grosze. W końcu wylądowałam przy maszynie do szycia. Nienawidzę tej roboty, ale nie narzekam. Na chleb zarobię.

Zofia Frąckowiakowa nalewała kolejkę za kolejką. Coraz bardziej wstawiona, zaczęła zasypywać mnie pytaniami, w większości niewinnymi, dotyczącymi pracy dziennikarskiej, ale też bardziej zuchwałymi, wkraczającymi na teren życia prywatnego. Uznałem, że mam prawo być tak samo niedyskretny, i odważyłem się zapytać, jak układały się jej stosunki z mężem.

– Z początku cudownie – zapewniła, wpatrując się we mnie szklistym wzrokiem. – Jak na filmie. Ale minęły trzy, cztery lata i zaczęliśmy się od siebie oddalać. Ja nie mogłam się tutaj odnaleźć, biadoliłam, grymasiłam, przestałam o siebie dbać. Nawet umalować mi się nie chciało, chociaż sama nie lubię, jak baby wychodzą na miasto zaniedbane. Natomiast Rysiek czuł się w Starym Krzyżu jak ryba w wodzie. Lubił uczyć. Poza tym zainteresował się fotografią. Ładował wszystkie pieniądze w drogi sprzęt, całe dni i noce spędzał poza domem, pstrykał zdjęcia... Zwierzęta, widoki, takie tam. Stworzył szkolne kółko fotograficzne. I coraz bardziej wycofywał się z naszego związku...

Zofia zastygła z pustą szklaneczką w dłoni. Nalała sobie do pełna, wypila małymi łyčzkami do dna i dopiero wtedy wróciła do przerwanej wątku.

– Cały czas pozostawaliśmy zgodnym małżeństwem, ale współżycie seksualne... No, nie szło w parze... Wiesz, ile lat nie miałam mężczyzny? Sama już nie wiem... Na początku, kiedy tu zamieszkaliśmy, różni tacy zaczepiali, zagadywali, walili w tyłek. Jak to faceci. Zenek Piotrowski z Ujmy Wielkiej, Marek Reczek z Jutrosina. Nawet Franek Buła, który też często przyjeżdżał do Starego Krzyża. Koniecznie chciał, żebym oddała mu się cielesnie. Przychodził do tej dziupli, w której naprawiałam parasole. Łapał za cycki, klepał jak kobyłę. Nie przeszkadzało mu, że należę do innego. Broniał się, nie chciałam. A potem... Kiedy z Ryśkiem przestało się układać, pomyślałam: Zośka, jesteś młoda, nie bądź głupia, korzystaj z życia. Ale zalotnicy już wtedy zniknęli. Zenek wyjechał do Niemiec, Marek został księdzem. A Franek... Ożenił się i też przestał przychodzić. Jestem pewna, że miałam szansę ułożyć sobie wszystko inaczej, ale trzeba było w odpowiednim

momencie wsiąść do właściwego pociągu. A ja go przegapiłam. Zostałam sama w poczekalni. Przepadło. Mój czas minął. Oczywiście wiedziałam, że to musiało nastąpić. Ale nie zdawałam sobie sprawy, że tak szybko. Od tamtego momentu moje życie już się tylko skróca i skróca.

– Nie mogłaś zostawić męża i wrócić do siebie na wieś? – zapytałam niezbyt mądrze.

– Nie miałam dokąd wracać – obruszyła się. – Rodzice oddali ziemię państwu za rentę. Za Gierka wielu tak robiło.

Sięgnąłem po butelkę i tym razem to ja napełniłem obie szklaneczki gęstym wiśniowym płynem, niezbyt mocnym, ale powoli uderzającym do głowy. Zmartwiłem się, że wypiliśmy już prawie wszystko, ale Zofia wstała, sięgnęła do szafki w kącie pokoju i zręcznym ruchem wyczarowała drugą flaszkę.

– Myślałam, że Rysiek ma jakąś babę – przyznała. – Zaprowadziłam go do kościoła, kazałam klęknąć i przysiąc przed Panem Bogiem, że nie zdradza mnie moralnie i seksualnie. Przysiągł, ale... Poszłam za nim raz czy drugi. Okazało się, że całe noce przesiaduje u kolegi, też nauczyciela, od geografii. Chyba od geografii.

Znowu przerwała. Wychyliła szybko dwie kolejne szklaneczki nalewki, jedną po drugiej, i dopiero wróciła do wspomnień.

– Ten kolega, Paweł Markuszewski, też interesuje się fotografią. Nie ma kobiety, żyje tylko tym. Urządził sobie w domu ciemnię. No i chyba ta ciemnia tak bardzo pociągała Ryśka. Czasami miałam wrażenie, że nie mieszka już ze mną, lecz z kolegą. Z początku udawałam, że nic się nie stało. Całymi godzinami oglądałam album ze zdjęciami ze ślubu i powtarzałam sobie, że wszystko się ułoży. Jakbym odprawiała jakieś czary. Ale czary nie działały. Zaczęłam mu więc robić awantury. Bo ja czasami to tak nerwowa jestem, że aż jadowita. Ale spływało po nim. No to spróbowałam inaczej. Postanowiłam walczyć. Żeby go odzyskać. Znowu zaczęłam o siebie dbać. Czekałam całymi wieczorami umalowana, uczesana, w samej bieliźnie. Nie przychodził, wracał, gdy już spałam. A kiedy raz się pojawił, popatrzył na mnie i zaczął pstrykać zdjęcia. Wyrwałam mu aparat z ręki. Powiedział, że jak mnie fotografuje, jestem bardziej jego, niż kiedy się kochamy. „Ale ty nie jesteś mój, ani bardziej, ani mniej”, odparowałam. Nigdy nie pokazał mi tych zdjęć. Oczywiście przestałam się wygłupiać i wyczekiwać na niego prawie goła. Ale nie przestałam walczyć. Próbowałam różnych rzeczy. Kupiłam nawet *Książkę kucharską dla zakochanych*, żeby przyrządzać mu potrawy o smaku miłości. Naprawdę wierzyłam, że to zadziała...

Smak miłości? Jakiej miłości? Przypadek sprawił, że poznałem autora wspomnianego poradnika, sympatycznego starszego pana, zdeklarowanego homoseksualistę. Ale z drugiej strony... Miłość pozostaje miłością. Pomyślałem zresztą, że nie będę burzył wyobrażeń gospodyni na temat książki, która miała uratować jej małżeństwo. Zwłaszcza że w zamglonych od alkoholu oczach kobiety pojawiły się łzy.

– Dlaczego go zabili?! – wykrzyknęła nagle głosem nabrzmiałym bólem. – Zupełnie nie mogę sobie tego przetłumaczyć!

– Czytałem, że go oślepił – zaryzykowałem. Nadal nie wiedziałem, czy wierzyć informacji, którą znalazłem w podziemnej gazecie.

– Oślepił? – zdziwiła się. – Morderca dźgnął go nożem w serce. Widziałam ciało. Jedno uderzenie. Rysiek... No, słaby był, chuchro takie. Wystarczyło.

– Ludzie mówią, że zabił go któryś z żołnierzy stacjonujących na terenie PGR-u. – Nadal stapałem po grząskim gruncie.

– Różnie mówią – przyznała. – Słyszałam też, że to bezpieka. Ale co bezpieka miała do Ryśka? To prawda, że udzielał się w Solidarności. Ale inni udzielali się jeszcze bardziej i żyją. Ktoś mi opowiadał, że w styczniu w szkole pojawił się taki jeden z Poznania, w czarnym skórzanym płaszczu, wyglądał jak gestapowiec z filmu o Klossie, i tłumaczył dzieciakom, dlaczego trzeba było wprowadzić stan wojenny. Wszyscy grzecznie słuchali, tylko uczniowie Ryśka hardo do niego: „A po co? A o co chodzi? A w ogóle to co z tym Katyniem?”. I niby za to ubecja miała się zemścić. Ale jakoś nie mogę uwierzyć. Zabić człowieka za to, że kilku gnojków zaczęło się popisywać na lekcji? Pół narodu musieliby wymordować.

Zofia nagle poderwała się z wersalki, lekko się zachwiała i zawołała:

– Ale ja ci tu głupoty opowiadam, a ty na pewno głodny jesteś! Już wstawiam pizzę do piekarnika! – I od razu wyjaśniła: – Pochwaliłam się, że przyjdiesz, kuzynowi Ryśka. Jest kierownikiem zakładu gastronomicznego na Kolejowej, tu niedaleko. Podobno rozmawiał z tobą. I doradził mi, żebym zrobiła ci pizzę. Mówiłeś mu, że to twoja ulubiona potrawa?

– Owszem – przytaknąłem bez przekonania. Nie ulegało wątpliwości, że wygłupiłem się w rozmowie z mężczyzną, który okazał się krewnym Ryśka. Pizza zjedzona w Warszawie była może czymś nowym dla mnie. W Starym Krzyżu, jak się okazało, przepis znała każda gospodyni. Pewnie był w „Przyjaciółce” albo innym tygodniku dla kobiet. Trochę mnie zmroziło, że ponury kierownik zakładu gastronomicznego, z którym zetknąłem się dzień wcześniej, cierpliwie wysłuchał mojego bredzenia i dopiero teraz skorzystał z nadarzającej się okazji, żeby ze mnie zakpić.

Kiedy Zofia zniknęła w kuchni, wstałem, nastawiłem głośniej kasetę, której słuchaliśmy kolejny raz, i rozejrzałem się po pokoju. Nad wersalką wisiało duże czarno-białe zdjęcie ślubne w brzydkiej beżowej ramie. Panna młoda z tapirowanym kokiem i szeroką grzywką, w sztywnej białej sukni, wyglądała na nim o wiele starszej niż stojący obok, zamyślony młokos o dziewczęcej urodzie, któremu nawet dwurzędowy, ciemny, trochę za ciasny garnitur nie dodawał powagi. Próbowałem sobie wyobrazić tego człowieka. Jakie miał ambicje, marzenia, plany? Jak zachowywał się na co dzień? Dlaczego tak bardzo się zmienił?

– Herbatę cukrujesz?! – Zofia krzyknęła przez uchylone drzwi do kuchni, a ja zawstydziłem się, że zobaczyła, jak gapię się na jej ślubną fotografię.

– Nie! – zawołałem, ściszyłem muzykę i wróciłem na wersalkę.

Pizza, z szynką, a nie z kiełbasą, oraz z serem i pieczarkami, okazała się o wiele smaczniejsza niż ta w warszawskiej restauracji. Zjadłem z apetytem kilka dużych kawałków, a Zofia, która twierdziła, że nie jest głodna, przyglądała się temu z satysfakcją docenionej kucharki. Cały czas popijała nalewkę, którą pewnie sama zrobiła, bo jak się okazało, miała spory zapas. Była oczywiście coraz bardziej wstawiona, ale trzymała się nieźle. Patrzyłem na nią z podziwem. Gdybym nie omijał niektórych kolejek, sam zważyłbym się już na podłogę.

Kiedy odłożyłem sztuce, Zofia sprzątnęła naczynia z ławy i znowu usiadła tuż obok mnie, tak blisko, że czułem na twarzy jej przyspieszony oddech, a na ramieniu powabną miękkość piersi. Podniecenie, a może raczej rozluźnienie pod wpływem alkoholu podpowiedziało mi następny krok. Obróciłem się w jej stronę, przygarnąłem ramieniem i chciałem pocałować, ale odepchnęła mnie zdecydowanym, choć trochę niezdarnym gestem.

– Proszę, nie! – zamruczała chrapliwym, nie swoim głosem. – Nie mogę. Jeszcze nie.

Wstała z wersalki i przysłoniła oczy dłońmi. Znowu wyglądała jak mała dziewczynka. Zawstydziła się? Czy może raczej postanowiła odegrać przede mną komedię? Trwała tak przez chwilę, po czym, nie odrywając rąk od twarzy, powoli podeszła i usiadła mi na kolanach. Chociaż nie bardzo wiedziałem, czego się spodziewać, objąłem ją i przyciągnąłem do siebie. Lewą dłonią odszukałem piersi, nadal dorodne, jak u wiejskiej dziewczyny, która uśmiechała się z okładki „Nowej Wsi” sprzed kilkunastu lat. Zofia opuściła dłonie i wpiła się we mnie ustami.

Oczywiście dzwonek alarmowy w mózgu hałasował jak oszalały, a w uszach dźwięczał wyczytany gdzieś aforyzm japońskiego poety:

„Pożądanie zadowoli się każdą. Dusza pragnie tylko jednej”. Ale czy moja dusza rzeczywiście łaknęła Ewy? Niewinne uczucie do uroczej recepcjonistki, które narodziło się nieoczekiwanie, zaczynało blednąć. Być może była to moja wina, ale cudowne spotkanie w dużym pokoju na hotelowym strychu nie miało właściwie dalszego ciągu. Wizyta numer dwa była niemal zupełnie odarta z magicznej atmosfery, jaka narodziła się podczas pierwszego wieczoru. Czy mogłem liczyć na to, że uda się ją jeszcze przywołać? Zwłaszcza że było to chyba moje pożegnanie ze Starym Krzyżem.

„Pożądanie zadowoli się każdą”. Rozpalony bliskością Zofii pomyślałem, że ta brutalna refleksja nie oddaje sprawiedliwości sytuacji, w której się znalazłem i której całkowicie się poddałem. A może tylko chciałem wyciszyć okrutną prawdę zawartą w sentencji poety, którego nazwisko wyleciało mi z pamięci? Zagłuszyć wyrzuty sumienia?

Nagle przypomniało mi się spotkanie z burakiem w westernowym kapeluszu. Pomyślałem, że może Zofia wie i wyjaśni mi, kim jest ten prymityw. Nie był to co prawda najszcześniejszy moment, by o niego pytać, ale uznałem, że mała dygresja nie zakłóci przebiegu spotkania, które nieuchronnie zmierzało do finału w nęcącej ciemności sypialni.

Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo się myliłem. Przywołanie w rozmowie dziwnego nieznanego zniszczyło wszystko. Zofia w jednej chwili otrzeźwiała i odskoczyła ode mnie. Zapięła górny guzik sukienki, który uwolnił się z uwięzi, gdy moja dłoń badała mapę jej piersi. I zażądała dokładnej relacji z przebiegu zdarzenia w barze. Zdecydowałem się mimo wszystko oszczędzić jej niektórych szczegółów. W mojej opowieści w ogóle nie padło słowo „wypierdalaj”. Powiedziałem tylko, że facet chciał mnie postraszyć. I zażądał, bym wyjechał z miasta.

– A ty prosto stamtąd przyszedłeś do mnie! – zauważyła z wyrzutem.

– No tak – potwierdziłem.

– Jak mogłeś?! – eksplodowała przerażona.

Nie bardzo wiedziałem, czego się boi. Facet chciał postraszyć mnie, nie ją.

– Niczego nie rozumiesz? – zapytała.

Przyznałem, że nie. I poprosiłem, żeby łaskawie wyjaśniła mi, kim jest mężczyzna w kapeluszu.

– Kiedy przyjechałam tu z Ryśkiem, facet był piłkarzem – zaczęła niechętnie. – W Starym Krzyżu jest przedwojenny stadion. Zrujnowany, trybuna się rozsypuje, ale nadal używany. Mamy też drużynę piłkarską. Czarni Stary Krzyż. Nic poważnego, kopanie dla przyjemności, żadne tam rozgrywki ligowe. Ale jest. I kiedy Czarni grają towarzyski mecz

z reprezentacją któregoś z okolicznych miast, schodzą się tłumy. No bo jakie my tu mamy rozrywki? Czasem festyn, potańcówka w parku, a od wielkiego dzwonu koncert w domu kultury. Raz był Grześkowiak, raz Irena Santor. To wszystko. No więc ten tam, w kapeluszu, grał w drużynie. Co ja mówię? Grał! Nie miał sobie równych. Potrafił strzelić bramkę z połowy boiska.

– Lokalny Deyna – zażartowałem, ale puściła moje słowa mimo uszu.

– Kilka razy widziałam go w akcji. Nie można było oderwać od niego oczu. Był tak dobry, że wzięli go do Kolejorza, no, do Lecha Poznań. Ale zanim pokazał, na co go stać, rozbił samochód. I poharatał kolano. O piłce nie było już mowy. Wrócił do Starego Krzyża, zaczął pić. Ale dziewczyny nadal się za nim kręciły. Złapał taką jedną ze wsi, która pewnie liczyła na jego cudowną przemianę. Niektórzy wierzą w uzdrowicielską moc miłości. Wystarczy, że mocno kocham, a wszystkie problemy znikną. Ale facet nie przestał pić, natomiast ona zaczęła. Trochę, jakbym opowiadała o sobie, co?

Zofia zaśmiała się gorzko. Sięgnęła po prawie już pustą kolejną, chyba trzecią butelkę nalewki, przechyliła i wypła do dna.

– Jakaś starsza kobieta, tam w barze, nazwała gościa Malcziszką – wtrąciłem.

– Naprawdę? – Zdziwiła się. – Myślałem, że nikt już tak o nim nie mówi. Kiedy grał, czasem wołali: „Strzelaj, Malcziszka, strzelaj!”, ale bardzo tego nie lubił. Raz zszedł z boiska i rozkwasił gościowi nos właśnie dlatego, że nazwał go Malcziszką. Później nikt już się nie odważył.

– Skąd to przezwisko?

– Mówią, że matka wołała na niego: Malczik, Malcziszka. Wiesz, jedni mówią na dzieci Żółwik, Chrabąszcz, Zabcia, a ona... Kiedy był mały, nigdy nie nazwała go po imieniu. Nigdy. Przez jakiś czas ludzie myśleli nawet, że nie dała mu imienia. Dla niej był Malczikiem.

– Wiesz dlaczego?

– Wiem, co ludzie gadają. A czy to prawda? Kiedy w styczniu czterdziestego piątego Rosjanie pogonili Niemców i wjechali do Starego Krzyża, w białych kombinezonach, z karabinami na sznurkach, mieszkańcy oszaleli z radości. Nosili ich na rękach, witali kwiatami, w doniczkach, ciętych nie było. Ale kiedy nadszedł wieczór, wyzwolicieli pokazali inne oblicze. Rozbiegli się po mieście. Nie wszyscy, ale kilku uzbrojonych barbarzyńców też potrafi napędzić ludziom stracha, w poszukiwaniu bimbru, zegarków, maszyn do szycia, rowerów i kobiet.

– Naprawdę? Myślałem, że gwałcili tylko Niemki, a tu Niemców już przecież nie było. Uciekli przed wkroczeniem Armii Czerwonej.

– Mówię, co słyszałam. Kobiety się oczywiście pochowały, ale widocznie nie wszystkie. Malczyszka został poczęty tej strasznej nocy. I dla matki pozostał dzieckiem tej strasznej nocy. Może nie znieprawionym, ale... naznaczonym piętnem gwałtu. Obcym. Malczikiem. Myślę, że nie umiała wymówić jego imienia i nazwała go słowem, które nie pozwalało zapomnieć, skąd się wziął.

– Ale przecież dziecko niczemu nie zawiniło!

– Miało pewnie oczy ojca, usta ojca, nos ojca. Wiem, wiem, to nie tłumaczy okrucieństwa matki, bo była dla niego okrutna. Mówią, że chłopak przeszedł przy niej piekło. Zwłaszcza że piła, piła coraz więcej. Ale w pewnym momencie wtrącił się jej brat. Mieszkasz w hotelu?

– Tak.

– To pewnie się z nim zetknąłeś. Jest kierownikiem.

– Chyba rzeczywiście go poznałem. Lubi rozwiązywać krzyżówki...

– Zajął się chłopakiem. Posłał go do szkoły. I przywrócił imię nadane na chrzcie. Krzysztof. Pomógł też matce wydobyć się z nałogu.

– Mówiłaś, że ten Malczyszka też się rozpił...

– No tak, kiedy przestał grać w piłkę. Ale potem zniknął na rok czy dwa. Jedni mówili, że się leczy, inni, że jest na jakichś kursach. Wrócił trzeźwy. I miał już ten kapelusz. Znaczący nie ten sam. Taki sam. Niektórzy się śmiali, że wygląda jak kowboj. Ale szybko przestali się śmiać... Powiem tak. Niejednego zniszczył. Ale wielu oszczędził. Mówią, że to on decydował, kogo mają internować ze Starego Krzyża. Pewnie to prawda, bo kto by wiedział lepiej? I nikt mu nie miał za złe. Bo zabrali tylko dwóch największych kozaków z Solidarności. No i przed Świętem Pracy mają ich zwolnić. Ryśka nie wzięli. Ale w styczniu, po tym incydencie w szkole, znalazł się na celowniku. Pamiętam, że któregoś dnia wrócił do domu roztrzęsiony. Powiedział, że ten w kapeluszu go zwymyślał. Ale dodał, że będzie dobrze. Trzy razy powtórzył. „Będzie dobrze”. No... Nie było dobrze. Ale naprawdę nie wiem, czy jego śmierć miała związek z tamtymi wydarzeniami. Aż do dziś w to nie wierzyłam. Ale jeśli facet przyczepił się też do ciebie... Do kogoś, kto interesuje się śmiercią Ryśka... Nie rozumiesz, że jesteś w niebezpieczeństwie? A jeśli ten w kapeluszu uzna, że dowiedziałaś się czegoś ode mnie, to i ja nie mogę już spać spokojnie...

Pomyślałem, że przesadza. Przeszło mi oczywiście przez myśl, że facet może być sprawcą zniknięcia Anny Eckart i zabójcą Frackowiaka, ale jego zachowanie tłumaczyłem sobie raczej, zwłaszcza kiedy się potwierdziło, że to ubek, niechęcią do mnie, intruza z zewnątrz, który miesza się do śledztwa.

Już w Warszawie spotkałem się przecież z podobną postawą przedstawiciela służby bezpieczeństwa.

Nie bardzo jednak potrafiłem się skupić na tym, co mówiła Zofia. Nie mogłem odżałować, że tak bezmyślnie zburzyłem cudowny nastrój sprzed kilkunastu minut. Poza tym zdałem sobie sprawę, że wlałem w siebie trochę za dużo dosłodzonej, jak się dowiedziałem, miodem lipowym nalewki, którą od pierwszych chwil spotkania raczyła mnie gospodyni. Zaczęło mnie mdlić i suszyć.

Poprosiłem o szklankę wody. Rozdygotana kobieta przyniosła kubek kompotu śliwkowego. Kiedy szła po niego do kuchni, zobaczyłem przez uchylone drzwi, że na stole stoi upieczona dla mnie szarlotka. Nie ulegało wątpliwości, że w zaistniałych okolicznościach Zofia nie zamierza jej podać. Miałem gdzieś szarlotkę, a jednak zrobiło mi się przykro, że i ten punkt wypadł z programu.

– Wiesz, po śmierci Ryśka ktoś się do mnie włamał – powiedziała niespodziewanie. – Czego szukał? Nie mam pojęcia. Nic nie zginęło, ale... Wyjechałam wtedy na dwa dni do koleżanki. I do dziś drzę na myśl, co by było, gdybym spała w domu. Strasznie się boję. Dlatego proszę cię, idź już... I... Nie zrozum mnie źle, ale wołałabym, żebyś więcej nie przychodził. Pewnie będę żałować, ale... I uważaj na siebie...

Kiedy wstałem, niespodziewanie przytuliła się do mnie, ale natychmiast się odsunęła. I chociaż stanęła daleko, wykonała dłońmi gest, jakby trzymała niewidzialną tarczę. Zrozumiałem, że mam się nie zbliżać: nie próbować jej przygarnąć czy pocałować na pożegnanie.

Kobieta, która tak mnie rozpałała, skuliła się w sobie i poszarzała. A smutek, który pojawił się w jej oczach, nadał zmęczonej twarzy blask naznaczony bolesną melancholią.

Nieoczekiwany finał spotkania w małym domu z czerwonej cegły sprawił mi większą przykrość, niż mogłem przypuszczać. W dodatku niewiele się dowiedziałem. Nawet nie zajrzałem do pokoju zamordowanego. I o tym wszystkim myślałem w drodze powrotnej do hotelu, a nie o niebezpieczeństwie, jakie mogło mi grozić ze strony demonicznego i zarazem pociesznego nieznajomego w czarnym kapeluszu z szerokim rondem. Zresztą nie było jeszcze bardzo późno. Po ulicach, mimo dojmującego chłodu, kręcili się ludzie, nie miałem więc powodu bać się napaści.

Z ulgą odnotowałem, że w recepcji dyżuruje pani Basia. Chciałem oczywiście spotkać się z Ewą, ale wiedziałem, że nie jest to najlepszy



moment. Cuchnąłem nie tylko alkoholem. Nadal czułem ostrą, przenikliwą woń brutalnie stłumionego podniecenia. Rzeczywistą czy wyimaginowaną? Nie miało to znaczenia. Nie mógłbym zbliżyć się z tym zapachem w nozdrzach do Ewy. Zastanawiałem się zresztą, czy w ogóle będę jeszcze mógł spojrzeć w jej twarz. Nasza znajomość nigdy co prawda nie wyszła poza stadium embrionalne. Tak naprawdę nic nas jeszcze nie łączyło. Wyrzucanie sobie, że byłem o krok od tego, by zbrukać wąż, trudną do nazwania, istniejącą być może tylko w mojej wyobraźni więź między nami niewiernością, nie bardzo więc miało sens.

A jednak dokuczało mi poczucie, że dopuściłem się zdrady. Nawet jeśli się nie dokonała. Całym sobą chciałem przecież, by obietnica zawarta w namiętnych pocałunkach Zofii się spełniła. Poza tym pożądanie, które budziło jej ciało, nadal się we mnie tliło. I doskonale zdawałem sobie sprawę, że gdyby ta przygnieciona trudami życia, obolała, złamana przez los kobieta szukała w nocy ukojenia w moich ramionach, co oczywiście nie miało szansy nastąpić, przyjąłbym ją bez wahania. Chociaż wiedziałem też, że rano może przynieść otrzeźwienie. Sprawić, że wspomnienie wieczoru w małym domku koło dworca zblednie. A żal, że nie potrafiłem dochować wierności zaczynającemu dopiero się tlić uczuciu do Ewy, jeszcze nabrzmieje. Tymczasem jednak obie kobiety były mi bliskie. Obu towarzyszyły ciepłe myśli. Dlatego nie mogłem pójść do jednej i udawać przed samym sobą, że druga nie istnieje. Dlatego nie wstąpiłem do Ewy. Udałem się wprost do swojego pokoju.

Przebrałem się w piżamę, położyłem i próbowałem zasnąć, ale nie pozwalały na to pulsujący w żyłach alkohol i niezaspokojone pragnienie. Po godzinie czy dwóch zszedłem na dół, żeby napić się czegoś ciepłego, ale restauracja była już nieczynna. Na szczęście pani Basia, której zwierzyłem się ze swojego problemu, zaproponowała, że w wolnej chwili pójdzie do kuchni i zaparzy mi herbatę. Nie bardzo wiedziałem, dlaczego nie może zrobić tego od razu, ale nie chciałem być bezczelny.

Wróciłem do pokoju, odczekałem pół godziny i ponownie zajrzałem do recepcji. Pani Basi nie było, ale na biurku stała szklanka z obiecany napojem, który zdążył już wystygnąć. Dopiero kiedy zaspokoilem pragnienie, udało mi się zasnąć. Nie miałem jeszcze wtedy pojęcia, że czeka mnie najgorsza z wszystkich nocy, jakie do tej pory spędziłem w Starym Krzyżu.

## 19 kwietnia 1982, poniedziałek

Nie wiedziałem, jak znalazłem się w kilkutysięcznym, gwarnym tłumie uzbrojonym w lornetki i lunety, małe i duże, amatorskie i profesjonalne, zniszczone i połyskujące nowością. Ubrani zgodnie z modą sprzed kilkudziesięciu lat przedstawiciele różnych stanów i profesji gapili się w wieczorne niebo i z trwogą rozprawiali o groźbie zagłady.

Zaczepi ogonem o Ziemię czy nie zaczepi? Owionie nas trującym gazem czy nie owionie? Zniszczy życie na całej planecie czy jedynie w wybranych jej częściach?

O czym mówili? Co ich tak przerażyło? Zadarłem głowę do góry i ujrzałem na niebie ognistego ptaka z długim, płonącym ogonem, pędzącego wprost na mnie, z każdą chwilą większego, zamiatającego oślepiającą kitą wszystko co na jego drodze.

Wokół rozległy się wrzaski, lamenty i modlitwy przerażonych kobiet, mężczyzn i dzieci. Psy ujadły tak, że nie można było zebrać myśli. Wychudzony klecha z obłędem w oczach i głósie domagał się, by tłum ukorzył się przed zagniewanym Panem, chociaż większość zebranych na placu i tak dawno padła na kolana. Ktoś zaintonował *Boże, coś Polskę*.

Ciągnąca za sobą długi warkocz kula ognia znalazła się już tak blisko, że jej rysunek rozplynął się w niewyobrażalnej jasności. Właśnie ta jasność mnie obudziła i umieściła z powrotem w terażniejszości, w ciszy i mroku hotelowego pokoju.

Zlany potem próbowałem rozszyfrować przerażający sen, osobliwą chimere na temat ostatniego jak dotąd pojawienia się na niebie komety Halleya, w kwietniu 1910 roku. Zapewne w którejś z książek o dawnej Warszawie przeczytałem, że mieszkańcy stolicy obserwowali ją zgromadzeni u wylotu ulicy Marszałkowskiej, na rogatkach miasta. Tam, na Rondzie Mokotowskim, późniejszym placu Unii Lubelskiej, kończyły bieg tramwaje, najpierw konne, następnie elektryczne. Stamtąd brała początek kolejka wąskotorowa do Grójca. A w miejscu, które w sześćdziesiątym pierwszym lub sześćdziesiątym drugim roku, w czasach lotu Gagarina i debiutu Beatlesów, zajął nowoczesny Supersam, był niewielki staw porośnięty przy brzegu szuwarami.

Próbowałem przywołać w wyobraźni scenę ze snu, zastanowić się nad nią, rozłożyć na czynniki pierwsze, ale szybko porzuciłem ten trud. Nie czułem się dobrze. Nie bardzo jednak potrafiłem zdiagnozować swój stan. Trochę kręciło

mi się we łbie, ale to przecież nic dziwnego po wypiciu sporej ilości alkoholu. Nie rozumiałem jedynie, dlaczego zawroty głowy z każdą minutą się nasilają.

Zaczęło mnie mdlić. Czułem się przepełniony, jakbym poprzedniego dnia nie robił nic innego, tylko jadł. A kiedy raz czy drugi mi się odbiło, w ustach pojawił się nieprzyjemny, gorzkawy posmak.

Z trudem zwlokłem się z łóżka i zataczając się, dotarłem w mroku do toalety. Padłem na kolana, przyłgnałem rękami i brodą do bezlitośnie lodowatej muszli klozetowej i z krzykiem, którego nie byłem w stanie opanować, wyrzuciłem z siebie ohydny, cuchnący, zaprawiony żółcią i śliną szlam pełen niestrawionych resztek jedzenia.

Ulżyło mi, ale tylko na chwilę, bo nudności powróciły ze zdwojoną siłą. Nie zgadzałem się na to, co miało nastąpić, buntowałem się przeciwko temu całym sobą i jednocześnie wiedziałem, że nic nie powstrzyma zbliżającej się golgoty torsji.

Kiedy było już po wszystkim – taką przynajmniej miałem nadzieję – uniosłem się i pociągnąłem za przerdzewiały metalowy łańcuch, żeby spuścić wodę, ale po chwili znowu opadłem na kolana i przyłgnałem czołem do połyskującej w mroku bielą krawędzi. W innych okolicznościach tak bliski kontakt z miską klozetową uznałbym za upokarzający i odrażający, ale w tym miejscu i czasie działał kojąco. Pozwalał ochłodzić rozpaloną głowę. Dawał poczucie bezpieczeństwa. Uspokajał.

Dopiero po dłuższej chwili stwierdziłem, zdecydowanie na wyrost, że czuję się lepiej i podjąłem próbę powrotu do łóżka. Powoli wstałem, zapaliłem w ciasnym pomieszczeniu światło, podszedłem do umywalki i oparłem się drżącymi dłońmi o jej brzeg. W lustrze zobaczyłem niewyraźne, jakby zamglone oblicze człowieka chorego. Nie do końca docierało do mnie, że patrzę na własną gębę – bladą, opuchniętą i zalaną łzami. Niespiesznie przemyłem twarz i przepłukałem jamę ustną. Zauważyłem, że muszla klozetowa nadal nosi w górnej części ślady brunatnozielonych wymiocin, ale nie miałem siły jej wyczyścić.

Małymi krokami podreptałem do pokoju. Tam także zapaliłem światło. Jego blask rozjaśnił pomieszczenie jak rozlane mleko, ale wewnątrz, które wyłoniło się z ciemności, pozostało rozmyte, niewyraźne. Konturom przedmiotów i sprzętów brakowało ostrości. Szedłem dalej, potykając się, z trudem utrzymując równowagę. Jak pijany. Nie wytrzeźwiałem? Nadal byłem zamulony słodką nalewką?

Wyczerpany padłem na łóżko. Rąbkami prześcieradła wytarłem zimny pot z czoła i skroni oraz łzy z twarzy. Skuliłem się na prawym boku,

podciągnąłem nogi pod brodę i tak trwałem przez kilkanaście minut.

Zastanawiałem się, co mi dolega. Kolejny atak paniki? Czy raczej pospolite zatrucie żołądkowe? Ale co mogło być jego źródłem? Ohydny szaszłyk, który zamówiłem w barze „Familijskim”? Przecież zjadłem tylko dwa małe kawałki mięsa. Pizza Zofii? Szynka, która tak mi smakowała, miałyby być nieświeża? Ostatecznie postawiłem na podejrzaną nalewkę domowej roboty. Zwłaszcza że zdarzało mi się już doświadczać tortur żołądkowych po przepiciu.

Nagle w jamie brzusznej pojawił się wyjątkowo bolesny ucisk, nabrzmiewający, rozrywający wnętrzności. Po chwili co prawda ustąpił, ale zaraz potem znowu zaatakował z tą samą siłą. Miałem wrażenie, że kiedy spałem, ktoś wsunął mi do żołądka niewielki rozpalony kamień. Byłem gotów zrobić wszystko, aby się go pozbyć.

Ponieważ zmiana pozycji nie przyniosła ulgi, ruszyłem z powrotem do toalety, aby zmierzyć się z gwałtownym atakiem biegunki. Do muszli klozetowej dotarłem po omacku – przez łzy nie widziałem już prawie nic. Skąd to cholerne łzawienie? I ten zamazany, nieostry obraz? Nie przypominałem sobie, żeby wcześniejszym zatruciom pokarmowym towarzyszyły takie dolegliwości. Tylko lekarz mógłby mi wyjaśnić ich pochodzenie. Może powinienem zejść do recepcji i zadzwonić po pogotowie?

Po kolejnych długich minutach udręki oraz ponownym przemyciu twarzy znowu poczułem się trochę lepiej, wyszedłem więc z łazienki i podreptałem do drzwi wyjściowych. Przekręciłem już nawet klucz w zamku, ale nie zrobiłem ani kroku dalej. Zastygłem w miejscu, wspierając się o klamkę. Byłem zbyt osłabiony, aby podjąć się wyprawy na parter.

Przez myśl przemknęło mi, że w hotelach, w których mieszkałem, w każdym lokalu był telefon umożliwiający natychmiastowy kontakt z recepcją. W pokojach w Starym Krzyżu nie było telefonów.

Przyszło mi do głowy, żeby wrzasnąć: „Pomocy!”, ale z moich ust wydobył się tylko niezrozumiały skrzek, który zastygł w dusznym powietrzu.

Z trudem dotarłem z powrotem do łóżka. Nie wiedziałem, że najgorsze ma dopiero nadejść. W pewnej chwili poczułem się bowiem tak, jakby ktoś usiadł mi na klatce piersiowej i ścisnął za gardło. Nie mogłem złapać oddechu. Zacząłem się dusić. Nadal też prawie nic nie widziałem. Obraz pokoju zamazywały napływające obficie do oczu łzy. Zacząłem też słyszeć dziwne odgłosy dobiegające z oddali. Głuche, stłumione „bum-bum-bum”. Opuściły mnie wszystkie siły.

Z ogromnym wysiłkiem przesunąłem się na brzeg łóżka, obróciłem na bok i runąłem na podłogę. Chciałem dotrzeć do okna, za wszelką cenę, nawet

gdybym miał się czołgać, aby je otworzyć, jak najszerzej, i odetchnąć świeżym powietrzem. Niestety, nie udało mi się przesunąć ani o centymetr. Poczułem, że zamazana przestrzeń odpływa gdzieś daleko, a ja spadam w przepaść nieświadomości.

Kiedy otworzyłem oczy, otaczała mnie biel. Biel ścian, biel pościeli, biel fartucha kobiety stojącej gdzieś w głębi małego pomieszczenia. Jedynymi elementami odcinającymi się od śnieżnej bieli, były owłosione nogi w elastycznych rajstopach. To ich widok sprawił, że w duszy uśmiechnąłem się do siebie. Żyję, pomyślałem. W zaświatach raczej nie ma owłosionych nóg w elastycznych rajstopach.

Chciałem podrapać się pod nosem, ale kiedy szarpnąłem dłonią, okazało się, że jest uwięziona. Dotarło do mnie, że podłączono mnie do kroplówki. Bezbarwny płyn spływał niespiesznie do żył.

Nie miałem pojęcia, jak trafiłem do szpitala. Kto mnie znalazł? Jediną osobą, która mogła zapukać do moich drzwi w środku nocy i zaniepokojona brakiem odpowiedzi nacisnąć na klamkę, była Ewa. Czy to ona? Czy nadal tu jest? Siedzi na korytarzu i czeka na mój powrót do żywych?

– Panie doktorze, pacjent się obudził! – usłyszałem mocny, śpiewny głos. Należał do właścicielki owłosionych nóg. Po chwili do pokoju wszedł niewiele starszy ode mnie mężczyzna w białym kitlu i stukających rytmicznie o podłogę drewnianych chodakach. Zbliżył się do łóżka, wziął moją bezwładną rękę, prawdopodobnie z zamiarem zmierzenia tętna.

– Jak się pan czuje? – zapytał.

Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że wydobyłem się, zapewne dzięki jego pomocy, ze stanu zapaści. Bóle, nudności, siódme poty, łzawienie, nieostre widzenie, problemy z oddychaniem. Wszystko to minęło jak ręką odjął.

– Czuję się dobrze – powiedziałem z przekonaniem. – Bardzo dobrze.

– Mieliśmy tu z panem niezły cyrk. – Lekarz wyglądał na zmęczonego. – Płukanie żołądka u pacjenta bez przytomności to trochę jak jazda na diabelskim młynie. Zwłaszcza kiedy się robi to pierwszy raz.

Zamilkł, jakby stracił wątek, i dopiero po chwili dodał, że na moment podczas tego nieprzyjemnego zabiegu się ocknąłem.

– Pamięta pan? – zapytał. – Krzyczał pan coś o jakiejś komecie.

– Komecie? – zdziwiłem się. – Ach tak... kometa Halleya. Wie pan, że w 1910 roku ludzie widzieli w niej zapowiedź końca? Ciekawe, czy za cztery lata, kiedy pojawi się znowu, też wywoła panikę...

– Interesuje się pan astronomią – zauważył i zaczął studiować kartę

choroby.

– Raczej tym, co nas przeraża – wyjaśniłem mętnie. – Co niszczy nasze życie. Zabija.

Lekarz dotknął mojego czoła, zajrzał w oczy, kazał pokazać język. Kobieta w elastycznych rajstopach poprosił, by zmierzyła mi gorączkę.

– Co to było? – zapytałem. – Zatrucie żołądkowe?

– Miał pan klasyczne objawy zatrucia muskaryną – wyjaśnił poważnym tonem. – Wie pan, co to jest?

Nie miałem pojęcia.

– To alkaloid występujący w grzybach, głównie w strzępiakach i muchomorach – tłumaczył jak dziecku. – Pobudza układ nerwowy przywspółczulny. Najczęstsze objawy to bóle brzucha, nudności, wymioty, biegunka, nadmierne wydzielanie łez, śliny, potu i śluzu w oskrzelach, trudności z oddychaniem, zwężenie źrenic, zaburzenie widzenia, zwolnienie akcji serca, spadek ciśnienia, czasem obrzęk płuc. Następstwem jest osłabienie organizmu. Człowiek staje się apatyczny, jego skóra nabiera siniego odcienia. Większa dawka trucizny powoduje śmierć w wyniku ustania krążenia.

Jeśli chciał mnie przestraszyć, mógł uznać wykład, który wygłosił, za sukces.

– Czy nadal coś mi grozi? – zapytałem.

– Dostał pan atropinę, która neutralizuje działanie muskaryny. No i płyny. Musieliśmy przeciwdziałać odwodnieniu organizmu. Zagrożenie życia minęło, ale oczywiście zostanie pan kilka dni w szpitalu.

– Zatrujęm się grzybami? – Zdziwiłem się. Ale w tej samej chwili dotarło do mnie, że nie jest to wcale nieprawdopodobne.

– Już wiem! – Uniosłem się na łóżku. – Pizza z pieczarkami, a w każdym razie z czymś, co wyglądało jak pieczarki.

– Wie pan... – lekarz zastanawiał się nad tym, co powiedziałem. – Najwięcej trującej muskaryny zawiera strzępiak ceglasty. Od biedy można go pomylić z pieczarką. Ale to grzyb występujący od maja. Czyżby pojawił się już teraz? – A po chwili zagadnął: – O której jadł pan tę pizzę?

– Koło dwudziestej, może dwudziestej pierwszej. – Nie pamiętałem dokładnie.

– A kiedy wystąpiły pierwsze objawy zatrucia? – dociekał.

– Położyłem się po dwudziestej trzeciej. Zasnąłem. Nie wiem, o której się zaczęło.

– Do nas trafił pan przed trzecią... Wie pan, pierwsze objawy zatrucia

występują wkrótce po spożyciu grzybów. Po dwudziestu, najwyżej trzydziestu minutach. A jeśli tak, pizza odpada. Co pan jadł tuż przed snem?

Zapewniłem go, że nic.

– Niemożliwe. Absolutnie wykluczone.

– Piłem tylko herbatę. Wstrętną. Jakby owocową.

– To by się zgadzało. Strzępiak ceglasty ma owocowy posmak. Wygląda na to, że ktoś sporządził wywar ze strzępiaka ceglatego. I dodał go do herbaty. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy ususzony grzyb zachowuje właściwości trujące, ale jeśli tak, można go przechować i dysponować trucizną gotową do użycia na każde zawołanie. Kto uraczył pana tym morderczym napojem?

Nie wiedziałem. O zrobienie herbaty poprosiłem panią Basię. Ale kiedy przyszedłem do recepcji, napój stał tam od jakiegoś czasu. Każdy mógł do niego dosypać, co tylko chciał. Musiał oczywiście wiedzieć, dla kogo jest przeznaczony. A zdradzić mu mogła to tylko pani Basia. Warto by było z nią o tym porozmawiać.

– Nie moja sprawa – doktor nie naciskał. Zaraz jednak dodał, że musi zawiadomić o wszystkim milicję.

– Mam taki obowiązek – stwierdził.

Nie bardzo mi się to podobało, ale z drugiej strony sprawa była poważna. Ktoś usiłował mnie zabić. Może rzeczywiście powinna zająć się tym milicja. Lekarz już chciał odejść, ale przypomniałem sobie, że nadal nie dowiedziałem się, skąd wzięłem się w szpitalu. Zapytałem o to.

– Kobieta – zaczął tajemniczo. – Zawiadomiła nas kobieta.

– Ewa? – dociekałem.

– Ewa? – Zdziwił się. – Chyba nie tak ma na imię. Ale na pewno zawdzięcza jej pan życie. Jedną nogą był pan na tamtym świecie. Dawka trucizny musiała być spora. Gdybyśmy przyjechali pół godziny później... Tej pani bez wątpienia należy się podziękowanie. I może pan to zrobić natychmiast, bo nadal tu jest. Poproszę ją, ale tylko na pięć minut. Musi pan odpoczywać. Teraz to najważniejsze.

Doktor zniknął za drzwiami. Myślałem, że zapomniał o swojej obietnicy, bo przez kilka długich minut leżałem sam. I kiedy już zwątpiłem, że ktoś mnie odwiedzi, do pokoju weszła Zofia. Zmęczona, lekko zgarbiona, jakby przygnieciona ciężarem ostatnich kilku godzin, wyglądała na o wiele starszą niż podczas spotkania w domu. Podeszła do łóżka, usiadła na metalowym stołku, trochę niezgrabnie, jakby nie umiała oszacować odległości, i lodowatą dłonią dotknęła mojej twarzy. Na jej policzkach dojrzałem łzy.

– Wiedziała... – odezwała się w końcu. I nieoczekiwanie wybuchła: – Nie

widzisz, co się dzieje? Nie możesz tu zostać!

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale z jej ust wydobyło się tylko ciche westchnienie.

– To ty mnie znalazłaś? – dociekałem. – Jakim cudem?

– Było mi wstyd, że potraktowałam cię tak okropnie – przyznała. – Nie mogłam zasnąć. W końcu ubrałam się i poszłam do hotelu. Pamiętasz? Powiedziałeś mi, gdzie się zatrzymałeś. W recepcji nie było nikogo, zajrzałam do książki gości, sprawdziłam numer pokoju...

Przerwała, nie bardzo mogła mówić.

– Chciałam cię przeprosić – zaczęła od początku. – Nawet nie podałam szarlotki... Stałam pod drzwiami i zapukałam. Nie za głośno, żeby nikogo innego nie obudzić. Potem jeszcze raz. I nagle usłyszałam uderzenie. Jakby coś się przewróciło. Odruchowo szarpnęłam za klamkę. Zobaczyłam, że leżysz na podłodze. Straszny widok...

Ukryła szarą ze zmęczenia twarz w dłoniach i głośno załkała. Ale już po chwili zapanowała nad emocjami.

– Mam koleżankę w Gorzowie – zaczęła mówić szybko, bardzo szybko, jakby przypomniawszy sobie, że nie ma wiele czasu. – Z samego rana spakuję się i pojadę do niej. Na kilka tygodni. Odłożyłam trochę pieniędzy, poradzę sobie bez pracy. – A kiedy wyrzuciła z siebie tych kilka zdań, pochyliła się i szepnęła mi prosto do ucha: – Jedź ze mną! Proszę! Ukryjemy się razem. W Gorzowie będziemy bezpieczni. Nie znajdą nas...

Zniknąć. Porzucić wszelkie zobowiązania. I zaszyć się gdzieś na końcu świata z oddaną kobietą. Cudowna perspektywa. Ale przecież nie można ukrywać się w nieskończoność. Prędzej czy później musielibyśmy wrócić. A poza tym czy naprawdę udałooby się nam uwolnić od strachu? Jedyнным sposobem na przezwycięzenie go było doprowadzenie sprawy do końca. Wyjaśnienie, co się stało z Anną Eckart, a jeśli ktoś ją skrzywdził, wskazanie winnego. Nawet gdyby miało się okazać, że ochrania go system, wojsko, Bóg jeden wie, kto czy co.

– To nie takie proste. Muszę zostać w szpitalu przez kilka dni albo nawet dłużej – tłumaczyłem niezbyt przekonująco.

– Nie możesz!

– Muszę...

Wiedziała, że ją odtrącam. Odwracam się od istoty, która mnie ocaliła, i odrzucam doraźne, ale być może jedyne wyjście z potwornie trudnej sytuacji, w której się znalazłem. Nie miała jednak siły walczyć. Zresztą w tej samej chwili wszedł lekarz i dał jej znak, że czas wizyty minął. Wstała



i powiedziała cicho:

– Żegnaj...

Nawet nie zdążyłem jej odpowiedzieć, bo odwróciła się i szybko wyszła, żeby nie przedłużać bolesnej chwili rozstania.

Wiedziałem, że powinienem okazać jej więcej czułości. Była przecież gotowa ofiarować mi wszystko, co ma. Siebie. Dlaczego pozwoliłem, by po prostu usunęła się z mojego życia? Budziła we mnie tyle serdecznych uczuć! W późniejszych dniach tłumaczyłem sobie, że nie chciałem jej narażać, ale przecież zdawałem sobie sprawę, jak podle się zachowałem, i nigdy sobie tego nie wybaczyłem.

Nadszedł ranek. Przez niedbale zasunięte żaluzje wdarły się pierwsze promienie słońca, ale ja nie czekałem na dzień. Chciałem spać. Spać do wieczora. Z tym większą niechęcią odnotowałem brutalne trzaśnięcie drzwiami. Do pokoju wszedł kolejny gość. Niechciany. Komendant milicji obywatelskiej w Starym Krzyżu, sierżant Wąsowski.

Wyglądał na niewyspanego, być może noc spędził na brydżowej rozgrywce u Juszczaków. Miał na sobie wymiętoszony mundur. Cuchnął tytoniem i alkoholem. Przysunął stołek, na którym niedawno siedziała Zofia. Cisnął czapkę w nogi łóżka i wypalił:

– No więc co to było, zawód miłosny?

Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi. Byłem zbyt rozespany, by się nad tym zastanawiać.

– Kurwa, od pierwszej chwili wiedziałem, że będą z panem kłopoty – przyznał. Brutalna szczerłość i agresywny ton jego wypowiedzi trochę mnie zaskoczyły. Kontynuował w tym samym duchu: – Od początku mi się pan nie podobał. Nie będę zawijał w bawełnę, czy jak to się mówi. No bo co? Każdy inny zaproszony na brydża usiadłby z pozostałymi do stolika. Tak robią ludzie kulturalni, prawda? Ale nie ważniak z Warszawy. Ważniak z Warszawy ma w dupie trzech prostaków grających w karty. Ważniak z Warszawy woli obskakiwać piękną żonę gospodarza. Powiedziałem Juszczakowi, żeby na pana uważał, bo czasem nawet taki dupek jak pan potrafi dobrać się do miodu.

Miałem wrażenie, że to początek monologu bez końca. Dlatego gdy grubas się zaciął, natychmiast się wtrąciłem.

– Jeśli chodzi o to, co wydarzyło się w nocy, nie wiem, dlaczego uznał pan, że była to próba samobójcza – nareszcie dotarło do mnie, co sugeruje. – Nie miałem i nie mam żadnego powodu, żeby odbierać sobie życie.

– Dobra, dobra – nie poddawał się. – Obaj wiemy, jakie są baby. Jak

potrafią faceta wyżyć. Zdeptać. Upokorzyć. A potem odwrócić się na pięcie i odejść. Nie tak było?

– Nie – zaprzeczyłem. Nie chciało mi się gadać z prymitywem w mundurze.

– No dobrze, to dlaczego o mały włos nie przeniósł się pan na tamten świat?

– Ktoś próbował mnie otruć.

– Otruć? Niby kto?

– Nie mam pojęcia. Miałem nadzieję, że pan to wyjaśni.

– Co wyjaśnię?

– Kto wsypał truciznę do herbaty, którą wypilem wczoraj wieczorem.

Lekarz twierdzi, że to wyciąg z trujących grzybów.

– Do herbaty?

– Jak pan pewnie wie, mieszkam w hotelu. Przed dwudziestą trzecią zszedłem na dół. Chciało mi się pić, ale restauracja była już nieczynna.

Recepcjonistka, ma na imię Basia...

– Moja siostrzenica.

– Naprawdę? Nie wiedziałem.

Poirytowany i zniecierpliwiony komendant wstał ze stołka. Wyjął z kieszeni paczkę kubańskich kimów i zapalniczkę. Włożył ćmika, jak mówią w Starym Krzyżu, do ust, ale zaraz wyjął i zaczął miętosić w dłoniach, jakby czynność ta zastępowała mu palenie.

– Mam mówić dalej? – zapytałem.

Machnął ręką z rezygnacją i usiadł z powrotem, a właściwie przysiadł na samym brzegu, jakby chciał dać mi do zrozumienia, że mam się streszczać, bo pilno mu do innych zajęć. Cały czas ugniatał w palcach niemal całkowicie wykruszonego papierosa.

– Pani Basia zgodziła się zrobić mi herbatę – kontynuowałem. – Ale ponieważ powiedziała, że to chwilę potrwa, poszedłem do pokoju. Wróciłem po dwudziestu, może trzydziestu minutach. Pani Basi nie było, pewnie gdzieś na moment wyszła, ale herbata stała na biurku. Wypilem ją, a po jakimś czasie się zaczęło. Wymioty, biegunka, utrata przytomności.

– Kto pana znalazł? – zapytał czujnie.

– Zofia Frąckowiakowa – uznałem, że nie warto kłamać, bo prawda i tak wyjdzie na jaw.

– A co ona robiła w nocy w hotelu? – komendant nie krył zdumienia.

– Rozmawialiśmy wieczorem, a kiedy już się rozstaliśmy, coś sobie przypomniała i chciała mi to natychmiast powiedzieć. – Czułem, że moje wyjaśnienie nie zabrzmiało przekonująco.

Milicjant pokręcił głową z wyrazem dezaprobaty. Wsunął papierosa do kieszeni spodni i sięgnął po czapkę, jakby zbierał się do wyjścia. Przyglądał prawą dłonią rzadkie, tłuste włosy, pochylił się w moją stronę i zniżył głos niemal do szeptu.

– No tak, słyszałem, że pan wypytuje ludzi o śmierć Frąckowiaka. A co to pana, kurwa, obchodzi, jeśli wolno zapytać?

– Właściwie nic – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Mam jednak powody podejrzewać, że zabójstwo pana Frąckowiaka miało coś wspólnego ze zniknięciem w grudniu, tu w Starym Krzyżu, niemieckiej pisarki Anny Eckart. A ta sprawa jak najbardziej mnie interesuje. Na prośbę rodziny Anny Eckart próbuję się dowiedzieć, co się z nią stało.

– Zaraz, zaraz – przerwał mi. – Nie wie pan, że takimi sprawami zajmują się organa ścigania? Ładnie to tak wpierdalać się między wódkę a zakąskę?

– Nie robię nic złego – zapewniłem. – Stawiam ludziom pytania, to wszystko. A pytać może każdy. Najwyżej nie uzyska odpowiedzi.

– A poza tym co to za historia z tą Niemką? – komendant zmienił temat. – Nie wymyślił jej pan? Słyszałem, że pokazywał pan ludziom zdjęcia jakiejś baby, ale nikt jej nie rozpoznał.

– Nieprawda – zaprzeczyłem. – Mam zdjęcia Anny Eckart zrobione w grudniu w hotelu, w którym mieszkam. Na dwóch rozmawia z Franciszką Bułą. Wiem, że pan go zna. Grywacie razem w brydża. Tak więc bez wątplenia Anna Eckart była w Starym Krzyżu. Mieszkała w hotelu. Wymeldowała się w połowie grudnia. I nigdy nie dotarła do domu. Po drodze gdzieś zniknęła.

– Ale to nie znaczy, że zniknęła u nas. – Milicjant chciał zbić mnie z tropu.

– Może i nie – zgodziłem się. – Ale tu ją widziano po raz ostatni. I tu ślad się urywa.

– Nam nikt nie zgłosił zaginięcia w Starym Krzyżu obywatelki niemieckiej – podkreślił.

– Sprawą zajmują się organy ścigania w Warszawie – zapewniłem. – A to, że do tej pory nie zbadano śladu prowadzącego do Starego Krzyża, potwierdza jedynie, że śledztwo jest prowadzone nieudolnie i opieszale.

– A może po prostu ślad prowadzący do Starego Krzyża, jak go pan ładnie nazwał, jest nieistotny – zauważył komendant. – I organy ścigania go pominęły, a skoncentrowały się na innych, ważniejszych, o których pan nie ma pojęcia.

– Jak panu powiedziałem, jestem w kontakcie z rodziną zaginionej, a rodzina zaginionej jest informowana na bieżąco o postępach w śledztwie –

trochę podbarwiłem fakty. – I gdyby były jakieś ważniejsze ślady, na pewno bym o nich wiedział.

– No dobrze. – Komendant chyba się trochę pogubił. – A co to zaginięcie ma wspólnego ze śmiercią Frąckowiaka?

– Może nie mieć nic wspólnego – przyznałem. – Ale dwa tak dramatyczne wydarzenia w spokojnym mieście w odstępie kilku tygodni? Aż się prosi, żeby zbadać, czy nic ich nie łączy.

– Na razie nic pan nie znalazł – zauważył z przekąsem.

Zrewanżowałem się stwierdzeniem, że milicja musiała oddać śledztwo w sprawie śmierci Frąckowiaka wojsku.

– Nie wiem, kto panu nagadał takich bzdur! – zaprzeczył. – Prokuratura wojskowa została poproszona o wyjaśnienie pewnych kwestii, o czym nie mogę i nie mam zamiaru z panem rozmawiać, ale śledztwo toczy się dawnym trybem.

– A morderca pozostaje na wolności – stwierdziłem z ironią.

– Nic panu do tego – obruszył się. I zmienił temat: – Lepiej niech mi pan powie, kto niby mógłby chcieć pana zabić.

– Nie mam pojęcia – przyznałem. – Ktoś, kto obawia się, że wiem za dużo. Zabójca Frąckowiaka? Sprawca zaginięcia Anny Eckart?

Uznałem, że nie będę wspominał o facecie w kapeluszu. Jeśli stała za nim służba bezpieczeństwa, należało go przecież uznać za kolegę komendanta.

– Wie pan, jakoś nie mogę uwierzyć w tę bajeczkę o sproszkowanych grzybkach – przyznał grubas. – Ale oczywiście dowiem się, co z tą herbatą. A do pana mam prośbę. Niech pan tu sobie poleży, odpocznie, a potem spakuje się i wróci do mamusi. A sprawy zabójstw i zaginięć zostawi nam.

Komendant wstał, założył czapkę, którą miętosił w dłoniach, odwrócił się i po prostu wyszedł. Nie pożegnał się, nie zamknął drzwi.

Jego wizyta trochę mnie zirytowała. Nie podobało mi się, że tak jak facet w kapeluszu zamierza wykurzyć mnie z miasta. Na razie jednak nie chciało mi się o tym myśleć. Miałem wrażenie, że lekarz dał mi wcześniej jakiś lek uspokajający, ponieważ ogarnęła mnie senność nie do przewyciężenia. Zamknąłem oczy i w tej samej chwili straciłem kontakt z rzeczywistością.

Spałem niemal cały dzień. Znowu dręczyły mnie koszmary z Warszawą sprzed lat w tle. Tak gęste od szczegółów, że nie byłbym w stanie ich zapamiętać. Tak mroczne, że nie chciałbym do nich wracać. Ale nagle, w jednej chwili, spłynęły gdzieś głęboko w podświadomość, a pustkę, którą pozostawiły, wypełniło marzenie o Ewie.

Leżała tuż obok, obrócona tyłem, naga. Gładziłem jej drobne ciało

i całowałem pachnące włosy, z czcią należną bogini, bez pośpiechu. I zupełnie mi nie przeszkadzało, że film tego snu, jasnego i spokojnego, co jakiś czas się urywał – oboje zamieraliśmy jakby zatrzymani w kadrze – kiedy zaś ruszał, startował nie w tym samym miejscu, lecz od początku, cofnięty do klatki numer jeden. Trwało to w nieskończoność i było źródłem nieskończonej przyjemności. Nagle jednak zacinająca się płyta przeskoczyła rowek, którego nie mogła pokonać, a Ewa obróciła się do mnie i spojrzała z wyrzutem. Nie zdziwiło mnie, że ma twarz Zofii. Smutną, bladą, mokrą od łez. Przygarnąłem ją do siebie, a kiedy wtuliłem się w aksamitną łagodność drżącego, nagiego ciała, krew w moich żyłach zaczęła płynąć szybciej, szerszym, bardziej wzburzonym strumieniem.

W pewnej chwili bogini, którą trzymałem w objęciach, zaczęła szeptać mi coś do ucha, ale nie rozumiałem słów dobiegających jakby z innego wymiaru, a jedynie poczułem ciepło kobiecego oddechu. To przecież nie Zofia, pomyślałem. Obok mnie leżała ubrana jedynie w przypięte do elastycznego paska pończochy Maryla. Zaśmiała się zalotnie, a jej duże, kształtne piersi zakołysały się wyzywająco. Kiedy dotknąłem jednej z nich, zaczęła nagle rosnać, pęcznieć, ogromnieć. Nie ulegało wątpliwości, że zaraz eksploduje. Pomyślałem, że za żadną cenę nie mogę do tego dopuścić, ale zarazem wiedziałem, że nie powstrzymam nieuchronnego.

Nie byłem pewien, w którym momencie wypadłem z niewymownie słodkiego snu i znalazłem się w mokrej, kleistej rzeczywistości. Okolice mojego brzucha oblepiała zawieszista substancja, zrazu gorąca, potem tylko ciepła, wreszcie chłodna, a w końcu dojmująco zimna. Otworzyłem oczy. Koc, który służył mi za kołdrę, był chyba bardzo cienki, bo na okrywającej go powłoczce zobaczyłem duży wilgotny ślad po krótkiej chwili błogości.

Przy moim łóżku siedziała Maryla. Chyba nie zauważyła, że już nie śpię. Wpatrywała się z uwagą w miejsce naznaczone przez moment niechcianej rozkoszy. Kiedy zorientowała się, że na nią patrzę, jej policzki się zarumieniły.

– Wiele bym dała, aby się dowiedzieć, o kim śniłeś – powiedziała lekko chrapliwym, zmysłowym głosem, jakiego nie znałem. Przyszło mi do głowy, że może wcale się nie obudziłem, a Maryla obok łóżka, w ładnej białej bluzce opinającej dorodne piersi i ładnej beżowej spódnicy opinającej zgrabne uda, jest Marylą ze snu. Tą samą, która jeszcze przed chwilą leżała obok mnie, prawie naga, kusząca, a nie Marylą rzeczywistą, która usłyszała od kogoś, że trafiłem do szpitala, i chociaż kilka dni temu uznała naszą znajomość za zakończoną, zdecydowała się na kurtuazyjną wizytę.

– A gdybym powiedział, że o tobie? – zaryzykowałem.

– Nie uwierzyłabym – odparła już swoim naturalnym głosem, trochę wyższym, odartym z emocji. – A po chwili milczenia dodała: – Doktor Rączyński powiedział, że spałeś cały dzień i można cię już obudzić. Ale chyba z kwadrans szeptałam ci do ucha, że czas się podnieść. Spałeś kamiennym snem. Musiał być bardzo przyjemny. Zawołać kogoś, żeby zmienił ci pościel?

No tak, będzie się gapić, jak pielęgniarzka, strojąc sobie ze mnie żarty, zastępuje zmoczony koc suchym. Nie ma mowy!

– Może później – postanowiłem zbagatelizować to, że przyłapała mnie na marzeniach erotycznych, w których jej szept odegrał chyba znaczącą rolę. – Nic takiego się nie stało.

– Czy to prawda, że chciałeś się otruć? – zaskoczyła mnie tym pytaniem, mimo że słyszałem je wcześniej. A także następnymi z tej samej serii: – Co ci przyszło do głowy? Miałeś romans z Frąckowiakową? I co? Nie wyszło?

Co to miało znaczyć? Była zazdrosna? Jedno nie ulegało wątpliwości. Rozmawiała z komendantem. Co gorsza, komendant trzymał się uparcie swojej idiotycznej wersji zdarzeń. Ale właściwie dlaczego miałby ją odrzucić? Musiałby wtedy zacząć szukać domniemanego truciciela, zabrać się do pracy, a tego chyba nie lubił. Wygodniej było mu napisać w raporcie, że jakiś nieźrównoważony turysta próbował odebrać sobie życie, ale szczęśliwie został odratowany.

– Nie, nie chciałem się otruć – powiedziałem spokojnie. – I nie miałem romansu z Frąckowiakową. Ale wiem, kto rozpowiada te i inne bzdury na mój temat. Pan komendant, prawda?

Nie zaprzeczyła. Odpowiedziała pytaniem:

– A więc to prawda, że ktoś próbował cię zabić?

Opowiedziałem ponętnej żonie partyjnego dygnitarza, co się wydarzyło. Słuchała uważnie, z wyrazem niepokoju na twarzy. Ucieszyłem się, że w przeciwieństwie do komendanta dała wiarę moim słowom. Mimo że, jak wyjaśniła, Wąsowski rozmawiał z panią Basią i ta upiera się, że nikomu obcemu nie powiedziała, dla kogo zrobiła w nocy herbatę. W dodatku umyła szklanekę, a tym samym zatarła ślady, które mogłyby potwierdzić, że próbowano mnie otruć.

Chciałem dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat, ale Maryla niespodziewanie przeskoczyła na inny. Zwróciła moją uwagę na przyniesione przez siebie żółte tulipany stojące na szafce nocnej. Pomyślałem, że chce już iść. Zasmuciło mnie to, bo pogaduszki z nią sprawiały mi przyjemność. Zastanawiałem się, jak ją zatrzymać, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

W końcu zapytałem, jakim cudem ktoś tak tępy jak Wąsowski mógł zostać komendantem milicji w Starym Krzyżu, ale natychmiast ugryzłem się w język. Mówiłem przecież o człowieku, który był częstym gościem w jej domu.

– To długa historia i nie jestem pewna, czy chcę, żebyś ją znał – zaczęła tajemniczo. Ale po chwili milczenia, bez żadnej zachęty z mojej strony, zaczęła opowieść, którą początkowo zamierzała zachować dla siebie.

– To było w sześćdziesiątym czwartym, może sześćdziesiątym piątym. Wąsowski był tu szeregowym milicjantem bez szans na awans. Już wtedy pił. I chyba niespecjalnie przykładał się do pracy. Ale zdarzyło się coś... Jakaś spółdzielnia, chyba Samopomoc Chłopska, bo która, jeśli nie ta, dała ogłoszenie do gazety, pewnie do „Głosu”, że sprzeda dwadzieścia tysięcy butelek przeterminowanego szczawiu w butelkach. Po pięćdziesiąt groszy. Zostali z tym szczawiem, nie mieli co z nim zrobić, szukali naiwnego, który pomógłby im się go pozbyć, a do tego zapłaciłby parę złotych. Wszyscy się śmiali, bo po co komu przeterminowany szczaw. A jednak znalazł się chętny. Rolnik z jednej z okolicznych wsi, Robert Zawada...

– Musiał wyłożyć dziesięć tysięcy. Niezła sumka.

– Zapożyczył się u rodziny, u kolegów, zebrał całą kwotę, zapłacił, podjechał traktorem z przyczepą, być może nie raz, i zabrał ten szczaw. Stamtąd udał się na jakieś składowisko odpadów i wszystko wylał. Oczywiście nie sam, pomagało mu kilka osób z rodziny. A potem w domu, na podwórku, razem z żoną, dziećmi i krewnymi umył wszystkie butelki i odstawił do punktu skupu. Za butelkę dawali wtedy złotówkę. Zarobił więc na czysto dziesięć tysięcy. Wtedy to była spora kwota. Ale radość nie trwała długo. Bo oto wkroczył Wąsowski.

– Skąd wiedział?

– Komendantem milicji w Starym Krzyżu, a więc przełożonym Wąsowskiego, był brat Zawady, który też mu w tym myciu butelek pomagał. I o wszystkim opowiedział na posterunku. Nie przyszło mu do głowy, że nie powinien się tym chwalić. A Wąsowski wykazał się czujnością. Doniósł komu trzeba. I Roberta Zawadę z całą rodziną zamknęli. Że niby spekulanci. Sędzia powiedział, że takie wrzody na zdrowym ciele socjalistycznego społeczeństwa powinno się wypalać żywym ogniem... Zawada dostał trzy lata, jego żona rok, inne osoby, które im pomagały, także brat, po kilka miesięcy. Dzieciaki na czas pobytu rodziców w więzieniu zamknęli w domu dziecka. No i tak... W Ameryce takich jak Robert Zawada podziwia się za pomysłowość i przedsiębiorczość. W Polsce za to samo idzie się za kraty.

Zdziwiło mnie, że Maryla zna tę historię ze szczegółami.

– Pamiętam to wszystko, jakby to było wczoraj. Dlaczego? Żona Roberta Zawady, Alicja, to moja kuzynka. I ja też im w tym myciu butelek raz czy drugi pomagałam.

– Siedziałaś?

– Nie. Wąsowski od dawna miał mnie na oku. Przyszedł i powiedział, że jeśli wyjdę za niego, wymaże moje nazwisko z raportu i nie będę siedzieć. Dostałabym ze trzy miesiące, ale... Wizja więzienia przerażała mnie. Byłam młoda. Nie chciałam gnąć za kratami. Ale możesz mi wierzyć, że pomysł poślubienia pijaka i chama, który zniszczył moich bliskich, również mnie odrzucał. Wąsowski oczywiście naciskał. Przychodził, najpierw ślinił się i prosił, potem krzyczał i groził. Nie wiedziałam, co robić. Ile ja nocy nie przespałam! Ale w końcu uległam. Złożyliśmy papiery w urzędzie, ustaliliśmy datę ślubu. W następnych dniach Wąsowski oprowadzał mnie po swoich znajomych, chwalił się zdobyczą. A już wtedy znał się z Olkiem. I Olek... Oszalał na moim punkcie. Zakochał się od pierwszego wejrzenia. Do ślubu były już chyba dwa dni, kiedy przyszedł i błagał, żebym wyszła za niego. Tłumaczyłam mu, że jeśli nie poślubię Wąsowskiego, grozi mi więzienie. Powiedział, że to załatwi. Już wtedy miał mocną pozycję, znał wiele osób. I załatwił. Wąsowski po skończeniu jakiegoś kursu został komendantem milicji w Starym Krzyżu i w zamian za awans zgodził się odczepić ode mnie. A ja wyszłam za Olka. Też nie był to wymarzony kandydat. Dużo starszy, niezbyt przystojny. I jakiś taki łykowaty. Nie kochałam go wtedy, nie pokochałam później. Ale skłamałabym, gdybym powiedziała, że jest mi z nim źle. Zawsze o mnie dbał... Jest delikatny, czuły. Niegłupi, kulturalny. Nie mówiąc o tym, że nieźle zarabia. Zapewnił mi spokojne, dostatnie życie. A Wąsowski? Sam wiesz. Prymityw, gbur, skąpiec. Uwierzysz, że dywan przykrywa folią? Żeby się nie zniszczył. Zmienia ją co kilka miesięcy. Kiedyś źle wymierzył i kupił za krótką. A ponieważ szkoda mu było pieniędzy na nową, wziął nożyczki i uciął dywan...

Na twarzy Maryli pojawił się cień uśmiechu.

– Na samą myśl, że mogłam zostać jego żoną, robi mi się niedobrze. Z trudem znoszę jego obecność w naszym domu. Ale czy mam inne wyjście?

Zaskoczyło mnie, że opowiedziała mi tę historię. Być może błędnie oceniłem jej zachowanie kilka dni wcześniej. Naburmuszyła się, to prawda. Ale co z tego? Czy jej reakcja na moje szczeniackie zaloty przekreślała cudowną więź, która zrodziła się między nami mimo różnicy wieku? Gdyby tak było, nie przyszłaby przecież do szpitala i nie zwierzała się z błędów,



które popełniła lub mogła popełnić w życiu. Chciałem powiedzieć Maryli, jak bardzo mi jej żal, ale znowu zmieniła temat.

– Nie ufaj Wąsowskiemu – ostrzegła mnie. – To karierowicz, leń i oportunistą. Nie zrobi nic, by wyjaśnić sprawę. Nie będzie szukał człowieka, który chciał cię otruć. Nie zdziwiłabym się, gdyby raczej zaczął gromadzić na ciebie haki. Nie podoba mu się, że interesujesz się zabójstwem Frąckowiaka. Myślał, że sprawa przycichła i będzie ją można umorzyć, tymczasem zjawiasz się ty i węszysz. Nie wiem, jak daleko może się posunąć, ale wierz mi, nie powinienesz czuć się bezpiecznie.

Wstała ze stołka, co oznaczało tylko jedno: spotkanie dobiegło końca. Miałem nadzieję, że pochyli się i pocałuje mnie na pożegnanie, ale musiało mi wystarczyć krótkie, serdeczne „do zobaczenia”. Maryla wyszła, a ja nie do końca wiedziałem, co myśleć o jej wizycie. Naprawdę przyszła z troski o mnie? Chciała zatrzeć złe wrażenie, jakie zostawiło pożegnanie po poprzednim spotkaniu? A może miała do mnie jakąś sprawę? Po chwili znowu zobaczyłem ją w drzwiach.

– Zapomniałam ci o czymś powiedzieć – zaczęła. – Wydarzyło się coś niezwykłego. Nie uwierzysz, ale do Starego Krzyża przyjechał zagraniczny reporter. Anglik. Pisze o Polsce dla swojej gazety. I bardzo mu się u nas spodobało. Obiecał, że będzie na festynie. Zrobi o nim materiał. W tej sytuacji... Może jednak udałoby się namówić panią Krystynę Loskę, żeby przyjechała?

Nie bardzo nadażalem za jej tokiem rozumowania. Zachodni reporter zapewne nigdy nie słyszał o Krystynie Losce. Festyn z nią czy bez niej, co za różnica? Próbowałem wytłumaczyć to Maryli.

– Nic nie rozumiesz – obruszyła się. – Facet obiecał, że przyśle nam numer gazety z materiałem. Olek będzie mógł go pokazać w Komitecie Wojewódzkim. Szlag ich trafi! Wyobrażasz to sobie? Zdjęcia z festynu w Starym Krzyżu w zagranicznej gazecie. A gdyby na tych zdjęciach pojawiła się jeszcze Krystyna Loska? Czy wiesz, jak skoczyłyby notowania Olka?

Nie wydawało mi się, aby taka publikacja mogła wpłynąć na karierę jej męża. Co innego artykuł w moskiewskiej „Prawdzie” czy chociażby w „Trybunie Ludu”, ale nie powiedziałem tego głośno. Cóż partyjnych kolegów Juszczaka mogło obchodzić, że zorganizowany przez niego festyn został opisany w angielskiej gazecie jako regionalna ciekawostka z dalekiej Polski? Maryla była jednak tak podekscytowana wizją sukcesu męża, że wolałem się nie wychylać ze swoim sceptycyzmem. Obiecałem, że spróbuję namówić prezydentkę na wycieczkę do Starego Krzyża, chociaż wcale nie

miałem zamiaru i możliwości tego zrobić. A kiedy Maryla wyszła, z żalem pomyślałem, że był to pewnie główny powód jej wizyty w szpitalu.

Zrobił się wieczór, za oknem było już ciemno. Bezgwiazdne, czarne niebo miało dziwny metaliczny odcień. Ułożyłem się wygodnie, ale pełen pęcherz nie pozwalał mi zasnąć. Odczuwałem też silną potrzebę obmycia ciała po przeżyciach poprzedniej nocy i całym dniem w łóżku, nie mówiąc o niechcianym wytrysku. Ale ponieważ nigdy wcześniej nie byłem w szpitalu, nie umiałem odłączyć się od kroplówki. Nie bardzo też wiedziałem, jak przywołać pielęgniarkę, która mogłaby mi pomóc. Powinienem nacisnąć jakiś dzwonek? Zawołać?

Chwyciłem statyw, do którego umocowany był zbiornik z życiodajną cieczą pompowaną do moich żył, i tak uzbrojony, w cienkiej szpitalnej piżamie, boso, udałem się do łazienki. Zadowolony, że znalazłem wyjście z sytuacji, oddałem mocz i z grubsza się obmyłem, mimo że wymagało to gimnastycznych, jeśli nie akrobatycznych umiejętności. I już chciałem opuścić ciasne pomieszczenie, kiedy przez uchylone drzwi zobaczyłem cień faceta w czarnym kapeluszu. Pojawił się znikąd, jakby wypłynął z sennego koszmaru. Albo z oparów własnej złowieszczej legendy. Niekochanego dziecka. Przegranego piłkarza. Bezwzględne ubeka.

Serce podskoczyło mi do gardła. Pogróżki drania nadal dźwięczały mi w uszach.

Cofnąłem się, ale cały czas obserwowałem mężczyznę przez niewielką szparę. Nie ulegało wątpliwości, że zmierza do mojego pokoju. Nie wiedziałem, czego chce. Ponowić swoje groźby? Spełnić je i uciszyć mnie na zawsze? Tak czy inaczej, liczyłem się z najgorszym.

Kiedy zniknął za drzwiami, uświadomiłem sobie, że zaraz stamtąd wypadnie i zacznie mnie szukać. Byłem pewien, że zajrzy do łazienki.

Zdecydowałem się na ucieczkę, ale najpierw musiałem pozbyć się nieporęcznego, ciężkiego statywu. Szarpnąłem za plastikowy przewód, ale nie udało mi się odłączyć go od ciała. Spróbowałem inaczej. Chwyciłem mały plastikowy przedmiot tkwiący w zgięciu ręki – pielęgniarka nazwała go wenflonem – w dwa palce i po prostu wyrwałem. Z rozdartej żyły trysnęła krew. Przyłożyłem do rany zmięty kawałek papieru toaletowego – na szczęście w szpitalu nie trzeba było podcierać się gazetą – i docisnąłem go, zginając rękę w łokciu. Statyw wstawiłem do toalety. Uchyliłem szerzej drzwi i wyjrzałem na pozbawiony okien, wyglądający jak tunel, opustoszały i cichy korytarz.

Spanikowany ruszyłem w stronę windy. Chociaż dotarłem na miejsce

w kilka sekund, wydawało mi się, że trwa to wieczność. Łomot serca w piersi i skrócony oddech uświadomiły mi, jak bardzo choroba odbiła się na mojej kondycji. Nacisnąłem biały guzik. Na szczęście winda, która przywiozła faceta w kapeluszu, nadal stała na moim, trzecim piętrze i od razu się otworzyła. Wszedłem do środka, wybrałem parter i dopiero wtedy odwróciłem się w stronę korytarza. Zanim drzwi się zasunęły, zobaczyłem wychodzącego z pokoju prześladowcę. On również mnie zauważył i mimo oddalenia poznał. W tej samej chwili przyspieszył kroku, ale wiedziałem, że nie ma szans mnie dopaść. Co zrobi? Na pewno uda się na dół schodami i jako były piłkarz może dotrzeć na miejsce niemal równo ze mną...

Kiedy winda zjechała na parter i drzwi się rozsunęły, ujrzałem identyczny korytarz jak ten na trzecim piętrze, a w głębi dwie rozmawiające ze sobą pielęgniarki. Zacząłem iść powoli w ich kierunku. Pomyślałem, że jeśli nawiążę rozmowę, prześladowca się wycofa, żeby dopaść mnie, kiedy będę sam. Niestety, kobiety nagle zniknęły za jednymi z licznych drzwi. Nie wiedziałem, co robić? Pójść za nimi? A jeśli zbir nie przejmie się ich obecnością, machnie jakąś legitymacją i wyjaśni, że musi mnie zabrać, bo przeskrobałem to czy tamto? Wiedziałem, że zaraz dotrze na parter i pojawi się tuż za mną.

Niewiele myśląc, wszedłem do pierwszego pomieszczenia z brzegu. Okazało się pokojem lekarskim. Na kozetce pod szarym kocem spał niespokojnym, nerwowym snem mężczyzna w średnim wieku. W pewnej chwili zachrapał głośno i obrócił się na drugi bok. Rozejrzałem się dookoła. Na wieszaku przy drzwiach wisiało jego ubranie. Wiedziałem, że nie powinienem tego robić, ale nie mogłem oprzeć się pokusie. Zerwałem z siebie pizamę, wrzuciłem ją do stojącego w kącie kosza i założyłem za krótkie i za szerokie spodnie, luźną koszulę i trochę za wielką marynarkę. Sięgnąłem po buty, ale okazały się za ciasne. Zostałem bosy.

Wyjrzałem na zewnątrz. Malczyszka już tam był. Stał obrócony do mnie tyłem. Rozmawiał z pielęgniarkami, które widziałem wcześniej. W pewnej chwili jedną objął, coś powiedział, prawdopodobnie zażartował, bo obie wybuchnęły śmiechem. Można było odnieść wrażenie, że zaniechał pościgu, zapomniał o mnie, porzucił myśli o tym, by mnie szukać.

Wyślizgnąłem się z pokoju i skierowałem w przeciwną stronę – z powrotem do windy. Pomyślałem, że nawet jeśli facet się odwróci, nie powinien skojarzyć kogoś w marynarce z pacjentem, którego chciał dopaść. Nagle jedna z pielęgniarek coś zawołała, zapewne do mnie. Prawdopodobnie uznała, że widzi lekarza, którego ubranie miałem na sobie. Udawałem, że jej

nie słyszę i spokojnym krokiem zbliżałem się do windy.

– Hej, ty tam! – wrzasnął mężczyzna, a jego słowa odbiły się od ścian korytarza.

Nacisnąłem guzik. W tej samej chwili usłyszałem stukot obcasów o wyłożoną płytkami PCV podłogę. Wiedziałem, że mężczyzna zorientował się, kim jestem i ruszył w moją stronę.

Drzwi windy się otworzyły. Szybko wszedłem do środka, wybrałem czwarte piętro, ostatnie, najwyższe, i błyskawicznie się odwróciłem. Mężczyzna był już niemal u celu. Drzwi zaczęły się zasuwać, kiedy wyciągnięta do przodu ręka znalazła się w środku. Złapałem ją i brutalnie odepchnąłem do tyłu. Miałem wrażenie, że prawie wyłamałem facetowi palce. W tej samej chwili drzwi się zamknęły, a winda ruszyła do góry.

Na korytarzu czwartego piętra wpadłem na kolejną pielęgniarkę, nieforemną, może niestara, ale i niemłoda. Ciemny wąsik pod haczykowatym nosem nadawał jej twarzy groźnego wyrazu.

– Co pan tu robi o tak późnej porze? – wrzasnęła. Ponieważ byłem ubrany w garnitur, uznała mnie za kogoś z zewnątrz.

Zastanawiałem się, co powiedzieć. Nie miałem czasu, by wymyślić jakąś przekonującą bajeczkę. Wybrałem prawdę i w kilku słowach opisałem swoją sytuację:

– Ktoś mnie ściga. Mężczyzna w czarnym kapeluszu. Wiem, że to brzmi głupio, ale chyba chce mnie zabić! Błagam, niech mi pani pomoże!

Żrenice kobiety rozszerzyły się ze strachu. Odniosłem wrażenie, że doskonale wie, o kim mówię, i zdaje sobie sprawę, że mogę mieć rację. Zastanawiałem się, co zrobi? Ucieknij w popłochu?

– Proszę za mną! – rozkazała tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Poprowadziła mnie do pokoju na końcu korytarza. Pokazała stojący tam wózek służący do przewożenia obłożnie chorych. Zrozumiałem, że mam się na nim położyć. Kiedy to zrobiłem, przykryła mnie prześcieradłem, jakbym był martwy, wypchnęła wózek z pokoju i skierowała do jakichś drzwi.

Druga winda? Nie wiedziałem, że w szpitalu są dwie windy, jedna na początku korytarza, druga, jak się okazało większa, towarowa, na końcu. Kiedy drzwi się otworzyły, ktoś do nas podszedł. Rozpoznałem zimny głos faceta, którego matka nazywała Malczikiem:

– Nie widziała pani mężczyzny w jasnym garniturze?

– O tej porze nie ma już wizyt – odpowiedziała hardo. – To samo dotyczy pana!

Zorientuje się, że to ja leżę na wózku? Garnitur, który miałem na sobie,

prawdopodobnie prześwitywał przez cienkie prześcieradło.

Kobieta pchnęła wózek, na którym leżałem, do wnętrza windy. Kiedy drzwi zamknęły się z lekkim szumem, odetchnąłem z ulgą. Za wcześnie. W tej samej chwili się bowiem otworzyły i ktoś wszedł do środka. Wiedziałem, że to sukinsyn, przed którym chciałem uciec. Domyślił się, kto leży na wózku? Zerwie ze mnie prześcieradło? I co? Zabije mnie? A co z pielęgniarką? Ją też czeka śmierć?

Facet stał obok w milczeniu. Nie widziałem go, ale czułem jego obecność. Czekają ze zdemaskowaniem mnie do momentu, kiedy wózek znajdzie się na korytarzu? Powie do pielęgniarki: „Proszę wybaczyć, ale teraz ja zajmę się tym panem”?

Winda zatrzymała się i po chwili ruszyła znowu.

– Wszedł – powiedziała z ulgą w głosie kobieta. Zorientowałem się, że mężczyzna wysiadł na parterze, a my pojechaliśmy niżej, na poziom minus jeden, gdzie prawdopodobnie mieściła się kostnica.

Kiedy drzwi windy znowu się otworzyły, pielęgniarka popchnęła wózek przed siebie, a po chwili zerwała ze mnie prześcieradło. W ciepłym pomieszczeniu pachniało pyłem węglowym.

– Jesteśmy w piwnicy – wyjaśniła. – W końcu korytarza są drzwi, którymi wyjdzie pan na zewnątrz.

Dopiero wtedy zobaczyła w ciemnościach moje bose stopy.

– Bez butów daleko pan nie zajdzie – dodała. – Proszę poczekać. Wydaje mi się, że palacz, który niedawno się zwolnił, zostawił tu gdzieś robocze ubranie.

Otworzyła jakąś szafkę i wyjęła z niej zniszczone szmaciane obuwie.

– Jest tylko to – zmartwiła się.

– Lepsze to niż nic – zapewniłem ją i wciągnąłem szmaciane buty na gołe stopy. Pasowały idealnie.

Zajrzałem do szafki. W kącie leżał rzucony niedbale gruby granatowy dres. Pomyślałem, że zostawię garnitur pielęgniarce z prośbą, by odniosła go właścicielowi, a sam wystroję się w zniszczone ubranie palacza. Wyjaśniłem kobiecie, co chcę zrobić, i zacząłem się rozbierać, ale przed zdjęciem spodni się zawahałem. Nie miałem na sobie majtek. Pielęgniarka zauważyła, że jestem zmieszany. Domyśliła się dlaczego.

– Co pan myśli, że golasa nie widziałam? – wypaliła. Widziała, nie widziała, mogłaby odwrócić wzrok, pomyślałem. Ale chyba nie miała zamiaru tego zrobić. Nie myśląc wiele, szybkim ruchem zdjąłem spodnie od garnituru i założyłem dres.

– Ma pan dokąd pójść? – zapytała kobieta. – Do siebie nie może pan wrócić. Od razu pana namierzą.

– Coś wymyślę – powiedziałem bez przekonania.

– Mogłabym pana przechować do jutra u siebie – powiedziała z namysłem, a ja oczami wyobraźni zobaczyłem, czego mogłaby ode mnie oczekiwać w zamian. Gdyby była choć trochę ładniejsza!

Wyjęła z kieszonki fartucha pęk kluczy.

– Mieszkam niedaleko. Po wyjściu ze szpitala trzeba skrócić w prawo i potem prosto z kilometr, aż pojawi się trzypiętrowy blok, jedyny w Starym Krzyżu. Pierwsza klatka, drugie piętro, mieszkania sześć. Prześpi się pan, a jak wrócę rano z dyżuru, zastanowimy się, co dalej.

Najchętniej bym odmówił, ale sytuacja nie bardzo mi na to pozwalała. Wziąłem klucze i zapytałem o dokładny adres.

– Powstańców Wielkopolskich jeden, mieszkania sześć – wyszeptała szybko, bo nagle dobiegły nas trudne do zidentyfikowania odgłosy. Złapałem klucze, które cały czas trzymała w dłoni, i bez słowa pożegnania ruszyłem w głąb korytarza. Drzwi były na szczęście otwarte. Wyszedłem na zewnątrz i po stromych schodkach wydostałem się na pusty dziedziniec, oświetlony przez kilka wysokich lamp ustawionych wzdłuż ścian budynku i okalającego go ogrodu. Na dworze panował przenikliwy ziąb.

W oddali wypatrzyłem budkę strażnika czuwającego nad bezpieczeństwem obiektu. Wiedziałem, że muszę przejść obok niej tak, aby pozostać niezauważonym, wszyscy pracownicy mogli bowiem otrzymać polecenie zatrzymania każdego, kto próbowałby opuścić szpital. Schyliłem się, podbiegłem do małej stróżówki od najmniej oświetlonej strony, ale kiedy byłem już na miejscu, niespodziewanie wyrósł przede mną niski, krępy mężczyzna w granatowym uniformie. Stał w rozkroku i gapił się na mnie. Nie miałem pojęcia, jak się zachować. Niewiele myśląc, bąknąłem coś, co miało chyba zabrzmieć jak „dobranoc”. Strażnik zmierzył mnie wzrokiem, odsunął się i mruknął:

– Dobranoc.

Ruszyłem przed siebie na nogach jak z waty, nasłuchując, czy facet nie oprzytomnieje i nie zażąda, bym się wylegitymował, ale żaden okrzyk nie zmącił wieczornej ciszy.

Kiedy ucieszyłem się, że jestem bezpieczny, po drugiej stronie ulicy zobaczyłem inną znieruchomiałą postać. Wysoki, postawny, elegancko ubrany mężczyzna przeszywał mnie nieprzyjaznym spojrzeniem. Czego chciał? Czy powinienem się go obawiać?

Zgodnie ze wskazówką pielęgniarki skręciłem w prawo i ruszyłem przed siebie. Po chwili obejrzałem się przez ramię. Tajemniczy nieznajomy zniknął.

Dygotałem z zimna. Stary, wytarty dres nałożony na gołe ciało nie chronił przed zimnem kwietniowej nocy. Aby się rozgrzać, zacząłem biec, ale już po chwili musiałem zwolnić. Brakowało mi sił.

Przeszedłem więcej niż kilometr, a bloku nadal nie było widać. Czyżbym skręcił w niewłaściwą stronę? Obejrzałem się za siebie, żeby się upewnić, czy nie zboczyłem z głównego traktu, i w tej samej chwili zobaczyłem w oddali jadący powoli w moją stronę samochód. Wpadłem na pomysł, żeby go zatrzymać i zapytać kierowcę o drogę. Stałem na brzegu chodnika, ale kiedy blade światła reflektorów były już dość blisko, dotarło do mnie, że Malczyszka mógł dowiedzieć się od strażnika, w którą stronę się udałem, wsiaść do auta i zacząć poszukiwania w okolicy szpitala.

Skoczyłem w bok, w zarośla, i ruszyłem biegiem przed siebie wąską ścieżką między domami. Wiedziałem, że tam samochód nie wjedzie. Mimo zmęczenia gnałem przed siebie co tchu. W pewnej chwili kątem oka zauważyłem, że furka przed jednym z domków jednorodzinnych, które mijałem, jest otwarta. Wpadłem do ogródka, zamknąłem za sobą niewielkie drzwiczki, położyłem się na ziemi wśród obsypanych już małymi kwiatkami krzewów agrestu oraz czarnej porzeczki i przez szpary między sztachetami obserwowałem ścieżkę. Panowała absolutna cisza. Mieszkańcy osiedla spali. Droga, którą przybiegłem, była pusta.

Minęło piętnaście minut, potem kolejne. Zdrętwiałem z zimna tak bardzo, że było mi już wszystko jedno. Chciałem wyjść z ukrycia i pognać dalej przed siebie, kiedy nagle z ciemności wypłynął mój zawzięty dręczyciel. Podszedł do ogrodzenia, za którym się ukryłem, zatrzymał się i oparł o sztachety.

Serce waliło mi jak oszałałe. Byłem przekonany, że domyślił się, gdzie się schowałem, i za chwilę wyciągnie mnie zza płotu, a nawet jeśli tego nie wie, wystarczy przecież, że wychyli się do przodu i zobaczy mnie leżącego niemal u jego stóp. Ale facet zapalił papierosa, zaciągnął się, stuknął kilka razy otwartą dłonią w jedną ze sztachet, jakby chciał się upewnić, czy ogrodzenie jest solidne, powoli się odwrócił i ruszył z powrotem. A ja, skamieniały z zimna, leżałem na ziemi bez ruchu, ze wzrokiem wbitym w gwiazdy, jeszcze kwadrans czy dwa i dopiero gdy nabrałem pewności, że mężczyzna się oddalił, wyszedłem z kryjówki. Niestety, podczas panicznej ucieczki straciłem orientację, gdzie jestem, i nie miałem pojęcia, w którą stronę się udać: w prawo, w lewo, na wprost?

Powłokłem się przed siebie, ale zdawałem sobie sprawę, że pewnie dawno

minąłem blok, w którym miałem się schronić, i już chciałem zawrócić, kiedy za kolejnym zakrętem zobaczyłem w oddali brzydki trzypiętrowy budynek z wielkiej płyty, chyba najbrzydszy w Starym Krzyżu. Podbiegłem do niego, wszedłem do pierwszej klatki, wspiałem się na drugie piętro, zgrabiającymi palcami wyłuskałem z kieszeni dresu klucze i otworzyłem drzwi, na których wymalowano niestarannie cyfrę sześć.

Serce znowu zabiło mocniej. Przyszło mi do głowy, że gdybym natknął się na kogoś z rodziny pielęgniarstwa, niełatwo byłoby mi wytłumaczyć, jak dostałem się do środka, ale oczywiście mieszkanie – jednopokojowa kłitka z małym balkonem, umeblowana jak tysiące innych mieszkań w kraju – było puste. Miałem ochotę wziąć kąpiel, zmyć z siebie stęchły zapach starego dresu, ale poczułem się tak zmęczony, że po prostu zdjąłem kłujący, brudny ubiór, wskoczyłem do rozgrzebanej pościeli, przykryłem się ciepłą kołdrą i zamknąłem oczy. Jednakże myśl, że gdzieś na dole czai się facet, który lubi czarne kapelusze z szerokim rondem i może już wie, że ukryłem się u jednej z pielęgniarek, nie pozwalała mi zasnąć.



20 kwietnia 1982, wtorek

W mieszkaniu nie było zasłon, tylko firanki, delikatne, z ledwie widocznym wzorem, wcale niezatrzymujące światła, o czym przekonałem się wczesnym rankiem, kiedy w pokoju zrobiło się jasno jak w południe.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem kobietę, która pomogła mi w ucieczce, krzątającą się w swoim niewielkim gniazdku w prostej czerwonej sukience za kolana, pasującej jej bardziej niż sztywny strój pielęgniarki. Chyba nie zdawała sobie sprawy, że nie śpię, ponieważ zupełnie nie krępowała się moją obecnością. Podczas wczesnego śniadania czy raczej późnej kolacji przyjęła dość niedbałą pozę, a po jedzeniu zaczęła dłubać paznokciem w zębach. W pewnej chwili wstała i powoli, ziewając, rozpięła suwak sukienki, co niewątpliwie oznaczało, że zamierza się rozebrać i położyć spać.

Przyszło mi do głowy, że powinienem się odezwać albo chociaż chrząknąć, dać jakiś znak życia, aby uświadomić kobiecie, iż współuczestniczę w tym niezwykle intymnym akcie, jakim jest zdzieranie z siebie kolejnych łupin ubioru, aż do ostatecznego obnażenia się, ale nie zrobiłem tego. Przymknąłem jedynie oczy i spod przymrużonych powiek przyglądałem się spektaklowi, który bez wątplenia nie był przeznaczony dla moich oczu.

Kiedy kobieta zniknęła w łazience, zastanowiło mnie, gdzie się położy. W małym mieszkanku był tylko tapczan, ten, na którym leżałem, dość wąski, co oznaczało, że nasze ciała mogłyby się spotkać, wejść ze sobą w kontakt, obdzielić się wzajemnie ciepłem, przywilejem dotyku, a może i łaską pożądania.

Próbowałem odpowiedzieć sobie na pytanie, czy naprawdę chciałbym chwili zapomnienia z niezbyt urodziwą gospodynią, która nieświadomie objawiła mi swoje bardziej ponętne oblicze. Zamknąłem oczy, aby to rozważyć, i niestety zapadłem w sen. A kiedy po kilku godzinach wyrwał mnie z niego ostry, przenikliwy głos, moment pokusy minął bezpowrotnie.

– Czas wstać i coś zjeść! – zabrzmiało jak komenda.

Otworzyłem oczy. Przez otwarte okno balkonowe wpadało rześkie powietrze, a wraz z nim wesoły głos Stefcy Górskiej, gwiazdy przedwojennych kabaretów, śpiewającej: „Panna Mania cudnie gra na mandolinie... Łudi bidi bindia, łudi bidi bindia, łudi bidi bu...”. Pielęgniarka, ubrana z powrotem w czerwoną sukienkę, brutalnie postawiła mi tacę ze śniadaniem na brzuchu i rozkazała:

– Proszę jeść!

Nie umknęło mojej uwadze, że kiedy spałem, meblościanka wypełniająca jedną ze ścian pokoju wypluła z siebie wąskie, niewygodne legowisko i to na nim zapewne, a nie obok mnie, zmęczona gospodyni położyła się po kąpieli.

Nie bardzo wiedziałem, czy po ciężkim zatruciu nie muszę przestrzegać jakiejś diety, ale byłem tak głodny, że nie bardzo umiałem odmówić sobie pachnącej klepki – jajecznicy, którą wielkopolskim zwyczajem zagęszczono mąką. Zjadłem ją ze smakiem, a kiedy gospodyni, która cały czas kręciła się po mieszkaniu, zniknęła na chwilę z pola widzenia, wypęzłem spod kołdry, wciągnąłem na siebie nieświeży dres i udałem się do łazienki. Po drodze, w przedpokoju, natknąłem się na swą wybawicielkę.

– Mam dla pana trochę rzeczy – zakomunikowała sucho. – Ciepłejsze niż te ze szpitala. Pożyczyłam od brata. Mieszka obok, w drugiej klatce. Tylko proszę oddać, jak nie będą już potrzebne.

Grzecznie się zgodziłem. Po myciu wróciłem do pokoju i korzystając z tego, że kobieta ponownie gdzieś zniknęła, zmieniłem dres, który nie bez obrzydzenia wciągnąłem na czyste już ciało, na rzeczy czekające na oparciu krzesła: poprzecierane w zgięciach dzinsy, złachaną od wielokrotnego prania seledynową koszulę i zmechacony, rozepchany sweter w kolorze burym. Szmaty udające ubranie. Trochę za duże, ale lepsze takie niż za ciasne.

Odnutowałem, że gospodyni zdążyła posprzątać: złożyła łóżko, na którym spała, i schowała moją pościel. Zaszyła się w kuchni, aby zająć się obiadem, ale przerwała pracę i przyszła poczęstować mnie szneką z glancem, jak nazwała drożdżówkę z lukrem, i pogadać.

– Co teraz? – zapytała, jakby chciała dać mi do zrozumienia, że zrobiła dla mnie wszystko, co było w jej mocy, a może nawet więcej, i najchętniej by się mnie pozbyła.

– Zaraz znikam – zapewniłem ją. I zapytałem: – Zna pani może Pawła Markuszewskiego? Uczy geografii. Chyba geografii.

– Markuszewski? Znam. Dwa albo trzy lata temu leżał u nas na oddziale. Co mu było? Nie pamiętam. Zresztą i tak nie wolno nam o tym gadać. A później byłem u niego kilka razy z zastrzykami.

– Daleko mieszka? – zapytałem podstępnie.

– Nie trafiłby pan – burknęła wymijająco.

– Muszę go znaleźć. Przyjaźnił się z Frąckowiakiem. Wie pani, tym zamordowanym. Może coś wiedzieć o jego śmierci. A ja...

– Ma dom na Błotnej – przerwała mi. – Taka mała uliczka za parkiem, trudno znaleźć. Ale dom... Jak z bajki.

Sięgnęła do biblioteczki i wygrzebała spod papierów prześwietlone zdjęcie oblepionego glazurą, kolorowymi szkiełkami i lusterkami budynku.

– Mogłabym w takim zamieszkać – dodała rozmarzona.

– Nawet nie wiem, jak pani na imię – zauważyłem, przyglądając się fotografii.

– I niech tak zostanie – ucięła ostro.

– Nie będę wiedział, kto mnie uratował – nalegałem.

– Nawet koleżanki w pracy mówią do mnie po nazwisku – wyjaśniła. – Z żadną się nie tykam.

– A faceci? – zapytałem, ale rozmówczyni, poirytowana moją namolnością, zmieniła temat.

– Oddałam doktorowi Kawce rzeczy, które pan od niego pożyczył – wyjaśniła.

– Nie zauważył? No, że zniknęły?

– Jak nie zauważył? Rumotał tak, że pacjenci spać nie mogli. A kiedy już obejrzał, zaczął wrzeszczeć, że mu tę jego jaczkę poniszczyli. Wariat, mówię panu! No i oczywiście zainteresował się ten... Wie pan... Przyszedł, pyta, skąd te rzeczy. Powiedziałam, że znalazłam w windzie. Nie wiem, czy uwierzył. Blubrał i blubrał. Czego on od pana chce? Chociaż nie. Nie chcę wiedzieć.

– Nie domyślił się, że ukryła mnie pani u siebie? – zapytałem.

– Nie, na pewno nie – odpowiedziała z przekonaniem. Dokładnie w tej samej chwili rozległo się walenie do drzwi. Nie pukanie, a walenie. Bezceremonialne, gwałtowne i przerażające.

– Mój Boże! – jęknęła kobieta, której imienia nadal nie znałem. Sprawiała wrażenie kompletnie bezradnej. Gdzie się podziała jej wczorajsza hardość?, pomyślałem.

– Co teraz? – zapytała. Ale jakby otrzeźwiała i natychmiast sobie odpowiedziała: – Balkon!

Ponieważ walenie do drzwi zagłuszało jej słowa, zaczęła krzyczeć wprost do mojego ucha: – Balkony się łączą. Prawie. Ale łatwo przeleźć. Najlepiej na czwarty albo jakiś kolejny, bo stamtąd wyjdzie pan na drugą klatkę. Radziłabym na czwarty. To mieszkanie mojego brata. Jest w domu. Wystarczy zapukać w szybę i... No, powie pan, że ode mnie.

Podbiegła do uchylonego okna balkonowego, otworzyła je na oścież, wyszła na zewnątrz, zbliżyła się do balustrady i ostrożnie się wychyliła, żeby sprawdzić, co dzieje się na dole. Zgarnąłem porzucone na jednej z półek biblioteczki zdjęcie domu Markuszewskiego i wcisnąłem do kieszeni spodni.

Wyszedłem na balkon i również spojrzałem w dół. Nigdzie żywej duszy. Pochyliłem się do kobiety, musnąłem ustami jej policzek, powiedziałem: „dziękuję” i przełożyłem nogę przez boczną balustradę. Znowu złapała mnie za rękę i powiedziała drżącym głosem:

– Boję się...

– Niech pani idzie ze mną – zaproponowałem.

– W sukience i w rajstopach? – zaprotestowała. – Zwariował pan? Za stara jestem na taką gimnastykę.

– Proszę się nie bać – próbowałem ją uspokoić. – Proszę powiedzieć, że byłem u pani, ale rano poszedłem. Nie wie pani dokąd.

– Dobrze, dobrze – odzyskała pewność siebie. – Poradzę sobie. – I nagle dodała: – Juranta. Nazywam się Juranta Żabczyńska. Uwierzyłby pan, że można dać córce takie imię?

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, odwróciła się na pięcie, weszła do pokoju i zamknęła okno. Natomiast ja już po chwili byłem na balkonie sąsiadów. Zajrzałem do mieszkania. Puste. Obejrzałem się za siebie. Jeśli pielęgniarka wpuściła już mężczyznę, który mnie ścigał, mógł się domyślić, którędy uciekłem i podążyć za mną. Szybko przedostałem się na następny balkon, a potem na kolejny. W mieszkaniu za szybą bawiły się maluchy. Jeden mnie zauważył i zaczął pokazywać palcem. Coś przy tym mówił, nie ulegało wątpliwości, że zaraz przywoła matkę lub ojca.

Błyskawicznie przedostałem się na balkon numer cztery, ale zahaczyłem o naderwany pręt, rozerwałem nogawkę spodni i boleśnie się zraniłem. Przejechałem po skaleczeniu dłonią i przekonałem się, że krwawi. Obróciłem się za siebie. Nadal nikt mnie nie ścigał.

Zajrzałem przez okno do mieszkania. Powinienem w nim zastać brata pielęgniarki, ale umeblowany bez gustu pokój był pusty. Pchnąłem niedomknięte drzwi balkonowe i wślizgnąłem się cicho do środka. Poczułem ulgę. Wiedziałem, że nikt mnie tu nie znajdzie.

Wszedłem do przedpokoju, a stamtąd trafiłem do łazienki. Liczyłem na to, że znajdę w niej bandaż i opatrzę ranę, ale nigdzie nie dojrzałem apteczki. Wróciłem do przedpokoju. Może w kuchni?, pomyślałem. Pchnąłem jakieś drzwi, ale zamiast w kuchni znalazłem się w sypialni nie większej niż łupina orzecha. Na tapczanie identycznym jak ten, na którym spędziłem noc, leżała spleciona w miłosnym uścisku para nagusów: łysiejący, tłustawy jegomość, zapewne brat pielęgniarki, i chuda, koścista kobieta. Oboje wbili we mnie zdumione spojrzenia.

– Kim pan, kurwa, jest i co pan tu robi? – wrzasnął jegomość, naciągając

skotłowaną kołdrę na pośladki swoje i partnerki.

– To złodziej, Grzybku, złodziej! – wrzasnęła piskliwym głosem kobieta. – Ma na sobie twój pulower! I twoją koszulę! Dzwon na milicję!

– Ależ Pupciu! – zareagował przytomnie jegomość. – Chcesz, żeby cię spisali? Pół miasta się dowie.

– A dlaczego ma się nie dowiedzieć? Mówiłeś, że się ze mną hajtniesz! – wykrzykiwała kobieta.

– Hajtnę się, pewnie, że się hajtnę – zapewnił partnerkę jegomość.

– Tak! Hajtniesz się! Już to widzę! – wyskrzeczwała kobieta i uwolniła się z uścisku. Zarzuciła małymi piersiami i znowu opadła na pościel.

Uznałem, że moje tłumaczenia niekoniecznie spotkają się ze zrozumieniem. Szybko się wycofałem, licząc na to, że Grzybek i Pupcia zechcą się ubrać, zanim ruszą w pościg, a to wymagało czasu. Wypadłem na klatkę schodową i przeskakując po kilka stopni, zbiegłem na dół. Tam się zatrzymałem, powoli uchyliłem drzwi wyjściowe i wyjrzałem na zewnątrz. Ani żywej duszy. Dopiero wtedy ruszyłem przed siebie. Zamierzałem okrążyć budynek i szukać kryjówki za nim.

Nagle jak spod ziemi wyrosło przede mną trzech bambrów, jak powiedzieliby w Starym Krzyżu. Pomocnicy gościa w czarnym kapeluszu? Jeden z nich złapał za sweter, który miałem na sobie, i brutalnie go rozerwał.

– Tej! – zagadał. – Dej na gorzółkę.

– Zawsze chętnie, ale dziś jestem bez grosza – powiedziałem zgodnie z prawdą. – A poza tym goni mnie taki jeden. Zazdrosny... Wiecie panowie, o co chodzi...

W tej samej chwili z budynku wypadł ubrany niedbale brat pielęgniarki i wrzasnął:

– Trzymajcie go!

– O tego szczona się rozchodzi? – zapytał czujnie oprych, który nadal ścisnął w garści bury sweter należący do ścigającego mnie brata pielęgniarki.

– O tego – potwierdziłem mimo obaw, że mogę mieć do czynienia z kolegami Grzybka, a jeśli tak, nic nie mogło uchronić mnie przed jego gniewem.

– Gelejza zapamiętała! – warknął oprych, puścił sweter i otrzepał ręce. – Godo, że berbeluchy nie pije, a ciągle zatrajtany łazi. Zara go deknę! – A do brata pielęgniarki krzyknął: – Czekej no, już letę, ino się rozpędzę! – Mnie zaś popchnął ze słowami: – Co tak stoisz jak torba dziadoska! Leć chopie!

Ruszyłem biegiem przed siebie. A kiedy obejrzałem się do tyłu, zobaczyłem, że oprych, który przed chwilą trzymał mnie, teraz więzi

w mocnym uścisku prawej ręki głowę brata pielęgniarki, co oznaczało, że pościg, który mężczyzna desperacko podjął, został nieoczekiwanie przerwany.

Jeszcze bardziej ucieszyło mnie, że nigdzie nie widziałem prześladowcy w czarnym kapeluszu. Gdzieś w oddali mignęła mi natomiast sylwetka eleganta, którego podczas ucieczki ze szpitala widziałem w pobliżu bramy wyjazdowej. Przypadek?

Okrzyżłem budynek i nieoczekiwanie wpadłem na pokrytą asfaltem uliczkę, która robiła wrażenie całkowicie opustoszałej. Zdecydowałem się ułatwić sobie ucieczkę i pobiec środkiem, ale kiedy pokonałem zaledwie kilkanaście metrów, zajechał mi drogę pędzący szybciej, niż można by oczekiwać, czerwony maluch. Nie zdążyłem uskoczyć, ale do kolizji nie doszło, bo kierowca w ostatniej chwili wyhamował. Straciłem jedynie równowagę i upadłem, lądując tuż przed porysowanym zderzakiem.

Z samochodu wysiadł niewysoki mężczyzna w roboczym ubraniu. Podszedł do mnie i na widok zakrwawionej nogi wrzasnął:

– Potrąciłem pana! Jak to możliwe? Proszę wsiadać. Szpital niedaleko.

Przyszło mi do głowy, że gdzieś już faceta widziałem. Ależ tak! Kilka dni wcześniej Maryla zajechała mu drogę. Czy on również mnie poznał? Mało prawdopodobne, widział mnie przecież tylko za szybą wartburga Juszczaków. Był wszakże tak miły i usłużny, że zacząłem się zastanawiać, czy nie zapamiętał mnie jako znajomego żony miejscowego dygnitarza.

– Nic się nie stało – próbowałem go uspokoić. – O szpitalu nie ma mowy. Ale byłbym wdzięczny, gdyby zawiózł mnie pan na Błotną. Mam tam znajomych, na pewno mnie opatrzą.

– Na Błotną? – zdziwił się człowieczek. – To kawał drogi! No... Niech będzie.

Otworzyłem drzwi malucha i usadowiłem się na tylnym siedzeniu. W tej samej chwili zobaczyłem przez szybę mężczyznę w czarnym kapeluszu. Szedł wzdłuż ściany domu, w którym spędziłem noc, i rozglądał się dookoła. Błyskawicznie zsunąłem się niżej i wyjaśniłem kierowcy:

– Trochę mi słabo. Moglibyśmy już jechać?

Samochód ruszył powoli przed siebie. Dopiero gdy oddaliliśmy się od miejsca kolizji o kilkaset metrów, wyprostowałem się i znowu spojrzałem w okno. Facet w kapeluszu zniknął. Przez moment zastanawiałem się nawet, czy rzeczywiście go widziałem.

Dość długo trwało, nim wjechaliśmy w rejony, które znałem. Jeszcze kilka minut i wóz się zatrzymał.

– To tutaj – powiedział kierowca i raz jeszcze zapytał, czy nie powinienem

udać się do lekarza. Zapewniłem, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, chociaż wygląd zakrwawionej nogi zdecydowanie temu przeczył. Pożegnałem się i ruszyłem przed siebie.

Uliczka Błotna rzeczywiście była krótka – kilka domów z jednej strony, kilka z drugiej. Bez trudu odgadłem, który należał do nauczyciela. Oklejony kawałkami potłuczonych lusterek wyglądał jak siedziba prowincjonalnego cyrku albo wielka budka z lodami.

Idąc w jego stronę, gapiłem się na krzykliwą, tęczową fasadę i nie zauważyłem, że z naprzeciwka zbliża się przystojny mężczyzna koło trzydziestki ubrany w beżowy prochowiec i jasne sztruksowe spodnie. Pod pachą ścisnął dużą księgę w marmurkowej okładce, charakterystyczną dla dzienników szkolnych. Nietrudno się było domyślić, że to poszukiwany przeze mnie Paweł Markuszewski. Zrównaliśmy się przed jego domem. Przedstawiłem się i wyjaśniłem, że chcę pogadać. Spojrzał na mój żałosny ubiór, zatrzymał wzrok na rozdartych spodniach oraz zakrwawionej nodze i zapytał:

– Ugryzł pana pies?

Skwapliwie przytaknąłem, bo nie bardzo miałem ochotę wyjaśniać, co naprawdę się wydarzyło.

– Musi pan bezzwłocznie udać się do lekarza – poinstruował mnie belfrowskim tonem.

– Zrobię to – zapewniłem. – Ale najpierw chciałbym porozmawiać z panem o Ryszardzie Frąckowiaku.

– Obawiam się, że to niemożliwe – wyrzucił z siebie niczym automat i obrzucił mnie nieprzyjaznym spojrzeniem. – Nie mam nic do powiedzenia na temat śmierci kolegi.

W tej samej chwili uniósł dłoń, zaskakująco wątlą, delikatną, wręcz dziewczęcą, jakby chciał poprawić fryzurę, ale zmieszany szybko schował ją za siebie. Ten jeden gest zmienił wszystko. Ostry zawodnik, za jakiego go wzięłem, okazał się mężczyzną zagubionym, nieśmiałym, subtelnym. Być może udawało mu się zgrywać twardziela przed dziećmi, które uczył. Mnie nie nabrał.

Po chwili wycedził, akcentując każde słowo:

– Nie chcę o tym gadać!

Zabrzmiało groźnie. I absolutnie wiarygodnie. Ale ja wiedziałem już, że to poza.

Paweł Markuszewski otworzył furtkę, jakby chciał dać mi do zrozumienia, że uważa rozmowę za zakończoną. Nie zamierzałem ustąpić. Chociaż nadal

nie wiedziałem, jak dostać się do środka. Poprosić, żeby pozwolił mi obmyć i zdezynfekować ranę?

Nagle, być może pod wpływem obrazu delikatnej, smukłej dłoni sięgającej z kobiecym wdziękiem do włosów, przypomniała mi się *Książka kucharska dla zakochanych*, napisana, o czym mało kto wiedział i co nie miało oczywiście żadnego znaczenia, przez homoseksualistę.

– Wiem, co pana łączyło z Frąckowiakiem – zaryzykowałem. Markuszewski lekko się zachwiał. Zobaczyłem panikę w jego oczach.

– Niech pan wejdzie – powiedział szybko, drżącą dłonią wyjął z kieszeni prochowca klucz, otworzył drzwi do domu i zaprosił mnie do środka. Zdjął płaszcz i buty, założył kaptur, i przemknął korytarzem do małego pokoju w głębi. Poszedłem za nim. Stały tam biurko, dwa krzesła i kilka szafek z szufladkami, podobnych do tych, które można znaleźć w każdej bibliotece.

– Rysiek trzymał u mnie swoje archiwum fotograficzne – wyjaśnił mężczyzna. – Tu są jego prywatne filmy. Korzystał też z mojej ciemni. Żona nie rozumiała jego pasji.

Markuszewski usiadł na jednym z krzeseł i wskazał mi drugie. Przyglądał mi się z uwagą i skupieniem, a w jego spokojnych ruchach poczułem nieoczekiwane samczą pewnością siebie i stanowczość. Chyba zbyt szybko uznałem, że go rozgryzłem.

– Słyszałem, że pan interesuje się jego śmiercią – stwierdził chłodno.

– Od kogo? – zapytałem.

– Od kogo? Ludzie gadają... Że przyjechał ktoś z Warszawy, dziennikarz, i wypytuje o Niemkę, której nikt nie widział na oczy, i o Ryśka. Ale ja, proszę pana, nic nie wiem. Panu też nie radzę się w to mieszać. Wie pan, w jakim kraju i w jakich czasach żyjemy...

– Anna Eckart, Niemka, o której pan wspomniał, była w Starym Krzyżu. Mam jej zdjęcia z hotelu, zrobione w połowie grudnia, niedługo po wprowadzeniu stanu wojennego. Zaraz potem zniknęła. Przypuszczam, że została zamordowana. Chociaż ciała nie znaleziono...

Kiedy Markuszewski spojrzał na mnie, w nieprzeniknionym do tej pory spojrzeniu jego czarnych oczu dostrzegłem cień niepokoju i jednocześnie coś miękkiego, na pewno nie samczego, choć może niekoniecznie niewieściego. Chyba zdał sobie sprawę, że czytam go jak otwartą książkę, i szybko zamknął oczy. Może wierzył, że rozplynie się w powietrzu i nie będzie musiał kontynuować niechcianej, kłopotliwej rozmowy.

– Jestem pewien, że te dwie zbrodnie coś łączy – stwierdziłem.

– Nie moja sprawa – odparował.



– Naprawdę? – zdziwiłem się. – Przecież zabicie Ryszarda Frąckowiaka... Jestem pewien, że jego śmierć nie jest panu obojętna.

– Przyjaźniliśmy się – stwierdził sucho. – Oczywiście, że jego śmierć nie jest mi obojętna.

– Nie miał bliższej osoby niż pan – zaryzykowałem. – To panu powierzał swoje sekrety, prawda? Nie żonie, ale panu...

– Nic panu do tego – burknął.

– Także ten jeden sekret, który przesądził o jego losie. – Poruszałem się po omacku, ale wyraz twarzy mężczyzny wydawał się potwierdzać, że trafiłem w sedno.

– Niczego pan ode mnie nie wyciągnie – bronił się.

– Niech pan zrozumie, że jestem jedyną osobą, która może panu pomóc. – Nie ulegało wątpliwości, że Markuszewski się boi.

– O czym pan mówi? – zdziwił się.

– Tylko ja dążę do schwytania zabójcy – zauważyłem, nie dodając, że chodzi o zabójcę Anny Eckart, a zabójca Anny Eckart i zabójca Ryszarda Frąckowiaka to niekoniecznie ta sama osoba. – Tylko ja próbuję się dowiedzieć, co się stało. A pan może mi pomóc. Może i powinien.

– Niby dlaczego?

– Żeby drań trafił do więzienia – przekonywałem. – I nikogo już nie skrzywdził.

Markuszewski przyglądał mi się zdezorientowany.

– Pan coś wie, prawda? – naciskałem. – Niech pan to wreszcie z siebie wydusi! We dwóch łatwiej przeciwstawić się złu niż w pojedynkę.

Mężczyzna milczał. Miałem wrażenie, że dojrzewa do najtrudniejszego wyznania w życiu.

– Jeśli to wyjdzie poza ten pokój... – zaczął, a ja bałem się, że jeśli wypowiem choćby jedno słowo, spłoszę go.

– Rysiek widział, jak chowają ciało kobiety – powiedział i zawahał się, ale było już za późno, żeby się wycofać. – W nocy... Wracał z lasu, fotografował zwierzęta. Była piąta, może przed piątą. Jakoś tak. Jeszcze ciemno. I zobaczył, jak dwie osoby, mężczyzna i kobieta, wyciągają z bagażnika samochodu zakrwawionego trupa i... Chowają, zakopują czy coś, nie wiem dokładnie. Ukrył się i zrobił kilka zdjęć. Miał sprzęt przystosowany do fotografowania w nocy. Opowiadał mi o tym, bez szczegółów. Zdjęć też mi nie pokazał. Mówił, że im mniej wiem, tym lepiej. To było w grudniu. Zaraz po wprowadzeniu stanu wojennego. Wtedy, gdy zniknęła ta Niemka...

Po słowie „Niemka” zamilkł, jakby uwięzło mu w gardle, niczym

niepogryziony, twardy kęs jedzenia. Zastanawiałem się, z jakiego powodu okazało się przeszkodą nie do pokonania. Czy dlatego, że moja opowieść o Annie Eckart nadała niezidentyfikowanemu, a więc nie do końca rzeczywistemu „trupowi”, o którym wcześniej tylko słyszał, tożsamość? Pozwalającą przypisać truchłu życiorys, marzenia, ambicje, pragnienia...

Markuszewski spojrzał na mnie nieprzytomnym wzrokiem. Jakby został wyrwany z głębokiego snu. Ale po kolejnej długiej chwili milczenia, którą bałem się przerwać, pociągnął dalej swoją opowieść.

– Rysiek znał tego mężczyznę. I wpadł na pomysł, że go zaszantażuje. Potrzebowaliśmy pieniędzy. Mój przyjaciel wyjechał kilka lat temu do Kanady i poprosił, żebym zaopiekował się tym domem. Ale w zeszłym roku niespodziewanie napisał, że chce go sprzedać. Oczywiście jakieś mieszkanko bym sobie znalazł, ale zostalibyśmy bez ciemni, bez miejsca na sprzęt i archiwa. Rysiek wpadł na pomysł, że szantażem zdobędzie pieniądze i sami kupimy dom. Tłumaczyłem mu... Wie pan, trzeba mieć nie po kolei w głowie, żeby układać się z mordercą! Błagałem, żeby tego nie robił. Nie posłuchał. Spotkał się z tym... Pokazał mu odbitki. Wrócił podekscytowany. Tamten – nigdy nie ujawnił mi, kto to jest – zgodził się zapłacić.

– Nie zapłacił, prawda? – zapytałem, chociaż doskonale znałem odpowiedź.

– Nie zapłacił... A Ryśka znaleźli z nożem w piersi... Mówiłem mu! Mówiłem...

Z ust nauczyciela wydobył się cichy szloch, stłumiony tak szybko, że przez moment zastanawiałem się, czy naprawdę go słyszałem.

– Nie śpię po nocach – Markuszewski kontynuował spokojniejszym tonem. – Czekam. Przecież zabójca nie spocznie, nim nie znajdzie negatywu.

– Zaraz. Nie rozumiem – przyznałem szczerze.

Mężczyzna spojrzał na mnie zdumiony, jakby chciał zapytać: „Czego tu można nie rozumieć?”.

– Skąd pan wie, że morderca nie odebrał koledze negatywu? – kontynuowałem. – Jeśli byli umówieni na przekazanie pieniędzy, pan Frąckowiak miał go pewnie przy sobie...

– Nie, nie! – Markuszewski zaprotestował. – Rysiek nie wziął ze sobą filmu. Przekonywałem go... Dotarło do niego, że to dla niego jedyna gwarancja bezpieczeństwa. Przed wyjściem powiedział mi, że dobrze go schował.

– Nie wziął ze sobą filmu i mimo wszystko liczył na zapłatę? – Zdziwiłem się.

– Tamten wyznaczył spotkanie nocą w jakimś ciemnym zaułku. Rysiek z początku się zgodził, ale potem... Nietrudno się było domyślić, że facet coś

knuje. No i Rysiek poszedł bez negatywu. Żeby pogadać. Chciał uzgodnić inny termin. W dzień, wśród ludzi. Ale się przeliczył. Zabójca pewnie nie czekał na żadne wyjaśnienia. Przekonany, że Rysiek ma film, bo tak się umawiali, po prostu dźgnął go nożem. I dopiero wtedy się zorientował... A ten negatyw może przecież być gdzieś tutaj...

– Szukał go pan?

– Oczywiście. Zajrzałem do każdej szuflady, przejrzałem filmy. Nie znalazłem. A zabójca... Jeśli się dowie, że Rysiek u mnie trzymał swoje archiwum... Doda jeden do jednego i...

– Na razie się nie dowiedział – próbowałem uspokoić rozmówcę. – A minęło już przecież kilka miesięcy...

– Skoro pan do mnie trafił, to i on trafi – stwierdził zrezygnowany. – Prędzej czy później.

– A nie myślał pan o tym, żeby pójść na milicję? – zapytałem.

– Z czym? – zdziwił się. – Przecież nic nie mam. Nie mam filmu. Nie wiem, kto na nim jest. Milicja mnie wyśmieje. Poza tym... Gdyby zabójca się dowiedział, że poszedłem do nich... To jak wydać na siebie wyrok...

– Może ma pan rację – zgodziłem się.

– A wie pan, co jest w tym wszystkim najzabawniejsze? – zapytał ożywiony i natychmiast sam sobie odpowiedział: – Właściciel domu zrezygnował ze sprzedaży. Napisał, że mogę nadal tu mieszkać. Jakieś sprawy ułożyły się po jego myśli i nie potrzebuje już tych pieniędzy. Wychodzi na to, że Rysiek zginął niepotrzebnie.

– Jest pan pewien, że u pana nie ma tego filmu? – dociekałem. – Może schował go gdzie indziej. W pańskim archiwum, w jakiejś książce, w piwnicy?

Markuszewski zapewnił mnie, że szukał wszędzie.

– Nawet wśród naczyń kuchennych, w pudle z narzędziami i w skrzynkach z kwiatami. – Zaśmiał się gorzko. – Wszędzie.

– A może ukrył film u siebie w domu? – zapytałem i w tej samej chwili przypomniałem sobie o włamaniu do Frąckowiaków. Może zabójca znalazł negatyw właśnie tam i uważa sprawę za zakończoną?

– Nie, nie. Rysiek powiedział mi, że nie chce narażać żony. Tam na pewno by nie zaniósł.

Tak czy inaczej, powiedziałem Markuszewskiemu o włamaniu. Była to w moim odczuciu informacja ważna i pocieszająca. Zofii nic się przecież nie stało. Przeszukano jej dom i to wszystko. Ale chyba nie udało mi się uspokoić rozmówcy.

– No tak, ale ludzie wiedzą, że ich małżeństwo nie było udane – zauważył. – Zabójca pewnie założył, i słusznie, że żona nic nie wie. Może ją śledził, obserwował. Zorientował się, że nie była wtajemniczona w jego sprawy.

– Pan też nic nie wie – próbowałem go pocieszyć.

– Proszę to powiedzieć mordercy – zaśmiał się gorzko, a po chwili dodał: – Wie pan, nie jest powiedziane, że nie znajdę tego filmu. Nie powinienem tego mówić, ale domyślałem się, gdzie jest.

– Gdzie? – zapytałem zaskoczony.

– Myślę, że w szkole – powiedział cicho. – Tam też mamy archiwum. Gromadzimy filmy z uroczystości szkolnych. Przypuszczam, że Rysiek włożył negatyw do sobie znanej przegródki. Ja bym tak zrobił. Schowałbym go poza domem, wśród setek innych filmów. W archiwum fotograficznym w szkole...

– To dlaczego go pan tam nie szukał?

– Szukałem. Ale to archiwum powstało dwadzieścia lat temu, a może jeszcze dawniej. Tam są setki filmów. Nie jestem w stanie ich przejrzeć. Trzeba znaleźć klucz...

– Klucz?

– Rysiek musiał mieć jakiś klucz. Mam tu jego notes. – Mężczyzna sięgnął po gruby, zniszczony skoroszyt w twardych czarnych okładkach. – Zapisywał w nim każde zdarzenie z życia szkoły, które dokumentował. Tu gdzieś musi być wskazówka prowadząca do filmu, który ukrył. Klucz...

– Mogę spojrzeć? – zapytałem. Ręce drżały mi z podniecenia. Rozmówca podał mi czarną księgę. Liczyła trzysta numerowanych stron. Rozsiano po niej zapiski dotyczące różnych szkolnych wydarzeń. „Rozpoczęcie roku szkolnego 1972”. „Wręczenie nagród uczestnikom ogólnopolskiej olimpiady matematycznej dla klas VII i VIII. 17 maja 1974 r.”. „Wizytacja z kuratorium. 13 marca 1978 r.”. „Wycieczka klas Va i Vb w Góry Świętokrzyskie, maj 1981 r.”. I tak dalej, i tak dalej. Na każdej stronie widniał tylko jeden zapis. Pierwsza część brulionu była prawie pusta, w dalszej też nie brakowało białych stron. Notatki nie zostały ułożone chronologicznie. Nie mogłem dopatrzeć się w tym chaosie żadnej logiki. Poza tym w skoroszycie brakowało odniesień do filmów. Żadnych numerów, odsyłaczy do odpowiednich przegródek w archiwum.

– Przejrzał pan ten notes uważnie? – upewniłem się. – Może gdzieś jest notatka zrobiona na przykład ołówkiem? Albo kolorową kredką? Nie pasująca do innych. Jakiś numer? Jakies hasło?

– Przejrzałem ze sto razy – powiedział z rezygnacją. – Strona po stronie.

Nic nie znalazłem. Żadnego zapisu, który nie pasowałby do innych. Żadnego słowa, które nie odnosiłoby się do uroczystości szkolnych. Ale nie tracę nadziei. Wiem, że coś mi umyka...

Kartkowałem skoroszyt do przodu, do tyłu, znowu do przodu i coraz bardziej traciłem wiarę, że może być pomocny w dotarciu do zdjęć zrobionych nocną porą w grudniu. W pewnej chwili trafiłem na zniszczoną fotografię włożoną do środka. Przedstawiała grupę młodzieży pozującą z nauczycielką przed tablicą.

– Co to za zdjęcie? – poprosiłem o wyjaśnienie.

– Klasowe. Ale co to za dzieciaki? Nie poznaję. Pewnie nie pracowałem jeszcze wtedy w szkole. W środku stoi historyczka. Maria Kosicka. Sądząc po jej wyglądzie, zdjęcie ma już parę lat.

– Może to jest klucz? – zasugerowałem.

– Brałem to pod uwagę – zapewnił. – Ale co to za klucz? Zwykłe zdjęcie klasowe. Pewnie się Ryśkowi zawieruszyło. I włożył do skoroszytu. Może używał go jako zakładki? Nie mam pojęcia.

– A to? – zapytałem, wskazując na liczbę CLXXXII zapisaną kredą na tablicy, widoczną nad głowami uczniów i nauczycielki.

– Myśli pan, że nie zauważyłem? – Markuszewski się obruszył. – „Sto osiemdziesiąt dwa” zapisane cyframi rzymskimi. Oczywiście sprawdziłem w archiwum przegródkę sto osiemdziesiąt dwa. Ale nie ma w niej negatywu, o którym mówimy. Nie sądzę więc, by to był klucz. Przypuszczam, że Rysiek w ogóle nie zwrócił uwagi na tablicę na zdjęciu.

No tak, jeśli przegródka sto osiemdziesiąt druga nie zawierała poszukiwanego przez nas filmu, rzeczywiście należało uznać, że fotografia nie ma żadnego znaczenia, a klucza szukać gdzie indziej. Pomyślałem, że gdybym mógł przejrzeć skoroszyt bardzo uważnie, może wypatrzyłbym coś, czego mój rozmówca nie jest już w stanie dostrzec. Oglądał go bowiem zbyt wiele razy, by wyodrębnić drobiazg, który ledwie zauważalnie odróżnia się od tła, na przykład jaśniejszym kolorem tuszu, trochę innym charakterem pisma, niejednoznaczną treścią.

– Proszę pana, może ja zbadam ten notes? – zacząłem, chociaż obawiałem się, że gospodarz za nic nie będzie chciał się rozstać z cenną pamiątką po zmarłym. – Pożyczy pan? Do jutra. Przejrzę świeżym okiem. Może coś znajdę?

Nauczyciel zawahał się, ale w końcu powiedział:

– Dobrze, do jutra. Ale proszę go nikomu, absolutnie nikomu nie pokazywać. I nikomu nie mówić, że pan u mnie był. W ogóle proszę z nikim

o mnie nie rozmawiać! Może mi pan to obiecać?

Zapewniłem wystraszonego mężczyznę, że w żaden sposób go nie narazę. Kiedy wychodziłem od niego z czarnym notesem w prawej dłoni, uświadomiłem sobie, że nadal nie opatrzyłem zranionej nogi. A także to, że zdążyłem zgłodnieć. Nauczyciel nie poczęstował mnie nawet herbatą. Był zbyt przejęty, a może po prostu chciał, żeby męcząca rozmowa jak najszybciej dobiegła końca.

Zastanawiałem się, dokąd pójść. Gdzieś w pobliżu mieszkała Maryla, ale nie miałem ochoty na spotkanie z jej mężem. Hotel? Tam mógł na mnie czekać człowiek, który budził we mnie trwogę. Z drugiej strony miałem już dość chodzenia we wstrętnych cudzych ciuchach. Po dłuższym zastanowieniu postanowiłem udać się gdzieś w pobliże hotelu, najlepiej do sklepiku spożywczego naprzeciwko, skąd można było obserwować wejście, a przez szyby także główny hol. Musiałem oczywiście być bardzo ostrożny i uważać, abym to ja nie został wypatrzony przez wroga.

Niestety, nie udało mi się dotrzeć na miejsce, nie wzbudzając zainteresowania. Porozciągany sweter, poszarpane spodnie i malownicza rana zwracały uwagę przechodniów. Na szczęście nikt mnie nie zaczepiał, nie nagabywał, nie pytał, co się stało. Kuśtykałem więc dalej, rozglądając się na wszystkie strony.

W sklepiku było kilka osób. Rozpoznałem wśród nich bibliotekarkę, która pomogła mi znaleźć informacje na temat Anny Eckart. Ukłoniłem się, ale zniesmaczona moim wyglądem odpowiedziała jedynie wymuszonym uśmiechem.

Stałem przy oknie i wbiłem wzrok w drzwi i okna hotelu. Trwałem tak kwadrans czy dwa, ale w tym czasie nikt nie wchodził ani nie wychodził z budynku. Próbowałem wypatrzeć, kto siedzi w recepcji; przez moment mignęła mi pani Basia. Na ulicy prawie nic się nie działo, jedynie młody człowiek, którego gdzieś już widziałem, z wyrazem znużenia na twarzy przyklejał do opasłego słupa afisz zapowiadający majowy festyn.

Zastanawiałem się, co dalej. Kasjerka w sklepiku zwróciła na mnie uwagę i niecierpliwie czekała, bym coś kupił albo przynajmniej dał nura między półki, na których zalegały poszukiwane w Warszawie produkty w rodzaju napoju gazowanego Ptyś o smaku pomarańczowym, żelek Haribo w kształcie misiów, ciepłych lodów i nawet bloku czekoladopodobnego, a nie stał w miejscu z nosem przyklejonym do szyby. Aby jej nie denerwować, udawałem, że zainteresowałem się powieszonym obok okna regulaminem. „Kupującym zabrania się palić, śmiecić, pluć na podłogę, wprowadzać psy.

Kupujący nie może dotykać artykułów spożywczych oraz kłaść na ladę torebek, aktówek, portfeli, portmonetek, rękawiczek, parasoli...”.

W końcu podjąłem decyzję: pójde do hotelu, poproszę o klucz, szybko się przebiorę, wezmę najpotrzebniejsze rzeczy i zaraz potem się wymknę. A już na zewnątrz się zastanowię, gdzie spędzę noc.

Wyszedłem ze sklepu. Spojrzałem w lewo i prawo, pełen obaw, czy gdzieś nie czai się zbir w kapeluszu, i właśnie wtedy po drugiej stronie ulicy zobaczyłem Ewę zmierzającą powoli do hotelu. Miała na sobie ładną kremową sukienkę ozdobioną czerwonymi różyczkami, ale ponieważ narzuciła na nią zdecydowanie za duży ciemny sweter, wyglądała jak uczennica wracająca ze szkoły. Zatopiona w myślach nie widziała nic i nikogo, nie miała szansy mnie zauważyć.

Zdecydowałem się na rozpaczliwy ruch. Zawołałem ją po imieniu. Nie usłyszała. Krzyknąłem głośniej, tak głośno, że przechodząca obok staruszka pokręciła głową z dezaprobatą.

Ewa spojrzała w moją stronę rozkojarzona. Dopiero po chwili mnie dostrzegła. Szybkim krokiem przeszła przez jezdnię.

– A ty co tu robisz? – zdziwiła się. – Byłam u twojego lekarza. Powiedział, że uciekłeś ze szpitala. Czyś ty zwariował?

– To długa historia – odpowiedziałem. Nie miałem zamiaru na środku ulicy, wśród obcych, opowiadać o tym, że próbowano mnie otłuć, a potem ktoś, może ten sam człowiek, biegał za mną, jakby chciał dokończyć dzieła. Powiedziałem więc tylko: – Muszę się dostać do swojego pokoju, a potem gdzieś się ukryć.

– Chodźmy – rozkazała Ewa. Dopiero wtedy zauważyła, że zraniłem się w nogę.

– Co ci się stało?! – wykrzyknęła.

Zapewniłem ją, że to nic takiego, drobny wypadek bez znaczenia, a rana tylko wygląda groźnie. Poprosiłem też, żeby sprawdziła, czy w hotelu, zwłaszcza w moim pokoju, nie czai się facet w dziwnym kowbojskim kapeluszu, i dopiero, gdy będzie pewna, że go tam nie ma, przyszła po mnie do sklepu naprzeciwko. Nie bardzo rozumiała. Nadal nie wierzyła, że coś może mi grozić. Zgodziła się jednak zrobić to, o co prosiłem. Zniknęła, a ja, chcąc nie chcąc, wróciłem na miejsce, które okupowałem wcześniej.

Ewa zjawiała się po kwadransie. Zapewniła mnie, że w hotelu nie ma mężczyzny, którego jej opisałem. I skinęła głową na znak, żebym poszedł za nią. Kasjerka, która cały czas mnie obserwowała, zamruczała coś pod nosem, ale nie zrozumiałem ani słowa.

W recepcji nie było nikogo. Wiedziałem już, że zdarza się to dość często. Widząc otwartą gablotę z kluczami, pomyślałem, że mógłbym zaszyć się na noc w którymś z wolnych pokoi. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że tam jestem. Zwierzyłem się Ewie z tego pomysłu i chociaż nie kryła, że ma już trochę dość dziwnych konceptów, których nie jest w stanie zrozumieć, sięgnęła po klucz z numerem dwieście osiemnaście i schowała do kieszonki swetra. Klucza do mojego pokoju nie było. Domyśliłem się, że wzięła go wcześniej, prosiłem ją przecież, żeby sprawdziła, czy ktoś nie czai się w środku.

Kiedy wspinaliśmy się po schodach na drugie piętro, cały czas oglądałem się za siebie. Bałem się, że gość o wyglądzie kowboja wyrośnie nagle gdzieś z tyłu. Dopiero kiedy Ewa zamknęła za nami drzwi pokoju, przypominającego ten, w którym mieszkałem, i uśmiechnęła się zalotnie, poczułem się bezpieczniej, chociaż nie aż tak pewnie, by całkowicie uwolnić się od poczucia zagrożenia.

Dziewczyna cisnęła na podłogę za duży sweter, zsunęła ze stóp trzewiki i z rozłożonymi ramionami opadła na posłanie. Odłożyłem notes na stolik i położyłem się obok niej, ale chociaż całym sercem pragnąłem tej chwili bliskości, nie byłem w stanie się w niej zatracić. Za bardzo paraliżował mnie strach, nie mówiąc o tym, że zraniona noga nadal przypominała o sobie przenikliwym, rwącym bólem.

Zamiast przytulić i pocałować Ewę, poprosiłem ją cicho, żeby zdobyła jakieś środki opatrunkowe, a potem raz jeszcze poszła do mojego pokoju i jeśli nie zauważy nigdzie typa, którego jej opisałem, przyniosła ubranie, dokumenty i pieniądze. Zrobiła to z ociąganiem. Miałem wrażenie, że nawet na krótką chwilę nie chce się ze mną rozstać, co oczywiście sprawiło mi wielką przyjemność.

Przyniosła wodę utlenioną, gazę, watę i bandaż. Sprawnie opatrzyła moją ranę. A kiedy się przebierałem we własne ubranie, zapytała:

– Trafiłeś na jakiś ślad? Na coś, co pozwoliłoby ci się wyplątać z tego koszmaru?

– Owszem – przytaknąłem. – Nie uwierzysz, ale jestem o krok od dotarcia do zabójców Anny Eckart. To mężczyzna, być może ten, przed którym uciekam, ale na razie to tylko przypuszczenie, i kobieta. Frąckowiak zrobił im zdjęcia, kiedy ukrywali ciało. Dlatego zginął.

– Widziałeś te zdjęcia? – Zainteresowała się.

– Nie, ale na pewno je znajdę – powiedziałem z przekonaniem.

– Zaczynam się o ciebie bać – wyznała zatroskanym głosem. – Dotychczas



myślałam, że to jakieś żarty, ale... Skąd wiesz o tych zdjęciach?

– Odnalazłem przyjaciela Frąckowiaka – wyjaśniłem. – Żebyś widziała, w jakim domu facet mieszka! – Przyciągnąłem Ewę do siebie i poprosiłem: – Nie mów o tym nikomu. Jemu też może grozić niebezpieczeństwo.

– Puść! – powiedziała poirytowanym głosem. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że trochę za mocno ścisnąłem jej dłoń.

– Wybacz. – Musnąłem ustami jej włosy. Przytuliła się do mnie na znak, że się nie gniewa, ale zaraz potem wstała, podeszła do okna i spojrzała w dół. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że zachowujemy się nieostrożnie. Szybko zgasłem światło i zasunąłem zasłonę. Uświadomiłem sobie też, że oba klucze trzeba odnieść na miejsce. Powinienem był poprosić Ewę, żeby włożyła je do gablotki. Zrobiłem to teraz.

– Czy ty nie przesadzasz? – zdenerwowała się. – Mam już trochę dosyć latania w tę i z powrotem.

– Wybacz, jestem wykończony, nie myślę jasno – powiedziałem. – Ale będę spokojniejszy, kiedy oba klucze zawisną w recepcji. Jakby nikt ich stamtąd nie brał.

Ewa przeciągnęła się, zarzuciła swój za duży sweter na ramiona, podeszła do mnie i pocałowała delikatnie w usta. Przymknąłem oczy, a kiedy je otworzyłem, byłem w pokoju sam. Pomyślałem, że powinienem był poprosić o coś do jedzenia. Od śniadania u pielęgniarki nic przecież nie jadłem.

Nadal się denerwowałem, że zbir w kapeluszu może się zorientować, że jestem w hotelu. Zacząłem krążyć bez celu po pokoju. Zatrzymałem się przy oknie, odchyliłem delikatnie zasłonę i spojrzałem na ulicę. Była pusta.

Zrobiło mi się chłodno. Założyłem przyniesioną przez Ewę skórzaną kurtkę, wymacałem w kieszeniach wszystkie drobiazgi, z którymi nie chciałem się rozstawać, takie jak portfel i zdjęcia Anny Eckart, dołożyłem do nich notes Frąckowiaka i padłem na łóżko pośród niepotrzebnych mi już ciuchów pożyczonych od pielęgniarki. Być może zasnąłem, ale sen nie mógł trwać długo. Niepokoiłem się, że Ewa nie wraca. Znowu się podniosłem.

Podszedłem do drzwi. Przyłożyłem do nich ucho i nasłuchiwałem. Cisza panująca w hotelu działała na mnie kojąco. I już chciałem się znowu położyć, gdy dobiegł mnie stłumiony odgłos kroków. Położyłem rękę na klamce, żeby otworzyć drzwi. Ewa odniosła przecież klucz, a bez niego nie mogła dostać się do pokoju.

Nagle usłyszałem niepokojący chrobot w zamku. Ktoś powoli, bardzo powoli wkładał do niego klucz. Zamarłem z przerażenia. Co robić? Szybko wpadłem do otwartej, pustej szafy wnękowej w przedpokoju i zasunąłem za

sobą drzwi. W tej samej chwili dobiegł mnie cichy szcęk przekręcanego klucza i ktoś wszedł do środka. Zapalił światło, bo jasna smuga przeniknęła przez szparę do mojej kryjówki. Zajrzy do niej? Nie, ruszył prosto do pokoju. Odsunąłem powoli drzwi, które na szczęście nie wydały z siebie nawet przytłumionego dźwięku, i wyrząłem na zewnątrz. Moje serce waliło jak oszalałe.

Zobaczyłem sylwetkę wysokiego, barczystego mężczyzny, który wielką niedźwiedzią łapą trzymał za ramię Ewę.

– No i gdzie on jest?! – warknął. Znowu nie miał na sobie kapelusza, ale wiedziałem, że to on. Musiał wiedzieć, jak Ewa odkłada klucz do mojego pokoju, i domyślić się, że wie, gdzie jestem. Złapał ją i zmusił, by wskazała mu moją kryjówkę.

Obwinałem siebie, że wysłałem ją do recepcji. Przecież wiedziałem, co jej grozi. A jeśli nawet nie wiedziałem, powinienem był to przewidzieć.

Nie miałem pojęcia, jak się zachować. Uciekać i zostawić dziewczynę w jego rękach? Czy się poddać? Oczywiście byłem świadom, co mi grozi. Wszystko wskazywało na to, że facet próbował mnie zabić. Gdyby dopadł mnie teraz...

Zrobiłem krok w stronę otwartych na oścież drzwi wejściowych, na palcach, najciszej jak umiałem, licząc na to, że nie zostaną usłyszany. Potem następny. Kątem oka zauważyłem, że mężczyzna na chwilę zamarł, jakby nasłuchiwał. Jeszcze jeden krok i byłem na korytarzu. Bezgłośny skok w prawo i znalazłem się poza zasięgiem wzroku prześladowcy. Dopiero wtedy przyspieszyłem, ale nadal starałem się poruszać bezszelestnie.

Kiedy dotarłem do schodów, runąłem szalonym biegiem w dół. Przeskakiwałem po kilka stopni. Mijając pierwsze piętro, zawadziłem o rozdartą wykładzinę i z trudem utrzymałem równowagę. Chociaż zraniona noga dała o sobie znać ostrym bólem, wiedziałem, że nie wolno mi zwolnić. Dopiero na parterze rzuciłem okiem za siebie. Z ulgą odnotowałem, że nikt mnie nie ściga. Szybko minąłem recepcję. Nigdzie nie zauważyłem koleżanki Ewy.

Wypadłem na ulicę i mimo pulsującego bólu ruszyłem pędem przed siebie. Było już ciemno. Na niebie, tak jak dzień wcześniej, ani jednej gwiazdy. Wiał chłodny, nieprzyjemny wiatr. Na środku pustej jezdni tańczyła poruszana gwałtownymi podmuchami papierowa torba. Nieliczni przechodnie, skuleni z zimna, umykali do domów z podniesionymi kołnierzami lekkich, wiosennych okryć. Przy pochylonej pompie był wielki czarny pies, przerażony pomrukami nadciągającej burzy.

Skrećilem w prawo, w lewo, znowu w prawo i znowu w lewo. Nie zastanawiałem się, dokąd zmierzam. Nie rozpoznawałem słabo oświetlonych ulic i zakamarków. Nie wiedziałem nawet, w jakiej części miasta się znalazłem. Jedno było pewne: trafiłem w mniej uczęszczane, zapuszczone rejony Starego Krzyża. Dopiero po dłuższej chwili zwolniłem. Nie mogłem złapać oddechu. Raz jeszcze odwróciłem głowę. Nikt za mną nie biegł.

Nie wiedziałem, gdzie jestem. Zatrzymałem się przed oknem wystawowym zaniebanego warsztatu szklarskiego z jednym tylko eksponatem – dużym lustrem pobazgranym kredą. W ciemności z trudem wypatrzyłem w nim własne odbicie: skonany, ubrany niedbale, ze zwichrzoną czupryną wyglądałem żałośnie. A jednak nie odwróciłem wzroku. Z jakąś perwersyjną, masochistyczną przyjemnością gapiłem się na nędzną, godną politowania wersję siebie.

Wyrzucałem sobie, że zostawiłem Ewę w rękach zbira o wyglądzie kowboja. Uciekłem, nie dbając o to, że dziewczyna potrzebowała pomocy. Ale z drugiej strony – co mogłem zrobić? Gdybym wpadł w ręce faceta w kapeluszu, byłoby po mnie. Pozostawała mi nadzieja, że jedynie postraszył Ewę, a kiedy przekonał się, że już mu nie pomoże, puścił wolno. Dlaczego miałby ją skrzywdzić?

Raz jeszcze przejrzałem kieszenie kurtki. Sprawdziłem, czy mam dokumenty, pieniądze i przede wszystkim notes Frackowiaka. Z uczuciem ulgi wymacałem okładkę grubego skoroszytu.

– Jaką tajemnicę skrywasz? – zapytałem cicho.

– Tajemnicę? – usłyszałem ciepły, zmysłowy głos. – Chętnie zdradzę ci wszystkie tajemnice, jakie chciałbyś poznać, chłopcze.

W ciemnej bramie, zaraz za warsztatem szklarza, stała kobieta o smukłej sylwetce, ubrana w stare, liche, ciemne palto, czerwoną bluzkę z głębokim dekoltem, krótką spódniczkę z połyskującej czarnej satyny, czarne siatkowe rajstopy i czerwone czółenka na wysokim obcasie. Złociste włosy o rudawym odcieniu uczesała w kok, usta pomalowała na ostry, krwisty kolor i obrysowała wiśniową kredką.

– Za ile? – zapytałem.

– Trzysta? – Chyba była gotowa się targować.

– Cztery stówy za całą noc – zaproponowałem. Nie myślałem o płatnej miłości, liczyłem na kryjówkę do rana.

– Pięćset? – próbowała podbić cenę.

– Cztery! – powiedziałem stanowczo.

– Niech będzie czterysta, ale tylko dlatego, że mi się podobasz. –

Roześmiała się głośno.

Kiwnęła głową zapraszająco i zniknęła w czeluściach przepastnej bramy. Skoczyłem za nią, spanikowany, że mogę stracić z oczu płynącą bezszelestnie przez mrok sylwetkę. Przez chwilę krążyliśmy po wąskich, zimnych, cuchnących moczem korytarzach, ale w końcu znaleźliśmy się w dość dużym pokoju, skąpanym w rubinowym świetle nocnej lampki. Stały tam wygodne, szerokie łóżko, wielka szafa z ogromnym lustrem na drzwiach, biblioteczka, mały stolik i krzesło. Kiedy przyglądałem się wypełnionej książkami biblioteczce, gospodyni zniknęła za drzwiami. Poszła się przygotować? Wziąć kąpiel? Nie miałem pojęcia.

Zdjąłem kurtkę i powiesiłem na oparciu krzesła. Zsunąłem buty z nóg i rzuciłem do kąta. Ułożyłem się wygodnie na pościeli. Nareszcie czułem się bezpiecznie. Wiedziałem, że szansa, by ktoś znalazł mnie u taniej prostytutki, z której usług korzystali chyba tylko mieszkańcy okolicznych ulic, jest bliska zera. Jednocześnie ze zdumieniem i przede wszystkim z ulgą odnotowałem, że ból, który dokuczał mi od chwili zranienia, zelżał. Co wcale nie oznaczało, że wstąpiła we mnie nowa energia. Ucieczka okazała się niezwykle wyczerpująca. Odebrała mi siły. Zamknąłem oczy, ale zanim udało mi się uciec w sen, drzwi się otworzyły i do pokoju weszła kobieta. Mogłem się domyślić, że wróci rozebrana, a jednak jej nagość mnie oszołomiła.

Musiałem przyznać, że jest atrakcyjna. Zdziwiło mnie co prawda, że wystarczy rozpuścić włosy i zrzucić z siebie burdelowy uniform, aby pozbyć się piętna prowincjonalnej kurwy. Gdybym nie widział czerwonej bluzki, spódnicy z czarnej satyny i siatkowych rajstop, nigdy bym nie zgadł, czym zajmuje się zjawa, na którą się gapiłem, i jak tanio się sprzedaje.

Podziwiałem urodę prostytutki, która położyła się obok mnie, ale nie łaknąłem jej. Zbyt świeże było wspomnienie spotkania z Ewą i zbyt bolesne myśli, że coś mogło się jej stać, bym poddał się niekontrolowanej chuci.

– Słuchaj – zacząłem cicho. – Zapłacę ci cztery stówy, tak jak się umówiliśmy, ale nie chodzi mi o seks. Pozwól mi się po prostu przespać.

– Nie ma mowy! – zaprotestowała. – Jestem dziś twoja. A ty jesteś mój! Należysz do Sylwii, chcesz tego czy nie.

Zacząłem coś dukać bez składu i ładu, a przecież nie musiałem się tłumaczyć. Zapłaciłem dziwce za jej czas i w moim odczuciu mogłem go wykorzystać, jak chciałem. Człowieku, pomyślałem. To tylko kurwa!

Ale co ja wiedziałem o kurwach? Nigdy wcześniej z żadną nie byłem.

– Na co masz ochotę? – zadała mi pytanie, jakiego nie usłyszałem nigdy od żadnej kobiety. Ale zanim zdążyłem odpowiedzieć, ba, zanim zdążyłem się

zastanowić, co pragnąłbym odpowiedzieć, przekreśliła je z brutalną bezwzględnością.

– Nie, nie mów nic. Wiem, czego ci trzeba. Zawsze wiem, czego trzeba facetom. Dlatego tak chętnie do mnie wracają. Wszyscy. Ty też. Wrócisz, zobaczysz...

Nie zdążyła skończyć, bo ktoś z brutalną siłą natarł na drzwi do mieszkania.

Sylwia, bo chyba tak miała na imię moja gospodyni, zerwała się z posłania, rzuciła mi kurtkę i buty, pociągnęła za lustrzane drzwi wielkiej szafy stojącej obok łóżka i rozkazała:

– Wskakuj! I nie wyłaź! Bez względu na to, co się będzie działo!

Poczułem się idiotycznie, ale po krótkiej chwili wahania wykonałem zaskakujące polecenie. A siedząc już w szafie, nie bez zdumienia stwierdziłem, że jest osobliwym punktem obserwacyjnym. Przycupnąłem na małym, niezbyt wygodnym krzeselku, a przed sobą miałem widok na cały pokój, drzwi do szafy okazały się bowiem lustrem weneckim. Sylwia za drobną, a może i niedrobną opłatą wpuszczała tu widocznie panów, którzy woleli obserwować zdarzenia, niż w nich uczestniczyć.

Doprowadziłem ubiór do porządku i rozejrzałem się po wnętrzu. Ktoś, kto je urządzał, pomyślał o wszystkim. W tylnej ścianie zrobił duże otwory wentylacyjne, w bocznych umieścił wieszaki na ręczniki i serwetki, w kącie postawił plastikowy pojemnik na śmieci.

W oczekiwaniu na wtargnięcie intruza próbowałem bez powodzenia odgadnąć, kim jest. Miałem przecież do czynienia z prostytutką, a nie kobietą zamężną, która mogłaby się obawiać powrotu małżonka. Byłem zarazem prawie pewien, że Sylwia wie, kto próbuje rozwalić drzwi do jej mieszkania, i ma na wypadek niespodziewanej wizyty przygotowany plan działania.

Kobieta wyszła z pokoju, a po chwili wróciła, naga jak przedtem, w towarzystwie komendanta posterunku milicji w Starym Krzyżu. Wąsowski, ubrany niedbale – spod rozpiętego munduru wyłaziła rozchełstana koszula – kiwał się na nogach i bełkotał coś pod nosem.

– Chodź tu, kurwo! – wrzasnął. Złapał Sylwię brutalnie za włosy i pociągnął w dół. Przysunął jej głowę do swojego krocza i ryknął: – To lubisz, prawda?!

Kobieta rozpięła grubasowi rozporek i wyłuskała małego, pomarszczonego kabanosika, ale w tej samej chwili Wąsowski brutalnie ją odepchnął.

– Chyba suko o czymś zapomniałaś! – wrzasnął.

Sylwia podniosła się z trudem z podłogi i znowu wyszła z pokoju. Kiedy po

dłuższej chwili drzwi się otworzyły, stanęła w nich inna kobieta. Jej twarz przysłaniały puszyste, kasztanowe włosy i dyskretny makijaż, a nagie ciało – elegancka sukienka do samej ziemi z delikatnej, ciemnej, prześwitującej tkaniny ze złotym wzorem... Maryla? Wyglądała zupełnie jak Maryla w dniu, kiedy zobaczyłem ją pierwszy raz. Ale przecież to nie mogła być Maryla. Dopiero po chwili zrozumiałem. Przed pijanym, zataczającym się komendantem stała Sylwia przebrana za Marylę, grająca Marylę, uosabiająca Marylę.

Grubas powoli rozpiął pasek, wyjął go ze spodni, złożył na pół i zaczął bić kobietę, na oślep, w głowę, w piersi, w uda. Sapał przy tym i dyszał, ale ponieważ ledwie trzymał się na nogach, jego uderzenia trafiały zazwyczaj w próżnię, a jeśli nawet były celne, nie sprawiały wrażenia mocnych.

Pomyślałem mimo wszystko, że powinienem interweniować, przerwać sadyście, ale zgodnie z poleceniem nie ruszyłem się z miejsca. Panicznie bałem się grubasa, który być może dogadał się już z sukinsynem w kapeluszu i chętnie podałyby mu moją skromną osobę na tacy. A Sylwia? Niechciane wizyty komendanta były pewnie stałym elementem jej życia i żadna interwencja niczego by nie zmieniła. Tak to sobie w każdym razie tłumaczyłem, trochę zbyt łatwo usprawiedliwiając się przed samym sobą.

Odwróciłem wzrok od obrzydliwego widowiska, a kiedy ponownie spojrzałem przez tafelę zwierciadła, grubas stał nad klęczącą, znowu nagą kobietą i potrzasał niezdarnie małym fiutkiem, który mimo jego wysiłków pozostawał w stanie spoczynku, a jednak w pewnej chwili, bez żadnej zapowiedzi, bluzgnął trzema krótkimi seriami. Pierwsza trafiła ofiarę w twarz, druga w piersi, trzecia w brzuch.

Było po wszystkim. Napastnik zapiął rozporek i bez słowa pożegnania wytoczył się z pokoju. Przez chwilę hałasował w korytarzu, przewrócił coś, zaklął głośno i w końcu się oddalił.

Dopiero wtedy Sylwia zsunęła z głowy perukę, rozpuściła włosy, sięgnęła po ręcznik i z wyrazem bólu i obrzydzenia na twarzy zaczęła się wycierać, starannie, długo, jakby sperma wniknęła głęboko pod jej skórę. Nie zwracała uwagi na to, że wraz z rozrzedzonym, przypominającym mocz nasieniem grubasa oraz łzami, które popłynęły z jej oczu, zmywa makijaż.

Na poszarzałej twarzy pojawiły się zmarszczki, na prawym policzku ukazała się brzydka, sina blizna, wcześniej zamaskowana warstwą kosmetyków.

Wyszedłem z kryjówki. Otoczyłem kobietę ramieniem, ale nie zareagowała, jakby była martwa.

- Idź już – powiedziała cicho. – Muszę się wykąpać i odpocząć.
- Pozwól mi zostać – poprosiłem. – Zasnąć z tobą. Bez seksu.
- Nie chcę, żeby ktokolwiek mnie teraz oglądał – dodała szeptem. – Idź.

Nadal trwała w bezruchu, pochyłona tak, by włosy zasłaniały jej twarz. Wydała mi się kruchą porcelanową figurką porzuconą na podłodze.

Założyłem kurtkę i buty, wyjąłem z portfela czterysta złotych, położyłem na jednej z półek biblioteczki, tuż obok siedmiu tomów *W poszukiwaniu straconego czasu* Prousta, i wyszedłem na ciemną ulicę.

Zimne, wilgotne powietrze pachniało niedawnym deszczem. Mokry asfalt odbijał blade światła lamp niczym zaśniedziałe lustro. Na niebie nadal wisiały ciężkie, granatowoczarne chmury.

Co za potwornie długa noc, pomyślałem.

Byłem zmęczony, marzyłem o wygodnym pośłaniu. Bez przekonania ruszyłem przed siebie. Nie wiedziałem, w jakim kierunku idę. Zaskoczyło mnie, że po przebyciu kilkuset metrów znalazłem się na rynku. Przyszło mi do głowy, że mógłbym się schronić w muzeum historycznym. Szybko tam dotarłem, ale drzwi były oczywiście zamknięte.

Przypomniałem sobie opowieść starego kustosa o grudniowym włamaniu. Rozejrzałem się. Uliczka była pusta. Nigdzie żywej duszy. Zdjąłem kurtkę, osłoniłem nią dłoń i uderzyłem w oszklone drzwi. Szyba rozprysła się na wszystkie strony. Zamarłem na chwilę i nasłuchiwałem, czy nie obudziłem mieszkańców okolicznych domów, ale wokół panowała niczym niezmacona cisza. Pomyślałem, że odgłos tłuczonego szkła nie jest w miasteczku takim jak Stary Krzyż niczym niezwykłym. Zapewne, jak wszędzie, i tu roi się od pijaczków, a pijaczkowi zawsze może wypaść butelka z dłoni.

Wsunąłem przez dziurę w drzwiach rękę do środka i przekręciłem zasuwkę. Zebrałem największe kawałki szkła z chodnika, żeby nie rzucały się w oczy, i wszedłem do środka. Zamknąłem za sobą drzwi, dziurę zasłoniłem tablicą, którą znalazłem pod ścianą i nie zapalając światła, przeszedłem do ostatniej sali.

Chociaż było ciemno, zauważyłem, że puste gabloty wypełniły się zdjęciami. Widocznie mężczyźni, który opiekował się zbiorami, udało się odtworzyć zniszczone fotografie. Obiecałem sobie, że któregoś dnia wrócę do muzeum, żeby je obejrzeć.

Ułożyłem się na podłodze i mimo chłodu próbowałem zasnąć. Wiedziałem, że następny dzień będzie ciężki.

## 14 grudnia 1981, poniedziałek

Kiedy Anna Eckart zobaczyła przez brudne szyby w pociągu zarysy najbardziej charakterystycznych budowli w Alt-Kreuz, obu wież kościelnych i magistratu, zamknęła oczy. Pożałowała, że zdecydowała się na podróż w rodzinne strony. Tyle razy zaklinała się przed samą sobą, że nigdy nie wróci na te pragermańskie ziemie, okupowane i eksploatowane przez Polaków. Dopiero gdy pociąg z głośnym stęknieniem zatrzymał się na peronie, znowu spojrzała przez okno.

Czuła się tak, jakby cofnęła się w czasie o kilkadziesiąt lat. Ten sam dworzec, tyle że zniszczony i zapuszczony, te same kasztanowce na peronie, tyle że wyższe i bardziej rozłożyste, jedynie ławki inne, brzydsze i mniej funkcjonalne. Wiedziała, że podobnie będzie dalej. Na każdym kroku natrafi na ślady świetności Alt-Kreuz, zdeptywane przez Polaków.

Założyła okulary z grubymi szklami, ale zsunęła je na czubek nosa, żeby mogła coś zobaczyć. Wydostała się na zasypany śniegiem peron i ruszyła za innymi podróżnymi. Przeszła przez mały budynek dworca i znalazła się na ulicy.

Nigdzie nie dojrzała postoiu taksówek. Zniechęcona skierowała się w stronę miasta, kiedy tuż przy niej zatrzymała się zaprzężona w dwa siwe konie, wysłużona bryczka. Opatulony w stary, połatany kożuch woźnica zaproponował, że ją podwiezie. Zapewnił, że niedrogo, ale kiedy zapytała, za ile, okazało się, że liczy na sto złotych. Chwilę się wahała, ale wiedziała, że nie ma wyjścia. Zdawała sobie sprawę z tego, ile wysiłku kosztowałby ją przemarsz z ciężką torbą przez zasypane śniegiem miasto. Pozwoliła umocować bagaż dwoma rzemieniami z tyłu wozu, a sama usadowiła się na koźle.

Woźnica zapytał, dokąd jechać. Kiedy powiedziała, że do najlepszego hotelu w mieście, wyjaśnił, że w Starym Krzyżu jest tylko jeden. I zaczął ciągnąć ją za język. Chciał wiedzieć, skąd pochodzi, czy była już w Polsce, co sądzi o stanie wojennym i tak dalej, i tak dalej. Odpowiadała półgębkiem, łamaną polszczyzną, bo niemieckich słów, nawet najprostszych, nie rozumiał. Uznała, że nie grozi jej zdemaskowanie. Mężczyzna nie miał jeszcze czterdziestu lat, nie mógł jej znać.

Kiedy powiedziała, że nigdy wcześniej nie była w Starym Krzyżu, woźnica nagle ściągnął cugle i skręcił w jedną z bocznych ulic, prowadzącą do



Szerokiej. Powiedział, że w takim razie musi „szanownej pani”, jak się wyraził, pokazać miasto, w którym się urodził i którego za żadne skarby świata by nie opuścił. W pierwszej chwili chciała zaprotestować, ale musiała przyznać przed samą sobą, że jest ciekawa, jak z bliska wygląda Alt-Kreuz po latach.

Okutany w kozuch mężczyzna całą drogę coś gadał, wyjaśniał, opowiadał, ale słyszała tylko pojedyncze słowa. Pochłoneły ją obrazy miasta, które o dziwo zachowało urodę z czasów, gdy w nim mieszkała.

Tu była cukiernia, przypominała sobie. Tam zegarmistrz. Zaraz za nim punkt naprawy lalek. A w głębi, na placyku przykościelnym, raz do roku, zawsze w niedzielę po Bożym Ciele, odbywał się odpustowy jarmark. Pamiętała podniecenie, z jakim czekała na ten dzień jako dziecko. I moment ekscytacji, kiedy po mszy szła z mamą i ojcem oglądać wszystkie atrakcje: kramy, strzelnicę, teatrzyk kukiełkowy.

Gdy minęli wylot jej dawnej ulicy, poczuła łyzy wzruszenia na policzkach. Na szczęście gadała na koźle niczego nie zauważył.

Broniła się przed falą wspomnień, ale kiedy ujrzała grupkę uczniów stłoczoną przed cukiernią, oczami wyobraźni zobaczyła towarzyszy swoich dziecięcych zabaw. Ulrike Bauer, Janka Bieleckiego, Hansiego Kohlera oraz Lolę Zylberman.

Do czasu ukończenia szkoły powszechnej byli nierozłączni. Dopiero potem ich drogi zaczęły się rozchodzić. Nigdy nie interesowała się ich późniejszymi losami. Kilka lat po wojnie zobaczyła w Dreźnie Ulrike, ale szybko odwróciła głowę i poszła dalej. Hansi podobno zginął pod Stalingradem. Lola... Wiadomo. A Janek? Pierwszy chłopak, z którym się całowała. Gdzieś przepadł. A potem, w czterdziestym drugim, może w czterdziestym trzecim, niespodziewanie wyrósł przed nią na Adolf-Hilter-Strasse. Wysoki, przystojny, ale źle ubrany i nieogolony. Miała wrażenie, że się do niej uśmiechnął. Ale w tej samej chwili jego oblicze stężało. Co wyrażało? Niechęć? Gniew? Pogardę?

Myślała, że minie ją bez słowa, ale zanim zniknął, wycedził coś przez zęby.  
– Piekło. Teraz tylko wy bawicie się w piekło.

Z początku nie zrozumiała, o co chodzi, ale po jakimś czasie przypomniała sobie, że kiedy mieli po siedem, osiem lat, może trochę więcej, Janek wymyślił zabawę w piekło. W tym czasie u Kachlickich naprawiali dach i na podwórku stała beczka z cuchnącą, kleistą smołą. Najpierw Janek, a później pozostali, oprócz Loli, która jak zawsze bała się bury od matki, usmarowali sobie twarze na czarno. Najgorsze okazało się to, że smoły nie można było

zmyć i w następnych dniach chodzili z czarnymi plamami na buziach.

Właśnie wtedy Anna po raz pierwszy dostała od ojca dyscyplinę w tyłek. Niezbyt mocno, a jednak i po dwóch dniach czuła ból. Ponownie złał ją dopiero kilka lat później, kiedy wróciła do domu po północy. Założyła się z Jankiem i Hansim, że zajrzy o godzinie duchów do cmentarnej kaplicy. Wygrała, mimo że Ulrike i Lola, które miały jej towarzyszyć, stchórzyły. I mimo że Janek postraszył ją opowieścią o szkieletach wychodzących nocą z grobów. Nie wierzyła w te brednie, ale i tak się bała.

Ojciec czekał w kuchni. Siedział w ciemnościach ubrany w garnitur, który zakładał tylko w niedzielę, z kamizelką i zegarkiem na łańcuszku. Nie chciał słuchać żadnych wyjaśnień. Zdjął marynarkę, podwinął rękawy koszuli, sięgnął po dyscyplinę i tym razem uderzył z całej siły. A potem drugi raz, trzeci, czwarty i piąty. Bolało przez wiele dni.

Dopiero kilka lat później zrozumiała, dlaczego tak bardzo się wściekł. Podczas porządków znalazła w jego biurku kilka starych numerów polskiego tygodnika „Tajny Detektyw” z cyklem artykułów o grupie wielkopolskich pedofili (wtedy nie mówiło się jeszcze „pedofil”, ale „erotoman”), którzy wabili do siebie nastoletnie dziewczęta, podawali im narkotyki, a potem fotografowali nago i wykorzystywali seksualnie. Wszyscy należeli do elity polskiego społeczeństwa. I właściwie uniknęli kary. Stojący na czele tej kompanii podpułkownik rezerwy Feliks Piekucki, były uczestnik powstania wielkopolskiego i pierwszy polski komendant Posen, spędził w więzieniu ledwie półtora roku.

Anna mogła sobie wyobrazić, jak bardzo ojciec musiał się o nią bać, kiedy przeczytał, że w okolicy grasuje banda bezkarnych zbrojców seksualnych. I jak się przeraził, kiedy po zapadnięciu zmroku nie zjawiała się w domu. Ale nie żałowała wyprawy na cmentarz. Nie żałowała żadnej z szalonych, zwariowanych, nie zawsze bezpiecznych zabaw z Ulrike, Hansim, Jankiem i Lolą.

Zastanawiała się, jak wygląda dziś podwórko, na którym dorastała. Ich królestwo. Terytorium, którego niezawisłości musieli bronić przed atakami braci Ciupryków, mieszkających za niewysokim murem. Przez chwilę chciała nawet poprosić woźnicę, żeby zawrócił i ją tam zawiózł, ale bała się, że się zdradzi. Sama tam pójdę, pomyślała. I po raz pierwszy od lat przywołała z pamięci obraz krainy dzieciństwa. Ostry, wyrazisty, nieścieralny.

Uświadomiła sobie, że nosi go w sobie jak bezcenny skarb i w jednej chwili mogłaby odtworzyć każdy z zakamarków, wszelkie nierówności bruku i nawet najdrobniejsze zadrapania na granicznym murze. Podobnie jak

umiałyby bez trudu przywołać niepowtarzalny zapach, na który składały się wymieszane w zbliżonych proporcjach woń mchu porastającego zawilgocone mury, trocin wysypywanych przez tatę do śmietnika i mydlin wylewanych przez mamę do kratki ściekowej, a także oparów alkoholu niesionych z wiatrem z pobliskiej gorzelni.

Nadmiar wrażeń i wzruszeń wyczerpał ją. Z ulgą odnotowała, że bryczka dotarła wreszcie do hotelu. Zapłaciła woźnicy obiecane sto złotych, ale zażądała, aby wniósł jej torbę do środka. Powiedział, że i tak by to zrobił.

– No, nie wiem – mruknęła do siebie.

Hotel stał w miejscu przedwojennego burdelu, ale nie miał w sobie nic z jego klasy.

Wzięła kąpiel, zmieniła ubranie na wygodniejsze i zeszła na obiad. A po zjedzeniu pierogów z płuckami ruszyła w stronę pałacu Ponieckich.

Przed laty pokonywała tę drogę setki razy. Najpierw jako dziewczyna zatrudniona do pomocy w stajni, później także uczennica hrabiny, a w końcu, kiedy majątek zajęły władze niemieckie i część pomieszczeń w głównym budynku oraz w zabudowaniach gospodarczych przeznaczyły na siedzibę Bund Deutscher Mädel, współgospodyni. I chociaż od jej wyjazdu minęło tyle lat, wiedziała, że trafiłaby na miejsce nawet z zamkniętymi oczami.

Najpierw trzeba dojść do rynku, powtarzała w myślach. Później Langestrasse, czyli... no tak, Długą, do granicy miasta, a następnie dwa kilometry przez las.

Oczami wyobraźni widziała majątek taki, jakim zostawiła go przed laty. Wspaniały dwupiętrowy pałac z czterokolumnowym portykiem i rozmieszczonymi po obu bokach alkierzami, z lewej strony stajnie i wozownię, z prawej mniej ważne zabudowania gospodarcze, a w głębi duży ogród ze stawem, belwederem w stylu greckim, oranżerią i bażantarnią.

Zastanawiała się, jak cały ten kompleks wygląda po latach. Liczyła się oczywiście z tym, że pałac, w ostatnich tygodniach wojny rozgrabiony przez Polaków i Rosjan, popadł w ruinę. Nie bardzo ją to jednak obchodziło. Celem jej wyprawy był inny budynek, skrajny, pełniący przez lata funkcję remizy dla powozów, a później adaptowany na sypialnię dla dziewcząt z Bund Deutscher Mädel. To tam, w niewielkim pomieszczeniu pod dachem, Olaf zamurował skórzane torby z pamiątkami po Chopinie. Uznał, że ucieczka w głąb kraju z takim obciążeniem jest zbyt ryzykowna. Wyjaśnił Annie, kiedy w końcu, po dyskusjach i sporach, zgodziła się z nim wyjechać, że w spokojniejszym czasie wróci do Starego Krzyża i wydobędzie ukryte przedmioty. Zapytała, czy nie obawia się, że skarb padnie łupem Polaków,

którzy pracowali w majątku przed wojną. Mogli przecież zauważyć, że jedno z pomieszczeń zostało zamurowane, wybić w ścianie dziurę i znaleźć torby. Olaf przekonywał ją, że nikomu nie przyjdzie do głowy szukać czegoś pod dachem wozowni.

Idąc do pałacu, Anna obawiała się, że podmiejskie drogi są zasypane śniegiem i wyprawa może się okazać mordegą ponad jej siły. Zwłaszcza że nie miała odpowiednich butów na taką wyprawę: solidnych, wysokich, ciepłych. Z radością odkryła jednak, że ulica Długa nie przechodzi już w piaszczysty trakt, jak przed laty, lecz w asfaltową szosę, którą służby miejskie, bo któż by inny, codziennie odśnieżają.

Dzień był piękny, słoneczny, ale ponieważ droga wiodła przez las, przypominała ocieniony wąwóz.

Anna zastanawiała się, jaki sens miała budowa asfaltowej szosy, ponieważ podczas blisko półgodzinnej wędrówki nie minął jej żaden samochód.

Dotarła do celu szybciej, niż się spodziewała. Ale przez chwilę zastanawiała się, czy trafiła we właściwe miejsce. Zamiast otoczonego ozdobnym metalowym ogrodzeniem pałacu ujrzała bowiem jakieś ruiny za pokracznym murem z betonowych pustaków. A przy bramie głównej, ozdobionej dwoma niemal identycznymi napisami, mniejszym: „Państwowe Gospodarstwo Rolne im. XX-lecia PRL”, przekreślonym czerwoną farbą, i trochę większym: „Państwowe Gospodarstwo Rolne im. XXX-lecia PRL”, budkę wartownika ze zmarzniętym żołnierzem w środku.

Dopiero po dłuższej chwili dotarło do niej, że największy budynek, częściowo widoczny za ogrodzeniem, z kompletnie zrujnowanym dachem i płytami pilśniowymi w oknach zamiast szyb, to pałac, z którym wiązało ją tyle wspomnień. A jeśli tak, z lewej strony powinny być... Wspięła się na palce, ale nie mogła dojrzeć innych zabudowań.

Zbliżyła się do wartownika i zapytała po polsku, czy może wejść za ogrodzenie. Pokręcił przecząco głową. Zrobiła mimo wszystko krok do przodu i spojrzała w lewo. W głębi dojrzała zabudowania stajni, w której kiedyś pracowała, a na skąpanym w słońcu dziedzińcu trzy albo cztery wozy bojowe i kilkunastu poruszających się jak muchy w smole żołnierzy w połowych mundurach, bez kurtek, mimo minusowej temperatury.

Wartownikowi zdecydowanie nie spodobało się jej wścibstwo. Być może zwrócił też uwagę na jej twardy akcent. A jeśli uzna ją za agentkę obcego wywiadu? Uśmiechnęła się na tę myśl. Nie te czasy! Chociaż... W tym kraju od dwóch dni obowiązują prawa wojny!

Szybko wycofała się. Nadal nie wiedziała, czy wozownia znajduje się na

swoim miejscu, czy może została w ostatnich tygodniach wojny zbombardowana albo w późniejszych latach rozebrana, co oznaczałoby, że skarb przepadł na zawsze.

Burknęła „do widzenia”, zrobiła w tył zwrot i ruszyła szosą w drogę powrotną, ale kiedy zniknęła z pola widzenia wartownika, zawróciła, dotarła do wydeptanej w śniegu ścieżki wiodącej wzdłuż ogrodzenia i udała się w kierunku, gdzie powinna stać wozownia. Mimo że nie bardzo wiedziała, jak sprawdzić, czy nadal tam jest.

Spóźniłam się o dwa dni, pomyślała. Wojsko stacjonuje tu zapewne w związku ze stanem wojennym. Wcześniej bez trudu weszłabym na teren, bo przecież gospodarstw rolnych nie pilnują uzbrojeni wartownicy.

Zastanawiała się, czy jeśli skarb nadal leży na swoim miejscu, ma jakąkolwiek szansę się do niego dostać. Gdyby nawet jakimś cudem pokonała mur, każdy napotkany żołnierz uznałby ją za intruza. Jak miałyby mu wytłumaczyć swoje wtargnięcie na strzeżony teren wojskowy?

Po przejściu kilkuset metrów zatrzymała się zmęczona i zdyszana. Wozownia powinna znajdować się gdzieś na tej wysokości. Ogrodzenie było jednak zbyt wysokie, by mogła zobaczyć, co się za nim kryje.

Zrezygnowana chciała wrócić do szosy, ale bez większego przekonania zrobiła jeszcze kilkadziesiąt kroków. Nagle dostrzegła w murze wyłom. Wykruszone pustaki pozwalały precyzyjnie przycisnąć się na drugą stronę.

Co tu się stało?, zastanawiała się. Czy w ogrodzenie uderzył samochód? Albo ciągnik? Pewnie pijany kierowca. Skłonność Polaków do alkoholu była jej dobrze znana.

Powoli zbliżyła się do dziury i ostrożnie zajrzała do środka. Nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Tuż przed nią stał budynek wozowni. Wokół – nikogo. Żadnych żołnierzy, wozów bojowych, oznak życia.

Świetnie, pomyślała. Pod osłoną nocy bez trudu wejdzie na ogrodzony teren i odszuka skarb. Ale musi mieć samochód. I narzędzia. Łom, żeby dostać się do budynku i wybić dziurę w ścianie na strychu. A jeśli wewnątrz jest wojsko?

Szybko ruszyła w drogę powrotną. Po półgodzinie znalazła się w Starym Krzyżu. Wstąpiła do pierwszej napotkanej kawiarenki, wypła herbatę i zjadła bezę, chociaż beza nie miała kształtu, zapachu i smaku zapamiętanych z dzieciństwa.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że powinna już teraz zdecydować, kiedy podejmie próbę włamania się do gospodarstwa rolnego zmienionego w jednostkę wojskową. Wiedziała też, że należy to zrobić jak najszybciej.

Jeszcze tego dnia? Niemożliwe. Następnego? Jeśli uda się zdobyć samochód. Jeśli... Musi się udać.

Po wyjściu z kawiarni minęła rynek i skierowała się w stronę domu, w którym dorastała. Chociaż jeszcze kilka dni wcześniej by się do tego nie przyznała, była ciekawa, jak wygląda dziś. Z zewnątrz, a zwłaszcza w środku.

Nie ulegało dla niej wątpliwości, że po stolarni, jej ulubionym pomieszczeniu, nie pozostał nawet ślad. Ile cudownych, radosnych chwil tam spędziła!

Widok matki, małomiasteczkowej praczki pochylonej nad balią i tarą, sprawiał jej przykrość. Wiedziała, jak bardzo męczy ją to niewdzięczne zajęcie, jak wysysa z niej wszystkie siły, jak ją wykańcza. Z ojcem było inaczej. Kochał swoją pracę. Wykonywał ją z sercem i pasją. Dlatego uwielbiała przyglądać się, jak piłował, wyglądał deski heblami, wiercił w nich otwory, szlifował.

Chociaż od najmłodszych lat było dla niej oczywiste, że nie jest jej pisane przejście warsztatu, bo stolarz to jednak zawód dla mężczyzny, wymagający męskiej siły i męskiego potu, z uwagą słuchała wyjaśnień taty, po co mu tyle różnych pił: blisko dwumetrowa kłopezga z szerokim brzeszczotem osadzonym w prostokątnej ramie, fukszwanc z brzeszczotem zwążającym się ku przodowi, rukzega o ostrzu wzmocnionym metalową taśmą, sztychzega, gratzega. A także do czego wykorzystuje poszczególne heble: szruphebel, szlichthebel, puchebel, grundhebel, falchebel...

Większości narzędzi nie wolno jej było dotykać. Ale niektórymi przedmiotami mogła się bawić do woli. Calówką, gerungami, sztrejchmasami.

Uwielbiała zapach piłowanego i heblowanego drewna. Nawet woń kleju wykorzystywanego do łączenia elementów mebli, skrzyń i innych sprzętów codziennego użytku miała dla niej swój powab.

Ile by dała, by cofnąć czas i spędzić kilka minut pośród ojcowskich pił, hebli, sztamajz, świderkorb i cwyng! I choć rozum mówił, że stolarni już nie ma, coś pchało ją przed siebie i kazało sprawdzić, czy może jakimś cudem ocalała i nadal jest czyimś miejscem pracy.

Była już blisko, kiedy w bramie mijanego domu mignęła jej znajoma twarz. Janek? Niemożliwe. Janek był od niej starszy o rok, a mężczyzna, którego zobaczyła, miał nie więcej niż trzydzieści lat. Syn Janka?

Szybko zawróciła. Zrozumiała, ile ryzykuje. Ktoś mógł ją rozpoznać. Zobaczyć w nieznanym dawną córkę sąsiadów. Mimo przebrania.

Zatrzymała się na rynku. Każda starsza osoba wydawała się jej wrogiem. Dopiero kiedy się upewniła, że nikt nie zwraca na nią uwagi, uniosła głowę

i ruszyła przed siebie.

Pomyślała o zjedzeniu obiadu, ale jej uwagę przykuł afisz reklamujący muzeum historyczne miasta Stary Krzyż, mieszczące się tuż obok, w pomieszczeniach dawnej piekarni. Zaintrygowana kupiła bilet i weszła do środka.

Z niedowierzaniem i podnieceniem oglądała zdjęcia z czasów, które zachowała w pamięci. Na jednym, dokumentującym wielki turniej robotników fabryki firanek i wytwórni olejków, rozpoznała w wyrosniętej dziewczynce w sukience w kwiaty i chustce na głowie siebie. Stojącą w tłumie obok... Ależ tak, obok Ulrike. A skoro była tam Ulrike, gdzieś w pobliżu powinna się też kręcić Lola. A może i chłopcy. Nie, Loli i chłopców nie udało jej się wypatrzeć.

Przeszła do kolejnych sal. W ostatniej zebrano fotografie z czasów wojny. Kilka przedstawiało zbórkę Żydów przed ich wywózką z Alt-Kreuz. Na jednej dostrzegła w tłumie matkę Loli. Zagubioną, bezradną. W ciągu jednej doby postarzałą o kilka lat. A także swoją mamę! No tak, mama przyjaźniła się z Rachelą Zylberman.

Anna nagle wszystko sobie przypomniała. Mama przybiegła do niej z prośbą, żeby interweniowała u Krügera w sprawie Zylbermanów.

– Przecież Lola to twoja najlepsza przyjaciółka! – wołała.

Ale Anna nie utrzymywała już wtedy żadnych stosunków z Żydami i Polakami. A Krügera nie znała jeszcze zbyt dobrze (zatrudnił ją raz czy dwa jako tłumaczkę). Poza tym dzięki wstawiennictwu wuja Augusta u Jutty Rüdiger, referentki Rzeszy, liczyła, mimo bardzo młodego wieku, na funkcję przewodniczącej Bund Deutscher Mädel w Alt-Kreuz i nie mogła wystąpić w roli adwokata Żydów. Zniszczyłaby swoje szanse na karierę w organizacji. Oczywiście nie poszła pożegnać się z Lolą. I stanowczo odradzała mamie, by odprowadzała Zylbermanów. Mama nie posłuchała. A kiedy wróciła...

Nigdy już nie była taka jak przedtem. Zgasła. Skuliła się w sobie. Wiedziała, jaki los czeka jej sąsiadów z przyszytymi do płaszczy żółtymi gwiazdami, i nie umiała się z jego nieuchronnością pogodzić. Zamknęła się w czterech ścianach domu. Przestała biegać po sprawunki i do kum na plotki. Zrezygnowała z pracy. Nawet do kościoła nie można jej było wyciągnąć (zresztą świątynie katolickie i tak niebawem zamknięto). A jednak nie przestała się modlić. Czasami całymi dniami obracała w dłoniach paciorki różańca. Z wewnętrznej potrzeby? Z przyzwyczajenia? Wszystkie obowiązki – zakupy, gotowanie, sprzątanie – spadły wtedy na Annę, a później, kiedy Jutta Rüdiger wezwała ją do Berlina i osobiście powierzyła misję tworzenia w Alt-

Kreuz struktur Bund Deutscher Mädel (po kilkutygodniowym szkoleniu w Eichsfeld), na tatę...

Nie powinnam gapić się na te zdjęcia, Anna skarciła się w myślach. Ale ponieważ w pobliżu nie było nikogo, raz jeszcze przyjrzała się fotografiom dokumentującym eksmisję Żydów. Próbowała odszukać Lolę, która też musiała tam być, ale widocznie ktoś ją zasłonił.

Lola... Jak wiele wspólnych przeżyć zostało w pamięci! Chociażby takie. W trzydziestym pierwszym, kiedy obie miały po dziesięć lat, zakopały w najciemniejszym kącie podwórka butelkę, do której włożyły listy do samych siebie. Miały je wydobyć po dwudziestu latach, żeby się przekonać, co zostało z ich pragnień, marzeń, planów i wyobrażeń o przyszłym życiu. Od tamtej chwili minęło pięćdziesiąt lat, a butelka nadal tkwiła w ziemi. Lola nie mogła jej odkopać, bo w pięćdziesiątym pierwszym nie było jej już na świecie. Anna też nie, bo opuściła Alt-Kreuz i aż do tej pory nie wracała do miasta. A teraz? Nie miała ochoty grzebać w zamarznętej ziemi. Zresztą...

Chyba nie chciała wiedzieć, jakie marzenia i plany dawnej przyjaciółki pogrzebano w Auschwitz.

Oderwała wzrok od zdjęcia. Miała dość wyprawy w przeszłość. Ale kiedy chciała skierować się do wyjścia, kątem oka zauważyła kilka fotografii ze szkoły, którą kierowała od czterdziestego drugiego do czterdziestego czwartego. Niezależnie od działalności w Bund Deutscher Mädel.

Stała na nich obok wystrojonego w mundur SS Heinricha Lippego, który jak sobie przypominała, wizytował placówkę raz czy dwa. Niezłe towarzystwo, pomyślała i oblał ją zimny pot. Gdyby ktoś ją rozpoznał...

Chciała wybiec z muzeum, ale zaczepił ją starszy mężczyzna, u którego kupiła bilet. Była tak zdenerwowana, że nie mogła zrozumieć, co mówi. Nie ulegało wątpliwości, że może ją pamiętać. Mimo że jego twarz wydawała się jej całkowicie obca.

Odburknęła coś opryskliwie i wybiegła na ulicę. Ale po przejściu kilkudziesięciu metrów zawróciła. Obejrzała budynek z zewnątrz i stwierdziła, że nietrudno się do niego włamać. Wystarczyło wybić szybę w drzwiach i przekręcić od środka zasuwkę. Chyba że zbiór zabezpieczono systemem alarmowym, ale nic na to nie wskazywało.

Wróciła do hotelu, w restauracji zjadła ziemniaki ze zsiadłym mlekiem, a więc coś, czego nie miała w ustach od lat, i zaszyła się w swoim pokoju. A kiedy wybiła dwudziesta trzecia, ubrała się ciepło, wzięła latarkę, którą zawsze wozila ze sobą, i nie bacząc na godzinę milicyjną, o której powiedziano jej w recepcji, udała się w stronę miejskiego parku. Tam



wygrzebała ze śniegu nieduży kamień, a z jednego z koszy na śmieci dwie butelki po wódce. Tak wyposażona udała się do muzeum. Upewniła się, czy nie ma nikogo w pobliżu. Wybiła kamieniem szybę w drzwiach, odkręciła zasuwkę i szybko wślizgnęła się do środka. Wiedziała, że nie ma wiele czasu. Ktoś mógł usłyszeć brzęk rozbijanego szkła i zawiadomić o włamaniu milicję.

Oświetlając sobie drogę latarką, przeszła od razu do ostatniej sali. Butelki po wódce cisnęła w kąt. A po wybiciu szyb w gablotach wyjęła z nich zdjęcia ukazujące ją w towarzystwie esesmana, złożyła na cztery i wsunęła do kieszeni kożucha. Inne fotografie podarła na strzępy i rozrzuciła po podłodze. Po upływie pięciu minut znów była na ulicy.

Dopiero kiedy zbliżała się do hotelu, uświadomiła sobie, że zapomniała o zdjęciu z robotniczego turnieju, na którym też można ją było wypatrzeć. Jakie to jednak miało znaczenie? Była tam tylko dziewczynką w tłumie, właściwie nie do rozpoznania.

Kiedy znalazła się już w hotelu, ze zdumieniem stwierdziła, że mimo nocnej pory w restauracji trwa huczna młodzieżowa zabawa. Widok suto zastawionych stołów uświadomił jej, że jest głodna.

Weszła do sali, przywołała kelnera i zapytała po niemiecku, czy dostanie coś do jedzenia. Usiadła przy stoliku, który jej wskazał. Zdjęła kożuch i cisnęła na krzesło obok. Poprosiła o gzik, czyli twaróg ze śmietaną i cebulką, oraz napój z czarnego bzu. Od razu zapłaciła.

Kończyła jeść, kiedy dosiadł się do niej wstawiony jegomość koło czterdziestki. Przedstawił się. Zapamiętała tylko imię: Franciszek. Zaczął nieudolnie się do niej przystawiać. Skłamała, że nic nie rozumie, ale intruzowi to nie przeszkadzało. Rozparł się wygodnie na krześle i poprosił kelnera o butelkę wódki i dwa kieliszki. Aby mu się przyjrzeć, zdjęła na chwilę okulary. Ogorzała cera, barczyste plecy i wielkie, spracowane dłonie. Przypominał polskich parobków, z którymi stykała się przed laty. Leniwych, prymitywnych, bezczelnych.

Nalała sobie wódki i szybko wypila, co zrozumiał opacznie. Z głupim uśmiechem na twarzy dotknął jej dłoni. Muśnięcie jego szorstkich palców, zakończonych paznokciami z czarnymi obwódkami, przyprawiło ją o mdłości. Wstała bez słowa i skierowała się do wyjścia.

W pokoju zamknęła za sobą drzwi na klucz. Wzięła szybki prysznic. Włożyła koszulę nocną, ale przez dłuższą chwilę zwlekała z położeniem się do łóżka. Wiedziała, że czeka ją kolejna bezsenna noc.

Część 4  
Przy milczących werblach

21 kwietnia 1982, środa

Miałem na studiach kolegę o imieniu Sukhbataar – po polsku znaczy to tyle co „Bohater z Toporem” – który całe dzieciństwo, tak przynajmniej twierdził, spędził w stepie, w okolicy Karakorum, historycznej stolicy imperium Czyngis-chana, w rodzinnym gerze, okrągłym namiocie pokrytym wełnianym wołokiem, i od najmłodszych lat pomagał w hodowli owiec i kóz, koni i dwugarbnych, włochatych baktrianów.

Chociaż w przeciwieństwie do koleżanek z Wietnamu szybko opanował język polski i potrafił barwnie opowiadać o koczowniczym życiu swojego plemienia, podczas zajęć na uczelni i egzaminów dukał niemiłosiernie, co było zapewne sposobem na uzyskanie wpisów w indeksie bez zagłębiania się w tajniki marksizmu i leninizmu, najważniejszych dziedzin wiedzy, jakie mieliśmy sobie przyswoić.

Słuchaliśmy zajmujących historii Sukha, jak go nazywaliśmy, z zapartym tchem i nikt nie odważył się zapytać, jakim cudem trafił z dalekiej Mongolii do Polski, bo przyjechał do nas raczej nie z ciągnącego się aż po horyzont stepu, ale z ucywilizowanego Ułan Bator, chociaż o życiu w mieście nigdy nie wspomniał ani słowem. Tajemnic miał zresztą więcej. W akademiku przy Madalińskiego w Warszawie stworzył podobno nielegalny, ale świetnie prosperujący punkt szycia kozuchów, dzięki czemu finansowo radził sobie lepiej niż większość z nas.

Nie wiem, czy Sukhbataar miał w sobie krew tatarską, ale bez wątpienia przypominał wyglądem Tatara i nie zdziwiliśmy się, kiedy reżyser Jerzy Hoffman zatrudnił go wraz z kilkunastoma innymi studentami z Mongolii do udziału w ekranizacji *Potopu*. Chłopak miał tam jedynie statystować, ale dostał rolę znaczniejszą niż pozostali – bezwzględnego wojownika, który gwałci polską szlachciankę. Zdaje się, że ostatecznie scena nie weszła do filmu, ale fotos przedstawiający groźnie wyglądającego Sukha u boku przerażonej kobiety, z której właśnie zerwał szaty, towarzyszył omówieniom dzieła w prasie oraz trafił do gablot w kinach. I właśnie na to zdjęcie natknąłem się, kiedy przed siódmą rano wymknąłem się z muzeum historycznego w Starym Krzyżu i wyszedłem na zalany bladym światłem słońca rynek, okazało się bowiem, że działający w mieście dyskusyjny klub filmowy przypomni po kilkumiesięcznej przerwie w działalności wybrane adaptacje prozy Henryka Sienkiewicza.

Ta jedna fotografia wystarczyła, by powróciły wspomnienia z okresu studiów, zazwyczaj beztrudnych i swobodnych, takich jak igraszki z Krysią, która podobnie jak Sukh, chociaż później niż on, poznała smak przygody aktorskiej i podobnie jak towarzysząca Sukhowi na fotosie piękność grała chyba głównie ciałem, chociaż mogłem to tylko domniemywać, bo właściwie nic na temat jej doświadczeń filmowych nie wiedziałem.

Sukh wrócił po studiach do Mongolii, Krysią znalazła dla siebie miejsce w Niemieckiej Republice Demokratycznej, a ja w ostatnich latach rzadko na dłużej opuszczałem Warszawę, bo delegacje dziennikarskie trwały zwykle dwa, trzy dni. Wyjazd do Starego Krzyża był więc interesującą odmianą, musiałem jednak sam przed sobą przyznać, że gdybym wiedział, na jakie niebezpieczeństwo się narażam, zostałbym pewnie w domu.

Ucieczka przed draniem z bezpieki bardzo mnie już zmęczyła, zwłaszcza że w gruncie rzeczy nie miałem pojęcia, dlaczego za mną goni i czego chce. Postraszył mnie, zażądał, bym opuścił miasto, ale czy to on próbował mnie otruć? Nie chciał, żebym węszył, ale czy to oznaczało, że sam był zamieszany w morderstwa w mieście? Czego się zresztą mógł obawiać? Jeśli był funkcjonariuszem tajnych służb, miał przecież za sobą aparat policyjny państwa, który w gruncie rzeczy zapewniał mu bezkarność. To zresztą było najbardziej przerażające. Gdyby chciał się mnie pozbyć, nic nie stało na przeszkodzie.

A jednak tak naprawdę wiedziałem, czy raczej czułem, czego może się bać, jeśli jest zabójcą Anny Eckart. Skandalu międzynarodowego, którego pewnie nie dałoby się tak łatwo wyciszyć jak zwyczajnych wpadek bezpieki, tych wszystkich pobić ze skutkiem śmiertelnym, na własnym podwórku. Zwłaszcza gdyby okazało się, że Anna Eckart, jedna z ukochanych cór komunistycznych Niemiec, zginęła wskutek tragicznego nieporozumienia.

Dlatego nie mogłem się wycofać. Doskonale zdawałem sobie sprawę, że dotarcie do zdjęć ujawniających tożsamość zabójcy czy zabójców niemieckiej pisarki to być może moja jedyna szansa na ocalenie życia, jakkolwiek górnolotnie by to brzmiało. Ale gdzie tych fotografii szukać?

Kiedy leżałem na zimnej podłodze muzeum historycznego w Starym Krzyżu i bez powodzenia próbowałem zasnąć, uświadomiłem sobie jedno. Jeśli Ryszard Frąckowiak prowadził dokładne zapiski dotyczące zdjęć, które robił w szkole, miał też prawdopodobnie drugi, ważniejszy notes, w którym katalogował prywatną działalność fotograficzną. I jeśli gdzieś zostawił ślad prowadzący do kliszy dokumentującej ukrycie ciała Anny Eckart, zrobił to zapewne w tym drugim, cenniejszym brulionie. Wszystko wskazywało więc

na to, że jego przyjaciel, Paweł Markuszewski, podsunął mi fałszywy trop. W chwili szczerości czy załamania ujawnił co prawda istnienie filmu, ale szybko się zreflektował i odesłał mnie do szkolnego archiwum, gdzie mógłbym go szukać tygodniami i miesiącami.

Dziwiłem się, że tak chętnie pożyczył mi notes. Teraz wiedziałem dlaczego. Ponieważ nie było tam żadnej wskazówki ułatwiającej odszukanie negatywu, którego obaj pożąдалиśmy. Dlatego prosto z muzeum udałem się właśnie do Markuszewskiego, aby dopaść go, zanim wyruszy do pracy. Zaskoczył o tak wczesnej porze, w chwili gorączkowych przygotowań do wyjścia z domu, kiedy człowiekowi trudniej kręcić, zmyślać, mnożyć fałszywe tropy.

Miasto dopiero budziło się ze snu, panowały w nim spokój i cisza, jedynie ptaki cicho świergotały w koronach drzew, a stara, nienaoliwiona huśtawka poruszana wiatrem wydawała co jakiś czas ledwie słyszalny, żalony jęk, jakby domagała się od nielicznych przechodniów odrobiny współczucia. Jezdnie i chodniki parowały poranną wilgocią.

Niewyspany, głodny, nieumyty i nieogolony szedłem powoli, ale Stary Krzyż to przecież nie Warszawa i nawet największe odległości pokonuje się w nim w kilkanaście minut.

Kiedy dotarłem na Błotną, miałem wrażenie, że uliczka nadal śpi. Kompletny bezruch na podwórkach i zaciągnięte zasłony w oknach sprawiły, że starałem się przebyć drogę do domu Markuszewskiego bez zbędnego hałasu, ale kiedy dotarłem na miejsce, bezceremonialnie nacisnąłem na dzwonek przy furtce. Nikt nie odpowiedział.

Spojrzałem na zegarek, było kilkanaście minut po siódmej. Czyżby gospodarz już wyszedł? Może miał poranny dyżur? Co prawda z czasów szkolnych pamiętałem, że to raczej pyskate, nieokrzesane woźne czyhały na uczniów, którzy próbowali dostać się do budynku w butach zamiast kapci albo bez tarczy na ramieniu. Nauczyciele zjawiali się w ostatniej chwili, tuż przed pierwszą lekcją. Cóż, czas wszystko zmienia.

Nacisnąłem na dzwonek po raz drugi i trzeci. Cisza. A może Markuszewski wyskoczył do sklepu po pieczywo? Postanowiłem poczekać. Byłem tak zmęczony, że usiadłem na chodniku przed furtką. Na chwilę. Doszedłem bowiem do wniosku, że gdyby ktoś z sąsiadów zobaczył mnie w tej pozycji, mógłby uznać, iż jestem włóczęgą lub pijakiem. A w takich wypadkach wzywa się przecież milicję.

Wstałem. Pchnąłem furtkę. Była otwarta. Podeszedłem do drzwi wejściowych. Zauważyłem, że są uchylone. Co to mogło oznaczać? Nikt nie zostawia uchylonych drzwi do domu. Wsunąłem głowę w szparę i zawołałem:

– Panie Markuszewski!

Odpowiedziała mi cisza: przeszywająca, nieprzyjemna, budząca trwogę.

– Panie Markuszewski! – krzyknąłem raz jeszcze.

Znowu cisza.

– Czy ktoś tam jest?! – zawołałem. Bez odpowiedzi.

Wszedłem do środka. Przeszło mi oczywiście przez myśl, że robię coś głupiego, ale pokusa, by rozejrzeć się po domu, w którym prawdopodobnie leżał wśród szpargałów drugi notes Frąckowiaka, okazała się zbyt silna, bym się jej oparł.

Z przedSIONKA trafiłem do korytarza, a stamtąd do przestronnej, jasnej kuchni. Na stole stała szklanka z sokiem pomarańczowym. Niewiele się zastanawiając, wypłem go do dna. W lodówce znalazłem pęto kiełbasy. Urwałem duży kawałek i zacząłem jeść, ale bez pieczywa i musztardy nie bardzo mi smakowała. Zajrzałem do kilku szafek. W jednej natrafiłem na słoiczek chrzanu. Może być i chrzan, pomyślałem. Posmarowałem kiełbasę i pożarłem ją z apetytem.

Kiedy zaspokoilem pierwszy głód, ruszyłem korytarzem dalej. Drzwi do następnego pomieszczenia uchyliłem ostrożnie. Przyszło mi do głowy, że może Markuszewski jest w domu, ale zaczyna lekcje później i powiedzmy, po nocy spędzonej w ciemni, śpi kamiennym snem.

Przez niewielką szparę zobaczyłem najpierw bok kanapy, a potem, kiedy zmieniłem kąt widzenia, migoczący, blady, jakby czymś umazany ekran telewizora. Nie ulegało wątpliwości, że odbiornik jest włączony. Poczułem się nieswojo. Wszystko wskazywało na to, że Markuszewski oglądał wieczorny program i najzwyczajniej w świecie zasnął. A ja nieproszony wpakowałem mu się do domu!

– Panie Markuszewski! – zawołałem, ale i tym razem nie było odpowiedzi. Serce łomotało mi tak, że nie słyszałem własnych myśli, ale po chwili wahania pchnąłem drzwi i wszedłem do środka.

Wtedy go zobaczyłem. A makabryczny widok powalił mnie na kolana. Przełknąłem ślinę, aby powstrzymać nudności, jednak w tej sytuacji nie mogło to pomóc. Zwymiotowałem wszystko, co przed chwilą zjadłem, na podłogę.

Markuszewski siedział na środku pokoju na krześle niemal całkowicie obnażony – z odsłoniętym torsem, ze spodniami i majtkami opuszczonymi do połowy kolan. Właściwie nie siedział, ale zwisał beładnie, przechylony w prawą stronę, z opadającą na bok głową. Gdyby nie przywiązano go do oparcia sznurem do bielizny, zsunąłby się na ziemię. Na twarzy, tułowiu,

udach i genitaliach widać było rany i poparzenia. Na głowie – miejsca, z których zdarto włosy razem ze skórą. Kość czołowa wydawała się wgnieciona, a nienaturalnie rozszerzone przez grozę konania oczy miały sine obwódki. Na ustach zaciśnięto niebieską szyfonową apaszkę, którą chyba już gdzieś widziałem. Na szyi zadziergnięto przewód elektryczny w grubej izolacji, zapewne oderwany od żelazka porzuconego na kanapie.

Lewa ręka zmarłego została przywiązana wraz z tułowiem do oparcia krzesła, prawa zwisała bezładnie, prawdopodobnie złamana w łokciu i pozbawiona czterech palców z wyjątkiem kciuka. Dostrzegłem je ułożone równo, jeden za drugim, na małym stoliku obok narzędzi tortur: sekatora, noży kuchennych, dużego młotka, kawałków grubego drutu, grzałki. Okaleczoną dłoń otaczała plama gęstej, chyba nie do końca jeszcze zastygłej krwi. Krew była zresztą wszędzie – we włosach ofiary, na jej ciele, na meblach, telewizorze i sprzętach. Cały pokój wydawał się nią zbryzgany, jakby ktoś posłużył się pistoletem do rozpylania farby. Nawet na suficie dostrzegłem miejsca zroszone krwistym deszczem.

Nie ulegało wątpliwości, że Markuszewski nie żyje, ale kiedy już doszedłem do siebie na tyle, by zbliżyć się do niego, dotknąłem lewego nadgarstka w poszukiwaniu pulsu, by stwierdzić, że zimne ciało było już tak bardzo martwe, jak tylko martwe być mogło.

Pomyślałem, że powinienem zawiadomić o swoim odkryciu milicję, ale okazało się, że nie ma takiej potrzeby. W korytarzu rozległy się bowiem niepokojące hałasy, a zaraz potem do pokoju wpadło dwóch stróżów prawa. Jednego znałem. Był nim komendant Wąsowski. Nie wyglądał już tak źle jak przed kilkoma godzinami, w przeciwieństwie do mnie zdążył się widocznie wyspać we własnym łóżku, umyć i ogolić, zmienił też koszulę na czystą. Jedynie mundur nadal nosił wyraźne ślady nocnej aktywności.

Obaj milicjanci mierzyli do mnie z pistoletów, a jednocześnie z wyrazem przerażenia i niedowierzania na twarzach przyglądali się zamordowanemu. Nie dziwiło mnie, że to na mnie padło podejrzenie o dokonanie straszliwej zbrodni. Uniosłem ręce do góry, jak na filmach, i próbowałem wytłumaczyć, co się stało.

Wyjaśniłem, nie do końca zgodnie z prawdą, że byłem umówiony z Markuszewskim przed jego wyjściem do pracy, przyszedłem, zadzwoniłem, nikt nie odpowiadał, zobaczyłem, że drzwi są uchylone, wszedłem do środka i zastałem gospodarza martwego.

Komendant dotknął ciała, stwierdził, że jest zimne, co uznał za okoliczność potwierdzającą moją opowieść. Milicję wezwała sąsiadka, która zobaczyła

intruza, czyli mnie, włamującego się – to jej słowa – do domu. A skoro wtargnąłem do Markuszewskiego o siódmej osiemnaście, jak zeznała, nie byłem zabójcą, bo zbrodni bez wątpienia dokonano wcześniej.

Wąsowski mimo wszystko sprawdził, czy nie mam przy sobie broni, skuł mnie profilaktycznie w kajdanki i kazał odprowadzić do radiowozu. Słyszałem jeszcze, jak dzwoni po ekipę śledczą, ale zaraz potem zostałem brutalnie wyciągnięty przez towarzyszącego mu kolegę z domu i pozostawiony samemu sobie na tylnym siedzeniu zamkniętej milicyjnej suki.

Próbowałem się zdrzemnąć, ale za nic nie mogłem się uwolnić od widoku poddanego niewyobrażalnym torturom nauczyciela. Aby odpędzić przerażającą wizję, starałem się jak najszerzej otworzyć oczy. Byłem jednak zbyt zmęczony, by zwyciężyć w nierównym pojedynku. Nie wiem, kiedy zasnąłem.

Obudził mnie hałas otwieranych drzwi samochodu. Komendant i jego pomocnik usiedli bez słowa z przodu, wóz zacharczał i ruszył w stronę komisariatu. Dopiero na miejscu zdjęto mi kajdanki. Grubas zawołał kogoś, by pobrał ode mnie odciski palców, a następnie wyjaśnił, że muszę się nastawić na kilkugodzinny pobyt w areszcie, bo w tej chwili nie ma mnie kto przesłuchać.

Dopiero kiedy prowadził mnie do celi, przypomniałem sobie, że jest to dzień pogrzebu, o którym opowiadał mi jego brat. Uczepiłem się tej myśli i wyjaśniłem, że obiecałem proboszczowi odczytać podczas uroczystości wiersz. Dodałem, zgodnie z prawdą, że bardzo mu zależało na mojej obecności. Komendant zaklął pod nosem.

– Dobra, niech pan idzie – rzucił. – Ale jutro rano proszę się stawić na przesłuchanie. Nadal nie wiem, czy nie miał pan nic wspólnego z całą tą jatką.

Puściłem jego uwagę mimo uszu i obiecałem, że przyjdę. Już chciałem ruszyć w stronę wyjścia, kiedy grubas złapał mnie za rękę i zapytał, kiedy ostatni raz widziałem Markuszewskiego żywego. Opowiedziałem krótko, bez szczegółów, o spotkaniu z nauczycielem poprzedniego dnia.

– Nie zauważył pan niczego podejrzanego? – zagadnął, prześwietlając mnie wzrokiem. Kiwnąłem głową, że nie.

– Był sam? Markuszewski. Był sam? Nie czekał na nikogo? – dociekał milicjant.

– Był sam i nic mi nie wiadomo, by na kogoś czekał – referowałem. A jednocześnie coraz bardziej się bałem, że i mnie zapyta o alibi. Nie miałem



pomysłu, co powiedzieć. Ze swoich nocnych przygód, a zwłaszcza z czasu spędzonego u Sylwii, nie zamierzałem się spowiadać. Skłamać, że spałem w hotelu, nie mogłem, bo nie potwierdziłaby tego przecież pani Basia, siostrzenica komendanta. Gdzie więc byłem? Co robiłem, kiedy zamęczono na śmierć Markuszewskiego? Jedyłą moją odpowiedzią na pytania tego rodzaju mogło być milczenie, a milczenie zawsze jest podszyte dwuznacznością.

Kiedy zastanawiałem się nad swoją sytuacją, zadzwonił telefon. Grubas puścił moje ramię, sięgnął po słuchawkę i zaczął na kogoś krzyżeć. Wykorzystałem to, że przestał się mną interesować, i szybko skierowałem się do wyjścia.

Mimo wczesnej pory – było przed dziesiątą – zrobiło się ciepło, może nie upalnie, ale naprawdę ciepło. Musiałem zdjąć kurtkę. Bardzo już podniszczoną, w której czułem się tak dobrze i która nie wiem dlaczego sprawiała, że resztkę chłopięcego onieśmielenia, dokuczliwego zwłaszcza w okresie pierwszych miłosnych zauroczeń, wypierała z mojej duszy męska hardość. Może trochę udawana, nieautentyczna, na pokaz, ale bardzo ułatwiająca życie.

Wiedziałem, że bez kurtki na grzbiecie sobie nie poradzę, nie wystąpię przed tłumem obcych ludzi w roli recytatora, ale nie tylko dlatego rozważałem ucieczkę. Niepokoiło mnie chociażby to, że zmęczony, nieumyty i nieogolony nie bardzo nadawałem się na pomocnika sługi Bożego, ale też to, że mimo próśb proboszcza nie przygotowałem odpowiedniego wiersza.

Dlaczego więc brnąłem dalej? Oczywiście z obawy, że komendant dowiedziałby się o mojej nieobecności, a taka dezercja oznaczałaby dla niego, że skłamałem, aby uniknąć aresztu i przesłuchania. Kto zaś unika aresztu i przesłuchania? Tylko winny nie chce gadać, wie bowiem, że przyparty do muru, mógłby się zdradzić.

Orientowałem się, gdzie jest cmentarz, bo podczas wspólnego zwiedzania miasta z Marylą, które mimo nieudanego finału wspominałem ciepło, trafiłem i tam. Teraz szedłem jednak trochę na oślep, dopiero bicie dzwonów pomogło mi wyznaczyć azymut i skierować się we właściwą stronę.

W drodze rozmyślałem o przerażającej śmierci Markuszewskiego. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że zginął z ręki zabójcy Anny Eckart i Ryszarda Frąckowiaka. Czy tym zabójcą był facet, który deptał mi po piętach? Aby stwierdzić to z całkowitą pewnością, musiałbym dotrzeć do zdjęć dokumentujących ukrycie ciała. Obawiałem się jednak, że nigdy ich nie zobaczę. Jeśli Markuszewski wiedział, gdzie Frąckowiak schował film, poddany torturom bez wątplenia ujawnił to mordercy. A jeśli nawet nie,

oddał mu drugi notes, ten właściwy, zawierający zakodowaną informację o miejscu ukrycia negatywu, którego wszyscy szukaliśmy. Chyba że ten drugi notes był moim wymysłem.

Zastanawiałem się, jak morderca trafił do Markuszewskiego. I chociaż trudno, niezwykle trudno było mi to przyznać przed samym sobą, wszystko wskazywało na to, że to ja go do niego doprowadziłem. Łotr musiał mnie śledzić. Jeśli był nim pajac w kapeluszu, prawdopodobnie widział, jak odjeżdżam spod domu pielęgniarstwa, wsiadł do samochodu i podążył za nami. Zaparkował gdzieś w oddali i obserwował, z kim mam zamiar się spotkać. Nie mogłem wybaczyć sobie nieostrożności, która kosztowała życie Pawła Markuszewskiego. Tymczasem jednak miałem pożegnać innego zmarłego. Kogoś, kogo nie tylko nigdy nie poznałem, ale nie wiedziałem nawet, jak się nazywał.

Kiedy dotarłem na cmentarz, uroczystości pogrzebowe już trwały, a o wejściu do kaplicy nie było mowy, bo ze wszystkich stron oblepiało ją mrowie żałobników. Ludzie tłoczyli się wszędzie, nawet w alejkach między grobami. Poczujęm się zwolniony z obowiązku dotarcia do wnętrza. Miałem doskonałą wymówkę. Próbowałem, ale się nie udało.

Mój chytry plan runął w gruzy, kiedy dopchał się do mnie wysłannik proboszcza – kościelny, któremu kilka dni wcześniej przekazałem kluczyki do moskwicza – i konfidencjonalnym szeptem zażądał, bym podążył za nim. Przez chwilę liczyłem na to, że nie przebrniemy przez tłum, ale przed moim przewodnikiem ludzie rozstępowali się z wyrazem szacunku na twarzach i już po kilku minutach dotarliśmy do tylnych drzwi kaplicy, skąd dostaliśmy się do zakrystii, a następnie w pobliże ołtarza.

Stałem w najślabiej oświetlonym miejscu prezbiterium, pod ścianą, aby nie rzucać się w oczy rodzinie zmarłego. I zastanawiałem się, co dalej. Przypomniałem sobie, że do jednej z przepastnych kieszeni kurtki, którą ścisnąłem pod pachą, schowałem tomik wierszy Broniewskiego przesłany mi przez nastoletnich organizatorów obchodów rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja.

Wydobyłem go dyskretnie i zacząłem kartkować, chociaż wiedziałem, że szansa na znalezienie tekstu, na jaki liczył proboszcz, jest niewielka. Broniewski, o ile dobrze pamiętałem, nie zajmował się łaską wybaczenia. Miał w swoim dorobku co prawda piękne strofy żałobne, napisane po utracie córki, nadał im jednak tak osobisty ton, że nietaktem byłoby odczytanie którejs na pogrzebie innej osoby. Zniechęcony chciałem zamknąć książkę, ale właśnie wtedy otworzyła się na wierszu, który zaczynał się od słów: „I oczy

wilgotne, i serce samotne, i nie wiem, co robić dalej...”. Uznałem, że od biedy mógłbym go przeczytać. Zazaczyłem odpowiednią stronę palcem i czekałem na rozwój wydarzeń.

– Ręka Stwórcy zrywa owoce z sadu życia – kaplicę wypełnił doniosły głos proboszcza. – I chociaż jestem pewien, drodzy bracia i siostry, że nie ma wśród nas osoby, która ośmieliłaby się podważyć Jego mądrość, scenariusze, które pisze, czasem boleśnie nas zaskakują. Przecież nie tak miało być! Chcielibyśmy dziś zawołać. Pozostało tyle niespełnionych marzeń, niezrealizowanych planów, niedokończonych zamierzeń! Czy życie naszego ukochanego brata musiało się już zakończyć, rozpaść się niczym okręt rzucony na skały przez sztorm?

Kapłan nie czytał kazania. Mówił od siebie, z ogniem w oczach, co przychodziło mu tym łatwiej, że dobrze znał zmarłego. Rysował postać człowieka szlachetnego, wyłuskiwał spośród życiowych uczynków i dokonań nieboszczyka to wszystko, co można ubrać w słowa uroczyste, budzące uznanie i szacunek, ale raczej unikał, takie przynajmniej odniosłem wrażenie, idealizowania zmarłego. Na twarzach wielu zebranych w kaplicy zobaczyłem łzy. U jednych gorzkie łzy nabrzmiałego do granic wytrzymałości bólu i nieogarnionego żalu, u innych mdłe łzy działające jak środek znieczulający.

W drugiej części długiego wystąpienia kapłan wspomniął coś o odpowiedzialności żywych za zmarłych i skierował się w stronę rozważań ogólniejszych, na temat życia w zgodzie z Bogiem i boskim porządkiem, budowanego na najtrwalszym fundamencie, fundamencie miłości, pełnego ładu i dającego poczucie spełnienia, oraz życia naznaczonego egoizmem, nienawiścią, pogardą, pychą i podłością, zmarnowanego i roztrwonionego. W jego słowach było tyle żaru, że i mnie nie pozostawiły obojętnym.

Pamiętam, że zacząłem zastanawiać się nad własną egzystencją, jeszcze niedawno sprowadzającą się do wyniszczającego, jałowego pościgu za sukcesem w zawodzie, który chyba nie był mi pisany, i pełną grzesznych uciech. Może nie podjąłem tego smutnego dnia decyzji i postanowień sięgających daleko w przyszłość, ale na pewno obiecałem sobie, że zrobię na własny użytek coś w rodzaju rachunku sumienia, aby nazwać po imieniu i wyeliminować ze swojej ziemskiej wędrówki wszystko co plugawe i nikczemne. Bo czyż sam nie napiętnowałem podrywacza, który uwodzi mężatkę, odciąga ją od towarzysza życia, miesza jej w głowie? Albo kogoś, kto bałamuci wdowę, chociaż nawet przez myśl mu nie przejdzie, że mógłby się z nią związać na stałe?

Rozczulałbym się nad samym sobą i samobiczował dalej, gdyby nie to, że

proboszcz wykonał niespodziewanie jeszcze jedną wolnę i w sposób zawołany, ale dla bystrego słuchacza czytelny, zaczął prawić o konieczności wybaczenia tym, których uważamy za wrogów. Trudno się było jednak oprzeć wrażeniu, że posunął się o krok za daleko, ponieważ przez kaplicę przeszedł nieprzyjazny pomruk. Chyba nie takich słów, surowych, bezlitosnych i mocnych, rodzina zmarłego oczekiwała od swojego pasterza.

Proboszcz spojrział na mnie, jakby chciał, żebym podjął wątek, ale nie byłem na to przygotowany, co wyraziłem jakimś rozpaczliwym gestem. Dokładnie w tym momencie przyszedł mi do głowy zuchwały pomysł, którego kapłan pewnie by nie poparł, ale nie miałem żadnej możliwości skonsultowania z nim tej myśli.

Podszedłem do kościelnego i szeptem poprosiłem, by odnalazł w tłumie i jak najszybciej przyprowadził sprawcę wypadku, w którym zginął chowany tego dnia mężczyzna. Kościelny nie krył zdumienia, ale widocznie uznał, że uzgodniłem wcześniej swój zamiar z księdzem, bo wycofał się na zewnątrz i już po chwili ściągnął do zakrystii małego, zgarbionego, zapłakanego człowieczka w średnim wieku. Chociaż facet, ubrany w grubą jesionkę, jakby nie zauważył nadejścia wiosny, słał się na nogach, trzymałem się swojego planu i podałem mu tom wierszy Broniewskiego otwarty na stronie, którą zaznaczyłem wcześniej.

– Kiedy dam panu znak, proszę podejść do proboszcza i przeczytać do mikrofonu tych kilka linijek – zażądałem.

– Ależ ja nie mogę! – zaprotestował z przerażeniem w oczach.

– Nie ma o czym gadać! – oburzyłem się. – Proszę czekać na sygnał i zrobić, o co proszę – rozkazałem. Czułem, że zamroczony bólem nie potrafi mi się przeciwstawić.

Wróciłem na swoje miejsce w prezbiterium, poszukałem wzrokiem spojrzenia proboszcza i skinąłem głową na znak, że jestem gotowy. Z wyrazem ulgi na twarzy przeszedł do rutynowego zakończenia.

– Niech dobry Bóg przyjmie naszego brata do swojej chwały i pozwoli mu cieszyć się życiem wiecznym. Jezu, który podnosiłeś chrymich na nogi i przywracałeś wzrok niewidomym, wejrzyj i na nas, którzy płaczymy, i otrzyj łzy z oczu naszych, abyśmy zobaczyli i zrozumieli, że życie się nie kończy, a jedynie ulega zmianie.

Z chóru popłynęła cicha melodia skrzypiec. Pomyślałem, że *Ave Maria* to dobre tło dla sceny, którą zaplanowałem.

Proboszcz zwrócił się w moją stronę i zrobił zapraszający gest, ale choć odczytałem jego znak, nie podszedłem do ołtarza. Odsunąłem się na bok, tak

by oczom księdza, a potem wszystkich zebranych ukazał się zaproszony przeze mnie gość. W kaplicy zahuczało. Dwóch czy trzech żałobników manifestacyjnie się odwróciło i przepychając się przez tłum, wyszło na zewnątrz. Zdezorientowany kapłan nie wiedział, jak zareagować.

Ścisnąłem zgarbionego mężczyznę za ramię i lekko pchnąłem do przodu. Kompletnie zagubiony podszedł chwiejnym krokiem do proboszcza, przebiegł wzrokiem słowa, które mu wskazałem, zawahał się, zamknął tomik i kiedy wszystko wskazywało na to, że się wycofa, zaczął drżącym głosem recytować.

*Zatrzymajcie zegary, wyłączcie telefony,  
Rzućcie psu smakowitą kość, niech zamilknie.  
Uciszcie fortepiany i przy milczących werblach  
Wnieście trumnę. Niech wejdą żałobnicy...*

Słuchałem niedoskonałej, niewprawnej recytacji z przejęciem. Dlaczego sam na to nie wpadłem? Dlaczego, zamiast kartkować poezje Broniewskiego, nie poszukałem odpowiedniego wiersza w pamięci? *Funeral blues* Audena znałem doskonale, i to w oryginale (nie wiedziałem, że istnieje tłumaczenie na polski), bo był to jeden z tych wierszy, w których odnalazłem echo własnego bólu po śmierci ojca. Ale słowa angielskiego poety nigdy wcześniej nie poruszyły mnie tak jak wtedy, w małej kaplicy w Starym Krzyżu. Mimo że mężczyzna z wielkim trudem wyrywał je gdzieś z głębi siebie, jakby musiał pokonać wiele przeszkód, by się do nich dogrzebać.

W pewnej chwili głos całkowicie mu się załamał. Obawiałem się, że nie dobrnie do końca. A jednak po chwili z nabrzmiałej oczekiwaniem ciszy wypłynęła ostatnia strofa posępnego bluesa.

*Na co komu gwiazdy? Wygaście je po kolei.  
Usuńcie księżyc, odwołajcie słońce.  
Osuszcie oceany, wytnijcie lasy,  
Bo już na zawsze stały się zbędne.*

Kiedy ostatnie słowa wiersza wypełniły pustkę, z gardła człowieczka w jesionce wydobył się jakiś nieludzki jęk czy szloch, przerażający i jednocześnie zaraźliwy, bo i tłumem wypełniającym kaplicę wstrząsnął rozdierający lament. W tym samym momencie jeden z żałobników stojących najbliżej trumny – jak się później dowiedziałem, najstarszy syn zmarłego –

zbliżył się powoli do nas, wyciągnął rękę i podał ją mężczyźnie. A potem obaj się niezdarnie objęli i zapłakali.

Emocje osiągnęły takie natężenie, że wolałem usunąć się z widoku. Wycofałem się do zakrystii, a potem na zewnątrz i do końca pochówku błąkałem się samotnie po placyku na tyłach kaplicy.

Nie rozumiałem, dlaczego zaproszono mnie na stypę, ale głód sprawił, że mimo zaniedbanego wyglądu podążyłem za innymi do restauracji w pobliżu rynku. Zająłem miejsce daleko od najbliższych krewnych zmarłego. Szybko zjadłem danie główne, czerninę, okropną zupę z krwi, oraz pieczoną kaczkę z jabłkami, podobno ulubioną potrawę nieboszczyka, i po wypiciu dwóch kieliszków wódki chciałem stamtąd czmychnąć, ale zmieniłem zdanie, kiedy miejsce obok mnie zajął kustosz muzeum historycznego.

– Znowu się widzimy – zaczął cicho.

– Szkoda, że w takich okolicznościach – zauważyłem, pełen obaw, że facet domyślił się, kto włamał się do prowadzonej przez niego placówki.

– Oj szkoda – westchnął. Sięgnął po butelkę, polał, wziął kieliszek do ręki, zachęcił mnie, bym zrobił to samo, i przechylił do dna. Wypiłem i ja.

– Pan znał nieboszczyka, świeć Panie nad jego duszą? – zapytał.

– Nie, nie znałem.

– Skąd więc... – Nie dokończył następnego pytania.

Chciałem wyjaśnić, jak trafiłem na pogrzeb i stypę, ale mężczyzna wykrzyknął, jakby mu się coś przypomniało:

– A wie pan, że znowu mi się włamali!

– Niemożliwe! – udałem zdziwienie.

– Tak, tak – potwierdził. – Na szczęście nic nie zginęło. I nic nie uległo zniszczeniu. Jeśli nie liczyć zbitej szyby.

– Bogu dzięki! – ucieszyłem się szczerze. Jakiś chuligan wracający z nocnej popijawy mógł przecież zauważyć wybitą przeze mnie szybę, wejść do środka i narobić szkód.

– Ale wie pan, kiedy przyszedłem do pracy i zobaczyłem, co się stało... – Facet prawie nie był w stanie mówić. – No, przyznam, że nogi się pode mną ugięły. Zwłaszcza że w ostatnich dniach udało mi się odtworzyć zniszczone zdjęcia. I przyszło mi do głowy, że sprawca postanowił podrzeć je ponownie, żeby nikt ich nie zobaczył. Dopiero kiedy wszedłem do środka, odetchnąłem z ulgą. Okazało się, że zdjęcia są na swoich miejscach.

Kustosz znowu sięgnął po butelkę, ale tym razem nalał tylko mnie. Wypiłem i rozejrzałem się po sali. Żałobnicy toczyli nudne rozmowy, niekoniecznie związane z osobą zmarłego. Z końca stołu dobiegł nas nawet

perlisty kobiecy śmiech, urwany dopiero po chwili, jakby winowajczyni nie od razu zdała sobie sprawę z niestosowności swojego zachowania.

Kiedy spojrzałem w tamtym kierunku, moją uwagę przykuła znajoma twarz. Od razu rozpoznałem bibliotekarkę, która pomogła mi zebrać informacje o Annie Eckart. Ukłoniłem się, ale nie odpowiedziała. Przeszyła mnie chłodnym spojrzeniem i odwróciła głowę. Przypomniałem sobie, że kiedy spotkałem ją w sklepie, też potraktowała mnie chłodno.

– Dziwne – powiedziałem. – Bibliotekarka chyba przestała darzyć mnie sympatią. Nie odpowiedziała na mój ukłon.

– To nie o pana chodzi – wyjaśnił kustosz. – Raczej o mnie.

– O pana? – zdziwiłem się.

– Dawne dzieje – westchnął. – Byliśmy kiedyś parą. Rozmawialiśmy nawet o ślubie. Nie wyszło. Maria do dziś się do mnie nie odzywa. Kiedy mnie widzi, odwraca głowę, przechodzi na drugą stronę ulicy. Nauczyłem się z tym żyć.

– Rzucił ją pan? – Chaotyczne wyjaśnienia starszego pana nie przekonały mnie, zwłaszcza że bibliotekarka już wcześniej odniosła się do mnie chłodno.

– To długa historia – mruknął. – Mąż Marii, Zygmunt Rosół, lekarz, został zamordowany w czterdziestym trzecim przez Niemców. Mimo że nikomu nie odmawiał pomocy. Wyznawał zasadę *erga quemcumque*. „Wobec każdego jednakowo”. Podobno przywrócił między żywych chorą siostrę szefa gestapo Alberta Krügera. I tenże szef gestapo wydał rok czy dwa lata później rozkaz uwięzienia swojego dobroczyńcy w poznańskim Forcie VII, zwanym katownią Wielkopolski, bo nikt nie wracał stamtąd żywy. Pretekstem była podobno znaleziona u Rosoła antynazistowska książka *Sein Kampf. Antwort an Hitler* Irene Harand. Wszystko wskazuje na to, że doktora rozstrzelano, tak jak wielu innych, w lesie niedaleko Żabikowa, chociaż w akcie zgonu napisano, że zmarł na gruźlicę. Maria została sama z roczną córeczką Zuzią. Oczywiście znam tę historię tylko z opowieści, bo przyjechałem do Starego Krzyża kilka lat później, w pięćdziesiątym. Z miejsca zakochałem się w Marii. Z wzajemnością. Bardzo bliska stała mi się też Zuzia. I któregoś dnia Maria powierzyła ją mojej opiece. Zabrałem dziewczynkę do parku, na huśtawkę. Bawiła się świetnie, ale w pewnej chwili zdecydowała się zeskoczyć i upadła na kolana. Nic się nie stało, co to za wysokość, ale ktoś, kto to widział, do dziś nie wiem kto, przedstawił Marii dramatyczną wersję zdarzenia. A także powiedział, nie uwierzy pan, że obłapiałem Zuzię. A ja ją tylko przytuliłem. Maria nawet nie wysłuchiwała moich wyjaśnień. Nie chciała ze mną gadać. I nie rozmawia do dziś. Podobnie jak Zuzanna. Może ją pan poznał? Jest żoną

dyrektora Burego.

– Widziałem ją tylko na zdjęciach – stwierdziłem. I ponieważ nie bardzo wiedziałem, jak zareagować na bolesne zwierzenia kustosza, szybko zmieniłem temat: – Naprawdę odnalazł pan filmy dokumentujące życie wojenne mieszkańców regionu? Mówił mi pan, że nie będzie łatwo.

– Przypadek, pomógł mi przypadek – wyjaśnił starszy pan. – Chyba tego dnia, kiedy się poznaliśmy, sięgnąłem przed snem po *Trzech muszkieterów*. To moja ulubiona książka. Chętnie do niej wracam. Oczywiście nie po to, żeby przeczytać od deski do deski. Znam ją właściwie na pamięć. Ale lubię do niej zajrzeć. Posmakować. Dziś już się tak nie pisze...

Mężczyzna spojrział na mnie ze smutkiem.

– No więc otwieram tych *Trzech muszkieterów* – jego głos z trudem przebijał się przez gwar wypełniający restaurację – i co widzę? Notatkę, napisaną moją ręką, ołówkiem, gdzieś na marginesie: „Zburzenie przez Niemców pomnika Powstańców Wielkopolskich, październik 1939 r., klatka 14”. Kartkuję i natrafiam na kolejne podobne informacje, rozsiane po całym tomie: „Wizyta w Starym Krzyżu Arthura Greisera, namiestnika Rzeszy w Kraju Warty, sierpień 1940 r., klatki 12, 17 i 19” albo: „Abschnittsleiter Heinrich Lippe wizytuje niemiecką szkołę dla polskich dzieci, marzec 1943 r., klatki 5, 6 i 9”. Ucieszyłem się, bo zupełnie wypadło mi z głowy, że zapisałem, które ujęcia wybrałem. Ale zaraz potem postukałem się w głowę! Nigdzie nie mogłem znaleźć numerów filmów!

Kustosz poprosił, żebym mu nalał. Wypiliśmy znowu kolejkę i zagryźliśmy chlebem z metką i ogórkiem kiszonym.

– Ale pomyślałem, że nie mogłem być aż takim idiotą! – wykrzyknął mężczyzna. – Zacząłem kartkować książkę w tę i z powrotem, aż w końcu mnie olśniło. Znaczący przypomniałem sobie, że numery filmów odpowiadają numerom stron. Rozumie pan? Na stronie trzydziestej *Trzech muszkieterów* umieściłem opis filmu numer trzydzieści, na sto dwudziestej opis filmu numer sto dwadzieścia i tak dalej. W całej książce jest tych notatek kilkadziesiąt, bo z kilkudziesięciu filmów Vogla wybrałem zdjęcia do muzeum.

– Co panu strześliło do głowy, żeby te informacje zaszyfrować? – zapytałem, ale tak naprawdę opowieść kustosza zaczęła mnie nudzić. Nie wiem nawet, co mi odpowiedział. Prawdopodobnie coś o młodzieńczej fascynacji zagadkami. Słyszałem piąte przez dziesiąte, bo myślami byłem gdzie indziej.

Świadomość, że przyczyniłem się do śmierci Markuszewskiego, nie dawała mi spokoju. Próbowałem utopić udrękę w alkoholu, ale im więcej go w siebie wlewałem, tym silniej dawała o sobie znać. W końcu podniosłem się od stołu



i bąknąłem coś na pożegnanie. Dopiero wtedy okazało się, że nie jestem w stanie zrobić ani kroku. Osłabiony brakiem snu i intensywnością mijającego dnia zalałem się szybciej, niż mogłem się spodziewać. Dopóki siedziałem, jakoś się trzymałem. Kiedy wstałem, rzeczywistość wokół mnie niepostrzeżenie się zakołysała. Opadłem z powrotem na krzesło, a moja głowa znalazła oparcie na stole. Podświadomość podpowiadała mi, że zachowuję się jak cham, ale pragnienie snu było silniejsze niż wszystko inne.

Miałem sprawdzić, co z Ewą, skarciłem się w myślach, ale był to ostatni komunikat, jaki mój mózg zakodował tamtego dnia.

22 kwietnia 1982, czwartek

Kiedy się obudziłem, było ciemno i dobrą chwilę trwało, nim się zorientowałem, że leżę we własnym łóżku w hotelu, w ubraniu, jedynie bez butów, ustawionych jeden obok drugiego, równiutko, pod ścianą. Skąd się tam wziąłem, Bóg raczy wiedzieć. Prawdopodobnie kiedy biesiadowanie dobiegło końca, a goście rozeszli się do domów, rodzina zmarłego próbowała mnie obudzić. A kiedy się okazało, że nie jest to łatwe, wymyśliła jakiś sposób, by przetransportować mnie do domu, czyli do pokoju w jedynym hotelu w Starym Krzyżu.

Próbowałem wyobrazić sobie synów nieboszczyka, taszczących mnie, z przekleństwami na ustach, do samochodu, a potem, z jeszcze bardziej ordynarnymi bluzgami w zanadrzu, z samochodu na pierwsze piętro. Powinienem oczywiście wyrazić im wdzięczność, ale nie miałem pomysłu jak.

Podniosłem się z łóżka, aby zamknąć drzwi na klucz, a jednocześnie próbowałem odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego nikt w nocy nie porachował mi kości. Wcześniej musiałem przecież uciekać i chować się w różnych norach przed prześladowcą w kowbojskim kapeluszu. Co się stało? Zaniechał pogoni? Odpuścił sobie? Przegapił mój powrót do hotelu?

Wódka, którą piłem na stypie, prawdopodobnie domowego wyrobu, bo na butelkach nie było etykiet, okazała się trunkiem mocnym, ale szlachetnym. Ku mojemu zdumieniu nie dokuczał mi kac. Wprost przeciwnie, czułem się rześko i miałem zaskakująco jasny umysł. Ba, widziałem wszystko bardziej przenikliwie niż poprzedniego dnia. Dlatego, rozmyślając o różnych sprawach, dochodziłem do zupełnie innych wniosków niż wcześniej. Uznałem na przykład, że jeśli nawet Frąckowiak miał drugi notes, Markuszewski nie mógł o nim wiedzieć. Jego udręka trwała wiele godzin, a przedłużała się, ponieważ milczał. Powód zaś hardości w obliczu tak przerażających tortur mógł być tylko jeden. Mężczyzna nie potrafił wskazać oprawcy żadnego śladu prowadzącego do negatywu.

Leżąc w wygodnym łóżku i roztrzásając zdarzenia dnia poprzedniego, a w szczególności rozmowę z kustoszem na temat zapisków na marginesach *Trzech muszkieterów*, zrozumiałem też, jak czytać notes Frąckowiaka. Byłem prawie pewien, że numery stron, na których umieszczono jednozdaniowe informacje na temat zdarzeń udokumentowanych zdjęciami, pokrywają się z numerami przegródek w szkolnym archiwum, zawierających odpowiednie

negatywy. Jeśli na przykład wizyta burmistrza w liceum osiemnastego lutego siedemdziesiątego piątego roku została odnotowana na stronie sto dziewięćdziesiątej, filmy zrobione tego dnia miały swoje miejsce w przegródce o takim numerze.

Zastanawiało mnie jedynie, dlaczego klisze nie zostały skatalogowane chronologicznie. Niektóre noty na temat zdarzeń bliskich nam w czasie, takich jak matury z osiemdziesiątego pierwszego, pojawiały się bowiem na początku lub w środku brulionu, nie na końcu. Ale i to można było wyjaśnić. Zapewne niektóre negatywy z czasem zaginęły, uległy zniszczeniu, zostały gdzieś przeniesione czy też uznane za mniej istotne i usunięte. A jeśli tak, odpowiadające im numery można było wykorzystać ponownie. Kiedy więc Frąckowiak przyniósł do archiwum filmy dokumentujące matury z osiemdziesiątego pierwszego, mógł stwierdzić, że zwołnia się jedna z pierwszych przegródek, i umieścić je tam, a nie pod koniec, gdzie trafiłyby, gdyby trzymał się chronologii.

I jeszcze jedna kwestia. Dlaczego wiele stron notesu pozostało pustych? I tu odpowiedź była tak naprawdę prosta. Frąckowiak opisywał wyłącznie zdarzenia, które sam dokumentował zdjęciami, a przecież w pierwszych latach istnienia szkoły jeszcze w niej nie pracował. Poza tym fotografią parało się także kilku innych nauczycieli, chociażby Markuszewski.

Postanowiłem wybrać się do liceum i sprawdzić, czy rzeczywiście rozpracowałem system, a jeśli tak, co mi to dało poza wątpliwą satysfakcją z szybkiego znalezienia na przykład filmów ze studniówki w siedemdziesiątym ósmym. Negatyw z grudnia osiemdziesiątego pierwszego roku, którym zabity nauczyciel próbował szantażować mordercę, nie został przecież odnotowany w zeszycie, chyba że w miejscu, którego nie dostrzegalem. Aby dotrzeć do filmu ujawniającego twarze zabójców Anny Eckart, nadal brakowało mi klucza, o którym mówił Markuszewski.

Ale zanim popędziłem do liceum, które znajdowało się w połowie drogi między dworcem a hotelem, chciałem odnaleźć Ewę i upewnić się, czy jest bezpieczna.

Po porannej toalecie – nareszcie porządnie się umyłem i ogoliłem – wspiąłem się na strych, zapukałem, ale nikogo nie zastałem. Zbiegłem do recepcji. Dyżurująca za biurkiem pani Basia uspokoiła mnie, że w ciągu minionej doby wielokrotnie widziała Ewę całą i zdrową. W tej sytuacji postanowiłem nie odkładać już wizyty w szkole.

Wyruszyłem natychmiast, tak jak stałem, z notesem Frąckowiaka pod pachą. Po drodze posiliłem się kupionymi w sklepie spożywczym bułkami

i kefirem. A zaraz potem stanąłem zdyszany przed pochodzącym z czasów pruskich, majestatycznym gmachem. W niczym nie przypominał mojego ogólniaka, wykrojonego według standardowego projektu i pozbawionego, jak przeważająca masa budynków peerelowskich, wszelkich cech indywidualnych. Brzydkiego, ale musiałem to przyznać, swojskiego. W liceum w Starym Krzyżu nie odnalazłem nic z beztroskiej atmosfery moich lat szkolnych. Powiedzieć, że nie czułem się w nim dobrze, to mało. Wysokie, puste, zimne wewnątrz budziło we mnie niepokój.

Stałem na środku długiego, rozległego korytarza i zastanawiałem się, jak znaleźć archiwum fotograficzne. Ponieważ nie widziałem wokół siebie nikogo, kto mógłby wskazać mi drogę, postanowiłem wejść do sekretariatu i mimo że nie miałem pomysłu, jak wytłumaczyć cel moich poszukiwań, zapytać tam, dokąd się udać. Ale kiedy chciałem już zapukać do wysokich, solidnych drzwi, poczułem, że ktoś chwyta mnie za ramię, ściska mocno i wrzeszczy:

– Nie! Nie! Nie! Proszę nie myśleć, że pozwolę panu tu węszyć! Żadnych dziennikarzy! Proszę opuścić budynek!

Właścicielką przenikliwego, charczącego głosu okazała się niska, chuda, zwiędnięta kobieta w szarej garsonce i tanich metalowych okularach, roztaczająca wokół siebie odstręczający zapach tytoniu.

– Nie bardzo wiem... – zacząłem się tłumaczyć, ale urwałem, bo babsztyl, prawdopodobnie dyrektorka szkoły, przeszył mnie lodowatym spojrzeniem i zwrócił się do zgarbionego starca w granatowym fartuchu, zapewne woźnego, który wyrósł obok niej jak na zawołanie:

– Panie Mietku! Dlaczego obce osoby kręcą się po budynku? Proszę natychmiast wskazać im drogę do wyjścia!

Oczywiście dotarło do mnie, że tymi „obcymi osobami” byłem ja i to ja miałem jak najszybciej wynieść się z gmachu.

Kobieta puściła moje ramię i spokojniejszym tonem wytłumaczyła:

– Jestem przekonana, że tragiczna śmierć pana Markuszewskiego nie miała związku z jego pracą, i nie dopuszczę, żeby w publikacjach na temat zabójstwa została oczerniona i splugawiona nasza szkoła.

– Ale ja w ogóle nie mam zamiaru o tym pisać! – powiedziałem trochę zaskoczony, że dyrektorka liceum, której wcześniej nie widziałem na oczy, orientuje się, kim jestem.

– Już ja dobrze wiem, po co pan przyszedł! – warknęła kobieta, błyskając złotym zębem. Oczywiście nie miała pojęcia, po co przyszedłem, ale nie zamierzałem wyprowadzać jej z błędu. Grzecznie się ukloniłem, zrobiłem

w tył zwrot i ruszyłem do wyjścia. Odgłosy moich kroków odbijały się złowieszczym echem od ścian, a na plecach czułem spojrzenia nieprzyjaźnie do mnie nastawionej pary. Dopiero kiedy drzwi się za mną zatrzasnęły, odetchnąłem z ulgą.

Poddać się? Za nic! Okrążyłem budynek i znalazłem się na boisku. Uczniowie jednej z klas grali w piłkę nożną, ale ponieważ mimo porannej pory było ciepło i duszno, ruszali się jak muchy w smole. Mecz obserwował ostrzyżony na rekruta mężczyzna w czerwonym dresie i z gwizdkiem w ustach. Sędzia? Raczej nauczyciel wuefu.

– Paślawski, ruszaj się! – huknął na jednego.

– Rupieta, celniej! – ryknął na innego.

– Wiatrowski, za dużo papierosów! Brakuje ci kondycji! – zbeształ kolejnego.

– Ale ja, panie psorze, nie palę! – wyjaśnił zagadnięty.

– To zacznij!

Chociaż pedagog robił wrażenie niezbyt przyjaznego, odważyłem się podejść. Przeprosiłem grzecznie, że przeszkadzam, i wyjaśniłem w kilku zdaniach, kim jestem. Powiedziałem, że szukam osoby opiekującej się szkolnym archiwum fotograficznym, ponieważ zależy mi na kilku zdjęciach z przeszłości liceum, które chciałbym wykorzystać w przygotowywanych przeze mnie artykułach, kłamałem jak z nut, na temat Starego Krzyża.

– Źle pan trafił. – Wuefista zafrasował się. – Ktoś się włamał do sali, w której trzymamy filmy. Słyszał pan o Markuszewskim? Nauczycielu geografii?

Potwierdziłem.

– No więc kiedy wczoraj rano milicja poinformowała nas o tym, co się stało, w szkole zapanował chaos. Ktoś to wykorzystał. Wszedł do archiwum, powyrzucił koperty z filmami z szuflad, zrobił taki burdel, że... Szkoda gadać!

– Tak po prostu?

– Wie pan, archiwum mieści się na pierwszym piętrze. Na samym końcu korytarza. Łatwo się wślizgnąć.

– Coś zniknęło?

– Trudno powiedzieć. Trzeba by uporządkować zbiory, posprawdzać...

– Kto to mógł zrobić? Uczniowie?

– Jak nie, jak tak – potwierdził. I podniesionym głosem dodał: – Dla tych gówniarzy nie ma nic świętego!

A zanim jeszcze skończył, odwrócił się w stronę boiska i wrzasnął:

– Miziński! I co to miało być? Co to miało być?!

Pokręcił głową z dezaprobatą i powrócił do przerwanej rozmowy:

– Ale pani dyrektor uważa, że to ktoś z zewnątrz. Wezwała milicję. Przyjechali, pokręcili się, popatrzyli. A w końcu powiedzieli, że są zajęci śledztwem w sprawie śmierci Markuszewskiego i nasze włamanie musi poczekać. Zapieczętowali salę i tyle.

Wiadomość o włamaniu do szkolnego archiwum fotograficznego dała mi do myślenia. I już podczas rozmowy z nauczycielem wuefu doszedłem do wniosku, że Markuszewski musiał skierować zabójcę do szkoły, a ten włamał się do archiwum i je przetrząsnął. Czy znalazł film, na którym zależało nam obu? Tego nie wiedziałem. I wszystko wskazywało na to, że już się nie dowiem. Pomieszczenie zostało przecież opieczetowane przez milicję.

Kiedy dziękowałem rozmówcy za wyjaśnienia, rozległ się przenikliwy dzwonek. Chłopcy z dzikim wrzaskiem popędzili w stronę szkoły. Patrząc, jak znikają za drzwiami, doznałem olśnienia. Do budynku można się dostać także od tej strony! I chociaż nie liczyłem już na to, że uda mi się zajrzeć do archiwum, postanowiłem przynajmniej rzucić okiem na opieczetowane drzwi. Po co? Na to pytanie nie umiałem sobie odpowiedzieć.

Poczekalem do końca przerwy i dopiero wtedy udałem się do tylnego wejścia. Ciemnym, wąskim korytarzem prowadzącym wzdłuż sali gimnastycznej doszedłem do schodów, wspiałem się na piętro i niezatrzymywany przez nikogo odnalazłem właściwe drzwi. Nie było na nich żadnego napisu, tylko numer, osiemnaście, ale papierowa opaska z rozmazanymi pieczęciami, których treści nie można było odczytać, potwierdzała, że dotarłem na miejsce. Nie mogłem odzalaować, że muszę się poddać. Powoli, z ociąganiem, ruszyłem z powrotem.

Przy schodach odwróciłem się, aby raz jeszcze spojrzeć na drzwi strzegące, jak sądziłem, tajemnicy śmierci Anny Eckart, Ryszarda Frąckowiaka i Pawła Markuszewskiego. Co zobaczyłem? Jak dwoje uczniów ze starszych klas, chłopak i dziewczyna, wkrada się do środka. Nie zauważyli, że ich widzę? Czy po prostu uznali, że jako ktoś spoza szkoły nie będą się wtrącać? Nieistotne. Ważne, że zrobili to, co ja powinienem był zrobić. Odkleili milicyjną opaskę, trochę ją odgięli, by nie przeszkadzała w otwieraniu drzwi, i najzwyczajniej w świecie weszli do środka. Mieli klucz? Czy drzwi były otwarte? A poza tym – kim byli? Wandalami, którzy poprzedniego dnia zniszczyli archiwum i postanowili dokończyć to, co zaczęli? Nie wyglądali na parę rozrabiaków. Czego więc szukali w zdewastowanym zbiorze? Postanowiłem się tego dowiedzieć.

Obejrzałem starannie drzwi, na których nadal wisiła upstrzona pieczęciami papierowa wstążka. A potem powoli, jak najciszej, nacisnąłem klamkę. Drzwi od razu puściły. Rozejrzałem się, czy nikt mnie nie widzi, i bezszelestnie wsunąłem się do środka.

Znalazłem się w pomieszczeniu wielkości klasy. Okna zasłonięto ciemnymi storami, ale chociaż nie zapaliłem światła, mogłem w półmroku dojrzeć, że na środku zamiast ławek ustawiono rząd niewysokich, otwieranych na obie strony szafek, w których prawdopodobnie zarchiwizowano filmy i być może szkolne dokumenty. Na ścianach dookoła rozwieszono mapy i plansze dydaktyczne. W jednym z kątów znalazło się miejsce na zwinięte flagi, w innym na szkielet człowieka. Podłogę zasnuły rozrzucone bezładnie koperty i pojedyncze negatywy.

Zastanowiło mnie, co się stało z dziewczyną i chłopakiem. Przecież nie mogli zniknąć. Przeszedłem na palcach wzdłuż długiego szeregu szafek, wychyliłem się ostrożnie i zajrzałem do ciemnego korytarza za nim.

Najpierw zobaczyłem dziewczynę. Siedziała na podłodze rozebrana do pasa, świecąc w mroku mleczną bielą niedużych piersi. Chłopak klęczał tuż obok, ale ponieważ był ubrany na czarno, prawie nie odcinał się od tła, i dlatego nie od razu go dostrzegłem. Z początku nie bardzo rozumiałem, co robi, dopiero kiedy wzrok przyzwyczaił się do ciemności, zauważyłem, że wkłada na prawą dłoń skórzaną rękawiczkę, jakby szykował się do wyjścia na mróz. A kiedy już ją naciągnął, wyrównał i poprawił, sięgnął do piersi koleżanki i zaczął je gładzić, ścisnąć, wyrabiać niczym ciasto na chleb.

– Nie tak mocno! – syknęła dziewczyna.

– Bez... Pozwól bez... – poprosił chłopak, dysząc z podniecenia.

– Tylko w rękawicze! – usłyszał w odpowiedzi. – Jak się umawialiśmy?

– Lidka, proszę. – Chłopak uderzył w ton błagalny.

W tej samej chwili potrąciłem jakiś przedmiot stojący na jednej z szafek, a jego głucho uderzenie o podłogę spłoszyło młodych. Dziewczyna zakryła piersi rękami, chłopak gwałtownie się podniósł.

– Co tu się wyprawia? – huknąłem tonem, którym nauczyciel wuefu strofował młodzież na boisku. Dziewczyna znalazła biustonosz oraz bluzkę i zaczęła się ubierać. Chłopak zerwał z dłoni rękawiczkę i czekał cierpliwie, aż koleżanka będzie gotowa do wyjścia z ukrycia. Wydostali się z szafek razem, wczepieni w siebie jak przestraszone dzieci. Nie bardzo rozumieli, co się dzieje. Ktoś ich przyłapał, ale kto? Widzieli tylko zarys sylwetki, głosu nie rozpoznawali. Było mi głupio, że im przeszkodziłem, ale w ich obecności nie mogłem przecież przekopywać się przez archiwum, które milicja zamknęła

dla ciekawskich.

– Zmykać mi stąd, ale już! – krzyknąłem.

Nie trzeba im było tego powtarzać. W jednej chwili dopadli drzwi i już ich nie było. Zostałem sam.

Po dłuższych poszukiwaniach znalazłem włącznik i zapaliłem światło. Dopiero teraz mogłem podziwiać wiszące na ścianach plansze dydaktyczne w pełnej okazałości: „Tablicę Mendelejewa”, „Jednostki miar”, „Wzory skróconego mnożenia”, „Odmianę czasownika”, „Stopniowanie przymiotników” i „Wielkie odkrycia geograficzne”. Z pewnym zdziwieniem zauważyłem, że zaplątały się pomiędzy nie hasła na różne okazje, w tym „Po pierwsze – uczyć się, po drugie – uczyć się, i po trzecie – uczyć się!”, podpisane: Włodzimierz Iljicz Lenin, „Młodzież zawsze z Partią!” i trochę już przeterminowane: „Towarzysz Gierek naszym wzorem!”.

Podszedłem do stojących na środku szafek, otworzyłem kilka przypadkowych szuflad i stwierdziłem, że tak jak się domyślałem, wypełniają je umieszczone w przegródkach koperty z negatywami. Filmy rozrzucone na podłodze stanowiły niewielki ułamek zawartości archiwum. Włamywacz szybko zaniechał poszukiwań. Dlaczego? Znalazł interesujący go negatyw? Czy może raczej zrozumiał, że nie ma szans go odszukać bez dokładnej informacji, gdzie się znajduje.

Najpierw sprawdziłem, czy rzeczywiście numery przegródek i umieszczonych w nich kopert pokrywają się z numerami stron w notatniku Frąckowiaka. Okazało się, że tak. Upewniłem się też, czy pod numerem sto osiemdziesiątym drugim, zapisanym cyframi rzymskimi na tablicy na zdjęciu z notatnika, nie kryje się poszukiwany przeze mnie film. Niestety, tak jak twierdził Frąckowiak, nie było tam nic ciekawego. I na tym mogłem właściwie zakończyć. Nie miałem pojęcia, jaki powinien być następny krok.

Raz jeszcze spojrzałem na zdjęcie klasy pani Kosickiej. Na tablicy widniał napis: „germinal CLXXXII”. Tytuł powieści Emila Zoli, do której nigdy nawet nie zajrzałem, a potem owa tajemnicza liczba: sto osiemdziesiąt dwa. Nie dostrzegłem między obydwojma elementami żadnego związku. Ale wiedziałem, kto mógłby mi ten związek wskazać. Kosicka. Ze słów Markuszewskiego wynikało, że nadal pracuje w szkole.

Wyszedłem z sali. Z pomocą zużytej gumy do żucia pozostawionej na drzwiach przez dziewczynę i chłopaka umieściłem milicyjną opaskę na właściwym miejscu i cierpliwie czekałem na dzwonek. A kiedy wreszcie zadzwieczał, z tą samą bezwzględną natarczywością co poprzednio, i z klas wylała się młodzież, podszedłem do dwóch dziewcząt przechadzających się



po korytarzu, by zapytać o nauczycielkę ze zdjęcia. W tej samej chwili zobaczyłem w oddali jej twarz, trochę postarzałą, ale nie odbiegającą aż tak bardzo od wizerunku na fotografii.

Kosicka, sympatyczna pani po pięćdziesiątce, ubrana skromnie w beżową sukienkę z białym kołnierzykiem, mocowała się z kluczem w drzwiach klasy. Przeprosiłem dziewczęta, podbiegłem do niej i pomogłem zamknąć salę. Przedstawiłem się, wyjąłem z notesu zdjęcie znalezione w notesie.

– Skąd pan to ma? – zapytała zaskoczona.

Udawałem, że nie dosłyszałem. Nie chciałem wyjaśniać, że fotografia pochodzi ze zbiorów Frąckowiaka, a nie zamierzałem kłamać.

– Zastanawia mnie, co znaczy ten napis. – Pokazałem na tablicę. – Tytuł powieści Zoli, napisany małą literą, i liczba sto osiemdziesiąt dwa, napisana rzymskimi cyframi.

– Tytuł powieści Zoli, której pan nie czytał, prawda? – skarciła mnie wyniosłym tonem charakterystycznym dla nauczycieli. – Bo gdyby ją pan znał, wiedziałby pan, że „germinal” to nazwa miesiąca. A na tablicy jest po prostu data zrobienia zdjęcia: „5 germinal CLXXXII”. Proszę się przyjrzeć, za moją głową, o tu – wskazała odpowiednie miejsce palcem – widać piątkę. A może piętnastkę? Nie, piątkę! Zapewne mówiliśmy wtedy o rewolucji francuskiej i zapisałam ten dzień według ustaleń kalendarza republikańskiego, wprowadzonego w 1793 roku. Lata liczono w nim od dwudziestego drugiego września 1792 roku, od ustanowienia Pierwszej Republiki Francuskiej. Era chrześcijańska dobiegła końca, zaczęła się era rewolucyjna! Jak w Polsce w czterdziestym czwartym, ale u nas do zmiany kalendarza się nie posunięto. Może szkoda, że generał Jaruzelski nie wpadł na pomysł wprowadzenia własnego kalendarza z dniem trzynastym grudnia. Mielibyśmy teraz rok pierwszy. Może poczułabym się młodziej?

Nauczycielka uśmiechnęła się kwaśno.

– Francuski kalendarz republikański przetrwał tylko dwanaście lat – podjęła przerwany wątek. – Miesiące, liczące po trzydzieści dni, otrzymały w nim nowe nazwy. Takie właśnie jak *germinal* od łacińskiego słowa *germen*, czyli „kiełek”.

– Może pani rozszyfrować datę zapisaną na tablicy? – trochę zbyt obcesowo uciałem nużące wywody kobiety, ale bałem się, że przerwa dobiegnie końca, a je nie dowiem się, kiedy sfotografowano jej dawną klasę.

– Sto osiemdziesiąt dwa trzeba dodać do roku, który ustanowiono jako początek nowej ery, a więc 1792, co daje nam 1974. A piąty dzień miesiąca germinal, który zaczynał się dwudziestego pierwszego marca, to dwudziesty

piąty marca. Zdjęcie zrobiono więc dwudziestego piątego marca 1974 roku.

Bąłem się, że nauczycielka powróci do pytania, skąd wzięłem zniszczoną fotografię, a następnie będzie chciała się dowiedzieć, dlaczego interesuje mnie data jej zrobienia, ale okazało się, że ma już własną teorię na ten temat.

– Pisze pan książkę o Starym Krzyżu, prawda? – zapytała. – Wykorzysta pan to zdjęcie?

– Być może – bąknąłem niepewnie.

Znowu się uśmiechnęła, skinęła mi głową na pożegnanie i odpłynęła korytarzem w stronę schodów. A kiedy oddaliła się już o kilka metrów, odwróciła się i zawołała:

– Gdyby potrzebował pan jeszcze jakichś informacji, jestem do dyspozycji. A na lekturę *Germinalu* nigdy nie jest za późno!

O niczym innym nie marzę, pomyślałem. Poczekałem na koniec przerwy i kiedy korytarz opustoszał, wróciłem do archiwum.

Znałem datę zrobienia zdjęcia. Aby się przekonać, czy było czymś w rodzaju klucza prowadzącego do odpowiedniej przegródki, musiałem odszukać w notesie Frąckowiaka opis, który go dotyczył. Nie było to łatwe.

Chciałem zacząć lekturę czarnej księgi od początku i kartkować ją strona po stronie. Ale ponieważ wiedziałem, że zajmie mi to mnóstwo czasu, postanowiłem w pierwszej kolejności sprawdzić, czy nie znajdę odpowiedniego zapisu tam, gdzie powinien trafić, gdyby został naniesiony chronologicznie.

Miałem szczęście. Już po kilku minutach odszukałem następującą informację: „Zdjęcia grupowe klas trzecich i czwartych, 25 marca 1974 r.”. Spojrzałem na numer strony: sto siedemdziesiąta ósma. Czy oznaczało to, że w przegródce sto siedemdziesiątej ósmej oprócz negatywów z dwudziestego piątego marca siedemdziesiątego czwartego roku znajdę także ten, którego szukałem? Wierzyłem, że tak.

Ręce mi drżały, kiedy otwierałem szufladę zawierającą przegródki od sto siedemdziesiątej do sto osiemdziesiątej. Na szczęście wszystkie koperty były na swoich miejscach, żadna nie została wyrzucona na podłogę. Sto siedemdziesiąta siódma, cienka, zawierała chyba tylko jeden film, sto siedemdziesiąta ósma, grubsza – kilka.

Zajrzałem do tej właściwej i wyjąłem trzy klisze. Przejrzałem pod światło pierwszą. Zobaczyłem mnóstwo małych główek w niemal identycznych układach – zdjęcia klasowe zrobione w siedemdziesiątym czwartym. Sprawdziłem drugą i przeżyłem kolejne rozczarowanie. Zanim sięgnąłem po trzecią, wzięłem głęboki oddech. Już po obejrzeniu kilku klatek wiedziałem,

że zawiera to samo co wcześniejsze.

Zajrzałem do koperty raz jeszcze, karmiąc się nadzieją, że nie wyjąłem z niej wszystkiego. I rzeczywiście. Gdzieś na dnie ukrył się zgnieciony, naddarty skrawek papieru. Wydobyłem go i rozprostowałem. Ktoś napisał na nim niezbyt starannym pismem dziwny czterowiersz:

*Jaś o kole z werwą dyskutuje  
dobrze temat czuje  
zastąpił ludolfinę słowami wierszyka  
czy Ty odgadłeś, skąd zmiana ta wynika?*

Nie miałem oczywiście pojęcia, czy wreszcie odszukałem klucz, o którym mówił Frąckowiak, czy może raczej trzymałem w ręku zwitek bez znaczenia. Wierszyk sprawiał wrażenie zagadki. I choć nie wiedziałem, o co chodzi, zdawałem sobie sprawę, że powinienem zrobić wszystko, aby znaleźć rozwiązanie, bo tylko w ten sposób mogłem się przekonać, czy mnie dokądś poprowadzi.

Dłuższą chwilę zastanawiałem się, co robić. Przypomniałem sobie, że Kosicka zaofiarowała się z pomocą. Ale czy ktoś, kto zna się na rewolucji francuskiej, mógł wiedzieć, co to takiego „ludolfina”? Uznałem, że warto spróbować.

Ponownie opuściłem archiwum, w niezbyt fortunnym momencie, u szczytu schodów zobaczyłem bowiem przygarbionego pana Mietka, który wcześniej otrzymał zadanie usunięcia mnie ze szkoły. Byłem pewien, że podejdzie i zażąda, bym wyszedł, ale spuścił głowę i udawał, że mnie nie widzi. Stwierdził chyba, że skoro pani dyrektor nie ma w pobliżu, nie będzie sobie zawracał głowy jej poleceniem. Zwłaszcza że mógłby natrafić na opór z mojej strony, a oprócz argumentów nie dysponował bronią, którą zdołałby mnie pokonać.

Kiedy ciszę przeszył dźwięk dzwonka na przerwę, stałem już pod drzwiami klasy, w której uczyła Kosicka. Wszedłem do środka, nie bacząc na to, że nauczycielka tłumaczy jeszcze uczniom zadanie domowe. Myślałem, że będzie zła, ale uśmiechnęła się przyjaźnie. Kiedy pożegnała się z młodzieżą, podszedłem bliżej i bez słowa wyjaśnienia rozwinąłem na biurku zwitek z wierszykiem.

– Mam jeszcze jeden problem – zacząłem. – Może potrafi pani rozwiązać tę zagadkę?

Przeczytała uważnie kilka razy.

– To zadanie dla matematyka, nie dla historyka. – Zadumała się, a ja zacząłem się zastanawiać, co powiedzieć, gdyby zaczęła dociekać, dlaczego przyszedłem do niej z dziwnym wierszykiem nagryzmołonym na skrawku papieru. Na szczęście nie zaczęła.

– Ludolfina to germańskie imię – wyjaśniła. – Ale słowo to, pisane małą literą, oznacza też, jeśli się nie mylę, liczbę pi. Zresztą jest tu mowa o kole, a pi to stosunek długości obwodu koła do czegoś tam, prawda?

Liczba pi! No tak. Może to jest klucz? Pamiętałem oczywiście ze szkoły jej wartość: trzy i czternaście setnych. Czy powinienem szukać negatywu w przegródce trzysta czternastej? Już chciałem podziękować Kosickiej, aby to sprawdzić, ale w tej samej chwili uświadomiłem sobie, że po pierwsze, trwa przerwa, a po drugie, notes Frąckowiaka ma zaledwie trzysta stron, co oznaczało, że przegródek jest prawdopodobnie nie więcej niż trzysta.

Kosicka zaproponowała, byśmy poszli do pokoju nauczycielskiego i zapytali o treść wierszyka któregoś ze szkolnych matematyków. Nie bardzo miałem ochotę. Ponieważ obawiałem się, że natknę się na dyrektorkę, zwinąłem karteczkę i zacząłem się wycofywać. Historyczka nie rozumiała, dlaczego nie chcę podążyć za nią, ale przyjęła to do wiadomości i powiedziała:

– Dobrze, niech pan poczeka. Spróbuję sama kogoś znaleźć.

Po kilku minutach zjawiała się z suchym staruszkim w wytartym szarym garniturze i dokonała szybkiej prezentacji.

– Niech pan to pokaże – zażądał mężczyzna, najwyraźniej wprowadzony w temat i zaintrygowany zagadką do rozwiązania. Podałem mu zwitek. Wyjął z kieszeni poklejone brudnym plastrem okulary, wytarł o rękaw marynarki, założył na nos i przeczytał niezrozumiały dla mnie czterowiersz kilka razy.

– Chodzi o wartość liczby pi – potwierdził przypuszczenia Kosickiej. – To jeden z wielu wierszyków mających ułatwić jej zapamiętanie. Znam inny: „Był i jest i długo sławionym ów będzie, który kół obwód średnicą wymierzył”. A także dłuższy, francuski: *Que j'aime à faire apprendre un nombre utile aux sages! Immortel Archimède, artiste ingénieur, Qui de ton jugement peut priser la valeur?* Liczba liter w poszczególnych słowach odpowiada w nich kolejnym cyfrom liczby pi. Dzięki znajomości takich wierszyków jestem w stanie podać jej wartość do dwudziestu dwóch miejsc po przecinku.

Wyjął z kieszeni długopis i powtarzając w myślach francuską rymowaną, napisał na dole mojej kartki trójkę i po przecinku kolejne cyfry: jedynekę, czwórkę, jedynekę, piątkę, dziewiątkę, dwójkę, szóstkę, piątkę, trójkę, piątkę, ósemkę, dziewiątkę, siódemkę, dziewiątkę, trójkę, dwójkę, trójkę, ósemkę,

czwórkę, szóstkę, dwójkę i szóstkę. Kosicka przyglądała mu się zaintrygowana.

– A teraz porównajmy z pana wierszykiem – zaproponował. Przez chwilę mruzczał coś pod nosem, liczył litery w słowach, przymierzał wyniki do cyfr, które zapisał wcześniej, a w końcu stwierdził: – Coś tu nie gra. Wiersz jest niekompletny. Kilku cyfr brakuje. Jakby ktoś je celowo pominął.

– Jest pan w stanie powiedzieć, których? – zapytałem.

– Właśnie, których? – Kosicka również wciągnęła się do zabawy.

– Dwójki i dwóch trójek – odpowiedział po chwili. – Wierszyk powinien brzmieć jakoś tak:

*Jaś o kole z werwą dyskutuje  
bo dobrze temat ten czuje  
zastąpił ludolfinę słowami wierszyka  
czy Ty już odgadłeś, skąd zmiana ta wynika?*

– Rozumie pan? Dodałem słowa: „bo”, „ten” i „już”. Dwójka, trójka i trójka.

Dwieście trzydzieści trzy. Czy to jest numer przegródki, w której Frąckowiak ukrył negatyw? Chciałem to jak najszybciej sprawdzić, ale nie mogłem powiedzieć nauczycielom, którzy przyszli mi z pomocą, żeby spadali. Czułem się zobowiązany kontynuować rozmowę, dopóki nie położy jej kresu dzwonek. Zastanawiałem się zarazem, w jakim kierunku ją skierować, żeby nie zdradzić się z celem moich poszukiwań, ale kiedy uniosłem głowę znad kartki, zrozumiałem, że przerwa dawno dobiegła końca. Klasa była pełna. Uczniowie siedzieli na swoich miejscach w ciszy, bez ruchu, i gapili się na nas. Chyba było im na rękę, że Kosicka dyskutuje z kimś o liczbie pi, zamiast rozpocząć lekcję.

Nie mogłem zrozumieć, jak to się stało, że nikt z naszej trójki nie usłyszał dzwonka. Hałasował przecież tak, że obudziłby umarłego. Cóż, widocznie zadanie, które według wszelkich znaków na niebie i ziemi postawił nam z za grobu Frąckowiak, okazało się tak zajmujące, że świat zewnętrzny na kilka minut przestał istnieć.

Chrząknąłem głośno. Kosicka i sprowadzony przez nią do klasy matematyk unieśli głowy znad kartki.

– Już po przerwie? – zdziwił się mężczyzna.

– W takim razie muszę panów przeprosić – odezwała się przytomnie Kosicka, a młodzież nagle ożyła, jakby musiała odreagować kilka minut

bezruchu i milczenia. Przez narastający gwar rozmów przebijał się gromki monolog klasowego komedianta. Nauczycielka nie wytrzymała.

– Rupieta! – wrzasnęła. – Na jutro napiszesz w zeszyte dwieście razy: „Nie będę podczas lekcji historii wydawał żadnych dźwięków paszczowych!”.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Jedyne matematyk sprawiał wrażenie zdeorientowanego:

– Z kim to ja mam lekcję? – zastanawiał się głośno. – Zaraz, zaraz... Muszę iść!

Kiedy mężczyzna z obłędem w oczach ruszył w stronę drzwi, pospieszyłem za nim. Nie pożegnałem się z Kosicką, bo już zaczęła pisać coś na tablicy. Poczekalem, aż matematyk zniknie w otchłani przepastnego korytarza, i dopiero wtedy wróciłem do archiwum.

Sięgnąłem po notes Frąckowiaka i otworzyłem na stronie dwieście trzydziestej trzeciej. Przeczytałem: „Wybory samorządu szkolnego, 7 września 1979 r.”. Wiedziałem już, co na pewno znajdę w przegródce opatrzonej interesującym mnie numerem. Czy tylko to?

Odpowiednia szuflada mieściła się w tylnej części szafek. Odnalazłem ją bez trudu. Otworzyłem. Dwieście trzydzieści jeden, dwieście trzydzieści dwa, dwieście trzydzieści trzy... Wyjąłem szarą kopertę, a z niej dwa negatywy. Pierwszy pasował do opisu w brulionie. Spojrzałem pod światło na przypadkowe klatki drugiego i serce zabiło mi mocniej. Drzewa, ptaki, jakieś zwierzę. Wiedziałem, że trzymam w ręku film dokumentujący wyprawę Frąckowiaka z aparatem do lasu. Ten, którego szukałem.

Frąckowiak zrobił parze zabójców trzy zdjęcia. Nie miał więcej wolnych klatek. A nawet gdyby miał, strach nie pozwoliłby mu pewnie pstrykać w nieskończoność. Próbowałem to sobie wyobrazić. Stoi ukryty za jakimś rogiem czy samochodem, wychyla się, ciach, pierwsze ujęcie, chowa się. Wie, że ma do czynienia z mordercami, bo któż inny ciągnąłby nocą po śniegu zmasakrowane ciało kobiety? Wychyla się znowu, ciach, drugie ujęcie, chowa się. A potem jeszcze jedno. I szybko się wycofuje. Przerażony, że zabójcy mogą go usłyszeć, pobiec za nim, potraktować tak samo jak nieboszczkę, ucieka.

Kto jest na zdjęciach? Gdzie ukryto ciało? Czy będzie można dojrzeć na fotografiach twarz zmarłej? Takie pytania stawiałem sobie, oglądając pod światło trzy ostatnie klatki filmu. Miałem nadzieję, że rozpoznam na negatywie morderców, ale oczywiście nie było to możliwe. Dopiero odbitki, dobre, duże odbitki, odpowiednio wykadrowane, mogły mi powiedzieć, kto zabił Annę Eckart. Bo to, że ofiarą jest właśnie ona, było dla mnie oczywiste.

Wszystko się zgadzało. Miejsce: Stary Krzyż. I czas: połowa grudnia. Zresztą gdyby zamordowany został ktoś miejscowy, zgłoszono by jego zaginięcie. A Anny Eckart nikt w Starym Krzyżu nie szukał. Nikt oprócz mnie.

Zwinąłem film w rulonik, schowałem do jednej z pustych kopert walających się po podłodze i włożyłem do kieszeni. Negatyw dokumentujący wybory do samorządu wsunąłem do właściwej przegródki, zamknąłem szufladę i wyszedłem z sali. Umocowałem milicyjną opaskę na właściwym miejscu, co nie było łatwe, bo zużyta guma do żucia niemal utraciła właściwości klejące.

Wydostałem się ze szkoły tylnym wyjściem. Na boisku trwała kolejna lekcja wuefu. Inny niż poprzednio nauczyciel sędziował mecz piłki nożnej ze środka boiska.

Zastanawiałem się, komu mógłbym powierzyć zrobienie odbitek demaskujących parę zabójców. Zaniesienie filmu do zakładu fotograficznego uznałem za zbyt ryzykowne. Pozostał starszy pan z muzeum historycznego. Twierdził, że sam zrobił odbitki z filmów Vogla. A to oznaczało, że miał sprzęt i umiał to zrobić. Poza tym postrzegałem go jako osobę sprzyjającą mi, w pewnym sensie zaufaną.

Do muzeum dotarłem w kilka minut. Mężczyzna bardzo się ucieszył z mojej wizyty. Był przekonany, że postanowiłem zapoznać się z odtworzoną przez niego częścią ekspozycji. Nie mogłem sprawić mu zawodu. Zacząłem oglądać sceny z życia Starego Krzyża podczas drugiej wojny światowej, ale nie bardzo potrafiłem się na nich skupić. Myślałem wyłącznie o negatywie, który schowałem do kieszeni, i o tajemnicy, którą miał mi pomóc wyjaśnić.

Przechodziłem od gabloty do gabloty i już chciałem zakończyć zwiedzanie, gdy mój wzrok zatrzymał się na kilku zdjęciach podpisanych jednym zdaniem: „Abschnittsleiter Heinrich Lippe wizytuje szkołę w Weisse Heide (Białe Łąki) koło Alt-Kreuz (Stary Krzyż), kwiecień 1943 r.”. Ale nie Heinrich Lippe, wystrojony w mundur SS grubas o krzaczastych brwiach i srogim spojrzeniu, mnie zainteresował, lecz wpatrzona w niego, ubrana w szarą sukienkę, gładko uczesana kobieta. Przyjrzałem się jej uważnie. I właściwie bez większego trudu domyśliłem się, kto to jest. Młoda Anna Eckart, która jak wynikało z fotografii, podczas wojny pracowała w szkole niedaleko Starego Krzyża. A właściwie Anna Schmidt, bo nagle dotarło do mnie, że widziałem już jej młodzieńcze zdjęcie. I takim nazwiskiem je podpisano. Podzieliłem się swoim odkryciem z kustoszem muzeum.

– Mówi pan, że to jest ta kobieta, której współczesne fotografie mi pan pokazywał? – robił wrażenie zdumionego.

– Wszystko pasuje, Anna Eckart, a właściwie Anna Schmidt, bo prawdopodobnie tak się wtedy nazywała, musiała tu przed laty mieszkać – powiedziałem raczej do siebie niż do niego. – Dlatego pewnie przed przyjazdem do Starego Krzyża zmieniła wygląd. Nie chciała, żeby ktoś ją rozpoznał. Dlaczego? Wszystko wskazuje na to, że wygrała jakiś konkurs literacki zorganizowany przez gubernatora Franka. A jeśli tak było, zapewne się tym sukcesem chełpiła. No i... Obaj wiemy, że skojarzenie z nazistami nie pomogłoby jej dzisiaj w karierze. Ale to nie wyjaśnia, dlaczego zginęła, bo wszystko wskazuje na to, że została zamordowana – kontynuowałem. – Jej śmierć mogła nie mieć żadnego związku z przeszłością.

– Zamordowana? Kiedy był pan tu poprzednio, nie mówił pan, że nie żyje.

– Naprawdę? – Nie mogłem sobie przypomnieć przebiegu naszej pierwszej rozmowy. – Wtedy wiedziałem, że zginęła. Teraz jestem pewien, że została zamordowana. Tu, w Starym Krzyżu.

– Jeszcze jedno morderstwo? – Kustosz spojrział na mnie ze strachem w oczach. – Kiedy tu przyjechałem, myślałem, że to najspokojniejsze miejsce pod słońcem. A tu proszę. Jeden nauczyciel, drugi, a teraz ten... No i mówi pan, że jeszcze jakaś przyjezdna.

Miałem wrażenie, że z jego wypowiedzi umknęło mi coś ważnego.

– Czy mógłby pan powtórzyć, co pan powiedział? – poprosiłem.

– No, że ta Niemka też została zabita.

– Nie, nie, wcześniej.

– No, że najpierw jeden nauczyciel, potem drugi. A teraz Jawor.

Jawor? Jawor nie żyje? Facet, który pożyczył Annie Eckart samochód. Nigdy nie udało mi się do niego dotrzeć, zapytać o przebieg zdarzeń podczas nocy, która była prawdopodobnie ostatnią nocą pisarki. Umieściłem go na liście podejrzanych. Ale jeśli sam został zamordowany...

– Wie pan coś więcej o jego śmierci?

– Ktoś włamał się w nocy do jego mieszkania. I skrzył mu kark. Dziwne, bo Jawor był postawnym, silnym mężczyzną. Sportowiec. Kiedyś grał w piłkę. Był nawet w Kolejorzu...

– Zaraz, o kim pan mówi? – nie nadążałem za tokiem jego opowieści. Jawor też grał w Lechu? Tak jak facet w kapeluszu?

– No, o Jaworze. Był piłkarzem. A kiedy kariera dobiegła końca...

Kustosz zniżył głos, jakby się obawiał, że usłyszy go ktoś niepożądany.

– Wie pan, zwerbowali go do służby bezpieczeństwa – ciągnął dalej. – Był funkcjonariuszem Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych. Porucznikiem. Ale nie chodził w mundurze. Zawsze po cywilnemu. Zawsze tak samo ubrany.



Trochę jak kowboj. Ciemny garnitur z kamizelką, kapelusz z szerokim rondem... Nie spotkał go pan?

– Zaraz, zaraz! Jawor i facet w kapeluszu z szerokim rondem to ta sama osoba? – Zatkąło mnie.

– Nie wiedział pan? – zdziwił się z kolei kustosz.

Zastanawiałem się, co to oznacza. Jawor znał Annę Eckart. Pomagał jej. Pożyczył samochód. Miał jej przynieść jakieś torby, być może z czymś cennym. A jeśli tak, mógł ją zabić, żeby przywłaszczyć sobie zawartość. Nie mówiąc o zwykłym bagażu podróznym. Zaraz, czy żona Jawora, kiedy u niej byłem, nie miała na sobie eleganckiej halki, która zupełnie do niej nie pasowała?

Jawor... Gdyby to on był zabójcą... Łatwo można by wytłumaczyć, dlaczego mnie nękał. Bał się, że go zdemaskuję. Jako funkcjonariusz bezpieczeństwa mógł co prawda czuć się bezkarny, ale zbrodnia dla rabunku nawet jemu nie uszłaby chyba płazem. No dobrze, ale jeśli to on był zabójcą, to kto zabił jego? Partnerka, która pomagała mu ukryć ciało i jest razem z nim na zdjęciach Frąckowiaka? Niemożliwe. Kobieta nie skreśliłaby karku postawnemu, silnemu mężczyźnie.

– Szczerze mówiąc, to jego podejrzewałem o zamordowanie Anny Eckart – przyznałem. – Ale w tej sytuacji sam już nie wiem. Zresztą... Jawor, nie Jawor... Mam zdjęcia, na których morderca wraz ze współniczką ukrywa ciało Anny Eckart. Zrobił je Frąckowiak. Chciał szantażować zabójcę. Dlatego zginął. Podobnie jak Markuszewski. Morderca podejrzewał, że wie, gdzie są demaskujące go zdjęcia.

– I kto jest na tych zdjęciach? – Kustosz nie rozumiał moich wyjaśnień.

– Jeszcze tego nie wiem – przyznałem. – Mam negatyw, trzeba zrobić odbitki. Przyszedłem z tym do pana. Nie mogę polegać na kimś, kogo nie znam...

– A czy nie jest tak, że wszyscy, którzy mają do czynienia z tym filmem, giną? – zapytał. I próbując nadać głosowi żartobliwy ton, dodał: – Bo wie pan, chciałbym jeszcze trochę pożyć.

– Nie demonizujmy tego, co się wydarzyło – poprosiłem. – Chodzę z tym negatywem po mieście i włos mi z głowy nie spadł. Tylko pan może zrobić odbitki. Tylko panu ufam.

– Naprawdę? – Miałem wrażenie, że go nie przekonałem. A jednak po chwili dodał cicho: – Zrobię je na jutro. Dobrze? Jak duże mają być?

– Żeby można było rozpoznać twarze.

– Rozpoznać twarze – powtórzył, jakby chciał zanotować moje słowa

w pamięci. – Dobrze. Ale wróćmy na moment do tego, co pan mówił wcześniej. Że ta Eckart przed przyjazdem do Starego Krzyża zmieniła wygląd. Ma pan może jej zdjęcie w przebraniu?

– Mam. Nie pokazywałem panu?

Wyjąłem z kieszeni w kurtce fotografie zrobione na urodzinach córki dyrektora Burego i podałem rozmówcy tę, na której Anna Eckart była w okularach. Kustosz uważnie przyjrzał się kobiecie.

– Jestem prawie pewien, że ją widziałem – wydukał. – Była w muzeum. W połowie grudnia. Podszedłem, zaproponowałem, że ją oprowadzę, ale warknęła na mnie i poszła dalej. I wie pan, co mi przyszło teraz do głowy? Może to ona poniszczyła zdjęcia? Włamała się w nocy, żeby zatrzeć pamięć o swojej przeszłości w Starym Krzyżu.

– To bardzo prawdopodobne – zgodziłem się z tą sugestią. Pomyślałem też, że może jednak śmierć Anny Eckart miała związek z jej wojenną przeszłością.

Pożegnałem się z kustoszem. I uspokojony obietnicą, że do następnego dnia zrobi odbitki, wróciłem do hotelu.

Znowu znalazłem się w ciemnym pomieszczeniu szkolnego archiwum. Tym razem dziewczyna pojawiła się sama, bez kolegi, za to z rękawiczką. Jedną, z delikatnej czarnej skórki, na prawą rękę. Podała mi ją bez słowa.

Miałem obawy, czy zgrabna, ładna rękawiczka nie okaże się za małą, ale pasowała idealnie. Kiedy ją założyłem, dziewczyna z wyrazem onieśmienia na twarzy rozpięła bluzkę. Nie miała nic pod spodem. Sięgnąłem w stronę, małych piersi wyłaniających się spod tkaniny, ale zanim dłoń w rękawiczkę zdołała ich dosięgnąć, usłyszałem łomotanie do drzwi.

Byłem pewien, że do archiwum wtargnie wezwana przez tchórzliwego woźnego dyrektorka, ale dziewczyna nie wyglądała na spłoszoną, a kiedy położyła palec na ustach, miałem wrażenie, że próbuje uspokoić również mnie. Dopiero wtedy zauważyłem w mroku, że ma twarz Ewy. Nie wiem, dlaczego mnie to nie zdziwiło. Nie bardzo zresztą mogłem się nad tym zastanawiać, bo ktoś nadal dobijał się do drzwi.

– Milicja, proszę otwierać! – wykrzykiwał głos, który znałem.

Otworzyłem oczy. Znowu leżałem ubrany, w spodniach i koszuli, bez kurtki i butów, w łóżku, w swoim pokoju. Najwyraźniej po powrocie z miasta i obiedzie w hotelowej restauracji – tym razem dałem się namówić na parzybrodę, czyli zupę z kapustą, mięsem, ziemniakami i warzywami, oraz szagówki, czyli wielkopolskie kopytka z podsmażanym boczkiem – położyłem się na chwilę i zmorzył mnie sen.

– Niech pan otworzy do cholery! – wołał nieprzyjemny, znajomy mi głos. – Wiem, że pan tam jest!

Przypomniałem sobie, że miałem rano stawić się na posterunku i złożyć zeznania. Ponieważ tego nie zrobiłem, komendant najwidoczniej pofatygował się do mnie.

Wstałem, założyłem buty, podszedłem do drzwi i przekręciłem klucz w zamku, żeby wpuścić intruza czy raczej intruzów, bo za progiem stały aż trzy osoby. Komendanta oskrzydłali dwaj młodszy od niego mężczyźni, jeden w mundurze, drugi po cywilnemu. Nikt z tej drużyny nie wyglądał przyjaźnie.

Poczułem się nieswojo. Nadal morzył mnie sen, nie miałem ochoty z nikim gadać. Ale Wąsowski wcale na to nie zważał.

– Domyślam się, że nie ma pan alibi na noc śmierci Markuszewskiego – od razu przeszedł do rzeczy. Odnotowałem, że już nie mówi mi przez ty.

– Byłem z kobietą – powiedziałem zgodnie z prawdą. – Ale nie mogę powiedzieć z kim.

– Jednym słowem nie ma pan alibi – chciał się upewnić.

Przyznałem, że jestem w niezręcznej sytuacji.

– A co pan robił ostatniej nocy? – dociekał.

– Spałem – stwierdziłem znowu zgodnie z prawdą. – Byłem na pogrzebie, mówiłem panu. A potem na stypie. Trochę za dużo wypilem, nawet nie wiem, kto i o której odwiózł mnie do hotelu.

– Ja wiem – komendant zaskoczył mnie.

– Kto? – zapytałem, bo chyba nie miał zamiaru mi tego wyjaśnić.

– Juszcakowa – stwierdził lodowatym tonem. – Poprosiła kierowcę, który ją przywiózł, żeby pana zaniósł do samochodu, a potem na górę do hotelu.

– Nie widziałem jej na stypie – zdziwiłem się.

Towarzyszący Wąsowskiemu mężczyźni rozglądali się po pokoju. Funkcjonariusz w cywilu sięgnął po leżące przy łóżku *Baśnie* Anny Eckart. Przekartkował je i odłożył na miejsce. Co będzie, jeśli znajdzie solidarnościową gazetkę?, pomyślałem.

– Juszcak został wczoraj rano wezwany do Komitetu Wojewódzkiego do Poznania – kontynuował komendant. – Juszcakowa pojechała z nim, nie wiem po co. Może na zakupy. Wrócili po południu. Dlatego nie byli na pogrzebie. Ale Juszcakowa zna brata zmarłego, piekarza, czasem nosi do niego blachę placka z kruszonką do upieczenia, i chciała pokazać się na stypie. Zobaczyła pana śpiącego z głową na stole no i... Swoją drogą pójść na stypę i tak się urząnąć!

– Skąd pan o tym wszystkim wie?

– Od Juszczaaka, ale co to ma do rzeczy? Powiem tak: na ostatnią noc też nie ma pan alibi.

– Jak to?

– Tak naprawdę mógł pan udawać, że się pan upił. A po północy wymknąć się z hotelu... Jeśli o mnie chodzi, wszystko pasuje.

– Co panu pasuje, do cholery?

– Tylko nie „do cholery”, dobrze? – oburzył się. I bardziej oficjalnym tonem dodał: – Aresztuję pana pod zarzutem zamordowania Pawła Markuszewskiego i Krzysztofa Jawora. Może pan zachować milczenie.

– Aresztuje mnie pan? – Nie do końca docierało do mnie, co powiedział. – Przecież to niedorzeczne!

– Sprawdziliśmy odciski palców pobrane w domu Markuszewskiego. W kuchni jest pełno pańskich! Na szafkach, na lodówce, na naczyniach. Dotykał pan chyba wszystkiego. Jakby przyrządzał pan tam jakąś ucztę.

– No i co z tego? Mówiłem panu, że byłem u niego przedwczoraj po południu. Poczujęm głód, powiedział, żebym poszedł do kuchni i sobie coś wziął.

Skłamałem, ale wiedziałem, że prawda go nie przekona. W moje bujdy też nie uwierzył.

– Co za idiotyczna historia! – wrzasnął na całe gardło. – Może w Warszawie goście sami przyrządzają sobie coś do zjedzenia. Ale u nas? Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Twierdzi pan, że był pan u Markuszewskiego pierwszy raz w życiu, a on wysłał pana do kuchni, żeby zrobił pan sobie coś do zjedzenia? Niech mnie pan nie rozśmiesza! Wie pan, dlaczego w jego kuchni są pana odciski palców? Bo torturował go pan całą noc, a jest to bardzo wyczerpujące zajęcie, i prędzej czy później musiał pan zrobić sobie przerwę, żeby odsapnąć i się posilić. Ja co prawda w takich okolicznościach nic bym nie przełknął, ale widocznie ma pan mocniejsze nerwy...

– Przecież wie pan doskonale, o której przyszedłem do Markuszewskiego – broniłem się. – A zabito go wcześniej!

– Zabił go pan, poszedł do siebie, ale uświadomił pan sobie, że nie zatarł śladów pobytu w kuchni. Wrócił pan więc nad ranem, żeby to zrobić. Nawet nie zdążył się pan ogarnąć. Wyglądał pan jak lump: niedomyty, potargany, nieogolony... Że też od razu nie zwróciłem na to uwagi! Ale co się odsunie czy jak to się mówi... Najważniejsze, że udaremniłszy panu usunięcie swoich odcisków palców.

– A niby dlaczego go torturowałem i zabiłem?

– Czy ja wiem? Może podejrzewał go pan o zamordowanie tej pańskiej Niemki? Zemsta, drogi panie, zemsta! Ale Markuszewski Markuszewskim. Zabicie Jawora to dopiero... Nie zdziwiłbym się, gdyby przywrócili karę śmierci, żeby pana... Wie pan, kim był porucznik Krzysztof Jawor? Naszym najlepszym człowiekiem! Zasłużonym funkcjonariuszem Urzędu Spraw Wewnętrznych! Członkiem Prezydium Miejskiej Komisji Kontrolno-Rewizyjnej Partii! Nikt nie mógł się pochwalić tak dobrym rozpoznaniem terenu pod względem zagrożenia przestępczością polityczną jak on. Zresztą Złota Odznaka za Zasługi w Ochronie Porządku Publicznego chyba o czymś świadczy.

– Skąd pomysł, że to ja go zabiłem? – zapytałem.

Funkcjonariusz w cywilu wziął do ręki plik gazet znalezionych przeze mnie w pociągu, przejrzał go i z wyrazem znudzenia na twarzy odłożył na miejsce. Nie zauważył solidarnościowej gazetki?

– Miał pan z porucznikiem Jaworem na pieńku – wyjaśnił Wąsowski. – Wszyscy to wiedzą. Kilka dni temu groził mu pan w Familijnym.

Przełknąłem ślinę. Grubas zadał sobie wiele trudu, żeby mnie pogrążyć.

– Ja mu groziłem? – zdziwiłem się.

– Mamy świadków. A potem w szpitalu... Jedna z pielęgniarek powiedziała nam, że wypchnął go pan z windy. Wiem też, że nachodził go pan w domu. Żona zamordowanego zeznała, że ją pan nękał, wypytywał o niego i o tę Niemkę. Jego też pan podejrzewał o zabicie tej... Jak jej było?

Owszem, podejrzewałem, ale zdecydowałem się to na razie przemilczeć, żeby się nie pogrążyć. Gdybym miał już w ręku odbitki zdjęć zrobionych przez Frąckowiaka! Zastanawiałem się, czy nie powiedzieć o nich komendantowi, ale uznałem, że wstrzymam się z tym do momentu, kiedy będę już wiedział, kto zabił Annę Eckart, a także potrafił udowodnić, że Frąckowiaka i Markuszewskiego zabiła ta sama osoba czy osoby.

Myślałem, że komendant zakończył mowę oskarżycielską, ale niespodziewanie wyjął z kieszeni jakiś dokument i ze złośliwym uśmiechem na twarzy powiedział:

– Mam na pana coś jeszcze. Skontaktowałem się z Warszawą i proszę zobaczyć, co mi przysłali. Okazuje się, że już od jakiegoś czasu mieli pana na oku.

Podał mi do przeczytania kopię krótkiego, suchego dokumentu zatytułowanego: *Notatka urzędowa* i opatrzonego datą sprzed blisko dwóch tygodni. Rzuciłem okiem na pierwsze zdanie: *Działając w trybie Ustawy o służbie funkcjonariuszów Milicji Obywatelskiej z dn. 1959-01-31 (DZ. U. Nr.*

12, poz. 69) funkcjonariusz resortu spraw wewnętrznych przeprowadził rozmowę ostrzegawczą z obywatelem..., tu następowały moje dane: imię i nazwisko, imię ojca, imię i nazwisko panięskie matki, data i miejsce urodzenia, miejsce zamieszkania oraz numer dowodu osobistego.

Czytałem dalej: *W czasie rozmowy funkcjonariusz ostrzegł ob. – znowu moje imię i nazwisko – że z uzyskanych w toku czynności rozpoznawczych przez resort spraw wewnętrznych materiałów wynika, iż ob. – moje imię i nazwisko – prowadzi działalność, która może wyczerpać znamiona przestępstw określonych w kodeksie karnym, polegającą na podejmowaniu przedsięwzięć godzących w bezpieczeństwo Państwa oraz ład i porządek publiczny.*

Niżej widniało zdanie: *Powyższe przyjąłem do wiadomości, ale nikt nie próbował sfałszować pod nim mojego podpisu.* A na dole strony umieszczono jeszcze słowa: *Prowadzący rozmowę i nieczytelny podpis funkcjonariusza w randze kapitana.*

– Nieźle, przyzna pan! – Grubas zatarł ręce z satysfakcją, po czym odebrał mi dokument, złożył na cztery i schował do kieszeni. Mężczyzna ubrany po cywilnemu mruknął pod nosem, że poczeka w samochodzie, i wyszedł z pokoju.

– Przecież z tej notatki nic nie wynika! – broniłem się. – Jakiś ubek przekonywał mnie, bym nie zajmował się zaginięciem Anny Eckart. To cała historia.

– Synu, wierz mi... – Komendant urwał i zwrócił się do umundurowanego kolegi, którego dotychczas wydawał się nie zauważać. – Z czymś takim w rękę każdego można oskarżyć o wszystko, prawda?

Wyglądający dość gapowato milicjant uśmiechnął się, a Wąsowski znowu spojrzał na mnie.

– Jak to szło? – zapytał, jakby oczekiwał, że przypomnę mu treść notatki, którą pokazał mi przed chwilą, ale ponieważ nie odpowiedziałem, raz jeszcze wyjął ją z kieszeni, rozłożył i przeczytał: *Prowadzi działalność, która może wyczerpać znamiona przestępstw określonych w kodeksie karnym, polegającą na podejmowaniu przedsięwzięć godzących w bezpieczeństwo Państwa oraz ład i porządek publiczny.*

Znowu schował kartkę, pochylił się w moją stronę i wysyczał:

– Zgadnij, co powiedziała pani prokurator, kiedy przedstawiłem jej ten kwit? Nie zastanawiała się ani chwili, czy podpisać wniosek o aresztowanie!

Zrozumiałem, że grubas chce mnie zniszczyć. Po prostu. Bez względu na to, czy jestem winien, czy nie. Aż się we mnie zagotowało. Doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, że powinienem milczeć, ale nie potrafiłem zapanować

nad sobą.

– O tym, że jest pan durniem – wypaliłem – wiedziałem od chwili, gdy pana zobaczyłem! Ale że aż taki z pana sukinsyn...

Urwałem w połowie zdania, bo twarz komendanta zrobiła się purpurowa, jakby wlał w siebie litr denaturatu. Na jego czoło wystąpiły krople potu, źrenice się powiększyły, a nozdrza rozwarły jak u rozjuszonego zwierzęcia. A jednak nie spodziewałem się tego, co nastąpiło potem. Grubas cofnął prawą rękę i z całej siły walnął mnie w brzuch. Zdumiała mnie moc tego ciosu. Poczułem się tak, jakby uderzyła mnie rozkołysana stalowa belka. Zwinąłem się wpół i zawyłem z bólu.

Chociaż cierpienie odebrało mi zdolność myślenia, w zakamarkach podświadomości pojawił się prosty komunikat, mówiący, że to dopiero początek. To on uruchomił wyobraźnię, która przywołała mroczne, niepokojące obrazy z filmu *Maratończyk*. Były hitlerowski zbrodniarz w sposób metodyczny, z niesłychaną precyzją i starannością, maltretował w nim Dustina Hoffmana wiertłem do borowania zębów. A jednocześnie powtarzał niezrozumiałe, miażdżące psychikę z siłą nie mniejszą niż ból, proste pytanie: *Is it safe?* To *Is it safe?* długo dźwięczało mi potem w uszach niczym niepokojąca mantra. Powróciło nagle w pokoju hotelowym w Starym Krzyżu pod wpływem nieoczekiwanego ciosu, który zadał mi sadysta w milicyjnym mundurze. Karmiłem się nadzieją, że w żadnym z hotelowych pomieszczeń nie ma fotela dentystycznego i przypisanego do niego narzędzia tortur.

*Is it safe?* zasyczało gdzieś w środku mnie i chętnie bym odpowiedział, licząc na to, że moja gorliwość, moja gotowość do współpracy, oddali kolejne ciosy, ale przecież nie miałem pojęcia, jak brzmi właściwy odzew na to hasło z zupełnie innej rzeczywistości.

Dopiero po dłuższej chwili udało mi się wyprostować. Komendant tylko na to czekał i natychmiast uderzył ponownie. Tym razem jego twarda i ciężka jak kamień pięść trafiła w dolne żebra. Usłyszałem cichy trzask. Byłem absolutnie pewien, że pogruchotał mi kości.

Ostry, dojmujący ból dotarł do najbardziej odległych zakamarków ciała. Miałem wrażenie, że wraz z otaczającym światem zapadam się w otchłań. Niemal czułem na sobie ciężar walących się ścian i sufitów, spadających z łoskotem szaf, łóżek i foteli, gruchotanych bezlitośnie żyrandoli, kinkietów i lusterek, tłukących się umywalek i misek klozetowych, łopoczących szklanymi skrzydłami kabin prysznicowych.

Wyszeptałem:

– Boże!

W tej samej chwili usłyszałem:

– Człowieku, w tym mieście bogiem jestem ja!

Przeszło mi przez myśl, że brat komendanta niekoniecznie zgodziłby się z nim w tej kwestii, ale nie miałem siły wydusić z siebie ani słowa. Wiedziałem, że jestem bliski utraty kontaktu z rzeczywistością. Padłem na kolana, a zaraz potem runąłem na podłogę. Moment poprzedzający omdlenie zapamiętałem jako mgnienie znieczulającej błogości.



## Noc z 22 na 23 kwietnia 1982, z czwartku na piątek

Obudziłem się z głową wbitą w cuchnący moczem, poprzecierany, zszarzały ze starości koc. Leżałem ubrany w swoje ciuchy na żelaznym łóżku w celi o nieotynkowanych ścianach, bez okien, oświetlonej jedynie bladą żarówką wiszącą pod sufitem. Nie było tam żadnych innych sprzętów, nawet umywalki i wiadra.

Za przerdzewiałą stalową kratą sięgającą od podłogi do sufitu czuwał skulony na krześle, podstarzały milicjant – kapral, jeśli dobrze odczytałem dystynkcje. Oczy miał półprzymknięte, robił wrażenie zmęczonego i znudzonego.

Zastanawiałem się, jak długo tu byłem. Minuty? Godziny?

Dotknąłem obolałych żeber. Były stłuczone, ale chyba całe. Chociaż uczucie, że zapadły się w głąb ciała i poharatały wnętrzności, nie odpowiadało stanowi rzeczywistości, wywołało mdłości. Zwymiotowałem.

Strażnik otworzył oczy i z ociąganiem wstał z krzesła. Podszedł do kraty i spokojnie, skrzekliwym głosem, obiecał, że komendant mnie zajebie. A potem przekręcił klucz w zamku i wyjaśnił, że rzygać mam w kiblu.

Ponieważ nie mogłem być pewien, że to koniec torsji, podniosłem się z zanieczyszczonego posłania, założyłem stojące w kącie celi buty i podpierając się o ściany, ruszyłem za nim. Wskazał mi jakieś drzwi, a sam zaszył się za przykrytym papierami biurkiem. W słabo oświetlonych pomieszczeniu nie dostrzegłem nikogo więcej.

Nacisnąłem klamkę i pchnąłem drzwi, ale nie była to droga do toalety, jak myślałem, ale na złane księżycową poświatą podwórko. Jego granice wyznaczały nieotynkowane plecy komisariatu z ciemnym okienkiem na piętrze, przeszklony tył jakiegoś warsztatu, pokraczna szopa oraz solidne ogrodzenie z litej, grubej blachy, z małą furtką i dużą bramą, bez wątplenia zamkniętymi na amen.

Dopiero po chwili dostrzegłem w głębi dziedzińca, tuż obok szopy, rozsypującą się wygodkę. Ruszyłem w jej stronę, ale na środku dziedzińca potknąłem się o garbaty kamień i omal nie runąłem na ziemię.

Dopiero po chwili udałem się dalej i chwiejnym krokiem dotarłem do celu. Wszedłem do środka i drżącymi rękami zamknąłem drzwi na haczyk. Również małe wnętrze opromieniał przenikający przez szpary w dachu blask księżycy.

Miałem wrażenie, że mdłości ustąpiły. A jednak fetor wypełniający ciasne pomieszczenie spowodował, że musiałem natychmiast pochylić się nad otworem i wyrzucić z siebie resztę zawartości żołądka. Widok gęstej, brunatnej brei, pokrytej żywą, białą skorupą – tysiącami tłustych, wijących się robaków – był tak odrażający, że zerwałem się na równe nogi. Całym ciałem napałem na zbutwiałe drzwi, wyrwałem haczyk i runąłem na wilgotny bruk.

Dłuższą chwilę leżałem na ziemi. Mimo dojmującego chłodu – kurtka została w hotelu – poczułem się trochę lepiej. Uwolnienie wnętrza od niestrawionego jedzenia przyniosło ulgę. Ból nie dokuczał mi już tak jak przed chwilą.

Dziwiłem się, że kapral zostawił mnie na podwórku samego. Uważał widocznie, że skatowany i zmaltretowany nie będę nawet myślał o ucieczce. Tymczasem ja, patrząc w rozgwieżdżone niebo, zacząłem rozważać wyrwanie się z łap komendanta i jego pomocników. Oczywiście bałem się konsekwencji, jakie poniósłbym, gdybym został schwytany. Ale doraźnie wizja dalszych bolesnych ciosów przerażała mnie jeszcze bardziej.

Zastanawiałem się nad drogą ucieczki. Mur komisariatu i metalowe ogrodzenie stanowiły granice nie do przebycia. Ściana warsztatu kusiła łatwą do pokonania szklaną taflą, ale jej stłuczenie oznaczałoby potworny hałas. Poza tym nawet gdybym dostał się do środka budynku, mógłbym mieć problemy z wyjściem z niego z drugiej strony.

Mój wzrok zatrzymał się na drewnianej szopie. Jej szerniałe od wilgoci ściany miały niewiele ponad dwa metry wysokości. A spadzisty dach z długich, nierównych desek porośniętych tu i ówdzie mchem sięgał na metr czy półtora w górę.

Uznałem, że jestem w stanie wspiąć się na tę niewysoką budowlę i zeskoczyć z drugiej strony, na ulicę lub sąsiednie podwórko, z którego – miałem nadzieję – łatwo się wydostać. Niestety, konstrukcja robiła wrażenie chwiejnej i niezbyt solidnej. Ale mimo obaw, że mnie nie uniesie, zdecydowałem się spróbować.

Kiedy powoli wstałem, ból powrócił. Czułem się tak, jakbym został przebity ognistymi włócznie. Z miejsc, w które trafiły uderzenia komendanta, promieniowały w głąb ciała rozpalone smugi.

Zacisnąłem pięści, jakby miało mi to pomóc uwolnić się od cierpień, i zbliżyłem się do koślawej szopy. Na niewysokich drzwiach wisiał solidny żelazny łańcuch spięty masywną kłódką. Nie bez trudu uniosłem prawą stopę i wsunąłem w obręcz, jaką tworzył. Prawą ręką sięgnąłem dachu, złapałem

jedną z wystających, nierównych desek i odbiłem się od ziemi. Zawisłem w powietrzu. Ale już po chwili przygnałem całym ciałem do chybotliwej drewnianej budy.

Wysiłek sprawił, że fala bólu omiotła mnie ze zdwojoną siłą. Poczułem, że znowu jestem bliski omdlenia. Ale myśl, że kapral, który wysłał mnie do wygodki, w każdej chwili może uchylić drzwi lub wyrzeć przez okno, podziałała otrzeźwiająco.

Wiedziałem, że jeśli chcę zbiec, nie mam chwili do stracenia.

Lewą ręką wymacałem zagłębienie w wyższych partiach pochyłości i uczepliłem się go jak szczebla drabiny, natomiast prawą chwyciłem się kępy mchu na tej samej wysokości. Następnym krokiem było podciągnięcie nóg pod siebie, tak by całe ciało znalazło się na spadzistej powierzchni. Okazało się to trudniejsze, niż myślałem, zwłaszcza że prawa dłoń ślizgała się po wilgotnej, omszałej darni. W końcu jednak niezwykłym wysiłkiem udało mi się wgramolić na krzywiznę. Przez chwilę trwałem na niej skulony. Rozważałem w myślach, czy uda mi się oderwać górną część ciała od koślawych desek i powoli się podnieść. Pierwsza próba się nie powiodła. Przeceniłem swoje siły. Zachwiałem się i znowu przykleiłem się do nierównej pochyłej płaszczyzny.

Smugi bólu ani na moment nie przestały we mnie pulsować. Nie dam rady, pomyślałem. Byłem gotów się poddać: zeskoczyć na dół i wrócić na komisariat. Jak najszybciej, by gderliwy kapral nie domyślił się, że próbowałem zbiec. Ale kilka chwil w dość wygodnej pozycji sprawiło, że ból znowu zelżał.

Teraz albo nigdy, powiedziałem sobie w duchu. Odbiłem się od pochyłości, stanąłem na niej lekko zgarbiony, zrobiłem kilka niezdarnych, chwiejnych kroków w górę i już byłem po drugiej stronie. Wtedy znowu straciłem równowagę i runąłem na ziemię. Szczęśliwie spadłem na gęste krzewy. Poczułem, jak ostre końce gałązek wbijają mi się w dłonie, kilka zaś boleśnie ryje policzek, ale upadek nie był dotkliwy. Przez chwilę myślałem nawet, że wylądowałem na niezbyt wygodnym materacu. Ból co prawda znowu powrócił, ale zacząłem się z nim oswajać, odbierać jako coś przynależnego mojemu istnieniu po zderzeniu z furią komendanta.

Nie bez trudu wygrzebałem się z gmatwaniny połamanych gałęzi. Byłem na nieoświetlonej, całkowicie opuszczonej ulicy. Nie miałem pojęcia, dokąd prowadzi. Ale doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, że milicjant, któremu umknąłem, zaraz się zorientuje, co się stało. Ściągnie komendanta, ten zaś postawi na nogi wszystkich podwładnych i rozpocznie się pościg.

A ulica, na której się znalazłem, będzie najbardziej oczywistym miejscem poszukiwań.

Był środek nocy, panowała grobowa cisza, ale nim się podniosłem i otrzepałem, od strony komisariatu dobiegły mnie przenikliwe dźwięki milicyjnego gwizdka i niezrozumiałe okrzyki. Moja ucieczka została odkryta. Huk upadku z dachu, mimo że stłumiony przez gęstwinę krzewów, nie umknął uwadze kaprała.

Ruszyłem przed siebie, w lewo, chociaż równie dobrze mógłbym pójść w prawo. Każda z tych dróg była taką samą niewiadomą. Zdawałem sobie sprawę z tego, że mam kilka minut, nim psy gończe zdążą się zebrać i ruszyć moim tropem. Musiałem jak najszybciej zniknąć z miejsca, w którym nadal tkwiłem. Wiedziałem też, że jest to właściwie niemożliwe.

Ból sprawiał, że poruszałem się wolno. Nie znałem okolicy. A ciasna uliczka, na której przeważały małe budynki gospodarcze, nie dawała nadziei na schronienie. Chyba że wyłamałbym któreś drzwi albo znowu wspiął się na jakiś dach, ale brakowało mi czasu i siły, by spróbować.

Na skrzyżowaniu dotarłem w prawo i po chwili dotarłem do piętrowego domu, który prawdopodobnie był budynkiem mieszkalnym, w ciemnych oknach zauważyłem bowiem zarysy doniczek z kwiatami, firanek i zasłon. Ponieważ wrastał głęboko w ulicę, założyłem, że zajmuje go kilka rodzin, a jeśli tak, drzwi na klatkę schodową powinny być otwarte. Mógłbym się tam na jakiś czas schronić, zwłaszcza że nic nie wskazywało na to, by odgłosy pościgu obudziły mieszkańców.

W tej samej chwili usłyszałem za sobą bezlitosny, przerażający ryk milicyjnego motocykla. Dobiegał z ulicy, z której przyszedłem. Wiedziałem, że jeśli reflektor omiecie światłem miejsce, w którym stałem, będę zgubiony. Dopadłem drzwi do domu i nacisnąłem starą metalową klamkę o dziwnym falistym kształcie. Nie puściła.

Jazgot silnika szybko się nasilał. Maszyna była już o krok od zakrętu prowadzącego w moją stronę. Pociągnąłem zimną klamkę do góry i naparłem na nią raz jeszcze. Drzwi ustąpiły z cichym skrzypnięciem. Szybko wszedłem do środka i zamknąłem je za sobą. Motocykl zawył tuż obok.

Zastanawiałem się, czy ścigający mnie funkcjonariusz mógł usłyszeć nieprzyjazne stęknienie zamykanych drzwi. A jeśli nie, czy przyjdzie mu do głowy, że jeden z nielicznych w tym kwartale domów mieszkalnych to potencjalna kryjówka.

Przywarłem do lodowatej, zawilgoconej ściany. Wstrzymałem oddech i czekałem.

Motocykl zamilkł, zapewne się zatrzymał. Może ulica była ślepa? Zawrócił, znowu zawył tuż obok. I szybko się oddalił. Odetchnąłem z ulgą. Ale oczywiście wiedziałem, że ścigający mnie glina prędzej czy później wróci. Objedzie okolicę, a następnie zajrzy we wszystkie miejsca, które mogły ugościć zbiega.

Na korytarzu panowały kompletne ciemności. Miałem nadzieję, że po chwili wzrok się do nich przyzwyczai i zacznę dostrzegać zarysy ścian, drzwi do mieszkań, schodów wiodących na piętro. Nie widziałem nawet czubka własnego nosa.

Zacząłem przesuwać się powoli wzdłuż zimnego muru w głąb sieni, gdy tuż obok rozległ się niepokojący szmer. Ktoś czaił się w ciemnościach? Serce podeszło mi do gardła. Chrząknąłem, oczekując jakiejś reakcji, ale odpowiedziała mi cisza. Po chwili wahania ruszyłem przed siebie.

Dotarłem do jakichś drzwi. Przesunąłem po nich dłonią. Zastanawiałem się, co zrobić. Zapukać? Nie najlepszy pomysł. Głupotą byłoby liczyć na to, że ktoś nieznajomy, obudzony w środku nocy, zechce udzielić mi schronienia. Zwłaszcza że informacja o moim aresztowaniu i postawionych mi zarzutach zdążyła już pewnie obieć miasto. Zniechęcony powlokłem się dalej. Nadal nic nie widziałem. Byłem jak ślepiec pozostawiony samemu sobie na nieznanym gruncie.

Przesuwałem się wzdłuż ściany, gdy ni stąd, ni zowąd w jednym z mieszkań rozległ się głośny, suchy kaszel. Pomyślałem, że ktoś nie śpi i zaniepokojony hukem motocykla wyjdzie sprawdzić, co się dzieje. Oddychałem ciężko. Byłem zmęczony, obolały i przerażony. Miałem dość nieprzemyślanej, wyczerpującej ucieczki.

W mózgu pojawiła się kusząca myśl, by się poddać, ale w tej samej chwili odpłynęła, ponieważ na jednej z pobliskich ulic znowu zawył motocykl. Złowieszczy warkot silnika nasilał się z każdą sekundą. I nagle umilkł jak ucięty nożem.

Pokuśtykałem przed siebie, jak najszybciej umiałem, przylepiony do wychłodzonej, spoconej ściany.

Kiedy od strony drzwi wejściowych dobiegł mnie nieprzyjemny, zgrzytliwy jęk klamki, wiedziałem, że to koniec. Po drugiej stronie stał któryś z szukających mnie stróżów prawa. Sekundy dzieliły mnie od momentu, kiedy wtargnie do środka i rzuci się w moją stronę.

Zrobiłem w głąb pustego, ciemnego korytarza ostatni krok, na jaki pozwalał mi czas, i ze zdumieniem stwierdziłem, że otoczyła mnie pustka. Ściana, której się kurczowo trzymałem, zniknęła. Czyżbym trafił na wyłom

w murze? A może korytarz zakręcał w tym miejscu? Nie zastanawiając się długo, dałem nura w wyrwę. Dokładnie w tej samej chwili drzwi na ulicę zazgrzytały, a zwielokrotnione przez cichy pogłos odgłosy kroków potwierdziły, że ktoś wszedł do środka.

Wnętrze oświetlił księżycowy blask. Schowany za wyłomem nie widziałem ścigającego, ale kiedy błada poświata oświetliła podłogę, ujrzałem wokół siebie rozbiegające się na boki myszy. Omal nie krzyknąłem z obrzydzenia. Myśl, że przez cały czas krążyły wokół moich stóp, była nie do zniesienia.

Odruchowo zrobiłem jeszcze jeden krok do tyłu, ale zachwiałem się w ciemnościach i aby nie upaść, wyrzuciłem w rozpaczliwym geście ręce w bok. Lewa natrafiła na pochyłą drewnianą poręcz i znalazła oparcie. Zrozumiałem, że wnęka, w której się znalazłem, prowadzi do schodów na górę.

Pomyślałem, że milicjant, który czai się kilka lub kilkanaście metrów ode mnie, zechce sprawdzić, czy nie zaszyłem się na piętrze. A kiedy ruszy w stronę schodów, nieuchronnie odkryje moją kryjówkę. Ale tropiciel był już chyba zmęczony i zniechęcony. A może tak jak ja brzydził się myszy? Przez chwilę stał bez ruchu w ciemnościach. Pewnie próbował przebić je wzrokiem, ale w końcu się poddał. Wycofał się na ulicę, uruchomił motocykl i odjechał.

Czy oznaczało to, że nie wróci? Tego oczywiście nie mogłem być pewien. Zresztą nawet on sam raczej nie znał swoich dalszych ruchów. W miasteczku nie było do tej pory zbiegów, a to oznaczało, że nikt z tutejszych milicjantów nie posiadał umiejętności tropicielskich. Niepoparte doświadczeniem i wiedzą poszukiwania musiały być nieudolne i chaotyczne. Dawało mi to pewną przewagę nad ścigającymi, ale też sprawiało, że ich poczynania cechowała duża doza nieprzewidywalności.

Jedno nie ulegało wątpliwości: na piętrze czułbym się bezpieczniej niż na parterze.

Powoli wspiąłem się na schody. Ani na moment nie wypuszczałem z dłoni poręczy i uważałem, żeby w ciemnościach nie zawadzić o coś nogą, bo wtedy mógłbym runąć w dół.

Górny korytarz nie był tak ciemny jak dolny. Gdzieś z jego końca padało na ściany i drewnianą podłogę – wolną od myszy, co przyjąłem z ulgą – blade światło. Co było źródłem jasności? Lampa zapalona przez kogoś zaniepokojonego hałasami dobiegającymi zza okna?

Ostrożnie zdjąłem buty, wziąłem je do ręki i na palcach zbliżyłem się powoli do jasnopomarańczowej plamy. Okazało się, że drzwi na końcu korytarza są uchylone i to za nimi pali się niezbyt intensywne światło. A więc

jednak ryk motocykla i wtargnięcie milicjanta do budynku kogoś obudziły?

Stałem przez dłuższą chwilę przed otwartymi na kilka palców drzwiami i nasłuchiwałem dobiegających z mieszkania odgłosów. Do moich uszu dotarło tylko przyjazne pochrapywanie.

Zajrzałem przez szparę. Żadnego ruchu, żadnych oznak ludzkiej aktywności. Otworzyłem szerzej. Miałem przed sobą przytulny, zagracony pokój – bez przedpokoju. Źródłem światła okazała się mała lampka nocna z pomarańczowym abażurem, ustawiona na podłodze przy dziecięcym łóżeczku. Wystawiona przez drewniane szczebelki na zewnątrz rączka powiedziała mi, że śpi w nim niemowlę. Trochę dalej dojrzałem duże staroświeckie łóżko, a na nim ledwie widoczną z korytarza kobietę.

Rozchyliłem drzwi jeszcze szerzej. Widziałem teraz całe wnętrze. Nie ulegało wątpliwości, że nie ma w nim innych osób poza tymi dwoma. Pomyślałem, że mógłbym się zadekować w tym miłym mieszkanku, dopóki milicja prowadzi najbardziej intensywne poszukiwania.

Wszedłem do środka. W ciasnym pomieszczeniu, ogrzewanym mimo wiosennej pory przez mały piecyk elektryczny, panował zaduch. Pewnie dlatego gospodyni uchylała na noc drzwi. Widocznie ufała sąsiadom – być może byli to jej bliscy: rodzice, rodzeństwo, inni krewni. Także mąż? Raczej nie, spałby przecież z nią. Chyba że chronił swój bezcenny sen przed nocnymi krzykami dziecka.

Podszedłem na palcach do łóżka, na którym spała kobieta, czy raczej dziewczyna – ładnie zbudowana blondynka o rumianej buzi, szerokich, lekko rozchylonych ustach, z których spływała strużka śliny, oraz zaskakująco ciemnych brwiach, tak gęstych, jakby namalowano je farbą. Na twarzy nieznajomej malowała się błogość, a wyrzucone do góry w niedbałym geście ręce potwierdzały, że smacznie śpi. W pewnej chwili zamruczała jak kotka. A kiedy wyprężyła ciało, jasnorożowe sutki niemal przebiły lekką, przejrzystą tkaninę obcisłej koszulki. Patrzyłem na nią obojętnie. Strach, ból i zmęczenie uczyniły mnie odpornym na wszelkie podniety.

Pomyślałem mimo wszystko, że przyjemnie byłoby położyć się obok śpiącej kobiety, znaleźć bezpieczną przystań w łagodnych krągłościach pachnącego mlekiem ciała, ogrzać emanującym od niego ciepłem. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że to mrzonki. Wiedziałem, jak wiele ryzykuję, stojąc nad łóżkiem młodej matki, kompletnie nieświadomej mojego najazdu na jej mały prywatny świat, brutalnego i niczym nieusprawiedliwionego wtargnięcia w jej intymność. Gdyby otworzyła oczy i zobaczyła mnie nad sobą, jej wrzask dotarłby pewnie aż do murów komisariatu, z którego udało mi się zbiec.

Zastanawiałem się, gdzie mógłbym się schować w małym jednoizbowym mieszkanku, do którego tak bezceremonialnie się wpakowałem. W pierwszej chwili pomyślałem o dużej, solidnej, beżowej szafie, ale nie ulegało wątpliwości, że dziewczyna do niej zajrzy, kiedy po przebudzeniu zechce się ubrać.

Od razu odrzuciłem ciemny kącik za koślawym, poprzecieranym fotelem w herbacianym kolorze. Byłem prawie pewien, że nie udałoby mi się tam zmieścić. Bardziej kusząca wydała mi się kryjówka pod stołem, ale po chwili wahania doszedłem do wniosku, że mógłbym zaryzykować, gdyby przykrywająca go, zniszczona cerata w zielone zawijasy sięgała aż do podłogi. Niestety, tylko niewielka część zwisała z blatu, co oznaczało, że dziewczyna od razu by mnie zauważyła.

Uznałem w końcu, że od chwili ucieczki minęło już wystarczająco wiele czasu, bym mógł spróbować wyjść z domu i przedostać się do innej części miasta. Raz jeszcze spojrzałem na nieznajomą i wylewające się spod jej koszulki piersi, pożegnałem się w myślach z małym, zacisznym mieszkankiem i na palcach podszedłem do uchylonych drzwi. W tej samej chwili za oknem znowu rozległ się warkot motocykla. Milicjanci nie ustawiali w poszukiwaniach, a to oznaczało, że o wyjściu na zewnątrz nie powinienem na razie myśleć.

Wtedy przyszedł mi do głowy zwariowany pomysł. Mógłbym się ukryć pod stojącym na dość wysokich drewnianych nogach łóżkiem dziewczyny. Schyliłem się i zajrzałem, czy pusta przestrzeń nie służy jej za schowek. Ale w ciemnej czeluści nie wypatrzyłem niczego poza brzydkim, metalowym, obitym naczyniem i wałkami kurzu pokrywającymi zielone linoleum.

Złapałem bladoniebieski koc leżący na oparciu fotela – miałem nadzieję, że jego brak nie wzbudzi podejrzeń – i w ciągu kilku chwil zrobiłem sobie prowizoryczne posłanie pod łóżkiem. Zaraz potem wsunąłem się jak najgłębiej. Obok nóg postawiłem oprócz metalowego naczynia buty, które ścisnąłem w dłoni. Kiedy próbowałem ułożyć się wygodnie, zawadziłem głową o stelaż i głośno zakląłem. Zamarłem przerażony, ale nieznajoma tylko mruknęła przez sen.

Zdawałem sobie sprawę z tego, że nie wolno mi zasnąć. Zmęczony i obolały zacząłbym głośno chrapać i nieuchronnie bym się zdradził. Postanowiłem zastanowić się nad swoją sytuacją, licząc na to, że świadomość jej grozy podziała na mózg otępleniowo.

Ale kiedy tak leżałem obok atrakcyjnej, półnagiej dziewczyny (a właściwie pod atrakcyjną, półnagą dziewczyną), moje myśli zaczęły nieuchronnie



krążyć wokół wszystkich ponętnych kobiet, które poznałem od chwili przybycia do miasteczka. Wiedziałem, że odpływam w sen, i mimo świadomości, czym to grozi, nie umiałem się przed nim obronić.

15 grudnia 1981, wtorek

Anna Eckart spojrzała na zegarek. Minęła ósma. Znowu niewiele spała. A dalsze przewracanie się z boku na bok nie miało sensu.

Wstała, długo celebrowała poranną toaletę, ale w końcu ubrała się i zeszła do restauracji na śniadanie. A po zjedzeniu jajecznicy i wypiciu lurowatej kawy udała się do recepcji, aby zapytać – wiedziała, że będzie musiała zdradzić się ze znajomością języka polskiego – o możliwość wypożyczenia w Starym Krzyżu samochodu. Okazało się, że jest to zadanie trudniejsze, niż myślała. W mieście nie było wypożyczalni, a samochodów prywatnych zarejestrowano tak niewiele, że znalezienie kogoś, kto udostępniłby swój wóz, należałoby uznać cud.

Zastanawiała się, czy będzie musiała pojechać do Poznania, żeby zdobyć auto, gdy podeszła do niej hotelowa sprzątaczką, która słyszała jej rozmowę z recepcjonistką. Kobieta ściszym głosem zaproponowała za odpowiednie wynagrodzenie trochę wysłużoną, ale nadal sprawną škodę. A następnie skierowała ją do swojego syna Krzysztofa Jawora, mieszkającego na ulicy Wąskiej. Co prawda nie bardzo potrafiła wytłumaczyć, jak tam dojść, ale Anna знаła drogę na Brockenstrasse, bo tak nazywała się Wąska w czasach Alt-Kreuz.

Krzysztof Jawor okazał się gburem. Z początku w ogóle nie chciał rozmawiać, dopiero gdy powołała się na znajomość z jego matką, wysłuchał prośby, z którą przyszła. I wyjaśnił, że škody nie pożyczą. Zmienił zdanie, gdy wymieniła kwotę. Pięćset złotych. Obiecał przed wieczorem zaparkować samochód pod hotelem, a kluczyki zostawić w kopercie w recepcji.

W drodze powrotnej do hotelu Anna wstąpiła do apteki po środki nasenne. Kiedy zdała sobie sprawę, że kilkuosobową kolejkę tworzą osoby w tym samym wieku co ona, chciała wyjść. Wiedziała, że któraś z nich może ją rozpoznać. Zwłaszcza mężczyzna w brzydkiej jesionce, który obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Była jednak zdesperowana, by zdobyć lek. W końcu nadeszła jej kolej. Niestety, w grubych szklach nie mogła sobie poradzić z odliczeniem pieniędzy. Musiała na chwilę zdjąć okulary. Szybko schowała środek nasenny, który podała jej sprzedawczyni, oraz resztę do torebki, i wyszła na ulicę. Odetchnęła z ulgą. Spokojnym krokiem wróciła do hotelu.

Kiedy znalazła się w swoim pokoju, zażyła dwie tabletki i położyła się w ubraniu do łóżka. Ponieważ jednak sen nie nadchodził, znowu poddała się

wspomnieniom. Myślała o rodzicach. O ich ciężkim życiu. O miłości, którą ją obdarzyli. I o surowych zasadach moralnych, które próbowali jej wpoić.

Po raz pierwszy od wielu lat powróciła myślami do dnia, kiedy poszła do domu namawiać oboje, by wyjechali wraz z nią i Olafem w głąb kraju. Sama dała się już wtedy przekonać, że nie ma innego wyjścia. Mimo że jak twierdził Olaf, Brytyjczycy bombardowali niemieckie miasta. Ale zostawić rodziców w Alt-Kreuz w obliczu zbliżającej się nawałnicy sowieckiej? Na to nie mogła pozwolić. Wiedziała oczywiście, że czeka ją trudne zadanie. A jednak była dobrej myśli. Wierzyła, że znajdzie argumenty, które skruszą niechęć mamy do opuszczenia domu, w którym spędziła całe życie, nawet jeśli przez ostatnich kilka lat nie wyszła za próg.

Zaskoczyło ją, że wspomnienie tamtego styczniowego dnia czterdziestego piątego roku jest w niej tak żywe. Pamiętała skrzący się w słońcu śnieg. Gryzący w policzki mróz. I swój stan ducha. Jakże cieszyła się na podróż ku nowemu życiu! Nie myślała już o niej jak o ucieczce. A raczej jak o szansie na rozpoczęcie wszystkiego od początku. I bardzo chciała, żeby na tym nowym etapie nie zabrakło przy niej rodziców.

Nie wzięła ze sobą klucza. Zapomniała, bo od dawna go nie używała. Nacisnęła na dzwonek. Zdziwiła się, że nikt nie otwiera. Mama od dawna nigdzie nie wychodziła, a ojciec pracował w domu.

Nacisnęła klamkę. Znalazła ich od razu. Leżeli na małżeńskim łóżu, wystrojeni w świąteczne ubrania, wtuleni w siebie.

Zanim jeszcze im się przyjrzała, zanim zobaczyła wieczną ciszę w ich oczach, zanim dotknęła ich znieruchomiłych, wychłodzonych dłoni, wiedziała, że nie żyją. Skąd? Nawet teraz, po tylu latach, nie potrafiłaby tego wyjaśnić. Wiedziała.

Na szafce nocnej obok pustej buteleczki po środkach nasennych znalazła list napisany ręką taty.

„Nie potrafimy porzucić miasta, w którym spędziliśmy całe życie. Jesteśmy zbyt zmęczeni. Nie mamy zresztą dokąd uciekać. A zostać tu, po tych wszystkich krzywdach, jakie my, Niemcy, wyrządziliśmy sąsiadom, nie możemy. Wybacz”.

Jakby wiedział, że przyjdzie i będzie ich namawiać na wspólny wyjazd.

Wybiegła na ulicę. Nie mogła tam zostać. Chciała jak najszybciej wrócić do Olafa. Podzielić się z nim swoim bólem. I poprosić, by zajął się wszystkimi sprawami, jakim trzeba stawić czoło, kiedy najbliżsi odchodzą na zawsze.

Nie potrafiłaby wyjaśnić, jak znalazła się w pobliżu pałacu. Szła przed siebie jak we śnie. Ale kiedy minęła las i zobaczyła za ogrodzeniem

zabudowania, które kilka lat wcześniej stały się jej domem, oprzytomniała. Nie mogła jedynie zrozumieć, dlaczego Olaf uruchomił horcha. Ukrył przecież samochód w pustej stajni (w sierpniu trzydziestego dziewiątego wszystkie konie zabrało polskie wojsko), żeby nikogo nie kusił. Miał go wyciągnąć dopiero w dniu wyjazdu. Tymczasem wóz mijał na jej oczach bramę i opuszczał teren pałacowy. Może Olaf zdecydował się na ucieczkę bez niej? Może miał jej dość, mimo że w końcu, po tych wszystkich przykrych pytaniach i irytujących oskarżeniach, przyznała mu rację.

Kiedy czarny horch mijał ją z wyniosłą obojętnością, próbowała dostrzec, kto siedzi za kierownicą, ale stała trochę za daleko, zresztą przez zaciemnione szyby niewiele mogła zobaczyć.

Jednego była pewna. W środku siedziało kilka osób, nie jedna.

Przyspieszyła kroku, a w końcu ruszyła biegiem w stronę pałacu. Wpadła zdyszana na dziedziniec i wtedy go zobaczyła. Leżał twarzą do ziemi. Pobity? Ogłuszony? Ranny?

Dopiero kiedy podeszła bliżej, zrozumiała, że poderżnięto mu gardło. Niedawno, bo krew jeszcze nie zastygła.

– Przekłęci Polacy! – wrzasnęła i osunęła się na kolana...

Nie, nie poddałam się rozpacz.

W następnych dniach próbowała znaleźć sens życia w niesieniu pomocy innym. Rodakom uciekającym przed zbliżającą się do Alt-Kreuz nieubłaganie Armią Czerwoną.

W głównym budynku pałacu zorganizowała wielką noclegownię dla zmarzniętych i wygłodzonych przesiedleńców. Spało się na ziemi, na kocach, ale wędrowcy i tak byli jej wdzięczni. W ciepłe, w miłej, serdecznej atmosferze, w poczuciu bezpieczeństwa mogli zebrać siły przed dalszą podróżą.

Najtrudniej było zapewnić tym ludziom wyżywienie, ale Anna dokonywała cudów. Od rana krążyła po okolicy, by przekonywać niemieckich osadników, którzy zwlekali z decyzją o opuszczeniu przydzielonych im gospodarstw, że powinni pomagać ciągnącym ze wschodu rodakom. Tak zdobywała ziemniaki, mleko, jaja i inne produkty. Mało kto jej odmawiał. Ale też wszyscy pamiętali, z jakim oddaniem dziewczęta z Bund Deutscher Mädel pomagały im zaadaptować się w Wartheland.

Za swój sukces uważała pozyskanie do współpracy doktora Steinberga, wielu uchodźców przybywało bowiem do Alt-Kreuz schorowanych i wycieńczonych. Zwłaszcza dzieci potrzebowały opieki lekarskiej.

Chociaż huk dział z każdym dniem się nasilał, co oznaczało, że Rosjanie są

coraz bliżej, Anna porzuciła myśl o wyjeździe. Chciała być tam, gdzie czuła się potrzebna. Znajdowała sobie zresztą tyle obowiązków i zajęć, że nie miała czasu myśleć o ucieczce. I o tragedii, którą przeżyła. O żalonym wspólnym pogrzebie mamy, taty i Olafa. Bez karawanu zaprzęzonego w czarne konie, bez orkiestry, bez korowodu z wieńcami, bez woalek i czarnych pończoch. Bez żałobników. Bez kapłana, a tylko z chamowatym polskim grabarzem. Na trzaskającym mrozie. Gdzieś pod lasem.

Czwartego czy piątego dnia wielkiej ucieczki zobaczyła w tłumie znajomą twarz. Sigrid Kremer. Od razu ją poznała. Jak zresztą mogłaby nie poznać zwyciężczyni w konkursie poetyckim, z którą przeżyła tyle miłych chwil podczas pobytu w Krakau? Padły sobie w ramiona.

Sigrid zaimponowała jej spokojem, siłą ducha i dumą graniczącą z wyniosłością. A także niezachwianą wiarą, że na gruzach walącego się świata powstanie nowy, lepszy, wspanialszy. Mimo że straciła dom w Auschwitz, a przede wszystkim ukochanego męża, obozowego strażnika, zamordowanego przez polskich bandytów, jakby miał wpływ na to, co działo się za drutami.

To Sigrid wyrwała Annę z bezrefleksyjnego trwania w Alt-Kreuz. W pewnej chwili powiedziała po prostu: „Jedź z nami”.

W pierwszej chwili Anna zaprotestowała. Próbowwała wyjaśnić, że nie może porzucić majątku, w którym została umieszczona przez władze i za który czuje się odpowiedzialna, nawet jeśli lokalne struktury Bund Deutscher Mädel rozsypały się jak domek z kart. Przedstawiła też argument ważniejszy: jest potrzebna ludziom, którzy w murach pałacu znajdują schronienie przed mrozem, głodem i upokorzeniami.

Sigrid wyśmiała ją. Przecież za dzień czy dwa wkroczą tu Sowietci. Rozgoszczą się w salonach hrabiny Ponieckiej i sami zajmą się uchodźcami, których zastaną. Zwłaszcza kobietami, które od tej pory będą zaspokajały ich chęć. Natomiast mężczyźni wywiezą do obozów w Rosji. Albo, co jeszcze bardziej prawdopodobne, zabiją.

Anna broniła się przed wyjazdem. Przyznawała, że boi się podróży zatłoczonymi do granic możliwości drogami, na mrozie, w nieznane. Ale jej opór słabł i w końcu wsiadła na załadowany po brzegi wóz, obok Sigrid, jej młodszej siostry Ingeborg i nadal energicznej matki, Marthy. Z niewielką torbą, bo po kilku dniach dzielenia się wszystkim z uchodźcami została z niczym.

Wędrówka na zachód wśród setek podobnych, tak samo obciążonych, powolnych wozów, w chaosie, w atmosferze narastającego rozdrażnienia

okazała się udręką.

I ta wszechobecna śmierć! To rozdzierające milczenie niemowląt, które nie miały szans w zmaganiach z dwudziestostopniowym mrozem! I krzyk matek, które już nigdy nie wybaczą sobie, że skazały własne dzieci na morderczą podróż w nieznane...

Ponieważ wszystkie główne trakty były zatłoczone, Sigrid wkrótce po pokonaniu mostu na Odrze wpadła na pomysł, by spróbować przemieszczać się bocznymi drogami, ale oznaczało to ciągłą zmianę kierunku jazdy i obawę zagubienia się w terenie, którego nie znały.

Następnego dnia wóz utknął na zasypanym śniegiem polu, w pustce i ciszy. Anna gorzko pożałowała, że opuściła Alt-Kreuz. Ale Sigrid się nie poddawała. Mruczała coś pod nosem, jakby sama sobie dodawała otuchy, poganiała utrudzone konie, wypatrywała zewsząd pomocy.

I nagle znikąd wyrosli trzej mężczyźni. Podeszli, przywitani się. Z początku byli uprzedzająco mili, ale kiedy upewnili się, że mają do czynienia z bezbronnymi kobietami, odkryli karty. Przyznali, że też są uchodźcami, ale ich koń padł, wóz się rozsypał, rzeczy przepadły. Zagrozili przerażonym uciekinierkom pistoletem i kazali im oddać wszystko, co mają. Konie, wóz, dobytek. Przejrzeli nawet ich kieszenie, aby nie zostawić niczego wartościowego.

Anna od razu ich poznała. Nie dalej jak trzy dni wcześniej udzieliła im schronienia w Alt-Kreuz. Tym bardziej nie mogła pojąć tego, co się stało. Zrozumieć, że ograbili je towarzysze niedoli. Uchodźcy tacy jak one. Niemcy.

Dopiero to doświadczenie sprawiło, że zadała sobie proste pytanie, które powinna postawić już wtedy, gdy na dziedzińcu przed pałacem znalazła Olafa. Dlaczego zabójcy wzięli tylko samochód? W zasięgu ręki mieli przecież mnóstwo cennych i przydatnych przedmiotów. W pałacu nadal jeszcze można było znaleźć ciepłe ubrania, jedzenie, wytrawne alkohole. To wszystko, o czym Polacy mogli przez ponad pięć lat jedynie marzyć. Odpowiedź była prosta. Ponieważ środka transportu potrzebowali bardziej niż cegokolwiek innego. A kto wtedy potrzebował środka transportu bardziej niż cegokolwiek innego? Uchodźcy.

Musiło minąć trochę czasu, by przyznała, że zabójcami Olafa mogli być Niemcy. Ludzie tacy jak ci, którzy zostawili ją oraz Sigrid, jej siostrę i starą matkę na środku pola, na trzaskającym mrozie, na pewną śmierć.

Szcęście jednak sprzyjało czterem uciekinierkom, bo po kilku godzinach wyczerpującej wędrówki znalazły schronienie w niewielkiej wiosce, której nazwy nigdy wcześniej nie słyszały.

Sigrid wypytała kobietę, która przyjęła je pod dach, nakarmiła i napoiła, jak dotrzeć do szlaku, z którego zjechały, i postanowiła z samego rana wyruszyć w tamtym kierunku. Wierzyła, że znajdzie wraz z siostrą i mamą miejsce na którymś z mniej obciążonych wozów.

Anna stanowczo odmówiła udziału w niepewnej eskapadzie. Dogadała się z kobietą, że zostanie u niej. W zamian za łóżko i skromne wyżywienie pomoże w gospodarstwie.

Naiwnie wierzyła, że Rosjanie ominą wioskę zagubioną wśród pól. Była w błędzie. Zjawili się w pierwszych dniach kwietnia.

Doiła w stodole krowę, kiedy usłyszała na podwórku tupot ciężkich butów, strzał z karabinu i gardłowe okrzyki. Szybko schowała się w sianie. Ale bez trudu ją znaleźli. Brudni. Śmierdzący potem i samogonem. Odrażający.

Najszybszy w barach rozkazał: *Frau, komm!*, powalił ją pięścią na ziemię, zerwał bluzkę i spódnicę, silnymi szarpnięciami lufy karabinu rozdarł biustonosz i majtki, a w końcu wepchnął w usta szmatę cuchnącą naftą do czyszczenia broni, żeby nie krzyczała. Rozpiął rozporek i zwałił się na nią jak kłoda. Jęknęła z bólu, ale prawdziwa męczarnia zaczęła się po chwili, kiedy wbił się w nią z taką nienawiścią, jakby chciał ją rozszarpać. Karmiła się nadzieją, że kiedy skończy, będzie wolna. Ale zaraz po nim wskoczył na nią następny, potem kolejny i jeszcze jeden. Wdzierali się w nią jak dzikie bestie, a kiedy już sobie dogodzili, porzucili na klepisku jak rozkładające się ścierwo. I tak codziennie, przez kilka tygodni.

Podobny los spotkał wszystkie kobiety w wiosce, ale Anna znosiła wizyty oprawców w złachanych żółtych mundurach gorzej niż inne. Po kilku dniach była tak wyczerpana, że nie miała już nawet siły jeść. Piła jedynie mleko. Małymi łykami, ostrożnie, żeby się nie zachłysnąć.

W tych okrutnych, bezlitosnych dniach szukała ulgi, pocieszenia i spokoju w słowach modlitw zapamiętanych z dzieciństwa. Ale kiedy patrzyła na smutną twarz ukrzyżowanego Jezusa na obrazie wiszącym w chacie, nie potrafiła zobaczyć w niej Boga.

Opuszczona i osamotniona, oszukana i ograbiona, bezradna i zagubiona, poddana nieludzkim katuszom, utraciła wiarę we wszystko. W ludzi. W Niemcy. W ideologię, którą zachłysnęła się jako dorastająca dziewczyna.

Nie liczyła na odmianę losu. A jednak nieoczekiwane zdarzenie z połowy maja położyło kres jej cierpieniom.

W wiosce pojawił się rosyjski polityk, kapitan Wiaczesław Seliczkin. Przystojny, elegancki, w starannie odprasowanym mundurze, z przypiętym do piersi Orderem Czerwonej Gwiazdy, w błyszczących butach. Mówił cicho,

nie podnosił głosu. Nie miotał przekleństwami, a jednak były od niego pewność siebie, poczucie władzy, siła.

Wraz z jego przybyciem skończyły się gwałty, barbarzyńskie uctowanie, niszczenie mienia, kradzieże. Zaczął się okres umiarkowanego ładu i spokoju. A także indoktrynacji. Przekonywania miejscowych do wspaniałych idei socjalizmu oraz przyjaźni z wielkim narodem Związku Radzieckiego.

Anna została wyznaczona na tłumaczkę oficera. Nie знаła co prawda rosyjskiego, ale całkiem nieźle posługiwała się polskim, a rosyjski i polski są na tyle do siebie podobne, że rozumiała wiele z tego, co mówi.

Z początku nie potrafiła ukryć niechęci do mężczyzny reprezentującego to samo plemię co jej ciemniejsi, ale z czasem zaczęła ją w sobie tłumić i odnosić się do Rosjanina z należnym jego pozycji poszanowaniem. Punktem zwrotnym okazała się niewinna rozmowa.

Któregoś dnia Seliczkin zapytał przy herbacie o poetę Friedricha Hölderlina. Ale Anna, dumna laureatka konkursu poetyckiego, nigdy o poecie Friedrichu Hölderlinie nie słyszała. Poczuli się zawstydzona, że przedstawiciel narodu barbarzyńców, jak postrzegali Rosjan, wie więcej o kulturze niemieckiej niż ona.

Ale minęło jeszcze trochę czasu, nim zrozumiała, jak zapewnić sobie bezpieczną i dostatnią przyszłość w sowieckiej strefie okupacyjnej. Kapitan musiał uwierzyć, że powtarzane przez niego frazesy na temat pokoju, przyjaźni między narodami i sprawiedliwości społecznej trafiły do jej serca. Zrobiła wszystko, by tak się stało.

Seliczkin, który zabrał Annę ze sobą do Greifswaldu, dokąd został niebawem przeniesiony, odegrał kluczową rolę w jej dalszym życiu. Skierował ją na kurs marksizmu-leninizmu, który był pierwszym krokiem na drodze szybkiego uzupełnienia wykształcenia. Wykorzystał doświadczenie, które zdobyła na kierowniczych stanowiskach w Bund Deutscher Mädel oraz szkolnictwie, i umożliwił włączenie się w organizowanie socjalistycznego ruchu młodzieżowego w kraju. A także zachęcił do działalności dziennikarskiej i pisarskiej.

Już podczas nauki na Fakultecie Robotniczo-Chłopskim w Greifswaldzie jego podopieczna została korespondentką ludową. A w trakcie studiów w Berlinie napisała dla akademickiego zespołu teatralnego pierwszą jednoaktówkę.

Anna z ogromną energią włączyła się w kształtowanie nowej rzeczywistości. A z czasem zdobyła uznanie i szacunek. Jej życie znowu nabrało sensu. Nie mogła pozwolić, by to, co z takim trudem osiągnęła,



zniszczył podły szantażysta. Była gotowa zrobić wszystko, by do tego nie dopuścić.

# Część 5

## Ty giń!

23 kwietnia 1982, piątek

Tłum. Znowu tłum ciekawskich. Wypełniający dość szczelnie plac między okazałą bryłą świątyni, nazywanej przez warszawiaków bizantyjskim tortem, a górującą nad miastem, siedemdziesięciometrową dzwonnica.

Spojrzałem na drewniane rusztowanie okalające strzelistą kołokolnię i uwijających się na nim jak w ukropie rosyjskich saperów.

Kilkanaście dzwonów udało się już ściągnąć na ziemię i przygotować do transportu, aby nie trafiły w ręce zbliżających się do miasta wojsk niemieckich i nie zostały przetopione na kule armatnie. Został jeden, największy i najwspanialszy, ozdobiony ikonami Chrystusa, Bogurodzicy, czterech ewangelistów, Świętego Mikołaja i Świętego Aleksandra Newskiego.

Aby rozruszać jego serce, trzeba było aż pięciu silnych mężczyzn. Jakim sposobem kilkunastu śmiałków zamierzało zdjąć z wieży dzwon ważący dwadzieścia sześć ton?

Umocowali stalowe liny do połyskującego w słońcu ucha, przeciągnęli je nad grubą metalową ramą, teraz już tylko należało zwolnić giganta z uchwytu i przesunąć przez powiększone w tym celu okno dzwonnicy w stronę dźwigu.

– To ci sami, którzy podpalili fabrykę machin parowych na Złotej! – wrzasnął ktoś.

– I wszystko wywieźli! – krzyknął ktoś inny.

Dowódca saperów, który kierował swoimi ludźmi z dołu, obrzucił tłum spojrzeniem pełnym nienawiści. Nie widziałem dokładnie jego twarzy, ale przypominała surowe oblicze komendanta Wąsowskiego.

– Nie zdejmą. – Ktoś podał w wątpliwość umiejętności carskich żołdaków i zauważył: – Trzeba było pociąć na kawałki!

Dzwon, podtrzymywany na stalowych linach, zakołysał się na metalowej belce, a ta niebezpiecznie się ugięła pod jego ciężarem.

– Nie wytrzyma! – ryknął ten sam znawca.

Jakby przewidział, co się wydarzy, bo w tej samej chwili masywna rama przebiła drewniane rusztowanie, weszła w nie jak w masło i gwałtownie się przechyliła. Dzwon zakołysał się i z hukiem runął w dół, ciągnąc za sobą sapera, który nie zdążył wypuścić jednej z lin z dłoni.

Tłum z wrzaskiem rozbiegł się na wszystkie strony, tylko ja tkwiłem w miejscu i z zadartą głową obserwowałem spadający majestatycznie, jak na

zwolnionym filmie, jeden z największych dzwonów, jakie kiedykolwiek odlano. Nawet nie próbowałem sobie wyobrazić zgiełku, jaki nieuchronnie musi towarzyszyć zderzeniu takiej kupy żelastwa z ziemią. Przyłożyłem dłonie do uszu, ale zamiast apokaliptycznego huk dobiegł mnie stłumiony, dobiegający jakby zza ściany płacz.

Przez chwilę trwałem między rojeniem a jawą, z zamkniętymi oczami i goniąc za resztką snu, który rozpływał się powoli jak lekka mgiełka. Zastanawiałem się nad wizją zdjęcia w sierpniu 1915 roku, tuż przed wkroczeniem wojsk niemieckich do Warszawy, wielkiego dzwonu, ozdoby i dumy soboru Aleksandra Newskiego na placu Saskim.

Czy tak było naprawdę? Czy raczej moja wyobraźnia stworzyła obraz zdarzenia, o którym miałem jedynie szczątkowe informacje?

Nie potrafiłem odpowiedzieć na te pytania, zwłaszcza że cichy płacz w jednej chwili się przybliżył, wypłynął z omamu i stał się czymś realnym: przenikliwym krzykiem dziecka gdzieś obok, niemal na wyciągnięcie ręki.

Kiedy otworzyłem oczy, przebudziła się też moja świadomość i w jednej chwili przypomniałem sobie, gdzie jestem i jak tu trafiłem. Przetarłem powieki z niedowierzaniem. Naprawdę zdecydowałem się na coś tak idiotycznego? A jednak. Nie ulegało wątpliwości, że leżę pod łóżkiem ładnie zbudowanej blondynki o brwiach tak gęstych, jakby namalowano je farbą, bo po rozpaczliwej ucieczce z aresztu nie udało mi się znaleźć lepszej kryjówki.

Starłem się zachowywać jak najciszej, nie wydawać żadnych dźwięków, nie sapać i przede wszystkim tkwić w miejscu bez ruchu, chociaż kusilo mnie, żeby rozprostować zdrętwiałe członki i rozmasować obolałe od uderzeń komendanta sadysty mięśnie i kości.

Kobieta nade mną najpierw wydmuchała głośno nos, co oznaczało, że ma katar i nie poczuje przykrej woni mojego ciała. A zaraz potem zerwała się na równe nogi. Zobaczyłem bosa stopy biegnące w stronę dziecięcego łóżeczka. I nagle płacz ucichł. Nietrudno się było domyślić dlaczego: młoda mama sięgnęła po maleństwo, usadowiła się z nim gdzieś wygodnie, pewnie na fotelu, i podała mu pierś. Nie widziałem jej, co oznaczało, że ona nie mogła dojrzeć mnie.

Karmienie trwało w nieskończoność. Dziesięć minut, piętnaście, dwadzieścia. Czekałem cierpliwie, nigdzie się przecież nie spieszyłem. Ale świadomość, że nawet jeden ruch, nie mówiąc o kichnięciu czy ziewnięciu, może mnie zdradzić, czyniła to trwanie w półmroku męką. I dopiero wraz z radosnym cmoknięciem dziecka pojawiła się nadzieja, że zaspokoilo już głód, ma dość, pozwoli mamie się ubrać i przygotować do wyjścia. Nie wiem

dlaczego założyłem, że kobieta niebawem opuści mieszkanie, zostawi mnie samego i pozwoli porzucić kryjówkę, która spełniła swą rolę, ale teraz stała się rodzajem więzienia, lochu, turmy.

Na podłodze znowu pojawiły się bosc stopy, skierowały się do łóżeczka – jedynie zgadywałem, że dziecko, przewinięte w świeżą pieluchę, wróciło na swoje miejsce – a potem w moją stronę. Kobieta pochyliła się i sięgnęła ręką w otchłań mojej kryjówki po metalowe naczynie, ale ponieważ je przestawiłem, trafiła w pustkę. Zamarłem. Wiedziałem, że zaniepokojona zajrzy pod łóżko, a wtedy zobaczy w ciemnej czeluści obcego mężczyznę i przerażona postawi na nogi cały dom.

Dotknąłem stopą baniaka, którego używała pewnie jako nocnika, i delikatnie odsunąłem od siebie, ale to nie wystarczyło. Nieznajoma nadal szukała go na wysokości mojej głowy. Pchnąłem garnek jeszcze dalej, aby nieznacznie wysunął się spod łóżka, co nie było zbyt mądre; kobieta mogła się zdziwić, że poszukiwany przedmiot wędruje w jej stronę, jakby został obdarzony tajemną mocą. Czekałem w ciszy na to, co się wydarzy. Na szczęście gospodyni małego mieszkanka nie zastanawiała się nad tym, dlaczego naczynie znalazło się nagle na widoku, i to nie w tym miejscu, w którym powinno stać. Chyba z ulgą odnotowała, że się odnalazło.

Zdjęła koszulę i rzuciła na podłogę. Odwróciłem głowę, żeby nie gapić się na nią, kiedy sika, ale słyszałem, jak powstrzymywany od chwili przebudzenia strumień moczu uderza w metalową ściankę z siłą wodospadu. W tej samej chwili uświadomiłem sobie, że mój pęcherz również domaga się opróżnienia, ale wiedziałem, że muszę tę czynność odłożyć jeszcze na jakiś czas.

Kiedy znowu spojrzałem w stronę światła, kobieta wstała, zniknęła gdzieś z naczyniem, być może wylała zawartość przez okno, i dopiero wtedy pchnęła je z powrotem pod łóżko, a zrobiła to z takim impetem, że niemal uderzyła mnie w nos. Zaraz potem postawiła na samym środku pokoju, na podłodze, dużą miednicę. Sięgnęła po wiadro, które prawdopodobnie poprzedniego dnia napełniła na podwórku wodą z pompy, i wlała całą zawartość do miski, która, jak się domyśliłem, służyła jej za wannę.

Nie spieszyła się z wejściem do środka. Odciągała ten moment w czasie, przestępując nerwowo z nogi na nogę, wiedziała bowiem dobrze, co oznacza zetknięcie z lodowatą wodą. Dziwiłem się, dlaczego nie przygotowała ciepłej kąpieli, ale przestałem, kiedy przypomniałem sobie, że w nocy dostrzegłem w pomieszczeniu kuchnię węglową. Wiedziałem, ile cierpliwości i mozołu wymagało rozpalenie ognia pod paleniskiem.

Oczami wyobraźni zobaczyłem, jak kobieta, całkowicie naga, sięga po gąbkę, namydła ją i starannie, niespiesznie się myje. Pokusa, aby wyrzeć z kryjówki i skonfrontować przyjemne rojenie z jeszcze bardziej rozkoszną, jak przypuszczałem, rzeczywistością, była niezwykle silna, ale nie uległem szatańskim podszeptom. Zamknąłem oczy i trwałem w bezruchu na swoim niewygodnym legowisku. Kolejną trudną próbą okazały się nęcące odgłosy wycierania, a potem pociągający szmer zakładanych kolejno części garderoby, ale i tym razem udało mi się zachować zimną krew.

Kolejny kwadrans czy dwa kobieta spędziła przy stole. Przyrzędziła sobie śniadanie, a potem bez pośpiechu się posiliła. Starąłem się nie myśleć o tym, co je, bo od chwili przebudzenia dokuczał mi potworny głód.

Wreszcie nieznajoma, sprowadzona do wymiaru stóp i łydek – na szczęście w nocy widziałem twarz, piersi, a nawet zarys sylwetki i w wyobraźni mogłem je sobie do tych stóp i łydek dopisać – wstała, pochyliła się nad dzieckiem, wyciągnęła je z łóżeczka, prawdopodobnie ubrała i wzięła na rękę, w końcu zaś zniknęła za drzwiami.

Dopiero po dłuższej chwili od jej wyjścia odważyłem się wygramolić spod łóżka. Byłem w pokoju sam. Złapałem leżącą na talerzyku niedojedzoną kromkę chleba z dżemem, pożarłem z apetytem i popiłem resztką mleka z dużego kolorowego kubka. Następnie wyszukałem pod łóżkiem naczynie, które służyło kobiecie za nocnik, i z uczuciem ulgi oddałem do niego mocz.

W świetle dziennym mieszkanko robiło wrażenie jeszcze bardziej przytulnego niż nocą. Ściany w kolorze goghowskich słoneczników ozdobiono wielobarwnymi wzorami, nadającymi pomieszczeniu cechy dziecięcego raj: pluszowymi misiami, piłkami, staroświeckimi samochodzikami, latawcami. W refleksyjny nastrój wprowadzał wiszący nad łóżkiem nieduży obraz, przedstawiający wschód słońca nad miasteczkiem przypominającym Stary Krzyż. A mieszczański gust kobiety potwierdzała umieszczona nad zlewem biała makatka z wyhaftowanym niebieską nitką hasłem: „Gdzie dobra gospodyni warzy, tam się dobrze darzy”.

Na środku, między łóżkiem a stołem, nadal stała duża miednica wypełniona wodą, zimną, wręcz lodowatą, w dodatku zabrudzoną i zmętniałą od mydlin, ale bez cienia odrazy przepłukałem w niej ręce i twarz, a po chwili wahania zrzuciłem ubranie i przemyłem całe ciało. Sięgnąłem po wilgotny cienki ręcznik w kolorze błękitnym, porzucony na oparciu krzesła, i powoli się w niego wytarłem, a potem na krótką chwilę położyłem się na łóżku i zawiąłem w zmiętoszoną kołdrę, czerpiąc niewinną przyjemność z myśli, że dzielę najbardziej intymną przestrzeń z powabną istotą, która

bezwiednie udzieliła mi schronienia.

Po raz pierwszy od kilkunastu godzin, które odarły mnie z godności i zmieniły w kierujące się wyłącznie instynktem, bezmózgie, płochliwe zwierzę, poczułem się człowiekiem, jakkolwiek górnolotnie by to zabrzmiało.

Obejrzałem swoje ubranie. Nie było aż tak bardzo powalane, jak mogłem sądzić, jedynie prawa nogawka spodni nosiła u dołu ślady pawia z poprzedniego wieczoru czy nocy. Zaprałem ją w miednicy i szybko się ubrałem. Dotychczas się nie spieszyłem, teraz, być może pod wpływem odgłosów krzątania gdzieś za ścianą uświadomiłem sobie, że wcale nie jestem bezpieczny. Kobieta w każdej chwili mogła wrócić, a w mieszkaniu mógł też pojawić się ktoś z jej bliskich.

Przez dłuższą chwilę nasłuchiwałem, co dzieje się w budynku, zanim odważyłem się odsunąć zasuwkę, uchylić drzwi i wyjść na korytarz. Szybkim krokiem dotarłem do schodów. Zwolniłem. Na parterze znowu przyspieszyłem, a kiedy znalazłem się na dworze, odetchnąłem z ulgą, chociaż właściwie dopiero po wyjściu na ulicę powinienem zacząć się bać. Byłem przecież ściganym przez prawo zbiegiem. A ponieważ w mieście wiele osób wiedziało, kim jestem, każdy był potencjalnym wrogiem, bo każdy mógł mnie zadenuncjować.

W dzień łatwiej było się połapać w topografii miasta niż w nocy. Wystarczyło potraktować górujące nad okolicą wieże kościelne jak punkty orientacyjne. Tak zrobiłem i bez trudu ustaliłem, którądy dojść do rynku. Mimo grożącego mi niebezpieczeństwa chciałem jak najszybciej dotrzeć do muzeum historycznego i odebrać odbitki demaskujące zabójców Anny Eckart. Na szczęście nie było jeszcze wielkiego ruchu i tylko od czasu do czasu mijałem jakiegoś zatopionego w myślach mieszkańca Starego Krzyża, zmierzającego do pracy czy do sklepu po zakupy. Starąłem się na nikogo nie gapić, aby nie zwracać na siebie uwagi, ale plan runął, kiedy zobaczyłem sunącą chodnikiem w moją stronę Sylwię w stroju zakonnicy. Zamurowało mnie.

Sylwia zakonnica? Sylwia udająca zakonnice? Sylwia przebrana na prośbę jakiegoś perwersyjnego klienta za zakonnice? Mniejsza z tym, pomyślałem. Dobrze, że ją spotkałem. Tylko ona może mi przecież zapewnić alibi na czas śmierci Markuszewskiego! Trudno, niech Wąsowski się dowie, że widziałem go tamtej nocy. Bez alibi trudno byłoby mi wykazać, że jestem czysty. Zwłaszcza że komendant przyjął moją winę za pewnik. I nawet ze zdjęciami zabójców Anny Eckart w ręku mógłbym się nie wybronić. Bo jak przekonać grubasa, że Annę Eckart, Ryszarda Frąckowiaka i Pawła Markuszewskiego

zabiła ta sama osoba bądź te same osoby?

Podszedłem do pięknej towarzyszkii niedoszłych nocnych igraszek, pchnąłem delikatnie do najbliższej bramy, przygniotłem całym sobą do muru i błagalnym tonem poprosiłem o pomoc. Popatrzyła na mnie zdziwiona, ale i zaintrygowana.

Na uwięzionej pod białym kapturem i czarnym welonem twarzy pojawił się rumieniec, a ciało, zniewalające doskonałością ukrytych pod czarną suknią zakonną i szarym szkaplerzem jędrnych piersi i łagodnych krągłości, odpowiedziało na kontakt z moim ciałem lekkim drżeniem. Czułem, jak pod kilkoma warstwami tkanin kołacze spłoszone serce. Dopiero wtedy zrozumiałem, że kobieta, którą potraktowałem tak bezceremonialnie, to nie Sylwia. Przyjrzałem się jej uważnie i stwierdziłem, że jest podobna do Sylwii, nawet bardzo, ale młodsza, pozbawiona, mimo braku na buzi choćby śladu kosmetyków, nawet drobnych zmarszczek. Odniosłem też wrażenie, chociaż może zasugerował to habit, że emanuje wewnętrzną czystością. Zrozumiałem, że mam przed sobą zakonnice. Prawdziwą zakonnice.

Odskoczyłem jak oparzony. Bogu dzięki, że nie zareagowała na mój atak krzykiem, pomyślałem.

– Chyba mnie pan z kimś pomylił – powiedziała spokojnie i pełnym godności gestem wygładziła habit.

– Z siostrą? Z Sylwią? – zaryzykowałem.

Znowu się zarumieniła, ale wytrzymała moje spojrzenie.

– Nie mam siostry o imieniu Sylwia – stwierdziła stanowczo.

– Może tylko ja znam ją pod tym imieniem? – dociekałem.

– Ja w ogóle nie mam rodzeństwa – dodała.

– Proszę wybaczyć – zacząłem się wycofywać. – Rzeczywiście pomyliłem siostrę z kimś innym.

– Widziałam pana na pogrzebie – zmieniła temat. – Podobno to pan doprowadził do pojednania rodziny zmarłego ze sprawcą wypadku. Niech pana Bóg błogosławi!

– Dziękuję. – Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć, ale ucieszyłem się, że nie urwała rozmowy. Ucieszyłem się za wcześnie. W tej samej chwili ją bowiem zakończyła.

– Czas na mnie – szepnęła i zrobiła coś, czego się nie spodziewałem: narysowała mi na czole kciukiem mały krzyżyk. A potem bez słowa pożegnania odwróciła się i szybko odeszła.

Gapiłem się, jak znika za rogiem, gdy tuż obok mnie z piskiem opon zatrzymał się samochód. Przez ułamek sekundy myślałem, że to milicja.



Odetchnąłem z ulgą, kiedy zobaczyłem wartburga Juszczaków prowadzonego przez Marylę. Uchyliła szybę i krzyknęła, żebym wsiadał, kiedy zaś usadowiłem się na tylnym siedzeniu, dodała:

– Schyl głowę, a najlepiej się połóż!

Samochód ruszył. Chciałem poprosić o podrzucenie do muzeum historycznego, szybko się jednak zorientowałem, że zmierzamy w przeciwną stronę, a w wąskiej ulicy trudno byłoby zawrócić.

– Szuka cię milicja, a ty jak gdyby nigdy nic spacerujesz sobie po mieście – Maryla skarciła mnie, jakbym był dzieckiem.

– Nie bardzo mam gdzie się ukryć – wyjaśniłem.

– Nie mogłeś przyjść do mnie? – zapytała.

– A twój mąż ściągnąłby mi na kark Wąsowskiego – odgryzłem się, zanim zrozumiałem, ile troski kryje się w jej słowach.

– Jakoś bym cię ukryła – stwierdziła z przekonaniem. I dodała: – Olek od dawna nie wchodzi do mojego pokoju.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu.

– Naprawdę się ucieszyłam, kiedy się dowiedziałam, że udało ci się zbiec z aresztu – wyznała. – Wąsowski jest chory z nienawiści do ciebie. I wcale tego nie kryje. Nie wiem, do czego byłby zdolny, gdyby miał cię pod kluczem. Nawet teraz, kiedy już wie, że jesteś niewinny.

– Jak to? – Informacja, którą rzuciła od niechcienia, była tak zaskakująca, że aż usiadłem z wrażenia.

– Połóż się! – syknęła zdenerwowana.

Zatrzymała się na skrzyżowaniu, spojrzała w lusterko i poprawiła niedbałym gestem fryzurę. Miała na sobie elegancki, dopasowany żakiet w śliwkowym kolorze.

– Ładnie wyglądasz – stwierdziłem i niechętnie opadłem z powrotem na siedzenie.

– O tobie nie mogę tego powiedzieć. – Na jej twarzy pojawił się blady uśmiech, ale natychmiast spoważniała.

– Olek rozmawiał z Wąsowskim – zaczęła. – Sprawa przybrała nieoczekiwany obrót. Okazało się, że Anglik, o którym ci mówiłam – nazywa się Ralph Roberts – tylko udawał dziennikarza. Oszukał nas wszystkich. Że też daliśmy się nabrać! Taki wstyd! Bogu dzięki, że Olek nie przedstawił go towarzyszom z Komitetu Wojewódzkiego, bo był taki pomysł... No więc ten Roberts wczoraj w nocy rozbił się niedaleko Słubic. Pędził zdezelowaną škodą przez las i uderzył w drzewo. Samochód stanął w płomieniach, ale Robertsowi udało się wydostać. Trochę się tylko połamiał i poparzył.

Wylądował w szpitalu. Tymczasem strażacy gaszący wóz odkryli w bagażnikach, bo w szkodzie 122 są dwa, jeden z przodu, drugi, mniejszy, z tyłu, jakieś cenne przedmioty. Zawartość pierwszego przepadła w płomieniach, ale to, co ukryto w drugim, w tym dwa złote świeczniki o wartości muzealnej, udało się uratować. Sprawą zainteresowała się milicja. Sprawdzili, że škoda była zarejestrowana na Jawora. A że Jawora zamordowano, wzięli Anglika w obroty i chyba nieźle go przycisnęli, bo po kilku godzinach przyznał się do zabójstwa. Powodem były właśnie przedmioty, które wiozł w samochodzie. Zeznał, ale to nadal informacja niesprawdzona, że są to, a właściwie były, bo większość przepadła, pamiątki po Chopinie. Roberts przypuszcza, że zostały przed laty zagrabione jakiemuś kolekcjonerowi przez nazistów. A jak trafiły do Jawora? Anglik twierdzi, że Niemka, o której mi mówiłeś...

– Anna Eckart...

– Właśnie, Anna Eckart. Więc ta Eckart wiedziała, nie mam pojęcia skąd, gdzie ukryto skarb, i przyjechała go wydobyć.

– Dlaczego dopiero teraz?

– Może wcześniej nie miała kupca? Takie rzeczy niełatwo spieniężyć. Dopiero kiedy porozumiała się z Anglikiem... W każdym razie facet zeznał, że była z nim dogadana, miała mu te przedmioty sprzedać. Ale w drogę wszedł im Jawor. Prawdopodobnie zorientował się, że Eckart zamierza wywieźć z Polski coś cennego. Ale zamiast ratować skarby będące własnością narodu polskiego, zabił ją. No a bezcenne pamiątki ukrył u siebie, chociaż wątpię, by jemu z kolei udało się znaleźć kupca.

Wartburg zatrzymał się na Akacjowej przed bramą wjazdową do domu Juszczaków. Maryla rzuciła okiem na ulicę i kiedy się upewniła, że nikt się nie gapi, dała mi znak, abym udał się za nią. Kiedy weszliśmy do środka, od razu zaprowadziła mnie na piętro, do swojego pokoju. Wyglądał jak cela klasztorna, czy raczej cela więzienna. Białe ściany, prosta szafa, brzydka toaletka, wąski tapczanik, stołek, żadnych obrazów, ozdób, kwiatów. Pomyślałem, że Maryla nie uniknęła wyroku. Zamieniła trzy miesiące na dożywocie.

Usiadłem na tapczaniku, a Maryla naprzeciwko mnie na stołku.

– Słuchaj, ten Roberts zeznał też, że był świadkiem śmierci Markuszewskiego – kontynuowała. – To wszystko strasznie zagmatwane, mam nadzieję, że niczego nie pokręcę. Kiedy w grudniu zniknęła Anna Eckart, Anglik dogadał się z jej synową, aktorką...

– Kristiną Eckart...

– Chyba tak. I podobno ta... Kristina Eckart przekonała ciebie, byś spróbował odnaleźć jej teściową. Nie było wiadomo, co się z nią stało, ani nawet czy żyje. Po jakimś czasie zawiadomiłeś synową, że trafiłeś na ślad zaginionej w Starym Krzyżu.

– To prawda – potwierdziłem niechętnie. Zrozumiałem, że wysłanie listu do Krysi było błędem.

– A Kristina Eckart poinformowała Robertsa, który siedział w Warszawie i węszył tam, żeby przyjechał tutaj.

– Też się dałem nabrać, prawda? Myślałem, że szukam Anny Eckart, tymczasem chodziło o odnalezienie, przejęcie i wywiezienie z Polski jakichś zabytkowych przedmiotów...

– Nie przerywaj mi, bo mi się wszystko pomiesza. Otóż Roberts zeznał, że po przybyciu do Starego Krzyża kręcił się za tobą. Nie spotkałeś go?

– Widziałem jakiegoś eleganckiego faceta, zupełnie niewyglądającego na mieszkańca Starego Krzyża, ale do głowy mi nie przyszło, że mnie śledzi.

– Liczył na to, że doprowadzisz go do skarbu, który przepadł wraz z Anną Eckart. A kiedy zgubił twój ślad, poszedł za Jaworem, bo oczywiście się zorientował, że facet też się tobą interesuje. Szybko się domyślił, że ma coś wspólnego ze sprawą. Śledził go, kiedy ten wybrał się do Markuszewskiego. Zakradł się pod okno i... Był świadkiem torturowania nauczyciela. Mógł go ocalić... Nie wiem, co sobie wtedy pomyślał. Z początku pewnie uznał, że Markuszewski zna miejsce ukrycia skarbu, a Jawor próbuje od niego tę informację wydobyć. Ale kiedy tam stał i patrzył, musiało do niego dotrzeć, kto z tych dwóch był w stanie pozbyć się Anny Eckart. Przecież nie wątpy, zniewieściały Markuszewski! Od tej chwili nie odstępował Jawora na krok. Zorientował się, gdzie mieszka, odczekał, aż wyjdzie z domu, i włamał się do niego z nadzieją, że tam trafi na ślad zaginionych przedmiotów. W środku wpadł na Jaworową, jednakże ta, kompletnie pijana, nie była w stanie mu w niczym przeszkodzić. A później, jak twierdzi Wąsowski, nie mogła sobie nic przypomnieć. Roberts przetrząsnął mieszkanie i znalazł torby ukradzione Annie Eckart. Chciał je zabrać, ale w tym momencie w drzwiach stanął Jawor. Doszło do bójki i Roberts skrzył Jaworowi kark. Zabrał skarb, załadował do jego samochodu i wyjechał z miasta. Chciał jak najszybciej dotrzeć do Berlina Zachodniego i odlecieć do Londynu. Kristinę Eckart też chyba zamierzał oszukać. Uznał, że skoro sam sobie poradził, nic jej się nie należy. To cała historia. Niestety, nadal nie wiadomo, dlaczego zginęli Frąckowiak i Markuszewski.

– Ja wiem.

– Naprawdę?

– Frąckowiak był świadkiem, jak Jawor ukrywa w nocy, z jakąś kobietą, ciało Anny Eckart. Zrobił kilka zdjęć. I próbował szantażować zabójcę. Dlatego zginął. A Markuszewski był przyjacielem Frąckowiaka. Jawor myślał, że wie, gdzie Frąckowiak schował negatyw. Chciał to od niego wyciągnąć, dlatego go torturował. A kiedy niczego się nie dowiedział, zabił.

– Wiesz, gdzie jest ten negatyw?

– Owszem, odnalazłem go.

– Czyli wiesz, co to za kobieta pomagała Jaworowi? I gdzie ukryli ciało Anny Eckart?

– Jeszcze nic nie wiem. Dziś mam odebrać odbitki, które wszystko wyjaśnią.

– Mam nadzieję, że te zdjęcia pomogą ci oczyścić się z wszelkich zarzutów.

– Myślałem, że już jestem z nich oczyszczony.

– Dopóki nie są znane motywy zamordowania Frąckowiaka i Markuszewskiego, Wąsowski w dalszym ciągu może próbować wrabiać cię w to drugie zabójstwo. Pamiętaj, że nie wszystkim słowom Anglika muszą dać wiarę. Kiedy więc będziesz miał już zdjęcia, zgłoś się na komisariat. Najlepiej dziś wczesnym popołudniem, bo wtedy do Starego Krzyża ma przyjechać prokurator z Poznania. Kobieta, naprawdę łebska babka. Miałam kiedyś sposobność z nią pogadać. Przy niej Wąsowski nie będzie takim chojrakiem jak na co dzień.

– Nie mogę wysłać im tych zdjęć pocztą? Albo przekazać przez kogoś?

– Ważne jest, żebyś stawił się na komisariacie osobiście. Bo w tej chwili jesteś uznany za uciekiniera i nawet jeśli zostaniesz oczyszczony z poważniejszych zarzutów, Wąsowski nadal może cię ścigać. A kiedy oddasz się w ręce milicji i sprawę wyjaśnisz, pani prokurator nie będzie miała podstaw, by cię zatrzymać. Tak sędzę.

– Obyś się nie myliła. Zawiesz mnie na rynek? Tam mam odebrać zdjęcia.

– Najpierw coś zjesz! – Maryla powiedziała rozkazującym tonem i zeszła do kuchni. Powoli docierało do mnie, że cały czas byłem marionetką w rękach Kristiny Eckart, która udawała wielką miłość sprzed lat, aby wciągnąć mnie do swojej perfidnej gry. Miałem nadzieję, że spotka ją kara. Była przecież współniczką Roberta, złodzieja i mordercy.

Zjadłem ze smakiem przyniesioną przez Marylę potrawę, poznański galart, czyli nóżki wieprzowe w stężalym rosole, popiłem herbatą i zapytałem, czy możemy już jechać. Podniosła się z ociąganiem. Zapytała, czy na pewno się

najadłem, bo jeśli nie, chętnie usmaży mi morszczuka, którego rozmroziła na obiad. Zapewniłem ją, że nasyciłem się galartem, ale chyba nie do końca uwierzyła, bo zaczęła głośno rozważać, co jeszcze mogłaby mi przyrzucić. Dopiero kiedy kilkakrotnie powtórzyłem, że nie jestem głodny, ruszyła w stronę wyjścia. Miałem wrażenie, że trochę ją uraziłem, ale nie potrafiłem się tym przejąć. Bez wątpienia zdawała sobie sprawę, jak ważne jest, bym odebrał zdjęcia i stawił się z nimi na komisariacie.

Na miejsce dotarliśmy w kilka minut. Maryla wysadziła mnie na rynku, a sama została w samochodzie. Przyznała szczerze, że nie chce, by widziano ją ze mną, bo po wspólnym zwiedzaniu Starego Krzyża pojawiły się plotki. A plotki, zwłaszcza w tak małym mieście, potrafią człowiekowi zatruć życie. Powiniennem zapytać, co dokładnie się stało, ale odłożyłem to na później. Chciałem jak najszybciej zobaczyć zdjęcia zrobione przez Frąckowiaka w noc śmierci Anny Eckart.

Kustosz muzeum powitał mnie serdecznie i wyjął z biurka zawinięte w papier odbitki wielkości zeszytu.

– Można rozpoznać wszystkie twarze, ofiary i zabójców – powiedział z satysfakcją. – A ciało... Nie uwierzy pan... Schowali tu na rynku, w podziemiach, pod pompą. Pewnie najpierw chcieli zakopać, ale ziemia była wtedy zamarznięta na kamień.

Wyjął pierwszą fotografię.

– To najlepsze ujęcie – wyjaśnił. – Proszę zobaczyć. Ofiara to bez wątpienia ta Niemka. Anna Eckart. Mężczyzna to Jawor. A tej jego pomocnicy nie poznaję. Gdzieś ją widziałem, ale kto to jest? Nie mam pojęcia.

Ja wiedziałem, kim jest kobieta na zdjęciu. Wiedziałem to z całkowitą pewnością. A jednak przez dłuższą chwilę nie przyjmowałem do wiadomości prawdy, którą z taką bezwzględnością objawiły mi duże, wyraźne odbitki. Podświadomie szukałem jakiegoś pokrętnego wytłumaczenia, kłamstwa, które pozwoliłoby mi odrzucić fakty. W końcu jednak dotarło do mnie, że nie ma mowy o pomyłce. I jednocześnie poczułem, że robi mi się słabo. Przez kilkadziesiąt sekund nie mogłem złapać oddechu. Jakbym znalazł się pod wodą. Na szczęście kustosz muzeum nie zauważył, że byłem bliski omdlenia.

– Wiem, kto to jest – powiedziałem cicho. – Ma na imię Ewa. Pracuje w recepcji w hotelu.

Mężczyzna przybliżył fotografię do twarzy.

– Ma pan rację! – Ucieszył się, że ostatnia postać ze zdjęć została zidentyfikowana. – To dziewczyna z hotelu. Rzeczywiście.

Podziękowałem mu za zrobienie odbitek, poprosiłem o przechowanie

negatywu, tak na wszelki wypadek, i wyjaśniłem, że zamierzam przekazać zdjęcia milicji.

– No tak. Powinni jak najszybciej zatrzymać tę babkę – powiedział.

Chyba się nawet nie pożegnałem. Wyszedłem z muzeum, słaniając się na nogach. Wiedziałem, że zanim udam się na komisariat, muszę spotkać się z Ewą. Dziewczyną, która roztopiła moje serce. Zbrodniarką.

Nie byłem w stanie rozmawiać z Marylą. Widziałem zaparkowanego kilkadziesiąt metrów dalej wartburga, ale zamiast ruszyć w jego stronę, poszedłem w przeciwną i klucząc, dotarłem do hotelu. Byłem psychicznie odrętwiały, jak pacjent na stole operacyjnym, któremu wstrzyknięto środek znieczulający. Przestałem myśleć, przestałem czuć. Drogę podpowiadał mi instynkt.

W budynku od razu skierowałem się w stronę schodów. Pani Basia, która dyżurowała w recepcji, zawołała coś za mną, ale jej słowa zlały się w gęstą magmę. Nie potrafiłem ich od siebie oddzielić. Nie rozumiałem ich znaczenia.

Wspiąłem się na strych i bez pukania wdarłem się do pomieszczenia, w którym przeżyłem jeden z najcudowniejszych wieczorów w życiu. Drzwi były otwarte, ale Ewy nie zastałem.

Podszedłem do rozwieszonych na ścianie kolaży, które tak bardzo urzekły mnie podczas pierwszej wizyty w pokoju. Zerwałem jeden i z furią podarłem na kilka kawałków, które rozrzuciłem wokół siebie. Zerwałem drugi, zgmiotłem, cisnąłem pod nogi i rozdeptałem jak obrzydliwego robala.

Otworzyłem drzwi pierwszej z kilku niskich, ale pojemnych szafek stojących pod ścianą i w ataku szału zacząłem wyrzucać wszystko, co w niej znalazłem, na podłogę. Pachnące czystością i starannie odprasowane bluzki i koszulki, miękkie swetry, gładkie spódnice i sukienki, szorstkie w dotyku dzinsy.

Szarpnąłem drzwi drugiej i też wywaliłem całą zawartość na ziemię: poukładane w różnokolorowych pojemnikach majtki, rajstopy, skarpety i staniki oraz zajmujące osobną część piżamy, dresy oraz dziwaczny lateksowy kostium w seledynowym kolorze. Popatrzyłem na tę plataninę ubrań ze zdziwieniem. Niektóre z nich były w tak złym guście, że zupełnie nie pasowały do Ewy, czy raczej do mojego wyobrażenia o Ewie. Nagle dotarło do mnie, jak niewiele wiem o dziewczynie, w której tak beznadziejnie się zadurałem.

Zaintrygowany, co powiedzą mi o niej inne rzeczy zgromadzone na hotelowym strychu, natarłem na trzecią szafkę, ale w jednej części znalazłem tylko ręczniki we wszystkich kolorach tęczy, natomiast w drugiej u góry dwa

puddła z tanimi kosmetykami, koszyk ze szczotkami i suszarkę do włosów, na dole zaś niebieski emaliowany garnek, kilka przypadkowych naczyń, powyginaną tarkę, zniszczone metalowe pudełko wypełnione herbatą, słoik z odrobiną zmielonej kawy na dnie, dwie paczki pokruszonych ciastek, a w głębi dwa kieliszki i napoczętą, niedbale zakorkowaną butelkę czerwonego wina.

Zniechęcony chciałem zamknąć drzwiczki, ale przecież złość nie minęła. Stan rozjuszenia, który kazał mi zniszczyć bezpowrotnie dwa kolaże oraz wysypać rzeczy dziewczyny na podłogę, wcale nie ustąpił. Chwyciłem pedantycznie złożone w kostkę ręczniki i zacząłem ciskać za siebie, jeden po drugim, z metodyczną zajadłością. Ale zanim jeszcze wydobyłem ostatni, dostrzegłem ukryte w głębi dwie papierowe teczki.

Sięgnąłem po pierwszą, szarą, niezbyt grubą, zawiązaną na tasiemkę. Otworzyłem i wysypałem to, co mieściła, na zasnuwane ciuchami deski podłogi. Moim oczom ukazały się zniszczone, wyblakłe zdjęcia małej szczerbatej dziewczynki – Ewy? – z mamą, zawsze albo prawie zawsze tylko z mamą. W letniej sukience na tle powykręcanej jak po jakiejś chorobie sosny. W cienkiej kurtce przeciwdeszczowej przed Pałacem Kultury i Nauki w Warszawie. W lichym płaszczuku gdzieś w górach obok niedźwiedzia, czy raczej faceta w niedźwiedzim futrze.

Wziąłem do ręki drugą teczkę, solidniejszą, z laminowanej, granatowej tektury, ale bardziej zniszczoną, wypełnioną po brzegi i przewiązaną kilka razy kwiecistym paskiem od sukienki. Kiedy rozdarłem karton, na podłogę wysypało się kilkadziesiąt dużych i małych zdjęć Ewy, mojej Ewy, i Jawora w sytuacjach, które nawet w pismach erotycznych, jakie miałem w rękach, uchodziłyby za śmiałe.

Wydobyłem ze stosu plugastwa jedną fotografię, na pierwszy rzut oka mniej szokującą niż inne. Ewa klęczała na tapczanie, tym samym, na którym poddała się moim pieszczotom, pochylona, wsparta na łokciach, umalowana i ubrana, z niebieską szyfonową apaszką na szyi, ale ze spódnicą zadartą wysoko do góry, z rajstopami i majtkami opuszczonymi do połowy ud. Natomiast Jawor, całkowicie nagi, wbijał się w nią od tyłu, przygarniając poddające mu się ciało władcym gestem do siebie. Zdjęcie zrobili pewnie sami aparatem z samowyzwalaczem. Tak czy inaczej, byli świadomi, że są fotografowani, oboje patrzyli bowiem w obiektyw, a lubieżny wyraz twarzy Ewy nie pozostawiał wątpliwości, że jest w siódmym niebie.

Z rozgoryczeniem i niesmakiem patrzyłem na dziewczynę, która uwiodła mnie fałszywą skromnością, ale jednocześnie nie mogłem oderwać wzroku od

jej zuchwale bezwstydnego, rozpustnego oblicza. Chociaż odłożyłem zdjęcie, nadal miałem je przed oczami, kiedy drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Ewa, jakże inna, ubrana na czarno, przeraźliwie smutna. Bałagan, jaki zrobiłem, raczej ją zaskoczył, niż rozwścieczył. Dopiero kiedy zdała sobie sprawę, że znalazłem kolekcję nieprzeznaczonych dla moich oczu zdjęć, eksplodowała.

– Kto ci pozwolił tu wejść i grzebać w moich rzeczach? – wrzasnęła z nienawiścią w głosie. – Co ty sobie wyobrażasz?

Chyba nie zdawała sobie jeszcze sprawy, że wiem o niej więcej, niż mogły mi ujawnić obie teczki. Wyjąłem z kieszeni fotografię, na której pomagała Jaworowi ukryć ciało Anny Eckart. Z wyraźnym wysiłkiem podtrzymywała niesioną przez zabójcę martwą kobietę za nogi. Bez słowa dorzuciłem do zdjęć rozrzuconych po podłodze. Ewa zbladła.

– Byłaś kurwą mordercy? – zapytałem, z trudem panując nad sobą.

– Kurwą, kochanką, przyjaciółką, żoną... – wybuchła. – Służącą, sprzątaczką, prачką, kucharką... Opiekunką, ładacznicą, cipą, Myszką Miki... Czym tylko chcesz!

Na chwilę zamilkła, jakby nie mogła złapać oddechu, ale monolog miał ciąg dalszy.

– Byłam jego namiętnością... Namiętnością, która jest przywilejem wybranych. Nie sądzę, byś wiedział, o czym mówię...

Znowu się zacięła, jakby czekała na odpowiedź suflera.

– Szłam z nim przez światło i przez ciemność – kontynuowała głosem dziwnie przyciszonym, bez emocji, w dziwnie rytmiczny sposób. Miałem wrażenie, że klepie jakąś wyuczoną rolę. – Bez żadnych wątpliwości i wahań. To, co było dobre dla niego, było dobre i dla mnie. Chciał, żebym została szpiegiem, wkradła się w twoje myśli, podążała krok w krok za twoim śledztwem. Robiłam to...

Przełknęła ślinę i znowu ruszyła do ataku.

– Wiesz, co w tym wszystkim niepomiernie mnie bawi? Gdybyś był bardziej natarczywy i domagał się trofeum... Mojego ciała... Dostałbyś je. Dostałbyś wszystko, bo cena nie grała roli. Nie umiałeś upomnieć się o to, co ci się należało. Jesteś żaloszny!

Zaśmiała się szyderczo, ale zaraz potem skuliła się w sobie i z poczuciem przegranej powiedziała:

– Pewnie już się domyśliłeś, że to ja próbowałam cię otruć... Musiałam. Zaczęłeś nam zagrażać... I to ja wydałam wyrok na Markuszewskiego, którego nieopatrznie mi wskazałeś.



– Kiedy? – Byłem zdruzgotany.

– Zdjęcie – wyjaśniła cicho. – Miałeś w kieszeni zdjęcie jego domu. Wystarczyło jedno spojrzenie...

Chciałem zapytać, jak się domyśliła, że na fotografii jest dom człowieka, o którym wspomniałem w rozmowie w hotelu, ale nie dopuściła mnie do głosu.

– Mogą mnie zamknąć, zdeptać, rzucić na stos i podpalić! – szarżowała z furją. – Mam to gdzieś! Było warto...

Słuchałem Ewy jak aktorki na scenie, a jednak jej słowa przeszywały mnie na wylot i jednocześnie układały się w głowie w rodzaj litanii, która zaczynała się jakoś tak: „Kurwo Malcziszki, przepadnij! Kochanko Malcziszki, pierdol się! Opiekunko Malcziszki, zdychaj! Ladacznico Malcziszki, niech cię ogień piekielny pochłonie! Cipo Malcziszki, zgnij w pierdłu!”.

W późniejszych dniach i tygodniach klepałem tę antymodlitwę bezwiednie w myślach od rana do wieczora, nieodmiennie z tym samym uczuciem ulgi, traktując jednak tekst z dużą dowolnością, zmieniając kolejność wierszy, dopisując do nich nowe przekleństwa i złorzeczenia, a przede wszystkim wplatając w tkanę całości wyimki z litanijskiego fragmentu *Kropki nad ypsilonem* Stachury, który znałem na pamięć.

Uwolniłem się od tej bluźnierczej wyliczanki dopiero wtedy, gdy stała się już tylko osobliwym wyciągiem ze Stachury: „Ty kicho, ty zarazo pełzakowa, ty jaglico, ty zaćmo, ty ruo nieprzeczyszczona, ty larwo, ty rybo dwudyszna, ty moreno denna, ty torbo, ty biegunko, ty szujo, ty zgago, ty emalio z nocnika, ty wyciśnięta cytryno, ty pipo grochowa, ty wskocz mi na kant, ty spadaj, ty zjeżdżaj, ty spieprzaj, ty stleń się, ty spłyn z lodami, ty giń...”.

Sięgnąłem po odbitkę, którą przyniosłem, i schowałem z powrotem do kieszeni. Chciałem już pójść, zostawić Ewę, która przykucnęła w kącie, samą z jej bólem i nienawiścią, ale znowu zaczęła mamrotać coś pod nosem. Pierwszych słów nie wyłowiłem, nie bardzo się w nie zresztą wsłuchiwałem. Dopiero gdy dotarło do mnie, że dziewczyna z powodów, które nie były dla mnie oczywiste, zdecydowała się powierzyć mi historię swojego popapranego życia, wydobyłem z szafki napoczętą butelkę wina, odkorkowałem, usiadłem na podłodze i pociągając z gwinta podły, mdławy trunek, poddałem się powolnemu rytmowi jej opowieści.

– ...dziewięć lat. Miałam wtedy dziewięć lat. Zostałam sama z ojcem. Z początku nie było źle. Dbał o mnie. Zajmował się mną. Kochał... Ale kochał... Nie myśl sobie, nigdy nie przestał się o mnie troszczyć. Ale ta jego troska była coraz większym ciężarem i w końcu stała się kamieniem u szyi.

Zamilkła, spojrzała na mnie badawczo, jakby chciała sprawdzić, czy słucham uważnie, i dopiero wznowiła swą opowieść.

– Ojciec jako chłopak marzył o Akademii Sztuk Pięknych. Może i miał talent. Nie oceniam. Ale dziadek, który był mechanikiem samochodowym, uważał, że artyści to obiboki i darmozjady. Posłał go do liceum poligraficznego. Strasznie mu imponowało, że syn zostanie drukarzem. Będzie obsługiwał maszyny rotograwiurkowe, offsetowe, sitodrukowe i cholera wie jeszcze jakie. Żebyś słyszał, z jakim nabożeństwem wymawiał nazwy, które pewnie do końca nie rozumiał. „Offset”. „Sitodruk”. No i... ojciec został drukarzem. Nigdy nie przestał oczywiście rysować. Zwłaszcza gdy byłam dzieckiem, lubiłam patrzeć, jak portretuje kogoś z rodziny. Próbuje oddać rysy twarzy, wydobyć blask oczu. Ale potem zaczął tę swoją artystyczną pasję przenosić na mnie. Maltretować mnie swoją wiedzą i namiętnością do sztuki. Nie zważając na to, że ja jego fascynacji nie podzielałam. Nie sądzę zresztą, bym miała talent do rysowania, do malowania. A jednak musiałam pójść do liceum plastycznego. Nie do szkoły hotelarskiej czy gastronomicznej, w których bez trudu bym się odnalazła, ale do liceum plastycznego, gdzie od pierwszego dnia czułam się źle, obco. Musiałam! Nie było na ten temat żadnej dyskusji! Ojciec zrobił ze mną to samo, co jego ojciec z nim. Wymyślił i zaplanował mi życie, jakiego nie chciałam...

Odważyłem się przerwać te zwierzenia i wtrącić, że przynajmniej moim zdaniem prace Ewy, zwłaszcza kolaże – nie wspominałem, że dwa bezpowrotnie zniszczyłem – są jednak świadectwem talentu. Uśmiechnęła się z pobłażaniem.

– Wiesz, dlaczego zdecydowałam się na kolaże? Żeby uciec od malowania, bo to zupełnie mi nie wychodziło. W pierwszej klasie jeden z nauczycieli powiedział, że moje obrazy są... przezrocyste. Pozbawione śladu artystycznej myśli. Do bólu nijakie. Zabolało mnie to i jednocześnie zdumiało, jak świetnie ujął to, co sama myślałam. A kolaże? Jeśli dysponujesz ciekawym materiałem wyjściowym, zawsze powstanie coś intrygującego. To było niewinne oszustwo, które umożliwiło mi prześlizgiwanie się z klasy do klasy. Zwłaszcza gdy zdobyłam nagrodę w jakimś konkursie. Wtedy już nikt w szkole nie odważył się powiedzieć, że moje prace są niewiele warte. A o przyznaniu mi nagrody zdecydował profesor Jaszczur z Akademii Sztuk Pięknych, który po prostu ślinił się na mój widok. I może liczył na to, że okaże mu wdzięczność, ale bardzo się pomylił.

Ewa wyjęła mi z ręki butelkę i wypila duży łyk.

– Najzabawniejsze jest to, że kiedy dali mi tę nagrodę, Irena Dziedzic

zaprosiła mnie do Tele-Echa. Pamiętasz? Był taki program. I przedstawiła jako cudowne dziecko – niektórzy mówią, że nadal wyglądam jak dziecko – z Poznania. Rozkwitający talent. Wymagający jeszcze tylko niewielkiego szlifu diament. Rozmowa przed kamerami była starannie przygotowana. Pani Irena wymyśliła mądre pytania o sztuce jako życiowej misji i właściwie sama podsunęła mi odpowiedzi. Od siebie dodałam tylko, że moje prace są jak domowe naleśniki. Każdy może docenić ich smak. Pani Irenie nie bardzo się chyba spodobało, że dorzuciłam coś, czego wcześniej nie przećwiczyłyśmy, ale w szkole zapamiętali głównie te naleśniki. Nieważne. Ważne, że od tamtej pory... No, zaczęli traktować mnie jak jakiegoś geniusza. Raczej nie dlatego, że mnie za niego uważali, ale... Sam wiesz. Magia telewizji.

Ewa pociągnęła kolejny łyk wina.

– Jeśli jednak myślisz, że popadłam w samouwielbienie, jesteś w błędzie. Wiedziałam doskonale, że nie jestem artystką. I nigdy nie będę. A kontynuowanie tej farsy to oszukiwanie samej siebie. I w dniu ukończenia osiemnastu lat zamiast do szkoły pojechałam tramwajem na dworzec. Zrobiłam to spontanicznie, nie wzięłam walizki, żadnych rzeczy, pieniędzy, nawet szkolnej torby. Musiałam uciec, bo gdybym została, ojciec nigdy nie zgodziłby się na to, bym poszła w życiu swoją drogą. Wysupłałam z kieszeni jakąś drobną kwotę, którą wsunął mi wieczorem na obiad w stołówce, i zapytałam, dokąd za nią dojadę. „Na przykład do Starego Krzyża, moje dziecko”, powiedziała kobieta w okienku. Tak trafiłam do Starego Krzyża, kilkadziesiąt kilometrów od Poznania. Wielka ucieczka! Bez grosza, bez bielizny na zmianę, bez niczego...

Kiedy zapytałam, czy zostawiła list, spojrzała na mnie dziwnie. Skąd! Nie obchodziło jej, że ojciec oszaleje z rozpaczy.

– Nie mogłam znieść jego miłości – wykrztusiła zmęczonym i zachrypniętym głosem. – Miałam go dość...

Co zrobiła po przybyciu do Starego Krzyża?

– Nic. Nie miałam żadnego planu, żadnego pomysłu na urządzenie się tutaj. Snułam się po mieście, głodna, ale szczęśliwa, że odważyłam się zerwać z przeszłością. Noc spędziłam na ławce w parku. Było ciepło, połowa maja. A rano weszłam do sklepu spożywczego na Szerokiej, tego dużego, za księgarnią, i ukradłam coś do jedzenia. Niestety, nie miałam wprawy. Sprzedawczyni wezwała milicję. Złapali mnie i ponieważ nie miałam przy sobie żadnych dokumentów – legitymację szkolną podałam i wyrzuciłam, a dowodu osobistego jeszcze nie wyrobiłam – zamknęli w areszcie. Nie chcieli uwierzyć, że jestem pełnoletnia. Nie mogli sprawdzić, bo odmówiłam

podania nazwiska. Na pytanie o rodziców odpowiedziałam, że nie żyją... I nie wiem, jak by się to wszystko skończyło, gdyby nie Krzysztof.

– Jawor?

– Tak. Zjawił się na komisariacie, miał tam coś do załatwienia. Zobaczył mnie za kratami, zainteresował się, kim jestem. A ponieważ komendant i pozostali bardzo się z nim liczyli, w ciągu godziny czy dwóch doprowadził do mojego zwolnienia. I urządził mnie w Starym Krzyżu. Znalazł pracę w hotelu. Dogadał się z kierownikiem, swoim wujem, by za część wynagrodzenia udostępnił mi to pomieszczenie na mieszkanie.

Domyślałem się, że Jawor nie zrobił tego wszystkiego bezinteresownie. Zapytałem, czy już wtedy został jej kochankiem.

– Nie od razu. Ale szybko. Byliśmy sobą zafascynowani. Nigdy wcześniej nie spotkałam nikogo, kto by mnie tak zauroczył. Nigdy! Nie mówię już o tym, że nikt inny nie był dla mnie tak dobry. Tak serdeczny. Tak opiekuńczy. To wszystko też miało oczywiście znaczenie. Ale... Zanim go poznałam, nie zdawałam sobie sprawy, że można kogoś tak pragnąć, pożądać. Chciałabym być każdą, którą kiedykolwiek posiadał...

Zastanowiło mnie, czy Ewie nie przeszkadzało, że Jawor miał żonę i syna.

– Miał i nie miał – zauważyła cierpko. – Ta pijaczka... Nie chce mi się o tym gadać. Czasem sypiał w domu, ale zasadniczo był ze mną. To pomieszczenie stało się naszym mieszkaniem, naszym azylem. A poza tym cały hotel należał do nas. Kochaliśmy się w recepcji, w kuchni, w magazynie na zapleczu. Zawsze też mogłam wziąć klucz do jakiegokolwiek wolnego pokoju i tam się z nim zaszyć.

Domyśliłem się, że tak zrobiła wtedy, gdy odwiedziłem ją po raz pierwszy i zostałem na noc. Wymknęła się po ciemku, żeby pieprzyć się z Jaworem. A potem on zakradł się do mieszkania, w którym spałem...

– Nad ranem byłam tak zmęczona, że nie miałam siły pójść po czystą bieliznę – przyznała. – No i... Wysłałam Krzysztofa. Miał się wślizgnąć po cichu, sięgnąć do szafki... Ale się obudziłeś i zauważyłeś go w ciemnościach. Opowiadał mi, że trochę się przestraszył. Mogłeś się przecież rzucić na niego, wywołać awanturę. Ale nie ruszyłeś się z miejsca. Tchórz...

To prawda, nie wykazałem się wtedy odwagą, ale nie miałem zamiaru się tłumaczyć. Zmieniłem temat i zapytałem o sztalugi i obrazy w jej pokoju. Skąd się wzięły, skoro ucieczka do Starego Krzyża była ucieczką od malarstwa?

– Ojciec. Ojciec odnalazł mnie po kilku miesiącach. Ktoś z dalszej rodziny zjawił się z jakichś powodów w Starym Krzyżu, zauważył mnie na ulicy,

dowiedział się, gdzie mieszkam, i go zawiadomił. Ojciec przyjechał i chciał mnie zabrać do domu, do szkoły. Prosił, błagał, wrzeszczał, płakał, ale nie uległam. Miłość do Krzysztofa dała mi siłę do walki o siebie, o swoje szczęście. W końcu się poddał. Wyjechał, ale wkrótce potem wrócił z torbą pełną moich płócien, ze sztalugami, z kolażami i wymusił obietnicę, że będę, jak powiedział, rozwijać talent. Znalazł sprzymierzeńca w osobie wuja Krzysztofa, wiesz, kierownika hotelu, który chyba się we mnie zadurzył i obiecał mu czuwać nad moim rozwojem artystycznym. Dla świętego spokoju zgodziłam się wrócić do malowania, ale tak naprawdę rozstawiłam jedynie sztalugi i porozwieszałam na ścianach szkolne prace.

– Pomogłaś Jaworowi zabić Annę Eckart? – zapytałam wprost.

– Krzysztof nie zabił tej Niemki – powiedziała zrezygnowana. – Frąckowiaka i Markuszewskiego zgoda. Niemki nie. Zrobił to ktoś inny. Nie pytaj kto, bo nie wiem. Krzysztof jedynie wykorzystał sytuację. Poszedł do niej i znalazł trupa. A ponieważ zorientował się, że baba ma, czy raczej miała, jakieś cenne przedmioty, po prostu je zgarnął... Ale żeby nikt nie węszył, trzeba było ukryć ciało.

– A także zatrzeć ślady i sfałszować wpis o wymeldowaniu w księdze gości – dodałam.

– A także zatrzeć ślady i sfałszować wpis o wymeldowaniu w księdze gości – potwierdziła.

Nie uwierzyłem, że Jawor nie zabił Anny Eckart. Ale też nie potrafiłem odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego Ewa miałaby kłamać, skoro przyznawała, że Frąckowiak i Markuszewski zginęli z ręki jej ukochanego. Nie wiedziałem, co o tym wszystkim sądzić.

– Nie rozumiem, jak mogłaś pomagać mordercy – powiedziałem. – Milicja co prawda jeszcze nie wie, że chodzi o ciebie. Ale kiedy Wąsowski dostanie do ręki zdjęcia zrobione przez Frąckowiaka...

– Nie musisz mu ich dawać – zauważyła. Przysunęła się do mnie i dotknęła ostrożnie, drżącą, zimną dłonią, mojej dłoni.

– Muszę – stwierdziłem. I nagle dotarło do mnie, skąd te zwierzenia, skąd cała ta łzawa opowieść. Ewa liczyła na to, że przeciągnie mnie na swoją stronę. Przekona, bym nikomu nie pokazywał pogrążających ją zdjęć.

– Dziewczyno, chciałaś mnie otruć! – przypomniałem. – A potem nasłałaś na mnie Jawora. Naprawdę myślisz, że będę cię krył?

– Nie będziesz? – Odsunęła się gwałtownie, jakbym wzbudzał w niej wstręt. – To wypierdalaj! – zakończyła rozmowę ulubionym słowem swojego ukochanego.

– Tak zrobię – powiedziałem i skierowałem się do drzwi. – Zgniesz w więzieniu – dodałem spokojnie, a kiedy opuszczałem pokój na strychu, gdzieś zza okien hotelu dobiegły mnie dźwięki starej piosenki. Hanka Ordonówna przekonywała: „Miłość ci wszystko wybaczy / Smutek zamieni ci w śmiech / Miłość tak pięknie tłumaczy / Zdradę i kłamstwo i grzech / Choćbyś ją przeklął w rozpacz / Że jest okrutna i zła / Miłość ci wszystko wybaczy / Bo miłość, mój miły, to ja...”.

Ale to jedno wiedziałem na pewno. Moje uczucie do Ewy nie znało wybaczenia.

Jeśli nawet pani prokurator z Poznania przyjechała tego dnia do Starego Krzyża, nie dane mi było jej poznać. Ponieważ liczyłem na spotkanie z kobietą, przed wizytą na posterunku milicji przebrałem się w ciuchy, które miałem na sobie podczas brydża u Juszczaków. Na miejscu okazało się, że wystroilem się niepotrzebnie. Przyjął mnie postawny mężczyzna o poszarzałej od nikotyny cerze, krótko ostrzyżonych, siwych włosach oraz nieprzeniknionym spojrzeniu. Niesympatyczny, burkliwy, oschły. Ubek, ale to uświadomiłem sobie później.

Wskazał mi dłonią miejsce na chybotliwym, twardym krześle i burknął: „Słucham”, co zabrzmiało jak: „Gadaj, ale szybko, bo nie mam czasu”. Podałem mu trzy zdjęcia, na których Krzysztof Jawor, chluba miejscowej безпеki, taszczył wraz z kochanką ciało Anny Eckart, aby ukryć je w podziemiach zabytkowej pompy na rynku, i opowiedziałem, co wiem na temat śmierci pisarki oraz Ryszarda Frąckowiaka i Pawła Markuszewskiego.

Facet słuchał z roztargnieniem, zajęty raczej trzema fotografiami, które mu dałem, niż najeżoną faktami i domysłami historyjką detektywa amatora z Warszawy. A wyraz zniechęcenia na jego zmęczonej, nieprzyjaznej twarzy wydawał się świadczyć o tym, że żadne, nawet najbardziej wiarygodne wyjaśnienia nie wpłyną na zatwierdzoną już pewnie na wszystkich szczeblach urzędu bezpieczeństwa wersję wydarzeń będących przedmiotem śledztwa.

Z początku zaniepokoiło mnie, że nie robił żadnych notatek. Bez zapisków nie ma protokołu, bez protokołu nie ma śladu po zeznaniach w dokumentach, a bez śladu po zeznaniach w dokumentach pewne wątki śledztwa można najzwyczajniej w świecie pominąć. Chociażby dosypanie mi do herbaty trucizny, czyli usiłowanie zabójstwa. Zrozumiałem, że takie drobiazgi mojego rozmówcy nie interesują. Podobnie jak nie interesowały Wąsowskiego. Sam zresztą musiałem przyznać, że żałosna próba otrucia mnie bardzo zbladła na tle tego, co spotkało Markuszewskiego. A poza tym w tamtej chwili najbardziej zależało mi na uwolnieniu się od ciężących na mnie zarzutów,

zwłaszcza od zarzutu ucieczki z aresztu, nie sądziłem bowiem, by ktokolwiek mógł się jeszcze upierać, że jestem zabójcą. I naprawdę ulżyło mi, kiedy w chwili gdy napomknąłem coś na ten temat, mężczyzna machnął ręką, jakby uważał sprawę za niebyłą.

Staralem się streszczać i w czasie nie dłuższym niż pół godziny zdałem pełną relację ze swojego śledztwa. Gdy zamilkłem, facet po prostu wstał i zapytał, czy to wszystko. Powiedziałem, że tak.

– W takim razie nie zatrzymuję pana – stwierdził chłodno.

Zdjęcia wrzucił do szuflady, wyjaśniając, że musi je włączyć do akt sprawy. W tej samej chwili zamarł, jakby się zastanawiał, czy coś mu nie umknęło, a w końcu zapytał, czy mam negatyw. Postanowiłem na wszelki wypadek zachować zdobyty z takim trudem film dla siebie i bez zmrużenia oka skłamałem, że znalazłem tylko odbitki.

Byłem zawiedziony, że mężczyzna niczego mi nie wyjaśnił. Słowem nie wspomniał, jaką wersję wydarzeń przyjął. Nie powiedział, czy odpowiednie organy w NRD zostały powiadomione o zamordowaniu Anny Eckart, a jeśli tak, to czy prokuratura niemiecka postawiła jakieś zarzuty Kristinie Eckart. Zbył milczeniem moje pytanie, kiedy zapadnie decyzja o wydobyciu i poddaniu oględzinom ciała pisarki. W tej sytuacji nie próbowałem się już nawet dowiedzieć, czy Ewa w ogóle zostanie postawiona w stan oskarżenia. Nie było to bowiem pewne. Gdyby władze zdecydowały się zatuszować zbrodnię Jawora, stawianie kochanki funkcjonariusza przed sądem byłoby im chyba nie na rękę.

– Aha, jeszcze jedno – przypomniał sobie mrukliwy urzędnik, kiedy byłem już przy drzwiach.

– Tak? – Pomyślałem, że może jednak zapozna mnie z wynikami swojego śledztwa, i szybko wróciłem do jego biurka, ale podał mi tylko kartkę papieru i tonem nieznoszącym sprzeciwu wyjaśnił, czego oczekuje.

– Proszę napisać: „Oświadczam, że z nikim nie będę rozmawiać o śledztwie dotyczącym śmierci Anny Eckart, Ryszarda Frąckowiaka i Pawła Markuszewskiego, a wszystko, co wiem na ten temat, zachowam dla siebie”. Zresztą sam pan wie najlepiej, jak to sformułować. – Uśmiechnął się i dodał: – Na pewno pan rozumie, że tego wymaga interes państwa.

Zapytałem:

– A jeśli nie napiszę?

Zignorował mnie. Dodał tylko, że bym na górze strony umieścił datę i nie zapomniał o podpisie. Po chwili wahania wziąłem długopis do ręki i napisałem oświadczenie, które mi podyktował. Przeczytał uważnie, schował

do szuflady, wyjął z niej moje dokumenty, które Wąsowski musiał wyciągnąć mi z kieszeni, kiedy zgarnął mnie nieprzytomnego z pokoju w hotelu, i powiedział:

– Jest pan wolny.

Schowałem papiery do kieszeni, burknąłem coś na pożegnanie i skierowałem się do wyjścia. Kiedy opuściłem nieprzyjazne mury posterunku, zapadał już wieczór, ale centrum Starego Krzyża wypełniał radosny gwar. Ludzie spacerowali po ulicach, rozmawiali, cieszyli się ze zwycięstwa Czarnych Stary Krzyż w zakończonym godzinę czy dwie wcześniej meczu (nie miałem pojęcia z kim i zupełnie mnie to nie obchodziło).

Przed budynkiem straży pożarnej zgromadziła się grupa młodzieży. Długowłosego młodzieniec z dumą przyciskał do piersi zniszczony magnetofon kasetowy. Zastanowiło mnie, skąd wziął baterie, bo z małego głośnika płynęły dźwięki muzyki. Sting śpiewał o paryskiej prostytutce o imieniu Roxanne. Przypomniał mi się krótki pobyt na Helu kilka lat wcześniej, kiedy w małym barze rybnym usłyszałem tę piosenkę po raz pierwszy. I chociaż Stary Krzyż leży dwieście pięćdziesiąt kilometrów od morza, przez moment wydawało mi się, że z oddali dobiegają mnie stłumione odgłosy fal uderzających o brzeg.

Wmieszałem się w tłum, ale nie udało mi się poddać beztroskiej atmosferze, jaka zapanowała w miasteczku. Wszedłem do niewielkiej, zadymionej knajpy gdzieś niedaleko rynku i wypłem kieliszek wódki, do którego musiałem dokupić trzy konserwowe ogórki i suchą bułkę. Mimo że od dawna nic nie jadłem, ogórki zostawiłem na talerzyku, a bułkę wsunąłem do kieszeni i pokruszyłem na skwerze przed kościołem. Największy kawałek skusił tłustą wronę. Chwyciła go w dziób i szybko odleciała.

Odsuwałem w czasie moment powrotu do hotelu. Za nic nie chciałem tam być, gdyby doszło do aresztowania Ewy. Nie mógłbym się gapić, jak ją wyprowadzają. Nie potrafiłbym spojrzeć jej w oczy. Nie zniósłbym pełnego wyrzutu spojrzenia dziewczyny, którą zadenuncjowałem.

Kiedy szwendałem się po okolicy, przypomniałem sobie dziwne zaklęcie Jaworowej.

Biała wódka, czarny ptak.



## Noc z 23 na 24 kwietnia 1982, z piątku na sobotę

Kiedy dotarłem do hotelu, zbliżała się północ. Od dawna nic nie jadłem, ale nie czułem głodu, miałem natomiast ochotę jeszcze się napić.

Zdziwiło mnie, że w restauracji, zwykle o tej porze zamkniętej, palą się wszystkie światła. Zajrzałem do środka. W głębi przy zestawionych ze sobą stolikach siedziało kilka rozbawionych osób. W jednej z nich rozpoznałem Andrzeja Burego, brodatego dyrektora Fabryki Naczyń Emaliowanych. Ukłoniłem się z daleka, odpowiedział skinięciem głowy.

Usiadłem w słabo oświetlonym kącie, daleko od wesołej kompanii, i czekałem cierpliwie na kelnera. Przyszedł po dłuższej chwili – zaskoczyło mnie, że go nie znam – i przepraszającym tonem wyjaśnił, że lokal jest już zamknięty.

– A tamci? – zapytałem.

– To prywatna impreza – mruknął.

– Skoro oni jedzą i piją, nie zrobi panu chyba różnicy, jeśli poda mi pan setkę wódki – upierałem się.

– Nie mogę – powiedział głosem nieznoszącym sprzeciwu.

– A jeśli dyrektor Bury pozwoli? – zapytałem.

– Nie sądzę, by się zgodził. – Kelner, którego nigdy wcześniej nie widziałem, łaskawie podzielił się ze mną swoim zdaniem.

– Dowiemy się, gdy go pan zapyta – zasugerowałem.

Spojrzał na mnie, na Burego, znowu na mnie, z wyrazem niechęci na twarzy kiwnął głową i udał się do stolika, przy którym biesiadowało pięć osób, trzy panie i dwóch panów. Podeszedł do dyrektora, coś przez chwilę mu tłumaczył, po czym rozplynął się w powietrzu. Dopiero po dłuższej chwili pojawił się znowu, z tacą, na której niósł butelkę jarzębiaku i szklaneczkę zamiast kieliszka. Postawił alkohol i naczynie na moim stoliku i z przymilnym uśmiechem wyjaśnił:

– Na koszt pana dyrektora.

Napełniłem szklanekę, uniosłem do góry i zwróciłem się w stronę Burego oraz towarzyszących mu osób. Nie zdziwiło mnie, że patrzą na mnie, a jednak nie wiedziałem, jak zareagować. Po chwili wahania udałem, że się z nimi trącam. Natychmiast sięgnęli po swoje szklaneczki i odpowiedzieli podobnym gestem.

Jarzębiak nie bardzo mi smakował, wolałbym żytnią lub wyborową, ale

szybko nalałem drugą kolejkę i wypilem jednym haustem. Czułem, że muszę stamtąd uciekać, bo jeśli nie, będę musiał dołączyć do wesołej kompanii, a nie miałem na to ochoty. Zanim jednak podniosłem się z krzesła, Bury ruszył w moim kierunku. Za późno, pomyślałem.

Dyrektor wylewnie się przywitał i zapewniając, że ani przez chwilę nie wierzył w moją winę, usiadł tak blisko, że prawie ocierał się o mnie ramieniem.

– Mam dla pana propozycję – zaczął.

Nie pozostało mi nic innego, jak go wysłuchać. Zanim jednak wyjaśnił cokolwiek, dodał, że sprawa jest delikatna, i zażądał obietnicy, że rozmowa pozostanie między nami. Zaintrygowany zgodziłem się zachować jej treść dla siebie.

– Stworzyliśmy tu sobie w Starym Krzyżu coś, co można by nazwać klubem niegrzecznych małżonków – kontynuował z przyklejonym do twarzy, wymuszonym uśmiechem. – Spotykamy się raz w miesiącu, w piątki przed wolną sobotą. Zawsze w hotelu, zawsze w tym samym gronie. Cztery pary. Ja, inżynier Kowalczyk, mecenas Szajewski, doktor Zawadzki i oczywiście, czy może przede wszystkim, nasze żony.

– Dzisiaj chyba kogoś brakuje – zauważyłem, spoglądając w stronę rozbawionego towarzystwa.

– Właśnie – potwierdził. – Zawadzcy musieli nagle wyjechać. A Kowalczyk, niestety, się nie zjawił. Jakaś sprzeczka z żoną, nie mam pojęcia. Myśleliśmy, że dołączy później, nie dołączył. No i brakuje mężczyzny. Sytuacja patowa. Ale kiedy pan wszedł do restauracji, nasze panie, redaktorze, uznały, że to szczęśliwy traf, i zasugerowały, by pan do nas dołączył. Jeśli oczywiście się pan zgodzi. Kiedy tworzyliśmy klub, przyjęliśmy co prawda zasadę, że żadna osoba z zewnątrz nie będzie do niego dopuszczona, ale w tej trudnej sytuacji uznaliśmy, że możemy się zgodzić na jednorazowe odstępstwo.

Nadal nie miałem pojęcia, o co chodzi. Powiedziałem to głośno.

– Już tłumaczę. Ale rozumiem, że bez względu na to, czy pan się zgodzi, czy też nie, nikomu nie ujawni pan tego, co pan ode mnie usłyszy.

– Mówiłem już, że tak – przypomniałem, ale w głębi duszy pojawiła się pokusa, by tajemniczy klub towarzyski uczynić tematem sensacyjnego artykułu. *Zakazane zabawy prowincjonalnych elit*. Tylko kto w tym kraju odważyłby się go opublikować?

– Zamieniam się w słuch – powiedziałem.

– Otóż... – Odniosłem wrażenie, że Bury się zawahał, czy dobrze robi, wtajemniczając mnie w grzeszki swoje i swoich przyjaciół. – Chodzi o to...

Spotykamy się raz w miesiącu i... Mam nadzieję, że to pana nie zbulwersuje.

– No, niech pan to wreszcie z siebie wydusi – ponagliłem go zniecierpliwiony.

– Zamieniamy się na jedną noc... – wydukał. – Wie pan... Losujemy, kto z kim. Oczywiście za zgodą wszystkich osób. Nikt nikogo do niczego nie zmusza.

– Znaczący pan spędza noc z żoną jednego z przyjaciół, a pana żona... z cudzym mężem – chciałem doprecyzować to, co usłyszałem.

– Właśnie – potwierdził z ulgą. A ja nie bardzo mogłem uwierzyć w to, co usłyszałem. Stary Krzyż, mimo potwornych zbrodni, do jakich w nim doszło, nadal wydawał mi się jednym z tych ujmująco staroświeckich miejsc, w których zasady mieszczańskiej moralności stanowią gwarancję bezpieczeństwa. Nie miałem oczywiście złudzeń, że są przez wszystkich przestrzegane. Ale żeby łamać je w tak ostentacyjnie zuchwały sposób?

– Wszystko jest dozwolone? – zapytałem.

– Wszystko, na co zgadza się druga osoba.

– A więc można odmówić seksu?

– No, aż tak to nie. Umówiliśmy się, że seks tak, natomiast jego formy to kwestia wzajemnych uzgodnień.

– I nie jest pan zazdrosny o żonę? – zdziwiłem się. – A żona o pana?

– Zna pan takie powiedzenie Ambrose'a Bierce'a: „Małżeństwo to związek, na który składają się kobieta, mężczyzna i para niewolników, w sumie dwie osoby”? Wie pan... Człowiek dojrzewa do tego, że nie można nikogo uczynić swoją własnością. I sam też nie chce być posiadany. Potrzeba oczywiście odwagi, by po wielu latach funkcjonowania układu, a małżeństwo jest przecież rodzajem układu, zmienić go, zacząć traktować swobodniej. Bez tych wszystkich rygorów, które tak naprawdę czynią go czymś dławiącym. My, być może pod wpływem atmosfery odzyskanej wolności, znaleźliśmy w sobie tę odwagę. Chociaż... Z tamtej posierpniowej aury nic nie zostało, a my nadal mamy śmiałość szukania nowych podniet, ucieczki od nudy i pętających wyobraźnię przyzwyczajęń. – Zamilkł, a po chwili dodał: – Ja osobiście wierzę, że te comiesięczne igraszki, wytrącające nas z rutyny, z mechanicznych zachowań w sytuacjach wymagających świeżych emocji, ratują nasze związki, a nie zagrażają im.

Słuchałem go ze szczerym podziwem. Facet potrafił dopisać do burdelu, który stworzył razem z grupą znudzonych przyjaciół, całkiem efektowną ideologię. Zapewne było w jego słowach ziarno prawdy. Ale przecież siłą każdej demagogicznej argumentacji jest ziarno prawdy...

– Oczywiście domyślam się – Bury stwierdził po chwili – że woli pan młodsze partnerki. Ale niech pan spojrzy: czy naszym paniom czegoś brakuje?

Spojrzałem. W drugim końcu sali siedziały trzy kobiety koło czterdziestki. Niebrzydkie, eleganckie, zadbane. Bezimienne, dalekie, obce. Nie wzbudzające we mnie żadnych emocji. W ramionach jednej z nich miałbym spędzić noc?

– Z przyjemnością do państwa dołączę – usłyszałem własny głos dobiegający jakby z taśmy magnetofonowej. Dlaczego się zgodziłem? W następnych dniach wielokrotnie się nad tym zastanawiałem i nie potrafiłem znaleźć jednoznacznej odpowiedzi. Co mną kierowało? Ciekawość? Niezdrowe podniecenie wywołane, do czego niechętnie przyznawałem się nawet przed samym sobą, przez haniebne zdjęcie Ewy i jej kochanka? Rada z niebieskiego kartonika, by korzystać z życia i cieszyć się każdą chwilą, bo wszystko tak szybko przemija? Czy może raczej strach przed nocnym cierpieniem, bo przecież ból – wiedziałem, że rany, jakich tego dnia doznałem, długo jeszcze będą się goić – najbardziej dokucza w ciemności...

– Świetnie – ucieszył się Bury. – W takim razie zapraszam do naszego stolika.

Pospiesznie napełniłem szklaneczkę raz jeszcze, wypilem duszkiem i ruszyłem na spotkanie z nieoczekiwaną przygodą.

Dyrektor przedstawił mi całą kompanię. Swoją żonę Zuzannę, Joannę Szajewską i jej męża, mecenasa Piotra Szajewskiego, oraz Iwonę Kowalczykową, która przyszła na spotkanie sama. Ale prezentacja przebiegła w zaskakująco chłodnej atmosferze. Ktoś podsunął mi pod nos szklaneczkę wódki, ale nikomu nie przyszło do głowy, żeby poczęstować mnie makowcem, który stał na stole. Najbardziej jednak zdziwiło mnie, że nowi znajomi nie zaproponowali mi przejścia na ty. Pomyślałem, że mam pieprzyć jedną z tych kobiet, zwracając się do niej per pani. I wcale mnie to nie rozbawiło.

Usiadłem na jedynym wolnym krześle, między żoną Burego a Kowalczykową, i w tej samej chwili przypomniałem sobie pogrzeb mężczyzny, którego nazwiska nigdy nie poznałem, płomienne kazanie proboszcza i własne oczyszczające przeżycie w małej, wypełnionej tłumem żałobników kaplicy. Czy obietnica, jaką sobie wtedy złożyłem, nic już nie znaczyła? Czy pragnienie uporządkowania własnej egzystencji nie przetrwało nawet kilku dni? Czy po tęsknocie za łaodem moralnym, którą wtedy tak mocno odczułem, nie został żaden ślad?

Ale zanim zadałem sobie wszystkie te pytania, usłyszałem kołącą w zakamarkach duszy, okrutną i bezwzględną odpowiedź na każde z nich. Odpowiedź przeczącą. Tej nocy za nic miałem chęć oczyszczenia. Im bardziej oszukany i upokorzony się czułem, tym mocniej pragnąłem pogрузić się w chaosie i brudzie, jakby łajdactwo i grzech mogły uśmierzyć ból, uwolnić od cierpienia, przerwać agonię.

– Co pana gryzie, panie Danielu? – zapytała nieoczekiwanie żona Burego. Zrozumiałem, że jeśli chcę wziąć udział w dziwnej grze, muszę dostroić się do jej uczestników, a więc przede wszystkim uwolnić umysł od kłębiących się w nim myśli.

– Proszę wybaczyć, mam za sobą ciężki dzień – wyznałem.

– Postaramy się, by pan o nim zapomniał – zapewniła z uśmiechem. I dodała: – Andrzej, twoja kolej.

– Rzeczywiście – zgodził się dyrektor. I z wyrazem zakłopotania na twarzy wyjaśnił: – O jednym zapomniałem panu powiedzieć. Zanim rozejdziemy się do pokojów, zwieramy się sobie z różnych intymnych przeżyć, o których do tej pory nie opowiadaliśmy nikomu. Taka publiczna spowiedź. Oczyszczamy nasze związki z kłamstwa. Wie pan, założyliśmy, że szczerść jest ważna. Że nie można budować...

– Andrzej, nie truj – przerwała mu Kowalczykowa, ale Bury ciągnął dalej: – Oczywiście pana sytuacja jest inna. Nie ma pan przecież żony, ale... Chodzi tylko o jedno wspomnienie, jedno przeżycie, z którym niekoniecznie dzielił się pan do tej pory z innymi.

– Andrzej, czekamy na twoją opowieść! – Kowalczykowa nie kryła zniecierpliwienia. A ja poczułem się zwolniony z obowiązku potwierdzenia, że wezmę w dziwnej zabawie udział.

– Ciotka Jadwiga... – zaczął Bury.

– Moja ciotka? – Kobieta, której upadek z huśtawki przed wielu laty zniszczył szczęście dwojga kochających się ludzi, robiła wrażenie szczerze zdumionej. – Przecież ona skończyła sześćdziesiąt lat!

– Ale wtedy miała niewiele więcej niż ty dziś – zaperzył się dyrektor. – I nadal była bardzo atrakcyjną kobietą...

– Ale przecież ciotka Jadwiga... – Żona dyrektora urwała w pół zdania.

– Tak, wiem, wiem. – Bury nie poddawał się. – Jest zimna, zasadnicza i niezłomna. Sam nigdy bym nie pomyślał, że w środku tej twardej skorupy drzemie kobieta zmysłowa, gotowa złamać swoje zasady, poddać się nastrojowi chwili.

– Gotowa zdradzić męża? – Małżonka z uporem podważała wiarygodność

opowieści Burego, chociaż w dalszym ciągu nie poznaliśmy żadnych szczegółów. – Nie wierzę!

– Nie przerywaj mu! – rozkazała Kowalczykowa.

A ja przyjrzałem się uważnie żonie dyrektora i pomyślałem, że do wyrazistych rysów twarzy, podkreślonych ostrym makijażem, oraz płonącej czerwienią burzy włosów pasuje osobliwy strój: żakiet z czarnej skóry, uszyty na miarę, być może według własnego projektu, w stylu militarnym, czy raczej rycerskim, oraz spodnie z czarnej skóry, sznurowane po bokach. Przyszło mi też do głowy, że pani Zuzanna wygląda trochę jak gwiazda rocka. Niestety, zupełnie nie mogłem sobie wyobrazić, jak odnalazłbym się w sytuacji intymnej z kimś takim. Cały czas bałbym się chyba, że nie zazna przyjemności, jeśli w odpowiednim momencie nie dobiedzie z zanadru miecza czy topora i nie rozłupie mnie na pół.

Przeciwieństwem żony Burego wydała mi się Iwona Kowalczykowa, która przyszła na spotkanie bez męża. Ona jedna zachowywała się naprawdę swobodnie, bez skrępowania. A jej pełne ciało, które nie bardzo mogło się pomieścić w żółtej sukience zawiązanej na karku szarfą, przyciągało wzrok wszystkich przedstawicieli męskiej drużyny ze mną włącznie. Kobieta od razu zdobyła moją sympatię. Nadałem jej nawet w myślach własne imię – serdeczne, pieśczośliwe, zabarwione nutką pożądania. Pączuś. Ponieważ jednak w pewnej chwili spochmurniała, jakby usłyszała mój wewnętrzny głos, szybko dokonałem autocenzury i wymyśliłem inne, bardziej neutralne: Pani P. albo po prostu P.

Kowalczykowa pociągała mnie bardziej niż pozostałe dwie kobiety, ale nie ona zasługiwała na miano najatrakcyjniejszej przedstawicielki płci pięknej w klubowym gronie. Zaszczytne tytuły bez cienia wątpliwości należały się Joannie Szajewskiej. Smukłej, wiotkiej, wytwornej. Ubranej w obcisłą czarną bluzkę i długą do samej ziemi spódnicę z ciemnozielonego aksamitu. Przypominającej obdarzone dalekimi, rozmarzonymi spojrzeniami kobiety z obrazów Modiglianiego. Tajemnicze, skupione i nieprzystępne. Modliłem się w duchu, by wynik losowania nie połączył mnie właśnie z nią.

– Wszystko trwało zaledwie kilka minut. – Bury kontynuował opowieść, której główna część mi umknęła. – Chyba nawet nie zdążyłem jej pocałować... A potem delikatnie mnie odsunęła, zgarnęła ubranie, sięgnęła po torebkę i zniknęła na kilka kwadransów w łazience. Jakby nie tylko chciała się doprowadzić do porządku, ale przede wszystkim zmyć z siebie tę wykwitłą nagle gotowość na wszelkie bezeceństwa, jakie tylko mogły przyjść nam na myśl. Wróciła do pokoju ubrana i umalowana. Taka, jaką znałem

zawsze. Oschła, nadęta, wyniosła. Już wtedy się zastanawiałem, czy rzeczywiście przeżyłem z nią te upojne chwile. To było tak nierealne!

Odniosłem wrażenie, że część zebranych, podobnie jak ja, słuchała opowieści z lekkim znużeniem. Oprócz poirytowanej żony Burego, która wolałaby chyba nie znać historii sprzed lat. I wytwornej Joanny Szajewskiej, która wpatrywała się w przystojnego brodacza z blaskiem w oczach. Być może sama na czas opowieści stała się w wyobraźni ciotką Jadwigą?

Właśnie Szajewska była kolejną osobą, która miała nas zabawić swoimi zwierzeniami. Zaczęła cicho, jakby obawiała się, że usłyszy ją ktoś spoza niewielkiego grona, chociaż restauracja była pusta.

– To zdarzyło się kilka lat temu, latem. Jechałam do Warszawy pospiesznym, jak zawsze podczas wakacji potwornie przepełnionym. O tym, żeby usiąść, nie było mowy. Ale udało mi się zająć dobre miejsce stojące, przy oknie, na środku korytarza. Mniej więcej w połowie drogi do obu toalet, gdzie nie ma tego ciągłego przepychania się spoconych grubasów, matek z dziećmi, żołnierzy na przepustce, zataczających się pijaczków... Przywarłam do szyby i tak trwałam, nie zważając na zbitą masę ludzką dookoła, utrudzoną i zalatującą potem, zwłaszcza że nieprzyjemna woń dokuczała mi tylko na początku, bo w Koninie udało mi się uchylić okno. Do samej Warszawy czułam już tylko zapach wiatru. Oczywiście nie uniknęłam całkowicie przepychanek za plecami, szturchania, potrącania, ale starałam się nie zwracać na nie uwagi. I dopiero po jakimś czasie uświadomiłam sobie, że moje ciało stało się celem delikatnych muśnięć w rytm kołysania się pociągu...

– W jednej chwili bym się obróciła i dała facetowi w mordę – wtrąciła się pani P.

– Dlaczego miałam przerywać coś, co sprawiało mi przyjemność? – zdziwiła się Szajewska.

– Przecież ktoś mógł zobaczyć! – nie ustępowała P. – Boże! Spaliłabym się ze wstydu!

– To prawda – przyznała mecenasowa. – Ktoś mógł zauważyć, że pozwalałam się komuś dotykać. Nie przeczę, byłam nieoczekiwaną sytuacją zawstydzona i zażenowana. A jednak podniecenie kazało mi się jej poddać. Ten ktoś oczywiście zorientował się, że wiem. I że nie zamierzam protestować. Pieszczoty były coraz bardziej zuchwałe, tak zuchwałe, że... No, wiecie... A kiedy powróciłam do rzeczywistości, pociąg stał na Centralnym w Warszawie, a ja zostałam na korytarzu sama. Wtedy uświadomiłam sobie, że chciałabym wiedzieć, kim jest osoba, która... Dopiero gdy pociąg ruszył

w stronę Wschodniej, zobaczyłam ją w głębi peronu. Gapiła się na mnie i uśmiechała się wymownie. Być może liczyła na to, że wysiądę, ale za późno ją zauważyłam.

– Ona? – zdziwił się mecenas Szajewski.

– „Ona” w sensie „osoba” – wtrąciła żona Burego.

– Ona – potwierdziła Joanna Szajewska. – Kobieta, młodsza ode mnie, dość ładna. Powinnam się zresztą od razu domyślić. Faceci nie mają tak delikatnych, zwinnych dłoni. Takiej znajomości kobiecego ciała. Takiego wyczucia.

– Baba? – zdziwił się po raz drugi małżonek.

– I co, nie ciągnęło cię potem do pań? – dociekał Bury.

– Nie, nie – zaprzeczyła. – Ale wtedy... Gdybym ją wcześniej zauważyła... Nie wiem, jak bym się zachowała.

– Baba?! – Zdumiony mąż nie mógł dojść do siebie po tym, co usłyszał.

– Baba, baba! – odpowiedziała mu zniecierpliwiona.

– Jak się chcecie kłócić, to w domu – wtrąciła się pani P. i zarządziła: – Teraz kolej na naszego gościa.

Zrozumiałem, że chodzi o mnie, ale nie zdążyłem się nawet zastanowić, o czym mógłbym opowiedzieć. Miałem nadzieję, że zostanę wezwany ostatni. Okazało się, że jestem ostatni. Historyjek pozostałych osób wysłuchano, zanim dołączyłem do klubowego grona. I kiedy spojrzenia całej piątki skierowały się w moją stronę, zacząłem trochę niepewnym tonem opowiadać o przeżyciu sprzed kilku lat, które zapisało się w mojej pamięci, ale ujęte w słowa mogło się strywializować.

– Na trzecim czy czwartym roku studiów poznałem niesamowitą dziewczynę. Co prawda po kilku miesiącach mnie rzuciła, ale szczerze mówiąc, nie bardzo się zdziwiłem. Nie miałem jej wiele do zaoferowania. A kolega, z którym się wtedy związała, był członkiem zarządu Socjalistycznego Związku Studentów Polskich i najpierw wcisnął ją na obóz do Żółtych Piasków, a zaraz potem wciągnął do delegacji na światowy festiwal młodzieży w Hawanie. A ja? Nie umiałem nawet zorganizować kąta, w którym moglibyśmy się spotykać. Mieszkałem jeszcze z mamą, a mama po powrocie z pracy rzadko ruszała się z domu.

– A u niej? – zainteresowała się pani P.

– U Joli? – zapytałem.

– Miała na imię Jola, tak? – chciała się upewnić pani P.

– Jola – potwierdziłem. – Jola mieszkała w akademiku. Z dwiema koleżankami. Niestety, obie z jakichś powodów nie przepadały za nią. Może



zazdrościły jej powodzenia? I nawet kiedy jedna jechała na sobotę i niedzielę do domu, druga złośliwie zostawała w Warszawie i cały czas zalegała na miejscu. Ale kiedyś...

– Tak? – niecierpliwiła się P.

– Moja mama wyjechała na kilka dni. Niestety, Jola już wcześniej obiecała rodzicom, że właśnie w tym czasie zjawi się u nich, pochodziła z Limanowej, i pomoże w wiosennych porządkach. Nie bez trudu namówiłem ją, żeby przesunęła wyjazd, i dzięki temu całą jedną noc mieliśmy dla siebie. Całą jedną noc!

Zanim przeszedłem do bardziej pikantnych szczegółów, nalałem do stojących na zsuniętych ze sobą dwu stołach szklaneczek wódki, wzniosłem banalny toast i dopiero kiedy poczułem ciepło alkoholu w żołądku, wznowiłem opowieść.

– Było oczywiście cudownie, ale nie o tym chciałem...

– Nie o tym? – Pani P. robiła wrażenie zawiedzionej.

– Pozwól mu mówić, do cholery! – skarcił ją Bury.

– Wykończeni zasnęliśmy nad ranem, pewnie gdzieś koło czwartej, piątej. Wcześniej nastawiłem budzik na dziewiątą, bo Jola musiała zdążyć na pociąg. Zerwałem się pierwszy, wziąłem kąpiel, obudziłem ją, żeby też poszła się umyć, a sam zająłem się śniadaniem. Kiedy wszedłem do pokoju z tacą z kanapkami i herbatą, Jola zdążyła już schować pościel, a nawet złożyć wersalkę i czekała na mnie elegancka, w białej bluzeczce zapiętej pod samą szyję, wymalowana i starannie uczesana. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że choć od pasa w górę jest wyszykowana i wygląda jak na zdjęciu w indeksie, od pasa w dół pozostała naga. Jola wyjaśniła mi, że wieczorem uprała majtki i rajstopy – do domu wiozła plecak pełen brudów, nie wzięła nic czystego – i ponieważ nie całkiem wyschły, ubierze się do końca w ostatniej chwili, tuż przed wyjściem z domu. Zaczęliśmy jeść, ale nie byłem w stanie nic przegryźć... Oczywiście jej ciało nie miało przede mną tajemnic. Ale ten kontrast! Z jednej strony uosobienie skromności, z drugiej bezwstydną, wyzywającą nagość... Nie wytrzymałem. Wyjąłem z jej dłoni łyżeczkę, odłożyłem na stół i... Zaczęła protestować, że zniszczę jej fryzurę, rozmażę szminkę, pogniotę bluzkę. Przypomniała, że spieszy się na pociąg. Nie zważałem na nic. Przemknęło mi przez myśl, że powinienem trochę poskromić swoją żądzę, bo... Ale moje podniecenie udzieliło się Joli. A chwila wspólnej rozkoszy...

Odniosłem wrażenie, że usta pani P., która śledziła moją opowieść z nieprzemijającą uwagą, nieznacznie się poruszyły, jakby chciała mi coś

powiedzieć, ale głos nie podążył za mową warg. I chociaż niewybrzmiałe słowo, które zawisło między nami, pozostało zagadką, odebrałem je jako czułe wyznanie, obietnicę słodczy, gdyby losowanie połączyło mnie właśnie z Kowalczykową.

– Jola musiała oczywiście pojechać późniejszym pociągiem, ale nie robiła mi wyrzutów – kontynuowałem. – Na peronie wzięła mnie za rękę i ścisnęła mocno, tak mocno, że prawie zawyłem z bólu, jakby za nic w świecie nie chciała mnie wypuścić. Odciągała moment wejścia do wagonu, miałem wrażenie, że pragnie zatrzymać czas. Wsiadła dosłownie w ostatniej chwili. I chociaż kilka tygodni później trzymała już za rękę i obdarowywała pocałunkami kolegę z organizacji studenckiej, zawsze będę o niej myślał z czułością.

Nie miałem pewności, czy udało mi się zawrzeć w przydługiej opowieści choćby ślad erotycznego napięcia, jakim podszyte było zdarzenie sprzed kilku lat, ale wzbudziłem chyba większe zainteresowanie niż Bury, w każdym razie pani P. uśmiechnęła się do mnie znacząco.

– Pobrali się? – zapytała.

– Kto? – Nie od razu zorientowałem się, kogo ma na myśli.

– No, ta pańska Jola i chłopak z organizacji młodzieżowej.

– A tak, wzięli ślub – potwierdziłem. – Ale on już wtedy nie był chłopakiem z SZSP. Robił karierę w partii. Ale chyba się przeliczył, bo wysłali go do jakiegoś małego miasta. Do Ptaszewa czy czegoś takiego.

– Do Ptaszewa koło Gorzowa? – zainteresował się Bury.

– Być może. – Nie byłem pewien, do jakiej dziury trafiła moja dawna miłość z mężem.

– A jak się nazywa ten pański kolega? – dociekał dyrektor.

– Andrzej Majewski – wyjaśniłem. – Ale nie nazwałbym go swoim kolegą.

– Andrzej Majewski, naprawdę? – Bury robił wrażenie zaskoczonego. – A ta pańska Jola to Jolanta Majewska?

– Zna ich pan? – teraz ja się zdziwiłem.

– Wszyscy ich poznaliśmy – wyjaśnił. I zwracając się do pozostałych, zapytał: – Pamiętacie Majewskiego? Tego dupka, który chciał wygryźć Juszcaka?

– Oczywiście – zapewniła Szajewska.

– Dziewczyna z pana opowieści to Jolanta Majewska? – Do pani P. dopiero teraz dotarło, że ona również poznała osobę, której dotyczyła moja historyjka.

– Rozumiem, że Jola i jej mąż mieszkają gdzieś tutaj w okolicy –

zainteresowałem się.

– Już nie – Bury rozwiął moje nadzieje na spotkanie z dawną miłością. – Jesienią ubiegłego roku wyjechali do Paryża. Podobno po trzynastym grudnia poprosili o azyl polityczny. A niedawno ktoś mi mówił, że słyszał Majewskiego w nadającym z Francji Radiu Solidarność.

– Majewski został uchodźcą politycznym i głosem Solidarności? – Nie mogłem uwierzyć.

– Chyba czas na losowanie. – Bury zmienił temat i niedbałym gestem wyjął z kieszeni marynarki trzy karty: króla kier, króla karo i króla pik. Przemieszał je i ułożył na stole koszulkami do góry. Zastanawiałem się, co by było, gdyby któraś z pań trafiła w wyniku losowania na własnego męża, ale tak się nie stało.

Pierwsza ciągnęła pani Bury. Sięgnęła po kartę niedbałym gestem i po chwili trzymała w dłoni króla karo, reprezentującego Szajewskiego. Ani ona, ani Szajewski nie dali po sobie poznać, czy są zadowoleni, że spędzą noc razem. Kowalczykowa długo się zastanawiała, którą z dwu kart leżących na stole wybrać. Przesuwała po obu palcem wskazującym, jakby chciała je prześwietlić. Wreszcie się zdecydowała i naszym oczom ukazał się król kier, który połączył ją z Burym. Szeroki uśmiech na twarzy kobiety nie pozostawiał wątpliwości, że ucieszyła się z wyniku losowania. Ja natomiast byłem nim zawiedziony. Od początku miałem nadzieję, że los połączy mnie właśnie z ponętą i jak sądziłem, darzącą mnie sympatią panią P. Tymczasem okazało się, że najbliższe godziny spędzę w towarzystwie Joanny Szajewskiej.

Nawet nie zauważyłem, kiedy zostałem z tajemniczą piękną z obrazu Modiglianego sam przy stoliku. Z początku liczyłem na to, że jako osoba bardziej doświadczona przejmie inicjatywę i przełamie dzielącą nas barierę obcości przyjaznym komentarzem do wyniku losowania, ale urodziwa nieznajoma trwała na swoim miejscu nieporuszona i milczała. Może ktoś inny potrafiłby wyczytać z jej nieruchomej, pociągłej twarzy, zastygłej w wyrazie melancholijnej zadumy, co myśli. Dla mnie oblicze kobiety pozostawało nieprzeniknione.

W pewnej chwili bez słowa podniosła się z krzesła, sięgnęła po pozostawiony przez Burego na stole klucz do pokoju dwieście dwa, zakręciła nim na palcu i ruszyła przed siebie. Poszedłem za nią jak za katem.

Straciłem ochotę na udział w dziwnej zabawie. Sporo wypilem i marzyłem raczej o pójściu spać, zwłaszcza że zdarzenia minionej doby naprawdę mnie wykończyły, a Joanna Szajewska, mimo fascynującej urody, nie budziła we mnie pożądania. Kiedy w obcisłej, długiej spódnicy dreptała kilka kroków

przede mną, wydała mi się tyczkowanym monstrem, kobietą owadem, modliszką, gotową pożreć samca, który się do niej zbliży.

Kiedy znaleźliśmy się już w pokoju, zdjąłem buty i rzuciłem się w ubraniu na łóżko. Pragnąłem snu i tylko snu. Ale nie bardzo mogłem sobie pozwolić na to, by po prostu zasnąć. Przez moją ciężką głowę przemknęła myśl o okrutnej ironii losu: znalazłem się w sytuacji niemal identycznej jak trzy czy cztery dni wcześniej, tyle że miejsce zmysłowej prostytutki zajęła zimna mieszczka.

Szajewska zdjęła powoli spódnicę i położyła się obok mnie w czarnej bluzce i czarnych rajstopach. Podparła głowę na ramieniu i przyglądała mi się uważnie. Nie była już modliszką, ale kolekcjonerką motyli, której udało się przyszpilić strzępotka edypa albo inny równie rzadki okaz.

– Mam pomysł – odważyłem się zaproponować. – Może zdrzemniemy się godzinę lub dwie, a potem zobaczymy, co dalej?

– Nie podobam ci się? – Szajewska zaczęła zaczepnie, przechodząc ze mną niespodziewanie na ty.

– Jest pani... Jesteś jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie spotkałem. – Nie musiałem kłamać, bo naprawdę tak uważałem.

– To może jestem dla ciebie za stara? – kontynuowała w zaczepnym nastroju. – Chociaż... Podobno uderzałeś do Maryli Juszcakowej, a ona jest przecież starsza ode mnie. Niewiele, ale jednak...

– Skąd pomysł, że uderzałem do Juszcakowej? – zaperzyłem się. – Znamy się, owszem, ale to wszystko.

– Ludzie gadają – rzuciła jakby od niechcienia. – A ludzie nie gadają bez powodu!

– Myślę, że w takich miastach jak Stary Krzyż ludzie często gadają bez powodu – odparowałem. – Niewiele trzeba, by zaczęli plotkować. Gdyby ktoś zobaczył, jak wychodzę z tobą z hotelu, zaczęliby gadać, że...

– Wiele by się nie pomylili. – Roześmiała się. – Ale przecież nie wyjdziemy razem. A wracając do Juszcakowej... Jeśli nie ona, to kto?

– Jak to kto? – zdziwiłem się.

– Słyszałam, że przystawiałeś się też do Frackowiakowej. – Westchnęła.

– Nie miałem pojęcia, że wzbudzam aż takie zainteresowanie! – Byłem coraz bardziej poirytowany dociekaniem rozmówczyni.

– A co myślałeś? – Szajewska nie dawała za wygraną. – Dziennikarz z Warszawy. Kawaler. Młody, przystojny...

– Przestań! – Czuję się jej nieoczekiwanymi komplementami zażenowany.

– Może nie Apollo... – Zaśmiała się. – Raczej typ wrażliwca niż atlety... Trochę nieśmiały... A jednak przeszywający kobiety tym zabójczym spojrzeniem czarnych oczu... Przyjeżdża na kilka tygodni do dziury, w której każdy zna każdego... Oczywiście, że wzbudza zainteresowanie! I nie uwierzę, że mógłby tego nie dostrzec! Przyznaj się, do kogo uderzałeś?

Nie miałem ochoty kontynuować dziwnej rozmowy, ale zmęczony i odurzony alkoholem nie znajdowałem w sobie wystarczająco wiele energii, by się przed nią obronić.

– Do dziewczyny z recepcji. – Zrezygnowany odkryłem karty.

– Do Baśki?! – wykrzyknęła zdumiona Szajewska.

– Do Ewy, do cholery! – jęknąłem z niechęcią.

– Masz na myśli Gruchałę? – Szajewską zatkało. – Ewę Gruchałę? Tę, którą dziś zgarnęli?

– Aresztowali ją? – zdziwiłem się. – Nie wiedziałem.

– Wąsowski i jeszcze dwóch, których nie znam, pewnie z województwa – wyjaśniła.

– Właściwie to się tego spodziewałem – stwierdziłem po chwili cicho. Ale informację, że podstawą zatrzymania było moje doniesienie, zachowałem dla siebie.

– No tak, ludzie gadają, że była współniczką Jawora. Razem w łóżku i razem...

– Szybko się rozniosło – nie potrafiłem ukryć zdumienia.

– Jak to w małym mieście – zauważyła. – Wszyscy wiedzą wszystko.

Może i tak, a jednak mnie kompletnie zaskoczyło, że romans Ewy z Jaworem był dla Szajewskiej czymś tak oczywistym.

– Wszyscy wiedzieli – prychnęła, jakby chciała mnie dobić. – Może oprócz Jaworowej...

– Ja nie miałem pojęcia – przyznałem.

– Trzeba było zapytać. – W jej głosie wyczułem z trudem skrywaną satysfakcję, chociaż nie bardzo wiedziałem, co było jej powodem. – Kogokolwiek. Powiedziałałby ci, kim jest ta mała kurewka.

– Dlaczego od razu „kurewka”? – Poczuję się dotknięty, chociaż sam kilka godzin wcześniej nazwałem Ewę „kurwą”.

– Znasz jej historię? – zapytała. I sama sobie odpowiedziała niemiłym, szorstkim tonem: – Raczej nie, bo skąd? Na pewno nie od niej!

Historię znałem, ale może nie ze szczegółami.

– Kiedy tu przyjechała... – zaczęła, chociaż wcale nie prosiłem, by opowiedziała mi o losach dziewczyny, która spowodowała zamęt w mojej

duszy. – No, nie miała z czego żyć, ale szybko znalazła sposób, żeby zarobić. Zaczepiała facetów w parku i proponowała, że za parę groszy... No, wiesz... Zrobi im loda. Myślę, że niejeden skorzystał. Pytałam męża, czy... Nie przyznał się, ale minę miał niepewną. To à propos tego oczyszczania związków z kłamstwa. Wiesz, nasi mężowie opowiadają podczas tych spotkań różne fascynujące historie, a potem w domu się ich wypierają. „Chciałem, żeby było ciekawie. Przecież wiesz kochanie, że zanim stworzyliśmy klub, nigdy z nikim...”. Akurat wierzę!

– Właśnie, a twoja historia, ta o pociągu, była prawdziwa? – zapytałem, licząc na zmianę tematu. Tej nocy nie chciałem już słuchać o Ewie wcieleniu zła, Ewie współniczce mordercy, Ewie kurwie.

– Powiedzmy, że... – zawahała się. – Początek był prawdziwy. Końcówkę zmyśliłam. „Żeby było ciekawie”.

– Naprawdę? – zdziwiłem się. – Byłaś bardzo przekonująca.

– Serio? – Obrzuciła mnie podejrzliwym spojrzeniem.

– Czyli to nie była kobieta? – zagadnąłem nieśmiało.

– Jakiś napalony małolat – przyznała. – Kiedy się obejrzałam, bo w końcu się obejrzałam, zaczerwienił się i zniknął. Gnojek!

Zastanawiałem się, dlaczego nazwała go gnojkiem. Dlatego że zaczął czy dlatego że zdezerterował. Ale odwagi wystarczyło mi jedynie, by zapytać, co powie mężowi, jeśli będzie dociekał, czy opowieść jest prawdziwa.

– Co mu powiem? Że wszystko wymyśliłam – Jej śmiech obnażył ładne, lśniące bielą zęby. – A twoja historia? Końcówka nie zabrzmiała wiarygodnie.

– Było dokładnie tak, jak powiedziałem. – Podejrzanie o kłamstwo oburzyło mnie.

– To nie tylko moje wrażenie – upierała się. – Widziałam, jak Iwona szepnęła, że zmyślasz.

– Kowalczykowa szepnęła, że zmyślam? – zdziwiłem się. Czyżby chodziło o niewypowiedziane słowo, które odczytałem naiwnie jako wyraz namiętności?

– Dobrze, nie chcesz się przyznać, to nie, ale jakoś nie uwierzyłam w te czułości na peronie. – Odsunęła się urażona. A po chwili zbliżyła twarz do mojej twarzy, uśmiechnęła się przymilnie i poprosiła zmysłowym szeptem: – Powiedz, jak było. To zostanie między nami.

– No dobrze, masz rację, rankiem do niczego już nie doszło. – Nie wiem, dlaczego tak łatwo się poddałem. – Jola mnie odepchnęła i zagroziła, że jeśli nie zdąży na pociąg, mogę uważać naszą znajomość za zakończoną. Szybko się ubrała i tyle ją widziałem. Nawet nie pozwoliła mi się odprowadzić. Po

jakimś czasie się dowiedziałem, że na peronie czekał na nią Majewski. W nocy kochała się ze mną, a rano pojechała do rodziców z nowym chłopakiem. Natomiast po powrocie poinformowała mnie, że przemyślała wszystko i doszła do wniosku, że nasza znajomość nie ma przed sobą przyszłości.

Byłem zły, że dałem się naciągnąć na rozmowę o Joli, ale jednocześnie cieszyłem się, że piękna Joanna nie wraca do opowieści o Ewie. Radość okazała się przedwczesna, bo moja rozmówczyni nagle sobie przypomniała:

– Przecież miałam ci opowiedzieć o tej Gruchale! Słuchaj, ktoś zawiadomił milicję, że jakaś nieletnia kurwi się w parku. Zwinęli ją, ale nie wiedzieli, co dalej, bo nie miała dokumentów i nie chciała ujawnić swoich danych. Wtedy wkroczył Edward, wiesz, kierownik hotelu, którego widocznie tak zauroczyła, że... No, biedak stracił głowę. I ubłagał Jawora, swojego siostrzeńca, żeby wyciągnął ją z aresztu. A Jawor, ubek, tylko pstryknął palcami... No i urządzili ją obaj w Starym Krzyżu, ulokowali w hotelu na strychu, dali pracę. W ten sposób drobna kurewka stała się szanowaną obywatelką miasta. Gdyby nie Jawor, długo by tu nie wytrzymała. Dokuczaliby jej, wypominali przeszłość. Ale Jawora wszyscy się bali. I każdy kłaniał się pani Ewie w pas.

– Szczerze mówiąc, myślałem, że władze zatają, kto zamordował Frąckowiaka i Markuszewskiego – zwierzyłem się. – Anna Eckart to Anna Eckart, obca, ale tych dwóch wszyscy tu znali, lubili. A odium spada przecież na służbę bezpieczeństwa.

– Nie, nie, wszyscy wiedzą, że to sprawa kryminalna, nie polityczna – zaprotestowała Szajewska. – Nie bój się, nie będzie żadnych antypaństwowych manifestacji. Natomiast nigdzie dalej prawda o tych zabójstwach raczej nie wypłynie. Masz rację. Przypuszczam, że sprawa zostanie wyciszona.

– No ale chyba nie do końca – zaprotestowałem. – Anna Eckart była przecież znaną niemiecką pisarką. Nie mogą zataić okoliczności jej śmierci.

– Chłopcze, wszystko mogą! – powiedziała protekcyjnym tonem. Ale szybko się go pozbyła i dodała: – Słuchaj, nie przyszliśmy tu przecież, żeby się spierać o politykę...

Rzeczywiście, miałem w ramionach pięknej Joanny zapomnieć o bolesnych wydarzeniach minionego dnia, tymczasem kobieta rozdrapała wszystkie moje rany.

– Słuchaj, jeśli chcesz, możemy pójść spać. – Przypomniała sobie moją wcześniejszą propozycję. – Sen zamiast seksu. Podoba mi się. Zwłaszcza że... No, miałabym się kochać z takim gówniarzem? Nie gniewaj się, ale...

Obawiam się tylko, że o czymś nie wiesz.

– O czym znowu? – burknąłem.

– Nasi zboczeni mężowie wymyślili jeszcze jeden element perwersyjnych klubowych zabaw. Każda para ma obowiązek udokumentować wspólnie spędzoną noc odpowiednim zdjęciem. Rozumiesz? Fotografie wędrują potem do Andrzeja, który wkleja je do albumu. Nazywają go kroniką. I pewnie spotykają się w męskim gronie, przy wódce, oglądają i komentują. Zboczeńcy!

– Zgodziłaś się na coś takiego? – Zdziwiłem się, bo pomysł, tak jak cała idea klubu, wydał mi się chory.

– Miałam się sprzeciwić? – Obruszyła się. – Wyszłabym na świętoszkowatą gęś.

Szybko wyskoczyła z łóżka, wyjęła z szafki pod oknem aparat fotograficzny z wężymkiem do robienia zdjęć z samowyzwalaczem i umocowała na statywie.

– Wiesz, wymyśliłam, że rozbierzemy się od pasa w dół, jak w twojej historyjce. – Jej twarz, rozjaśniona przez szelmowski uśmiech, utraciła rys modelek Modiglianiego i zyskała zmysłowy wyraz, jakiego wcześniej nie miała. – Ja pokażę pupę, ty... No wiesz... Pstrykniemy zdjęcie i możemy iść spać.

Joanna Szajewska usiadła na łóżku i bez cienia skrępowania zdjęła rajstopy i majtki. Swoboda, z jaką się obnażyła, zaskoczyła mnie.

– Na co czekasz? – huknęła ponaglącym tonem. – Ściągaj spodnie i gatki!

Chciałem zaprotestować, ale pani Joanna zainwestowała już zbyt wiele energii w wykonanie klubowego zadania, by mi odpuścić. Wskoczyła na mnie, rozpięła mi spodnie i rozporek, a następnie nie bez wysiłku mnie obnażyła. Czekał ją zawód.

– Mówiłeś, że kobieta ubrana od pasa w górę i naga od pasa w dół działa na ciebie... – zaczęła. – No, nie widać, żebyś się podniecił.

Powoli opadła na mnie. Poczulem niespokojne uderzenia ukrytego za zasłoną niedużych piersi serca.

– Co mam zrobić, żeby go ożywić? – zamruczała mi do ucha.

– Może zacznijmy od początku – zaproponowałem. – Tak jak się to zwykle robi. Od pocałunku.

– Co to to nie! – odsunęła się gwałtownie. – Pocałunki rezerwuję wyłącznie dla męża.

– A co na to pozostali członkowie klubu? – dociekałem.

– Musieli przyjąć do wiadomości, że... – zaczęła wyjaśniać, ale urwała w pół zdania i dodała: – Wszystko, tylko nie pocałunki.



– Nawet z dyrektorem Burym? – kontynuowałem swoje śledztwo.  
– Co masz na myśli? – zapytała zaintrygowana.  
– Widziałem, jak na niego patrzysz – rzuciłem jakby od niechcienia.  
– Naprawdę? – sprawiała wrażenie zaskoczonej. – To aż tak widać?  
– To dla niego zdecydowałaś się na udział w tym... – Chciałem użyć słowa „burdel”, ale zabrakło mi odwagi.

– Naprawdę aż tak łatwo mnie rozgryźć? – Sprawiała wrażenie zdumionej, a ja ucieszyłem się, że temat wspólnego zdjęcia tymczasem odpłynął. Byłem w błędzie.

– Dobra, nie gadaj tyle, tylko zrób coś, żeby tam u dołu drgnęło. – Odchyliła się w stronę aparatu, ale na zrobienie zdjęcia było zdecydowanie za wcześnie.

– Czekam na pocałunek – droczyłem się z nią. – Bez tego nie licz na nic.

Byłem pewien, że się nie złamie, tym bardziej zaskoczyło mnie, że jednak na krótką chwilę przywarła niezdarnie ustami do moich ust. A krótki moment słodczy przypomniawszy mi nieśmiałe, niewinne i upojne pocałunki z czasów prehistorycznych: końca podstawówki i początku liceum.

– Jeszcze – poprosiłem.

Kiedy się pochyliła, dostrzegłem zamaskowane pod lekkim makijażem piegi, nadające jej twarzy ujmujący, serdeczny wyraz. Zamknąłem oczy. Po chwili poczułem przyjemne muśnięcia wilgotnych warg, najpierw na czole, potem na obu powiekach i w końcu na ustach. Ten pocałunek można było od biedy nazwać namiętym. Niestety, w poddaniu się nastrojowi chwili przeszkadzały mi dobiegające gdzieś z oddali, natarczywe dzwonki, które po jakimś czasie zwały się w irytujące, nieprzerwane brzęczenie.

– Co to za wkurzający hałas? – zapytałem, kiedy Joanna oderwała się ode mnie.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała i znowu zbliżyła usta do moich, ale agresywny, niski, jednostajny dźwięk tak mnie denerwował, że postanowiłem sprawdzić, skąd dobiega. Delikatnie odsunąłem kobietę, wstałem, podszedłem do drzwi i lekko je uchylilem. Korytarz wypełniał gęsty, białoszary, gryzący dym, który szybko zaczął wdzierać się do pokoju. Denerwujące terkotanie dzwonka alarmowego dobiegało stamtąd. Zrozumiałem, że w hotelu wybuchł pożar.

– Cholera, pali się! – poinformowałem Joannę, która nadal leżała na łóżku, ale myślami odpłynęła gdzieś daleko.

– Jak to pali się? – zapytała takim tonem, jakby nie rozumiała, co do niej mówię.

– Pożar! – powtórzyłem, wciągając na siebie majtki i spodnie. – Musimy wiać, bo się zaczadzimy.

Dopiero wtedy do kobiety dotarło, co się stało. Zerwała się na równe nogi i szybko się ubrała.

O wyjściu na korytarz nie było mowy. Podszedłem do okna, uchyliłem zasłonę i spojrzałem w dół. Mimo nocnej pory pod hotelem zgromadziło się już trochę gapiów. Nagle usłyszałem syrenę, hałasującą tak, że jeśli ktoś w miasteczku jeszcze spał, właśnie został obudzony. W Poznańską wjechał lśniący nowością, czerwony wóz straży pożarnej i zatrzymał się pod naszym oknem.

– Przyjechała straż – poinformowałem Joannę. – Chyba musimy poczekać, aż rozwiną drabinę i pomogą nam zejść na dół.

– Przez okno?! – krzyknęła tonem pełnym sprzeciwu. – Nie ma mowy! Mam lęk wysokości. Poza tym w ciasnej spódnicy nie zejdem po drabinie. Zresztą... Całe miasto ma zobaczyć, jak w środku nocy wychodzę z tobą z pokoju w hotelu? Żartujesz?!

Zrozumiałem, że nawet gdyby miała zginąć w płomieniach, nie zgodzi się na ucieczkę tą drogą.

– Dobra, spróbujemy po schodach – powiedziałem zrezygnowany. Wpadłem do łazienki, zmoczyłem szybko dwa ręczniki, wróciłem do Joanny i nie zważając na protesty, jeden zarzuciłem jej na głowę, a drugi sobie. Widziałem w jakimś filmie, że tak się robi, aby uniknąć zaczadzenia. Zastanawiałem się jednak, czy z zasłoniętymi oczami znajdziemy drogę na dół, ale nie mieliśmy przecież innego wyjścia. Zresztą w gęstych oparach dymu i tak nic nie było widać.

Objąłem Joannę w pasie i pociągnąłem za sobą. Wyszliśmy na korytarz i ruszyliśmy przed siebie. Pamiętałem, że do pokoju weszliśmy prosto ze schodów. Skierowałem się tam, gdzie widziałem je oczami wyobraźni. W pewnej chwili moja prawa stopa trafiła w pustkę. Aby nie upaść, przytrzymałem się gibkiego ciała kobiety. Usłyszałem, że zaczęła chlipać. Była przerażona. Ale ja wiedziałem, że skoro dotarliśmy do schodów, powinniśmy bez trudu dostać się na dół.

Pouczyłem Joannę, żeby przytrzymując ręcznik na twarzy, szukała stopami kolejnych stopni. I tak krok po kroku, o wiele wolniej, niż myślałem, zeszliśmy na pierwsze piętro. Tam zsunąłem ręcznik z głowy, a kiedy zobaczyłem, że na niższym poziomie opary nie są aż tak gęste, cisnąłem go na ziemię, wziąłem Joannę na ręce i szybko zniosłem na parter. Postawiłem kobietę na podłodze i zdjąłem ręcznik z jej twarzy. Struchlała, spanikowana,

z rozmazanym makijażem, wyglądała rozpaczliwie. Kiedy przecierałem mokrą tkaniną jej buzię, do hotelu wpadło kilku strażaków.

– Proszę opuścić budynek! – wrzasnął jeden w naszym kierunku.

– Czy na wyższych piętrach są jeszcze ludzie? – zapytał drugi. Odpowiedziałem, że nie mam pojęcia. A potem zwróciłem się do Joanny.

– Idź! – rozkazałem.

– A pan? – zapytała oficjalnym tonem.

– Wydostanę się innym wyjściem – uspokoiłem ją, chociaż nie miałem pojęcia, czy istnieje inne wyjście.

Ruszyła niepewnym krokiem przed siebie. Kiedy była już przy drzwiach, na chwilę się zatrzymała i obróciła, jakby chciała coś powiedzieć, ale skinęła tylko głową na pożegnanie i podreptała dalej.

Nie czekałem, aż zniknie. Wiedziałem, że muszę wydostać się z hotelu inną drogą. Przeszedłem przez restaurację, stamtąd skierowałem się do kuchni, a kiedy już do niej dotarłem, przypomniałem sobie, że przed kilkoma dniami zbłądziłem w te rejony, zostałem nawet poczęstowany przez kucharza jajecznicą, i widziałem w tle otwarte na oścież drzwi na podwórko. Aby się do nich dostać, musiałem przejść obok małego, zagraconego pomieszczenia biurowego. Odruchowo zajrzałem do środka.

Na krześle pod ścianą siedział pan Edward, kierownik hotelu. Przygarbiony i potargany wyglądał o wiele starzej niż wtedy, gdy poprosił mnie o pomoc w rozwiązaniu krzyżówki. Na jego twarzy malował się przeraźliwy smutek. A prawa dłoń krążyła jak pijana wokół wiszącego na ścianie kalendarza i ze złowieszczą systematycznością zrywała kolejne kartki, jedną po drugiej, jakby czas przyszedł przestał się liczyć, a zostało nam już tylko wspomnienie o bezpowrotnie minionych chwilach radości i szczęścia z przeszłości.

Podszedłem do mężczyzny i poprosiłem, by poszedł ze mną, ale ponieważ nie ruszył się z miejsca, ująłem go pod ramię, zmusiłem, by wstał, i wyprowadziłem z budynku. Usiedliśmy w ciemności na bruku hotelowego podwórka, pod ścianą, wśród pojemników wypełnionych śmieciami.

Pan Edward obrzucił mnie nieprzytomnym spojrzeniem i zaczął coś mamrotać, ale słowa wydobywające się z jego ust natychmiast rozpląwały się w powietrzu niczym kostki lodu wrzucane do szklanki z wrzątkiem. Dopiero po chwili zrozumiałem, co mówi:

– Nie mam już nikogo. Krzysia zabili. A Ewunię... Ewunię zabrali. Zabrali...

Chciałem go jakoś pocieszyć. Zapewniłem, że Ewa niedługo wróci, chociaż nie miałem pojęcia, jaką karę może wymierzyć jej sąd. A po chwili dodałem:

– Ma pan jeszcze siostrę.

– Siostrę – powtórzył cicho, beznamiętnym tonem i zamilkł, jakby nie bardzo pamiętał, kim jest matka Krzysztofa Jawora, hotelowa sprzątaczką. Myślałem, że doda do tej „siostry” coś jeszcze, ale nie usłyszałem już od niego ani słowa.

Nie wiem dlaczego pomyślałem, że to on podpalił hotel. Podłożył ogień w miejscu naznaczonym wspomnieniem wszystkich tych szczęśliwych chwil, które spędził w towarzystwie dziewczyny o wyglądzie nastolatki. Ale oczywiście nie wiedziałem, czy tak było naprawdę.

Najchętniej odszedłbym stamtąd, ale wiedziałem, że gdybym zostawił zbolełego starca samego, mógłby zrobić sobie krzywdę. Objąłem męczyznę ramieniem i dzieląc z nim cierpienie i rozpacz, dotrwałem na posterunku do rana.

## Noc z 15 na 16 grudnia 1981, z wtorku na środę

Już dawno zapadł zmrok, kiedy Anna Eckart zdecydowała się wstać z łóżka. Uświadomiła sobie, że musi jeszcze zdobyć odpowiednie narzędzia, bo gołymi rękami nie wybijie dziury w murze. Wzięła kąpiel, przebrała się w wygodne, czyste ubranie, a następnie zjadła w restauracji późny obiad: zupę korbolową i golonkę z kiszoną kapustą.

Odebrała w recepcji kluczyki do skody. Bez trudu odszukała wysłużony niebieski samochód zaparkowany przed wejściem do hotelu. Miała nadzieję, że znajdzie w nim niezbędne narzędzia. I rzeczywiście. Wśród rupieci wypełniających jeden z dwu bagażników odkryła łom, mały młotek, linę, a nawet gaz łzawiący w spreju. Przydatny, gdyby trzeba było kogoś obezwładnić. Spakowała wszystkie te przedmioty do małego plecaka pozostawionego przez Jawora na tylnym siedzeniu i wróciła do hotelu.

Wyruszyła przed północą. Kiedy dojeżdżała do PGR-u, wyłączyła światła. Zatrzymała samochód na skraju lasu i chociaż w bladym świetle księżyca niewiele było widać, rozejrzała się dookoła, aby upewnić się, czy w pobliżu nikt się nie kręci. Patrząc na nagie gałęzie drzew rozcapierzone złowieszczo na tle rozgwieżdżonego nieba, przypomniała sobie, jak przed wielu laty skradała się do cmentarnej kaplicy. Sama, bez przyjaciółek, które w ostatniej chwili odmówiły udziału w wyprawie. Teraz też musiała poradzić sobie sama. Zawsze w życiu musiała radzić sobie sama.

Z narzędziami w plecaku, latarką w dłoni oraz gazem łzawiącym w kieszeni ruszyła przed siebie, brodząc w gęstym, skrzypiącym śniegu. Ścieżką przy murze dotarła do wyłomu, który znalazła poprzedniego dnia. Przepchnęła się przez wąski przesmyk i weszła na teren gospodarstwa.

Zamarła na moment. A kiedy upewniła się, że dookoła panuje absolutna cisza, podbiegła do ściany wozowni. Pamiętała, że od strony ogrodzenia są w niej dwa niewielkie okna, wybite w czasie, kiedy budynek stał się sypialnią dla dziewcząt z organizacji. Przystawiła do jednego drewnianą skrzynię porzuconą w pobliżu i zajrzała do środka, ale wewnątrz panowała nieprzenikniona ciemność. Poświeciła sobie latarką, ale nadal nie miała pojęcia, czy budynek jest pusty.

Po chwili wahania uderzyła łomem w szybę. Szkło rozprysło się na wszystkie strony. Wiedziała, że jeśli żołnierze usłyszeli hałas, jest zgubiona. Ale wokół panowała cisza. Schowała latarkę do kieszeni. Oczyszczyła ramę okna

z pozostałości szkła, chwyciła się jej mocno i spróbowała wspiąć się na parapet, aby dostać się do środka, ale brakowało jej sił. To nie dla mnie, pomyślała. Muszę znaleźć inną drogę.

Okrzyżła budynek i stanęła przed jasno oświetloną, wysoką bramą wejściową. Miała wrażenie, że gdzieś w oddali coś się poruszyło. Cofnęła się do cienia i przylgnęła do muru. W tej samej chwili ciszę przeszyło głośne szczekanie. Tego, że terenu strzegą psy, nie przewidziała. Co robić? Jak najszybciej dostać się do budynku?!

Chciała szarpnąć za klamkę, ale w tej samej chwili zauważyła, że na obu skrzydłach bramy umocowano solidne sztaby i spięto je wielką kłódką. Wydobyła z plecaka łom i podważyła jedną z masywnych podpór. Pociągnęła mocno, ale metalowa listwa ani drgnęła.

Wcisnęła narzędzie głębiej i spróbowała jeszcze raz. Na jej czole pojawiły się krople potu. Miała dość, ale wiedziała, że nie może się poddać. Zaparła się nogą o bramę i pociągnęła po raz kolejny. Zdziwiła się, kiedy przerdzewiałe gwoździe przytrzymujące sztabę wysunęły się z drewna jak z masła.

Schowała łom i sięgnęła po latarkę. Uchyliła bramę i bezszelestnie wsunęła się do środka. Panował tam taki sam przeszywający chłód jak na zewnątrz.

Omiotła pomieszczenie bladym światłem. Stały w nim siewnik, dwa ciągniki i kombajn. W głębi leżało kilka opon. Na półce pod ścianą rozrzucono niedbale narzędzia, kable, gwoździe, śruby.

Skierowała się w prawo. Przed laty była tam umocowana na stałe drabina prowadząca na niewysokie poddasze. Ale drabina zniknęła. No tak, już wtedy była spróchniała. Czy nie powinna zastąpić jej inna? Jak bowiem obecni gospodarze wchodzą na strych? Chyba że nikt już z niego nie korzysta.

Anna raz jeszcze oświetliła całe pomieszczenie. Jest drabina!, ucieszyła się. Metalowa, kilka metrów dalej. Żeby po niej wejść, musiała schować latarkę. I w ciemnościach, powoli, szczebel po szczeblu, wspiąć się do góry.

Kiedy znalazła się u celu, zbyt szybko się wyprostowała i uderzyła głową o belkę stropową. Zaklęła głośno i w tej samej chwili ugryzła się w język.

Czego się boję?, pomyślała. Nikt mnie tu nie usłyszy.

Znowu sięgnęła po latarkę. Strych był właściwie pusty, jedynie na środku leżała skrzynia od fortepianu. Prawdopodobnie tego samego, który stał kiedyś w salonie. I na którym hrabina Poniecka uczyła ją grać utwory Gabriela Fauré, Piotra Czajkowskiego i Fryderyka Chopina. Teraz kompletnie zdewastowanego. Wyrwano mu nawet klawisze. Zostały szkielet i struny.

Jak te szczątki wniesiono na strych? Pewnie przez dach. Warto było się tak męczyć? Chyba że komuś zależało na tym, by je schować. Ukryć dowód

własnego wandalizmu.

Anna oświetliła ścianę w głębi. Za nią kryły się przed laty trzy małe schowki bez okien. W jednym Olaf umieścił skórzane torby ukradzione gubernatorowi Frankowi i zamurował wejście.

– Są dwa otwory! – szepnęła uradowana. Tylko dwa. A to znaczyło, że nikt nie odkrył zamurowanej komórki.

Podeszła do nierównego muru i przesunęła dłonią po zimnych ceglach. Próbowwała znaleźć miejsce, w którym kiedyś było wejście. Odkryła je bez trudu. Tynk był tam gorszej jakości, zaczął się już wykruszać.

Pomyślała o Henryku Kurcie. I o tym, że już nie musi się go bać.

Położyła latarkę na drewnianej podłodze i skierowała blade, rozproszone światło na ścianę. Wyjęła łom i młotek. Uderzyła raz, drugi, trzeci. Wstawiona przez Olafa przed laty prowizoryczna łata rozsypała się, jakby ulepiono ją z klocków.

Anna odczekała, aż pył opadnie, i wsunęła się do środka ciasnej klitki zasnutej mgiełką gęstych pajęczyn. Oświetliła wnętrze. Dwie zakurzone torby stały w głębi. Przetarła je szalem, ale zabrudził się tak bardzo, że nie nadawał się już do włożenia na szyję. Cisnęła go bez żalu w kąt.

Uśmiechnęła się w duchu do siebie, jakby odnaleziony skarb uwalniał ją od widm przeszłości.

Wyniosła torby, jedną po drugiej, do głównego pomieszczenia, przywiązała obie do liny i spuściła – nie bez wysiłku, bo okazały się cięższe, niż sądziła – na ziemię, a potem sama zeszła po drabinie, znowu w ciemności, na dół.

Uznała, że plecak z narzędziami nie będzie jej już potrzebny, i wrzuciła go bezmyślnie do stojącego najbliżej ciągnika.

Wzięła obie torby i wyszła z budynku. Rozejrzała się wokół siebie, ale gospodarstwo rolne zmienione w jednostkę wojskową spało. Także psa, który przeraził ją wcześniej, nie było nigdzie widać ani słychać.

Anna Eckart chciała jak najszybciej wydostać się ze strzeżonego terenu, ale jedna z toreb, ta ze złotymi świecznikami, coraz bardziej jej ciążyła. Nie była pewna, czy doniesie ją do samochodu.

Dopiero gdy znalazła się za ogrodzeniem, poczuła się bezpieczniej i postanowiła chwilę odpocząć. Pomyślała, że będzie nosić torby pojedynczo, najpierw jedną, potem drugą. Ale takie rozwiązanie miałoby sens, gdyby je przepakowała. Jedna, ta z portretami i papierzyskami, była bowiem bardzo lekka. Należało przełożyć do niej kilka cięższych przedmiotów z drugiej, aby waga obu się wyrównała.

Już chciała zabrać się do pracy, kiedy usłyszała szczekanie psa, a potem

jakieś krzyki. Odkryto jej wtargnięcie na teren? Tego nie wiedziała, ale postanowiła jak najszybciej dostać się do samochodu. Chwyciła obie torby i ruszyła przed siebie. Strach sprawił, że nie myślała o ciężarze ponad siły.

Wrzuciła zdobycz do bagażnika, zapaliła silnik i szybko odjechała ze zgaszonymi światłami. Nagle zobaczyła na drodze przesuający się cień. Człowiek? Pies? Sarna? Gwałtownie zahamowała. Samochód zatrzymał się, silnik zgasł. A kolejne próby zapalenia go nie powiodły się.

Anna była wściekła. Wydała ostatnie pieniądze na samochód, który w krytycznym momencie odmówił posłuszeństwa. Wysiadła i próbowała zepchnąć bezużyteczny pojazd na pobocze, ale nie miała siły. Była załamana. Jeśli żołnierze odkryją, że ktoś wdarł się na ich teren, przeczesać okolicę w poszukiwaniu sprawcy. I od razu zwrócą uwagę na wóz pozostawiony na drodze. Sprawdź na podstawie numeru rejestracyjnego, do kogo należy, dotrą do Jawora, a za jego pośrednictwem do niej...

Zamknęła porzuconą skodę i szybkim krokiem udała się w stronę miasta. W ciągu pół godziny dotarła na Wąską. Nie obchodziło ją, że obudzi Jawora. Zadzwoiła. O dziwo, był ubrany. Jakby na nią czekał. Wyjaśniła, co się stało. Zaczął wrzeszczeć, że to wszystko jej wina, bo samochód był sprawny, od lat się nie psuł. I to ona ma go do niego doprowadzić. Jak? Nie jego sprawa.

Zaproponowała pieniądze. Dwieście złotych. Jeśli sam zajmie się naprawą samochodu, a przede wszystkim jak najszybciej przyniesie jej dwie torby, które zostawiła w bagażniku. Zażądał pięciuset. Musiała się zgodzić, chociaż nie miała już takiej kwoty.

Tym będę się martwić później, pomyślała.

Była tak zmęczona, że najchętniej poczekałaby u Jawora, ale nie zaproponował, żeby została. Chcąc nie chcąc, udała się do hotelu. Dopiero kiedy znalazła się w pokoju, odetchnęła z ulgą. Umyła twarz i ręce. Powinna wziąć prysznic, ale nie miała siły się rozebrać i ponownie ubrać. Postanowiła chwilę poleżeć.

Cichy, ale natarczywy odgłos pukania wyrwał ją z drzemki. Dopiero po kilkunastu sekundach dotarło do niej, że za drzwiami stoi najpewniej Jawor z torbami, które z takim trudem wydobyła z ukrycia.

Wstała, spojrzała w lustro, poprawiła włosy i niespiesznie podeszła do drzwi. Przekręciła klucz, ale zamiast właściciela niesprawnej škody zobaczyła przed sobą zgarbionego starca w zniszczonej jesionce. Przez myśl przemknęło jej, że powinna ukryć twarz za okularami, ale zanim zdążyła cokolwiek zrobić, gość popchnął ją brutalnie i sam wtargnął do pokoju.



Nie rozumiała, co się dzieje. Była pewna, że zaszła pomyłka, która zaraz się wyjaśni. Ale mężczyzna przyglądał jej się tak, jakby ją znał. Kiedy wyjął z kieszeni nóż, dotarło do niej, że jest w niebezpieczeństwie. Pomyślała, że gdzieś go już widziała. W recepcji? W aptece? Chciała wezwać pomoc, ale przerażona nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

Chociaż mogła spodziewać się ataku, szybkie, mocne uderzenia nożem w brzuch kompletnie ją zaskoczyły. Próbowwała schwycić dłoń napastnika albo przynajmniej zasłonić się przed kolejnymi ciosami, ale paralizujący ból spowolnił jej ruchy i uniemożliwił skuteczną obronę. Ciężko ranna, wyczerpana i osłabiona osunęła się na ziemię.

– Bardzo boli – szepnęła, a może tylko chciała szepnąć. Wiedziała, że umiera.

Część 6  
Piękny dzień dla całych Niemiec

24 kwietnia 1982, sobota

Miałem dość, naprawdę dość miasta, które na kilkanaście dni stało się dla mnie azylem, miejscem pokus i tortur, lecznicą, więzieniem, rajem. I tylko o mały włos, bo groźba zacydowania podczas pożaru w hotelu była przecież całkiem realna, nie okazało się grobem. Miałem dość Starego Krzyża z jego pruskim ładem architektonicznym, bujnością zapachów wiosny, nieprzemijającą urodą kobiet, chamstwem stróżów prawa, ckliwymi piosenkami z innej epoki, niepoważnymi antypaństwowymi wieczornicami, zakonserwowaną w muzealnych murach pamięcią o okrucieństwie nazizmu, rozgrywkami brydżowymi w oparach tytoniowego dymu, tanimi truciznami, biblioteczną ciszą, czerniną i bułczanką, wojną bez czołgów i armat, mętnymi przepowiedniami na niebieskich kartonikach, utajonymi smutkami, zwierciadłami weneckimi, małymi grzeszkami i potwornymi zbrodniami.

Marzyłem tylko o tym, by dostać się do swojego pokoju, wrzucić do torby stertę brudnych ubrań, która wyrosła w ciągu minionych kilkunastu dni w schowku za lustrem, dopchnąć ją kolanem, zaciągnąć suwak, udać się bezzwłocznie bez zaglądanego rozkładu jazdy na dworzec, wsiąść do pierwszego pociągu na wschód, który nadjedzie, i dotrzeć do Poznania. Tam rozgościć się w obskurnym barze, zjeść coś, najlepiej pomidorową, o sprawdzonym smaku, poczekać cierpliwie na ekspres do Warszawy, a kiedy wtoczy się na wskazany peron, zająć miejsce i pozwolić się wieźć przed siebie. Do domu. Bez oglądania się wstecz. Bez rozpamiętywania zdarzeń minionych dwóch tygodni. Bez rozdrapywania ran, które nie zaczęły się jeszcze zablizniać.

Niestety, marzenia, nawet te banalne, niekoniecznie się spełniają. Rankiem w hotelu, który jak się okazało, nie ucierpiał specjalnie w wyniku pożaru, pojawiła się silna reprezentacja miejscowego posterunku milicji i rozpoczęła śledztwo. Długie i żmudne, jak wynikało ze słów sierżanta Wąsowskiego, na którego wpadłem w recepcji. Dla władz wojewódzkich było bowiem oczywiste, że ktoś próbował dokonać zamachu na siedzibę komisarzy wojskowych. Nawet jeśli wszyscy trzej oficerowie mieszkający w hotelu wyjechali w piątek po południu na naradę do Poznania i pożar w żadnym razie nie mógł im zagrozić.

Wąsowski był w swoim żywiole. Biegał po korytarzach w tę i z powrotem, oglądał zebrany przez strażaków, wąły materiał dowodowy, wrzeszczał,

machał rękami, przesłuchiwał świadków, przede wszystkim zaś pilnował, aby nikt z nielicznych o tej porze roku gości hotelowych nie udał się do swojego pokoju, bo przecież mógłby zdeptać ślady i utrudnić albo wręcz uniemożliwić schwytanie sprawcy.

Byłem pewien, że chaotyczne, nieudolnie prowadzone śledztwo nie wyjaśni, kto i dlaczego podłożył ogień, jeśli rzeczywiście pożar był następstwem czyjegoś celowego działania (coraz bardziej wątpiłem, że miał w tym udział pan Edward). Przypuszczałem raczej, że Wąsowski znajdzie sobie kozła ofiarnego i jego obciąży winą, nie bacząc na to, co wynika z oględzin, tak jak wcześniej próbował zrobić mnie w dwa zabójstwa.

Przez moment zastanawiałem się, czy tym kozłem ofiarnym nie będę aby znowu ja. Zwłaszcza że Joanna Szajewska, która mogłaby zapewnić mi alibi, raczej nie zgodzi się opowiedzieć milicji o kilku długich godzinach spędzonych w moim towarzystwie.

Po krótkim przesłuchaniu, które przebiegło w zaskakująco życzliwej atmosferze (zapytany, co robiłem w nocy, skłamałem, że spałem), wymknąłem się z hotelu. Zastanawiałem się, co robić. Ponieważ nie wpuszczono mnie do pokoju, nie mogłem się umyć, ogolić i przebrać. Znowu wyglądałem jak troglodyta. A w tej sytuacji spotkanie z Marylą, którą powinienem przeprosić za ucieczkę poprzedniego dnia, nie było najlepszym pomysłem. Ostatecznie postanowiłem zajrzeć do muzeum historycznego i pożegnać się z uczynnym kustoszem; nadal liczyłem na to, że najpóźniej następnego dnia opuszczę Stary Krzyż.

Dopiero kiedy dochodziłem do rynku, uświadomiłem sobie, że jest wolna sobota i muzeum może być nieczynne. Na szczęście drzwi zastałem otwarte. Kustosz, ubrany w elegancki ciemny garnitur i białą koszulę, z muchą pod szyją, ucieszył się na mój widok. Podał mi rękę i z niekłamaną ekscytacją w głosie powiedział:

– Dobrze, że pan jest, bo pewnie chce pan na spokojnie obejrzyć zdjęcia, które udało mi się odtworzyć. A w poniedziałek zamykamy na tydzień. Muszę udostępnić trzy sale na wystawę „Złączeni przyjaźnią, zespoleni sojuszem”. Wie pan, trzydziesta siódma rocznica podpisania układu o współpracy i wzajemnej pomocy między Polską a Związkiem Radzieckim.

Potwierdziłem, że chętnie obejrzę zdjęcia, gdy nagle zapytał, czy czytałem już „Trybunę Ludu”. Odpowiedziałem, że nie, ale nie dodałem, że nigdy nie czytam „Trybuny Ludu”, bo gdyby się okazało, że to jego ulubiony dziennik, mógłbym sprawić mu przykrość. Odwrócił się na pięcie, zniknął i po chwili wrócił z gazetą. Rozłożył ją i podsunął mi pod nos niewielką notatkę, która

zaczynała się od słów: „Wczoraj w godzinach porannych w wypadku samochodowym koło Lipska zginęła Anna Eckart, wybitna pisarka NRD, autorka przetłumaczonego na wiele języków «Intermezza», laureatka nagród państwowych...”. Część dalsza przypominała notę biograficzną ze słownika, który znalazłem w miejscowej bibliotece.

– Zdumiewające, prawda?! – wykrzyknął.

Zdziwiło mnie, że kłamliwa informacja poruszyła go aż tak bardzo. Szczerze mówiąc, byłem pewien, że z czymś takim wyskoczą. Czy mogli ujawnić, że ceniona pisarka, ulubienica władz enerdowskich, chciała wywieźć z Polski i sprzedać pamiątki po Chopinie? A także to, że zabił ją, aby wzbogacić się na owych pamiątkach, oficer polskiej służby bezpieczeństwa? Dodajmy, że to wszystko wydarzyło się w pierwszych dniach stanu wojennego, który miał przywrócić ład i porządek w kraju. Przecież musieli wymyślić własną wersję zdarzeń. Zdecydowali się na najprostszą. Anna Eckart zginęła w wypadku. W najbliższych dniach wyprawia jej wspaniały pogrzeb i będą nadal czcić, tak jak czcili ją za życia.

Byłem gotów podyskutować z sympatycznym twórcą muzeum historycznego w Starym Krzyżu na ten temat, ale zdążył już porzucić gazetę i głosem, w którym wyczułem podniecenie, wyjaśnił, że chciałby mi pokazać coś jeszcze: niesamowity dokument, który wygrzebał w swoich zbiorach. Skrzywiłem się. Co innego rzucić okiem na kilkanaście czy nawet kilkadziesiąt zdjęć, co innego wgrzyzać się w jakieś papierzyska.

Naprawdę nie miałem już ochoty zgłębiać historii miasta, które powoli wymazywałem ze świadomości. Nawet jeśli nadal w nim tkwiłem.

Fizyczna obecność nie miała większego znaczenia. W umyśle opuściłem Stary Krzyż co najmniej kilka godzin wcześniej. W wyobraźni pędziłem już do Warszawy. Mijałem Konin, zbliżałem się do Kutna. I nic nie mogło zmącić radości z tego, że wreszcie wyrwałem się z miasta, w którym nigdy nie powinienem był się w ogóle znaleźć.

– Wie pan... – Mężczyzna nie przyjmował do wiadomości mojego braku entuzjazmu. – Ta Anna Schmidt nie dawała mi spokoju. Ciągle miałem ją przed oczami. Wydawało mi się, że ją znam. Skąd? Przecież przyjechałem do Starego Krzyża dopiero po wojnie. Aż w końcu przypomniałem sobie, że czytałem o niej we wspomnieniach mieszkańców.

– Wspomnieniach mieszkańców? – Nie miałem pojęcia, o czym gada.

– Zdjęcia to tylko część zbiorów muzeum – wyjaśnił. – Od lat namawiam mieszkańców, by spisywali swoje wspomnienia. Co prawda przeżyciami z czasów stalinowskich nie chcą się dzielić. Boją się. Jakby za danie

świadczenia o tamtym okresie mogła ich spotkać kara. O wiele łatwiej namówić ich na wspomnienia wojenne. Dla wielu nadal żywe. Zebrałem już kilkadziesiąt relacji. Bardzo różnych. Lapidarnych, spisanych na dwóch, trzech stronach. I szczegółowych, wypełniających grube bruliony. Zajrzałem do wszystkich, żeby odnaleźć w nich Annę Schmidt. Nie myliłem się. Pojawia się u kilku osób. Ale najważniejsza jest opowieść Marii Lipiec.

Kierownik wyjął z szuflady biurka zniszczony, sześćdziesięciostronicowy zeszyt w kratkę, zapisany nierównym pismem. Przycisnął go do piersi, jakby zawahał się, czy ma prawo pokazać go obcemu, bo przecież pozostałem w Starym Krzyżu intruzem, ale zaraz dodał:

– Powinien pan to przeczytać. Proszę mi wierzyć...

Szukałem w myślach wymówki, aby się jednak od lektury grubego brulionu wymigać. Naprawdę już mnie nie obchodziło, kim była Anna Schmidt, jak wyglądało jej życie podczas wojny, co miała na sumieniu. Zginęła. Zabójca podążył za nią w zaświaty. Wspólniczka zabójcy została aresztowana, za kraty trafił też zabójca zabójcy. Sprawa zamknięta. Dla mnie zamknięta na amen.

Ale kustosz nie przyjmował tego do wiadomości. Zrobił mi już miejsce przy biurku, położył na blacie zeszyt, który trzymał w dłoniach, otworzył go na pierwszej stronie, zapewnił, że zrobi kawę, obiecał nawet wyskoczyć do cukierni na rynku po ciastka. I przestępując z nogi na nogę, czekał, aż zacznę czytać.

Ostatecznie poddałem się temu dobrodusznemu człowiekowi, którego imienia i nazwiska nigdy nie poznałem. Przecież i tak nie mam nic innego do roboty, pomyślałem. Zrezygnowany usiadłem na krześle i zatopiłem się w lekturze.

Siedemnastego sierpnia 1939 roku, w czwartek, w dniu moich siódmych urodzin, mama zabrała mnie do cukierni na rynku, posadziła przy jednym z kilku stolików i zamówiła pięć napoleonek, pysznych, z kremem budyniowym i z lukrowanym wierzchem. Sama zjadła jedną, ja dwie, a po dłuższej chwili, z łakomstwa, bo zdążyłam się już nasycić, kolejną. Ostatnia została na talerzyku, nie wiem dlaczego, bo przecież mama mogła poprosić o zapakowanie jej w papier dla mojego młodszego o rok brata Janka albo dla starszej o sześć lat siostry Ali. Czy też dla mnie, na później. Nie pomyślałam o tym, bo kiedy wychodziłyśmy z cukierni, miałam już dość ciastek. Ale potem przez sześć lat nie mogłam uwolnić się od obrazu tej samotnej napoleonki, która została na talerzyku. Z kremem budyniowym

i z lukrowanym wierzchem. Dlaczego jej nie zjadłam?, pytałam sama siebie. Bo przez sześć lat mogłam tylko marzyć o ciastkach. Przez sześć lat wojny nikt z nas nie miał ciastka w ustach.

Zastanawiam się dziś, czy wiedzieliśmy, że czeka nas wojna. Chyba tak. Przypominam sobie, że tata mówił o tym mamie. Powtarzał, żeby zgromadziła zapas cukru, mąki, kaszy, mleka w proszku, słoniny i suchych wędlin, ale też alkoholu i papierosów, bo pieniądze tracą wartość, a alkohol i papierosy zawsze można wymienić na to co potrzebne. „Trzeba się zabezpieczyć na kilka tygodni, a może i kilka miesięcy”, przekonywał.

Nikomu nie przyszło do głowy, że koszmar potrwa dłużej. O wiele dłużej.

Tylko pięć rodzin w Starym Krzyżu miało radio, w tym Kaufmannowie, nasi sąsiedzi, Niemcy, bo oprócz Polaków żyło wtedy w mieście trochę Niemców i Żydów. I Kaufmannowie, którzy mieszkali na parterze, na prośbę mojego taty, a może ze zwykłej ludzkiej życzliwości, otwierali okno i wystawiali swój odbiornik na parapet, żeby każdy mógł posłuchać, dowiedzieć się, co się dzieje na świecie. Sporo osób zbierało się pod ich oknem, ale program był po niemiecku i nie wszyscy rozumieli, dlatego tata musiał tłumaczyć. Rodzice dobrze znali ten język, bo pochodzili z Warmii.

Chociaż miałam dopiero siedem lat, często wybiegałam na ulicę, wciskałam się między stłoczonych mężczyzn, brałam tatę za rękę i przysłuchiwałam się niemieckiej mowie płynącej z małego głośnika, a potem wyjaśnieniom taty i jego rozmowom, niekiedy burzliwym, z pozostałymi.

Wtedy poznałam imię i nazwisko, którego brzmienie do dziś przenika mnie trwogą. Adolf Hitler.

Ale chociaż upalne lato trzydziestego dziewiątego roku pełne było krzyków niemieckiego kanclerza, które brzmiały groźnie nawet z małego odbiornika radiowego ustawionego na parapecie Kaufmannów, i powtarzanego przez tatę do znudzenia „będzie wojna”, chyba nie do końca zdawałam sobie sprawę, co to wszystko oznacza dla mnie, dla mojej rodziny i dla naszego miasta. Myślałam pewnie, że wojna, o której ciągle słyszałam, ma się rozegrać gdzieś daleko, poza granicami Starego Krzyża, a więc mnie, Janka, Ali i rodziców nie dotyczy. Zwłaszcza że tata ze względu na problemy ze zdrowiem został zwolniony ze służby wojskowej.

Wojenne groźby nie mąciły nam beztroski letnich zabaw na łąkach za miastem. Biegaliśmy tam z Jankiem, zazwyczaj pod czułą opieką Ali. Nie mąciły także przygotowań do nowego etapu w życiu. Pierwszego września miałam wreszcie pójść do szkoły, zostać uczennicą, jak siostra. Nie mogłam się tego doczekać. Mama kupiła mi już tekturowy tornister wzmocniony

dwiema deseczkami. A trzydziestego pierwszego sierpnia, w czwartek, przygotowała elegancki strój na pierwszy dzień nauki: białą bluzkę i granatową spódnicę uszyte przez tatę, który z zawodu był krawcem, ale odkąd otworzył z mamą sklep bławatny, rzadko siadał do maszyny.

Tej nocy nie mogłam spać. Byłam tak podekscytowana myślą o pójściu do szkoły, że budziłam się wielokrotnie. Wstawałam, wyglądałam leżące na krześle obok łóżka ubranie, żeby się nie pogniotło, nie miało ani jednej fałdki. Sprawdzałam zawartość tornistra, chociaż pierwszego dnia nie był jeszcze potrzebny.

I wreszcie po szóstej poszłam do kuchni, nalałam do miednicy wody, którą wieczorem sama przyniosłam w wiadrze z rynku, umyłam się, ubrałam i czekałam, aż mama wstanie, zrobi mi śniadanie i odprowadzi do szkoły.

Ale szkoły nie było. Ani tego dnia, ani kolejnego, ani w następnych tygodniach i miesiącach.

Na terenach włączonych po wybuchu wojny do Rzeszy, a Stary Krzyż, nazwany jak w okresie zaborów Alt-Kreuz, znalazł się w ich obrębie, zamknięto wszystkie polskie szkoły. Natomiast nauczycieli wraz z innymi przedstawicielami miejscowej inteligencji wywieziono do Fortu VII w Poznaniu i zamęczono na śmierć. Ale to stało się później.

Pierwszego września ciężaru wojny jeszcze w Starym Krzyżu nie odczuliśmy. Dzień był piękny i słoneczny. Nie różnił się od innych dni tego lata. Kiedy więc tata wbiegł do kuchni, bo jak się okazało, wstał wcześniej niż ja, żeby posprzątać w sklepie, i ze łzami w oczach, z trudem łapiąc powietrze, powiedział tylko jedno słowo, „wojna”, nie od razu dotarło do mnie, że to już. Złowieszcza przepowiednia się spełniła, wrzaski kanclerza stały się rzeczywistością. Nadal jeszcze myślałam, że to nic, niech sobie walczą, ale ja, jakżeby inaczej, zjem śniadanie, wezmę mamę za rękę i pójdę do szkoły. Nie poszłam.

Rodzice po krótkiej naradzie zdecydowali się uciekać, jak najszybciej, w stronę Poznania, mimo że wycofujące się wojsko polskie uszkodziło tory kolejowe i o podróży pociągiem nie było mowy.

Kiedy myślę o tym dziś, wiem, że nie był to dobry pomysł. Dokąd chcieli uciekać? Z dziećmi. Z tobołami. Ale uciekali wszyscy, no, prawie wszyscy. Oprócz Niemców, którzy nie mieli się czego obawiać. Zresztą większość z nich pewnie się cieszyła, że Stary Krzyż, tak jak w czasach zaborów, znowu będzie należał do nich, chociaż wtedy nikt tego jeszcze nie okazywał.

Mieliśmy drewniany wóz na czterech kołach, nie taki duży jak te, do których zaprzęga się konie, ale całkiem spory, z krótkim dyszlem. Przed



wojną w każdy piątek na rynku odbywał się targ i właściciele sklepików rozstawiali przed ratuszem stragany i handlowali pod gołym niebem. Ale żeby przewieźć towar – w naszym wypadku głównie kupony bawełnianych, jedwabnych i wełnianych tkanin – trzeba było mieć środek transportu. Dlatego rodzice kupili niewielki wóz. I pierwszego września załadowali na niego jedną czy dwie pierzyny, koce, ubrania, a także trochę żywności: chleb, masło w dużej puszcze po maggi, cukier, suchą wędlinę i nawet kilka batoników Manilla Wedla – ostatnie wyroby czekoladowe, jakie jadłam aż do końca wojny.

Wyruszyliśmy jeszcze tego samego dnia. Tata sam ciągnął wóz, dla mamy i Ali był za ciężki. Janek, który jadł mało i ważył tyle co nic, większość drogi spędził na przykrytych kocami pierzynach. Ja musiałam iść i zmęczenie bardzo dawało mi się we znaki. Marudziłam, płakałam i czasami na kilka czy kilkanaście minut sadzali mnie obok brata.

Drogi były pełne uciekinierów takich jak my, próbujących zbiec przed trudnym jeszcze do wyobrażenia piekłem wojny w nieznane – całymi rodzinami, pieszo, z dużymi pakunkami na plecach, czasem na wozach zaprzęzonych w konie, chociaż większość koni jeszcze w lipcu czy sierpniu zarekwirowało wojsko. Samochodu w Starym Krzyżu i okolicy nikt wtedy nie miał, poza hrabiną Poniecką, która jeździła do kościoła luksusowym, siedmioosobowym polskim fiatem – nie potrafię powiedzieć, jaki to był model – ale przed wybuchem wojny, niedługo przed swoim wyjazdem z kraju, też musiała przekazać go armii.

Lato trzydziestego dziewiątego roku było upalne, bez kropli deszczu, dopiero w połowie września trochę popadało, a w końcu miesiąca nadeszły burze i nagle się ochłodziło. Ale wtedy gdy w tumanach pyłu wędrowaliśmy w kierunku Poznania, było jeszcze gorąco i sucho, nie do wytrzymania.

Nocowaliśmy w przydrożnych gospodarstwach, w stodołach, na sianie. Najlepiej pamiętam postój w dużym folwarku przed Szreniawą, wraz z kilkudziesięcioma innymi osobami. Była wśród nich kobieta w zaawansowanej ciąży – wędrowała sama, o jej męża upomniało się wojsko – i w środku nocy zaczęła rodzić. Baby obstały ją ze wszystkich stron, nas odganiały, bo my, dzieciaki, też chcieliśmy zobaczyć, co się dzieje. Darła się wniebogłosy. I po kilku godzinach urodziła córeczkę, nie wiem z czyją pomocą. Może gospodarze ściągnęli kogoś z miasta, a może cudownym zrzędzeniem losu w kilkudziesięcioosobowym tłumie, który się tam zebrał, trafiła się akuszerka. Chociaż kiedy myślę o tym dziś, wydaje mi się, że poród przyjęły po prostu towarzyszki podróży tej kobiety.

Zanim jeszcze dotarliśmy do folwarku przed Szreniawą, chyba tuż przed Stęszewem, po raz pierwszy zobaczyliśmy niemieckie samoloty. Tata mówił na nie „aeroplany”. Krążyły tuż nad nami, jakby nas pozdrawiały. Chłopiec siedzący na jednym z wozów, mój rówieśnik, pomachał do nich przyjaźnie. W tej samej chwili rozległ się przeraźliwy świst i na naszą kolumnę spadły z hukiem dwie ziejące rudym ogniem bomby. Ci, których nie zabiły, rozbiegli się w panice w różne strony, ale piloci zaczęli strzelać do uciekających, wyławiając pojedyncze sylwetki na oświetlonym przez słońce polu i śląc w ich kierunku serie z karabinów maszynowych.

Chociaż od tamtych wydarzeń minęło wiele lat, nadal mam przed oczami porozrywane od bomb i podziurawione od pocisków ciała kobiet, mężczyzn i dzieci, a wśród nich ciało chłopca, który spontanicznie powitał nadlatujących lotników. Niewielu ocalało, w tym ja i moja rodzina, za co do dziś dziękuję Bogu.

Wtedy zrozumiałam, że Niemcy nie najechali mojego kraju, by walczyć na odległym polu bitwy o jakąś niezrozumiałą dla mnie, siedmioletniego dziecka, sprawę. Podczas tego pierwszego ataku z powietrza, którego byłam świadkiem – a w następnych dniach widziałam kilka kolejnych, w tym bombardowanie oznakowanych wielkimi czerwonymi krzyżami budynków szpitalnych – dotarło do mnie, że Niemcy wkroczyli do Polski, żeby zabijać.

Byliśmy już blisko Poznania, kiedy tata postanowił nocą przedostać się razem z ojcem innej uciekającej rodziny do śródmieścia i dowiedzieć się, jak się sprawy mają. Czy miasto obroniło się przed niemieckim natarciem, czy można się w nim schronić, czy nasza wyprawa, z narażeniem życia, w ogóle ma sens.

Wrócił nad ranem przygnębiony i zrezygnowany. Wziął mamę na bok i zdał jej relację z tego, co zobaczył. Mnie i rodzeństwu opowiedział o tym dopiero po latach. Nie dotarł nigdzie dalej, ponieważ mosty na Warcie zostały zerwane przez wycofujące się polskie wojsko. Oddziały, które miały bronić Poznania przed Niemcami, wyruszyły bowiem na wschód i pozostawiły mieszkańców samym sobie, a ich śladem podążyły też wszelkie służby, w tym policja i strażacy. Pouciekali nawet urzędnicy administracji rządowej i samorządowej oraz prymas Polski, kardynał August Hlond. Zapanował kompletny chaos. Niektóre dzielnice zostały pozbawione prądu i wody. Nie kursowały autobusy i tramwaje. Brakowało żywności i lekarstw. Chociaż Niemcy jeszcze do Poznania nie wkroczyli, nie ulegało wątpliwości, że zajęcie go to kwestia dni, a może godzin.

Rodzice podjęli decyzję o powrocie. Od początku gryzły ich wątpliwości,

czy wyprawa na wschód ma sens. Teraz zrozumieli, że nie ma dokąd uciec. A jeśli umierać, to lepiej we własnym domu niż na bezdrożach.

Następną noc spędziliśmy w gospodarstwie niemieckim. Rodzice poszli do właścicielki zapytać, czy nas przyjmie, a ta natychmiast się zgodziła.

Pamiętam, że wzdłuż dróżki wiodącej do stodoły rosły drzewa owocowe. Tata był głodny, bo żywność, którą zabraliśmy ze sobą, dzielił między mnie, Janka, Alę i mamę, a sam, zwłaszcza po powrocie z Poznania, kiedy zobaczył, że wszystkiego brakuje, odmawiał sobie nawet skibki chleba. Dlatego, ciągnąc wózek, raz za razem zrywał śliwkę i zjadał. A potem napił się wody ze studni. I strasznie się rozchorował. Całą noc wymiotował. Było mi go bardzo żal.

Rano mieliśmy wyruszyć w dalszą drogę, ale tata nie był w stanie ciągnąć wózka. Dwie noce nie spał i opadł z sił. Ledwie powłóczył nogami. Mieliśmy jednak szczęście, bo uszliśmy zaledwie kawalek, kiedy zobaczyliśmy jadący w kierunku Starego Krzyża pusty wóz drabiniasty. Okazało się, że to chłop z naszych stron. Odwiózł kogoś w okolice Poznania i wracał do domu. Mama poprosiła, żeby nas zabrał. Wózek przytroczyliśmy z tyłu i jeszcze tego samego dnia byliśmy na miejscu.

Do dziś pamiętam moment, kiedy wjechaliśmy Poznańską do wyludnionego miasta. Nigdzie żywej duszy. Prawie wszyscy puciekali. A Niemcy, którzy zostali, pochowali się po domach i czekali na swoich. Rodzice dziwili się, że ich obecność nie uchroniła miasta przed bombardowaniami. Po niektórych budynkach zostały szkielety. W tych, które ocalały, wiele okien nie miało szyb. Ulice i chodniki pokrywał gruz. Wszędzie czuło się zapach spalenizny.

Byliśmy jednymi z pierwszych, którzy wrócili, ale w następnych dniach ściągnęli też inni. Niestety, wielu zastało po powrocie splądrowane domy i mieszkania. My też musieliśmy się pogodzić ze stratą dużej części zapasów żywności – ukrytych w małej komórce konfitur, cukru, mąki i kaszy.

Dopiero w drugim tygodniu września zobaczyliśmy na ulicach Starego Krzyża żołnierzy Wehrmachtu. Najpierw zjawił się patrol motocyklowy: ubrani w długie gumowane płaszcze, dorodni, dobrze odżywieni młodzi ludzie uzbrojeni w karabiny i pistolety. A potem dniami i nocami widzieliśmy pod naszymi oknami maszerujące ze śpiewem na ustach całe szeregi równie dorodnych młodych ludzi w siwych mundurach i hełmach lub składanych czapkach, którym towarzyszyły mknące szybko wozy taborowe, samochody wyładowane końmi, kuchnie polowe.

Rodzice jeszcze przed wkroczeniem niemieckiego wojska zlikwidowali

sklep. Kupony materiałów ukryli na strychu. A nam, dzieciakom, przykazali, żebyśmy nikomu o tym nie mówili.

Szybko się okazało, że ich ostrożność była uzasadniona. W następnych tygodniach wszystkie sklepy, warsztaty pracy i przedsiębiorstwa przeszły w ręce Niemców. A zanim jeszcze do tego doszło, żołnierze rekwirowali i grabili wszystko, co miało wartość. Polskie i żydowskie sklepy, domy i gospodarstwa bezlitośnie okradano. Zabierano żywność i alkohol, kupony materiałów i dywany, płaszcze i futra, biżuterię i inne kosztowności, zastawę stołową i porcelanę, kolekcje znaczków i zbiory numizmatyczne, instrumenty muzyczne i płyty gramofonowe, aparaty fotograficzne i lornetki, lekarstwa i perfumy, maszyny do szycia i rowery, węgiel i koks, a nawet krowy, kozy, króliki i kury.

Wojsko zaraz po wkroczeniu do miasta przejęło w nim władzę, a po dwóch miesiącach, kiedy Stary Krzyż nosił już nazwę Alt-Kreuz i stał się częścią Rzeszy, pojawił się ktoś w rodzaju burmistrza czy komisarza, Abschnittsleiter Heinrich Lippe, który pochodził z Rosenheim, miasta Göringa, i przed wojną był podobno zwykłym rzeźnikiem.

Obwieszczenia rozwieszane od pierwszych dni niemieckich rządów na murach informowały Polaków o ich nowych prawach i obowiązkach. W ten sposób dowiedzieliśmy się o godzinie policyjnej, ograniczeniach w podróżowaniu, wstrzymaniu świadczeń i rent, zamknięciu szkół i przedszkoli czy obowiązku pracy dla dzieci w wieku od lat czternastu. Kawiarnie, restauracje, parki, łaźnie i place zabaw przeznaczono wyłącznie dla Niemców. Zakazano nam używania języka ojczystego w pismach urzędowych i nawet w prywatnych listach. Wydano nakaz pozdrawiania Niemców i schodzenia przed nimi z chodnika na jezdnię.

Szczególnie złowieszczo brzmiały obwieszczenia dotyczące kar grożących Polakom za nieprzestrzeganie rozporządzeń nowej władzy, od kary pozbawienia włosów, wymierzanej dziewczętom uchylającym się od podjęcia pracy, przez karę chłosty, zasądzaną za przewinienia takie jak trzymanie rąk w kieszeniach w obecności Niemców, aż po karę osadzenia w obozie karnym za, powiedzmy, podróż koleją bez pisemnego zezwolenia oraz stosowaną najczęściej karę śmierci.

Groziła ona chociażby za niezdanie posiadanej broni. Tymczasem nasz tata dostał kiedyś starą strzelbę myśliwską, o której zapomniał, bo nigdy nie była mu potrzebna. I jak przypuszczam, ktoś z sąsiadów powiadomił o tym władze. W rezultacie na początku października wpadli do naszego domu umundurowani Niemcy i bez słowa wyjaśnienia zaczęli wyrzucać wszystko,

co im wpadło w ręce, na podwórko, aż w końcu dokopali się do tego, czego szukali.

Okazało się, że strzelba jest uszkodzona i w ogóle nie nadaje się do użytku, poza tym tata nie miał do niej amunicji. Jego tłumaczenia nie zdały się jednak na nic. Wyprowadzili go pod strażą i zabrali do tymczasowego więzienia urządzonego w podziemiach magistratu. Myśleliśmy, że już nigdy go nie zobaczymy, ale po kilku dniach wrócił bez przednich zębów, z połamanymi żebrami. Nigdy nie chciał opowiadać o tym, co przeżył. Mówił, że to zbyt bolesne wspomnienie, by do niego wracać.

Bardzo długo dochodził do siebie, ale oczywiście dziękowaliśmy Bogu za to, że go puścili, bo ciocia Franciszka, którą przyłapano na zrywaniu niemieckich obwieszczeń, została oskarżona o sabotaż i skazana na śmierć. Wyrok wykonano, mimo że pan Enke, szynkarz, u którego pracowała, zwrócił się do Untersturmführera SS Alberta Krügera, szefa miejscowego gestapo, z prośbą o jej ułaskawienie.

Moje dzieci, urodzone kilkanaście lat po wojnie, zapytały kiedyś, co było największą udręką czasu wojny. W pierwszej chwili chciałam powiedzieć, że głód, który dokuczał nam przez całe sześć lat, bo o żywność było trudno, mimo że rodzice, nie bacząc na zakazy, hodowali króliki, a tata za usługi krawieckie dla znajomych Niemców z okolicznych wsi dostawał czasem trochę ziemniaków, cukru, mąki i jajek. Do głodu zamierzałam dodać zimno, bo zdobycie węgla czy drewna na opał graniczyło z cudem, a zimy były mroźne i długie. Równie dobrze mogłabym powiedzieć o upokorzeniach, z jakimi musieliśmy się godzić na każdym kroku, traktowani przez większość Niemców, nawet przez nastoletnich chłopców w mundurach Hitlerjugend, jak podludzie. I o pozbawieniu możliwości chodzenia do polskiej szkoły oraz świadomości, że nawet jeśli opanujemy w domu umiejętność czytania, pisanie i liczenia, nigdy nie odrobimy zaległości i pozostaniemy właściwie półanalfabetami.

Każdy Polak, który przeżył tę wojnę, zgodzi się jednak, że choć głód i zimno były nie do wytrzymania, a upokorzenia nie do zniesienia, trudno sobie wyobrazić udrękę większą niż strach. W głowie już mi się dziś nie mieści, jak mogliśmy przeżyć sześć lat w stanie ciągłego zagrożenia. Sparaliżowani przez nieprzemijające uczucie grozy, płynące ze świadomości, jak niewiele znaczy dla Niemców nasze życie. I jak bardzo chcą się nas pozbyć z włączanego do Rzeszy Kraju Warty.

Całą wojnę żyliśmy w panicznym strachu. Całą wojnę drżeliśmy, czy w środku nocy, w ciemnościach, nie wpadną do naszego domu uzbrojeni po

zęby funkcjonariusze, żeby zabrać mamę, bo w 1920 roku jako młoda dziewczyna agitowała za polskością Warmii i Mazur; żeby zabrać tatę, bo ciągle wisała nad nim klątwa niezdanej w przewidzianym terminie strzelby; żeby zabrać mnie i Janka, bo polskie dzieci odbierano rodzicom i wywożono do Niemiec w ramach akcji germanizacyjnej; żeby zgarnąć całą naszą piątkę, pozbawić wszystkiego, co mieliśmy, i wywieźć bydłęcymi wagonami, z Fahrausweisem w jedną stronę, tak jak wielu znajomych i sąsiadów, na roboty do Karlsruhe albo w głąb Generalnego Gubernatorstwa, bo domy w Starym Krzyżu przekazywano stopniowo osadnikom niemieckiego pochodzenia ściągającym ze Związku Radzieckiego czy Rumunii w ramach akcji „Heim ins Reich”.

Wszelkie wywózki odbywały się w nocy, nigdy w dzień. Dwaj Niemcy w mundurach i jeden po cywilnemu walili w drzwi, a jeśli nikt nie otwierał, po prostu je wyważali. Dawali dwadzieścia minut na wyjście. Zgarniali wszystkich, bez względu na wiek i stan zdrowia. Pozwalali zabrać tylko najpotrzebniejsze rzeczy, a już na dworze rozgrzebywali każdą torbę, każdy pakunek, w poszukiwaniu pieniędzy i kosztowności (ściągali nawet obrączki z palców), resztę zaś wdeptywali złośliwie w błoto. Jeśli ktoś nie zdążył wyjść w przewidzianym czasie, wyciągali go siłą i bili kolbami karabinów w głowę, a zdarzało się, że stawiali pod murem i rozstrzeliwali.

Bardzo często dochodziły nas w nocy odgłosy łomotania do drzwi sąsiednich domów, wrzaski oprawców i krzyki rozpaczliwych ludzi wyciąganych z łóżek. Przerażeni, wczepieni w rodziców, czekaliśmy na to, co będzie; czy przyjdą także po nas, czy tym razem nas ominą. A potem przez tydzień czy dwa spaliśmy w ubraniach, bo wywózki trwały po kilkanaście dni. Mama mówiła: „Dziś śpimy w ubraniach, to szybciej się uwiniemy”. Miała też uszykowane tobołki z najpotrzebniejszymi rzeczami, żeby w razie wywózki nie tracić czasu na pakowanie.

Mojej rodziny nigdy nie zgarnęli, ale dwie trzecie mieszkańców wywieźli, z czego połowa nigdy nie wróciła. Wszyscy Żydzi, wszyscy uczestnicy powstania wielkopolskiego, a także prawie wszyscy Polacy zaliczający się do miejscowej elity, od radnych miejskich, nauczycieli i bibliotekarzy, przez księży, po lekarzy i aptekarzy, zostali wymordowani.

Strach towarzyszył nam podczas wojny na każdym kroku. Doświadczeniem śmiertelnie przerażającym okazała się nawet nauka, wprowadzona dla polskich dzieci ze Starego Krzyża dopiero w czterdziestym drugim roku.

W pierwszych latach wojny nie chodziliśmy do żadnej szkoły. Mama w wolnych chwilach, kiedy nie musiała wykonywać różnych prac dla

Niemców i zajmować się domem, uczyła mnie i Janka czytać, pisać i rachować. Na początku pomagała nam też Ala, ale w czterdziestym roku, kiedy skończyła czternaście lat, poszła jak wszystkie polskie dzieci w tym wieku do pracy.

Najpierw wysłali ją na wieś, do pomocy w niemieckim gospodarstwie, ale właściciele wykorzystywali ją do granic wytrzymałości i głodzili. W ciągu kilku miesięcy osłabła, zaczęła chorować. Mama bardzo się niepokoiła i w końcu kazała jej pójść do Arbeitsamtu, Urzędu Zatrudnienia na Szerokiej, przemianowanej w tym czasie na Adolf-Hitler-Strasse, i prosić o przeniesienie. A zanim wyszła, dała jej kawy, tak mocnej, że Ala omdlewała, słabo jej się robiło, musiała po drodze przysiąść na schodkach przed domami, zanim była w stanie ruszyć dalej. I kiedy urzędniczka, Niemka, która decydowała o przydziałach, zobaczyła ją w tym stanie, ulitowała się i skierowała do pracy w piwiarni Gerda Smollorza, mieszczącej się na rynku. Ala i tam nie miała lekko. Musiała myć podłogi, sprzątać, zmywać naczynia, traktowano ją jednak bardziej po ludzku. I co najważniejsze, mogła mieszkać w domu, z nami.

W szkole, do której miałam pójść pierwszego września trzydziestego dziewiątego roku, uczyły się podczas wojny wyłącznie dzieci niemieckie, a było ich w mieście coraz więcej, bo z każdym tygodniem, w następstwie przesiedleń, liczba Polaków malała, a Niemców przybywało.

Czasem w ciepłe wiosenne dni podpatrywaliśmy z Jankiem uczniów ćwiczących na boisku, radosnych, sytych, pełnych werwy. Ale odkąd przyłapali nas chłopcy z Hitlerjugend, w brunatnych koszulach z nazistowskimi emblematami, i dotkliwie pobili, unikaliśmy tamtej okolicy.

Tak więc przez pierwsze trzy lata wojny nie chodziłam do żadnej szkoły. Ale wiosną czterdziestego drugiego roku na murach pojawiło się obwieszczenie o obowiązku nauki dla polskich dzieci w wieku od dziewięciu do trzynastu lat, dotyczące również mnie, bo w sierpniu zaczynałam dziesiąty rok życia.

Być może z początku się ucieszyłam, że w końcu pójdę do szkoły, nie potrafię sobie już tego przypomnieć, ale jeśli nawet tak było, radość szybko zmieniła się w niepewność, a potem w paraliżujący strach.

Rodzice uświadomili mi, że szkoła będzie niemiecka, lekcje po niemiecku, bez jednego słowa w języku polskim. Na szczęście mama trochę nas uczyła niemieckiego, abyśmy rozumieli treść obwieszczeń i napisy w rodzaju *nur für Deutsche, kein Zutritt für Polen* czy *Spielplatz nur für deutsche Kinder* oraz potrafili odpowiedzieć Niemcom, gdyby czegoś od nas chcieli. W szkole

miałam więc ułatwiony start, w przeciwieństwie do wielu koleżanek, które szły do niej ze znajomością jedynie kilku czy kilkunastu niemieckich słów.

Szybko się okazało, że nie będziemy chodzić do szkoły w mieście, jak sobie wyobrażałam, lecz do szkoły na wsi, w Białych Łąkach, trzy kilometry za Starym Krzyżem.

Najciężej było zimą, kiedy panowały mrozy, a śnieg zasypywał wszystkie drogi i ścieżki. Ponieważ nie wolno było spóźnić się nawet o minutę, wychodziliśmy z domu wcześniej, a potem musieliśmy czekać przed budynkiem na lodowatym chłodzie, w lichych butach, aż nauczycielka wyjdzie, ustawi nas w dwuszeregu i wprowadzi do środka. Na szczęście ludzie, którzy mieszkali w pobliżu, zapraszali nas przed lekcjami do siebie. Staliśmy w sieni, ściśnięci wokół żelaznego piecyka na węgiel, i ogrzewaliśmy zmarznięte dłonie, a dopiero na znak gospodarza, który pilnował czasu, wybiegaliśmy na zewnątrz, żeby tam dotrzeć do rozpoczęcia lekcji.

Szkoła mieściła się w małym jednopiętrowym budynku ze spadzistym dachem. Ponieważ były w niej tylko cztery sale, chodziliśmy na dwie zmiany: starsze dzieci na ósmą, młodsze na jedenastą. Dziewczęta uczyły się osobno, chłopcy osobno.

Lekcje trwały dwie godziny dziennie. Obejmowały naukę podstaw niemieckiego w mowie i piśmie, najprostszych działań matematycznych oraz posłuszeństwa, porządku i dyscypliny.

Kiedy myślę o tym dziś, widzę jasno, że w szkole stworzonej przez Niemców dla polskich dzieci celem nie było kształcenie. Chodziło jedynie o to, abyśmy nauczyły się rozumieć polecenia, które już niebawem mieli nam wydawać niemieccy pracodawcy, oraz jak najsumienniej je wykonywać. A także o to, byśmy odnosiły się do tych pracodawców z bezwzględny posłuszeństwem, bo – co powtarzano nam na każdym kroku – *die Deutschen jetzt die Herren hier sind und die Polen ihre Knechte*. „Niemcy są tutaj teraz panami, a Polacy ich parobkami”.

W niemieckiej szkole dla polskich dzieci nie chodziło o nic innego, jak o to, by wytresować nas na uległych, bezwolnych, karnych wykonawców poleceń i rozkazów.

Obowiązywał wojskowy dryl. Lekcje często odbywały się na placu przed budynkiem i sprowadzały się do maszerowania w dwuszeregu, równym krokiem, z nazistowskimi piosenkami na ustach.

Było coś groteskowego w zmuszaniu polskich maluchów, by śpiewały, powiedzmy *Panzerlied*, hymn niemieckich czołgistów. *Für Deutschland zu sterben ist uns höchste Ehr!* „Umrzeć za Niemcy to dla nas największa



chwała!”. Nikt z nas nie chciał umierać. A już na pewno nie za Niemcy.

Czasem prosto ze szkoły zabierano nas do różnych prac na rzecz Niemców. Wyrywaliśmy chwasty, pomagaliśmy w pracach polnych, skubaliśmy drób.

Jedynymi książkami, z jakich się uczyliśmy, były *Wir lernen lesen*, która służyła nam na początku, i *Wir können lesen*, która zastąpiła ją po roku. Liczyły po kilkadziesiąt stron. Wydane skromnie, zawierały trochę czarno-białych rysunków podbarwionych na czerwono. Chociaż zredagowano je z myślą o polskich dzieciach w Kraju Warty, kompletnie rozmijały się z okrutnymi realiami naszego życia podczas wojny.

Bohaterami czytanek byli mały Heini Müller, jego starszy brat Dieter, członek Hitlerjugend, starsza siostra Erika, członkini podobnej nazistowskiej organizacji Bund Deutscher Mädel, oraz rodzice tej trójki. A także koledzy i koleżanki Heiniego. Oraz jamnik Männe.

Heini dorastał w dostatku. Opychał się ciastkami, które popijał gorącą czekoladą. Pieska karmił kiełbasą, a nawet szynką. Miał mnóstwo zabawek. Podczas wakacji podróżował nad morze. Zimą jeździł na sankach i łyżwach.

Było to życie nam nieznane. Jedyne słodyczne, jakie pamiętam z czasów wojny (oprócz marmolady z brukwi i marchwi), to karmelki domowego wyrobu, z cukru prażonego w rondelku z odrobiną mleka, ale mama robiła je rzadko, bo o cukier było trudno, a mleko też udawało się kupić tylko czasem, w dodatku lichej jakości, chude, nazywane „odciąganką”. Wędlin nie widzieliśmy na oczy. Polakom przysługiwały co prawda skromne kartkowe przydziały mięsa (dwieście gramów tygodniowo), ale ponieważ w sklepach pierwszeństwo mieli Niemcy, mamie udawało się kupić co najwyżej jakieś resztki. Żywiliśmy się więc głównie skromnymi porcjami mięsa z królików, które nadal hodowaliśmy na podwórku.

Jedyną zabawką, jaką miałam (jeśli nie liczyć skakanki ze sznurka), była lalka, którą uszyłam ze szmatek wyżebranych u taty i wypchałam trocinami. Podróżować nie było nam wolno. Sanek nie mieliśmy, a jedynie łyżwy, zrobione przez tatę z deseczek i kawałka grubego drutu, które szybko się zresztą rozpadły.

Nauka rachunków w niemieckiej szkole dla polskich dzieci polegała na wkuwaniu na pamięć prostych wyliczanek i obliczeń. Do znudzenia powtarzaliśmy na głos: *Eins, zwei, Polizei, drei, vier, Offizier, fünf, sechs, alte Hex’, sieben, acht, gute Nacht!, neun, zehn, schlafen gehen, elf, zwölf, kommen Wölf!* A także: *Fünf und fünf ist zehn. Fünf und sechs ist elf. Vier und acht ist zwölf.* Nikt nie oczekiwał, byśmy liczyli. Niemcy uważali, że jako podludzie nie jesteśmy w stanie opanować sztuki dodawania i odejmowania, nie

mówiąc o mnożeniu i dzieleniu. Wyniki podstawowych działań trzeba było mieć w głowie, wykute na pamięć.

Przez te dwa lata, od czterdziestego drugiego do czterdziestego czwartego, bo później szkołę zamknięto, uczyła mnie młoda Niemka Anna Schmidt, córka miejscowego stolarza Helmuta Schmidta. Rodzice niektórych dzieci pamiętali ją sprzed wojny jako niezbyt urodziwą, ale sympatyczną dziewczynę, która pracowała u hrabiny Ponieckiej.

W szkole zobaczyliśmy jej inne oblicze: osoby ziejącej nienawiścią do wszystkiego co polskie, despotycznej i bezwzględnej, sycącej się poczuciem wszechwładzy nad uczniami. Nigdy nie usłyszałam z jej ust słowa pochwały, a jedynie obelgi i złorzeczenia. Do zniewag, do słów pełnych pogardy i jadu można się jednak przyzwyczaić. Najgorsze były dotkliwe kary cielesne. Anna Schmidt nie wypuszczała różgi z ręki. A razy, których nam nie szczędziła, miały śmiertelną moc.

W późniejszych latach zastanawiałam się czasem, jak traktowałyby niemieckie dzieci, ale niemieckich dzieci raczej by uczyć nie mogła, bo tak naprawdę nie była nauczycielką. Nie miała przygotowania pedagogicznego, nie jestem pewna, czy zdobyła wykształcenie średnie. Do pracy z polskimi uczniami była jednak przygotowana dobrze: zawsze miała różgę pod ręką.

Pamiętam wiosenny dzień w kwietniu czterdziestego trzeciego roku, kiedy szkołę wizytował Abschnittsleiter Lippe, a towarzyszył mu fotograf, pan Vogel. Ponieważ należałam do lepszych uczennic, zostałam wezwana do tablicy i miałam opowiadać o wiośnie. Coś tam dukałam, ale nie bardzo mi szło. W innych okolicznościach dostałabym przez plecy, ale wtedy mi się upiekło, Anna Schmidt była bowiem zbyt zajęta rozmową z umundurowanym gościem, by słuchać mojego bajdurzenia.

W pewnej chwili otworzyła szafę na oścież i z dumą pokazała Lippemu imponujący zbiór różg – nowych, czekających dopiero na użycie, i starych, popękanych i połamanych na naszych plecach i głowach.

Lippe sięgnął po garść tych zużytych, twardych, ale giętkich pał i radośnie się roześmiał. Nie krył podziwu dla zaangażowania młodej nauczycielki, a ta, słysząc pochwały, aż się zarumieniła i jeśli dobrze zrozumiałam to, co mówiła, bo nie każde z użytych przez nią słów było mi znane, obiecała z jeszcze większą gorliwością wypełniać swoje obowiązki wobec Rzeszy, czyli jak należało odczytać jej zapewnienie, bić nas częściej i jeszcze mocniej niż do tej pory.

Nie jestem pewna, czym nas lała. Różgi, których zapas wydawał się niewyczerpany, nie były trzcinami, młodymi pędami wierzby, prętami

leszczynowymi czy pękami witek brzoźowych, służącymi od pokoleń do zadawania bolesnych, niekiedy bardzo bolesnych razów, ale niepowodujących uszkodzeń ciała poza ewentualnymi rozcięciami skóry. W dawniejszych czasach mówiło się nawet: „Wierzba bije, nie zabije, kości nie połamie!” i słowa te można by odnieść również do leszczyny czy brzozy.

Rózgi, które stosowała Anna Schmidt, były dość grube, pękate, ciężkie, a przy tym, choć nabite w sobie, sprężyste i broń Boże nie za długie, żeby ból od uderzenia nie rozszedł się po ciele, ale skupił się w jednym miejscu i naznaczył cierpieniem na długo, bo urazy mięśni i okostnej oznaczają przecież długotrwałe katusze.

Naprawdę nie wiem, z czego były te różgi. Produkowano je pewnie w Rzeszy jako niezbywalny element wyposażenia szkół dla polskich dzieci, według pedantycznej, jak wszystko w tym kraju, instrukcji, z gałęzi czy pędów jakiegoś egzotycznego dla nas drzewa, nasączanych, być może, znaną tylko wtajemniczonym substancją nadającą im większą zwartość i elastyczność.

Każdą zaś skończoną, dopieszczoną, gotową do użycia różgę znakowano na grubszym końcu maleńką czerwoną opaską z czarnym hakenkreuzem na białym tle, żeby bite dziecko nie miało wątpliwości, w czyim imieniu wymierza mu się karę za jego niearyjską niedoskonałość.

Anna Schmidt szafowała razami obficie, na każdym kroku, nawet za najdrobniejsze przewinienia. Naprawdę niewiele trzeba było, żeby otrzymać celne, bolesne uderzenie różgą z maleńką swastyką.

Jeśli komuś z naszej gromadki wyrwało się podczas pobytu w szkole jedno słowo w języku polskim, otrzymywał cios. Jeśli ktoś podczas codziennego powitania nauczycielki za późno lub zbyt cicho wydusił z siebie „Heil Hitler!” – cios. Jeśli ktoś podczas musztry wysunął się choćby o kilka centymetrów poza szereg – cios. Jeśli podczas śpiewania nazistowskich piosenek i pieśni opóźnił się o ułamek sekundy – cios. Jeśli w trakcie odpowiedzi przed tablicą przekreślił niemieckie słowo – cios. Jeśli pomylił się w pracy domowej – cios. Jeśli zrobił błąd w dyktandzie – cios. Jeśli znowu się pomylił – cios...

Chociaż byłam uczennicą pilną i zdyscyplinowaną, a z niemieckim radziłam sobie nieźle, ja również oberwałam nie raz i nie dwa. Wystarczyło przecież spojrzeć podczas lekcji na którąś z koleżanek, żeby zostać ukaranym.

Pamiętam, że któregoś dnia Anna Schmidt odłożyła na chwilę różgę i zaczęła pisać coś na tablicy. Nagle kątem oka zauważyła, że patrzę w bok. Podbiegła do mnie i walnęła z całej siły pięścią w ucho. Omal nie zawylałam

z bólu i nie spadłam z ławki. Przez kilka minut nic nie słyszałam. Bałam się, że na zawsze pozostanę głucha!

Większości dziewczynek nauka niemieckiego przychodziła z trudem. Miały problemy z zapamiętaniem wielu słów i przede wszystkim z pisownią. Na dyktandach zupełnie sobie nie radziły. A dyktanda, niezbyt długie, były często, bardzo często, czasem nawet co trzy, cztery dni.

Jedną z dziewczynek, która robiła najwięcej błędów i zbierała najwięcej razy, była moja przyjaciółka Celina Milska. Śliczna, drobna, jasnowłosa. Anna Schmidt biła ją z jakimś szczególnym upodobaniem. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że nie może się doczekać, kiedy będzie mogła się na niej wyżyć. I raz podczas dyktanda usiadła na ławce tuż za nią. Czytała kolejne zdania i zaglądała jej przez ramię, żeby na bieżąco sprawdzać, ile robi błędów. A za każde uchybienie od razu wymierzała karę.

Tekst był inny niż zazwyczaj, dotyczył zbliżających się urodzin Adolfa Hitlera. Nie należał do szczególnie trudnych, ale zawierał słowa, których wcześniej się nie nauczyliśmy, takie jak *die Fahne* albo *wehen*. Wrył mi się w pamięć na zawsze.

*Am zwanzigsten April hat der Führer Geburtstag*, zaczęła Anna Schmidt. „Dwudziestego kwietnia Führer ma urodziny”. Chyba nawet nie zdążyliśmy skończyć pisać, kiedy Celina otrzymała trzy pierwsze uderzenia w głowę. Nie w plecy, bo jej plecy osłaniało oparcie ławki, ale w głowę. Domyślam się, że zrobiła ze dwa błędy w słowie *zwanzigsten* i kolejny w *Führer*. A może po jednym w każdym z tych słów, ale za Führera oberwała dwa razy, bo raz za Führera mogło być Annie Schmidt za mała.

*Das ist ein schöner Tag für ganz Deutschland*, kontynuowała nauczycielka. „To piękny dzień dla całych Niemiec”. I kolejne trzy uderzenia w głowę, szybkie, mocne, ciężkie. Siedziałam kilka ławek za Celiną i widziałam, jak się zachwiała.

Nie było już mowy o tym, by potrafiła się skupić na dyktandzie. Przerazenie i ból musiały odebrać jej zdolność myślenia. Ja w jej sytuacji w ogóle nie mogłabym się skoncentrować.

*Viele, viele Fahnen wehen lustig im Wind. Alle Menschen freuen sich*, Anna Schmidt dyktowała powoli, z namaszczeniem. „Wiele, wiele flag powiewa radośnie na wietrze. Wszyscy ludzie się radują”. Po zapisaniu przez Celinę tych słów nastąpiła cała seria ciosów, błyskawicznych, niepoliczalnych i gwałtownych. Można by powiedzieć: mistrzowskich, jakby wymierzano je ku chwale wkraczającego za kilka dni w pięćdziesiąty czwarty rok życia Führera.

To wtedy w jasnych włosach Celiny dostrzegłam krew. Byłam pewna, że przyjaciółka upadnie. Ale, jak przypuszczam, strach, niewyobrażalny strach, strach nie do opisanego, okazał się siłą, która niczym sztywny gorset podtrzymała jej kruche ciało w ławce w pozycji wyprostowanej aż do końca tortury.

*Viele Kinder bringen dem Führer zum Geburtstag Blumen. Der Führer lacht. Der Führer liebt alle Kinder.* „Wiele dzieci przynosi Führerowi kwiaty na urodziny. Führer się śmieje. Führer kocha wszystkie dzieci”. Anna Schmidt czytała te zdania głosem dźwięcznym, radosnym, w bardziej uroczysty sposób niż poprzednie. Natchniona ich podniosłym tonem zadbała też o to, by kolejne uderzenia miały w sobie coś majestatycznego, solennego, wzniosłego. A ceremonialność jej ruchów sprawiła, że katowała bezbronną dziewczynkę, której Führer z jakichś powodów nie pokochał, bez wcześniejszej zjadłości, ale raczej z godną podziwu systematycznością, konsekwentnie, metodycznie.

Liczba pojedynczych, drobnych błędów w dyktandzie przestała się liczyć, bo Celina nie miała już siły pisać. A niepisanie to przecież błąd zwielokrotniony, spotęgowany, niewybaczalny. I taka musiała być tym razem kara. Nieubłagana, nieludzka, bezlitosna. I taki musiał być ból, z każdym uderzeniem potężniejszy, gęstniejący, totalny.

Dyktando kończyło zdanie najbardziej radosne w całym tekście: *Auch wir wollen das Führerbild mit Blumen schmücken!* „My także chcemy przystroić portret Führera kwiatami!”. Po przeczytaniu go Fräulein Schmidt wstała z ławki, wrzuciła zakrwawioną różgę do szafy, podeszła do wiszącego obok dużej flagi ze swastyką, oprawionego w ozdobną ramę zdjęcia Adolfa Hitlera, zastygła przed nim z wyrazem uwielbienia na twarzy, jakby stała przed wizerunkiem Boga, i szukała w myślach słów wyrażających jego chwałę. A w końcu zapowiedziała z radością w głosie, że następnego dnia my również udekorujemy portret Führera kwiatami.

Lekcja dobiegła końca. Nauczycielka, w której ruchach, szybkich i pewnych, czuło się satysfakcję z dobrze wypełnionego obowiązku, zebrała nasze zeszyty i zniknęła za drzwiami.

Podbiegłyśmy z koleżankami do Celiny i pomogłyśmy jej wstać. Miałam wrażenie, że nie wie, gdzie jest i co się z nią dzieje. Nie odpowiadała na nasze pytania, poruszała się z trudem, jakby straciła władzę nad swoim ciałem.

Pozlepiane krwią kosmyki włosów nie pozwalały nam dojrzeć, jak głębokie są rany zadane przez uderzenia nauczycielki.

Wzięłyśmy ślaniającą się na nogach przyjaciółkę pod rękę, wyciągnęłyśmy

ze szkoły i poprowadziłyśmy do domu. Trwało to długo, bo Celina nie miała siły iść, a poza tym na ścieżce wiodącej do miasta zagroził nam drogę chłopak z Hitlerjugend, trzynasto-, czternastolatek, i zaczął z nas szydzić. Zwykle na widok małych Niemców uciekałyśmy przez łąki, ale tym razem musiałyśmy zostać, żeby ochronić Celinę. Na szczęście gówniarz na widok krwi w jej włosach odpuścił i pobiegł dalej.

Opowiedzieliśmy rodzicom Celiny, co się wydarzyło, bo nie mieliby pojęcia, dlaczego córka wróciła do domu skatowana, ale miałam wrażenie, że przejęci jej stanem słuchają naszych wyjaśnień niezbyt uważnie. Zajęli się troskliwie Celiną, położyli ją do łóżka. Oboje, tak jak my, mieli łzy w oczach.

W drodze powrotnej do domu błagałam Boga, żeby przyjaciółka szybko odzyskała siły i wyzdrowiała.

Następnego dnia Celina nie przyszła do szkoły. Zaraz po lekcjach pobiegłam do niej. Leżała w łóżku z obandażowaną głową. Nie ruszała się, na nic nie reagowała. Miała wysoką gorączkę. Mama cały czas trzymała ją za rękę i przetykając łzy, nuciła cicho kołysankę.

Po trzech dniach od pobicia Celina zmarła.

Nikomiu poza najbliższą rodziną nie wolno było pójść na pogrzeb, ale ja w tajemnicy przed rodzicami pobiegłam na cmentarz, stanęłam przy ogrodzeniu i z daleka uczestniczyłam w skromnej uroczystości, bez krzyża, bo symbole religijne zostały przez Niemców zakazane. Nad trumną stali tylko mama i tata Celiny, ubrany w zwykły garnitur ksiądz Bartkowiak, jedyny duchowny katolicki, jaki został w mieście – ten sam, który potajemnie dał nam przed Gwiazdką pierwszą komunię – i grabarz.

Stałam tam i płakałam. Miałam poczucie winy. Stawiałam sobie pytanie, czy nie mogłam nic zrobić, żeby uratować przyjaciółkę. Czy nie byłam w stanie przeszkodzić zabójczyni? Krzyknąć, żeby przestała? Co by zrobiła? Pewnie zaczęłaby tłuc mnie, ale może zostawiłaby Celinę w spokoju.

Do dziś o tym myślę. Do dziś budzę się w nocy i nadal się tym dręcę. A przed moimi oczami pojawia się twarz przyjaciółki patrzącej przed siebie niewidzącymi oczami. Z włosami zlepionymi krwią...

Przetarłem dłonią oczy. Uniosłem głowę i rozejrzałem się po ciasnym pomieszczeniu. Dopiero po chwili dotarło do mnie, gdzie jestem.

Chociaż do końca wojennej opowieści nieznaney mi mieszkanki Starego Krzyża było jeszcze daleko, zamknąłem zapisany nierównym, z każdą stroną coraz bardziej chwiejnym pismem zeszyt.

Wstrząsający opis śmierci bezbronnej dziewczynki sprawił, że – jak

napisałby Władysław Broniewski, ulubiony poeta dwójki pryszczatych opozycjonistów, którzy próbowali zorganizować w mieście patriotyczną szopkę – na moją duszę opadła martwość.

Nie czułem się zobowiązany do dalszej lektury. Poznałem szczegóły wojennej działalności Anny Schmidt, a o to przecież chodziło kustoszowi. Dlaczego tak bardzo mu na tym zależało? Nie od razu to do mnie dotarło.

Prawda o tym, jakie następstwa mogła mieć nikczemna zbrodnia, której przed wielu laty dopuściła się w poczuciu bezkarności nazistowska nauczycielka, mościła się w moim mózgu powoli. Jakby emocje towarzyszące lekturze spowolniły jego tryby i uniemożliwiły trzeźwą analizę tego, czego się dowiedziałem.

A przecież myśl o tym, że śmierć niewinnego dziecka została pomszczona po latach, a więc za zamordowaniem pisarki stał ktoś z rodziny dziewczynki, nasuwała się sama.

– Naprawdę uważa pan... – zacząłem, ale głos uwiązł mi w gardle.

– To możliwe, prawda? – potwierdził moje niewypowiedziane przypuszczenia kustosz.

– Rodzina tej zabitej dziewczynki nadal mieszka w Starym Krzyżu? – zapytałem, przełykając ślinę.

– Władysław Milski, ojciec – odpowiedział krótko. – Tylko on żyje.

– Wie pan o nim coś więcej? – drażyłem temat.

– Zdaje się, że urodził się tutaj, w Starym Krzyżu. Przed wojną był młodszym urzędnikiem bankowym. Poślubił miejscową piękność, robotnicę z małej fabryczki tekstylnej Eugeniusza Kaczmarka. Mieli tylko Celinę. Bardzo przeżyli jej śmierć. Nie mogli sobie z tym poradzić. A wojenna rzeczywistość, codzienne okrucieństwa i represje nie ułatwiały otrząśnięcia się z traumy. Kilka miesięcy później matka wpadła pod pociąg. Albo się pod niego rzuciła. Nigdy nie poznamy prawdy, bo podczas wojny nikt nie wyjaśniał okoliczności śmierci Polaków. Milski załamał się wtedy kompletnie. Odizolował się od ludzi, stracił chęć do życia. Słyszałem nawet – nie wiem, czy to prawda – że prowokował Niemców, jakby chciał, żeby się z nim rozprawili. Ale przeżył wojnę. Nigdy się ponownie nie ożenił. Na kilka lat wyjechał do Poznania. Studiował historię, został nauczycielem. A także tropicielem nazistów. Czy raczej pomocnikiem tropicieli nazistów. Współpracował z Główną Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, ale nie wiem, na czym dokładnie polegała jego rola. Kiedy go przed laty o to zapytałem, zbył mnie jakimiś ogólnikami. Może szukał tej Schmidt? Może chciał...

Kustosz zamilkł, jakby przestraszył się myśli, którą zamierzał się ze mną podzielić. Myśli czarnej, z gatunku tych, od których ciemnieją i gasną słońca, jak by to ujął autor wiersza *Bagnet na broń*.

– Jest na emeryturze, prawda? – zapytałem.

– Jest umierający. – Mężczyzna wbił we mnie wzrok, pewnie chciał sprawdzić, jakie wrażenie zrobi na mnie informacja o chorobie mężczyzny. – Ma raka. Jeśli się nie mylę, raka trzustki. Leży w naszym szpitalu.

– Myśli pan, że stary człowiek, siedemdziesięciolatek, bo przecież nie może mieć mniej, w dodatku schorowany, byłby w stanie zabić młodszą od niego, silną kobietę?

– Nawet nie chcę o tym myśleć. – Głos kustosza się załamał.

– Ale to pan naprowadził mnie na ten trop – zauważyłem.

– To prawda – przyznał. – I teraz się zastanawiam, czy warto było grzebać w tych starych papierzyskach.

Kustosz sięgnął po brulion, jakby chciał go ukryć przed światem, a może nawet zniszczyć, ale trzymał go w dłoni gestem wyrażającym zagubienie i bezradność. Obaj nie bardzo wiedzieliśmy, czy jesteśmy w stanie stawić czoło potwornemu przypuszczeniu.

W drodze powrotnej do hotelu – wierzyłem, że po tych kilku godzinach dostanę się wreszcie do swojego pokoju – zastanawiałem się, co powinienem zrobić. Odnaleźć w szpitalu Władysława Milskiego? Nękać umierającego, udręczonego człowieka pytaniami, które na pewno sprawiłyby mu ból? W imię czego? Prawdy? Sprawiedliwości?

Nie potrafiłem odpowiedzieć sobie na żadne z tych pytań. Jedno wiedziałem na pewno. Że muszę się jeszcze nad tym wszystkim zastanowić. A to oznaczało, że wyjazd ze Starego Krzyża muszę odłożyć co najmniej do następnego dnia.



25 kwietnia 1982, niedziela

Po długich wahaniach uznałem, że powinienem spotkać się z Milskim. Stanać oko w oko z człowiekiem, którego rola w wydarzeniach będących przedmiotem mojego śledztwa mogła się okazać kluczowa. Poznać jego historię z pierwszej ręki.

Trochę się co prawda obawiałem, że wpadnę w szpitalu na pielęgniarkę, która kilka dni wcześniej ukryła mnie przed Krzysztofem Jaworem w małym przytulnym mieszkanku na drugim piętrze jedyne go bloku, który wybudowano w Starym Krzyżu. Przypomniałem sobie bowiem, że nie oddałem jej ciuchów, które pożyczyła dla mnie od brata. I nie miałem pojęcia, jak mógłbym jej wytłumaczyć, że nie pamiętam, co z nimi zrobiłem.

Ale szczęśliwie nie natknąłem się na swoją wybawicielkę. Szanse na to były zresztą małe, pracowała bowiem w głównym budynku, a sławny na całe województwo oddział onkologii mieścił się w parterowej przybudówce połączonej z nim wąskim przeszklonym rękawem.

Niestety, kiedy dotarłem na miejsce, okazało się, że raczej nie uda mi się porozmawiać z Milskim. Lekarz, na którego się natknąłem, wyjaśnił mi, że pacjent słabnie z każdą godziną, a poza tym jest pod wpływem silnych środków przeciwbólowych i prawie cały czas śpi. Zgodziłem się, że w tej sytuacji nękanie go nie ma sensu. Ale kiedy chciałem już odejść, doktor nieoczekiwanie zaproponował, że zajrzy do pana Władysława i sprawdzi, czy jest w stanie mnie przyjąć. Wrócił po dłuższej chwili i ledwie zauważalnym gestem głowy wskazał mi odpowiednie drzwi.

Zapukałem i chociaż nikt nie odpowiedział, wszedłem do środka. W małym pomieszczeniu panował przykry zapach amoniaku. Milski, podłączony do kroplówki, miał zamknięte oczy. Oddychał z trudem, przez usta. Jego wymizerowana, niestarannie ogolona, poorana zmarszczkami twarz była jak mapa cierpień, których doświadczył w życiu.

Na małej szafce obok łóżka leżał zniszczony tom wierszy *Obrazy myśli* Władysława Sebyły, zapomnianego poety, żołnierza września, jednej z ofiar zbrodni katyńskiej. Miałem ochotę przejrzeć tę niewielką książeczkę, wydaną jeszcze przed wojną, ale kiedy po nią sięgałem, pacjent otworzył oczy, obrzucił mnie zaskakująco przenikliwym spojrzeniem i w tej samej chwili zaczął mówić. Jakby od dawna czekał na moją wizytę i przygotował sobie w myślach mowę powitalną.

– Czy pan wie, że Hitler już w czerwcu trzydziestego dziewiątego zamówił u Huberta Grossa w Würzburgu projekt... Jeszcze przed napaścią na Polskę planował wymazanie Warszawy z mapy! Na tym miejscu miało powstać nieduże miasto. Coś na wzór warowni krzyżackiej...

– Nie miałem pojęcia – przyznałem. – Czytałem jedynie, że na gruzach Zamku Królewskiego miała powstać hala kongresowa. Podobna do tej w Norymberdze.

– A tak. – Chory kontynuował z wyraźnym wysiłkiem. – Gigantyczna Hala Ludowa. Z wielkim miedzianym orłem na szczycie. Wskazującym dziobem wschodnie krańce Rzeszy, sięgającej aż po Ural. A na miejscu Kolumny Zygmunta miał stanąć pomnik Germanii. W lśniącej zbroi, z wieńcem laurowym. Symbol zwycięstwa nad światem. Zanim to zwycięstwo stało się faktem. Ale to późniejsze pomysły. Z października czterdziestego drugiego. Pracowni Hansa Huberta Leufgena w Berlinie zlecono wykonanie projektu przebudowy placu Zamkowego i okolic. Po wojnie odnaleziono ten dokument wśród papierów Hansa Franka. Czy pan wie, że planowano wyburzenie wszystkich budynków przy Nowym Zjeździe i Krakowskim Przedmieściu? I postawienie wokół Hali Ludowej, o której pan wspomniał, szeregów masywnych, topornych gmachów? Całość miała wyglądać z góry jak gigantyczny pajak. Z wielką głową w środku i mackami dookoła... Tak, proszę pana, Warszawa... Co ja gadam, Warszawa?! Polska miała zniknąć z powierzchni ziemi. Rozdeptana, zmiażdżona, rozniesiona w pył. „Podstawowym obowiązkiem Niemców jest zniszczenie Polski”, tak mówił Hitler w trzydziestym dziewiątym. „I unicestwienie każdej żywej istoty na tej ziemi. Bądźcie bezlitośni! Bądźcie brutalni! Ta wojna ma być wojną zagłady!”. Zachowało się jego rozporządzenie, sankcjonujące zabijanie bez litości mężczyzn, kobiet, dzieci. Wszystkich Polaków...

Milski urwał, ale z jego gardła nadal wydobywał się ledwie słyszalny, niepokojący charkot, potwierdzający, że przygnieciony chorobą człowiek cały czas stawia opór udręce, jaką stało się jego życie. Niedoskonała, skrzecząca cisza trwała zresztą krótko, bo mężczyzna znalazł w sobie siły, by kontynuować nudny wykład.

– „Polacy zostaną starci z powierzchni ziemi...” – cytował kolejną wyuczoną na pamięć wypowiedź. – „Niebywale istotną rzeczą jest, by wielki naród niemiecki potraktował... Potraktował jako swój podstawowy obowiązek zagładę wszystkich Polaków...”. To Himmler. Zna pan te wypowiedzi?

– Pewnie gdzieś na nie trafiłem, ale nie potrafiłbym żadnej przytoczyć –

wyznałem szczerze.

Nieznacznie poruszył głową. Odczytałem ten gest jako wyraz dezaprobaty czy może rezygnacji.

– Dawniej były w Polsce powszechnie znane – powiedział z żalem. I zaatakował mnie kolejnym sprawdzającym pytaniem: – A wie pan, że zaraz po wojnie słowo „Niemiec” pisało się u nas małą literą?

– Nie za mojej pamięci – stwierdziłem. Byłem coraz bardziej zniechęcony. Milski pouczał mnie i przepytывał, jakbym był jego uczniem.

– Tak, wiem... Świadomość, czym był terror hitlerowski, jest w Polsce coraz mniejsza – zauważył. – Naród żydowski pielęgnuje pamięć o apokalipsie. My nie. Te wszystkie książki i filmy o wojnie! Nużąca batalistyka. Irytująca prosowiecka propaganda. I jakieś błazeństwa. Ten Kloss... Kogo obchodzi prawda? A im płytsza wiedza o przeszłości, tym łatwiej ludzie kupują każdą brednię na jej temat. Nie zdziwię się, gdy autorzy, dla których czasy hitleryzmu to już tylko zbiór suchych faktów, zrobią z Goebbelsa, powiedzmy, chińskiego szpiega, z Himmlera nieślubnego syna Stalina, z Hitlera potomka Drakuli... A wszystkich nazistów, którzy uniknęli kary, umieszczą na Marsie, by stamtąd mogli znowu wyruszyć na podbój świata...

W małym pokoiku znowu zapanowała szemrząca, mrukliwa cisza. Milski, przed chwilą ożywiony, zamarł z przymkniętymi oczami, jakby zmorzył go sen. Wszystko wskazywało na to, że pełna jadu tyrada była ostatnim punktem spotkania. Mimo że wysłuchałem jedynie nużącego, niestrawnego monologu, a liczyłem na rozmowę, na dialog, na moment zażyłości.

Byłem gotów już odejść, ale chory nagle otworzył oczy. Milczał, jakby zapomniał, że ma gościa.

– Rozumiem, że pan wie, kim jestem – chciałem się upewnić.

– Niech pan nie żartuje! – zaskrzypiał, a na jego przezroczyściej jak wosk twarzy pojawił się cień uśmiechu. Nie patrzył mi w oczy. Omiatał niespokojnym spojrzeniem włosy, czoło, usta. Spoglądał na boki i w sufit. Uciekał przed moim wzrokiem. Jakby próbował umknąć przed pytaniem, które w każdej chwili mogło paść.

– Wszyscy w mieście wiedzą, kim pan jest – zapewnił. – A ja oczywiście przyglądałem się panu ze szczególnym zainteresowaniem. Odkąd się pan zjawił i zaczął rozpytywać o...

– Annę Eckart – przypomniałem. I chociaż nazwisko kobiety zatarło się w jego pamięci, zrozumiałem, że nie zamierza wypierać się zbrodni, którą, co nie ulegało już dla mnie wątpliwości, popełnił.

– Właśnie – przytaknął. – Annę Eckart. Chociaż dla mnie na zawsze pozostanie Anną Schmidt.

Znowu przymknął oczy, ale zanim zdążyłem się odezwać, otworzył je i podjął przerwany wcześniej wątek.

– W miarę możliwości śledziłem pana poszukiwania – powiedział cicho. – Z oddalenia. I cierpliwie czekałem, aż trafi pan do mnie.

– Nie było to łatwe – stwierdziłem.

– Wyczuwam gorycz w tych słowach – zauważył.

– Gdyby przyznał się pan do zabicia Anny Eckart – zasugerowałem – może Paweł Markuszewski żyłby do dziś.

– Naprawdę pan w to wierzy? – zdziwił się. – Przecież morderca miał jakieś swoje powody, żeby znęcać się nad tym biednym chłopcem. I w końcu pozbawić życia. Moje przyznanie się do winy niczego by nie zmieniło.

Wiedziałem, że ma rację, ale nie miałem zamiaru mu jej przyznać. Zmieniłem temat i zadałem pytanie, którego nie przewidywał ułożony w głowie plan spotkania.

– Broniła się? Anna Eckart. Broniła się?

Starzec przymknął oczy. Milczał. Chyba nie chciał gadać ten temat.

– Ciężko musi się żyć z nienawiścią w sercu – skierowałem rozmowę w jeszcze innym kierunku. – Nie próbował się pan od niej uwolnić? Wybaczyc?

– Wybaczyc? – Milski nieoczekiwanie się ożywił. Próbował unieść się na posłaniu, ale po kilku nieudanych próbach opadł na nie z powrotem. Miał na sobie brzydką flanelową piżamę w zielone pasy. Mówił coraz wolniej, z wysiłkiem. Ciężko dyszał.

– Zapomnieć. Owszem, podjąłem taki wysiłek. Ale wybaczyc? Wie pan, kiedy biskupi polscy napisali ten słynny list do hierarchów niemieckich... Że przebaczą i proszą o wybaczenie... Naprawdę próbowałem ich zrozumieć. Wróciłem też do lektury Pisma Świętego, bo od śmierci córki i żony w ogóle do niego nie zaglądałem. I wie pan, co mnie zastanowiło? Że w Nowym Testamencie nie pada ani jedno słowo... Ani jedno słowo, które pozwalałoby uznać, że Jezus wybaczył Herodowi rzeź niewiniątek. A przecież mógł wysłać nam jakiś sygnał! Powiedzieć, że nawet w obliczu tak potwornej i nikczemnej zbrodni nie powinniśmy żywić do sprawcy wiecznej urazy! Dlaczego tego nie zrobił? Wie pan, ja jestem tylko prostym człowiekiem, który stracił wszystko. Wszystko! Nawet tę resztkę wiary, jaka tliła się we mnie po wybuchu wojny. I pewnie nie powinienem się wypowiadać na ten temat. Ale wydaje mi się, że są zbrodnie, których motywy, skala i bestialstwo wyrastają ponad ludzkie

i boskie pojmowanie zła. Wybaczyć? W moim odczuciu splugawiłoby to pamięć tych milionów ofiar, zagazowanych, zabitych strzałem w tył głowy, zakatowanych i zmasakrowanych tylko dlatego...

Milski opadł z sił. Dopiero po chwili kontynuował swój wywód:

– Tylko dlatego, że należały do innych narodów niż oprawcy. Kto dał nam prawo wybaczać ich cierpienie? Czy myśli pan, że ktokolwiek z nich byłby w stanie wybaczyć Hitlerowi?

– Jest chyba różnica między Hitlerem a prostą niemiecką dziewczyną, która dała się omamić ideologii nazizmu – powiedziałem zniecierpliwionym tonem.

– Tak pan myśli? – Nie wydawał się przekonany. – Bo moim zdaniem nawet tych, którzy stali z boku, w masie... I nie zrobili nic... Należałoby posadzić na ławie oskarżonych. Zresztą czy oni wszyscy, no dobrze, prawie wszyscy, nie uwierzyli, że zostali ulepiani z lepszej gliny? Że są wyróżnieni? Namaszczeni? Przeznaczni do jakichś znaczniejszych zadań? A skoro tak, mogą więcej. Są ponad prawem. Dekalogiem. Moralnością. Mogą... Komuś, kogo ich zdaniem wykrojono z podłej materii, mogą zabrać wszystko! Srebrną zastawę. Porcelanowy serwis. Dywan. Złoty ząb. Dom i ziemię. Godność. Nadzieję... Życie... I wie pan, mam wrażenie, że chociaż po klęsce odrzucili chorą ideologię, wcale się tego poczucia wyższości nie wyzbyli. Bywałem po wojnie i w NRD, i w RFN. I na każdym kroku to czułem. Oglądał pan kiedyś mecz piłki nożnej z udziałem którejś z tych drużyn? Widział pan twarze niemieckich kibiców? Oni, proszę pana, nie zagrzewają swoich do zwycięstwa. Oni są absolutnie przekonani, że zwycięstwo im się należy. Nie mam racji?

– Mają dobre drużyny, musi pan przyznać... – zaryzykowałem.

– My też mamy dobrą drużynę – wyszeptał głosem bardzo już zgaszonym, przytłumionym.

– Wspomniał pan o sadzaniu na ławie oskarżonych – wróciłem do wcześniejszego wątku. – Ale pan nie posadził Anny Eckart na ławie oskarżonych. Pan sam wydał wyrok. I sam wymierzył karę.

– Nie ma na świecie sądu, który by ją skazał. – Znowu się ożywił. – Wie pan, ja... Przez kilka lat współpracowałem z Główną Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, a także z podobnymi instytucjami w innych krajach. Byłem świadkiem w procesie Alberta Krügera. Słyszał pan o nim? Szef gestapo w Starym Krzyżu. Odpowiedzialny za wymordowanie polskich inteligentów w mieście. A także wysłanie tutejszych Żydów w drogę bez powrotu. I niech pan sobie wyobrazi, że aż do 1970 roku żył na wolności! Był

kupcem w Lüdinghausen. Co więcej, kandydował do parlamentu w Nadrenii Północnej-Westfalii. Wydawało się, że wszystko ujdzie mu na sucho. Niemcy nie chcieli go wydać. A proces u nich był parodią. Obrońca cały czas podważał wiarygodność świadków. Ale dowody były przytłaczające. Krüger się nie wywinął. Dostał dożywocie. Anna Schmidt to jednak zupełnie inna bajka. Wobec takich jak ona stosowano wygodne określenie „płatki”. Nikt nie miał zamiaru ich szukać, stawiać przed sądem. Zresztą... Kiedy zbrodniarzy jest więcej niż sprawiedliwych, trudno liczyć na surowość wymiaru pamięci. Winy się zacierają. Ulegają wymazaniu ze zbiorowej świadomości. Nawet gdyby wymagało to zmiany wykładni Dekalogu. Zresztą któż miałby się temu sprzeciwić? Bóg, który przyglądał się obojętnie Holokaustowi? Poza tym... Wie pan, z jakimi reakcjami się spotykałem, kiedy opowiadałem, że Anna Schmidt zatłukła na śmierć moją córkę? Sugerowano, że to był tragiczny wypadek. Nauczycielka chciała wymierzyć karę leniwej uczennicy i trochę przesadziła. Trochę przesadziła! Zapewne nie jestem obiektywny, ale moim zdaniem, jeśli ktoś wali dziecko kijem w głowę...

Milski z trudem kontynuował.

– Jeśli ktoś wali dziecko kijem w głowę... Z całej siły... Z zawziętością, jaka płynie z nienawiści i bezgranicznej pogardy... Z gwałtownością tym większą, im silniejsze poczucie bezkarności... Zgodzi się pan. Chce jednego. Zabić.

W oczach mężczyzny pojawiły się łzy.

– Dla mnie – ciągnął – Anna Schmidt była taką samą zbrodniarką jak wszyscy, których skazano w Norymberdze. Nie widzę różnicy. Jedna ofiara czy milion... Jakie to ma znaczenie?

– Rozumiem, co pan przeżył, i zgadzam się, że Anna Eckart powinna stanąć przed sądem – powiedziałem spokojnie. – Ale wendeta? Samosąd? Czy to, co pan zrobił, nie upodabnia pana do pańskiej ofiary?

– Nie mam nic na swoją obronę – przyznał z rezygnacją. – Bo przecież stwierdzenie, że zło rodzi zło... Zbrodnia prowadzi do zbrodni... A raz zasiane ziarno nienawiści prędzej czy później zaowocuje nienawiścią... No, to żadne usprawiedliwienie. Najgorsze jest to, że zabicie kobiety, która odebrała mi wszystko i zmieniła moje życie w koszmar, wcale nie przyniosło mi ulgi. Może poczucie, że sprawiedliwości stało się zadość. Ale ulgi nie. Cierpię tak samo, jak cierpiałem przez wszystkie te lata. Czas ani trochę nie złagodził mojego bólu. Cierpię może nawet bardziej, bo... Do bólu doszło obrzydzenie do samego siebie. Tak, to prawda, jestem zbrodniarzem. Pozwoliłem zainfekować się złem. I nie jest mi z tym dobrze. Ale gdyby pan zapytał, czy

zabiłbym Annę Schmidt raz jeszcze... Obawiam się, że musiałbym odpowiedzieć twierdząco. Nawet gdybym odzyskał wiarę w Boga, a wraz z nią świadomość kaźni piekielnej, jaka czeka moją duszę po śmierci. Nie mogłem pozwolić tej kobiecie odjechać do jej wygodnego, dostatniego, spokojnego życia. Bez wyrzutów sumienia...

– Nie może pan wiedzieć, jakie spustoszenie w jej duszy spowodowała zbrodnia, której się dopuściła – zaprotestowałem.

– Nie spowodowała żadnego spustoszenia – stwierdził obojętnie.

– Skąd ta pewność? – zapytałem. – Rozmawiał pan z nią o tym?

– Nie rozmawiałem, ale... Wie pan, ja nie miałem pojęcia, że kobieta, którą zabiłem, przyjęła nazwisko Eckart i została pisarką. I być może dowiedziałbym się o tym dopiero od pana. Przypadek sprawił, że zdobyłem tę wiedzę trochę wcześniej. W styczniu czy w lutym wstąpiłem do sklepu filatelistycznego. Tu u nas, w Starym Krzyżu, na rynku. Co prawda dawno odrzuciłem wszelkie przyjemności. Na zawsze. Z wyjątkiem chyba telewizji. Chociaż co to za przyjemność? Oglądam wyłącznie dziennik. I czasem programy sportowe. Nie, nie jestem kibicem... Kolekcjonuję... Przegrane Niemców. Może pan to uznać za rodzaj zбочenia. Naprawdę odrzuciłem wszelkie przyjemności. Wie pan, dla mnie czas żałoby ciągle trwa. Ale chociaż zrezygnowałem nawet z tak niewinnych radości jak zbieranie znaczków, nadal zdarzało mi się zajrzeć do sklepu filatelistycznego. Pogapić się na nowe serie. Nasycić atmosferą, jakiej nie ma nigdzie indziej. I jakiś czas temu wstąpiłem tam znowu. Pierwszy raz od dawna. Pewnie ostatni. Pochyliłem się nad gablotą ze znaczkami z NRD i nagle zobaczyłem ją! Annę Schmidt! Myślałem, że to przywidzenie. Że po prostu wszędzie widzę swoją ofiarę. Zrobiło mi się słabo. Sprzedawca dał mi szklanekę wody. Ale kiedy doszedłem do siebie, odważyłem się spojrzeć raz jeszcze. Nie ulegało wątpliwości, że patrzę na twarz Anny Schmidt. Mimo że opisano ją jako Annę Eckart. Laureatkę jakiejś komunistycznej nagrody literackiej... Kilka dni później pojechałem do Poznania. I wypożyczyłem wszystkie książki Anny Eckart, jakie przetłumaczono na polski. Z trudem przez nie przebrnąłem. W żadnej nie znalazłem ani jednego, musi mi pan uwierzyć, ani jednego zdania, które świadczyłoby o tym... No, że autorka zrozumiała, jakim złem była religia, którą tak gorliwie przyjęła. Nie doszukałem się ani jednej aluzji, ani jednego napomknienia, zawołowanego wyznania. Niczego.

– Czytał pan *Baśnie*? – zapytałem.

– Eckart pisała dla dzieci? – zdziwił się.

– Może właśnie w jej *Baśniach* znalazłby pan to, czego pan szukał. Napisała

tam o morzu łez...

– Naprawdę? Nawet jeśli... – zaczął, ale urwał zdanie w połowie i zmienił temat. – Wie pan... Jestem gotów odpokutować za to, co zrobiłem. Chociaż życia już we mnie coraz mniej. Tli się jeszcze, ale sam pan widzi... Jeśli mnie aresztują, chyba nie doczekam procesu.

– Ale przecież nie przyznał się pan do winy – przypomniałem. – Nie poszedł pan na milicję, nie złożył zeznań...

– Zostawiłem na miejscu zbrodni, w pokoju Anny Schmidt, nóż ze swoimi odciskami palców. To tak, jakbym się podpisał, prawda? Ale ciało zniknęło. A wszelkie ślady zbrodni zostały zatarte... Wyznam, że miałem wrażenie cudownego wymazania tego, co zrobiłem. Jakby w ogóle do tego nie doszło. A ponieważ w tym czasie moja choroba... No, ale pan już pewnie powiadomił kogo trzeba, że... Rozpoznałem w kobiecie, która w grudniu zjawiała się w naszym mieście, morderczynię mojej córki. Odnalazłem ją. I zabiłem. Zabiłem Annę Schmidt...

– Annę Eckart – poprawiłem go. – Nie powiadomiłem nikogo, bo nie wiedziałem, że to pan. Mogłem się tylko domyślać.

– Teraz już pan wie – powiedział z rezygnacją, a może z ulgą. Znowu przymknął oczy. Zdawałem sobie sprawę, że jest wykończony. Dotknąłem jego kościstej, wysuszonej dłoni. Poraziła mnie przeszywającym chłodem.

Przyszło mi na myśl, że rozmowa, która tak niespodziewanie dobiegła końca, była rodzajem spowiedzi, co czyniło mnie mimowolnym powiernikiem zabójcy.

Pochyliłem się nad tym udręczonym, starym człowiekiem i w tej samej chwili zrozumiałem, że błogi spokój na jego twarzy, zatopiony w bezwzględnej, doskonałej ciszy, może oznaczać tylko jedno.

Wyszedłem na korytarz i zawołałem lekarza. Nie czekałem, aż potwierdzi moje rozpoznanie. Wiedziałem, że Władysław Milski nie żyje.

Uznałem, że powinienem w drodze powrotnej zajść na posterunek, wyjaśnić, kto naprawdę zabił Annę Eckart, opowiedzieć o zemście po latach i przedstawić jej tło. Powstrzymywała mnie przed tym co prawda myśl o kolejnym spotkaniu z Wąsowskim, ale ostatecznie zwyciężyło przekonanie, że wyjaśnienie sprawy do końca to moja obywatelska powinność. Nie udało mi się jednak dostać do środka. Milicjant dyżurujący przy wejściu wyjaśnił mi, że komendant ma gościa. Potwierdziły to odgłosy burzliwej rozmowy.

Ktoś wykrzykiwał:

– ...i to w niedzielę! Mieli wyciąć siedem spróchniałych drzew, wszystkie oznaczyłem czerwoną farbą, a wycięli siedem zdrowych! Powiedzieli, że



ponieważ do tamtych nie było dojścia... Jak to nie było dojścia? Pan idzie ze mną i zobaczy...

Komendant przerwał mu:

– Panie Heniu, gdzie ja będę chodził? Wierzę, że jest, jak pan mówi. Ale drzewa to nie nasz rewir. Musi pan złożyć skargę do przełożonych tych pajaców, nie do nas.

Rozmówca nie przyjmował rady Wąsowskiego do wiadomości:

– Przecież to jest sprawa kryminalna! Drzewa w parku miejskim chroni prawo! Powinien ich pan zamknąć. Bez dwóch zdań!

Ale komendant ewidentnie nie zamierzał zająć się wycinką zdrowych drzew w miejscu publicznym. W niedzielne popołudnie chciał mieć święty spokój. Może był umówiony na brydża i popijawę u Juszczaków? Odniosłem zresztą wrażenie, że już jest trochę wstawiony, z wymową niektórych słów miał bowiem kłopoty. Czy w tej sytuacji rozmowa z nim miała sens?

Po dłuższej chwili zastanowienia doszedłem do wniosku, że mogę sobie darować poinformowanie władz, kto zabił Annę Eckart, bo to i tak nic by nie zmieniło. Zmarłym jest przecież wszystko jedno. A Ewie? Ewie zapewne nie postawiono zarzutu udziału w zabójstwie, a jedynie pomocy w ukryciu ciała. Nie pozbyłem się zresztą wątpliwości, czy dziewczyna w ogóle stanie przed sądem. Odkąd podano, że Anna Eckart zginęła w wypadku samochodowym, wydawało się to jeszcze mniej prawdopodobne niż wcześniej. Czy można było bowiem oskarżyć Ewę o pomoc w ukryciu ciała pisarki, skoro ta oficjalnie zmarła kilka miesięcy później?

Kiedy dotarłem do hotelu, było już po drugiej. Zastanawiałem się, czy tracić czas na zjedzenie obiadu. Postanowiłem zrobić to w Poznaniu, jeśli będę musiał czekać na pociąg do Warszawy, albo w wagonie Warsu, jeśli będę miał połączenie od razu.

Wbiegłem po schodach na pierwsze piętro. Czekala mnie niespodzianka. Na korytarzu stała oparta o ścianę Maryla. Ubrana w białą sukienkę w duże kolorowe grochy tchnęła wiosenną świeżością.

– Myślałam, że już nie przyjdiesz – powiedziała zniecierpliwionym tonem. I zapytała z pretensją w głosie: – Chciałeś wyjechać bez pożegnania?

Zaskoczony jej wizytą, nie bardzo wiedziałem, jak się zachować.

– Wybacz, że wtedy na rynku zniknąłem – zacząłem się tłumaczyć, ale przerwała mi lekceważącym gestem dłoni.

– Nieważne. Widocznie miałeś powód. Chciałam ci tylko powiedzieć „do widzenia”.

– To miłe – bąknąłem bez przekonania.

– Pomyślałam też sobie – dodała – że gdybyś dał mi swój adres, mogłabym ci przysłać zdjęcia z majowego festynu. Żebyś żałował swojej ucieczki.

Sięgnąłem do kieszeni po portfel i wyjąłem z niego wizytówkę, którą wydrukowałem, by dołączać do maszynopisów zostawianych w redakcjach. Wzięła ją w dwa palce, jak jakiś cenny drobiazg, i kiedy się upewniła, że jest na niej mój domowy adres, schowała pod plastikową okładkę notesu, który trzymała w dłoni. A potem odwróciła się na pięcie i w jednej chwili znalazła się przy schodach. Zanim ruszyła na dół, kołysząc zalotnie biodrami, obrzuciła mnie krótkim, chłodnym spojrzeniem i powiedziała tak, jakby informowała męża, że przypaliła zupę:

– Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy!

W późniejszych dniach roztrząsałem w myślach to nieoczekiwane spotkanie z atrakcyjną żoną prowincjonalnego dygnitarza, ale nie umiałem odpowiedzieć sobie na pytanie, jaki był jego sens, o co naprawdę chodziło kobiecie, która pojawiła się bez uprzedzenia i równie niespodziewanie zniknęła.

Chciała ponowić prośbę o to, bym pomógł ściągnąć na festyn w Starym Krzyżu kogoś z telewizji, ale stwierdziła, że nic nie wskóra, i nie podjęła tematu? Uznała, że warto pozostać ze mną w kontakcie, bo nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać znajomość z dziennikarzem z Warszawy? A może najzwyczajniej w świecie czekała na kilka miłych słów, które potwierdziłyby, że zaskarbiła sobie moją sympatię...

Otworzyłem pokój, wysikałem się, umyłem ręce i twarz, sięgnąłem po torbę, którą spakowałem z samego rana, zamknąłem za sobą drzwi, zszedłem do recepcji, opłaciłem kilkunastodniowy pobyt w hotelu, zostawiłem pani Basi tomik wierszy Broniewskiego (nie licząc na to, że ktoś się po niego zgłosi) i powędrowałem w stronę dworca.

Towarzyszyło mi uczucie ulgi, że opuszczam Stary Krzyż na zawsze.

22 czerwca 1982, wtorek

Nie wiem, jak znalazłem się na rogu Marszałkowskiej i Złotej, ale kiedy tam dotarłem, cel wędrówki przez Warszawę, jakiej już nie ma, stał się dla mnie tak oczywisty, że nie zastanawiałem się ani przez chwilę, czy przedostać się przez podwórze do ulokowanego na parterze hotelu Metropol kinematografu o dumnej nazwie Iluzjon.

Zawahałem się dopiero przed kasą – czterdzieści kopiejek za bilet? Przecież za te pieniądze zjadłbym obiad w dobrej restauracji. Ale pokusa uczestnictwa w seansie była zbyt wielka. Wszedłem do środka i zająłem miejsce w jednym z pierwszych rzędów.

W tej samej chwili zgasło światło, ciężka bordowa kurtyna uniosła się, a na scenie, na tle ciemnych draperii, pojawił się starzec w długiej czesuczowej almawiwie, z białymi wąsami i białą brodą do pasa, pobieloną twarzą i wyczernionymi rzęsami. W dłoni trzymał różdżkę pozwalającą mu kierować ruchami wywoływanych z ciemności postaci: delikatnej, kruchej Mary Ann Nichols, chudej, zagryzającej nerwowo wargi Mary Jane Kelly, rosłej Annie Chapman z wyłupiastymi oczami i kędzierzawymi włosami, tęgiej, niezdarnej Elizabeth Stride, smukłej Catharine Eddowes o przezroczystej twarzy i przeraźliwie smutnym spojrzeniu, a wreszcie ich zabójcy, zwanego Kubą Rozpruwaczem.

Kiedy po kilkunastu minutach przerażającego spektaklu mag zszedł ze sceny, kotara znowu opadła, a gdy się podniosła, niski, zmysłowy głos zapowiedział obraz *Świt, dzień i noc w Szwajcarii*. Z ciemności wyłoniła się oświetlona blaskiem miniaturowego słońca, ogromna makieta, na której można było wypatrzeć ośnieżone szczyty Alp, skaliste wąwozy i maleńki pociąg mknący po zboczach, znikający w tunelach, zatrzymujący się na małych stacyjkach.

Dopiero w trzeciej części seansu wyświetlono kilka krótkich filmów, najpierw kronikę *Pathé Journal* ze scenami z wojny rosyjsko-japońskiej, później osobliwe obrazki komiczne w rodzaju *Pierwszego papierosa* o początkującym palaczu, który pod wpływem działania nikotyny wymiotował w stronę widowni.

Nagle na ekranie pojawił się samochód na wysokich kołach ze szprychami i z wielkimi latarniami acetylenowymi. W eleganckiej kobiecie z małą, zgrabną parasolką, siedzącej za szoferem, rozpoznałem piękność, którą

podczas studiów znałem jako Krysę i która kilka lat później znowu pojawiła się w moim życiu, tym razem jako Kristina. Kristina Eckart.

Po chwili zdałem sobie sprawę, że sam jadę dziwnym wehikułem na wysokich kołach ze szprychami i z wielkimi latarniami acetylenowymi, a Kristina Eckart, już bez parasolki, jest moim szoferem. Zdziwiło mnie, że samochód pędzi krętą górską drogą z szybkością, jakiej nie osiągały pojazdy z początku stulecia.

Pomyślałem, że katastrofa jest nieunikniona, ale wcale się nie przeraziłem. Wiedziałem, że to nie dzieje się naprawdę. W nieznanym sobie sposób stałem się częścią filmu wyświetlanego na ekranie. A jednak zdecydowałem się poprosić Kristinę o ostrożniejszą jazdę. Nie posłuchała. Obróciła się w moją stronę i zaniósła się od śmiechu. W tej samej chwili straciła kontrolę nad kierownicą, a samochód wypadł z wąskiej górskiej drogi i runął w przepaść.

Otworzyłem oczy. Dopiero po kilku sekundach upewniłem się, że to tylko sen, kolejny z nękających mnie od kilku miesięcy snów z Warszawą sprzed lat w tle.

Spojrzałem na zegar. Było po dziesiątej. Sięgnąłem na stolik przy łóżku po zaproszenie, które nadeszło kilka dni wcześniej pocztą i którego treść znałem już na pamięć. „Instytut Kultury i Informacji Niemieckiej Republiki Demokratycznej – przeczytałem po raz nie wiadomo który – ma zaszczyt zaprosić na przedpremierowy pokaz prasowy nowego filmu Hansa Eckarta *Byłem, jestem, będę* z udziałem reżysera oraz Kristiny Eckart, odtwórczyni jednej z głównych ról”.

Nie ulegało wątpliwości, że moja podstępna, cyniczna przyjaciółka z czasów studenckich ma się świetnie. Nie została ukarana, chociaż władze enerdowskie musiały wiedzieć, że próbowała osiąść i potajemnie spieniężyć pamiątki po Fryderyku Chopinie, w czym pomagał jej bezwzględny złodziej i zabójca, Anglik Ralph Roberts.

Sprawdziłem na zaproszeniu datę i godzinę. Do seansu zostały niecałe dwie godziny. Iść czy nie iść? Do końca nie mogłem się zdecydować. Awersja do Krysi vel Kristiny Eckart, która posłużyła się mną, aby dotrzeć do skarbu ukrytego w Starym Krzyżu lub gdzieś w okolicy przez nazistów, straciła już po dwóch miesiącach od powrotu do Warszawy pierwotną moc. Uznałem, że zamiast karmić się nienawiścią, powinienem raczej postarać się wymazać dawną kochankę z pamięci.

Czy w tej sytuacji nie należało wyrzucić do kosza zaproszenia wysłanego zapewne na jej polecenie? Oczywiście, że tak. A jednak byłem ciekaw, ogromnie ciekaw konfrontacji z Krysą, bo dla mnie nigdy nie stała się

Kristiną. Wiedziałem, że z masochistyczną przyjemnością będę napawał się jej fałszywym uśmiechem, jej przesyconymi zapachem drogich perfum, pokrętnymi tłumaczeniami, jej kurewstwem, bo inaczej nie potrafiłem nazwać tego, co mi zrobiła.

Zerwałem się na równe nogi i po błyskawicznej toalecie oraz skromnym śniadaniu wskoczyłem w jedyny garnitur, jaki posiadałem, zbiegłem na postój przy ulicy Lumumby, z ulgą odnotowałem, że stoją na nim aż trzy taksówki, wsiadłem do pierwszej i ruszyłem na spotkanie z najnowszym dziełem enerdowskiej sztuki filmowej.

Film opowiadał wymyśloną, ale prawdopodobną, jak stwierdził w wystąpieniu przed pokazem reżyser, historię dezertera z Wehrmachtu, który dołączył do polskich partyzantów i walczył z nazistami, czyli swoimi dawnymi kolegami. Przedstawiał ją tak, jakby po klęsce stalingradzkiej żołnierze Hitlera masowo zrzucali mundury, a ich udział w polskim ruchu oporu był czymś oczywistym.

Odebrałem *Byłem, jestem, będę* z niesmakiem, jako dzieło załgane, wypaczające obraz przeszłości, obarczające winą za zbrodnie drugiej wojny światowej garstkę wpatrzonych w Hitlera szaleńców. Seans był dla mnie prawdziwą męczarnią. Z trudem dotrwałem do końca. A szczególnie zirytowała i jednocześnie rozbawiła mnie zawarta w scenariuszu sugestia, że nazizm był specjalnością Niemców mieszkających na zachód od Łaby, zaś ludność wschodniej części kraju, w każdym razie jej znacząca reprezentacja, okazała się wystarczająco światła, by się plugawej ideologii przeciwstawić i opowiedzieć za głęboką mądrością marksizmu-leninizmu. Jakby już w okresie Trzeciej Rzeszy zarysował się podział na Niemcy Zachodnie i Niemcy Wschodnie. Czy Hans Eckart naprawdę sądził, że ktoś z widzów przełknie podobną bzdurę? Pikanterii dodawało dziełu to, że matka szacownego twórcy była w czasach hitlerowskich nazistką. Ale o tym nikt na sali nie miał pojęcia. Poza mną i być może, bo tego nie mogłem być pewien, samym reżyserem.

Kristina Eckart zagrała w filmie Polkę, maskotkę oddziału, rozdartą między porywczym, chamowatym dowódcą Jankiem Goszczyńskim a lirycznym, mimozowatym uciekinierem z Wehrmachtu Berndem Engelhardtem. Hans Eckart zadbał o to, aby żona nie rozczarowała wielbicieli; zwłaszcza w scenie nieokiełznanego seksu z Jankiem dała z siebie wszystko.

Po seansie zaproszono widzów na skromny poczęstunek i lampkę radzieckiego szampana Igristoje. Byłbym idiotą, gdybym zrezygnował z tak atrakcyjnego dopełnienia programu. Zwłaszcza że liczyłem choćby na krótką

rozmowę z kobiecą gwiazdą filmu, która co prawda nie zjawiała się na pokazie, ale na bankiet przysłała, ubrana w długą do ziemi, złocistą suknię z dużym dekoltem. I chociaż otaczał ją wianuszek wielbicieli, w pewnej chwili wyrwała się z magicznego kręgu, zbliżyła się do mnie i zanim zdążyłem zareagować, cmoknęła w usta. Właśnie tak: nie pocałowała, ale cmoknęła, jakby witała się ze zramolałym wujaszkiem.

– Za godzinę, tam gdzie ostatnio – szepnęła, a na jej twarzy, pokrytej grubą warstwą kosmetyków, pojawił się cień uśmiechu.

– Nie sądzę – odpowiedziałem cicho, bo nagle zdałem sobie sprawę, że w atakującej mnie obfitym biustem gwieździe filmu *Byłem, jestem, będę* nie znajduję absolutnie nic, co łączyłoby ją z dziewczyną, którą znałem kilka lat wcześniej. Jakbym pomylił ją z tamtą. A cóż mogła obchodzić mnie obca osoba? Cóż mogły obchodzić mnie jej chciwość, dwulicowość i perfidia? Cóż mogły obchodzić mnie jej brednie, bo w to, że usłyszałbym od niej choćby słowo prawdy, nie wierzyłem.

Rozmowa z Kristiną Eckart straciła dla mnie sens. Co więcej, kontynuowanie znajomości z Kristiną Eckart straciło dla mnie sens. I nie bardzo obchodziło mnie nawet to, że prawdopodobnie nie usłyszała moich słów, bo porwana przez wir entuzjastów płynęła już z nurtem na drugi koniec sali, kołysząc się kokieteryjnie w rytm płynącej z głośników, nastrojowej muzyki zespołu Karat. I chociaż Herbert Dreilich śpiewał przejmująco o albatrosie, który nie zna żadnych granic, uznałem, że czas najwyższy opuścić gościnne mury naszpikowanej aparaturą podsłuchową placówki kulturalnej bratniego kraju i udać się prosto do domu.

Byłem już blisko drzwi, kiedy wyrósł przede mną inny znajomy: ubrany w szary garnitur, zezowaty mężczyzna, którego mianowałem w myślach nie inaczej jak Szarym Garniturem.

– Nie okłamał mnie pan – zaczął. – Widziałem, widziałem. I z całego serca zazdroszczę.

– Nie zdziwiło pana, że jej nie zamknęli? – skontrolowałem żalose zachwyty antypatycznego ubeka kobietą, która stała mi się całkowicie obca.

– Nie nasza sprawa – wyjaśnił, zmieniając ton na urzędowy. – Kristina Eckart jest obywatelką NRD. I tylko władze NRD mogą decydować o zakresie jej odpowiedzialności w sprawie, którą ma pan na myśli. Nie wiemy, jaką postawę przyjęła w śledztwie, nie wiemy, jakie złożyła wyjaśnienia, nie wiemy, czy została ukarana.

– Widział ją pan przecież! – Nie potrafiłem ukryć irytacji. – Czy wygląda na osobę zwolnioną na przepustkę z zakładu karnego Hohenschönhausen

w Berlinie albo więzienia kobiecego Hoheneck w Stollbergu?

– Zapewniam pana – odparł z niezmaconym spokojem – że władze NRD wypracowały przez lata bardzo przemyślny system kar, często niezwykle dotkliwych, które z odsiadką nie mają nic wspólnego. My możemy się tylko od nich uczyć.

Uśmiechnąłem się kwaśno. Obaj wiedzieliśmy, że Kristinie Eckart się upiekło.

– A co z Ewą Gruchałą? – zapytałem. – Też uniknie kary?

– O to niech się pan nie boi! – Facet sprawiał wrażenie zaskoczonego, że wątpię w sprawiedliwy osąd współniczki Jawora. – Znalaziono jej odciski palców w domu Markuszewskiego. Poza tym obciążają ją zeznania Anglika. Widział ją tam w noc zabójstwa. Szczegółów nie znam, ale wszystko wskazuje na to, że pani Gruchała zostanie oskarżona o współudział w zabójstwie ze szczególnym okrucieństwem.

Słuchając tych wyjaśnień, zrozumiałem, że nadal nie uwolniłem się od myśli o Ewie. Jakby najbardziej naiwna i prostoduszna część mnie nie przyjmowała do wiadomości okrutnej prawdy o tym, do czego zdolne jest kruche dziewczę z hotelowego strychu.

Szary Garnitur oczekiwał pewnie, że skomentuję jego wypowiedź, ale skwitowałem ją milczeniem. Chciałem jak najszybciej zakończyć męczącą rozmowę, ale facet chwycił mnie za łokieć, ścisnął mocno, tak mocno, że aż zabołało, i wysyczał:

– Mamy jeszcze jedną sprawę do omówienia. Krzysztof Jawor nie zabił Anny Eckart. Przy ciele ofiary znaleziono narzędzie zbrodni, nóż kuchenny, z odciskami palców sprawcy. Ale śledczym do dziś nie udało się ustalić jego tożsamości.

Przeszył mnie lodowatym spojrzeniem i dodał, akcentując każde słowo:

– Coś mi mówi, że pan wie, kto zabił tę Niemkę!

Miałem wielką ochotę zaprzeczyć, ale nie mogłem odmówić sobie przyjemności potwierdzenia, że sam rozgryzłem zagadkę, z którą nie poradziły sobie organy ścigania.

– Owszem, wiem – przyznałem. – Odciski palców na nożu należą do Władysława Milskiego, emerytowanego nauczyciela historii ze Starego Krzyża. Zemsta po latach. Anna Eckart zabiła mu w czasie wojny córkę.

– Emerytowany nauczyciel historii? – ubek powtórzył z niedowierzaniem. – Władysław Milski?

– Nie zmienia to faktu, że Jawor ukrył ciało, żeby okraść Annę Eckart – przypomniałem.

– Tak, to wiemy – potwierdził niechętnie. – Chociaż... Opowieść o bezcennych pamiątkach po Chopinie okazała się bajką. Przedmioty ocalone ze szkody, którą rozbił Anglik, na pewno nigdy nie należały do kompozytora. Eksperci twierdzą, że większość pochodzi z drugiej połowy dziewiętnastego wieku, a Chopin zmarł przecież w 1849. Największą wartość mają dwa złote świeczniki. Nawet gdyby je przetopić na sztabki, można by dostać trochę grosza. Ale grawerowana mosiężna szkatułka czy porcelanowa patera, zabezpieczona tak dobrze, że również ocalała z wypadku, to drobiazgi trudne do upłynnienia i osiągające ceny nieprzekraczające kilkuset złotych. Myślę, że nazywanie tej starzyzny „skarbem” to spora przesada. Anglik wyznał co prawda, że wioził też rękopisy Chopina, ale skoro pozostałe przedmioty nie miały nic wspólnego z kompozytorem... Moim zdaniem były to falsyfikaty.

– Ale Eckart cytowała w swojej powieści tajemniczy utwór Chopina – przypomniałem. – Musiała go znać z tych rękopisów. I podobno eksperci potwierdzili...

– Jacy eksperci? – prychnął ubek. – Amerykanie! Czy Amerykanie znają się na Chopinie? Wie pan, wszystko wskazuje na to, że ktoś, nie wiemy kto, wcisnął komuś, podobno gubernatorowi Frankowi, podróby. Trudno co prawda uwierzyć, by gubernator Frank kupił coś bez ekspertyzy, ale może nie kupił? Może zdobył jako łup wojenny? Nietrudno się natomiast domyślić, że Niemka i Anglik nie mieli czasu na żadne ekspertyzy, co wyjaśniałoby, dlaczego oni również dali się nabrać. Tak czy inaczej, cały ten „skarb”... No, nie było o co się bić.

– Może lepiej, że mieliśmy do czynienia z falsyfikatami – zauważyłem. – Nie żal, że spłonęły.

– To prawda – zgodził się ubek. – Ale wróćmy do tego... Milskiego? Jak rozumiem, nie chodziło mu o skarby...

– Milski nie żyje – wyjaśniłem. – Miał raka.

– Jak pan doszedł do tego, że to on zabił Annę Eckart? – Szary Garnitur pokręcił głową z miną wyrażającą raczej zdumienie niż podziw. – Wie pan... Przydałby się nam ktoś taki. Może rozważyłby pan pracę dla nas?

Nigdy w życiu nie zgodziłbym się wysługiwać Służbie Bezpieczeństwa, ale zanim zdążyłem to powiedzieć, Szary Garnitur dodał z przyklejonym do twarzy nieodgadzionym uśmiechem:

– Bo jako dziennikarz jest pan właściwie spalony. W prasie oficjalnej ma pan szlaban. A w nieoficjalnej raczej też.

– Dlaczego pan tak uważa? – zapytałem, chociaż przez myśl mi nawet nie przeszło, by publikować w podziemnych gazetkach Solidarności.



– Nie czytał pan ostatniego numeru „Tygodnika Mazowsze”? – zdziwił się.  
– A pan oczywiście czytał – rzuciłem z ironią.  
– Jakżeby inaczej? – W jego głosie pojawiły się dobrotliwy ton. –  
Studiujemy w wydziale całą prasę podziemną.  
– Nie wątpię, że was to interesuje – zauważyłem, dziwiąc się własnej  
zuchwałości. – Żeby pozamykać drukarnie. I aresztować autorów.  
– Wróćmy do ostatniego numeru „Tygodnika Mazowsze” – zignorował  
moją arogancką uwagę. – Powinien pan chyba wiedzieć, że dobrali się panu  
do tyłka.  
– Za co? – Byłem przekonany, że kłamię.  
– Ano wytknęli panu, że nie zgodził się pan na udział w obchodach  
rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja. Nieładnie panie Danielu!  
Nie mogłem uwierzyć. Odmowa udziału w żalosnej prowincjonalnej  
wieczornicy przygotowanej przez dzieciaki zrobiła ze mnie zwolennika  
systemu?  
– Pozwoli pan, że zapytam raz jeszcze... – Szary Garnitur nigdy się  
poddawał. – Nie chciałby pan pracować dla nas? Zapewniam, że zajęcie  
nie jest bardzo absorbujące, a gaża godziwa.  
– Proszę wybaczyć, ale mam już na oku coś innego – skłamałem.  
– Czy mogę zapytać co? – Facet był wyjątkowo namolny.  
– Zająłem się literaturą science fiction – brnąłem dalej. – Zawsze o tym  
marzyłem.  
– W takim razie... Na pewno będę pana czytelnikiem. – Szary Garnitur  
lekką się ukłonił, ale zanim odszedł, wyjął z kieszeni na piersi wizytówkę  
zawierającą wyłącznie numer telefonu, wsunął mi ją do ręki i dodał:  
– Wie pan, jedno nie wyklucza drugiego. Gdyby się pan namyślił, proszę  
zadzwoń.  
Chciałem powiedzieć, żeby na to nie liczył, ale zniknął równie szybko jak  
wcześniej Krystyna.  
Nie wstąpiłem do baru w hotelu Warszawa. Z instytutu poszedłem prosto  
na przystanek i autobusem wróciłem do domu. Nie mogłem się już doczekać  
popołudniowego meczu Polska–Peru, ogromnie ważnego, bo decydującego  
o dalszych mundialowych losach naszej jedenastki. Wierzyłem, że pozwoli mi  
zapomnieć irytujący film enerdowski, godne politowania spotkanie  
z Krystyną i męczącą rozmowę z zezowatym ubekiem.  
Kiedy wspiąłem się na trzecie piętro, ze zdumieniem stwierdziłem, że przed  
drzwiami do mojego mieszkania stoi krótko ostrzyżona, apetyczna blondynka  
w białej bluzce i kwiecistej spódnicy. Właśnie skończyła pisać coś ołówkiem

na pogniecionym skrawku papieru, zwinęła go w rulonik i próbowała wcisnąć do dziurki od klucza. Ponieważ widziałem ją od tyłu, nie od razu się zorientowałem, kim jest. Ale kiedy się odwróciła, poznałem ją natychmiast. Maryla... Jak bardzo się myliłem, sądząc, że już jej nie zobaczę!

Sięgnęła po rulonik, zgmiotła w dłoni i wrzuciła do torebki.

– Chciałam zostawić ci wiadomość – wyjaśniła. – Ale skoro jesteś...

– Cieszę się, że cię widzę – powiedziałem szczerze.

– Naprawdę? – zapytała, jakby nie była pewna mojej reakcji.

Wyjąłem z kieszeni klucz, otworzyłem drzwi i zaprosiłem ją do środka. Całe szczęście, że dzień wcześniej wysprzątałem mieszkanie. Zwykle panował w nim artystyczny nieład, a w bałaganie trudno o miłą, intymną atmosferę.

Miałem ochotę się przebrać, ale zdjąłem tylko marynarkę. Usiedliśmy na kanapie, blisko siebie. zaproponowałem coś do picia, ale odmówiła. Zapytałem, czy jest głodna, zaprzeczyła. Włączyłem nastrojową muzykę.

– Zmieniłaś fryzurę – zauważyłem. – I ufarbowałaś włosy...

– Podobam ci się? – zapytała z wahaniem.

– Wyglądasz olśniewająco – zapewniłem.

Dostrzegłem, że nie włożyła stanika. Pod przewiewną tkaniną bluzki bez trudu można było dostrzec zarysy piersi zwieńczonych pełnymi, brunatnymi brodawkami. Podniecony przełknąłem ślinę, co nie umknęło jej uwadze, bo w tej samej chwili oblała się rumieńcem.

Kiedy przywarłem ustami do jej rozpalonego policzka, zamknęła oczy. A gdy lekko ugryzłem ją w ucho, cicho zamruczała. Nie wiem, dlaczego dopiero w tym momencie owionął mnie odurzający zapach jej perfum i przywołał wspomnienie cudownie podniecających wspólnych chwil w domku na działce.

Odważyłem się wsunąć dłoń pod lekki materiał wabiącej bogactwem kolorów spódnicy. Miałem wrażenie, że uda najbardziej pociągającej mieszkanki Starego Krzyża przyzwalająco się rozchyliły.

– Nie masz majtek? – zdziwiłem się.

– Przecież jest już lato... – szepnęła, uśmiechając się niewinnie, i znowu się zarumieniła.

Zsunąłem się na podłogę, by odszukać ustami wilgotną miękkość, która chwilę wcześniej zadrzała rozkosznie pod delikatnym dotykiem moich palców.

W tej samej chwili Ewa i Krystyna odpłynęły w niepamięć wraz ze swoimi maskami i gierkami, błagą i nikczemnością, zmarnowanym talentem malarskim i żalosalną karierą filmową. Wiedziałem, że nie wrócą. Nigdy.

Nawet w snach.

# Wiersze, poematy i teksty piosenek cytowane w książce

*Cztery nogi* Andrzeja Własta

*Pan Tadeusz* Adama Mickiewicza

*Psy policyjne w Łucku* Władysława Broniewskiego

*Nic o tobie nie wiem...* Emanuela Szlechtera

*Ale wkoło jest wesoło* Zbigniewa Hołdysa

*Jeszcze zima* Agnieszki Osieckiej

*Panna Mania gra na mandolinie!* Mariana Hemara

*Funeral blues* Wystana Hugh Audena (w tłumaczeniu autora)

*Kropka nad ypsilonem* Edwarda Stachury (w postaci zniekształconej przez autora)

*Miłość ci wszystko wybaczy* Juliana Tuwima

Cytaty z tygodników: „Przekrój”, „Przyjaciółka” i „Solidarność – Tygodnik Mazowsze” z 1982 roku, z „Gazety Lubelskiej” z 3 października 1944.

Autorem ulotki propagandowej („Zabijaj Niemców – o to modli się twoja matka staruszka! (...)”), którą kolportowano pod koniec II wojny światowej wśród żołnierzy Armii Czerwonej, był Ilja Erenburg.

Tekst dyktanda „Am zwanzigsten April hat der Führer Geburtstag...” pochodzi z podręcznika *Wir können lesen. Übungsbuch der deutschen Sprache für das 2. Volksschuljahr in den Ostgebieten* Paula Jendrike, Ericha Koblta i Williego Schmidta (Bromberg 1943).

W przywołaniu obrazów dawnej Warszawy pomocne okazały się książki z serii Biblioteka Syrenki, w szczególności *Warszawa jakiej nie ma* Stanisława Niewiadomskiego (Warszawa 1988), a w odtworzeniu realiów życia na ziemiach polskich włączonych podczas II wojny światowej do Trzeciej Rzeszy istotną rolę odegrał zbiór dokumentów *Documenta occupationis XIII. Położenie ludności polskiej w tzw. Kraju Warty w okresie hitlerowskiej okupacji* w opracowaniu Czesława Łuczaka (Poznań, 1990).

Redaktor prowadzący: Filip Modrzejewski

Redakcja: Ewa Nosarzewska  
Korekta: Agnieszka Nowak, Małgorzata Denys

Projekt okładki: Tomasz Majewski  
Zdjęcie na okładce: © A.T. White / The Image Bank / Getty Images

Skład i łamanie: Typo – Marek Ugorowski

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12  
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-3297-2

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

**virtualo**